

ISAAC
BASHEVIS
SINGER

DWÓR

Przełożyła Irena Wyrzykowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

Po nieudanym powstaniu styczniowym 1863 roku wielu Polaków stanu szlacheckiego biorących w nim udział stracono na szubienicach, innych, a wśród nich hrabiego Władysława Jampolskiego, zesłano na Sybir. Carscy żołdaci poprowadzili zakutego w kajdany hrabiego przez ulice Jampola, miasteczka wywodzącego nazwę od jego rodu.

I chociaż kontakty z powstańcem uważano za niebezpieczne, zjawił się ksiądz w stroju duchownym, z krucyfiksem, aby udzielić mu na drogę błogosławieństwa. Chłopi zdejmowali czapki, kobiety płakały.

Kiedy hrabia mijał osiedle domków na peryferiach miasteczka, potocznie zwanych Piaskami, gdzie Żydzi założyli niedawno swoją gminę, zrobiło się wielkie poruszenie. Ponieważ Jampol należał jeszcze do jurysdykcji kościelnej, Żydzi nie mogli zamieszkiwać w jego obrębie i musieli opłacać rogatekowe za prawo wstępu do miasta.

Mieszkańców Piasków zaskoczyło zachowanie arystokratycznego więźnia. Hrabia, z rozwianymi na wietrze siwymi włosami i długimi wąsami, szedł krokiem sprężystym; z twarzą zarumienioną, w rozpiętym futrze i czapce na bakier robił wrażenie człowieka udającego się na zabawę i nie przejmującego się niczym.

Po upływie paru tygodni woźny sądowy, zwoławszy ludność Jampola uderzeniami w bęben, odczytał wyrok, który nadszedł z Petersburga. Dekret monarszy zarządzał całkowitą konfiskatę dóbr hrabiiego Jampolskiego, z wyjątkiem

ziemi uprzednio już podzielonej między chłopów pańszczyźnianych. Hrabina Maria Jampolska miała opuścić siedzibę przodków po upływie sześciu miesięcy.

Dowiedziano się też, że car Aleksander aktem prawnym przekazał posiadłości hrabiowskie jednemu ze swych generałów, który był księciem.

Żydzi wzruszali ramionami: tak to się dzieje u gojów, gdzie o prawie stanowi siła. Kalman Jakobi, Żyd mający ustaloną pozycję jako handlarz zbożem, który kupował pszenicę od dworu, otrzymał od miejscowych urzędników tytuł nowego pana na jampolskim dworze. Otóż za opłatą osiemnastu groszy podyktował kanceliście list do księcia w Petersburgu donosząc, że on, Kalman Jakobi, godny zaufania, bogobojny człowiek i opiekun swej gminy, ośmiela się pokornie prosić jego ekscelencję o oddanie mu w dzierżawę dworu wraz z przynależnymi gruntami.

W zakończeniu listu Kalman zaproponował wysoki roczny czynsz. ||j|

Przez dłuższy czas nie nadchodziły żadne wiadomości z Petersburga. Aż pewnego dnia sam książę zjawił się w Jampolu bez zapowiedzi i zatrzymawszy się we dworze', posłał kozaka po Kalmana. Kozak w . okrągłej, czapce, z kolczykiem w jednym uchu, jechał na małym koniku na oklep, a zamiast bata trzymał w ręku skórzaną nahajkę. Jechał przodem drobnym truchtem, a Kalman szedł z tyłu za nim. Mieszkańcy Piasków wpadli w panikę z obawy, że wystąpiono z jakimiś fałszywymi oskarżeniami przeciwko gminie, i spodziewali się kontrybucji, pogromu, rozlewu krwi. Żona Kalmana, Zelda, wraz z dziećmi towarzyszyła mężowi kawał drogi, zawodząc jak po nieboszczyku.. Rozeszły się słuchy, że na dziedzińcu dworskim postawiono szubienicę. Kalman miał drogo zapłacić za handel z buntownikami.

Kiedy po wejściu do przedsionka dworu Kalman zobaczył nowego pana, rzucił mu się do nóg, by ucałować błyszczące buty i błagać o zmiłowanie. Książę był młody, miał kędzierzawe włosy, bujne bokobrody i cywilne ubranie. Kazał mu powstać. Kalman, który znał trochę język rosyjski, odpowiadał na niezliczone pytania księcia, a na-1

zajutrz wrócił do domu z umową dzierżawną. Książę wkrótce potem odjechał, zostawiając majątek Jampol pod zarządem Jakobiego.

Pierwszy krok Kalmana został podyktowany rozsądkiem. Powiadomił hrabinę .Marię, że będzie mogła do końca życia zamieszkiwać we dworze. Ponadto zapewniał jej koni£ wyjazdowe do karety i dojne krowy dla potrzeb gospodarstwa domowego. Obiecał też dostarczać pszenicę, jęczmień, kartofle, kasze i inne produkty. Następnie zawarł umowy z ekonomem i

karbowymi, chociaż wiadomo było, że to pijacy i złodzieje. Mimo to chłopci jampolscy odczuwali niechęć do wiarołomnego Żyda, który rządzi się na polskiej ziemi z ramienia obcego ciemięzcy. Dobrze przynajmniej, że nie zadziera nosa. Polska jeszcze raz powstała do walki i przegrała. Jej najlepszych synów "pędzono teraz do polnej, skutej lodem tundry, gdzie wciąż jeszcze dogorywali zesłańcy powstania listopadowego. Jakie znaczenie miało to, kto rządzi między jednym powstaniem a drugim.

Kalman Jakobi wprowadził się do domu zajmowanego poprzednio przez dworskiego kowala. Najpierw na futrynach drzwi poprzybijał mezuzy*, potem zarządził przewiezienie wszystkich swoich ruchomości: dwóch kredensów, jednego na potrawy mięsne, drugiego na mleczne, naczyń na święta Pesach, codziennych naczyń stołowych, szaf, łóżek, ław. Kalman posiadał jeszcze dębów/ kufer obity skórą wołową, okuty mosiężnymi obręczami, w którym trzymał pieniądze, przedmioty wzięte pod zastaw od ludzi oraz srebrne lichtarze. Skoro Bóg nie obdarzył Żydy potomkiem płci męskiej, Kalman musiał odkładać na wiano dla swych czterech córek.

Już wkrótce stało się widoczne, że nowe przedsięwzięcie Kalmana rozwija się bardzo pomyślnie. Owego roku doczekał się nader obfitych zbiorów. Po zniesieniu pańszczyzny znaczne obszary gruntów hrabiego Jampolskiego rozdzielono między chłopów, którym pozwolono obecnie wypasać bydło na pastwiskach dworskich i wycinać drzewo

* patrz: Słowniczek

na budulec w hrabiowskich lasach. Jednak za dużo było rąk do pracy w małych gospodarstwach. Jeszcze niedawno chłopci pańszczyźniani byli przywiązani do ziemi i otrzymywali chłostę za swoje trudy, a teraz

Kalman Jakobi płacił im gotówką za pracę i nie wymagał całowania ręki. Naradzał się ze starymi chłopami, gdzie zasiać zboże, gdzie posadzić kartofle, buraki, kapustę. Od okolicznej szlachty dowiedział się o nowych młockarniach zastępujących cepy. Zainstalował sieczkarnię do cięcia słomy dodawanej do paszy dla bydła. Otworzył w Jampolu szynk i sklep, gdzie sprzedawano zarówno materiały łokciowe, chustki na głowę, grube chusty wełniane na plecy, kożuchy, skórę, ga- . lanterię, garnki żeliwne, śledzie marynowane, dziegieć, jak i kosy, sierpy, młotki, piły, pilniki, gwoździe. Chłopi kupujący w sklepie Kalmana albo pijący w jego szynku dostawali rabat. Niektórzy płacili "banknotami" Kalmana w postaci odcinków papieru z nadrukiem żydowskim, zaopatrzonych pieczętką z jego podpisem. Udzielał kredytu ludziom godnym zaufania i płacił cenę wyższą od rynkowej za len, cielaki, woły, miód, nie wyprawione skóry i wszelkie inne produkty wysyłane następnie do Warszawy.

Otwierając sklep w Jampolu Kalman naruszył przepisy prawne, lecz rosyjscy urzędnicy przymknęli na to oczy. Zniesiono rogatek dla Żydów. Ludność Jampola przestała być czysto polska, to samo działo się i w innych miastach. Gdziekolwiek Polacy zakładali nowe osiedla, Żydzi zaraz podążali za nimi. Za Kalmanem inni Żydzi z Pias[^] ków zaczęli się osiedlać wokół jampolskiego rynku. Blacharze, szewcy, bednarze i krawcy, sami Żydzi, otwierali warsztaty. Polskie towary płynęły teraz swobodnie do Rosji. Tylko w szabas jampolscy Żydzi modlili się wspólnie.; tworząc minjan, czyli dziesięcioosobową grupę w którymś z prywatnych domów, ale zaplanowano już budowę syna- j gogi. Potrzebny był również kirkut, bo dotychczas musiano |

przewozić nieboszczyków furmankami do Skaryszewa, gdzie H za pogrzeb liczono ogromne sumy.

Kalman Jakobi wzbogacił się szybko. Nie miał jeszcze czterdziestki, a już został człowiekiem bogatym. Nie zdobył większego wykształcenia, tyle że potrafił radzić sobie w łatwiejszych kwestiach Talmudu. Zyskał jednak poważanie za swoją pobożność, uczciwość i zmysł do interesów.

Był mężczyzną średniego wzrostu, o szerokich ramionach, prostej posturze; ręce mu stwardniały od pracy jak u chłopca. Brodę miał czarną niczym smoła, czoło wąskie, brwi krzaczaste nad szerokim nosem i gruby byczy kark. Jednakże jego ciemne oczy wyrażały uduchowanie i dobroć. Jak wszyscy nabożni Żydzi nosił długie pejsy, lecz strzygł się krótko. Na szyi, w uszach i nosie wyrastały mu kępki włosów. W dni świąt uroczystych jego dźwięczny głos przewodził kongregacji w czasie poobiednich modłów. W dni powszednie modlił się o brzasku. Na śniadanie spożywał chleb, śledzia i biały ser, popijając to dużym łykiem wody. , ...

Chociaż Kaima n stosował w interesach nowoczesne metody, nie godził się, aby nowe mody zbrukały jego ognisko domowe. Zabronił więc Zeldzie picia kawy i herbaty, a wieczorami oświetlał swój pokój jedną łojową świecą lub knotem zanurzonym w podstawce z oliwą. Ubierał się jak inni kupcy żydowscy: nosił kapelusz o wysokiej główce i chałat do kostek. Spodnie przepasywał kawałkiem sznurka.

Zelda, pochodząca z zamożnej rodziny zamieszkałej w Kraśniku, pragnęła mieć mosiężne gałki u drzwi, rzeźbione drewniane łoża, wyplatane trzcina krzesła oraz inne oznaki dostatku. Podobały jej się bardzo pozawieszane na kuchennej ścianie miedziane rondle i misy. Kalman jednak twierdził, że takie luksusy,

stanowiące początkowo tylko ozdobę domu, wkrótce stałyby się niezbędne. A jeśli kiedyś się zdarzy, że nie będzie ich na to stać, długi zaczną rosnać i skończy się bankructwem.

Kobiety z Jampola i okolicy zazdrościły Zeldzie, ale ona nie czuła się zadowolona. Jej ojciec, reb Uri-Josef, był pisarzem gminy i cała rodzina słynęła z uczonych mężów. Jej mężowi – choć tak bogatemu – brakowało obycia. Siła fizyczna wpływała na niezgrabność ruchów, nie miał pojęcia, jak się obchodzić z kobietą tak delikatną jak ona. Skąpił na porady lekarskie. Nie wierzył, że nie zawsze może sprostać jego cielesnym wymaganiom. W pierwszych latach po ślubie często wybuchały kłótnie i [^]napomykano- nawet o rozwodzie. Kalman jednak nie należał do mężczyzn łatwo rezygnujących z żony.

Ciężko mu było wychowywać dzieci z wiecznie cierpią-^{*} cą Zeldą, lecz chwala niebiosom,, najgorsze minęło. Teraz miała już pomoc.

Wszystkie córki pomagały w prowadzeniu gospodarstwa domowego, zwłaszcza najstarsza, Jochewed, będąca już w wieku odpowiednim do zamęścia. Zelda miała też służącą Fajgele i Geca, “człowieka do wszystkiego[^]? Teraz w letnie dni mogła zasiać w fotelu, na trawniku, gdzie przynoszono jej stołeczek pod nogi, i czytać jakąś świętą księgę przełożoną na język żydowski.

Zelda była chuda, miała spiczastą brodę, zaczerwieniony wydatny nos i torby pod kaprawymi łzawiącymi oczami. Zwiędła przedwcześnie. Podczas czytania jej czepiec trząsł się wraz z głową. Musiała cały czas odpędzać pszczoły, któ-⁻, re brały sztuczne kwiaty zdobiące czepiec za prawdziwe. Chociaż odczuwała wdzięczność dla Boga za Jego łaski, nie mogła się

przyzwyczać do wysiadywania pod gołym niebem w polu na pustkowiu. Nie było w tutejszej bóżnicy} pomieszczenia wydzielonego dla modlących się kobiet, nie było też jatki ani ganków, gdzie spotykałyby się zaprzyjaźnione sąsiadki. Przeptywający strumyk szemrał, szu* miały drzewa, dochodziło porykiwanie krów; pastuchy piekli kartofle w ogniskach i śpiewali nieprzystojne piosenki.

Zelda rozmyślała o córkach; powinny obcować z rówieśnicami. Nadchodzi już pora pomyśleć o wydaniu ich za mąż. Chciała widzieć u siebie w domu zięciów czytających Torą. Pragnęła mieć wnuczęta. Własne dzieci rodziły się w bólach, ale wnuki to czysty zysk. Z Bożą pomocą zostanie kiedyś teściową i babką.

Majątek przylegający do dóbr Kalmana należał do szlachcica Jana Pawłowskiego. Przed zniesieniem pańszczyzny miał on w swych włościach trzysta dusz. Był wdowcem mieszkającym samotnie. Przesiadywał w swoim pokoju przy zamkniętych okiennicach i z karafki stojącej na stole pociągał przez słomkę wódkę. Jedyne jego zajęcie – to nie kończące się pasjanse.

W młodości Pawłowski uwikłał się w szereg procesów i wszystkie przegrał. Poślubił słynną piękność, która zmarła młodo na suchoty. Po zniesieniu pańszczyzny zostało mu zaledwie pięćdziesiąt akrów ziemi ornej, kawał lasu i wzgórze bogate rzekomo w złoża wapnia. Pawłowski posłał Króla, swego rządcę, do Kalmana z propozycją sprzedaży tego wzgórza. Kalman odpowiedział, że nie widzi pożytku z takiego zakupu. Cóż bowiem on, zwykły dzierżawca, miałby robić z garbem ziemi wciśniętym między dwa cudze majątki? Ale Pawłowski, zadłużony i bardzo potrzebujący pieniędzy, nalegał. Po długich targach Kalman kupił wzgórze za niewielką sumę. -

Okazało się, że natknął się na skarb, bo całe wzgórze zawierało kamień wapienny najwyższej jakości. Kalman najął robotników i fachowca, aby kierował wydobyciem wapnia. Zbudowano piec i zaczęto kopać i wypalać wapien, po czym otrzymane wapno wywożono do Jampola, Piec buchał ogniem dzień i noc. Dym z komina unoszący się spiralą miał kolor żółty jak siarka, czasami zabarwiał się czerwienią od strzelających w górę płomieni i przypominał Kalmanowi Sodomę i Gomorę. Żydzi wierzyli, że jeśli ogień utrzyma się przez siedem lat, to zrodzi salamandrę.

Wieśniacy utyskiwali, że Żyd skaził polską wieś i zanieczyszcza powietrze, lecz władze nie zwracały na to uwagi. Po powstaniu odżyła w Polsce aktywność, kraj jakby się zbudził- z długiego snu. Zakładano warsztaty, uruchamiano kopalnie, wycinano lasy i budowano drogi żelazne. Na rynku światowym pojawiły się polskie produkty: tekstylia, wyroby skórzane, szczotki, sita, kożuchy i naczynia ze szkła.

Z chwilą gdy Żydom przyznano prawo do swobodnego[^] osiedlania się w miastach, kraj zaczął się rozwijać.

Powiadano, że Kalmana pobłogosławił święty człowiek.) Wraz z rozkwitem budownictwa jego kopalnia wapnia przynosiła ogromne dochody. Dziesiątki Żydów i chrześci[^] jan zarabiała w niej na utrzymanie. Kalman kupił konie i furgony, wybudował też kuźnię. Jakby nie dość tego, rząd rosyjski podjął decyzję budowy linii kolejowej przechó-[^] dzącej przez Jampol. Zawarto kontrakt z magnatem warszawskim Wallenbergiem, który był przechrztą. Ponieważ ! stalowe szyny wymagały drewnianych podkładów, Kalman zlecił jednemu ze swych kancelistów napisanie listu do Wallenberga, w którym proponował dostawę podkładów za cenę niższą

od innych oferentów. Wallenberg wezwał Kalmana do Warszawy celem omówienia sprawy.

Rankiem w dniu wyjazdu Kalman wyszczotkował brodę, nałożył świąteczny chałat, wyglansował buty, po czym., wsiadł do karety. Gec gotów dó drogi czekał na koźle. Kalman wychylił się przez okienko pojazdu, aby pożegnać Zeł- dę i cztery córki.

– Niech cię Bóg prowadzi – zawołała Zełda i zalała się łzami.

Nadmiar powodzenia zaczął przyprawiać ją o niepokój. Bała się złego uroku, a ze świętych ksiąg, które przeczytała, wynikało, że bogactwo może być zapowiedzią nieszczęścia. Wolałaby mieszkać w przytułku dla ubogich niż doczekać tego, żeby którejś z córek stała się najmniejsza krzywda, chociażby taka jak złamanie paznokcia.

Służąca Fajgełe wybiegła z upieczonym kurczakiem zawiniętym w kapuściane liście i podała go Gecowi, który siedział na koźle w skórzanej czapce z daszkiem i w długich butach. Miał rzadką, żółtą brodę krótko przystrzyżoną, a nad górną wargą sypał mu się wąsik. Oczy miał wodniste, brwi brązowe, a nos w kształcie baraniego rogu. Zamachał poufale biczem do służącej.

– Tylko grzeczniej! – ofuknęła go Fajgełe.

Najstarsza córka Kalmana, Jochewed, o włosach blond jak u matki, o takiej samej wąskiej twarzy pokrytej piegami aż po szyję, ostrej brodzie i wydatnym nosie, mimo osiemnastu lat jeszcze nie była zaręczona. Kalman, pochłonięty interesami, zaniedbał wyszukanie "dla niej męża. Tę właśnie sprawę zamierzał również załatwić teraz w Warszawie. Siostry przezwały ją "młoda stara panna". Niełatwo przychodziło Jochewed uważać się za córkę bogacza. W dalszym ciągu nie dbała o ubiór, ciężko pracowała i opiekowała się siostrami. Wieczorami

w dni powszednie pomagała Fajgele“skubać drób. W szabas w godzinach popołudniowych, po zjedzeniu czuleniu na obiad, czytywała u boku matki żydowską wersję Pięcioksiągu. Wróżka przepowiedziała kiedyś Jochewed śmierć w młodym wieku, o czym dziewczyna nigdy nie mogła zapomnieć. Teraz, odstępując razem z matką od karety, ona też zawołała: –i Niech Bóg prowadzi! – i otarła łzę fartuchem.

Młodsza od niej o rok Szajndł, “Cyganeczka”, stanęła na stopniu karety, aby uściskać i ucałować ojca. Miała błyszczące czarne oczy, włosy czarne jak dżety i smagłą cerę. Niższa od siostry, o szerokich biodrach i pełnych piersiach, lubiła błyskotki, kolczyki, bransoletki i kwiaty wplecione we włosy. Teraz, przy wzrastającej zamożności ojca, Szajndł zrobiła spis rzeczy, które chciała, aby przywiózł jej z Warszawy: naszyjnik, pantofelki ze sprzączkami, wstążki do włosów, kanwę i nici do haftowania, pachnące mydło. Kalman przyrzekł przywieźć wszystko, o co prosiła. Radość bijąca od Szajndł rozjaśniała mu życie. Córka przymilała się do niego jak do ulubionego wujaszka, a nie ojca. Od-czytawszy cały spis dodała, mrugając do niego:

– A proszę, nie zapomnij, tato, o przystojnym narze-
czonym!

Mittam-Liba, choć miała piętnaście lat, była o pół głowy wyższa od Jochewed. Nie wyglądała na Żydówkę ze swymi jasnymi warkoczami, szczupłą figurą, błękitnymi oczami, smukłą szyją i prostym noskiem. Zachowywała się jak młoda, bogata panna, co przychodziło jej z łatwością. Pragnęła nosić modne stroje, czytać polskie książki, a nawet miała już nauczyciela z Jampola, udzielającego jej lekcji. Wolała mały pokój na górze dla siebie samej niż wspólną

z siostrami sypialnię. Podeszła do ojca, podała spis polskich książek, prosząc o przywiezienie ich z Warszawy, i pocało* wała go w czoło. Przybrała minę osoby nieobecnej myślami i zadumanej, bo akurat zaczytywała się polską powieścią o hrabinie, która porzuciła zamek i uciekła ze skrzyptkiem do Paryża.

Cypełe, najmłodsza, miała lat osiem i krótkie warkoczy*' ki, była śniada i ciemnowłosa jak Szajndł. Pewna pobożna niewiasta przychodziła regularnie z Jampola, aby uczyć ją modlitwy i kaligrafii. Cypełe miała tkliwe serduszko i nie potrafiła odmówić wsparcia żebrakom, toteż jak tylko jakiś żebrak zjawiał się w domu, oddawała mu wszystkie odłożone grosiki. Wszyscy ją całowali— ojciec, matka, siostry, a nawet wieśniaczki. Cypełe poprosiła ojca o kupno w Warszawie lalki i maleńkiej książeczki do nabożeństwa, takiej, jaką widziała w zaprzyjaźnionym domu w Jampolu.

W drodze do Warszawy Kalman po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest nie byle kim. Właściciele zajazdów nadskakowali mu, kupcy ciągnęli jego śladem. Chłopi, których nigdy przedtem nie widział, nazywali go "dziedzicem" i zdejmowali przed nim czapki. Nawet psy zdawały się czuć dla niego respekt. Było to zgodne z Przypowieściami Salomona: "Gdy drogi człowieka są miłe dla Jahwe, pojedna z nim nawet i wrogów".

Warszawa tak się zmieniła, że Kalman, który nie był tam od czasu powstania, z trudem orientował się w mieście. Na ulicach niegdyś niedostępnych dla Żydów, obecnie mieszkało ich wielu. Miasto się rozrosło, budynków przy* było, a w sklepach tłoczyli się ludzie. Podwórze zajazdu, w którym stanął Kalman, tak było zapchane furgonami, że Gec z trudem znalazł miejsce dla koni. Wszędzie zamieniano drewniane chodniki na płyty kamienne, pogłębiano rynsztoki i ustawiano nowe

latarnie. Po drugiej stronie Wisły, na przedmieściu Praga, niebo zasnuwały skłębione dymy z fabrycznych kominów.

Kalman udał się do biura Wallenberga. Wallenberg był niskim i tęgim mężczyzną o ogromnej głowie, rozszerzających się ku dołowi bokobrodach, zakrzywionym nosie i ciemnych żydowskich oczach. Miał na sobie czarny surdut, spodnie w kratkę, wysoki kołnierzyk i szeroki fular. Kalman przedłożył swoje dokumenty stwierdzające, że jest dzierżawcą majątku i właścicielem kopalni wapnia; przedstawił ponadto list z jampolskiego magistratu zapewniający o jego uczciwości. Kalman, który mówił po polsku w gwarze ludowej, często przechodził na język żydowski. Zrobił dobre wrażenie na Wallenbergu, podobnie jak kiedyś na rosyjskim księciu. Został poczęstowany cygarem i po szczegółowym omówieniu sprawy zawarł kontrakt na dostawę podkładów dla kolei cesarskiej oraz otrzymał pokaźną zaliczkę. Przy pożegnaniu Wallenberg uścisnął mu rękę i życzył powodzenia – po żydowsku.

Na ulicy tłumy żebraków obiegły Kalmana – głuchoniemi, kaleki, garbusy. Rozdał jałmużnę i wysłuchał dziękczynień. W koszernej restauracji zjadł z Gecem miejski posiłek: zupę z makaronem, klopsiki w sosie jabłecznym, koniak z biszkoptem. Po obiedzie, ponieważ się spieszył, a nie znał miasta, wziął dorożkę, która potoczyła się z turkotem po bruku wśród tłumy przechodniów, tak leniwie ustępujących z» drogi, że nie wiadomo, jakim cudem unikali przejechania. Na ulicach pełno było tragarzy dźwigających towary różnego rodzaju; handlarki rozsiadły się wzdłuż chodników z rozłożonym przed sobą towarem. Studenci spacerowali z

eleganckimi, młodymi pannami. Policja konna uzbrojona w piki patrolowała ulice, baczna na każdą oznakę rebelii.

Reb Jecheskiel Wiener, przewidziany przez Kalmana jako teść dla córki Joęhewed, był wyznawcą chasydzkiego ra- biego z Marszynowa. Mieszkał na ulicy Miodowej w pięknym domu. Kalman zobaczywszy na drzwiach mosiężną tabliczkę z/jego nazwiskiem, poczuł się stropiony. Pokojówka otworzyła mu drzwi, rzuciła nań wzgardliwe spojrzenie i kazała wytrzeć buty o wycieraczkę.

Oczekiwała go cała rodzina. Reb Jecheskiel Wiener, drobny, czerwonołocy mężczyzna z szeroką srebrzystą brodą, przedstawił żonę, kobietę w przymocowanej grzebieniami peruce. Rozpływała się w uśmiechach, a jej wytworne

I- Dwór

I?

I słownictwo żydowskie było dla Kalmana niezrozumiałą Swatka, również tam obecna, popijała herbatę i od niech*^ cenią chrupała ciasteczka. Przyszły narzeczony, Mejer-Joel, 1 młodzieniec wysokiego wzrostu, o ciemnej cerze, nosił 1 buty ze skóry koźlecej, sukieny chałat i jedwabną mizelkę, na której dyndała dewizka od zegarka. Uśmiechał się przebiegle, kręcił pejsy i rzucał dowcipne uwagi. Wyjąwszy z szuflady arkusz papieru, podpisał się na nim 1 po hebrajsku, polsku i rosyjsku.

– Można go przeegzaminować, żeby się przekonać, jak wiele umie – odezwał się reb Jecheskiel.

– Nie jestem uczony. '^^B

– To weźmy egzaminatora i przekonajmy się, jak dalece jest zaawansowany w naukach talmudycznych. .

-..T;

Ale Kalman nie chciał tracić czasu na dalsze rozmowy; Wskutek jego nalegań zawarto wstępną umowę,

zobowiązującą go do wniesienia w posagu trzech tysięcy rubli, wszystkich prezentów ślubnych, a ponadto do utrzymywania młodej pary przez pierwszych dziesięć lat małżeństwa. Ceremonia formalnych zaślubin miała się odbyć w Jam- polu. Mejer-Joel dał Kalmanowi list do .swej przyszłej żony, który dosłownie przepisał z książki zawierającej wzorce listów okolicznościowych.

O świcie następnego dnia Kalman odprawił modlitwy[^] i wyruszył do domu. Przygnębiało go miasto ze swym ustawicznym hałasem. W tym chaosie i próżnej gadaninie, wśród budowli wznoszących się tak wysoko ku górze, człowiek łatwo może zapomnieć o Bogu, a Bóg o człowieku. Gec smagnął konie biczem. Kiedy już wyjechali z miasta, • Kalman usadowił się wygodnie na siedzeniu i począł rozmyślać. Jego bogactwa rosły, a przedsięwzięcia mnożyły się, niech Bóg chroni przed urokiem. Czy zasłużył na to wszystko? A może te nagrody na ziemi trzeba będzie potem okupić potępieniem? Kalman ślubował, że nigdy nie stanie się takim człowiekiem jak warszawscy bogacze, których rozsadza własna ważność; pozostanie pokornym, skromnym Żydem.

Wieść o kontrakcie Kalmana jeszcze przed jego powro-
tem dotarła, do Jampola. Jak tylko dojechał na miejsce, otoczyli go handlarze drzewem, pośrednicy i ludzie poszukujący pracy. Zaprzyjaźnieni kupcy radzili, aby zatrudnił księgowego i kasjera, bo nie będzie mógł, trzymać pieniędzy ani w kieszeni, ani w skrzyni. Prowadził obecnie interesy handlowe sięgające milionów rubli.

Podczas pobytu Kalmana w Warszawie handlarze wapnem doradzali mu budowę bocznicę celem

połączenia kopalni z koleją. Będzie to oczywiście kosztowało fortunę, lecz banki nie odmówią kredytu.

Kalman zamknął się na tyłach sklepu, wyjął ołówek i zaczął wypisywać kolumny liczb. Nie był biegły w matematyce, ale potrafił dodawać, Odejmować, mnożyć i dzielić. I nigdy nie zapomniawsł dawnego porzekadła: "Kto żyje bez rachunku, umiera bez łaski".

ROZDZIAŁ DRUGI

I
U

Kalman przekonał się niebawem, że bogatemu człowiekowi równie trudno być oszczędnym, jak ubogiemu rozrzutnym. Należało przemeblować dom przed odwiedzinami przyszłych teściów i zięcia, bo nie można wymagać od'lu- 'dzi tak wytwornych, aby siedzieli na drewnianych ławacji i jedli cynowymi łyżkami. Z zapalem, który go zdumiewało, Zełda i córki rozpoczęły przemeblowywanie domu,' Zełda zakupiła szafy na ubrania, stoły, kredensy, krzesła, łóżka, ozdobne wazony i TÓżne drobiazgi od hrabiny Jam* polskiej, gdyż we dworze wielu pokoiów obecnie nie używano.

Rzemieślnik ze Skaryszewa wytapetował ściany,- a malarze pomalowali podłogi. Okazała się też potrzebna nowa odzież, więc krawcy i szwaczki szyli okrycia, suknie i bieliznę dla Zełdy i córek. Dla Kalmana zamówiono szubę podbitą futrem, z ogonkami zwisającymi z wewnętrznych szwów, a także kurty i spodnie. Sprowadzono z War*., szawy nowe buty.

Kalman nie miał wprost czasu na robienie rodzinie wymówek z powodu takiej rozrzutności, kładł się późno spać, a zrywał o świcie. Musiał doglądać żeńfców i młocki, dopilnować skoszenia w porę łąk, zgrabienia siana i ustawienia jak należy w stogi, aby wyschło, Trzeba było mieć baczenie na chłopów, bo niektórzy

kradli. Dochodziło do niezliczonych zatargów, sporów i spraw, sądowych. Kalman musiał dawać łapówki asesorowi sądowemu i miejscowemu naczelnikowi policji i obdarzać prezentami ich podwładnych. Rajono mu różnego rodzaju interesy: Żyd-rządca radził uruchomienie gorzelni i browaru, grunta jampolskie bowiem nadawały się specjalnie do uprawy chmielu; właściciel cukrowni doradzał uprawę buraków. Kupcy dostarczający wapna na budowy dopominali się większych jego ilości, niż pozwalała na to piec. Kalman jasno teraz pojął znaczenie słów Talmudu: "Im więcej bogactw, tym więcej trosk."

Jednak kontrakt już podpisano i za każdą cenę należało go dotrzymać. Kolej domagała się drewnianych podkładów. W celu ich produkcji Kalman nabył pobliskie tereny leśne i przystąpił do wyrębu, który posuwał się powoli, bo drwale tego pijące bractwo – stale porzucali pracę dla hulanki i trzeba ich było przywozić z powrotem spieszno jak beły. Co więcej, strażnicy nie dawali sobie rady i duże ilości budulca ulatniały się nie wiadomo gdzie. Kalman, broniąc swego dobytku, musiał się dwoić i troić. Kazał postawić w środku lasu chatę, zabrał do niej dwa psy i strzelbę dla obrony, chociaż nienawidził broni palnej. Człowiek, sam jeden w lesie nie miał innego wyboru. Od czasu powstania, bandy zbrojne włóczyły się po okolicach. Ze względu na duże odległości zaczął również jeździć konno, a że długi chałat okazał się niewygodny, zastąpił go krótkim kubrakiem. Musiał nająć służącą do prowadzenia gospodarstwa w leśnym domostwie: przyjął gojkę, Antosię, gdyż żadna Żydówka nie odważyłaby się przebywać sama w leśnej głuszy.

Stuk toporów i zgrzyt pił roznosiły się głośnym echem po lesie. Gotowe podkłady przewożono wozami i

ustawiano w przyzmy wzdłuż szlaku przyszłej kolei. Odrzucone kłocę i odpady drzewne zabierano na opał do wypalania wapna. Tam gdzie się to dało zrobić, nacinano korę sosen i ściągnano żywicę do wyrobu terpentyny. Kalman wracał wieczorem tak wyczerpany, że padał na nie heblowaną pryczę w ubraniu, aż przychodziła Antosia i ściągała mu buty. Kilka razy nie odmówił modlitwy 8 zmierzchu, ale odrobił to zaniedbanie powtarzając Osiemnaście błogosławieństw podczas modłów wieczornych, zarzuciwszy uprzednio okrycie na strzelbę, aby nie wymawiać świętych słów spoglądając na broń. Stawał w kącie zwrócony twarzą na wschód, ku Jerozolimie, z czołem opartym o deskę i modlił się z przejęciem, tłumacząc sobie nieświadomie słowa hebrajskie na żydowskie:

"Spraw, byśmy spoczęli w spokoju, o Boże nasz i Panife-1 i daj nam zbudzić się do życia, rozciągnij nad nami namiot Twego pokoju. Odgrodz nas od szatana, przed i za nami, i ukryj nas w cieniu Twoich skrzydeł."

Podczas gdy Kalman mruzczał modlitwy i wzdychały Antosia szykowała wieczerzę, gotowała wodę i mleko, kluski, kaszę jaglaną lub kartofle, zależnie od polecenia na dany dzień. Kalman w dni powszednie nie jadał mięsa. Musiał bacznie pilnować Antosi i doglądać nawet udoju, bo czyż można zawierzyć gojce ufając, że będzie przestrzegała zaleceń koszeru? Niełatwo było zaspokoić jego wilczy apetyt pobudzony pobytem w lesie. Po ujnyciu rąk i odmówieniu stosownego błogosławieństwa zasiadał do stołu, jadł powoli obfite porcje i wypijał pełę/i po brzegi garnek mle-i ka, który stawiała przed nim Antosia. Przez maleńkie okienko dolatywało cykanie pasikoników i odgłosy ptaków moszczących się do snu. Komary, motyle i ćmy krążyły nad jedyną zapaloną

świecą, rzucając tajemnicze cienie i opalając sobie skrzydełka w jej płomyku.

Antosia krążyła w pobliżu, podawała solniczkę albo następną pajdę chleba, ser lub miód. Pochodziła z poblis- | kiej wioski, jej mąż zaginął podczas służby w wojsku. Cho- : ciąż nie przekroczyła jeszcze trzydziestki, wyglądała nie- , omal na czterdziestoletnią kobietę; miała zadarty nos, zie^ | lone oczy, krótką brodę, piegi i jasnopopielate włosy. Nie | było nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, opowiedziała ^ więc Kalmanowi całe swe minione życie: jak jej biedny ^ kochany ojciec umarł na suchoty i jak jej dobra, łagodna ■ matka wprowadziła do domu ojczyma, jak ten ojczym każ- | dego wieczoru bił ją mokrą różgą, którą sama musiała • j, w tym celu moczyć w pomyjach. Siedząc na podłodze l w pobliżu Kalmana i szorując popiołem garnek, opowia- 1 dała swoje dzieje zawodzącym, monotonnym głosem.

– Bił bez litości, oj, bił. Całowałam mu nogi, a on nie przestawał mnie chłostać, jakbym tyle czuła, co głowa kapusty. Taki już był, jak zaczął smagać batem, nie mógł się pohamować. Kiedy moja matusia próbowała ,go powstrzymać, i jej się dostawało. Bydlak nie miał litości!

– Zwykły zbój jgg mruczał Kalman między jednym kęsem a drugim.

Ale potrafił też być słodki jak anioł. Kiedy go złe licho Odeszło, taki był czuły jak rodzony ojciec. Wołał mnie do stołu, uszczypnął w policzek i karmił z własnego talerza. Wtedy potrafił uśmiechać się tak czule. Zapominałam wszystkie otrzymane cięgi, kiedy się do mnie uśmiechnął.

– Czy żyje jeszcze?

– Nie, już umarł.

– Tak to się wszystko kończy – mruknął Kalman sam do siebie.

Daremne jest przeciwstawianie się Bogu; a jaki pożytek z ziemskich bogactw? Co głosi Ścięta Księga? Pieniądz stanowi pokusę i karę. Kalman wstawał od stołu, mył się, odmawiał modlitwę dziękczynną i nie robiąc przerwy, zaczynał odprawiać modły wieczorne. Antosia potrząsając wypchanym słomą siennikiem, aby go wyrównać, znajdowała zawsze w słomie kilką ziarenek pszenicy, które wkładała do ust i żuła. W jakimś stopniu przypominała czasem zwierzaka. Co wieczór, krążąc wokół Kalmana i pokazując zęby w ustawicznym uśmiechu, wynajdywała różne zajęcia, aby dłużej pozostać w domu, chociaż łóżko miała w stajni. Każdego wieczoru Kalman musiał znosić kuszenie Józefa przez żonę Putyfara. Nie miał zamiaru narażać się na potępienie. Czyż Bóg nie pobłogosławił go udanymi córkami i bogactwem? To prawda, że nie mógł zbliżyć się do Zeldy w ciągu całych miesięcy po każdym porodzie, że napychała się medykamentami, że bardzo wczesnie weszła w okres przejściowy i już od dawna stała się oziębła seksualnie. Gdzie jednak jest napisane, że wszystko się musi człowiekowi dobrze układać? Mężczyźni pobożniejsi od niego jeszcze gorzej trafiali. Kalman postanowił nie angażować się w żadne nowe interesy. Majątek i kopalnia to aż nadto dla niego, wystarczy też na utrzymanie dla wszystkich; 'a dzieci po jego śmierci. Las nadawał się dla wilków, nie dla ludzi.

Niebawem myśli zaczynały mu się rwać, powieki ciążyły i opadały. Dawały się słyszeć pojedyncze odgłosy chrapania. Świadomość wracała, gdy budziło go słońce i świergot[^] ptaków.

Nie tylko Kalmanowi, lecz i całej gminie żydowskiej do-
ś brze się powodziło w Jampolu. Gdy Żydzi wynieśli się J
z Piasków, wprowadzili się tam chrześcijanie. Gmina za- i
kupiła w Jampolu grunt pod synagogę, położyła funda- l
menty. Zakupiła też teren pod cmentarz i sprowadziła
ra-vfj bina, a Kalman szczerze zasilał fundusz na
pokrycie wszy-| stkich wydatków.

Chociaż Kalman poprzysiągł, że nie będzie się
angażować \ w żadne nowe interesy handlowe,
zdecydował się jednak 1 uruchomić na wpół zrujnowaną
cegielnię położoną na pe- ' ryferiach Jampola. Jej
właściciel uciekł do Krakowa, aby | uniknąć spłacania
długów swych synów, co doprowadziłoby | go do ruiny.
_Finanse Kalmana stały doskonałe, miał re- ;; zerwę
gotówki, mógł zatem zaciągnąć pożyczkę, na niski 9
procent, nabywając zaś cegielnię był w stanie dostarczać
j nie tylko budulca i wapna, lecz także cegły na nowe bu- |
dowy dla gminy.

Tego roku Kalman wraz z rodziną spędził dni wielkich l
świąt Rosz Haszana i Jom Kipur w Jampolu. Po
nabożeń-1| stwie na Symchat Tora ruszyła procesja ze
zwojami perga- w minów, a potem Kalman zaprosił
wiernych do swej gos- | pody. Podano obfite jadło,
otworzono beczkę piwa, beczuł- kę wina i baryłkę pitnego
miodu. Przybył nawet rabin, reb l Menachem-Mendel.

Pod koniec uczty Kalman zobowiązał się wybudować
dom ■ dla ubogich. Słyszając to czterech ochrypniętych,
podchmie- J lonych mężczyzn chwyciło go na ramiona i
poniosło try- |H

i 1

umfalnie na plac przeznaczony pod budowę synagogi, a
reszta biesiadników podążyła za nimi. Znalazłszy się na
placu, mężczyźni utworzyli krąg i rozpoczęli taniec, a
dzieciaki harcowały w środku koła. Kobiety stanęły po

bokach, klaszcząc i śmiejąc się wesoło. Członkinie Związku Pomocy Kobiet przy nowo założonym Bractwie Pogrzebowym przyniosły wydrążoną tykwę, ze świeczkami umieszczonymi wewnątrz,»i teraz je zapaliły. Próbowaly ustawić tykwę Kalmanowi na głowie jako koronę, ale on nie zgodził się na ten hołd. Zełda też protestowała tłumacząc, że to obyczaj pogański, przejęty od chłopów, wieńczących w ten sposób swych przodowników żniwnych. Szajndł wzięła tykwę i figlarnie ustawiła ją sobie na głowie. Grono młodych dziewcząt powiodło ją zaraz z całą paradą do żony rabina; drzwi otworzył im jej syn, Azriel, a Szajndł, podniecona wypitym kielichem wina, zawołała: – Jestem królową Jampola! – i pociągnęła go za pejs.

Nazajutrz zaczął padać deszcz i nie ustawał przez cztery dni. Fundamenty synagogi zamieniły się w bajoro, zalało domy. Potok zasilający młyn w Jampolu zatopił śluzy, tama puściła. Nadeszły tygodnie marznącego deszczu i śniegu.

Reb Jecheskiel Wiener, przyszyły teść Jochewed, przysłał list z Warszawy zawiadamiając, że i jemu, i jego rodzinie wiele trudu przysporzy dwukrotna jazda do Jampola, najpierw na zaręczyny, potem na ślub. Proponował więc wcześniejszy termin ślubu w Szabat Chanuka – na co Kalman przystał. Jochewed szło już na dziewiętnasty rok, co uważano za wiek staropanieństwa, a Szajndł jest tylko 0 rok od niej młodszą. Kalman przejął po swych przodkach zasadę, że im wcześniej córki powychodzą za mąż, tym lepiej.

Zełda przyspieszyła szykowanie wyprawy dla Jochewed. Kupiec warszawski dostarczył jedwabiu i aksamitu, wełny

1 koronek, ale miejscowe szwaczki narzekały, że trudno dopasować stroje do figury Jochewed. Chuda, o drobnych piersiach, wąska w biodrach, ręce miała szorstkie od roboty. Mimo że trzymano do pomocy służącą, Jochewed w dalszym ciągu zagniatała ciasto, nosiła wiadra wody, pjj chylała się nad balią, piekła chleb i uwijała się ze szczota kami i ścierką. Nie potrafiła wyrosnąć z okresu ubóstwa. I

Wesele stało się głośnym wydarzeniem, w Jampolu. Ro j dzina pana młodego przyjechała z Warszawy, w trzech krytych pojazdach. Mężczyźni mieli na sobie szuby podbite j;3 sami i popielicami. Przechadzali się paląc cygara i papierosy, nucąc chasydzkie melodie albo też prowadząc zawile dysputy teologiczne. Kobiety, poubierane barwnie, miały: atłasowe kapturki i modne peruki oraz opaski na głowach^ - płaszcze podbite futrem, peleryny i różnego rodzaju etole i mufki. Pachniały migdałami i piernikami, wnosiły atmosferę szerokiego świata i zbytku. Niewielki dom Kalfnańa nie mógł pomieścić wszystkich gości i trzeba było ustawić łóżka w stodole. Mejer-Joel, pan młody, nie odznaczający się powściągliwością, wkrótce po przyjeździe poszedł do obory obejrzeć bydło stojące w przegrodach. Potem wyruszył wraz z bratem na długą przechadzkę po polach obsia-? nych ozimą pszenicą. Po powrocie oświadczyli, że widzieli z dala umykającego jelenia.

Wśród grona przyjezdnych dziewcząt z Warszawy, poza siostrami pana młodego, były też siostry cioteczne i dalsze krewne. Wszystkie młode panny przybrały wyniosłą postawę wobec skromnych dziewcząt jampólskich. Zebrawszy się na uroczystość zaślubin, przechadzały się napuszone w wytwornych pantofelkach na niezmiernie wysokich obcasach, ubrane w fałdowane

suknie dopasowane w talii. Twarze miały wypielęgowane, najmodniejsze fryzury. Ciągłe chrupiąc ciasteczka i inne smakołyki, złośliwie podrwiwały z panny młodej i przedrzeźniały prowincjonalne panny. Kiedy rozpoczęły się tańce, ruszyły parami wykonując bardzo zawile pas taneczne i żądały od grajków specjalnych melodii. Jampolskie dziewczęta, bojąc się wystąpić z czymś mniej efektownym, przyglądały się zdumione. Szajndł, córka Kalmana, była wściekła na zuchwałę warszawskie kokietki. Świadoma, że potrafi lekko i dobrze tańczyć, poprosiła córkę rabina, Mirełe, do tańca. Dziewczyna zarumieniła się wstydliwie.

– Nie znam kroków.

– Nie szkodzi, chodź!

Oparłszy jedną rękę na ramieniu Mirełe, otoczyła drugim ramieniem jej kibić i zaczęły wirować, wybijając takt bucikami o podłogę.

– Dlaczego Azriel nie przyszedł? – spytała Szajndł. –
Bo ma podarty chałat.

– To dlaczego go nie zreperowałaś? Mirełe nie wiedziała, co odpowiedzieć.

; – Gdybym to ja miała brata, dbałabym o niego – powiedziała Szajndł. – Moja matka zdobyła się tylko na gromadkę dziewczyn – rzuciła wybuchając głośnym śmiechem.

Baldachim ślubny zainstalowano na zewnątrz, na zamrzniętym śniegu. Młodsze kobiety ustawiły się przed nim dwoma rzędami trzymając w rękach długie kręcone świece. Mroźne powietrze zastygło bez ruchu. Kalman i reb Jecheskiel wyszli z domu towarzysząc panu młodemu, który górował nad nimi wzrostem. Idąc szybko naprzód, rzucał ukradkiem spojrzenia na prawo i lewo. Zarost już mu się sypał na policzkach. Oczy miał mroczne, aksamitna jar- mułka sterczała zawiadiacko na

głowie. Pejsy nosił skręcone w ciasne grajczarki. Czuby długich butów z kozłej skóry połyskiwały spod płaszcza. Mimo że chasyd, był mocnej budowy jak Kozak, i dziewczęta szeptały między sobą, że mógłby z łatwością zatknąć sobie Jochewed za pas.

Następnie[^] matka i teściowa wyprowadziły Jochewed. Zelda poruszała się z trudem, miała spuchnięte nogi. Lekarze mówili, że oprócz innych dolegliwości cierpi na cukrzycę.

Pod baldachimem pan młody nadepnął na pantofel Jochewed, co miało znaczyć, że on będzie po ślubie panem, i rozbił kielich na szczęście.

, Podczas weselnego obiadu, gdy już zjedzono "złotą zupę", czyli rosół ze złotymi "okami" tłuszczu, Mejer-Joel dał krótki wykład z Talmudu, w ciągu uczyty zaś – nie pomijając bynajmniej żadnego dania ani napitku – mówił

H

3

z kolei o cudach przypisywanych chasydzkiemu; rabiemijj^{^^} z Marszynowa. Udało mu się nawet ubić na boku interes;/ Miejscowi goście przyznali, że Kalman trafił w dziesiątkę. • Ale czy to mogło kogoś dziwić? Pieniądz zapewni wszyscy ko, nawet dobre miejsce w raju!

ROZDZIAŁ TRZECI

\

I

W czasie budowy synagogi i chederu, w szopie służącej jako dom modlitwy, syn rabina Azriel co dzień uczył się Talmudu, recytując tekst i objaśnienia monotonnym głosem. Ojciec życzył sobie, aby syn, zgodnie z tradycją rodzinną, został rabinem, i już wtajemniczał go w bardziej skomplikowane zagadnienia prawa judajskiego. Azriel nosił kompletny ubiór

chasydzki: jarmułkę, chałat, pas, spodnie wsunięte w długie buty. Miał krzaczaste i krótkie pejsy. Prosty nos, niebieskie oczy, wąskie wargi i wydłużony podbródek nie wskazywały na typowego chasyda. Jasne jak len włosy przetykały złotawe pasma. Tylko wysokie czoło znamionowało żydowskiego intelektualistę.

Reb Menachema-Mendla już od dawna niepokoiło ekscentryczne zachowanie tego szczupłego chłopca, lubiącego sadowić się na dachach i wspinać po drabinach, rąbać drzewo, kopać rowy i często wyruszającego na długie włóczęgi po polach. Jako mały chłopiec nastawiał sidła na ptaki, wycinał fujarki z trzciny, naśladując pastuszków, i znosił, do domu nie tylko koty i psy, lecz także żaby oraz inne nieczyste gady.

Co gorsze, już od dawna zaczął zadawać pytania, które trąciły herezją. Czy żywy karp odczuwa ból, gdy się go oskrobuje z łuski i kraje na kawałki, aby zjeść w dzień szabasu? Dlaczego niektórzy ludzie są biedni, a inni bogaci? Co istniało przed początkiem wszechświata? Czy koza ma duszę? Czy Adam był Żydem? Czy Ewa nosiła czepek?

Ciągle też wynajdywał sprzeczności w Piśmie Świętym i wykazywał, że w jednym miejscu powiedziano, iż człowieka karze się tylko za jego własne grzechy, ale w innym – że jeszcze trzecie i czwarte pokolenie musi za nie pokutować; najpierw mówi się, że Pan Bóg jest niewidzialny, a dalej podaje, że starszyzna podczas wieczerzy ujrzała go Pana. Azriel krytykował również proroka Eliszę, za którego sprawą niedźwiedzie napadły na dzieci. Z uporem zarzucał królowi Dawidowi zabójstwo Uriasza Chetejczyka, płakał i bluźnił, kiedy czytał o Abrahamie i Hagar, jego konkubinie, która omal nie zginęła z pragnienia, wysłana na pustynię tylko z dzbankiem wody.

Reb Menachem-Mendel, potomek długiego szeregu mężów uczonych w Piśmie, nie potrafił zrozumieć, jak mógł spłodzić takiego odszczepieńca. Całą winę zrzucił na swą żonę Tirzę-Perł, której ojciec, reb Abraham Hamburg, gabe gminy żydowskiej w Turbinie, był zajadłym przeciwnikiem chasydyzmu. Kiedy tylko Azriel coś zbroił, reb Menachem-Mendel dogadywał żonie; "To ta twoja pogańska krew!"^

Azriel całkowicie skompromitował się w Turbinie, rodzinnym mieście teścia reb Menachema-Mendla, gdzie tenże Mendel otrzymał swe pierwsze stanowisko jako rabin. Nie potrafił dorównać innym chłopcom podczas nauki w chederze, przedrzeźniał nauczycieli, opowiadał niestworzone historie i bawił się z dziewczynkami. Częściowo z winy Azriela ojciec jego popadł w konflikt z kongregacją i musiał z niej odejść.

Po tym pobycie w Turbinie reb Menachem-Mendel przebywał parę lat w Lublinie jako pomocnik rabina. Chociaż Azriel stopniowo nabrał chęci do nauki, jednak i w Lublinie nie potrafił na dłużej pozostać w jednej jesziwie. Mógł na kilka dni zagłębić się w lekturze książek, ale nagle opanowywało go pragnienie wyrwania się na wolność, wędrowania po zajazdach i targach albo włóczenia się po Piaskach, złodziejskiej dzielnicy Lublina. Co więcej, czytał gorszące książki, sprawozdania z badań i eksperymentów naukowych, opisy cudów natury, przewodniki pó wielkich miastach i obcych krajach, reportaże z życia' wśród dzikusów. Wypowiadał niedorzeczne twierdzenia, że Ziemia obraca się wokół Słońca, a nie Słońce wokół Ziemi, że Księżyc jest zamieszkały przez istoty ludzkie, że kamienie zwane meteorami spadają z nieba. Pewnego dnia Azriel przyniósł do domu magnes, aby pokazać, jak przyciąga gwoździe; innym razem zapalił

świecę, przykrył ją odwróconym kubkiem i objaśnił, że płomień zgasł, bo zabrakło tlenu.

Matka jego, Tirza-Perł, chociaż niepokoiły ją wyskoki syna, zachwycała się jego wiedzą, ale reb Menachem-Men-del marszczył gniewnie brwi. Wiedział, jak podstępny drogami kroczy pokusa. Człowiek zaczyna od pytań, potem przyjmuje nowoczesny sposób ubierania się, za tym idzie utrata wiary, a nawet odszczepieństwo. W tym stanie rzeczy reb Menachem-Mendel skwapliwie przyjął funkcję rabina w Jampolu. Niepodobna, by w tak małym osiedlu mogły mieszkać jednostki postępowe. Niełatwo tam znaleźć takie wymysły jak szkła powiększające, kompasy, mapy. Z ulgą spostrzegł, że Azriel po przyjeździe do Jampola był jakby całkowicie pochłonięty naukami talmudycznymi. Reb Menachemowi zależało teraz na tym, aby go niezwłocznie ożenić, młody człowiek bowiem, kiedy już ma żonę, posag, teścia, który go utrzymuje, i własne dzieci, ustatkowuje się szybko.

– Jeszcze będziemy z niego dumni, jeśli Bóg pozwoli – odezwał się do Tirzy-Perł. – Jampol to nie jaskinia występku jak Lublin.

Azriel, zasiadłszy przy stole, już od kilku godzin był zatopiony w lekturze rozdziału omawiającego zakazane stosunki cielesne. Spojrzał teraz w górę i jego wzrok spoczął na kotarze z wyhaftowanymi czerwonymi orłami i niebieskimi jeleniami, na Świętej Arce ozdobionej tablicami Dziesięciu przykazań. Z obu boków tablic widniały dwa połączane lwy stojące z podniesionymi ogonami i wysuniętymi ozorami. W bibliotecznej szafie nagromadzone były księgi Talmudu, tomy komentarzy do Pisma. «Suńę- tego, księgi Kabały, kompendia prawnicze, traktaty o etyce i inne księgi treści religijnej. Tytuły na grzbietach nie-



raz mocno już się zatarły, lecz Azriel odróżniał je po_
oprawach. Przez okno widział niebo pokryte nisko. zaj
wiószonymi chmurami; padał gęsty śnieg. Jego
spojrzeni^ biegło w kierunku dworu Kalmana Jakobiego i
dalej przez- pola, lasy, wzgórza, jeszcze dalej do
Niemiec, Francji i Hiszpanii. Poza nimi znajdował się
ocean, przez który parowce płynęły do Ameryki. Po
drugiej stronie tamtego. Nowego Świata pst Ocean
Spokojny; 'w nim, według dawnych wierzeń, każdego
wieczoru zanurza się ogniste słońce. Jeszcze -dalej leży
Japonia, Chiny, Syberia i z powro- . tem jest się u siebie
w kraju!

Azriel wiedział, że Ziemia jest okrągła, półtora miliona
razy mniejsza od Słońca, a ono z kolei to tylko jedna z
milionów gwiazd. W Biblii jednak mówi się o Słońcu i
Księżycu jako o dwóch lampach, a o gwiazdach po prostu
jako o mniejszych światłach. Autor Pięcioksię^u najwy-
raźniej nie miał najmniejszego pojęcia o naukach przy-
rodniczych. W takim razie, na czym mógł opierać znajo-
mość innych spraw? Musimy więc przyjąć, że Biblia to
jedynie zbiór legend i opowieści. A jeśli tak, to po co
studiować księgi Pisma Świętego? Jak zatem doszło do
stworzenia świata? Czy powstał samorodnie? Jak mogły
atomy ułożyć się w określonym porządku dając lato,
zimę, dzień, noc, tworząc mężczyzn,, kobiety, myśli,
uczucia? Świeckie książki przeczytane w Lublinie, jeśli
nawet odśloniły Azrielowi wiele faktów, niczego mu nie
wyjaśniły. Co to jest magnetyzm albo elektryczność?
Według autorów zjawiska te zachodzą same przez się*
Wszechświatem rządzi przypadek. Czym więc jest
przypadek? Jak wygląda mechanizm jego działania?
Azriel ziewnął i wstał, z wolna podniósł jedną rękę, potem
drugą, rozluźniając mięśnie. Skąd on sam się wziął na

tym świecie? Albo jego myśli? Jak może komórka spermy, nie mająca ani woli, ani duszy, zamienić się w osobnika rodzaju ludzkiego obdarzonego umysłem, sercem, radością i smutkiem, marzeniem i uczuciem miłości? Cóż to za zagadka! Drzwi się otworzyły i na progu stanęła jego siostra

Mirele, w szalu na głowie, z zaśnieżonymi czubkami buczków. Coś złego musiało-się zdarzyć w domu, bo dziewczęta z reguły nie wchodzą do domu modlitwy dla mężczyzn.

– Co się stało? – zapytał.

– Wzywają ciebie do domu. Czeka twój przyszły teść

– Kto to?

– Reb Kalman Jakobi. Przyprowadził też

egzaminatora z Talmudu. Masz być zaręczony z Szajndł

Azriel poczuł przyspieszone bicie serca. Powoli zamykał księgę usiłując się uspokoić; postanowił nie okazywać zbytniego pośpiechu, ani zmartwienia, jeśli spotkanie do niczego nie doprowadzi. Było to dziwne, ale od czasu Symchat Tora, kiedy to Szajndł pociągnęła go za pejs, utkwiała mu w pamięci jej twarz i nawet w nocy mu się śniła. Małżeństwo musiało im być przeznaczone. Tak, oko boskie czuwa, a ręka boska prowadzi.

Nakładając okrycie uczynił taki ruch, jakby chciał przeprosić Świętą Arkę, że ją sprofanował swym zwątpieniem.

– Idź przodem – odezwał się do Mirele, gdyż uważano, że nie wypada, aby młody człowiek, kandydat do małżeństwa, przebywał w towarzystwie panny, nawet własnej siostry.

II

Zarówno Kalman Jakobi, jak i rabin z Jampola bardzo pragnęli, aby ich dzieci wstąpiły w związek małżeński,

toteż wyznaczili datę zaślubin w sobotę po świętach Sze-wuot. Tymczasem Kalman zaprosił przyszłych teściów do majątku na Rosz Haszana.

W okresie uroczystości zaręczynowych Azriel i Szajndl mogli wymienić tylko nieśmiałe spojrzenia. Teraz czuli się ze sobą swobodniej. Była to biesiada rodzinna. Przy męskim stole Mejer-Joel prosił Kalmana i Azriela, żeby pojechali z nim razem do chasydzkiego rabiego || Marszynowie. Rozmowa przeskakiwała z tematu na temat –*

I – Dwór
33

od świętych mężów do Mojżesza Montefiore, od fortuny Rothschildów do worków złota celowo pozostawionych pod opieką Żydów przez polskich szlachciców, którzy poszli[^] do lasów walczyć z Rosjanami.

Reb Menachem-Mendel opowiedział historię o złym duchu z Turbina. Któregoś wieczoru, gdy pewna dziewczyna; wyszła na dwór, by przynieść wiadro wody ze studni, zły duch wszedł w jej ciało. Odtąd mówiła niesamowity[^] męskim głosem. Była to błądząca dusza mężczyzny, zwyrodniałego talmudysty, który recytował ongiś r[^]odlitwy i fragmenty Tory w odwrotnym kierunku. Zwykł też być wyklócać się z mędrkami na temat pewnych zawiłych kwestii prawa judajskiego. Opętana dziewczyna, dawniej słaba fizycznie, - teraz mogła podnieść głaz, którego trzech silnych mężczyzn wspólnym wysiłkiem nie dałoby rady ruszyć z miejsca. Żonglowała nim jak kamyczkiem.

Przypomniało to Kalmanowi wioskę rodzinną, gdzie przed sąd rabinacki wezwano kiedyś nieboszczyka. Nieboszczyk ten miał zwyczaj straszenia i dręczenia swego dawnego współnika. Szames poszedł na kirkut, aby ~we-. zwać ducha i uderzył trzy razy o jego, nagrobek laską rabina cadyka. W izbie rozpraw oddzielono jeden

kąt sali prześcieradłem, przeznaczając go dla nieboszczyka. Sędzio«.; wie orzekli, że wspólnik nieboszczyka ma zapłacić odszkodowanie w wysokości kilkuset rubli spadkobiercom zmar-, łego, i duch przestał straszyć.

I H

Mejer-Joel, skubiąc jedną ręką za ledwie wysypującą się bródkę, a drugą bębniąc po stole, zawołał: 1

– A co by na to powiedzieli sceptycy? ' 7

– Powiedzieliby, że, to nonsens! – oznajmił Azriel, H dziwiąc się sam sobie.

– Przecież ludzie widzieli to na własne oczy!

– Co widzieli? Prześcieradło? " ^ i l s j ^ ^ |

ijl Dusza jest niewidzialna... ' ħ z ' ^ ^ m H B m

ijH Nauka zajmuje się tylko rzeczami widzialnymi, czymś, .

co daje się zważyć i zmierzyć – powiedział Azriel, czując się tak, jakby i jego coś opętało.

Reb Menachem-Mendel pobladł i chwycił się za

B

brodę. Mejer-Joel rzucił teściowi drwiące spojrzenie.

Kalman spuścił głowę.

– Czy nie wierzysz w złe duchy? – spytał Kalman.

– Nie można się godzić z głupimi wierzeniami.

– A w Boga wierzysz? ,

– Oczywiście.

– No, to już jest coś. Przynajmniej wierzysz w Boga – powiedział Kalman.

Szajndł zatrwożyła' się. Właśnie z młodszą siostrą Miriam-Libą podawała orzeźwiające napoje i bakalie, takie jak figi, daktyle, rodzyнки, migdały, ciasta, różne słodocze, oraz miód pitny. Włosy upięła w kok, miała na sobie nową suknię i nałożyła złoty naszyjnik, dar zaręczynowy matki Azriela; stanęła z tacą w rękach w pobliżu stołu i słuchała zachwycona, że jej narzeczony

ma takie postępowe poglądy i dość odwagi do ich wygłaszania. Siedział poblady, usta mu drżały, uszy paliły. Utkwił w niej swe niebieskie oczy. Nakłonienie Kalmana, żeby za pośrednictwem swatki dowiedział się o zamiarach Azriela, było wyłącznie dziełem Szajndł. Każdego wieczoru, leżąc już w łóżku, dziwiła się, jak mogła się zadurzyć w tym młodzieńcu, którego prawie nie znała. Ukradkiem wyjmowała z szuflady ojca dokument zaręczynowy i wpatrywała się w podpis: Azriel Babad. Nie zdołała go zakrętasz jak w podpisie Mejer-Joela, było to pismo proste i surowe. Jego podpis zda się obejmował jej własny. W tym zaręczynowym dokumencie z ozdobnym obramowaniem, z wytłoczonymi złotymi literami napisem *Mazeł tow* i tekstem hebrajskim niezrozumiałym dla Szajndł, wydawali się już złączeni jak mąż i żona. A teraz, gdy Mejer-Joel umiłował skonfundować Azriela, Szajndł z tacą w ręku rzuciła się do przodu.

– No postaw ją, nie wstydz się – powiedział Kalman.

Szajndł jednak rozmyślnie powoli zastawiała stół talerzykami, filiżankami i spodeczkami podawanymi przez Miriam-Libę. Niech ochłoną wzburzone umysły! Chociaż już wszystko znajdowało się na stole, dziewczęta nadal kręciły się w pobliżu.

– Nie wierzysz więc w wędrówkę dusz? – zapytał Mejer-Joel.

– Nie ma o tym wzmianki ani w Biblii, ani w Talmudzie – odpowiedział Azriel.

– Czy w tej kwestii wystarcza ci autorytet świętego Ari?

– Majmonides się nie zgadzał.

– To okrzyk wojenny maskilów, mowa liberała!

Reb Menachem puścił rudą brodę.

– To w gruncie rzeczy dobry chłopiec, ale lubi [j] trochę popisywać i mieć odmienne zdanie; idzie w ślady mego

teścia, reb Abrahama Hamburga. Jeszcze nie wykazuje pełnej dojrzałości.

– Małżeństwo go zmieni za łaską Bożą – wtrącił pojednawczo Kalman.

– Dbam tylko o prawdę – upierał się Azriel..

– Jest to niezbita prawda, że istnieje wędrówka dusz. Świat jest ich'pełen – potwierdził reb Menachem-Mendel ochrypłym głosem. – W Izbicy zachorowało sześcioro[^] sięczne niemowlę, Boże zachowaj, a gdy umarło, zawołało, głosem, od którego ściany zadrżały: "Słuchaj, o Izraelu, Bóg nasz Pan!" Lekarz, niewierzący rozpustnik, odbył pokutę po usłyszeniu tego wołania. Porzucił praktykę lekarską i zamieszkał ze świętym starcem. Z czasem sam stał się świętym!

Reb Menachem-Mendel przerwał. Głos uwiązał mu w gar-; dle. Prawa ręka aż go swędziała; z wielkim trudem się hamował, aby nie uderzyć Azriela. Ten głupi młodzik nie dość, że się wyśmiewa z Pana i jego dzieł, ale rozbija i związek małżeński! Kalman odwoła zaręczyny. Reb Menachem-Mendel już widział, jak rozwścieczony tłum wypędza go z Jampola. Przywołując na pamięć ustęp: "Sam sprowadzisz na siebie własną zgubę i ruinę", otarł czoło mycką i zaczął się nią wachlować. Nawet pejsy miał wilgotne. Nagle Kalman dostrzegł Szajndł i Miriam-Libę. 4

– Wy jeszcze tutaj? Ruszajcie precz do stołu kobiety ||

– Jeszcze nie podałam

galaretki – usprawiedliwiała[^] się Szajndł. Wtf

Kiedy wychodziły, Szajndł pochwyciła Miriam-Libę za rękę. Zaręczyny prawie zostały zerwane, a wszystko dlatego, że ten przesadnie nabożny Mejer-Joel zrobił z siebie policjanta samego Boga. Szajndł ogarnęło współczucie dla Azriela, który dał się ponieść umiłowaniu

prawdy. Ale ona stanie po jego stronie. Wstawi się za nim do ojca: "Poślubię Azriela albo żadnego innego!"

W kuchni wybuchnęła płaczem. Potem obmyła twarz w miednicy i przejrzała się w lustrze. Weszła na taboret, zdjęła z górnej półki dawno zapomniany słoik galaretki z porzeczek i wróciła do stołu mężczyzn, przy którym toczyła się debata talmudyczna. Azriel rozprawiał o Torze, ale udało mu się skierować wzrok, nad głowami innych, wprost na Szajndł. Spojrzała na niego i spłonęła rumieńcem od szyi aż po korzonki włosów.

in

Mejer-Joel usiłował nakłonić swego teścia do odwołania zaręczyn, lecz Kalman nie chciał upokarzać ani Azriela, ani jego ojca, rabina z Jampola. Świadom uczuć Szajndł dla Azriela, usprawiedliwił go:

– Któż z nas w gorączce debaty nie wypowiadał się podobnie? – dowodził.

Sympatie Zełdy były po stronie Mejera-Joela, ale Kalman przypomniał jej powiedzenie: "Lepiej przecinać pergamin niż drzeć papier." | Lepiej przeprowadzić rozwód niż zerwać zaręczyny. Wobec tego Kalman obsypał Azriela podarunkami, załączając dwieście rubli na zakup pełnego kompletu Talmudu, dzieł Majmonidesa, zbioru praw i komentarzy. Azriel miał sam zakupić księgi w Warszawie.

Nazajutrz wsiadł do sań jadących z podróżnymi do stolicy. Ojciec wciąż jeszcze nie chciał z nim rozmawiać, ale matka i siostra zaopatrzyły go w jedzenie, zmianę

- Aluzja do tego, że akt ślubny spisywany jest na pergaminie, a akt zaręczynowy na zwykłym papierze (przyp. tłum.).

bielizny i inne rzeczy niezbędne w podróży. W Warszawie miał zatrzymać się u reb Jecheskiela

Wienera, ojca Mejera- -Joela. Mejer-Joel, mimo że ostro krytykował poglądy Azriela, wręczył mu list polecający do ojca, w którym prosił o zapewnienie gościowi wszelkich możliwych wygód, a w postscriptum na pół strony załączył pozdrowienia dla każdego członka swej licznej rodziny.

Dzień był mroźny. Sanie mknęły szybko po ubitym śniegu. Oszronione drzewa i zamarznęte polne pustkowia przemykały obok nich. Pokryte śniegiem strzechy chałup wyglądały jak białe pierzyny. O zmierzchu lodowate podmuchy wiatru wzbijały w górę wirującą kurzawę. Zachodzące słońce przenikało przez zaciągnięte chmurami niebo, rzucając purpurowe smugi, niby tryskającą ofiarną krew jakiegoś całopalenia w niebiosach. Śnieg pokrył się czerwienią. Niebo i ziemia zlewały się ze sobą. Azrielowi przypomniał się czytany niegdyś opis Morza Arktycznego. Oprócz niego w samach jechało jeszcze trzech podróżnych- Szklarz Zejlig wyruszył do Warszawy po zakup diamentu do cięcia szkła; kobieta o nazwisku Bluma odbywała tę podróż, aby się poradzić lekarza, jak się pozbyć wrzodu w uchu, a dziewczyna Dwosza, sierota, spodziewała się znaleźć pracę w mieście. Zejlig był w czapce baraniej, watowanej kifrtce, a na buty nałożył słomiane kapce, takie, jakie nosili chłopcy. Wyglądem przypominał jeża, z rozczochraną brodą usianą teraz soplekami lodu i nastroszonymi brwiami koloru stali.

Wyjmując szczyptę tabaki z rogowej tabakierki zarechotał ochryple:

– I to ma być zima? W dawnych czasach mieliśmy I prawdziwe zimy! Niedźwiedzie zamarzały na śmierć w legowiskach. Stada wilków przemykały się ukradkiem przez wioski, oczy im błyszcząły jak świece. Pewnej zimy, mieszkałem wtedy w Radoszycach, spadł grad tak

wielki " jak gęsie jaja! Wybił połowę szyb w Polsce, a wśród i chłopów powstała panika, że to koniec świata.

– Reb Zejlig, czy słyszysz ten hałas? – przerwała Bluma. Głowę otuliła sobie szalem i grubą chustą.

– Jaki hałas?

– Dudnienie w uchu, jakby turkot kół. Myślałam, że to może wiatr. Ale hałas nie ustaje, brzęcfcy jak komar w głowie przeklętego tyrana Tytusa.

– Nie martw się, wyzdrowiejesz. Jeśli chcesz posłuchać mojej rady, trzymaj się z dala od doktorów. Jak dojedziesz do Warszawy, idź do Fajwełego z Końskowoli. On ma cudowne miedziane monety pobłogosławione przez świętego kaznodzieję z Kozienic. Przyłóż jedną z nich do ucha, a ból minie. Znasz lekarzy, zbytnio się spieszą z nożem!

Nie musisz mi mówić! • Pewien doktor wbił mi igłę we wrzód! Jeden zaleca zimne kompresy, drugi gorące. Kiedy się tylko położę, w głowie mi cyka jak w zegarze.

– Mój młodszy brat wepchnął sobie kiedyś ziarnko grochu do ucha. Cóż to był za kłopot, aby je wydostać – włączyła się Dwosza, młoda dziewczyna o krępej budowie, ubrana w kożuszek i wełnianą chustkę na głowie.

– Masz zamiar pracować jako służąca? – zapytała Bluma.

– A tak.

– Umiesz gotować?

– Mogę spróbować.

– Posłuchaj mojej rady, nigdy nie odpowiadaj swojej pani, rób po prostu to, co ci każe. Warszawskie panie wciąż tylko jedzą, a każdy posiłek składa się z wielu dań. Będziesz miała dość roboty przy płycie kuchennej. Umieją tak postępować, że ich mężowie kręcą się przy

nich i nadskakują. W środku nocy budzą służącą, żeby zmywała naczynia.

– Gdzie? W rzece?

– W rzece? W Warszawie? Głupiaś! Naschylasz się nad balią w kuchni, aż cię krzyż zabolii. Tylko jedno pamiętaj, jedź za trzech. Przejedź cały ich majątek! Moja babka często opowiadała, że żył kiedyś mędrzec, który przez trzy dni i trzy noce leżał krzyżem na ziemi i rozmyślał, co utrzymuje ludzi przy życiu, aż wreszcie przyszło mu do głowy, że jedzenie.

– Nie potrzeba mędrca, żeby to wymyślić.

!– Będiesz spała w kuchni. Będziesz wynosiła nocniki. Tylko nie zapomnij stawiać dzbana z wodą przy swojej łóżku. Przyda się, jeśli w domu jest dorosły syn. Kiedy będzie próbował wejść ci do "łóżka, powiedz mu grzecznie* aby sobie poszedł. Jeśli nie zechce, chluśnij na niego wodą. Będzie się potem trzymał z daleka. Rano powiesz, że to kot przewrócił dzban.

– Macie na wszystko odpowiedź.

– Żyj i ucz się. Za młodu też byłam biedna. W owym czasie nie pozwalano Żydom osiedlać się w Warszawie, zawracano nas od rogatek. Ci, co wchodzili, musieli opła-

. cać specjalne rogatkowe. Był taki jeden donosiciel, sam też Żyd, ten wszystkich wydawał, ale w końcu rzeźnicy go załatwili. Mój ojciec odumarał mnie we wczesnym dzieciństwie, a i matka niewiele dłużej pożyła.

Mieszkałam u ciotki, która traktowała mnie gorzej niż ktoś obcy. Na Jom Kipur udzielała mi błogosławieństwa, ale już nazajutrz zaczynała dręczyć od nowa. Wydano mnie za szewca. Obiecywał mi gwiazdki z nieba, ale biedak pluł krwią. Kiedy tracił panowanie nad sobą, bił mnie i kopał. Urodziłam mu troje dzieci, lecz poumieraly młodo. Ostatnie urodziło się bez żołądka, biada mi. Wreszcie

mąż zmarł, zostałam wdową. Dziś mamy reb Kalmana, on nikogo nie odprawia z kwitkiem. Jeśli chodzi o dobroczynność, jest prawie tak miłosierny jak sam Bóg. Czy zdajesz sobie sprawę, młodzieńcze, jakie szczęście cię spotkało? Twoja Szajndl ma i głowę, i serce na właściwym miejscu, a jaka z niej piękność! Olśniewająca! Tak, poszłam do twego przyszłego teścia z moimi kłopotami. Dał mi pieniądze i na podróż, i na opłacenie doktora. Co za para! Syn ra- (bina i córka reb Kalmana! Ale po co jedziesz do Warszawy?

– Żeby kupić książki.

– Naprawdę? Bardzo ładnie! To do ciebie pasuje studiować święte księgi, tacy jak ty odkupią ten grzeszny świat! Jaki jest inny pożytek z kobiety, jeśli nie przysiężenie mężowi wygod? Czy to prawda, że nie wierzysz w złe duchy?

– Kto to mówi?

– Każdy, kto tylko ma język w gębie. Niech im te ozory uschną. Zazdrość, ot, co nimi kieruje. Żywcem chcą cię pożyć. Niech ich stoczą robaki!

– Hej, dokąd jedziesz, jak ci się zdaje? – wrzasnął naraz Zejlig na furmana.

Woźnica Icze zbudził się nagle i szarpnął lejcami.

– Prr... Nazad! Nazad! Gdzie, do diabła, te szkapy wlażyły?

– Złapały cię na drzemce, co?

– Trochę się zdrzemnąłem. Lepiej wysiądźcie wszyscy.

■— O Boże, nogi mi ścierpły – zapiszczała Bluma. — Nie mogę nimi poruszyć!

Aziel zeskoczył i pomógł kobiecie wsiąść. Pod jej ciężarem zagłębił się w śniegu po kolana. Rację mają postępowi Żydzi, pomyślał. Fanatyzm polskich Żydów nie da się wyrazić słowami. Kiedy reszta Europy się uczy, tworzy, rozwija, oni nadal grzęzną w ciemności. Co ci

ludzie wiedzą o magnetyzmie, elektryczności, mikroskopie i teleskopie? Kto z nich słyszał coś o Wolterze, Janie Jakubie Rousseau, Keplerze, Newtonie? A ja, cóż wiem o ich teoriach? Na pewno zbyt mało. Muszę się uczyć. Muszę dopomóc tym ludziom wyjść z ciemności. Szajndł mi pomoże. Azriel zgarnął dłonią śnieg, ulepił z niego twardą kulę i cisnął w spowite zmierzchem niebo.

IV

Azriel wolał stanąć w warszawskim zajeździe niż u reb Jecheskiela Wienera. Najpierw poszedł do biura pana Wallenberga na ulicy Królewskiej, aby doręczyć teczkę z fakturami od Kalmana. Było mroźno. Na pokrytych lodem jezdniach sanie skrzypiały, a woźnice cmokali językami i strzelali z batów. Śnieg zalegał dachy i balkony. Chłopcy w czapkach z otokami i zapiętych na mosiężne guziki szynelach, z tornistrami na plecach spieszyli do domu. Zakonnica prowadziła idące parami dziewczęta w mundurkach; na nogach miały pończochy i grube wełniane skarpetki. Eleganccy panowie i panie w futrach i sobolowych pelerynkach przechadzali się prowadząc psy na smyczy. Żebak grał na katarynce. We wszystkich sklepach pomimo mrozu pełno było ludzi. Konie zostawiały kupy gnoju parującego w mroźnym powietrzu. Kominy buchały dymem, wozy naładowane drewnem opałowymi wjeżdżały z turkotem w podwórza. Po raz pierwszy w życiu Azriel zobaczył węgiel. Zatrzymał się przy Ogrodzie Saskim, aby do niego zajrzeć przez żelazne pręty ogrodzenia. Chłopcy i dziewczęta ubrane w barwne szaliki, czapki, zakieciki, spódnice i rękawiczki zataczali na lodzie wspaniałe figury, ślizgając się po zamarzniętym stawie, a ci, którzy padali, gramolili się na nogi, zaśmiewając się.

Pan Wallenberg miał akurat naradę. I Azriel z kapeluszem w ręku-czekał cierpliwie w dużym pokoju-biurowym przyglądając się buchalterom poehylonyih nad ogromnymi księgami. Gładkie stalówki ich piór sunęły po szerokich stronach ksiąg, potem buchalterzy przykładali suszki i rachowali, przesuwając krążki liczydeł z niesamowitą szybkością. Weszła służąca z tacą pełną szklanek herbaty. Nagle otworzyły się drzwi prywatnego gabinetu Wallenberga i tęgi generał z ryżą brodą, błyszcząc złotymi epoletami, wyszedł zamaszystym krokiem w butach z ostrogami, Rozpięty płaszcz odstaniał eleganckie bryczesy z lampasami i wypukłą pierś obwieszoną medalami. Jedna ręka obciążnięta rękawiczką spoczywała na rękojeści szabli. Portier w liberii otworzył frontowe drzwi i stanął na baczność w postawie pełnej szacunku. Wallenberg odprowadził gościa do progu, ukłonił się i czekał, aż generał usadowi się w saniach. Wallenberg z zaokrąglonymi plecami, wysokim czołem, zakrzywionym nosem i dużymi uszami, wygadał na typowego Żyda. Niski i krępy, miał głowę niczym dynia, ciemne, płonące oczy, czarne bokobrody przetykane siwizną i szpakowate, kręcące się na skroniach włosy. Sztywny kołnierzyk opasywał mu szyję, do klapy

miął przypięty medal. Odwróciwszy się, dojrzał Azriela i zapytał po polsku: , i

– Kto to?

– Przyjechał, z Jampola, przysyła go Kalman Jakobi. Azriel odczuł nabożny lęk, znalazłszy się we wspaniałym gabinecie Wallenberga z eleganckimi kotarami i parkietem tak wyfroterowanym, że z trudem się po nim posuwał. Na ścianach wisiały portrety mężczyzn i kobiet, dyplomy na tłoczonym papierze w złotych ramach, zaopatrzone w imponujące podpisy i woskowe pieczęcie.

Mahoniowe biurko, na którym stała lampa i posążek z brązu, było zarzucone papierami. Nozdrza Azriela wciągały zapach stanowiący połączenie woni dymu eygar, skóry i czegoś nie dającego się określić.

– Co ciebie łączy z Kalmanem Jakobim? Jesteś jego synem? –[^] zapytał Wallenberg po polsku.

– Narzeczoną córki.

Ach tak. Proszę siadać.

– Dziękuję.

– Odpręż się, nie połknimy ciebie.

Azriel usiadł.

– Powiedz mi coś o sobie. Studiujesz Talmud?

– Tak, poza tym inne książki.

– Widzę, że znasz polski, rzadka umiejętność u polskiego Żyda. Od sześciuset lat są w tym kraju, a nie zadali sobie trudu, żeby się nauczyć języka. Co zamierzasz robić po ożenku? Zająć się jakimś handlem?

– Nie wiem jeszcze.

– Żydzi to dziwny naród – ożywił się Wallenberg. – Czas przepływa obok nich. Ludzkość idzie naprzód, a oni tkwią w bezruchu, niczym Chińczycy za Wielkim Murem. Mam oczywiście na myśli tylko polskich Żydów, i nie zachodnioeuropejskich.

– Oczywiście.

– Będę z tobą szczery, młody człowieku. Widzę, że nie jesteś durniem. Przestałem być Żydem, wychrzcilem się, ale nie zapomina się związków krwi i nie potrafię znieść widoku cierpień Żydów. Jak-można się wprowadzić do cudzego domu, żyć w nim w całkowitym odosobnieniu i oczekiwać, że się na tym nie ucierpi? Jeśli człowiek gardzi bogiem swego gospodarza, biorąc go za wizerunek z blachy, stroni od jego wina jako zakazanego, uznaje jego córkę za osobę nieczystą, czyż tym wszystkim nie ściąga na siebie traktowania należnego

osobie niepożądaney i obcej? Przecież do tego się to sprowadza.

– No tak, ale jak można temu zaradzić?

– Nie wygłoszę kazania, nie jestem misjonarzem. Czym się to skończy? Ci, którzy się zasymilowali i nazywają ; siebie Polakami wyznania mojżeszowego, nie wierzą ani w Mojżesza, ani w Jezusa. W synagodze widać ich tylko raz na rok, na Jom Kipur. Dlaczego tak się izolują? Prawda, że modlą się o odzyskanie Jerozolimy, ale Palestyna to pustkowie; Mesjasz na białym osiołku to piękna legenda. W przeciwieństwie do nauk biblijnych współczesna nauka głosi, że ziemia była stworzona przed milionami lat.

– Tak, wiem. Kant i Laplace.

Brwi pana Wallenberga uniosły się do góry.

– Coś podobnego, skąd mogłeś dowiedzieć się o nich?

– Czytałem o ich teoriach.

– W Jampolu?

– Nie, w Lublinie.

– A czy twój przyszły teść jest świadom, żeś czytał takie książki?

– Nie sądzę.

– A to ciekawe. Widać, że mimo wszystko lód zaczyna pękać. Kim jest twój ojciec, kupcem?

– Nie, rabinem.

– To zdumiewające! Syn rabina! "A jak wytłumaczysz pochodzenie swoich niebieskich oczu i jasnych włosów? Nie odziedziczyłeś ich po żydowskich przodkach!

Wszyscy jesteśmy tworem europejskim. Co cię sprowadza do Warszawy? Na pewno nie ten plik papierów.

– Przyjechałem zakupić książki,

– Talmud?

– Tak, ale potrzebne mi są również dzieła naukowe.

- Z jakich dziedzin?
- Fizyka, matematyka, geografia...
 - Idź na ulicę Świętokrzyską. Tam są żydowscy księgarze, oni właśnie, ci Żydzi w długich chałatach, to najlepsi antykwariusze w Polsce. Ale zastanówmy się, po co masz tracić pieniądze? U mnie w domu leży pełno podręczników już niepotrzebnych. Wszystkie moje dzieci pokończyły nauki. Czyż to nie dziwne, że Litwacy zwrócili się ku oświacie, natomiast polscy Żydzi wykazują mało zainteresowania naukami świeckimi? Winić za to trzeba ruch chasydzki. Pierwsza rzecz, jaką musisz zrobić, to opanować polską gramatykę. To absurdalne żyć w Polsce i szwargotać niemieckim żargonem, a jeszcze śmieszniejsze żyć w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, a zachowywać się tak, jakby się żyło w czasach starożytnych. I Polacy mają swoją religię, nie są w niej jednak całkowicie zasklepieni. Jeśli pójdę w niedzielę na jedną mszę, już uważają mnie za dobrego chrześcijanina i nie muszę każdego ranka przywiązywać małych sześciokątnych pudełek do ramienia i czoła lub też modlić się przez cały dzień. Podróżowałem po Turcji i Egipcie, nawet Beduini w połowie nie są tak ciemni jak chasydzi. Synowie Izmaela to przynajmniej dobrzy jeźdźcy. I jeszcze coś ci powiem, kąpiele rytualne są niehigieniczne. Mieliśmy tutaj rabiego, który wygłaszał kazania po polsku. Co to była za sensacja! Ale nie wierzę w półśrodki. Żydzi muszą się stać stuprocentowymi Polakami. W przeciwnym razie zostaną wypędzeni jak za czasów faraona.
 - Polacy są też w niewoli.
 - A to już inna sprawa.
 - Silni chcą zniszczyć słabych – rzekł Azriel, niezbyt pewny, czy wypowiedziana myśl ma związek z tematem rozmowy.

– Obawiam się, że tak. Ostatnio ukazała się angielska książka, wywołująca furorę w świecie naukowym. Głosi teorię, z której zdaje się wynikać, że życie to ciągła walka o przetrwanie, zwyciężają najsilniejsze gatunki... No cóż, wpadnij znów jutro, kasjer będzie miał dla ciebie cały plik książek; jeśli możesz, przynieś ze sobą walizkę. Dziś jestem zajęty, ale odwiedź mnie, kiedy następnym razem; przyjedziesz do Warszawy.

Wallenberg podniósł dzwonek i zadzwonił. Na palcu miał obrączkę i sygnet. Podając Azrielowi lewą rękę dodał:

–Odwagi, młodzieńcze! Żyjemy w postępowym świecie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

I

Mimo że obywatele ziemscy z sąsiednich majątków odradzali ten krok, hrabina Maria Jampolska wniosła podanie do cara Aleksandra o darowanie winy jej mężowi, hrabiemu Władysławowi "Jampolskiemu. Na usprawiedliwienie męża podała, że poniósł go upór i temperament i że teraz żałuje swego czynu. Ona, jego żona, jest chora i pokornie uprasza Jego Cesarską Mość o okazanie chrześcijańskiego miłosierdzia i szlachetności serca przez udzielenie przebaczenia poddanemu, który zbłądził. Gubernator lubelski, do którego hrabina uzyskała list polecający, poparł to podanie; każdego dnia hrabina płacząc klęczała przed obrazem Matki Boskiej w swej prywatnej kaplicy.

W tym zapamiętaniu zrobiła coś, co wprowadziło w zdumienie Żydów w Jampolu. Kazała się zawieźć do domu rabina, reb Menachema-Mendla, i prosiła go, aby zaniósł modły do Boga na intencję zwolnienia jej męża Władysława, syna Władysława. Jeden z sąsiadów tłumaczył rozmowę, rabin bowiem nie znał polskiego. Potem

hrabina ofiarowała osiemnaście rubli na świece do synagogi i małą sumkę do podziału wśród biednych.

– Wszystko jest w ręku Pana – rzekł do niej rabin. Zgodził się jednak na odprawienie modłów.

Wyglądało na to, że istotnie sprawił cud. Z Petersburga nadeszło pismo powiadamiające, że Jego Cesarska Mość łaskawie zgodził się udzielić amnestii zesłańcowi, hrabiemu Władysławowi Jampolskiemu, i że gubernator Archangielski otrzymał polecenie zwolnienia hrabiego i ułatwienia mu podróży do domu. Okazało się potem, że i hrabia wniósł do Cara podanie wyrażając skruchę, a gubernator archangielski wstawił się za nim.

Gdy poczta przyniosła tę wiadomość, hrabina zemdląła. Córka Felicja cuciała ją wodą kolońską i koniakiem, niania Barbara zaś – relikwiarz przeszłości, z białymi jak mleko włosami, rumianą twarzą podziobaną ospą – rozsznurowała gorset swej pani. Później, jak już hrabina zasnęła, Felicja postanowiła napisać list do swego brata Józefa, zbiegłego po powstaniu do Londynu, i do siostry-Heleny przebywającej u jednej z ciotek w Zamościu. Młodszy brat Lucjan albo wciąż jeszcze ukrywał się gdzieś - w Polsce, albo zginął. Trybunał rosyjski skazał go już dawniej na śmierć in absentia i nic od tej pory o nim nie słyszano.

Odwinąwszy mankiety rękawów, aby ich nie poplamzić, Felicja pisała kaligrafując, i robiąc zakrętasę po każdym słowie. Cieszyła się na perspektywę powrotu ojca i niew jedną zapaliła świecę przed ołtarzem, wiele monet Wrzuciła do kościelnej puszeki i wciąż się modliła, aby Bóg uwolnił zesłańca. Do jej radości jednak wkradły się i inne uczucia, toteż Felicja czuła się zawstydzona wobec Boga, który zna przecież nasze tajemne myśli. Ojciec bywał dla niej niedobry, nazywał ją starą panną,

wyśmiewał się z niej i przedrzeźniał. Felicja się obawiała, że po swych w okropnych przeżyciach na Syberii, gdzie obcuje z ordynarnymi przestępcami i Rosjanami, może się okazać jeszcze przykrzejszy niż dawniej. Mimo to błagała Boga o zapewnienie ojcu bezpiecznego powrotu, godząc się na zniewagi, jakie zapewne ją spotkają, i z góry przebacząc mu jego złośliwości. Napisawszy zaledwie parę zdań podarła list, nie mogąc się zdecydować, czy ma nazwać Józefa "drogim" czy "kochanym". Nic nie przychodziło jej z tą-1 kim trudem jak podejmowanie decyzji i to z pewnością stanowiło jeden z powodów jej staropanieństwa.

Ojciec i Lucjan byli patriotami, narażali swe życie dla Polski, Józef zaś umknął do Londynu. Uważał siebie za filozofa, głosił idee pozytywizmu i w każdym liście utrzymywał, że nie mrzonki, lecz rozwój przemysłu i nauki przywróci Polsce wolność. Takie idee, godne tylko kramarzy, ostudziły uczucia Felicji do starszego brata, którego w dzieciństwie ubóstwiała. Również jej siostra Helena – stale odwiedzająca bliskich i dalekich krewnych, narzucająca im swą obecność – wciąż zawierała nierozważne przyjaźnie. Wyrosło nowe pokolenie – bezbożne, zuchwałe, samolubne. Po 1863 roku arystokracja wracała powoli do dawnego trybu życia. Znowu odbywały się przyjęcia i bale, ale Felicji na żadne nie zapraszano. Minęło sporo lat, starający się kiedyś o jej rękę pożenili się już dawno; przyjaciele i krewni odsunęli się i zachowywali jak ludzie obcy. Nawet chleb, który jadła, nie był jej własny, stanowił łaskawy dar Żyda, Kalmana Jakobiego.

Zesłanie ojca na Sybir, ucieczka i oderwanie się Józefa od kraju oraz wyrok śmierci na Lucjana rzuciły tragiczny cień na życie Felicji. Ubierała się w czerń, zadreptała Lucjanem, ojcem i utraconą ojczyzną. Od wielu lat pie-

lęgnowała cierpiącą matkę i całkowicie zajmowała się dworem. Choć ziemie skonfiskowano, hrabina nadal w szkatułce na klejnoty miała sznury pereł, ciężkie złote łańcuchy, grzebienie wysadzane diamentami i złote szpile do włosów. Z dawnego dostatku pozostała im cienka porcelana, srebra, złoty serwis obiadowy i uprząż wysadzana drogimi kamieniami. Szafy wciąż były pełne futer, jedwabnych i aksamitnych sukni, spódnic, żakietów, peleryn. Książki oprawne w aksamit i w jedwab stały rzędem na półkach w bibliotece. Felicja nie poddała się całkowicie losowi, czuła, że może się jeszcze zakochać jako kobieta trzydziestotrzyletnia. Szczęście zwróci się ku niej. "Dzielny rycerz na białym koniu" mógł się jeszcze zjawić, choćby z nieco siwiejącą skronią, poważnym spojrzeniem i wyrozumiałym uśmiechem na wargach; od pierwszego spojrzenia dostrzeże szlachetność jej serca, skromność duszy i nienaruszone zasoby miłości. Będzie potomkiem starego arystokratycznego rodu, rozmiłowanym w poezji, preferującym skromny domek, strumyk, szum lasu i mądrość milczenia.

4 – Dwór

49

I nie będzie jeszcze za późno, aby urodziła mu syna. Nazwie go Lucjan Juliusz na pamiątkę zaginionego brata i jej ulubionego poety Juliusza Słowackiego, autora tego cudownego Hymnu "Smutno mi Boże"!

Powrót hrabiego zburzy i rzeczywistość, i marzenia... '

Felicja zabrała się na nowo do listu, ale wkrótce wstała i zaczęła przyglądać się sobie w lustrze. Włosy upięte w kok, dawniej koloru miodu, teraz pociemniały. Twarz miała białą i wąską, pod orzechowymi oczami niebieskiej cienie. Ubrana była na czarno, w bluzkę z wysokim kołnierzykiem i aksamitną spódnicę do ziemi, nosiła kolczyki

: z onyksami, a na lewej ręce pierścionek z takim samym kamieniem i wyrytą datą – tragicznym rokiem 1863.

Powróciła do pisania. Miewała dziecinne kaprysy, trudne niekiedy do zniesienia nawet przez nią samą. Niektóre litery alfabetu wydawały jej się sympatyczne, inne wstrętne. Nawet wśród drobiu na dziedzińcu miała swe ulubione ptactwo i takie, którego nie cierpiała. Jej tragedia polegała na niemożności zachowania obojętnego stosunku do czegokolwiek.

Stara niania Barbara zapukała do drzwi.

– Kochasiu, pani prosi do siebie.

– Już idę! ||§8||

Felicja zastała matkę w łóżu z baldachimem, z głową wspartą na dwóch poduszkach. Spod nocnego czepka wymykały się dwa pasma siwych włosów. Purpurowe żyłki tworzyły siateczkę na rozpalonych policzkach. Drobnny nos i cienkie wargi były bezkrwiste, pod nimi zwisał podwójny rozlany podbródek. Tylko ktoś bardzo spostrze- gawczy potrafiłby dojrzeć u niej ślady dawnej piękności. Powieki hrabiny drgnęły, otworzyła oczy w chwili, gdy córka podeszła do łóżka.

– Nie mam co na siebie włożyć na przyjazd ojca, Felicjo. Musisz sprowadzić krawca, tego Nisena.

Felicja zdumiała się.

– Ależ, jak tak możesz mówić, mammo? Twoje szafy są przepełnione sukniami.

Jakimi sukniami? Szmatami!

' – Miną jeszcze całe tygodnie, zanim ojciec tu przybędzie.

– Nie chcę go przestraszyć swoim Wyglądem. Zobacz, jak posiwiałam!

Felicja nie odezwała się. Któż mógłby przypuszczać, że jej stara i schorowana matka ulega jeszcze kobiecej próżności.

– Co mam powiedzieć Nisenowi?

– Sprowadź go tutaj. Zamówię nowe stroje również dla ciebie. Kiedy ojciec przyjedzie, nie będziemy wyglądały jak nędzarki.

Oczy Felicji napełniły się łzami.

– Zrobię, co każesz, droga mamo.

II

W marcu zwykłą ciszę Jampola zmąciła wiadomość, że hrabia wraca z Syberii. I wrócił. Sam powoził niskimi saniami, ubrany w chłopski kozuch, walonki i futrzaną czapę z szerokim otokiem. Wyraźnie przytył. Twarz miał zaczerwienioną, oczy błyszcząły mu wesołością, sopelki lodu skrzyły się na wąsach podobnych do wąsów morsa. W saniach siedziała kobieta w popielicach, w czarnej, męskiej futrzanej czapie na głowie. Ramiona i kolana miała otulone derkamir Hrabia zatrzymał się przed zajazdem Kalmana i pomógł wysiąść towarzysze podróży. Zdjął kozuch i okrył nim konia, po czym wszedł hałaśliwie do zajazdu, jakby już podpity.

Za kontuarem stał akurat służący Gec.

– Hej, Żydzie, macie wódkę? – zawołał nowo przybyły.

Tymczasem kobieta zdjęła futro i czapkę. Wyglądała na trzydzieści lat – czarnooka brunetka, | olśniewająco białymi zębami, z pieprzykiem na lewym policzku.

Poruszała się w sposób afektowany w butach na wysokich obcasach. Mieszkańcy miasteczka zebrani, aby powitać hrabiego, patrzyli zdumieni, jak skręciwszy sobie papierosa z tytoniu

i cienkiej bibułki, zapaliła go i zaczęła wypuszczać nosem dym. Podniosła do góry kieliszek, stuknęła się z hrabią i wymienili między sobą jakieś uwagi po rosyjsku.

– Na co się tak gapicie, głupcy! – krzyknął wreszcie hrabia do przyglądających się ludzi. – Myślicie, że tu cyrk?

Podniósł się, szepnął coś Gecowi, i odprowadziwszy kobietę do zajazdu Icze Brajna, ruszył w dalszą drogę do dworu. Rodzina hrabiego spodziewała się go dopiero za kilka dni. Hrabina spała, Felicja czytała w bibliotece jakieś poezje. Helena, która akurat wróciła z Zamościa, siedziała w salonie przy fortepianie. Brama była otwarta. Kiedy sanie wjechały na dziedziniec, dwa ogary hrabiego, Wilk i Piorun, rzuciły się do sań ujadając jak oszalałe. Wojciech, dawny stangret, obecnie pełniący również obowiązki szafarza i służącego, zjawił się na dziedzińcu. Z czapką w ręku, zażawiony, mamrocząc coś do siebie, pospieszył na powitanie swego pana. Zjawiła się stara niania, nerwowo zachichotała, klasnęła w dłonie i uderzyła w płacz, głośno zawodząc jak wieśniaczka oplakująca zmarłego. Helena przerwała granie i wybiegła w porannym negliżu. Ojciec, rzuciwszy na nią wzrokieta, ocenił, że wyrosła na śliczną pannę. Uściskali się. Podeszła do nich Felicja, ucałował ją w policzki. Zbladła – ojciec wrócił do domu pijany.

– Gdzie matka? – spytał niecierpliwie.

– Mama jest chora. Leży.

– A co jej dolega? Pójdę do niej.

Nie zdejmując kożucha i czapy, zostawiając ślady błota na dywanach, skierował się zamaszystym krokiem do pokoju hrabiny. Obudził ją hałas, usiadła w łóżku podniecona, ściskając w dłoni srebrną rączkę lusterka. Hrabia zatrzymał się w drzwiach przez chwilę zmieszany. Czy to jego żona, czy jej matka? W podnieceniu zapomniał na moment, że teściowa już nie żyje.

– Mario! – wykrzyknął.

- Czy to naprawdę ty? – zawołała hrabina. – Teraz mogę już spokojnie umrzeć!
 - Dlaczego miałabyś umierać? Nie jesteś taka stara! Pochyliwszy się pocałował ją we włosy, czoło i policzki. Poczowała się słabo, twarz jej płonęła. W ciągu dziesięciu minut, jakie hrabia spędził u żony, Wojciech wyprzągnął konia, kucharka Magda złapała gęś i odkopła w piwnicy butelkę wina pokrytą warstwą gliny, pozostałość z dawnych czasów. Hrabia wyszedł z pokoju żony bez kożucha, zmienił też walonki na długie skórzane buty. Kiedy otworzył drzwi, natknął się na Felicję.
 - Dlaczego chodzisz w czerni? Nikt przecież nie umarł.
 - Przebiorę się zaraz.
 - Co czytasz? Wciąż jakieś sentymentalne głupstwa?
 - Ojczy, proszę, nie mów tak. Autor jest wybitnym poetą, wieszczem.
 - Ach tak, wieszczem? Lepiej znajdź sobie mężczyznę i wyjdź za mąż. Złap pierwszego lepszego durnia, jaki ci się trafi.
- Oczy Felicji od razu napełniły się łzami. Istotnie, ojciec stał się jeszcze bardziej wulgarny na wygnaniu. Nawet jego buty skrzypiały w sposób ordynarny. Ubrany był w szorstką czarną koszulę, a tombakowy łańcuch od zegarka zwisał na kamizelce. Przypominał agenta rosyjskiej tajnej policji, która przetrząsała dwór w poszukiwaniu Lucjana.
- Boże miłosierny, przebacz mu – wyszeptała.
 - Czy nigdy nie pożądasz mężczyzny? – Hrabia oparł nogę na wyściełanym siedzeniu krzesła. – Co ty masz w żyłach? Krew czy kwaśne mleko?
 - Ojczy drogi, proszę, nie zaczynaj mi od razu dokucać. Przez cały ten czas modliłyśmy się za ciebie do Boga.
 - To nie Bóg, a car udzielił mi amnestii.

– Ojczy, zlituj się. Nie psuj radości z twego powrotu do domu.

– Wiesz, czym jesteś? Poczciwą starą panną. Boga nie ma, a Jezus był zwykłym Żydem. Apostołowie zrobili z religii dobry interes. Czyś nigdy nie słyszała o Darwinie? Odpowiedz!

– Ojczy, zostaw mnie w spokoju.

HPJ^ – Nie uciekaj. Człowiek pochodzi od małpy. Żebyś IB wiedziała, jednym z naszych przodków jest po prostu.

orangutan. – Hrabia wybuchnął głośnym śmiechem. – Nasi przodkowie siedzieli na drzewach i łapali pchły. Tak wygląda w skrócie prawda. Skuta lodem Syberia jest bar[^] dziej postępowa niż ta cała twoja Polska. Marność. Głupota. Ot, co!

Hrabia opuścił pokój zostawiając osłupiałą Felicję.

Gorszenie jej nadal sprawiało mu przyjemność.

Zordynarniał doszczętnie. Pił, bluźnił, nie miał żadnego szacunku dla własnej duszy.

Wchodząc do matczynej sypialni Felicja zobaczyła hrabinę stojącą w koronkowej halce, podczas gdy Barbara starała się dopiąć na niej gorset. _Szybko zamknęła drzwi. Nacisnęła klamkę drugich drzwi i zobaczyła Helenę również zajęętą strojeniem się.

– Przepraszani.

– Nic nie szkodzi, wejdz. Co myślisz o ojcu? Czyż nie wspaniały?

“Jak się ta Helena rozwinęła — pomyślała Felicją. – Zaledwie wczoraj była dzieckiem. Jak śmiało stoi na wpół naga, bez odrobiny wstydu. Co za piersi, jakie- ramiona, jaka cera, a włosy! Zdobędzie swoją porcję szczęścia, na dodatek tę część, która mnie ominęła. Natura obdarzyła ją wszystkim — z wyjątkiem duszy!” Felicja zamieniła kilka słów z siostrą i wyszła. Gzy powinna zdjąć

żałobę? Ślubowała chodzić w czerni, dopóki Polska pozostanie w jarzmie. Nie jest już dzieckiem. Nikt jej nie może rozkazywać. Chociaż nie powzięła jeszcze decyzji, skierowała się do swego pokoju, gdzie w dębowej szafie wisiała nowa szara suknia uszyta przez krawca Nisena. Otworzyła drzwi pokoju i cofnęła się szybko. Na jej łóżku leżał rozwalony ojciec, w butach, jedna noga zwisała poza krawędź łóżka. Głośno chrapał. Felicja wstrzymała oddech i wpatrywała się w niego. Jaki on jest? Co za stalowe nerwy! Czy doprawdy "jest jego córką? Dlaczego nie odziedziczyła ani krzty jego siły i woli?
Ojczel

Hrabia otworzył jedno oko.

– Ach, to ty. Jestem wyczerpany. A także zgłodniały. Przejechałem pół Rosji. Zdejmij tę czerń. Średniowiecze już się skończyło. Za dużo idealizmu, poezji i łatwego patriotyzmu. Kominy fabryczne, oto, czego nam w Polsce potrzeba; wysokich, kominów buchających dymem, a także użyczenia pól — całych gór sztucznego nawozu!

ROZDZIAŁ PIĄTY

I

W miarę jak linia kolejowa zbliżała się do Jampola, miasteczko się ożywiało. Z Warszawy zjechała ekipa budowniczych kolei, przywożąc skrzynie różnych narzędzi i inny ekwipunek. Przybył inspektor rządowy z całą świtą pomniejszych urzędników. Należało urządzić na jego cześć bankiet i wznieść toasty szampanem. Bank Handlowy w Warszawie udzielił . Kalmanowi Jakobiemu pożyczki. Robiono pomiary geodezyjne na terenie przyszłej bocznicy kolejowej dla jego kopalni wapnia. Wallenberg, rozgniewany opóźnieniami w budowie Cesarskiej Kolei spowodowanymi brakiem podkładów,

zadepeszował do Kalmana, grożąc sprawą sądową za spowodowanie strat i zerwaniem kontraktu. Kalman zatrudniał oprócz techników również innych fachowców, ale teraz, mając zleconą dostawę szyn i wagonów towarowych, założył w Jampolu biuro, w którym potrzebni byli kanceliści mówiący po rosyjsku, co go zmusiło do przyjęcia litwaków.

Ci przybysze, nie noszący zarostu, ubrani jak goje, uważali się za postępowych, ale miasteczko orzekło, że to heretycy. Jeden z nich, Dawid Sorkes, mający ukończone żytomierskie seminarium rabinackie, cytował Talmud bez należnego szacunku, palił tytoń w szabas i pisał poezje po hebrajsku. Żona Szalita, innego pracownika, który przybył z Wilna, chodziła z gołą głową, rzucając wyzwanie ortodoksyjnemu rytuałowi. Ignacy Herman, rodowity Polak, który jako oficer armii carskiej ponoć walczył z polskimi powstańcami, nie był lepszy od poganina. Wszyscy oni zaprzyjaźnili się z jampolskim aptekarzem Grajmem i spędzali u niego wieczory, popijając herbatę z samowara i grając w wista. Kalman był w rozterce, bo musiał utrzymywać stosunki z tymi odszczepieńcami, oni zaś, jak narzekano w miasteczku, demoralizowali młodzież. Chociaż sam prowadził rachunkowość w dawny sposób, zapisując ołówkiem dochody i rozchody, aktywa i pasywa, usługi biuralistów i kontrolerów znających język i prawo rosyjskie stały się dlań niezbędne. Dziwne, ale okazało się, że teraz jako człowiek bogaty tkwi po uszy w długach, natomiast dawniej, żyjąc w biedzie, nie był nikomu winien ani grosza.

W trakcie tego całego zamętu toczyły się drobiazgowo przygotowania do ślubu Szajndł. Wyznaczony został na szabas po świętach Szewuot, a należało go odłożyć do

Szabat Nachmu, gdyż nie zdążono wcześniej skończyć wyprawy. Szajndł rozplakała się na wieść, że ma czekać jeszcze dwa miesiące. Ojciec, chcąc ją ułagodzić, wyjął banknot dziesięciorublowy.

- Masz, kochanie, idź, kup sobie prezent.
- Tato, nie jestem już dzieckiem.
- Na pewno nie jesteś.

Kalman wzruszył ramionami. Niedawno zdobyte bogactwo przynosiło mu same kłopoty. Wciąż musiał się usprawiedliwiać, przeproszać, przekupywać i przyrzekać. Często Zełda budziła go w nocy narzekając na ból głowy i kurcze żołądka, nalegała, aby zapalił świecę i przyłożył jej na brzuch rozgrzaną fajerkę albo natarł ją octem lub spirytusem. Wspierając się o poduszki, z wychudłą szyją i wymizerowaną twarzą, ginącą pod zbyt dużym nocnym czepkiem, wpatrywała się w ciemności, a jej oczy okolone siecią zmarszczek rozszerzał niepokój.

– Jaki mam pożytek z twoich pieniędzy? H jęczała. – Nie dadzą mi pociechy na ziemi ani łaski potem. Ludzie przeklinają mnie z zazdrości. Żeby tylko uchronić dzieci od uroku, niech ja odpokutuję za ich grzechy! Niech Bóg da im dłuższe życie niż mnie. Co one zrobiły złego, pytami się ciebie?

– A co ja zrobiłem złego? – oponował Kalman. – I Mam precz odrzucić nasze bogactwo? Taka jest wola Bożall Co ja odrzucę, inni pochwycają.

– Myślisz, że z ciebie dobry mąż? Czy jesteś tu kiedy? I Zawsze poza domem. Całe tygodnie spędzasz w lesie, noc po nocy. Bóg wie, co tam robisz. Ostatecznie masz ciało i krew.

i– Głupia jesteś, Zełdo.

– Zawsze brakowało ci ogłady. Mogłam była poślubić, uczonego. Ale moja matka, niech odpoczywa w pokoju,

wybrała ciebie. Co ona w tobie widziała? Nie obrażaj się, ale byłeś trochę gamoniowaty. Kalmanie – Zełda zmieniła naraz ton głosu – chyba niedługo już pożyję. Z każdym dniem słabnę.

– Jedź do wód. Wiesz, jak się starałem namówić cię do wyjazdu. Po có masz tutaj cierpieć? Chcę zrobić dla ciebie wszystko, co w mojej mocy, ale mi Ha to nie pozwala.

– Ciepłe źródła to nie to, czego mi trzeba. Nie chcę umrzeć z dala od domu. Chcę tutaj odmówić ostatnią modlitwę. Chcę, żeby moje dzieci zapłakały na pogrzebie matki.

Tak, Zejda była chora, a Jochewed spodziewała się dziecka i też nie czuła się dobrze. Brzuch jej rozciągnął się do rozmiarów bębna, twarz pożółkła i wystąpiły na niej plamy. Bała się duchów, chętnie jadłaby kredę i skorupki od jajek, wciąż rozmyślała o tym, że wróżka przepowiedziała jej wczesną śmierć. Mejer-Joel pozawieszał amulety z psalmami na ścianach jej, pokoju. Miał w pogotowiu Księgą Raziela, którą należało podłożyć pod poduszkę, gdy się zaczyną bóle, i napisał do rabiego w Marszynie, załączając dwadzieścia pięć rubli na ofiarę, z prośbą o wspomaganie modłami. Zełda, mimo złego stanu zdrowia, odbyła pielgrzymkę do innego rabiego-cudotwórcy; wróciła z talizmanem i amuletem z bursztynu. Oba miały ponoć moc zapewnienia lekkiego porodu. Oprócz doktora Lipińskiego zamówiła akuszerkę ze Skaryszewa.

Kalman niepokoił się też o córkę Miriam-Libę. Pochłaniała ją lektura polskich książek. Przeciwna była noszeniu peruk przez kobiety zameżne, ganiła potrawy szabasowe, czulent i kugel, i wciąż sprzeczała się z matką. Pewnego razu, gdy w szabas czesała włosy, a

Mejer-Joel skrzyczał ją za to wykroczenie, odezwała się ostro:

—• To ja będę smażyła się w piekle, nie ty!

Przestali ze sobą rozmawiać.

Wspólnicy i pracownicy Kalmana zgłaszali do niego wiele skarg. Wszyscy biuraliści, pośrednicy i robotnicy mieli o coś pretensje. Kłócili się między sobą i nawzajem oskarżali o szwindle. Strażnicy leśni albo zaniedbywali swe obowiązki, albo kumali się ze złodziejami. Budulec zniknął, chłopci podkradali zboże i ziemniaki, wypasali też bydło na łąkach Kalmana. Młynarze odsypywali sobie jego mąkę, hurtownicy oszukiwali na wadze i miarach, wypisywali zawyżone rachunki. Każdy chciał coś podwędzić. A jak on, Kalman, może być wszędzie jednocześnie?

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do przekonania, że stał się więźniem, a nie panem swego losu. Żona istotnie miała rację. Co dobrego przyniosło mu bogactwo? Na kolację nadal jadał miskę gryczanej kaszy jak wówczas, gdy był domokrążcą, i nadal sypiał nie na złotym łożu, tylko na piernacie. Główna różnica polegała na tym, że niegdyś jadł posiłki bez pośpiechu, dokładnie przeżuając strawę, a teraz połykał je czym prędzej. Dawniej ucinał sobie czasem krótką drzemkę po obiedzie, teraz – choćby najbardziej się starał – nie mógł w ciągu dnia zasnąć. Na szczęście Wszechmocny – błogostawione niech będzie imię Jego – dał Żydom szabas. Z nadejściem piątkowego wieczoru odsuwano na bok interesy. Niosąc czystą zmianę bielizny i skarpety, przygotowane przez Zełdę, a także tałas, szedł do kąpieli z Mejerem-Noelem do najbliższego strumyka, a czasami Gec zawoził ich do łaźni w Jampolu. Po powrocie Szajndł witała ojca podając mu świeżo upieczoną

chałkę i kompot ze śliwek. Potem narzucał szabasowy chałat, siadał i recytował Pieśń nad pieśniami. Chwała Bogu, demony harówki nie miały mocy w szabas. Zelda i Jochewed odmawiały błogosławieństwo przy świecach palących się w srebrnych i mosiężnych lichtarzach, w obecności wszystkich dziewcząt, pomytych, uczesanych i ubranych w odświętne sukienki. Mejer-Joel uskarżał się, że nie może się przyzwyczaić do odprawiania modlitwy bez minjanu. Kalman ślubował, że wybuduje w majątku małą bóżnicę, opłaci minjan złożony z dziesięciu pobożnych Żydów, dostarczy zwój Tory, Talmud, obstaluje Arkę Przymierza i pulpit oraz umywalnię, świeczniki i haftowaną zasłonę na Arkę. Zbuduje nawet rytualną łaźnię, jeśli tylko Jochewed odbędzie szczęśliwie poród, Szajndl wyjdzie za mąż, a Miriam-Liba się zaręczy. Kalman nie zamierzał przeżyć życia bez celu ani znaleźć się na tamtym świecie nie mając nic poza workiem grzechów.

II

Kalman uległ wreszcie naleganiom Mejera-Joela, żeby odbyć pielgrzymkę do rabiego w Marszynie z racji święt Szewuot. Miał im towarzyszyć reb Menachem-Mendel i Azriel, chociaż ten ostatni niezbyt chętnie . godził się na podróż. Wolałby spędzić czas na lekturze podręczników otrzymanych od WaUenberga. Zaczął się już uczyć algebry, geometrii, łaciny, fizyki, chemii i geografii, wszystkiego naraz. W Warszawie nabył też parę słowników i atlas. Wydawało mu się, że to strata czasu porzucić taką skarbnicę wiedzy dla odwiedzin u rabiego chasydzkiego, ale nie wypadało urazić przyszłego teścia.

Kalman zamówił na drogę pokaźną liczbę maślanych bułeczek i gryczanych placków oraz kilka butelek' wina

dla rabiego w Marszynie. Karetę miała wyruszyć na-
zajutrz wczesnym rankiem, w przeddzień Szewuot.
Azriel, który tej nocy prawie nie zmrużył oka, zapakował
po-
dręcznik geografii i kompas razem z modlitewnikiem i
tefilin.

Świtało wcześnie. Kalman i Mejer-Joel mieli zajechać
po reb Menachema-Mendla i Azriela. Podczas ubierania
się reb Menachem wzdychał. Rozmyślał, że rabi z Mar-
szynowa jest niewątpliwie wielkim mędrce, ale on oso-
biście woli innego rabiego, kaznodzieję z Turzyska. Nie-
stety, wielka odległość dzieliła Turzysk od Jampola i reb
Menachem stopniowo stracił kontakt ze swym duchowym
ośrodkiem.

Gwiazdy zbladły. Kogut zapał. Jak na porę Wiosenną,
było niezwykle ciepło, mimo to Azriel poczuł chłód. Matka
jego, Tirza-Perł, krzątała się w szlafroku i rannych pan-
toflach. Siostra, Mirele, leżała w łóżku z potarganymi
włosami marząc o niebieskich migdałach.

– Uważaj na swoje zachowanie w Marszynie –
ostrzegala matka. – Czego dokonał twój dziad? Nie
można rzucać wyzwania światu! Chwała Bogu,
poszczęściło ci się z narzeczoną, nie zepsuj
wszystkiego.

– Mama lubi prawić kazania, prawda? – zauważyła
Mirele.

– A ja myślałam, że ona śpi! Umyj się i napij kawy z
cykorią. Nie bądź zazdrosna, moja droga, z woli Bożej
przyjdzie i na_ cię kolej! Co mnie zostało? Tylko wy,
moje kochane dwa gołąbki.

Turkot kół zbliżył się i ucichł przed domem. Azriel wy-
niósł walizki. Horyzont płonął, a na trawie szklila się rosa.
Samotny przechodzień, pobożny Żyd, ściskający pod
pachą woreczek z tałesem, idąc do synagogi potykał się

jak lunatyk. Znad rzeki podnosiły się mgły. Konie stały potulnie ze zwieszonymi łbami, jakby szepcząc do siebie. Mejer-Joel, w kapeluszu na bakier, był wyraźnie w dobrym nastroju. Postawił na swoim. Kalman pomógł reb Mendlowi wsiaść do karety; Gec, żując źdźbło słomy, machnął batem. Dwaj starsi mężczyźni siedzieli naprzeciw Me- jera-Joela i Azriela.

– Proszę zaopiekować się nim, reb Kalmanie – zawołała Tirza-Perł od progu.

– Nie ma zmartwienia –* uspokajał ją Mejer-Joel – niedźwiedzie nie biegają po Marszynowie.

Gec szarpnął lejcami i kareta ruszyła. Minęła rynek, kościół i sklep Kalmana o szczelnie zamkniętych okiennicach. Droga do Marszy nowa biegła skrajem gruntów Kalmana. Na polach zielone kłosa pochylały się, jakby niezdecydowane, czy dojrzewać, czy też przedwcześnie opaść. Szybujący nad gajem ptak zatrzepotał skrzydłami.

Obok drogi stała blada i senna Szajndł. Na jej znak Gec ściągnął lejce. Trzymała dwa pakunki, jeden obwiązany sznurkiem, drugi zieloną wstążką.

– A co tam masz, kochanie? Powinnaś jeszcze spać powiedział Kalman zdziwiony.

– To dla ciebie, ojczy, na drogę.

– Dziękuję.

– A to dla ciebie –powiedziała do Azriela. Oboje się zaczerwienili.

" –» Szczęśliwej drogi!

– Do widzenia.

Kareta potoczyła się dalej. Sylwetka Szajndł oddalała się, Azriel chciał jej pomachać, ale się wstydził. Kalman przeczesał palcami gęstą brodę.

– Ciekaw jestem, co też może być w tych paczkach? – odezwał się Mejer-Joel.

- Na pewno smakołyki – powiedział Kalman.
- To dobrze, proszę teścia, przydadzą się w Marszynie. Tam trzeba się równo dzielić z innymi. W Marszynie można w zajeździe wygodnie ułożyć się do snu, aż tu naraz zjawi się jakiś ubogi podróżny, z którym trzeba będzie dzielić łożo. To Marszynów! Rabi pewnego razu oznajmił: "Łatwo jest głosić miłość do Pana, trudniej pokochać kalekiego garbarza." Pewnego razu w Marszynie zjawił się niewierzący litwak po to, żeby podrywać z obecnych. W czasie modłów rabi jak zwykle gestykulował, a ten litwak stanął obok i naśladował każdy jego gest.: Paru młodych wiernych chciało go pobić, ale rabi, który orientował się w sytuacji, nie dopuścił do tego. Różni petenci często czekali po kilka dni na przyjęcie u rabiego, ten litwak jednak- został przyjęty niemal od razu >i, o dziwo, spędził u niego prawie całą godzinę. Streszczając się powiem, że został nabożnym wyznawcą chasydzkim i po dzień dzisiejszy Marszynów jest jego duchowym ośrodkiem. Na szczęście osiadł w Warszawie, w przeciwnym razie li- twacy zaleliby. Marszynów.
- Czy litwacy nie są tacy sami jak my? – przerwał reb Menachem-Mendel. – Dusze wszystkich Żydów były zgromadzone na górze Synaj.
- Jednakże...
- W Bełżcu – ciągnął reb Menachem – można zobaczyć chasydów z odległych części Węgier _ recytujących po węgiersku Gemarę, a pomimo to noszących pejsy aż do ramion.
- Przedziwne!
- Talmud utrzymuje, że opiekuńcze duchy nie znają aramejskiego. Mówią po hebrajsku – objaśnił reb Menachem na użytek Kalmana. – Ale Wszechmocny zna

wszystkie języki. Nawet Szma może być recytowana w innych językach, nie tylko w hebrajskim.

– Czy Szma nie brzmiałaby nieco dziwnie po turecku?

Azriel odczuwał przemożną potrzebę zabrania głosu.

Już

wcześniej chciał się włączyć i powiedzieć, że człowiek łatwo może się zarazić od nieznanego biedaka, którego musiałby nagle wpuścić do swego łóżka; że nikt nigdy nie rozmawiał z aniołami i nie stwierdził ich zdolności lingwistycznych. Powstrzymał się jednak. Mejer-Joel czekał tylko na to, aby wprowadzić go w zakłopotanie. Zapewne czuł żal, że go wystrychnięto na dudka przez ożenek z Jo- chwed, podczas gdy Azriel miał dostać Szajndł.

Azriel zwrócił wzrok ku niebu.

Świecący Wóz sunął ku zachodowi. Na wschodzie podniosło się słońce jak krwawa kula; ptaki zbierały się gromadkami, by je powitać. Purpurowe cienie kładły się na równinach. Wydawało się dziwne, że nawet teraz, gdy kareta toczyła się w kierunku Marszynowa, ziemia obraca się wokół swej osi z zachodu na wschód, jednocześnie od wieków obiegając słońce. Azriel pomyślał o zjawisku ciężenia

ziemskiego. Co je powoduje? Dlaczego jedno ciało musi przyciągać drugie? Podręcznik fizyki, który dostał od Wal- lenberga, nie dawał odpowiedzi na te pytania.

Będzie musiał poszukać książek na wyższym poziomie.

III

W Marszynowie roiło się od tłumów. Nawet w Lublinie Azriel nie widział tylu ludzi. Wszędzie spotykało się pielgrzymów chasydzkich, w bóżnicy, na dziedzińcu i w ogrodzie rabiego oraz na całym rozległym rynku. W gospodach pełno było przyjezdnych, goście spali na siennikach wypchanych słomą albo i na gołych deskach.

Kalman z trudem znalazł jeden pokój dla siebie, reb Menachema, i Azriela. Gec ulokował się u miejscowego woźnicy. Mejer- -Joel odszukał ojca, reb Jecheskiela Wienera, ■. ■który przybył wraz ze swym bratem, dwoma szwagrami oraz wujem z Łodzi, i przyłączył się do nich. Reb Menachem i Kalman pospieszyli do kąpieli rytualnej. Chociaż ojciec nalegał na Azriela, by z nimi poszedł, udało mu się znaleźć wykręt. Nie miał zamiaru kąpać się w stawie, z którego już tylu innych korzystało. W tym czasie obszedł całe miasteczko.

Okna domów przyozdabiały papierowe wycinanki przedstawiające gołąbki i kwiaty z łądkami zrobionymi ze srebrnego i złotego papieru; na łądkach przysiadły małe ptaszki o główkach ulepionych z ciasta. W rogach okien umieszczano zawsze tatarak albo trzcinę, symbolizujące obdarowanie Żydów Torą na górze Synaj. Wszędzie kręciły się dzieci dmuchając w gwizdki zrobione z trzciny. Ponieważ w święta Szewuot spożywano potrawy mleczne, w miasteczku czuło się silny zapach mleka oraz kawy, cykorii i ciast. . • 3

Azriel zaszedł do synagogi należącej do gminy niechasydzkiej. Przechadzał się po uliczkach i zaułkach. Dziew-

czyny spacerowały w odświętnych strojach; mężczyźni po- igracali wracali do domów po odbyciu kąpieli. Sklepy były jeszcze |3§B otwarte dla uboższych klientów, którym udało się w ostat- j.-^Ęa niej chwili wskrobać albo pożyczyć parę groszy na świąteczne zakupy.

Ta pozbawiona celu wędrówka świadczyła o tym, jak niespokojny i zniecierpliwiony stał się Azriel. “Co mi dolega?— myślał. — Dlaczego czuję się tu obcy? Czy naprawdę ludzie są tak ślepi na oczywiste sprzeczności w ich wierze? Bóg to Pan świata, a na tymże świecie

ubodzy cierpią głód. Chociaż zakłada się, że Bóg jest miłosierny, pozwala On silnym pokonywać słabych. Jak to określił Wallenberg? Aha, walka o przetrwanie. Nie istnieje żadne piekło jako kara dla rekinów pożerających drobne rybki. Narody chrześcijańskie, modlące się do Jezusa, niszczyły słabszych sąsiadów i aczkolwiek nauczały, aby nadstawiać drugi policzek, ich władcy zsyłali przeciwników politycznych na wygnanie. A Żydzi? Wybrany naród boży pozostaje nadal uciśniony i skazany na wieczną tułaczkę. Raz sprawcą pogromu był Chmielnicki, potem Gonta lub car Mikołaj. Pochodziło do masowych rzezi albo wydawania surowych dekretów. Czy należałoby sądzić, że ci umęczeni Żydzi pokutują za przypuszczalne grzechy swych przodków? Czyż ich modły i zgłębianie Talmudu nie są wystarczająco żarliwe? Mesjasz nie zjawił się jeszcze. A czy zjawi się w ogóle? Księga Daniela została przebadana na wskroś przez mędrców szukających wyjaśnienia słów o przyjściu Mesjasza -w nutrakonie, czyli interpretacji inicjałów, i w gematrii, nauce o wartości matematycznej liter. Wszystko to jest kłamstwem. Oparli wszelkie swe nadzieje na jednej księdze, dziele śmiertelników!"

Nadeszła pora powrotu do gospody. Słońce zachodziło, Azriel musiał się jeszcze przebrać w świąteczne szaty, lecz zabłądził w nieznanym mieście. Nie mógł sobie przypomnieć nawet nazwy gospody. Poszedł w odwrotnym kierunku, minął sklep krawca, w którym pospiesznie prasowano jakiś przyodziewek, minął kobietę szorującą jeszcze schodki ganku. Pobożni Żydzi, ubrani w atłasowe chałaty przepasane szerokimi plecionkami, w aksamitnych, obszytych futrem kapeluszach, miękkich pantoflach i białych pończochach już podążali do synagogi. Co powiedziałyby jego

ojciec i Kalman, gdyby nie zdążył przybyć na czas? Mejer-Joel na pewno miałby dużo do powiedzenia. Kalman mógłby się tak rozgniewać, że doszłoby do zerwania zaręczyn. Azriel stanął w miejscu, rozglądając się na wszystkie strony. Gospoda powinna być gdzieś w pobliżu, ale gdzie? Próbował zatrzymać jakichś przechodniów, lecz żaden nie przystanął ani nie odpowiedział. Czyżby go nie widzieli? Czy się na niego gniewali? Zrobiło mu się tak gorąco, że się spocił. Wzrok mu się mącił, To te moje nerwy – zupełnie jak u matki! Wszyscy go uważają za zdrowego, ale tak naprawdę to jest chory, na wpół szalony. Azriel począł się wściekać na ojca, na Kalmana, na Mejera- Joela. Po co go przyciągnęli do tych cudownych rabich? Nie wierzy w nich, nie jest nawet pewien swej wiary w Boga. Znowu zapytał o drogę do gospody i opisał, jak ona wygląda. Tym razem doczekał się odpowiedzi, ale jej nie dosłyszał; zapytany człowiek wskazał najpierw w jednym kierunku, potem w drugim, jakby drwił z niego. "Nie chcę żyć – krzychało coś w mózgu Azriela. – Nie chcę się żenić i wydawać na świat jeszcze więcej Żydów. Rację ma Wallenberg, to wszystko jest szaleństwem, cała ta pobożność i udręka! Może powinienem od razu uciec. Ale dokąd? A co zrobiłaby Szajndl?"

Dobrze znany żal ogarnął serce Azriela. Ten żal pamiętał; od pierwszych lat chederu. Wszyscy chłopcy, oprócz Azriela, tworzyli grupę. On pozostawał na uboczu. Nawet nauczyciel odnosił się doń podejrzliwie. Chłopcy wyśmiewali się z niego, przezywali, bili, a zarazem usiłowali zdobyć jego przyjaźń. Historia powtarzała się we wszystkich miejscach pobytu: w Turbinie, Lublinie, Jampolu. Nawet tutaj, w Marszynie, ludzie odnosili się do niego wrogo. , "Musi być coś takiego we mnie –

myślał. – Ale co? > Twarz, oczy? Czy wyglądam na pomyłonego?" Żal mu się zrobiło Szajndl. Nie wiedziała, jakiego człowika poślubia. Wstała o świcie, aby mu' wręczyć paczkę kruchych | ciasteczek. – Azrielu! – zawołał jakiś głos. Staął jak wryty. Był to Mejer-Joel.

– Dokąd idziesz? Czy byłeś już w łaźni?

– Tak.

– Nie widziałem ciebie.

– Niemniej jednak byłem.

– No dobrze, jak byłeś, to byłeś. Dokąd teraz idziesz?

– Po prostu spaceruję.

– Czyżbyś zapomniał? Już pora na modlitwy wieczorne.

– Muszę się przebrać.

– Bardzo mało czasu zostało, słońce Już zachodzi.

Wtedy dopiero Azriel spostrzegł, że Mejer-Joel już się przebrał.

– Ale, powiedz no, gdzie jest ta gospoda? – zapytał I niepewnie.

– Zabłądziłeś, co? Tak też myślałem. Jak prawdziwy filozof.

Co dziwniejsze, Azriel znajdował się prawie na tyłach gospody. Obok była studnia i schody. Jak mógł nie spo- | . strzec? Wciąż jeszcze zmieszany, otworzył drzwi prowadzące do kuchni, skąd powitał go pisk młodej kobiety, która się właśnie ubierała. Przemierzał korytarze tam i z powrotem, starając się odgadnąć, gdzie jest ich pokój.. Wreszcie dojrzał reb Menachema-Mendla.

– Ojcze!

– Gdzieżeś był? Wszędzie ciebie szukałem. Wstyd mi robisz!

– Gdzie jest nasz pokój?

– Ten, tutaj.

Azriel wszedł do maleńkiego pomieszczenia z trzema łózkami.

W ciemności, po omacku, przebrał się, jak mógł najszybciej, i wraz z ojcem i Kalmanem ruszył do synagogi. Gdy przyszli, nabożeństwo już się zaczęło. Świece zdążyły się pochylić od gorąca. Mnóstwo głosów wznoszących się z gąszczu atłasowych i aksamitnych chałatów, wydostających się z gęstwiny bród i pejsów, śpiewało chóralnie refren: "Albowiem on jest naszym życiem i miarą naszych dni i On będzie nas prowadził w dzień i w nocy."

Azriel stanął osobno przy wejściu. Jak dobrze znane mu było to otoczenie, a zarazem jak bardzo dalekie. Jakaś ukryta, lecz wroga siła zdawała się oddzielać go od innych. Już nie czuł się jednym z nich, było to ich święto, nie jego.

Nie mógł znieść gorąca panującego w synagodze. Wszedł i przyłączył się do grupy młodzieńców modlących się na zewnątrz. Wieczorne powietrze orzeźwiało. Przy ziemi świeciły robaczki świętojańskie, nad głową migotały gwiazdy, a obok płynął księżyc na nowiu. "Zabłądziłem w małym miasteczku – rozmyślał – gwiazdy zaś szybujące miliony kilometrów nigdy nie zbaczą ze swych orbit. Kometa zatacza krąg w ciągu siedemdziesięciu lat!"

Azriel zaczął już recytować Osiemnaście błogosławieństw, nie mógł jednak odmawiać ich dalej. Bóg może istnieje, lecz te słowa nic nie wyrażają oprócz wiary w objawienie, które nigdy nie nastąpiło, i wiary w miłość Boga do Żydów, która jest ich własnym wymysłem.

– Reb Kalmanie z Jampola, prosimy zająć miejsce. Kalman stał zdumiony. Jak to możliwe, że on, zwyczajny Żyd, ubrany w zwykły sukienny chafat, został tak wyróżniony, podczas gdy w chederze tłoczyli się w ścisku uczniowie rabiego, wśród których było wielu czcigodnych starców odzianych w aksamity i noszących długie pejsy? Pochyliwszy głowę podążył za dwoma gabe, aby zająć zaszczytne miejsce. Główny rabi siedział w fotelu u szczytu stołu. Niewysoki, krępy, z okrągłą twarzą, o srebrnobiałej brodzie w kształcie wachlarza, miał na sobie biały, chałat z wyhaftowanymi liśćmi bzu i biały kapelusz o szerokim rondzie obszytym futrem. Jeden szames przyniósł miedziany dzban, misę i ręcznik, drugi zaś polał wodą ręce rabiego, po czym rabi zaintonował odpowiednią modlitwę. Po jego prawicy siedział reb Szymon, najstarszy syn rabiego; czarna jak dżet broda i ciemne błyszczące oczy żywo kontrastowały z białą szatą i włosami ojca. Młodszy syn, reb Mosze, znany jako rabi z Chmielowa, był wysokim, chudym młodzianem, rzadka broda z trudem zakrywała mu czubek podbródka, pejsy nosił długie jak warkocze dziewczyny. On również asystował ojcu. Wyznawcy chasydzcy tłoczyli się wokół stołu rabiego; na stojących najbliżej napierał tłum znajdujący się z tyłu. Kalman, cały spocony, nie mógł w tym ścisku sięgnąć po chusteczkę, aby obetrzeć czoło.

Rabi kroił bochenek białego chleba na kromki nożem o rękojeści z perłowej masy. Kiedy przełknął jeden kęs, jego wyznawcy ubiegali się o resztę ze skórką i okruszkami, bo był to już chleb święcony. Rabi tylko próbował każdego dania, spożywając płatek ryby, kęs mięsa, łyżkę zupy, jedną duszoną śliwkę. Podczas całej biesiady osoby towarzyszące rabiemu intonowały chasydzkie pieśni, a tłum, włączał się przy refrenach.

Początkowo Kalman z trudem łapał oddech i myślał, że nie wytrzyma tego gorąca, stopniowo jednak zaczął się przyzwyczajać do zaduchu. Dziwił się promiennemu nastrojowi rabiego, jak gdyby boża obecność spowiła tego mędrca. Wokół siebie widział przepocone chałaty przywierające do ciał. Czarne, żółte i siwe brody, oczy płonące zapałem. Dominował duch niczym nie zmaconego ukontentowania. Kalman przyłączył się do chóralnego śpiewu, chociaż nie znał miejscowych chasydzkich pieśni. Nie był tu sam, miał wokół siebie braci – Żydów zgromadzonych dla oddania chwały Panu. Po drugiej stronie stołu zajął miejsce starzec z czołem pooranym głębokimi bruzdami, w wytartym aksamitnym kapeluszu i zniszczonym chałacie. Obok niego siedział młody mężczyzna z głową tak nisko pochyloną, że pejsami zamiatał obrus. Młode piskliwe głosy zlewały się z poświstywaniami astmatyków. Wszyscy śpiewali jeden hymn. Wspólnie chwalili Wszechmocnego za jego łaski i modlili się nie o dobra doczesne, lecz o przyjście Mesjasza, wytępienie zła, zniesienie niewolnictwa i koniec wygnania, a także i o to, aby niebiańska radość i zbawienie wzniosły świat na wyżyny.

O tak, oto miejsce dla Żyda. Jak tu jest wspaniale, rozmyślał Kalman. Duch się odmładza. W ostatnich latach

Kalman zamknął się w sobie. Spotkał w życiu tylu krętaczy, lichwiarzy i pasożytów. Teraz cała zawziętość na nich ustąpiła, a jej miejsce zajęło "uczucie braterskiej miłości. "Kimże jestem w porównaniu z tymi pobożnymi mężami? Jeszcze jednym z tych, którym udało się zrobić pieniądze – rozmyślał. – Wrócę tu z wolą bożą. Tutaj można znaleźć, prawdziwą radość."

Zarządzono milczenie i zapanowała nagła cisza. Rabi rozpoczął swój dyskurs o Piśmie Świętym z początku tak

cicho, że ledwie było słycać jego głos. Ludzie stojący za Kalmanem cisnęli się do przodu, chuchali mu na kark i łaskotali brodami. Wkrótce głos mówiącego zabrzmiał donośniej. Rabi przytoczył tekst z Talmudu na dowód, że jeszcze przed poznaniem istoty Dziesięciorga przykazań ludzie byli gotowi stosować się do nich.

– Dlaczego miałyby to uchodzić za cnotę? ■ ciągnął dalej rabi. -r- Czy nie jest rzeczą bardziej godną zalecenia najpierw wysłuchać i rozważyć, nim skoczy się na oślep głową w dół? Czy nie powiedziano w innym miejscu Talmudu, że złym jest sługą teii, kto najpierw coś uczyni, a potem zadaje pytania. Zachodzi tu chyba jednak sprzeczność. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, czy nie lepiej pozostać bezczynnym niż popełnić takie czyny, których następstwa nie są przewidziane? Rzecz w tym, że w niektórych przypadkach słusznie czyn wyprzedza myśl. Nie można, na przykład, wyjaśnić potrzeby pielgrzymki, bo nie da się jej zrozumieć, dopóki człowiek sam tego nie doświadczy. Filozofia na pewno zaczyna się od wątpliwości, chaosu i próżni; toteż nie jest w stanie i nic stworzyć, gdyż tam, gdzie na początku była pustka, pozostanie ona i do samego końca. Przeto napisano: "Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem." Na początku Bóg stworzył, a dopiero potem dostrzegł próżnię. Gdyby ją zobaczył na początku, może by się powstrzymał od tworzenia. Kiedy Wszechmocny dał Żydom Torę, słusznie się obawiał, że zechcą najpierw wiedzieć, co to jest, lecz właśnie wtedy, gdy udowadnia się coś i nad czymś rozmyśla czas dłuższy, rodzą się z pewnością wątpliwości.

Dokładnie to samo przydarzyło się Ezawowi i Izmaeiowi, którzy według mędrców pierwsi otrzymali Torę i odrzucili ją. Ale Żydzi poszli za przykładem Pana, gdy ten tworzył

Niebo i Ziemię. U nich czyn poprzedził namysł» Dzieło rozwiązało wszystkie wątpliwości.

Lecz jak i kiedy należy tę zasadę stosować? Tylko przy wypełnianiu, świętych powinności. W sprawach świeckich i dotyczących ciała należy przyjąć wręcz odwrotną kolejność postępowania. Najpierw trzeba rozważyć i zastanowić się, a dopiero potem czynić to, co należy. Ten, kto najpierw wyrządza krzywdę, a potem zadaje pytania, źle czyni. Właśnie czyny niegodne budzą w człowieku nie kończące się pytania, Wszystkie wątpliwości ustępują, gdy spełniamy dobre uczynki. Jak jednak poznać prawdziwego ducha cnoty? Odpowiedź brzmi: przez uczucie radości. Człowiek, który kogoś skrzywdzi, odczuwa niepokój, skłócony jest z samym sobą. Dobry uczynek natomiast wywołuje uczucie wewnętrznej szczęśliwości. Człowiek podniesiony na duchu zna odpowiedź na wszystkie pytania.

Niektóre części przemówienia rabiego były dla Kalmana zbyt zawile, ale zwłaszcza jeden morał zdawał się wprost dlań przeznaczony: należy czynić dobrze i wyświadczać dobrodziejstwa bez zastanawiania się i szukania motywacji, trzeba natomiast posłużyć się zdrowym rozsądkiem i okazać umiar, zanim wyrządzi się komuś krzywdę.

“Boże w niebiosach, jakże to prawdziwe i wspaniałe!..’ – wyszeptał. Świętobliwy starzec odgadł jego najskrytszą myśl. – Od tej pory zacznę spełniać dobre uczynki, będę bardziej miłosierny, będę wspomagał tych, którzy potrzebują mej pomocy; dwie godziny dziennie poświęcę na zgłębianie Tory. Nie będę żywił niechęci do nikogo i każdego uszanuję. Tak, tak.”

Po przemówieniu szames Mendel wszedł w samych pończochach na stół i zaczął nalewać wszystkim wino: tym uprzywilejowanym siedzącym za stołem i tym

stojącym, bez wyjątku, nie pomijając nawet bardzo młodych mężczyzn. Kaiman usłyszał, jak szames wywołuje nazwiska

m

reb Jecheskiela Wienera, Mejera-Joela i jego młodszego brata. Potem nagle usłyszał:

– Wino dla Azriela, syna reb Menachema-Mendla z Jampola.

Kalman rozejrzał się za Azrielem. Puchar wina, wręczony przez szamesa najbliższemu stojącemu mężczyźnie, przechodził z ręki do ręki, aż dotarł do Azriela stojącego w drzwiach. “Jakąż wspaniałą pamięć ma rabi z Marszynowa”, pomyślał Kalman. On sam był roztargniony, zawsze zapominał nazwisk swoich, pracowników, niekiedy nawet imion córek, ale rabi osobiście witał każdego gościa przybyłego pod jego dach, młodego czy starego. Jedno pytanie wciąż zaprzętało umysł Kalmana. Dlaczego został wybrany na to zaszczytne miejsce? Czego dokonał, by na nie zasłużyć? Czy to z powodu bogactwa? Jeśli tak – było to zapewne za sprawą szamesów rabiego, a nie jego samego. Po co rabiemu pieniądze? Podeszły w latach człowiek, bliższy już niebiosom niż ziemi.

V

W czasie świąt przedstawiono Kalmanowi dwóch młodych ludzi jako kandydatów do ręki jego córki Miriam-Liby. Jednym był Jochanan, syn owdowiałej córki rabiego, Temerł, diugim –■ syn reb Dawida Gombinera, bogacza z Płocka. Nieżyjący ojciec Jochanana, reb Cadok, został uznany za świętego. Już jako bardzo młody człowiek pościł przez dwa dni w tygodniu i wstawał o północy na modlitwy. Ogólnie przepowiadano, że pewnego dnia zajmie miejsce rabiego z Marszynowa, którego dwaj

synowie, reb Szymon i reb Mosze, nie mieli zwolenników. Reb Cadok zmarł jednak na suchoty, które lekarze' przypisywali zimnym kąpielom rytualnym. Została po nim wdowa, Temerł, z dwiema córkami i synem. Nie wyszła ponownie za mąż. Mając lat jedenaście Jochanan, podobnie jak ojciec, zaczął przestrzegać wszystkich postów i dokonywać ablucji o świcie w lodowato zimnym stawie. Jego dziadek, sędziwy mędrzec reb Szmarja-Gad, przyznał kiedyś, że świątobliwość wnuka, przerasta jego własną. Szesnastoletni Jochanan, czarnooki, o wąskiej twarzy, był o wiele za mały i za chudy na swój wiek. Policzki miał wpadnięte, pejsy sięgały mu ramion, na wychudzonej szyi wystawało jabłko Adama. Ci, którzy go widzieli w czasie rytualnej mykwy, mówili, że to sama skóra i kości. Natomiast uczeni w piśmie zwali go cudownym chłopcem, bo umiał na pamięć sześć części Miszny, a niektórzy utrzymywali nawet, że jest już kabalistą.

Reb Szymon żywiący przez kilka lat obawę, że jego szwagier, reb Cadok, może zostać następcą rabiego z Marszynowa, teraz obawiał się swego siostrzeńca Jochanana. I chociaż to reb Jecheskiel Wiener zabiegał o przyspieszenie małżeństwa Jochanana z Miriam-Libą, domyślano się ogólnie, że reb Szymon kieruje całą tą sprawą. Gdyby Jochanan został zięciem bogatego człowieka, mniej by mu zależało na stanowisku rabiego z Marszynowa, tak rozumował reb Szymon. Poza tym chodziły słuchy, że Miriam-Liba ma zadatki na heretyczkę, a tym samym nie będzie zbyt chętnie widziała duchowego przewodnika Marszynowa za męża.

– Czy zdajesz sobie sprawę, Kalmanie, jak wielką wygraną stanowi Jochanan? – spytał reb Jecheskiel Wiener. – Toż to klejnot! Nie znajdziesz takiego drugiego w całej Polsce!

Z trudem przychodziło Kalmanowi oswoić się z myślą, że może zostanie powinowatym rabiego z Marszynowa. Nie zasłużył na taki zaszczyt. Tego byłoby za wiele; dręczyły go różne obawy. Los może mu spleść figła, najpierw wywyższając – jak mówi przysłowie – potem zaś ponizając. Myślał o tym, że Miriam-Libie nie przypadnie to małżeństwo do gustu, Czytywała różne świeckie książki, lubiła się ładnie ubierać, a erudycja Jochanana w sprawach religii nie będzie dla niej miała żadnego znaczenia. Kto może powiedzieć, czy będą do siebie pasowali? Kalman obawiał się też szyderstw ludzi z Jampola, że się stara wkupić do dworu marszynowskiego.

Odpowiedział unieżenie reb Jecheskielowi:

– Co mogę powiedzieć? Kim ja jestem? Prostym Żydem, nieukiem.

– Nie bądź taki skromny! Wszyscy znają reb Kalmana Jakobiego. Pójdiesz z wizytą do Temerł?

– Iść z wizytą do córki rabiego? A to w jakim celu?

– Bardzo chce ciebie zobaczyć. No, chodźmy.

Do domu Temerł szli przez sad, gdzie krzewy bżów rosły pośród jabłonek i grusz. Chasydzi zrywali owoce wczesnym latem, gdy jeszcze nie były dojrzałe.

Powietrze aż, pachniało, ptaki śpiewały, a płatki kwiecica opadały na ziemię. W środku sadu stała altana, w niej czasami siadywał rabi ucząc swych wnuków. Dom, który młodzi dowcipnisie nazywali "Paryżem", miał jedno piętro. Menuche, żona reb Szymona, będąca też córką rabiego, prowadziła gospodarstwo, chociaż głową domu wciąż jeszcze pozostawała mimo podeszłego wieku na wpół sparaliżowana żona starego rabiego z Marszynowa. Druga synowa, bogata Bi-nele, tylko w święta odwiedzała Marszynów. Temerł uchodziła wśród kobiet

za osobę bardzo wykształconą; przyjmowała chasydzkich gości i pisała listy po hebrajsku.

Kalman wraz z reb Jecheskielem wszedł na schody pomalowane na czerwono. Do futryn wysokich drzwi z mosiężnymi gałkami, które mijali, były poprzybijane długie mezuzy w rzeźbionych futerałach. Reb Jecheskiel pchnął jedno z drzwi i otworzył szeroko. Kalman wszedł na błyszczący parkiet salonu. Oprawne w skórę książki o złotonych brzegach stały na oszklonych półkach obok pucharów, tacek, pudełek na korzenie, podstawek do cytryn i różnych srebrnych i złotonych bibelotów. Brokatowe portiery drapowały okna, a pod ścianami stały krzesła z purpurowym obiciem i fontaziami.

Przy niedużym stoliku na wyściełanym krześle siedziała Temerł. Miała haczykowany nos, wystające kości policzkowe i okrągłe ptasie oczy. Nałożyła jedwabny szal i czarny czepiec. Na stoliku leżała otwarta książka, a obok niej cieniutka batystowa chusteczka; stała też na nim karafka z winem i trzy kieliszki.

– Życzą pomyślnych świąt – powiedział Kalman zaczerwieniony i onieśmielony jak uczeń.

I nawzajem, reb Kalmanie, nawzajem, reb Jecheskielu – odpowiedziała gospodyni. – Jaki upalny dzień! Proszę siadać. Trochę wina – zaproponowała głosem ni to py* tającym, ni to nakazującym. Długimi delikatnymi palcami sięgnęła po karafkę, koronki u rękawa poruszyły się, potem wyjęła trzy pierniki z szuflady.

– Lechaim! – Reb Jecheskiel wzniosł swój kielich.

– Lechaim! – powtórzył Kalman.

– Za wasze zdrowie i za pokój! Obyśmy tu obecni i wszyscy nasi bracia osiągnęli zbawienie. Oby zakończyła się nasza tułaczka, obyśmy okazali się godnymi powitania Mesjasza! Już dostatecznie długo czekamy.

Kalman szeptem pobłogosławił wino. Nigdy nie słyszał kobiety wypowiadającej takich myśli i tylu hebrajskich słów. Emanował od niej zapach migdałów i przypraw korzennych. Wino było słodkie, ale mocne. Gospodyni sączyła je z wolna, reb Jecheskiel zaś wypił połowę kieliszka i odstawił go na bok. Kalman wypił do dna.

– Jeszcze trochę, reb Kalmanie. Mamy je wprost z Węgier. Proszę podać kieliszek.

– Uprzejmie pani rabinowej dziękuję.

H Dobre wino nie zaszkodzi.

– Co pani czyta? – zapytał Kalman i zaraz zapragnął ugryźć się w język.

– Synów Isachara. Zdumiewa się pan zapewne widząc kobietę czytającą święte pisma. Istnieje co prawda takie stare powiedzenie, że ojciec, który uczy swą córkę Tory, szerzy herezję. W "naszej rodzinie jednak wszystkie kobiety są wykształcone. Moja ciotka, żona rabiego z Kazimierza, jest bardzo uczona.

– Czy być może!

– Nawet moja babką, niech odpoczywa w spokoju, była biegła w Talmudzie. – Temerł z godnością wydmuchała ixos w batystową chusteczkę. – Lecz prawdziwym uczonym w naszej rodzinie jest Jochanan. To geniusz, któremu nikt nie dorówna. Starszyzna chciała go wyświęcić, ale on

uchylił się od tego zaszczytu. Taki skarb stanowi rzadkość w obecnych czasach, to dar niebios. O jedno tylko proszę Boga: oby mój syn żył długo i cieszył się dobrym zdrowiem. Ojczyźnie w Niebiosach, abym tylko dożyła i mogła się cieszyć jego cnotami! – Podniósłszy kieliszek do ust, Temerł wciągnęła w nozdrza woń wina i znów odstawiła kieliszek. – A Jampol, o którym mówiliście, gdzie jest? – zapytała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

I

Aczkolwiek Kalman zamierzał wyjechać do Jampola natychmiast po święcie Szewuot, w ostatniej chwili zdecydował się pozostać w Marszynie na szabas. Ustalono, że Temerł i Jochanan przyjadą na ślub Szajndł w szabas po poście dziewiątego dnia miesiąca Aw i jeśli taka będzie wola Boża, odbędą się wtedy zaręczyny. Kalman przyrzekł przysłać karetę po czcigodnych gości. Pomimo nalegań reb JecheSkiela Wienera, żeby zaręczyny zalegalizować od razu w Marszynie, Kalman postanowił poczekać na zgodę Miriam-Liby. Czasy się zmieniły, nie zmuszano już córek do małżeństwa.

Pod koniec całogodzinnej rozmowy z rabim z Marszyny, Kalman wręczył swemu gospodarzowi dwieście rubli w intencji modłów za swą duszę. Następnie reb Szymon zabrał go do swoich pokojów. Wkrótce przyłączyła się do nich żona rabiego. Oboje odnosili się do Kalmana tak, jakby już był członkiem rodziny. Od reb Moszego, rabiego z Chmielowa, otrzymał kawałek bursztynu pobłogosławionego jeszcze przez jego dziadka; bursztyn miał rzekomo moc hamowania krwotoków.

Jak tylko minął szabas, Gec przynaglany przez Kalmana spieszenie zaprzągnął konie do karety. Kalman już się martwił o swoje jampolskie interesy i wszystkie nie załatwione sprawy. A na dodatek Jochewed miała lada dzień rodzić.

W drodze powrotnej Mejer-Joel i reb Menachem-Mendel dyskutowali o ruchu chasydzkim. Reb Mendel utrzymywał, że mimo wszystkich zalet nie można przyrównać Marszyny i jego rabiego do Turzyska i świątobliwości

'tamtejsi szego rabiego. Każdy z tych świętych mężów jest inny, za-; znaczył reb Mendel. Na przykład reb Mendel z Rymanowa przyjmuje znaczne dotacje od swych wyznawców i nosi zło tą tabakierkę, ale inni rebowie chasydscy żyją w ubóstwie»- Dla jednego duchowego przywódcy najważniejsza sprawa to zagłębianie się w Torze, dla drugiego m? modlitwa, dla trzeciego – dobroczynność, każdy według swego uznania. i Mejer-Joel kiwnął głową na znak zgody, aczkolwiek drażniło go to wychwalanie Turzyska. Jak można przyrównywać Turzysk do Marszynowa? Słyszał, że przywódca duchowy Turzyska stosuje interpretacje kaznodziejskie. A cóż ■ ~one dają?

Głównym wszelako powodem jego irytacji był Azriel. Taki brak szacunku! Zaledwie się pokazał u rabiego, a w chederze wycofał się do przedsionka między młodych szli- fibruków i szumowiny. Nawet się chełpił, że nie słuchał, co mówi rabi. Mejer-Joel powiedział teściowi o lekceważącym zachowaniu Azriela, ale Kalman odparł: – A nawet jeśli nie jest prawdziwym chasydem, to co z tego? Może być nadal jŁydem. – Dał tym do zrozumienia, że Mejer-Joel czepia się drobiazgów. Jasne więc, że Kalman nie ma najmniejszego zamiaru zerwać zaręczyn.;

Mejer-Joel był w złym humorze. Jak brzmi to stare przysłowie? "Nie można zrobić ze świńskiego ucha jedwabnej sakiewki." Jego teść nie jest zły, po prostu brak mu ogłady. Mejerowi zależało na tym, aby mieć Jochanana zS szwagra. W jego odczuciu Kalman niezupełnie do nich pasował. Joel znalazł się fa poniżającej sytuacji. Kiedy Jochewed urodzi dziecko, zażąda należnego posagu i opuszczą majątek, nawet jeśli nie pojedą dalej jak do Jampola. Nakłoni teścia, żeby wypłacił mu w gotówce należność za lata utrzymania,

jaką mu jeszcze zostanie dłużny. Mejer- -Joel pragnął stanąć na własnych nogach. Interesował go pewien młyn wodny. Nie zamierzał utracić należnego mu od teścia legatu, ale bynajmniej nie chciał spędzić całego życia wśród takich prostaków.

Z nastaniem nocy w karecie zapadła cisza. Kalman zdrzemnął się, rozmyślając o swych łąkach zboża, podkładach kolejowych, kopalniach wapnia i boczniczy, której budowę już rozpoczęto, Miał ogromne zobowiązania finansowe, nawet władze niecierpliwie czekały na linię kolejową. Jedna z jego córek szykowałą się do poślubienia nie kogo innego, jak Wnuka samego rabiego z Marszynowa. Jeszcze przed paru laty wyśmiałby tego, kto by mu przepowiedział obecną pozycję lub napomknął, że zaciągnie takie zobowiązania płatnicze. Z całą pewnością potrzebował obecnie boskiego przewodnictwa, aby się uchronić od błędnych poczynań. v

Reb Menachem-Mendel zatopił się w niewesołych myślach o swym jedynaku Azrielu. Młody człowiek zachowywał się nieodpowiedzialnie w Marszynowie. Co będzie, jeśli Kalman zerwie zaręczyny? Azriel byłby upokorzony. Mogliby go nawet, niech Bóg broni, wziąć do wojska! Dlaczego nie potrafi pohamować swych złych skłonności przynajmniej do czasu, aż się ożeni? Reb Menachem-Mendel błagał Boga o pobłażliwość. Raczej przez wzgląd na szacowną pamięć swych świętych przodków niż na dobro syna.

, Azriel, który w pierwszy dzień Szewuot spotkał w Marszynowie młodego człowieka o nazwisku Aron-Aszer Lipman, miał również o 'czym rozmyślać. Wraz ze swym nowym znajomym stali w przedsionku z modlitewnikami w ręku, lecz się nie modlili. Przez chwilę spoglądali na siebie, po czym zaczęli rozmawiać. Aron-Aszer był

nader niskiego wzrostu, miał ogromną głowę, chudy krótki tułów, kilka włosów na brodzie, bujne pejsy, ciemne oczy. Azriel zwrócił uwagę na jego wąski pas, mocno wyglansowane buty, zapięty na guziczki kołnierzyk koszuli, a przede wszystkim na wyraz oczu, i doszedł do wniosku, że to człowiek wykształcony.

: Po co Bogu co dzień nowe anioły? – spytał żartobliwie Aron-Aszer podchodząc do Azriela. Miał na myśli specjalne wersety na Szewuot, recytowane przez kantora z odpowiedniego ustępu Hagdamot.

– Może te stare kwaśniej – odpowiedział Azriel żartem.

Zanim nabożeństwo się skończyło, Aron-Aszer opowiedział Azrielowi wszystko o sobie. Miał żonę i troje dzieci; jego teść, który, prowadził sklep tekstylny, jeszcze go utrzymywał, ale on też od czasu do czasu pomagał w interesie, jeżdżąc do Warszawy po zakup towaru do sklepu. W tym wielkim mieście poznał się z ludźmi światłymi. Chciałby pojechać do Wilna lub Królewca, aby studiować tam nauki świeckie, ale jego żona była fanatyczką religijną, a ich domem rządziła teściowa. Gdyby tylko udało mu się uciułać na bilet, już dawno uciekłby, choć z drugiej strony nie mógł znieść myśli o opuszczeniu swych dzieci. Mówił i mówił: rabi z Marszynowa ma już starczy umysł, reb Szymon intryguje, chcąc objąć przewodnictwo, Jochanan to głupiec, reb Mosze hipokryta. Dalsze losy Żydów w Polsce stoją pod znakiem, zapytania. Liczba sklepikarzy przewyższa liczbę klientów. Żydzi znaleźli się w ślepej uliczce. Obłudni Żydzi odradzili carowi Mikołajowi przyznanie im ziemi, gdy skłonny był to uczynić, teraz zaś już za późno. Nie używają prawdziwego języka, tylko żargonu. Ubierając się po azjatycku, tutejsi Żydzi należą do epoki króla Sobieskiego. Taki stan rzeczy nie może trwać.

- Widzisz jakieś rozwiązanie? – zapytał Azriel.
- Sami musimy się wyplątać. Sami musimy je znaleźć.
- Ale jak?

W tym momencie wszyscy zgromadzeni powstali, aby wysłuchać Osiemnastu błogosławieństw, i rozmowa się urwała. -

Później dwaj młodzi mężczyźni poszli się przejść drogą "wysadzaną dębami, która prowadziła za miasto. Aron-Aszer, starszy o siedem lat od Azriela, czytał wiele zakazanych książek i periodyków. Mówił głosem monotonnym, a dla podkreślenia jakiegoś tematu, szturchał Azriela w żebra wskazującym palcem owiniętym frędzlą pasa.

– Nasze metody wychowawcze muszą ulec zreformowaniu. Żydzi muszą się nauczyć języka niemieckiego, a także polskiego i rosyjskiego. Dzieci muszą się przysposobić do

zawodu, długie chałaty trzeba skasować, brody zgolić albo przystrzyc. Gdzieś tam w Palestynie albo na Krymie, kto wie, czy nie będzie można otrzymać ziemi na założenie kolonii. Świat idzie do przodu, nie do tyłu. Nawet Jozue potrafił zatrzymać Słońce tylko na parę godzin – zakończył ironicznym mrugnięciem.

II

Na tydzień przed ślubem Szajndl Kaiman posłał karetkę do Marszynowa. Gec przywiózł Temerł, Jochahana i służącą imieniem Kajla. W ciągu lata Kalman powiększył dom, dobudowując osiem pokoi, i mógł w nim teraz wygodnie ulokować gości. Miriam-Liba, z którą rozmawiał o Jochananie, wyraziła swe zastrzeżenia – uważała, że się nie nadaje na synową rabiego, ale obiecała przyjrzeć się młodemu człowiekowi. Jeśli się jej spodoba, to dobrze, zgoda, ale jeśli nie, ojciec zupełnie

poniecha tego mariażu. Kalman uznał takie rozwiązanie za słuszne, chociaż inni mogliby je uważać za nierozsądne.

Spoza firanek swego pokoju na poddaszu Miriam-Liba przyglądała się wysiadającym z karety gościom. Kalman, Mejer-Joel, Zełda, Szajndl i służąca Fajgl czekali, aby ich powitać. Pierwsza wysiadła z tłumoczką w ręku Kajla, wysoka kobieta o męskich rysach. Potem Temerł z pomocą służącej oderwała się od poduszek siedzenia, do których jakby przyrosła. Z książką do nabożeństwa w jednej ręce, a chusteczką w drugiej, ubrana w czarny kapturek, jedwabny szal z długimi frędzlami i czarną jedwabną suknię z trenem, rozejrzała się dokoła i skrzywiła; odór krowiego nawozu wywołał napad kichania. Ostatni wysiadł Jochanan. Ramiona miał pochyle, był drobny, blady, z nazbyt długimi pejsami, nosił aksamitny kapelusz i chałat do samej ziemi, przewiązany szeroką plecionką. Podobnie jak matka trzymał w ręce chusteczkę i jakąś nabożną książkę. Miriam-Libie chciało się i śmiać, i płakać zarazem. — Miriam-Libo, gdzie jesteś? — zawołała Zełda.

6 – Dwór 1

ii

Miriam-Liba, sama nie wiedząc, dlaczego, od razu nabrała niechęci do Temerł i przez chwilę udawała, że nie słyszy wołania matki. Policzki jej płonęły, chciała pozostać w ukryciu. Nawet obecność rodzonej siostry wprawiała ją w zakłopotanie, ta bowiem przyjmowała całą wizytę jak dobry żart, miała rozbawione oczy...

Miriam-Liba zarzuciła szal na ramiona, aby go za chwilę ściągnąć. "Nie muszę wysilać się dla tych durni, pluje na nich!" Czuła się zawstydzona brakiem odwagi, a zarazem niezadowolona ze swej popędliwości.

Ostatecznie te osoby nie zrobiły jej nic złego. Ojciec nie

wyda jej za mąż pod groźbą pistoletu. Zaczęła schodzić po schodach z polską książką w ręku, niech widzą, że robi to, co jej się podoba. Ale po chwili się zreflektowała. Po co martwić rodziców? A jednak jakaś wewnętrzna siła nakłaniała ją do zrobienia na złość tym ludziom przybyłym tutaj, by ją oszacować jak sztukę bydła. Dopiero gdy miała już przekroczyć próg, zdała sobie sprawę z głupoty takiego postępowania, Zawróciła i chowając książkę do spiżarni potraçała garnczek ze śmietaną; musiała odskoczyć, aby się nie zachlapać.

– Jestem, mamó. – Z tymi słowami wreszcie ukazała się przybyłym. _

– Gdzie się schowałaś? – Zełda dokonała prezentacji.
– Oto córka rabiego, a to moja młodsza córka, Miriam-Liba.

Miriam-Liba wiedziała, że powinna była powitać gości, a co najmniej skłonić głowę przy przedstawianiu, stała jednak sztywno, bez ruchu, pod przenikliwym spojrzeniem Temerł.

– Śliczna dziewczyna!

– Dziękuję.

– I wysoka. Oby nie dosięgło jej złe oko.

Jochanan zatopiony w myślach ściągnął brwi i naraz odwrócił wzrok – spojrzał na osobę rodzaju żeńskiego! Szajndł, widząc jego zakłopotanie, zaczęła się śmiać.

– Pani pozwoli, że pokażę dom – zaproponował Kalman Temerł. – Nie mamy salonu, nasze domostwo jest bardzo skromne.

– Komu potrzebne salony? Ach, boli mnie głowa, nie życzą tego nikomu.

– Może szklankę mleka?

– Nie przed modlitwą.

Zełda zaprowadziła gości do przeznaczzonego dla niej pokoju, gdzie Temerł natychmiast umyła ręce, podczas

gdy jej własna służąca trzymała ręcznik w pogotowiu. Potem rozejrzała się po pokoju. Miał wygląd nieskazitelny, a drewniana, świeżo pomalowana podłoga pachniała sosną. U wezgowia łóżka leżały, jedna na drugiej, spiętrzone trzy poduszki wsparte na podgłówku używanym zwykle przez bogatych chłopów.

– Gdzie tu jest wschodnia ściana?

– To ta – wskazała Zelda.

Jochanan, którego Kalman zaprowadził do przeznaczanego dlań pokoju, zadał to samo pytanie:

– Gdzie tu jest wschodnia ściana?

– To ta.

– Czy rzeczywiście nie ma tu minjanu do odprawiania modłów?

– Skąd mógłby być? Jesteśmy poza miastem.

– W takim razie wolno się modlić samemu.

Jochanan umył ręce i zaczął szeptać modlitwy, zwrócony twarzą raczej ku południowo-wschodniej, a nie wschodniej ścianie pokoju. Zakończywszy wstępne modlitwy poranne, nałożył tefilin. Czuł się zmęczony podróżą, myśli miał rozkojarzone. Dotarły doń pogłoski, że ma poślubić jedną z córek Kalmana. Dlaczego musiał przyjeżdżać aż tutaj? Zniósł tę podróż dzięki pogrążeniu się w lekturze świętej księgi, którą zabrał ze sobą, i dzięki recytowaniu psalmów z pamięci, a zarazem błaganiu Pana, aby go ustrzegł od złych myśli. Nie mógł się jednak powstrzymać od rzucenia wzrokiem na łąki, pola, wieśniaków, bydło, ten zewnętrzny świat, któremu nie chciał się przyglądać, bo mógłby go odwieść od należytego służenia Stwórcy. Trzeba nieugięcie przewycięzać wszystkie przeszkody. Przypomniał sobie zalecenie, że należy odmawiać modlitwy tak wolno, jak by się liczyło złote monety. A czyż święte
aa

słowa nie są cenniejsze od największej liczby monet?
“Pan jest sprawiedliwy we wszystkich swych
poczynaniach i łaskawy we wszystkich swych dziełach..
Pan jest z tymi wszystkimi, którzy do niego się zwracają,
ze wszystkimi, których wołania są szczerze. Spełni On
pragnienia tych, którzy czują przed nim lęk; usłyszy On
ich wołania i da zbawienie.” Cóż to za słowa! Bóg jest
blisko tych wszystkich, którzy go wołają. Trzeba tylko
błagać, a On odpowie. Jak błahe są szaleństwa świata
wobec prawdy! Jochanan czuł, że woła do
Wszehmocnego swym umysłem, sercem i całym sobą:
“Dopomóż mi, Panie! Pragnę tylko Tobie służyć z
oddaniem, do ostatniego tchnienia. O nic więcej nie
proszę.”

Mejer-Joel przyszedł po Jochanana i będąc przekonany,
że ten skończył już modły, otworzył drzwi. Ale świątobli-
wy młodzieniec nie zwrócił na niego uwagi i dalej szeptał
Osiemnaście błogosławieństw.

III

W dniu zaślubin Szajndł Kalman odbył poważną rozmowę z Miriam-Libą. W kwadrans potem córka wyszła od niego z rozpalonymi policzkami i drgającymi nozdrzami. Poszła do kuchni powiedzieć matce, że ojciec chce ją zobaczyć. Zapach piernika i świeżo upieczonych bohenków pszennego chleba z dodatkiem szafranu napełniał kuchnię. Drób i wołowina już były oczyszczone według zasad ko- szeru. Zełda wytarła ręce o fartuch i wyszła z kuchni. Wkrótce wróciła uśmiechnięta, jednak ze śladami łez na policzkach. Weszła mała Cypele; chociaż nie miała jeszcze, jedenastu lat, wzrostem prawie dorównywała Szajndł. Włosy nosiła splecione w długie warkocze, ale wciąż zachowywała się jak dziecko. Kucharka upiekła dla niej specjalny pierniczek z literą “C” na wierzchu i owinęła go w złoty papier. Dziewczynka,

złapawszy gorący piernik, przerzucała go z ręki do ręki, narzekając, że ją parzy.

n

Zelda przyciągnęła córeczkę do siebie, przytuliła ją i ucałowała, łzy zaś płynęły strumieniem z jej oczu.

– Ach, moje biedne dziecko! – wyszeptała.

– Ależ proszę pani, przecież to wesele! – odezwała się jedna z pomocnic kuchennych.

– Idź do ojca, kochanie, on chce z tobą mówić – powiedziała Zelda.

– Ze mną?

– Tak, moje kurczątko.

– Spójrz, tato – Gypełe pozdrowiła ojca i pokazała mu piernik. – Jest na nim moja litera.

– Jestem pewien, że będzie bardzo smaczny. Chodź do mnie, kochanie.

Kalman siedzący u szczytu stołu wskazał Cypełe krzesło. Z trudem mogła w to uwierzyć, bo jeszcze nigdy nie zwracał się do niej, by zajęła miejsce. To dowód, że dorasta.

– Cypełe, czyś widziała Jochanana? – zapytał Kalman biorąc ją za rękę.

– Syna rabinowej? Widziałam.

– Jak ci się podoba?

– Ma takie śliczne pejsy!

– Chciałabyś go za narzeczonego?

Cypełe spoważniała.

– A czy on nie ma zamiaru zaręczyć się z Miriam-Libą?

– Miriam-Liba go nie chce.

– A dlaczego?

– Ona sama tego nie wie. Cypełe, chciałbym widzieć cię zaręczoną z Jochananem.

Dziewczynka zaczerwieniła się i odparła:

- Jestem za młoda)
- Niekoniecznie. W dawnych czasach wydawano za mąż ośmioletnie dziewczynki. A właściwe zaślubiny nie odbędą się przed upływem kilku lat. Jako młoda mężatka dostaniesz piękne prezenty. Ten młodzieniec to cud natury, jego dziadkiem jest mędrzec z Marszynowa. Spotka nas wielki zaszczyt.
- A co z Miriam-Libą?
- Z wolą boską nie zostanie starą panną. Znajdzie So«bie męża. Więc co powiesz, Cypele?
- Jak tata sobie życzy.
- Pamiętaj, Cypele, to już nie dziecinna zabawa. Jochanan jest bardzo uczony, a przy tym to półsierota. Nie wolno go skrzywdzić. Poślubisz go, jeśli Bóg pozwoli. Wszak wyrośniesz z wieku dziecięcego.
- Wiem o tym.
- No więc, chcesz go?
- Dlaczego nie?
- No cóż, nie chcę decydować bez twojej zgody. Zgadzasz się, więc wszystko w porządku. Z bożą pomocą los ci będzie sprzyjał. Będiesz moją dumą i radością.
- Czy mogę już odejść?
- Po co ten pośpiech? Ciastko ci nie ucieknie. Zaręczona panienka musi się zachowywać godnie. Dostaniesz w prezencie zegarek z łańcuszkiem, a także posag i wyprawę. Jochanan jest od ciebie starszy, ale niedużo.
- Ile ma lat?
- Szesnaście.
- OJ
- , ~ To nie tak dużo.
- : Jest już młodzieńcem. . – Oczywiście. Co z tego? Ty też jesteś młodą panienką. —• Wiem o tym.

– Zanim się spostrzeżesz, dorośniesz z bożą pomocą. Czas nie stoi w miejscu, kochanie. Czy dawno miałem twoje lata, jak myślisz? Wydaje się, że to było wczoraj.

– Ale tata ma już taką długą brodę! – zaśmiała się Cypełe.

– Cóż z tego? Jochananowi broda też wyrośnie. Kiedy z wolą bożą zostaniesz już kobietą zamężną, będziesz no-< siła czepiec. Przy bożej pomocy doczekasz się dzieci.

– Ja jako mamusia?

Twoja matka też była kiedyś małą dziewczynką. Pamiętam ją, gdy miała twoje lata. Dziadek twój, niech dusza jego odpoczywa w spokoju, jako ubogi, ale pobożny

Zyd przepisywał święte pisma. Za każdym razem; zanim zasiadł do tego przepisywania, dokonywał ablucji; twoja babka była cnotliwą niewiastą. Oboje już połączyli się ze swymi przodkami.

– Dlaczegoż

– Nikt nie żyje wiecznie. Człowiek, który nie przygotowuje się na tym świecie, wstępuje na tamten z pustymi rękami. Poślubiając mędrca, doznasz radości na obu światach.

– Tata myśli, że on mnie zechpe?

—Jochanan? On nie patrzy na dziewczęta, będzie posłuszny, swej matce. Jesteś śliczna, oby złe oko oszczędziło cię. Masz czarne włosy, twarz jasną. Spodobasz mu się. Będziesz cnotliwą żydowską córką. I wierną. Prawda?

– Tak. -

– Zaczekaj, mam coś dla ciebie. – Szukając po kieszeniach znalazł srebrnego rubla. – Masz, weź to.

—Naprawdę?

– Oczywiście.

—r. Ach, dziękuję. .-.-■-. , '■'• :

- Kup coś sobie. Ale teraz chodź do mnie.
- Cypełe podbiegła do ojca; uściskali się i ucałowali. Przechesała mu brodę palcami. Kalman chciałby posadzić ją sobie na kolanie i podrzucać jak na koniu – co robił jeszcze przed rokiem – pohamował jednak to pragnienie.
- No, to byłoby wszystko – odezwał się w końcu.
- Czy mogę wszystkim powiedzieć?
- Nie, na razie to sekret.
- Dobrze.

Wziąwszy swój piernik Cypełe wyszła, ale jeszcze się odwróciła, aby spojrzeć za siebie. Za drzwiami czekała matka z wyciągniętymi do niej ramionami.

- Wszystko słyszałam, kochanie. Mam tylko jedną prośbę do Boga: dożyć twego ślubu; najpierw Miriam-Liby, potem twego.
- Mamusiu...

Matka i córka ucałowały się gorąco, Zełda płakała. Kalman udał się do pokoju Temerł, a żona podążyła wkrótce za nim. Po ich wyjściu Temerł posłała służącą po Jochanana. Cypełe pozostała jeszcze chwilę w domu, potem pobiegła do stodoły i wpełzła na czworakach do zakamarka z niskim spadzistym daszkiem, służącego jej za kryjówkę. W pobliżu rosła wierzba i stał ponacinany pień, używany do rąbania drzewa. Cypełe siedziała w kryjówce i jedząc swój piernik oglądała srebrną monetę. Kiedy służąca przyszła po Jochanana, siedział zatopiony w lekturze Pisma Świętego. Domyślał się, sądząc po szeptach wkoło, że coś się dzieje. Raz i drugi stanąwszy w oknie widział przechodzące dziewczęta, przypuszczał więc, że jedna z nich to jego przyszła narzeczoną. Śmiech i rozmowy dochodziły z przyległych pokojów. Chociaż wszystko było sprawą przeznaczenia, błagał Boga, by mu dał spokojną i cnotliwą żonę, a nie jakiegoś trzpiota. Z czego tu się można śmiać? Gdyby człowiek

zdawał sobie sprawę, ile demonów czai się wokół, jak łatwo się potknąć i zaprzepaścić przyszły żywot, obawa powstrzymałaby go od śmiechu.

Zaznaczając miejsce, do którego doszedł w przypisach do Talmudui Jochanan przeprosił w duchu autorów za to, że przerywa duchowe z -nimi obcowanie. Serce biło mu mocniej niż zwykle. Zatrzymał się w przedpokoju, żeby wygładzić pejsy. Może jego przyszli teściowie będą chcieli przyjrzeć mu się dokładnie...

ROZDZIAŁ SIÓDMY I

Hrabia Jampolski wraz z rodziną przybył na ślub Szajndł i tam właśnie Miriam-Liba spotkała młodą hrabiankę Helenę. Polacy lubili Miriam-Libę, która mówiła po polsku płynniej niż jej siostry. Różnica wieku między dwiema pannami wynosiła zaledwie parę miesięcy. Jak tylko ceremonia zaślubin dobiegła końca, hrabia z żoną i córką Felicją wrócili do dworu, Helena jednak nalegała, że chce zostać. Usiadłszy obok Miriam-Liby przy stole dziewcząt, zjadła trochę świątecznego rosółu z kury, kęs karpia i pszenną bułeczkę. Kilka kobiet, krępujących się podejść do hrabiny, otoczyło Helenę i zaczęło rozmawiać mieszaniną polskiego i żydowskiego. Kiedy zagrała orkiestra i dziewczęta dobierały się parami do tańca, Helena zwróciła się do grajków o mazura, rzucając według zwyczaju monetę na bęben; skłoniła się jak elegancki kawaler przed Miriam-Libą i zaprosiła ją do tańca. Towarzystwo przyglądało się niezwykle widowisku, jak polska hrabianka tańczy z Żydówką; nie brakło śmiechu, zgiełku i okłasków. Obie panny miały podobne figury, chociaż Helena odznaczała się pełniejszym biustem. Była ubrana w białą suknię wyciętą z przodu i na plecach, z bufiastymi rękawami i srebrne pantofelki na wysokich, cienkich obcasikach. Medalion

zdobił jej szyję, a włosy upięła wysoko na modę francuską. Tłum mieszkańców Jampola stał w drzwiach, przyglądając się i rozpychając.

– Wszystko można zobaczyć, jeśli się żyje dostatecznie długo – odezwała się jedna z kobiet do sąsiadki.

Przed końcem wieczoru Helena zaprosiła Miriam-Libę do dworu. Lecz dopiero w dniu zaręczyn Cypełe – gdy chasydzi ucztowali hałaśliwie na dworskim terenie, sika-
jąc pod drzewami, depcząc trawę i używając liści z drzew jako papieru toaletowego – Miriam-Liba nałożyła nową suknię i z bukietem polnych kwiatów wybrała się wreszcie do dworu.

Helena wręczyła bukiet pokojówce, polecając włożyć go do wody, i wprowadziła Miriam-Libę do pokoju, chcąc ją przedstawić rodzinie. Hrabina zapewniła młodego gościa, że wcale nie wygląda na Żydówkę, po czym wycofała się do swego pokoju. Felicję gniewało to, że musi przyjmować córkę Kalmana, a zarazem strofowała siebie w duchu, że łamie ślubowanie pokory i życia bez fałszywej dumy. Dopiero wczoraj zapisała w swym dzienniczku: "Jeśli nie mogę spełniać przykazań Jezusa, wolę umrzeć." Toteż obdarzyła Miriam-Libę uśmiechem i pochwaliła jej suknię uszytą przez krawca Nisena. Miriam-Liba szybko odpłaciła jej podobnym komplementem.

Hrabia, ubrany w niedawno nabyte bryczesy i marynarkę w szkocką kratę, przyjął Miriam-Libę z uprzejmością demokracji. Usiadłszy naprzeciw dziewcząt na ławce w altanie, opowiadał o okropnych* zimach w północnej Rosji, o urzędnikach państwowych, z którymi bratali się więźniowie, o znacznej swobodzie, jaką cieszył się na wygnaniu, gdzie wolno mu było dosiadać konia, polować i jeździć na łyżwach. Chłopi syberyjscy wyruszali na po-

lowania na niedźwiedzie uzbrojeni tylko w pałki. Ludność miejscową nękało robactwo. Kiedy hrabia zaczął opisywać, jak to w domostwach pluskwy gnieździły się w mchu między belkami sufitu i spadały z góry w ciemnościach, aby wysysać krew ze swych ofiar, Helena wybuchnęła j głośnym śmiechem, a Miriam-Liba lekko się uśmiechnęła. Felicja natomiast, która stała w pewnej odległości i robiła wrażenie, że nie słucha, splunęła nieznacznie do obszytej koronką chusteczki.

SPISIM

– Jak możesz o tym opowiadać, ojczy?

– Jeśli pluskwom jest wszystko jedno, to czym ja mam się przejmować? Wszyscy jesteśmy stworzeni z tej samej

* protoplazmy.

I Felicja odeszła pełna niesmaku. Ojciec o niczym innym nie mówił tylko o wszach, pluskwach, plugastwie i łachmanach, o wszystkim, co wstrętne. Nawet gdy jadł, jego myśli zajęte były obrzydliwościami. Każdemu mogło się zebrać na wymioty, a Felicja wiedziała, że ojciec robi jej na złość. W czasie wygnania Rosjanie zarazili go swymi nihilistycznymi poglądami i bezbożnym materializmem. Nabijał fajkę mocnym, chłopskim tytoniem, który śmierdzał w całym mieszkaniu. I ta Rosjanka – wszyscy już wiedzieli, że przywiózł ze sobą kobietę, która zajmowała chatę na Piaskach, gdzie dawniej mieszkali Żydzi.

Wszystko się tak potoczyło, jak przewidywała Felicja.

Ojciec pił, używał wulgarnych słów i zniesławiał dobre imię starej szlacheckiej rodziny, żyjąc otwarcie z ladaczną. Gdyby nie uważała za swój chrześcijański obowiązek przyjmować cierpienia z pokorą i nie kochała tak bardzo starej nieszczęśliwej matki, uciekłyby z domu albo się zabiła

Odejście Felicji nie zmartwiło hrabiego, wzruszył tylko ramionami. Teraz rozmowa zeszła na Żydów.

– My, Polacy, powinniśmy się od was uczyć – powiedział hrabia. – Zamieniamy złoto na błoto, a wy zamieniacie błoto na złoto.

Miriam-Liba zaczerwieniła się.

– Jest także mnóstwo biednych Żydów.

– No wiem, wiem, ale wy wszyscy spędzacie czas na obmyślaniu, jak by tu się wzbogacić!

Helena zabrała Miriam-Libę na obchód dworu, przysłaniając usta wachlarzem podczas ziewania. Pokazała kolejno błękitny pokój, złoty salon, swój własny buduar, bibliotekę. Miriam-Liba tylko raz była we dworze, przed wielu laty, kiedy jako dziecko towarzyszyła ojcu podczas jednej z jego wizyt. Od tamtej pory budynek bardzo się zmienił. Przecieki w dachu spowodowały uszkodzenie wnętrza. Okna się wypaczyły, ściany osiadły. W wilgotnej bibliotece książki – głównie żywoty świętych i dzieje n|9 dów – pokryła pleśń. Helena, wskazawszy Miriam-Libie - krzesło z wysokim oparciem, sama usiadła na ławeczce.

– Tak tutaj głucho, że myślę czasami, iż równie dobrze mogłabym już nie żyć. Nie spotykam przez cały rok żad-g| nego przystojnego młodzieńca – zwierzała się. – A co będzie z panią? Czy pani wyjdzie za Żyda?

– Tylko wtedy, jeśli będzie mi się podobał.

– Ma pani rację. Nigdy nie mogłabym wyjść za mąż | bez miłości. Niedawno, podczas pobytu w Zamościu, ciocia przedstawiła mi syna swojej przyjaciółki. Poszłam z nim na przechadzkę, a on zaczął od razu bajdurzyć o miłości. Kiedy przechodziliśmy przez most, odezwał się: “W tej wodzie jest mnóstwo małych rybek, bardzo małych rybek.” Znienawidziłam go, jak tylko wypowiedział te słowa “małe rybki”. Pomyślałam sobie: “Sam nie jesteś niczym innym tylko małą rybką.” Czy to nie dziwne?

– Doskonale panią rozumiem.

II

Tego wieczoru spadł śnieg i sypał bez przerwy całą noc. Duże płatki śniegu padały gęsto i były suche jak sól. Rano temperatura obniżyła się, chwycił mróz. Dwór odzyskał poprzednią świetność. Łaty na dachu znikły, balkony i rzeźbione gzymsy uwidoczniły swe wypukłości. Kryształowe sople zwisały z futryn okiennych, a mróz malował szyby w kwietne desenie. Nawet dym unoszący się z komina ku jasnemu niebu układał się w zgrabne spirale. Dwa psy, Wilk i Piorun, ujadały bez przerwy, krowa w oborze chrobotąła rogami o drzwi, koguty piały, wrony krakafy. Pola obsiane oziminą, która zaczęła już kiełkować, otulała bezkresna biel. Z krzaków wychylił się zajaczek i spoglądał na odmłodzony dwór – hrabia chwycił za dubeltówkę i wypalił. Zajac zniknął, zostawiając ledwo widoczne ślady.

Hrabia wstał, kiedy było jeszcze ciemno. Chociaż wszystkim utracił – i majątek, i syna Lucjana – jego zapaleń do korzystania z życia nie osłabł. Włożył od razu na nogi buty, a nie domowe pantofle, i pomaszzerował przez pokoje, trzaskając drzwiami i budząc wszystkich. Głodny i spragniony wyszedł na dwór, aby się umyć przy studni. Marzyło mu się polowanie, ale nie miał psów myśliwskich do tropienia zwierzyny i aportowania.

W kuchni niania Barbara mełła ziarnistą kawą w ręcznym młynku. Chełpiła się tym, że po babkach i prababkach przejęła sztukę parzenia kawy. Hrabia jadł żarłocznie razowy chleb z masłem i łykał czarny, niesłodzony napój. Wprawdzie wiedział, że to urąga dobremu wychowaniu, mimo to po każdym łyku czekał jak

zglodniały chłop. Zlizywał językiem okruszyny czepiające się wąsów. Podczas wygnania doszedł do wniosku, że cała etykieta złamanego grosza nie warta. Przeczytał ponownie dzieła Rousseau. W Polsce przesadnie przestrzegano dobrych manier.

Skończywszy śniadanie hrabia poszedł do sypialni żony. Hrabina spała tak lekko, że budził ją najdrobniejszy szmer. Zdażyła już zapalić świecę stojącą na nocnym stoliku.

– Matko, wstawaj i popatrz na śnieg. Jest głęboki prawie na metr.

– Władysławie, wielokrotnie prosiłam, żebyś nie nazywał mnie matką.

– ■ Nie chcesz zjeść śniadania? Napić się czegoś gorącego?

– Dziękuję, nic nie chcę.

– Wychudłaś na kość. Z niczego nic się nie zrobi. Wyruszę do miasteczka.

– Po co wciąż tam jeździsz?

– Porozmawiać z Żydkami.

– Dlaczego z Żydkami?

– A jest tam kto inny? Polacy potrafią tylko płakać.

Nudzą mnie. Żyd oszuka, wyciągnie z człowieka ostatniego rubla, ale nie jest chodzącym trupem ani nie chełpi się wiecznie jakimś głupim rodowodem.

— Niech ci Bóg wybaczy takie bluźnierstwa.

n

– Co chciałabyś z miasta? Przywiozą ci pomarańcze.

Nie chcą pomarańczy. Wojciech usiłował podsadzić hrabiego do małych sanek – duże sanie były za ciężkie i wymagały zaprzęgu czterokonnego – ale hrabia na to nie pozwolił. Hrabina słysząc, że mąż odjeżdża, wzięta z nocnego stolika Biblią. • Wiedziała, do kogo tak spieszył. Otworzyła Księgę Psalmów i zaczęła czytać półgłosem

święte słowa. Kiedy doszła do wersetów o ubogim bogobojnym człowieku, na którego niegodziwcy ostrzą sobie zęby i którego otaczają jak zgraja psów gotowych go rozszarpać — zatrzymała się. Czy nie znajduje się w położeniu owego człowieka? Czy ona, Maria, nie jest otoczona złem? Z dwóch synów jeden, Lucjan, nie żyje, a drugi, Józef, przebywa na wygnaniu w dalekiej Anglii. Najstarsza córka Felicja trwa w staropanieństwie, majątek im skonfiskowano, a mąż ją zdradza. Kiedy doszła do ustępu: "Ojciec i matka zapomnieli o mnie, a Bóg mnie zabierze do siebie", zaczęła szlochać. Bolały ją piersi. Tak, kiedy wszystko stracone, pozostaje Bóg Wszechmocny. Zwykle po płaczu hrabina czuła się lepiej, ale tym razem było inaczej. Zamknąwszy świętą księgę ucałowała krzyż wyrzeźbiony na oprawie i zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem na Barbarę.

— Poproś Felicję.

— Dobrze, proszę jaśnie pani.

Kiedy córka przyszła, hrabina wskazała jej fotel obok łóżka.

— Felicjo, muszę z tobą otwarcie porozmawiać — zaczęła. — Nie jesteś już dzieckiem. Ja nie będę żyła wiecznie. Wiesz, że na ojcu nie możesz polegać. Miałam nadzieję, że ta ciężka próba, zesłanie na Sybir, zmieni go na lepsze, ale przeciwnie, jego dusza zrobiła się jeszcze czarniejsza. Co się stanie po mojej śmierci? Obawiam się, że ojciec okryje wstydem siebie samego i ciebie.

— Mamo, poprawi ci się.

— Może... Otwórz moją torebkę. Jest w niej kluczyk.

Tak, to ten.

— Po co?

— Rób, co ci każę. Teraz otwórz dolną szufladę sekretarzyka. Na samym dnie, po prawej stronie, znajdziesz

szkatułę z klejnotami. Wyjmij ją, tak, tę właśnie, i podaj mi do rąk.

Felicja wyjęła ostrożnie hebanową szkatułę inkrustowaną kością słoniową i podała ją matce, która otworzyła wieko. Wewnątrz leżały sznury pereł, brosze, bransolety, kolczyki i pierścionki wszelakiego rodzaju, przeważnie wysadzane brylantami.

– To wszystko należy wyłącznie do mnie, Felicjo, i jest całym moim majątkiem, moim własnym, wyniesionym z domu rodzicielskiego. Nie chcę, by dostało się w ręce twego ojca. Przepuściłby pieniądze łatwo. Wszystko przeznaczam dla ciebie, z wyjątkiem tego mniejszego sznura pereł. Daj go Helenie w dniu jej ślubu, ale nie wcześniej. Ona jest bardziej podobna do ojca, nie tak bezradna jak ty. Wdałaś się we mnie. Modlę się o to, abyś znalazła odpowiedniego męża. Jednak w razie potrzeby będziesz miała te klejnoty. Chcę, żebyś je już teraz wzięła.

– Mamo, to nie jest konieczne.

Przemyślałam wszystko. Nie wiem, ile to jest warte, na pewno co najmniej czterdzieści tysięcy rubli, a może 0wiele więcej. Jeśli, uchwaj Boże, będziesz musiała je sprzedać, nie idź do taniego jubilera. Jedź do Warszawy, na Krakowskim Przedmieściu jest jubiler Adam Nosek. Możesz mu zaufać.

– Mamo, przed tobą jeszcze całe lata życia... ., Mam ostatnią prośbę do ciebie.

– Co takiego, mamo?

– Wiem, że Lucjan nie żyje. Gdyby żył, znalazłby jakiś sposób porozumienia się z nami. Jest w niebie z aniołami
1 wkrótce tam się z nim spotkam. Chcę, aby po mojej śmierci na grobowcu wyryto obok mego i jego imię.

– Mamo, rozdierasz mi serce.

– Chcę, żebyś była przygotowana. Tak będzie lepiej. Nasza ziemia to padół niedoli. Czego doznałam od twego ojca? Mnóstwo bólu, mało radości. Dusza moja chce już opuścić ciało. Spójrz, jaka jestem wychudzona, wymizero-

Wana. Sama już siebie nie poznaję. Gdybym tylko zobaczyła ciebie szczęśliwą! Znajdź sobie męża, Felicjo, i nie przebieraj zbytnio. Nie musi być bogaty. Oby tylko był to człowiek szlachetny i wierzący. Co się stało z naszym bogactwem? Ale dość o tym. Weź szkatułę i schowaj ją u siebie. Gdzie ją umieścisz?

–W mojej toaletce.

– Czy zamykasz ją na klucz? Dobrze. Chcę umrzeć nic nie posiadając. Bóg miłuje ubogich. Teraz możesz już odejść.

Felicja zawahała się.

–Mam to wziąć zaraz?

–Tak. Ile razy muszę ci powtarzać!

— Ale, mamusiu... — Pochyliwszy się nad matką zaczęła całować jej ręce i czoło. Żałosny, cichy płacz Felicji podobny był do miauczenia kotka. Hrabina zniecierpliwiła się i odezwała szorstko:

–Proszę, odejdź już.

Felicja pochlipując wzięła szkatułę i chwiejnym krokiem wyszła z pokoju. Jaki może mieć pożytek z tych wszystkich klejnotów? Zamknęła szkatułę w toaletce stojącej w buduarze. Po chwili łyzy jej obeschły. Stanęła przy oknie i wyjrzała. Górne szyby pokrywał mróz, dolne już odtajały. Na dworze świeciło słońce. Dostrzegła koleiny wyżłobione sankami ojca i ślady końskich kopyt. Dwie wrony wydziobywały owies z końskiego gnoju i łopotwały skrzydłami. Nagle zobaczyła Helenę z Miriam-Libą, córką Kalmana, ubraną w dziany żakiecik i grubą spódnicę z szarej wełny. Helena miała na sobie

ciemnozielony kostium z wyłogami ozdobionymi aplikacją w liście wawrzynu. Obie panny niosły łyżwy, i szły w stronę zamarznętego jeziora. Felicja odwróciła wzrok. Ojciec związał się z Moskalką, a siostra zaprzyjaźniła z bogatą Żydówką. Dbali wyłącznie o przyjemności. Matka ięży chora, a Helena idzie na łyżwy. Jest zupełnie bez serca.

W tym momencie Felicja już wiedziała, co zrobi, gdy matka umrze» Wstąpi do klasztoru, wniesie te klejnoty

fi

jako posag i poleci wykonać z nich koronę dla Najświętszej Marii Panny. Nie potrzebuje dla siebie żadnych świeckich bogactw. Raz na zawsze wyrwie ze swego serca wszelkie ziemskie nadzieje i marzenia o doczesnym szczęściu. Chleb i woda oraz twarda ława to wszystko, czego jej potrzeba.

7 – Dw6r

ROZDZIAŁ ÓSMY

I

Fabryka mebli na Woli, przedmieściu Warszawy, zatrudniała około czterdziestu ludzi. Mieściła się na poddaszu wypełnionym trocinami i wiórami. Tu pracował Wacek Prac, z pomocą dłuta i młotka wycinając w grubych deskach otwory. Obok inny mężczyzna piłował belki, drugi je heblował, trzeci wbijał gwoździe, czwarty wiercił dziury. Przenikliwy zapach lakieru i kleju napełniał powietrze. Była zima, więc okna trzymano zamknięte, lecz trochę powietrza wpadało tu i ówdzie przez wybite szyby. Budynek aż dudnił od hałasu tokarek, młotków i pił. Z dziedzińca dochodziły okrzyki woźniców ładujących meble i wyładowujących drewno. Dokładnie o godzinie pierwszej przerywano w fabryczce pracę i żony, matki lub siostry robotników, w chustkach na głowach, wchodziły

na dziedziniec, przynosząc gorący posiłek, garnki z zupą i bochenki chleba. Mężczyźni, sadwiąc się na belkach i deskach, jedli łyżkami kaszę, żuli chleb i kielbasę albo pociągali z butelek wódkę. W powietrzu pachniało smażoną cebulą i domem.

Wacek Pracz siedział ze swą kochanką Stachową na skrzynce w pobliżu ogrodzenia. Był powyżej średniego wzrostu, o twarzy bladej, młodzieńczej, jasnoniebieskich oczach i blond brodzie, ale nie nosił wąsów. Miał zadarty nos, wąskie wargi i wysokie czoło. Tak jak i inni robotnicy nosił watowany kaftan, koszulę rozpiętą pod szyją, połataną spodnie i ciężkie obuwie. Wprawdzie nazwisko Pracz wskazywało na chłopskie pochodzenie i człowiek ten jako miejsce swego urodzenia podawał wioskę koło Włocławka, byli i tacy, co szeptali, że pochodzi z arystokracji. Mowa jego różniła się od mowy towarzyszy pracy; gdy przeklinał lub używał grubiańskich słów, w jego ustach brzmiały one rażąco. Po pracy nie chodził razem z innymi do szynku, lecz wracał sam do domu. Przypuszczano, że brał udział w powstaniu 1863 roku, ale nigdy nikt nie mówił o tym głośno. Każdy wiedział, że ściany mają uszy i że wszędzie "pełno jest carskich szpicli". Przezywano Pracza "dziedzicem".

Stachowa pochodziła ze wsi. Przed wyjściem za mąż służyła u ludzi. Mąż jej, Stach, zmarł wkrótce po ślubie, a córeczka Kasia, obecnie jedenastoletnia, była dzieckiem nieślubnym. Stachowa i Wacek żyli ze sobą bez błogosławieństwa księdza. Wacek wzbudzał zainteresowanie innych kobiet, więc często rozpytywały Stachową o jego zwyczaje, zachowanie, o to, czy zadaje się z panami, czy ma rodzinę, czyta książki... Ale Stachowa tylko się uśmiechała głupkowato.

– Skąd mogę Wiedzieć? Wychodzi rano do pracy, a jak wraca do domu, jest okrutnie zmęczony. Czasem

wróci późno, ale nic nie powie, gdzie był. Co może prosta kobieta wiedzieć o mężczyźnie? Może ma jeszcze cały tuzin kobiet...

– Czy was kiedy bije?

– Jak jest pijany.

Stachowa była kobietą chorowitą z wypiekami na zapadłych policzkach. Niektórzy mówili, że ma suchoty. Zaczesawała rzadkie, wypłowiałe blond włosy w koczek, bladoniebieskie oczy zawsze jej łzawiły, chociaż stale się uśmiechała. Kobiety nie mogły pojąć, co "dziedzic" widzi w takiej zniszczonej kobiecie, choć mogło się po prostu zdarzyć, że przygarnęła go podczas choroby i głodowania i tak już został; przywiązał się również do Kasi.

– Mężczyzna to jak pies – komentowały. – Dać mu jeść i miejsce do spania, a już swej budy nie opuści.

Stachowa w fartuchu i grubej chuście siedziała obok posilającego się Wacka, nie spuszczać wzroku z jego ust. Przyniosła mu funt chleba, ale nawet połowy nie zjadł, nie skończył też zupy. Ona знаła prawdę, wiedziała, że nie nazywa się Wacek Pracz i nie pochodzi z wioski pod Włocławkiem. Był to Lucjan hrabia Jampolski z dworu w Jampolu. Ale nigdy by nie zdradziła, kim on jest, nawet gdyby ją rąbano i wlewano ocet w rany. Mógł sobie być arystokratą, ale co za różnica, jeśli nie ma pieniędzy i posługuje się fałszywym paszportem? Postępował tak jak wszyscy mężczyźni – kiedy był zły, kłął albo ją bił, a często w sobotę po wypłacie wracał pijany z pustymi kieszeniami. Gdyby nie prała bielizny dla Żydów, zginęliby wszyscy troje. Jedno przemawiało na jego korzyść – jest dobry dla Kasi, kupuje dla niej marmoladki i uczy czytać z elementarza. Jakoś by im starczyło na życie, gdyby tyle pieniędzy nie szło na

lekarstwa i pijawki. Podał Stachowej na wpół opróżniony garnek.

– Tylko tyle? Nie zjesz jeszcze trochę? Znów połowę zabiorę do domu.

– Wystarczy. Mam pełny brzuch.

– Jeszcze choć parę łyżek.

– Powiedziałem, nie. Chcesz, żebym dostał boleści?,

– Dobrze, już dobfze.

– Co robi Kasia?

– Bawi się w łóżku z kotkiem.

– Dobrze... no to możesz już iść.

– Wacek, wróc dziś wcześniej do domu. Popatrz, jaki jesteś blady, bledszy od wszystkich. Wiesz, jaki byłeś rano zmęczony, nie mogłeś się wprost zbudzić.

Wacek się podniósł.

– Idź, na miłość boską, idź już!

Stachowa wetknęła garnek pod chustę. Oto jacy są mężczyźni, nie potrzebują miłości.

Mieszkanie Stachowej było niewielkie. Łóżko, które dzieliła z Lucjanem, stało na antresoli, wchodziło się tam po drabinie. Na dole Kasia siedziała na sienniku swego szlabanka Buzię miała drobną, włosy jak len, szare oczy, cerę bielutką niczym lalka z porcelany. Czytała na głos z elementarza:

Powiedz, kochanie, gdzie jabłuszko, młynek do kawy i gdzie papuga lub klatka, w której ptaszek śpiewa?

Stachowa przystanąła, żeby posłuchać. Jakie dziwaczne rzeczy drukują w książkach! Ona nie umiała czytać ani pisać i podpisywała się trzema krzyżykami. Ale dobrze, że Kasia się uczy. Moskale zabronili uczyć po polsku – te wyrodki, ścierwa, gbury, przeklęci Moskale!

— On tutaj był – powiedziała Kasia.

– On?

– No, ten drugi ojciec.

Twarz Stachowej wykrzywił grymas, oczy zapłonęły.

– Ostrzegałam go wiele razy, żeby jego noga tu nie postąpiła. Włóczęga! Żebrak! Pijak, nicpoń! Czego chciał?

– Powiedział, że przyjdzie później.

– Przygotuję sobie miotłę, żeby go przywitać!

Poszła w kątek pokoju i wyciągnęła szczotkę na kij. Kasia zamknęła książkę.

– Niech mama tego nie robi.

– Żal ci go? Chociaż zmarnował moje życie? Porzucił z dzieckiem w brzuchu i uciekł do swych dziewczek. Kto mi wybił cztery zęby? To pijawka, złodziej, trędowaty, morderca. Nie chcę go tutaj widzieć.

– Mamo!

Stachowa stała oparta o szczotkę. Usłyszała chrobotanie

* Szlaban (niem. Schlafbank), drewniana skrzynia-ława ze zdejmowanym na noc wierschem służąca do spania (przyp. tłum.).

myszy, a po chwili zbliżające się kroki. Nastawiła uszu, I Czy to Wacek? Nie, Wacek chodził jak mężczyzna, a to było skradanie się skunka szykującego się do uduszenia kurczęcia. Wiedziała, że to on, jej pierwszy kochanek, który przychodzi chcąc ją namówić, żeby z nim żyła; Nie dość było odpędzić go tysiąc razy. Nie mógł chyba zdobyć sobie nawet dziewczki, ten dziad. Pewnie siedział ostatnio w kryminale.

| Antek, ojciec Kasi, otworzył drzwi. Widząc Stachową uzbrojoną w szczotkę, zatrzymał się za progiem. Niski, grubokościsty, zezowaty, z szerokim nosem usianym brodawkami, stał w czapce z nadłamanym daszkiem i w baranim serdaku. Stachowa wlepiła w niego wzrok.

- Znow tu jesteś? Ostrzegałam, żebyś się nie pokazywał. Co się tak uczepliłeś jak zaraza? Wynoś się! Won! Zawołam pomocy! Wezwę policję!
- Zamilcz! Nie chcę cię zabić. Mam prawo zobaczyć moją córkę.
- Nie masz. Człowiek, który porzuca swoje dziecko, przestaje być ojcem. To nie twoja córka.
- ~ A właśnie że moja, a nie tego zbiega, z którym sypiasz, tego nicponia, paniczyka z bródką.
- Świnio! Psie! Szakalu! O czym ty bredzisz? Niech cię Bóg skarże! Żebyś skonał na miejscu!
- Cicho bądź! Dlaczego ona siedzi w łóżku?
- Bo nie ma bucików. Teraz wynocha tam, skąd przyszedłeś!
- Muszę ci coś powiedzieć, r– No, jeśli musisz, to mów.
- Ale to sekret. Chodź do sieni.
- O nie! Nie dla psa kiełbasa.
- Więc nie wyjdiesz?
- Nigdy!
- A przecież kiedyś mnie lubiłaś.
- Co było, minęło. A teraz wynoś się!
- Jadzia, nie bądź taka podła.
- A co powinnam zrobić, pocałować cię? Mojego wroga! Wyssałaś ze mnie ostatnią kroplę krwi. Czego chcesz jeszcze? Nic dla cię nie zostało. Ani uczucia, ani poszanowania...
- Nagle Wybuchnęła płaczem i usta dziwnie jej się wykrzywiły. Zza pudełka wysunął się kociak i zaczął miauczeć, wpatrując się w nich zielonymi oczami.
- Antek, wyjdź!
- Wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

Tego wieczoru Lucjan nie wrócił po pracy do domu, zatrzymał się w szynku na placu Kercelego. Zarobił dodatkowo parę groszy za nadprogramową pracę, zamówił kieliszek wódki, kielbasę i piwo. Został mu jeden grosz i potrząsając nim zastanawiał się, jaki będzie jego przyszły los. Orzeł czy reszka? Czy umrze śmiercią naturalną czy nie? Odpowiedź wypadła na nie. Czy go rozstrzelają, czy powieszają? Grosz jakby przez chwilę się wahał, po czym upadł na stronę, którą oznaczył "śmierć przez powieszenie". "No to niech mnie wieszają", zaśmiał się i znowu rzucił pieniądz na stół. Odbił mu się czosnek z kielbasy, a od wódki i piwa zaczęło szumieć w głowie. Nie był pijany, lecz w głowie miał zamęt. "Zrobię to, zrobię to... –r- powtarzał. – Każdej nocy śnię o tym. To się musi stać. Co za różnica kiedy?"

U stóp Lucjana leżała naręcz drewna związanego sznurem, którą przyniósł z fabryki. Pochwycił ją teraz, zarzucił na ramię i wyszedł. Będzie czym ogrzać izbę na dzisiejszą noc. Latarnie uliczne dawały więcej kopciu niż światła. Robotnicy powracali z warsztatów i fabryk niosąc wiązki smolnych szczapek na podpałkę i woreczki kartofli. Drwale ciężko stąpali ze swymi siekierami i piłami, przechodzili domokrażcy z koszykami zmrożonych jabłek, cebuli, rzodkiewek i z patelniami prażonego grochu. Przechodnie zatrzymywali się przy bramach i płotach. Pijak stał obok nie zaprzęzonego wozu i rzygał. Bezpański pies włókł się wolno, obwąchując kałuże. Pomyleni i żebracy siedzieli na schodkach sklepików nie mck gąc znaleźć schronienia w domach dla ubogich. Mróz zelżał, ale chłód był przenikliwy. Od Wisły wiał lodowaty wiatr. | Stachowa mieszkała na Lesznie, po drugiej stronie Że* | laznej, w ogrodzonym budynku odsuniętym od ulicy. Odpady zaścielały spiętrzony śnieg. Lucjan pchnął bramę i wszedł na podwórze, minął

stajnię, otworzył kopniakiem drzwi ciemnej sieni i wkroczył do mieszkania.

Poczuł zapach smolnej podpałki, szmat, sody do prania i musiał wyminąć balię, aby nie upaść. Nic go bardziej nie mierziło, jak brudna żydowska bielizna. Otworzył drugie drzwi i przy blasku migocącego knpta zanurzonego w naczyniu z oliwą zobaczył Stachową i Kasię. Stachowa stała pośrodku pokoju, w chuście -na głowie, gotowa do wyjścia. Kasia siedziała na szlabanku.

- Znów późno wracasz ijşş powiedziała Stachowa,.
- Tak, znów późno – odparł Lucjan.
- No to połóż drzewo. Rzucił wiązkię jia podłogę.
- Wychodzisz?
- Muszę odnieść pranie. Kasza stoi na piecu.
- Dobrze...
- Wątróbka już pewnie będzie przestała.
- Jest wątróbka? To dobrze.
- Kupiłam, bo ją lubisz.
- Dobrze, dziękuję.

Stachowa szczelnie otuliła się chustą. Przy drzwiach odezwała się głośno:

- Wychodzę na parę godzin.

Potem Lucjan słyszał, że szuka czegoś po omacku w sieni. "Go ona tam robi?" – pytał sam siebie, choć wiedział, że nic nie robi, tylko czeka, bo może on ją zawoła. W sieni było cicho. Powstrzymała widocznie oddech. Wreszcie usłyszał trzaśnięcie drzwi. "Może jeszcze tam jest?" – myślał. Ostatnio tak się zachowywała, jakby czytała w jego myślach. Podszedł do pieca i podniósł pokrywę garnka. Zwykle lubił wątróbkę, ale kiełbasa zjedzona w szynku odebrała mu apetyt.

- A co ty robisz, Kasiu?
- Nic.;
- Nauczyłaś się wiersza?

– Tak, nauczyłam.

– Zaraz posłucham.

Lucjan nałożył trochę kaszy i wątróbki na blaszany talerz, przeszedł obok stołu i usiadł przy Kasi, niepewnie stawiając talerz na kolanach. Apetyt mu wrócił, jak tylko zaczął jeść.

– Chcesz trochę?

– Nie.

– Dlaczego?

– To wszystko dla taty. Zjadłam już swoją porcję.

– Zjedz jeszcze trochę.

– Nie, to wszystko dla taty. Tata pracuje, a ja cały; dzień leżę w łóżku.

– Czy był tu ktoś dzisiaj?

– On był, ten drugi ojciec.

– Ach tak?

– Mama go wypędziła.

– Czego chciał?

– Powiedzieć jakiś sekret.

– Och? A kto jeszcze był?

– Tylko ta stara wiedźma z przeciwnka, Łysakowa.

– Czego chciała?

fSi No, ona zawsze ma o każdym coś złego do powiedzenia. Ta skąpa, tamta flejtuch. Ciągłe mówi o innych kobietach. Myśli, że nie wiem, o kim mowa, ale ja wiem. Kiedy wyjdzie stąd, idzie do kogoś innego i plotkuje o nas. Przychodzi, węszy wszędzie i mówi: "Pachnie tu wątróbką." Och jak jej nie cierpię!

– A kogo lubisz?

– Tylko dwie osoby na całym świecie. Mamę i tatę.

Czasem bardziej kocham mamę, czasem tatę. Po sto razy na dzień mama mi powtarza: "Żyje ci się gorzej niż sierocie." Przychodzi Łysakowa, a mama wygaduje, że nie mam bućków ani tego, ani owego. Łysakowa mówi:

“A nie kupiliście jej bucików nie dalej jak na Boże Narodzenie?

Za dużo gania to i zdziera zelówki.” Ona stale powiada: “Dlaczego nie poślecie jej na służbę. Miałyby wikt i odzienie.”

– Któregoś dnia połamię jej wszystkie kości.

– Dobrze by było.

– A co dasz, jeśli to zrobię? Całusa?

■– Tysiąc całusów. Ale policja tatę złapie.

– Nie będę czekać na policję. Chcesz zagrać w szubienicę?

– Dobrze. – ■ / -

– Najpierw wysłucham wiersza. Musisz wyrosnąć na wykształconą pannę.

Kasia zaczęła recytować. Lucjan przerwał jedzenie. Słuchał trzymając łyżkę zawieszoną w powietrzu. Jakaż ona śliczna! Jak wspaniale jej bujne włosy spływają na ramiona! Jak kształtne ma czoło, iskrzące się oczy i jaką jasną cerę! Marmur. Nie, tysiąc razy ładniejszą od marmuru. Jaki niezwykły kształt mają jej usteczka. “Gdyby była o dwa, trzy lata starsza –myślał Lucjan – z radością zabiłbym tę Łysakową za jeden uśmiech Kasi.”

– No jak, czy umiem wiersz?

– Tak, umiesz. I kocham ciebie. Okropnie cię kocham.

– Ja też tatę kocham.

– A pamiętasz, gdy byłaś mała, zawsze mówiłaś, że wyjdiesz za mnie za męża?

– Wszystko pamiętam.

Lucjan i Kasia zaczęli grab w szubienicę, rysując kawałkiem kredy na tabliczce. Kasia robiła miny i wydymała wargi, bo za każdym razem przegrywała. Lucjan przyglądał się jej nadal i zadawał sobie pytanie, czy to możliwe, że naprawdę jest córką Antka. Jak wielkim kotłem jest ten świat! Bóg, jego Pan, miesza w nim ko-

pyścią i wywołuje wojny, rewolucje, migracje. A pewnego dnia precedzi to wszystko przez sito. "Jakież zwariowane historie przychodzą mi do głowy— pomyślał Lucjan. SB No tak, teraz albo nigdy." Wstał.

– Kasiu, "clicę ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Odjeżdżam.

– Dokąd?

– Gdyby nie ty, już bym dawno odszedł. Mówię do ciebie tak, jak byś już była dorosła. Chcę, żebyś zrozumiała...

– Tak...

– Kocham cię. Rozumiesz, co to znaczy, prawda?

– Rozumiem.

– Kocham cię, chociaż jesteś jeszcze dzieckiem. Zbyt wiele już lat straciłem tutaj. Twoja matka to dobra kobieta, uratowała mi życie. Ale nie mogę jej spłacić tego długu. Od kiedy tutaj przebywam, jestem na wpół umarły. Czy rozumiesz, co mówię?

– Tak.

– Nie mogę tego wszystkiego powiedzieć twojej matce. Nienawidzę łez. Odchodzę dziś wieczór.

– Dokąd tata pójdzie?

– Za granicę.

– Gdzie to jest?

– Do innego kraju, po drugiej stronie granicy.

– Czy ma tata pieniądze?

– Dokładnie jeden grosz, ale ten krzyżyk, który noszę na szyi, jest dużo wart. Powiedz matce, że zawsze będę myślał o niej z serdecznością. Napiszę, a jeśli coś zarobię, przyślę i wam. Za dwa, trzy lata wrócę, żeby się z tobą ożenić.

– Ach!

– Będziesz na mnie czekała?

- Tak.
- Jak długo?
- Sto lat.
- Nie będziesz musiała czekać aż tyle czasu. Jesteś jeszcze po prostu dzieckiem. A jeśli o mnie zapomnisz?
- Nigdy taty nie zapomnę.
- Powiedz matce, że wyszedłem, ale nie wiesz dokąd. Odczekaj trzy dni, potem powiedz jej prawdę. Powtórz, czy wiesz, co masz zrobić?
- Tak. Dzisiaj jest wtorek. W piątek jej powiem.
- Zgadza się. Ale nie wspominaj, że chcę się z tobą ożenić.
- Nie powiem.
 - Kasiu, za parę lat ty dorośniesz, a ja nie będę wtedy jeszcze stary. Jeśli zechcą cię wydać za mąż, nie zgadzaj się. Módl się za mnie. To wszystko. Każdego j^ieczoru przy odmawianiu pacierza wspomnij moje imię. Mów tak:: "Ojczy nasz, któryś jest w niebie, zmiłuj się nad Twym synem Lucjanem i jego zbłąkaną duszą." Jeśli listy ode mnie nie będą przychodziły na czas, nie trać nadziei. Bądź cierpliwa i pełna wiary. Chciałem ci kupić prezent, ale nie miałem pieniędzy. Oto mój ostatni grosik. Zachowaj go, niech ci mnie przypomina. Nie zgub go.
- Ząchowam go na zawsze.
 - Przykładaj się do elementarza i co dzień pilnie się ucz. Jeśli nadarzy się sposobność pójścia do szkoły, idź... No, muszę już zbierać swoje łachy.
- Wszedł po drabince na antresolę. Wyciągnął spod łóżka tornister zamykany na miedziany zamek, z boczną kieszenią. Ten tornister był jego wiernym towarzyszem w ciągu wszystkich miesięcy walk w czasie powstania. Leżał przez całe lata pod łóżkiem Stachowej. Lucjan ukląkł i odkurzył go, potem otworzył, wyjął pistolet o rękojeści z brązu i ładownicę, w której było sześć naboí.

“Przedmioty nieożywione są tak trwałe – mruzczał Lucjan biorąc do ręki jeden nabój. – Taka mała rzecz przeleży gdzieś sto lat, a pozbawi życia kogoś, kogo dziadek nie narodził się jeszcze, gdy ją wyprodukowano.” Z koszyka leżącego obok łóżka wyjął koszulę, komplet bielizny, wełniany szalik i kamizelkę, którą matka zrobiła mu na drutach. Wszystkie ziemskie dobra, jak zwykle się pisać w książkach. Sufit był zbyt nisko, aby się mógł wyprostować. Wciąż klęcząc, cofał się tyłem do drabiny.

- Kasiu, co robisz?
- Nic. Po prostu się przyglądam.
- Będzie ci mnie brakowało?
- Tak.

Lucjan zszedł z antresoli. Bacznie rozejrzał się po pokoju, jakby podejrzewał, że w którymś z kątów ktoś się przyczaił.

- Czy coś zapomniałem? Nie, nic. Zaczekaj, chcę jeszcze raz przy świetle spojrzeć na ciebie. Wziął prowizoryczną lampkę oliwną i podniósł ją do twarzy Kasi. Uśmiechała się niepewnie, wylękniona. Spostrzegłszy talerz z kaszą wciąż stojący na pościeli przykrytym kocem, Lucjan podniósł go lewą ręką i odstawił na podłogę.

- Ręka tacie drży – powiedziała Kasia.
- Tak, trochę.

Spojrzał na kopzący knot. Zamyślił się chwilę, potem zgasił lampkę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

I

Pewnego popołudnia, gdy Helena i Miriam-Liba ślizgały się na dworskim stawie, nagle pośród drzew ukazał się jakiś mężczyzna. Był młody, ubrany w kozuszek, miał przyszyżoną brodę, na czapce grubą warstwę śniegu, a

w ręku trzymał tornister. Helena złapała Miriam-Libę za ramię.

– Spójrz!

– Nie bójcie się, panienki – zawołał intruz podchodząc.– Stójcie spokojnie i pozwólcie, że się wam przyjdzie. Ty oczywiście jesteś Helena. Ale kim ona jest? – wskazał na Miriam-Libę.

– Chcemy wiedzieć, kim pan jest? – odrzekła Helena. Ale naraz uświadomiła to sobie. We dworze wisiał portret J ojca jako młodego człowieka, wyglądał tak jak ten młody dzieńec. ■-

– Jesteś Lucjan. Czy to możliwe? . "^-""^^Bj

– Jeszcze mi nie powiedziałaś, kim jest ona –odparł

– Moja przyjaciółka, Miriam-Liba, córka dzierżawcy J majątku.

– Przykro mi, że was przestraszyłem – zwrócił się I Lucjan do Miriam-Liby. – Helena była jeszcze dzieckiem, | gdy opuściłem dom. Teraz to już dorosła panna. A przy S tym piękna. Niech żadna z was ani słów&m nie piśnie, |SB tutaj jestem.– Zmienił ton głosu i przeciągnął palcami ^ po szyi. – Jeśli mnie znajdą, będę wisiał.

Lucjan.

– Boże miłosierny, więc to ty! –■ wykrzyknęła Helena. – Tak, pamiętam ciebie.

Helena, bardzo podniecona, chwyciła Miriam-Libę, obie straciły równowagę i siadły na lodzie. Lucjan, chcąc im przyjść z pomocą, sam omal się nie przewrócił. Wreszcie Stały na nogi. Lucjan strzepnął śnieg z zakiecika i sukni Miriam-Liby, za co otrzymał podziękowanie.

Helena zrobiła taki ruch, jakby chciała uściskać Lucjana, ale się powstrzymała.

- Tak, pamiętam ciebie – powtórzyła z wielkim przejęciem.
 - A mama? – zapytał Lucjan.
 - Chora. Bardzo chora.
 - Tak, wiem o tym. W gazecie była wzmianka o powrocie ojca do domu. A co dolega mamie?
 - Wciąż słaba... nerwy, serce...
 - A Felicja?
 - W domu.
 - Bogu dzięki. Nikt nie może podejrzewać, że tu jestem. Pół drogi przeszedłem pieszo, nie gościńcem, a bocznymi drogami przez wioski. Jakiś stary chłop podwiózł mnie saniami. Co mam robić?
 - Chodź do domu.
 - Czy nikt nie zobaczy, jak będę wchodził?
 - Nie. Nic ci nie grozi. Ojciec jest w Jampolu, spędza tam większość czasu. Wojciech cały dzień śpi, a ponadto się upił. Barbara na wpół ślepa, Magda nie wychodzi z kuchni. Idź od razu na drugie piętro. Nikt tam nigdy nie zagląda. Nie-ogrzewa się go, ale...
Kiedy ojciec wraca?
 - Wieczorem... a czasami wcale nie wraca.
 - Czy mogę już iść? Muszę się przespać.
 - Jest tam łóżko. Zaczekaj, pójde zobaczyć.
- Helena ruszyła do domu zapominając, że ma wciąż łyżwy na nogach, usiadła więc, aby je zdjąć. Miriam-Liba dokuszykała do skraju stawu, tam się oparła ó kopiec zamarznętego śniegu. Palce jej skostniały w rękawiczkach i z trudem" odkręcała śruby przy uchwytach łyżews
Lucjan podniósł tornister.
- Zaliczono już mnie między zmarłych, co?
 - Dlaczego nie dałeś nam znać? Matka choi^je przez ciebie.

– Nie mogłem... nie mogłem. Wciąż jeszcze trudno mi uwierzyć, że tu jestem. Kiedyś i ja się ślizgałem na tym stawie. Boże, jakżeż dawno to było. Chyba przed stu laty. Kim jest pani ojciec? – zwrócił się do Miriam-Liby.

– Nazywa się Kaiman Jakobi.

– Jakobi, hm? To znaczy potomkowie Jakuba. Jakub, który wyzuł Ezaw\$ z jego ojcowizny.

Miriam-Liba milczała.

– Kiedyś dużo czytałem. Ale wiele czasu upłynęło, od kiedy nie otworzyłem Biblii. Nie wiem, od jak dawna nie byłem w kościele. Dla takich ludzi jak ja życie się skończyło. Zostaliśmy odsunięci od wszystkiego. Żyjemy w mroku i rozpacz.

– Pan hrabia odnajdzie swoją drogę życia.

– Jak? Jestem osaczony niczym zwierzyna. Policja rozlepiła plakaty z moim nazwiskiem. Car chce nas wszystkich unicestwić. Stanowimy ostatnie wysepki polskiego oporu. Nie chciałem opuścić polskiej ziemi. Ale teraz muszę iść na wygnanie.

Helena zdjęła łyżwy.

– Rozejrzę się, zaczekajcie tutaj.

Idąc w kierunku domu dokładnie lustrowała pola po obu stronach, przechylając głowę jak łowczyni podchodząca zwierzynę. -T- Od dawna się znacie? – zapytał Lucjan Miriam-Libę.

– Dopiero od lata. Hrabianka Helena przyszła na wesele mojej siostry.

– Naprawdę? To znaczy, że czasy się zmieniły.

Jeszcze nie tak dawno byłoby to nie do pomyślenia. Mój ojciec | darzył zawsze sympatią Żydów, lecz inni ziemianie szy- A kanowali ich, a nawet szczuli psami. Na balach Żyd mu- J siał się przebierać za niedźwiedzia, aby zabawiać gości, l

A teraz my staliśmy się ofiarami. Jak nauczyła się pani polskiego?

– Od nauczyciela. Dużo czytam.

– Nie wygląda pani na Żydówkę.

– Lecz nią jestem.

– Oczywiście, ale... Stoję tutaj i wydaje mi się, że to sen. Mówię sobie, że chyba znalazłem się już na tamtym świecie. Faktycznie byłem martwy, wprawdzie umarło nie moje ciało, lecz duch. Widok znajomych miejsc przywrócił mnie do życia. Mimo to wiem, że słońce nigdy już nie zaświeci, nie dla nas ono, nie dla mnie.

– Nie powinien hrabia tak mówić. Hrabia zazna jeszcze dużo szczęścia.

– Szczęścia? Ja? No cóż, dziękuję, dawno już tego słowa nie słyszałem. Skąd spłynie to szczęście?

Miriam-Liba nie była w stanie odpowiedzieć. Gardło jej się zacisnęło, drżała z zimna. Spojrzała w stronę dworu i zobaczyła Helenę dającą im znaki. Powiedziała o tym Lucjanowi, a on szybko wyciągnął do niej rękę i uniósł czapkę odkrywając kasztanowe włosy i wysokie czoło.

– Mam nadzieję, że się spotkamy – powiedział.

Miriam-Liba anieszana wymamrotała:

– Tak, dziękuję panu.

II

Wieczorem, wróciwszy na kolację do domu, Kalman zasiadł u szczytu stołu na krześle z wyplatany oparciem. Maczał mięso w chrzanie, jedząc przy tym chleb, którego okruchy sypały mu się na brodę. Po prawicy miał Mejera-Joela, Zeldę, Jochewed i Miriam-Libę, po lewej stronie Azriela, Szajndł i Cypełe. Niemowlę Jochewed spało w kolebce. Kalman przywiózł z Warszawy lampę naftową na podstawie z brązu. Miriam-Liba nie spuszczała z niej

wzroku. Wpatrywała się w lampę – w palnik i w szkło. Białawe światło otaczające płomień oświetlało każdy kąt pokoju. Trudno było zrozumieć, jak w ogóle mogli sobie

• – Dwór

113

przedtem radzić z łożowymi świecami. Wszyscy już jedli drugie danie, ale Miriam-Liba wciąż jeszcze marudziła przy zupie z kluskami. Wkładała pełną ich łyżkę do ust i zapominała, że trzeba je połknąć. Mrużyła oczy patrząc na lampę, która zdawała się rozsiewać złote promienie. Mejer-Joel i Azriel wdali się jak zwykle w spór. Pierwszy z nich utrzymywał, że Egipt leży w Azji, drugi zaś, że w Afryce.

– Jak może być w Afryce – dowodził Mejer-Joel – skoro jest tak blisko Palestyny?

Azriel zerwał się, aby przynieść mapę, ale Szajndł go zatrzymała.

– Po co ten pośpiech? Egipt nie wystygnie.

– Obawiam się, że tym razem Mejer-Joel ma rację – wtrącił Kalman po chwili wahania. – W Afryce mieszkają ludzie czarni. Egipt znajduje się w pobliżu kraju Fili-
stynów...

– Czy teść chce to zobaczyć czarno na białym?

– Nigdzie nie leć. Skończ kolację. Zawsze się śpieszysz, Azrielu. Wieczór jest długi.

– Trzy kontynenty stykają się ze sobą na ziemi pale-
styńskiej: Azja, Afryka i Europa. Półwysep Synaj...

– Czy masz na myśli górę Synaj, na której została objawiona Tora?

– Cały półwysep nazywa się Synaj. Góra znajduje się faktycznie na pustyni Synaj.

– Co ty na to, Mejerze-Joelu? – zapytał Kalman.

– Kto tam dba o kłamstwa heretyków. Wszystko zostało opisane w Pięcioksięgu.

– Nie wszystko znajduje się w Pięcioksięgu – sprostował Azriel. – A gdzie jest tam Wzmianka o Ameryce? Dopiero Kolumb odkrył Amerykę.

– Wszystko opisano w Torze! Mówi się tam o ziemiach, których najwięksi uczeni nie potrafią pokazać na mapie. Gdzie znajduje się Hodu albo Kusz? Jeden mędrzec utrzymuje, że są bardzo daleko, inny, że blisko. Czytałeś Ge- marę?

Tak, czytałem. Hodu to Indie, a Kusz – Etiopia. Znajdują się dość daleko od siebie.

– Czyli według ciebie talmudysta, który utrzymywał, że nie są odległe, był w błędzie?

– Talmudyści nie znali geografii. W owych czasach Ameryka ani Australia nie były znane, odkryto je później...

– To znaczy, że heretycy są mądrzejsi od Tory\ Mejer-Joel huknął pięścią w stół. Naczynia zabrzęczały.

Płomień w lampie podskoczył. Zełda się nie odzywała, ale trzymała stronę Mejera-Joela. Spod czepca przybranego perełkami krzywo spoglądała na Azriela. Nie mogła jadać takiego samego kawałka wołowiny, co reszta rodziny. Utraciła wszystkie zęby. Fajgł upiekła klops dla swej pani i Zełda połykała małe kąski.

– Znow się sprzeczacie? Już tyle razy was prosiłam, abyście spożywali posiłki w spokoju. Kto to słyszał, żeby dwóch młodych mężczyzn tak się kłóciło? Jak jeden mówi lato, to drugi – zima. Dla jednego dzień, dla drugiego noc. U innych ludzi dzieci się nawzajem całują, tutaj nic, tylko spory. Co za różnica, gdzie leży Egipt? Bądźcie tylko przyzwoitymi Żydami. Ci, co piszą książki, starają się przewrócić wszystko do góry nogami, abyśmy zapomnieli o Wszechmocnym, a dawali wiarę diabłu.

– Teściowo, to nie ma nic wspólnego z Bogiem – powiedział Azriel.

– Nie wiem. Nie chodziłam do szkoły. Ale nic dobrego nie wynika z takich kłótni. Wierzcie mi, wiem, co mówię. Azja tutaj, Azja tam. A tymczasem zapominacie, że jesteście Żydami. Dopóki ja żyję, chcę, aby moi zięciowie...

– Mamo, zawsze bierzesz jego stronę! – przerwała Szajndl Wskazując na Mejera-Joela. – Gdyby ci powiedział, że widział krowę przelatującą nad dachami i znoszącą jajka z mosiądzu, uwierzyłabyś!

– Dość tego, dzieci! Żadnych więcej sporów przy stole. Szajndl, nie bądź taka zuchwała. – Głos Kalmana stał się surowy. – Matka mówi do was wszystkich. A to, co mówi, jest słuszne. Dziś jedna książka cieszy się popularnością, jutro druga. Co sprawiło, że JVallenberg został przechrztą?

Jego ojciec był uczciwym Żydem, nauczycielem.

Wszystka zaczęło się od świeckich nauk. Nie wpadaj w gniew, Azrie- lu. Nie chcę wprawić cię w zakłopotanie, broń Boże. Ko < cham cię jak własnego syna. Ale pragnę, abyś szedł w śla- dy swego ojca. Czego mu brak?

– A co on ma?

– Osiągnie zbawienie. Zjawi się na tamtym świecie, oby żył do stu dwudziestu lat, z workiem pełnym Tory. A i na tym świecie też nie głoduje, szczęść Boże. Nie wszyscy heretycy tarzają się w złocie. Jeśli jest mi potrzebny buchalter lub kancelista, main dziesięciu chętnych do pracy. Kie- I dyś było zbyt mało, teraz mamy ich za wielu. Zapadła nagła cisza. Słysząc było, jak knot lampy wsysa • naftę. Zelda spojrzała na Miriam-Libę, która siedziała z za- i mkniętymi oczami i głową opuszczoną nad talerzem, poru- J szając wargami. Była blada i mizerna.

– Miriam-Libo!

Dziewczyna drgnęła i łyżka wypadła jej z ręki.

– Co tak siedzisz jak kukła? Spisz? Dlaczego nie jesz?

–• - spytała Zełda. – Popatrzcie tylko na nią! Cienka jak słom- * ka. Dolega ci coś, broń Boże, czy boli?

– Nie, mam, nic mnie nie boli.

– Marzy o królewiczu na białym rumaku –I zażartowa-
jj
ła Szajndł. t

– Jaki królewicz? Jaki rumak? Kalmanie, spójrz na j
twarz córki. Wygląda na osobę chorą. Lada dzień ma się |
tu zjawić jej przyszła teściowa, raz tylko na nią spojrzysz 1 i
ucieknie, gdzie pieprz rośnie. Ja sama zląkłabym się ta- J
kiej zmory, gdybym miała syna do ożenku.

Kalman uniósł w górę brwi.

– Dlaczego siedzisz tak cicho, Miriam-Libo? Czemu nie
jesz?

– Jem, ale nie jestem głodna.

– Wiesz, że twoja przyszła teściowa przyjeżdża wkrótce
z Lublina, by cię poznać. Musisz trochę przytyć. Nie chcę,
|gj aby Cypełe wyszła za mąż przed tobą.

Wszyscy zamilkli. Fajgł podała placek z jabłkami i her- J|
batę. Miriam-Liba grzebała widelcem jedzenie na talerzu.

;

• ■
118

9

sm

Przykryte włosami uszy paliły ją, chociaż twarz miała
bladą. Oblało ją dziwne gorąco. Nie myślała świadomie o
niczym, ale w mózgu kłębiły się myśli, które rozsadzały
jej głowę. Podświadomie układała dialogi i rozgrywała
całe sceny. Nie śmiała spojrzeć w oczy nawet Cypełe.
Miriam- -Liba, zwykle wstydliva tylko wobec obcych, tym
razem czuła się skrępowana w kręgu rodzinnym. “Co mi
jest? Czy się rozchoruję?” – zastanawiała się. Wstała,
skierowała się do przedpokoju i weszła po schodach do
swego pokoju na facjatce. Przez chwilę stała w

ciemnościach. Wszystkie wydarzenia tego popołudnia odżyły na nowo. Ujrzała Lucjana, tak jakby zstąpił z obrazu. Popatrzył na nią, uśmiechnął się i powiedział coś, czego nie dosłyszała. Był skąpany w niezwykłym świetle, jak widzenia świętych opisywane w książkach mistyków chrześcijańskich.

“Dlaczego czuję się taka szczęśliwa? – zastanawiała się Miriam-Liba. – Dopiero przed chwilą przechodziłam męczarnie.” I naraz odgadła: to, na co czekała od wielu lat, urzeczywistniało się. Dlaczego wcześniej nie zdała sobie z tego sprawy? Chciało jej się śmiać i płakać. Boże w niebiosach, co z tego wyniknie? Miriam-Liba zamknęła drzwi na klucz i na łańcuch. Czowała się tak samo jak w noc pesa- chową po sederze, kiedy położyła się do łóżka po wypiciu czterech czarek wina. Kierując chwiejne kroki w stronę łóżka, położyła się z uczuciem zbliżającej się choroby. Leżała tak długi czas, w ubraniu, na wpół śpiąc, w stanie upojenia, jakiego nigdy przedtem nie doznała. Obudziło ją zimno. Była północ i poświata księżycowa kładła się na śniegu. Drzewa na wprost okna wydawały się jakby okryte kwieciami. -

III

Miriam-Liba wybrała drogę wiodącą do kopalni, nie zaś tę, która prowadziła do dworu. Niebo zaciągnięte było chmurami. Nawet dym z wapienników zdawał się wisieć tak ciężki jak chmury. Powoli zaczęły padać płatki śniegu.

wokół. Wczoraj odbyła tę drogę bez ociągania. Dzisiaj jednak, tak samo jak w dziecińczych latach, ogromny dom z balkonami i ornamentami wyglądał jak zaczarowany! Mieszkali w nim hrabiowie i hrabiny, dumni jak niegdyś,, pomimo dokonanych zmian. W otoczeniu złota, srebra, książek, obrazów, powozów, służby. Rozmawiali po francusku i grali na fortepianie. Za jednym z tych

kruźganków ukrywał się przed wrogami wojownik przebrany za chłopca, uzbrojony jak rycerz, żywy bohater dziejów Polski. Co robi w tej chwili? Czy jeszcze śpi? A może stoi w oknie i spogląda na śnieg? Czy może ją dojrzeć? Czy o niej myśli? Co za głupota! Dlaczego miałby myśleć o żydowskiej dziewczynie? Może mieć każdą kobietę, której zapragnie. Nie, to szaleństwo! Nie wolno jej myśleć o takich rzeczach. Po- 1 ślubi prawdopodobnie jakiegoś właściciela sklepu z Lublina... Miriam-Liba przystanąła, żeby natrzeć ręce śniegiem. Po obu stronach rozciągały się pola obsiane ozimą pszenicą. || Jakie to dziwne! Czuli, że to, co przeżywa, jest jej dobrze ; znane od lat albo że już tego doznała w innym wcieleniu, a przecież dopiero wczoraj spotkała Lucjana. Nawet jego imię brzmiało jak coś od dawna znajomego. Czy to możli- we? Przypomniała sobie, że nieraz paznokciem wydrapy- ; wała imię "Lucjan" na zamarzniętych szybach. Czy kiedyś I czytała lub marzyła o jakimś Lucjanie? A może istotnie . pamiętała go z dzieciennych lat? Czy dziecko może zakochać się w osobie dorosłej?

- "¿fi

Padł coraz gęstszy śnieg. Ziębił policzki Miriam-Liby, topniał częściowo na jej włosach, rękach,, osiadał jak ozdobny ornament na ramionach, rękawach, guzikach i brzegach futrzanego kołnierza. Nie widziała już dworu. ^ Wirujące kłęby śniegu zdawały się pląsać jak chochliki ponad zorany polami. Z oddali doszedł głos wystrzału. ^ Czyżby jakiś myśliwy wyruszył w taką śnieżycę? A może 1 wybuchła wojna? Wydało jej się, że słyszy głos trąbki. | Ktoś w środku zimy dał w noworoczny barani róg. Za- m wróciła. Obawiała się, że w powrotnej drodze ścieżka bę- | dzie zasypana śniegiem. W pobliskim lesie grasowały wil- ;

ki. Może uprościłoby to sprawę, gdyby rozszarpały ją na kawałki. Wówczas Lucjan zapamiętałby na zawsze spotkaną pewnego dnia dziewczynę, którą nazajutrz pożarły wilki.

Idąc zaczęła nucić:

Ściel się, śniegu, ściel, Otul wszystko w biel – Niech mnie skryje śnieg Aż po wieków wiek.

Ta polska piosenka mówiła o tym, że dusza pragnie się ukryć w śniegu, jak niedźwiedź w swym legowisku albo ziarno w ziemi. Poprzednią noc Miriam-Liba spędziła bezsennie marząc o szczęściu, lecz wraz ze świtem powrócił nastrój' melancholii. Powinna może pozostać tu, w tym miejscu. Przykryłby ją śnieg i utworzył kopczyk nad jej zlodowaciałym grobem. Lato? Może wiosna już nigdy nie nadejdzie. Czyż Azriel nie mówił, że pewnego dnia cały glob ziemski całkowicie zamarźnie, wszystkie stworzenia pomrą, oceany znikną i nastanie zima bez końca. Może właśnie ten czas już nadszedł. Miriam-Liba stała w miejscu przez długą chwilę. Porywisty wiatr tkał ze śniegu płachty sunące polami. Dwa śnieżne płatki ściagały się nawzajem. Wtem jeden jakby zmienił swój zamiar w pół drogi i odleciał gdzie indziej. Jakżeż piękny ten świat, jak ogromny i tajemniczy!

Miriam-Liba uniosła twarz w górę i otworzyła usta. Płatek śniegu spadł jej na język i stopniał na podniebieniu. Zadrżała.

– To sen, sen – wyszeptała. – Nic z tego nie wyniknie...
– Jakie to dziwne, że Szajndł wyszła już za mąż, a nawet Cypele jest zaręczona, tylko ona wciąż marzy na jawie.

■^{IV} ■

' Kaiman wyszedł o brzasku, a Zełda dostała kurczy żołądka. Gec szybko zaprzągnął sanie, pojechał do Skaryszew[^] i wrócił z doktorem Lipińskim, który ulżył

cierpieniom Zeldy i zapisał jakieś nowe lekarstwo. Skoro znalazł się w tej okolicy, zajechał do dworu, choć słońce już się skła-, niało ku zachodowi. Po wczorajszej śnieżycy temperatura się obniżyła i wszystko Zamarzła Gałęzie drzew przypominały kryształowe świeczniki. Zachodzące słońce zapalało na nich świece, które potem gasły. Niebieskawy śnieg skrzył się jak diamenty. Na niebie migotały pierwsze gwiazdy. Skądś dochodziło ujadanie psa.

Miriam-Liba wyszła z domu popatrzeć na dwór. Pokoje na dole były oświetlone, ale całą górę spowijała ciemność. Między tym, co jest tam i tutaj, istnieje tajemnica znana tylko Bogu i jej samej. Przebiła śnieżną skorupę, ulepiła ze śniegu kulę i rzuciła, jak mogła najdalej, w stronę zaczarowanego dworu, Wrona, zbudziwszy się, zaczęła krakać.

Zelda nie opuszczała łóżka. Kalman i Mejer-Joel nie wrócili na kolację. Azriel był jedynym obecnym w domu mężczyzną. Szajndl[^]polala mu kaszę tłuszczem, dodając kawałki mięsa. Rozeszły się słuchy po domu, że jest w ciąży. Azriel zaczął opowiadać dziewczętom o biegunie północnym; gdzie świeci zorza polarna. Noc tam trwa przez sześć miesięcy, temperatura spada do dziewięćdziesięciu stopni poniżej zera; zamarzają alkohol i rtęć; lód rozciąga się na setki mil. Uczestnicy wypraw wchołgują się na noc do futrzanych śpiworów. Cypełe słuchała oniemiała, Azriel wszystko wiedział!

– Chętnie sama bym się umościła w takim śpiworze – odezwała się Miriam-Liba.

– Sama jedna? – zażartował Azriel.

-- Wstydzilibyś się mówić takie rzeczy! – Szajndl[^]oblala się rumieńcem.

Miriam-Liba również się zaczerwieniła, a jej oczy wydały się jeszcze bardziej niebieskie. Cypełe nie rozumiała

żartu, ale się roześmiała. Z kuchni kołyszącym się krokiem weszła Jochewed.

– Co tu za wrzawa? Mama jest chora.

Z chwilą gdy Azriel obmył ręce i odmówi* modlitwę po zakończeniu posiłku, Miriam-Liba poszła na górę do swego pokoju. Wszystko stanowiło ogromną tajemnicę: świat, ludzkość, biegun północny i ona sama. Wrzały w niej różnorakie uczucia, raz była pełna uniesienia, za chwilę przygnębiona, paliło ją gorąco, to znów zimno, jak grzeszników w piekle. Żart Azriela podniecił ją. Miała osiemnaście lat – jej matka w tym wieku nie tylko była mężatką, lecz urodziła już dzieci. Stojąc przy oknie w pomroce wieczoru przyglądała się egzotycznym roślinom, które mróz wyrysował na szybach; palmom, cedrom, krzewom pustynnym rosnącym tylko w Izraelu. Pomyślała, że te złudne wyobrażenia musiały przyjść z Ziemi Świętej.

Zapaliwszy świecę rzuciła się na łóżko i otworzyła powieść pożyczoną od Heleny. Rzecz działa się w Paryżu, zapadał zmierzch, markiza wsiadła do powozu i kazała stangretowi zawieźć się do parku. Zachodzące słońce rzucało liliowe światło na twarz markizy i odbijało się w perłach zawieszonych na jej szyi'. Powóz zatrzymał się, markiza wysiadła i powłóczytym krokiem skierowała się alejką W głąb parku. Nagle zjawił się tam jej kochanek, podbiegł ku niej i pochwycił w ramiona. Źrenice Miriam-Liby rozszerzyły się. To była miłość, to było życie! Przymknęła powieki, chcąc wyobrazić sobie, jak wygląda Paryż: muzea, teatry, wieże, zamki, jasno oświetlone ulice, bulwary pełne powozów. Wszędzie zapach kwiatów, muzyka, tańczące damy i korki strzelające z butelek szampana. "Twoje zdrowie, kochanie." "Luba moja, żyć bez ciebie nie mogę. Przysięgnij, że będziesz

moja." "Potem, potem! Ach, mój biedny Janie." "Zostań w moich ramionach: Pocałuj mnie!"

Naraz ona sama znalazła się w Paryżu. Siedziała w powozie, a Lucjan ją obejmował – jednocześnie znajdowała się w powozie, w buduarze, w salonie. Miała na sobie wieczorową suknię, a w dłoni wachlarz. Chciał ją pocałować,

lecz odwróciła twarz. "Nie, Lucjanie, przyrzeczono mnie kupcowi z Lublina."

Otworzyła oczy. Migocąca świeca prawie się wypaliła. Miriam-Liba zdmuchnęła ją i powróciła do swych marzeń. Zapadała w drzemkę, budziła się, znów drzemała. Sen jej był niespokojny jak w malignie. Lucjan pojawiał się w różnych przebraniach: jako cywil, jako żołnierz na koniu, w hełmie i pelerynie, jako podróżnik na pokładzie statku. Uciekali razem, lecz napotykali przeszkody. Na morzu była blokada. Zbliżała się nieprzyjacielska flota. Wysłano kuriera. Wszyscy się sprzysięgli przeciw niej: ojciec, matka, Jochéwed, Szajndł. Azriel obciął sobie pejsy i ubrał się w niemiecki strój. Szeptał jej do ucha: "Nawróć się!"

Zbudziła się drżąca. Było jej zimno, a księżyc świecił wprost na nią. Przesunęła się poza niebezpieczne miejsce, bo wierzyła jak inni, że blask księżyca padający na śpiącego wywołuje ataki. Usiadła objąwszy kolana. Na dworze było widno jak w dzień. Poczwała głód i chciało jej się pić. Pragnęła Lucjana. "A gdybym tak poszła do niego teraz, od razu? – pomyślała. – Przebiegnę przez pola, wejdę na palcach na schody, otworzę jego drzwi i powiem «Zrób ze mną, co zechcesz»"...

Zasnęła dopiero o brzasku. Znów zaczął padać gęsty śnieg. Koło południa zbudziły ją głosy na schodach. Ktoś zastukał do drzwi. Otworzyła oczy na wpół śpiąca. Na

dworze świeciło słońce i połyskiwał śnieg. Drzwi otworzyły się i weszła Helena. Miriam-Liba patrzyła na nią zdumiona.

– Czy pani spała? Przepraszam, ale musiałam z kimś porozmawiać, a tylko pani jedna wie... to znaczy, oprócz Felicji. Ojciec nie wrócił do domu dzisiejszej nocy ani zeszłej. Matka jest zbyt chora, żeby jej o tym powiedzieć. Felicja się do tego nie nadaje. A Lucjan bardzo się boi. Dlaczego nie przyszła pani wczoraj? Sądziłam, że pani przyjdzie. Lucjan się dopytywał... Myślałam, że zazwyczaj wstaje pani wcześnie.

Stopniowo Miriam-Liba powracała do przytomności i zaczęła bąkać przeprosiny.

– Pani wizyta to wielki zaszczyt... ale że też zastała mnie pani w łóżku... i wszędzie leży porozrzucane ubranie...

– Mniejsza o to. Wczoraj po południu Lucjan był w takim dziwnym nastroju. Dopominał się o wódkę. Zachciało mu się pędzić z powrotem do Warszawy. Felicja dała mu naszyjnik i parę broszek, część biżuterii mamy, ale on musi mieć gotówkę. Musi przejść przez granicę.

Naszyjnik można sprzedać tylko jednemu jubilerowi, panu Noskowi w Warszawie. To niebezpieczna podróż. Lucjan obawia się tutaj pozostać. Ktoś go na pewno wykryje. Mama wciąż jeszcze nic nie wie. Wszystko jest takie dziwne. Czy sądzi pani, że moglibyśmy zastawić biżuterię u pani ojca?

– Ojciec jest w Warszawie.

– Ach tak. A może pani szwagier ma pieniądze?

– Azriel? Nie.

– Myślałam, że Żydzi mają zawsze pieniądze pod ręką. Ale proszę pójść ze mną, Lucjan pragnie z panią pomówić. Musi go pani przekonać, żeby jeszcze trochę tu

pobyl. Moze będzie go mozna ukryc gdzie indziej.
Obawia sie rewizji.

– Niech Bóg bron!

– Dlaczego pani nie wstaje i nie ubiera się? Ach, pani się mnie wstydzisz? No dobrze, zaczekam na dole. Proszę się pośpieszyć.

– Jedną chwilę. Dziękuję. Dziękuję tysiącrotnie.

Helena zamknęła drzwi i zeszła na dół. Miriam-Liba wyskoczyła z łóżka, nalała zimnej wody z dzbanka do miednicy, zaryglowała drzwi i zaczęła się myć. Drżała z podniecenia. Czy jest jej przeznaczone ciągłe uwikłanie w trudne i skomplikowane historie? Helena po nią przyszła. On o nią pytał! On ją kochał
y

W drodze do dworu Helena wyjaśniła Miriam-Libie sytuację. Lucjan nie może długo przebywać w domu, każdej chwili naraża życie. Muszą powiadomić hrabiego, ale jak wysłać kogoś ze dworu do domu tej Rosjanki, Jewdokii? Co więcej, hrabia zabrał małe sanki, a do dużych nie było

koni. Moze Miriam-Liba ma kogoś zaufanego, kogo można | tam posłać? Wszystko musi być zachowane w tajemnicy. |

– Czy mogłybyśmy wypożyczyć sanie od chłopów? – zapytała Helena. – A może wziąć konie z kopalni wapnia?

Miriam-Liba nie wiedziała, co odpowiedzieć. W taką śnieżycę trudno byłoby dostać się do kopalni, a nawet gdy-' by się udało tam dotrzeć, czy mogłaby kazać ludziom pożyczyć im konie? Panny posuwały się powoli. Helena miała | na nogach buciki z cholewkami, ale Miriam-Liba włożyła pantofle na wysokich obcasach. Nie pomyślała nawet % o włożeniu ciepłych pończoch. Droga

tylko częściowo była oczyszczona. Śnieg zacinał z ukosa, ścięte mrozem płatki siekły policzki dziewcząt, osiadały im na rzęsach, tworząc skorupę na brwiach i czołach. "Dostanę zapalenia płuc", pomyślała Miriam-Liba z pewnego rodzaju wisielczą satysfakcją. Kurzawa na wpół ją oślepiła. Helena narzekała, że śnieg dostaje się do jej bucików. Dziewczęta miały zamiar pójść drogą, która okalała dwór i prowadziła na drugi dziedziniec, chciały bowiem wejść od tyłu i wprost na górę tylnymi schodami, ale ścieżka nie była przetarta. Kiedy doszły do drzwi frontowych, psy rzuciły się ku Miriam-Li- | bie, skacząc i ujadając; Helenie z trudem udało się je od-, | pędzić.

W przedsionku frontowym Helena zaczęła podskakiwać i tupać nogami, otrząsając śnieg, lecz Miriam-Liba była zbyt przemarznięta. Czuła się na wpół skostniała i wlokła : się za Heleną na górę, poruszając się sztywno.

Wiedziała, że ma twarz białą jak kreda. Wszystkie zabiegi i strojenie się przed lustrem poszły na marne. Osty przyczepiły się do pończoch i rąbka sukni. Helena zapukała i otworzyła drzwi. J Miriam-Liba zobaczyła jak przez mgłę całkiem innego Lu- ; cjana. Wyglądał o wiele przystojniej i zgrabniej niż poprzedniego dnia. Zgolił brodę, miał na sobie zieloną kurtkę, bryczesy i buty w stylu niemieckim, z miękkimi cholewa-J mi. Nosił przedziałek pośrodku głowy. Na stole leżały książki, stała zakorkowana butelka i kieliszek. Łóżko nie było posłane. Lucjan, który stał na środku pokoju, jakby wyczekując ich niecierpliwie, postąpił do przodu.

w- Proszą wejść, proszą! Pani zapewne mnie nie poznaje. Sam siebie nie poznaję.

– Nieomal zamarzyliśmy – powiedziała Helena. ;8 Spójrz tylko na nas, jesteśmy wpół żywe!

– Zagrzejecie się tutaj. Nie mogłem pojąć, gdzie przepadłyście, moje panny. Proszę zdjąć okrycia. – Podeszedł do Miriam-Liby. – Pani pozwoli? No tak. A może kieliszeczek? To nalewka wiśniowa, damski napój. Jedyne, co mogłem zdobyć... Ale pani zupełnie przemarzła.

– Wiatr...

– Może coś do zjedzenia?

– A czy jej wolno coś jeść? Nie mamy nic koszernego – przerwała Helena.

– Co? Ach tak, koszer. W Warszawie pełno jest Żydów. Ale oficer z naszego oddziału, chociaż Żyd, jadł wieprzowinę. Może pani usiądzie? Proszę, na tym krześle. Czy mogę pomóc zdjąć rękawiczki?

– Tak, bądź rycerski – odezwała się Helena. – Gdzie Felicja? Pójdę coś przynieść. Wolno pani pić mleko, prawda?,

Miriam-Liba nie odpowiedziała. Helena wyszła zamykając za sobą drzwi. Lucjan pochylił się nad Miriam-Libą i ściągnął jej rękawiczki.

– Pani jest przemarznięta, i to kompletnie. Jakież zimne te rączki. Jezus Maria! Hi*

Chwilę trzymał jej dłonie w swoich, nacierając i rozgrzewając. Nachylony nad nią pachniał wiśniówką i czymś jeszcze, męskim i obcym zapachem. Miriam-Liba siedziała bez ruchu i wiedziała jedno, że gdyby tak nie przemarzła, umarłaby ze wstydu. Miała przemoczoną suknię, pończochy całkiem mokre. Pod nią na podłodze tworzyła się kałuża.

– Naprawdę musi się pani napić. Nalewka nie jest zabroniona. – Lucjan nalał jej pół kieliszka i podał. Wzięła go i podnosząc sztywnymi palcami, pociągnęła łyczek, niepewna, czy jest to koszernej czy nie. Chciała coś powiedzieć, lecz nie była w stanie się odezwać.

– Pani powinna zdjąć pantofle.

- Nie. nie! – Miriam-Liba podciągnęła stopy.
 - Wstydliva! Walcząc w lasach musieliśmy zapomnieć o wstydzie. Na początku nie było to przyjemne, ale z czasem przywykliśmy.
 - Trzeba może położyć coś na podłogę... kapie ze mnie...
 - Nic nie szkodzi. Czym jest śnieg? Woda. Spodziewałem się, że pani przyjdzie wczoraj. Znalazłem się tutaj w dziwnym i kłopotliwym położeniu. Nip mogę pozostać
 - 1 nie mogę odejść. Potrzebuję pieniędzy. I pragnę przynajmniej pokazać się rodzicom. Postanowiłem przekroczyć granicę, nie wiem dokładnie, w jakim miejscu, chociaż mówiono mi, że można przekraść się na drugą stronę koło Ojcowa. Ale gdzie jest Ojców? W całym domu nie ma mapy.
 - Mój szwagier ma mapy.
 - Szczegółowe mapy okolicy? Będę musiał wędrować^ od wsi do wsi. Zbyt niebezpiecznie jest iść wprost do granicy albo podróżować karetką pocztową. Nawet woźnice donoszą policji. Proszę jeszcze się napić, pani jest strasznie blada.
 - Dziękuję. \
 - Matka przechowała wszystkie moje ubrania. Tylko? obuwie nieco uwiera. Zgolilem brode i znowu wyglądam • jak wieśniak. Dziwne, jak broda potrafi nadać twarzy i bardziej uduchowioay wyraz. Czy pani zdaje sobie sprawę] ze swej urody?
 - Miriam-Liba spuściła oczy. " nlsj^l
 - Mam nadzieję, że pani mi wybaczy. Zatraciłem dobre -'j maniery. Stałem się zupełnym prostakiem. Jak słyszę, mój ojciec też popuścił sobie wodze. My wszyscy, którzy prze- J szliśmy tę okropną kampanię, wytrąceni jesteśmy z normalnego rytmu życia. Są tacy, co się rozpili, inni

popadli w mistycyzm. Ja piję, ale się nie upijam. Wszyscy wiedzieli, że byliśmy z góry skazani na zatracenie.

Poprowadzono nas jak owce na rzeź i złożono w ofierze. Niektóre rasy lubią przelewać krew, a u Polaków stało się to czymś w rodzaju obsesji. Bito nas, a my prosiliśmy o jeszcze... Nasi dowódcy po prostu wprowadzali nas w zasadzki. Pragnę jednego – zapomnieć o tym wszystkim.
JS5 W^{ar~}

• szawie już mi się to udało, lecz tutaj odżywa wszystko na nowo. Dlaczego patrzy pani z takim smutkiem? Na pewno ma pani szlachetną duszą.

– Pan hrabia nie powinien się ze mnie śmiać.

– Ja się nie śmieję. Mówię poważnie. Byłem już na samym dnie, a teraz wydaje mi się, że unoszę się w chmurach. Napilem się trochę dla dodania sobie odwagi... Czy ma już-pani narzeczonego?

– Nie.

– Co stanie się z panią tu, w Jampolu? Czy wolno mi coś powiedzieć?

– Tak.

– Modliłem się do Boga, a gdy panią ujrzałem, pojąłem, że On wysłuchał mych modłów. Rozumie mnie pani?

– Tak.

– Ja sam z trudem mogę w to uwierzyć...

Lucjan zrobił ruch, jakby chciał podejść bliżej. Helena otworzyła drzwi niosąc dzbanek i spojrzała na nich rozbawiona. Ale po chwili wyraz jej twarzy się zmienił.

– Felicja też się rozchorowała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

I

W dniu Purim czytano na głos Księgą Estery. Cypełe, chociaż już zaręczona, terkotała kołatką przeklinając łotra Hamana. Sza jndł pomagała Fajgł przy pieczeniu

makowców, kruchych ciasteczek i chałki z szafranem, którą krajano wzdłuż. Fajgł ugotowała' również rybę na słodko- -kwaśno. Zelda wracała do zdrowia, choć wciąż jeszcze czuła się słaba i Jochewed otaczała ją staranną opieką. Azriel zajął się wykonaniem włóczni, mieczów, hełmów i masek z tektury i kolorowego papieru; brody porobił z Inu. Młodzież poprzebierała się w kostiumy przed obiadem. Mejer-Joel wystąpił jako Achaszweres, Azriel był Wajezatą, Gec – Hamanem, Sza jndł przebrała się za Waszti, a Cypełe za królową "Esterę. Pierwotnie rolę tę przeznaczono Miriam-Libie, ona jednak odmówiła wzięcia udziału w przedstawieniu i trzymała się na uboczu. Wzrok jej spoczął na dwóch grubych świecach płonących w dwóch jednakowych srebrnych lichtarzach, prześlizgnął się potem na lampę naftową świecącą w rogu pokoju i dalej na- wielki stos prezentów, które Kalman otrzymał na Purim od swych pracowników.– pomarańcze, świąteczne chałki, makowce, pierniki, butelki wina i miodu – aż wreszcie dosięgnął okna. Ognista wstęga kolorów płonęła na niebie, ostatni ślad zachodu i pierwszy zwiastun wiosny. || Pogoda na tegoroczny Purim zrobiła się wyjątkowa ładna. Przez otwarte okno wpadał ciepły, wonny powiew Pola rozmokły, topniejące śniegi napełniły już strumienie wodą po brzegi. Miriam-Liba zdawała sobie sprawę, że Azriel czuje się dotknięty jej odmową oglądania przedstawienia. Ale gdyby nawet patrzyła, nie zrozumiałaby z niego ani krzty. Przeżywała wielką rozterkę. Czyżby minęło dopiero sześć tygodni? Wszystko to wprost nie do wiary, nie ma z kim pomówić. Przed miesiącem Helena wyjechała bez słowa pożegnania do swej ciotki w Zamościu..W ciągu owego tygodnia, gdy Lucjan ukrywał się we dworze, Miriam-Liba zobaczyła się z nim tylko dwa razy. Potem odszedł,

złożywszy pocałunek na jej ustach, i przyrzekł napisać. Boże, jakżeż on nie panował nad swym postępowaniem i co za niestworzone rzeczy jej opowiadał! Jak szybko zmieniały się jego plany i nastroje. Przed odjazdem miał zamiar przejść przez granicę pruską, lecz Helena otrzymała wiadomość, że powrócił do Warszawy. Bardzo dziwnie zachowywał się wobec swych rodziców. Na dwa dni przed odjazdem poszedł wieczorem pieszo do Jampola, wtargnął do domu tej Rosjanki Jewdokii, posprzeczał się z ojcem, a nawet sięgnął po pistolet. "Następnego wieczoru wszedł bez uprzedzenia do sypialni matki. Hrabina potrafiła zachować spokój, ale stara niania Barbara zaczęła krzyczeć i zawodzić, aż Helena i Felicja musiały zabrać ją z pokoju. Lucjan spędził tę noc w pokoju matki, a o świcie opuścił dwór. Po dwóch tygodniach Helena odjechała do Zamościa. Lucjan nie napisał do Miriam-Liby.

Lucjan i Helena odjechali, ale przyjechała pani Dajczes z Lublina, przyszła teściowa Miriam-Liby. Rzuciła tylko jedno spojrzenie na dziewczynę i śpiwnie oznajmiła: – Tak, ty będziesz moją synową.

Jak szybko zmieniał się koloryt nieba, czerwień i purpura przechodziły w fiolet, potem fiolet rozpływał się w barwy jasnopopielate. Księżyc wynurzył się spoza chmur przypominających kształtem stado kóz. Gwiazdy płonęły jak latarnie zawieszane między niebem a ziemią.

Mejer-Joel zdjął koronę, sztuczną brodę i odłożył złote berło na kredens. Azriel chciał prowadzić dalej przedstawienie, lecz Zelda oświadczyła, że już wystarczy tych głupot. Miriam-Liba zamknęła oczy; nie zapomni tej zimy,

0 – Dwór

129

i r

■MI dopóki po śmierci nie położą jej glinianych skorupki na gąg powieki, nie zapomni też tego święta Purim. Czy zazna W[^] w życiu szczęścia? Czy zdoła pokochać kogoś innego poza Lucjanem? Czyż to możliwe, że zostanie kiedyś żoną, matką, a nawet babką? Niech Bóg broni. Nie chce żyć tak długo. Tacy jak ona umierają młodo. Może to jej ostatni Purim. Przyszły jej na myśl słowa Lucjana: "Kiedy wszy-1 siko zawiedzie, mogę zawsze wpakować sobie kulę w łeb." – Miriam-Libo!

Drgnęła. To matka ją wołała. Reszta rodziny siedziała już przy stole.

– O czym tak rozmyślasz? Koń ma dużą głowę, niech myśli.

– Miriam-Liba obawia się, że księżyc spadnie z nieba – zażartował Mejer-Joel.

– Marzy o przyszłym mężu – zgadywała Szajndl. JS Nagle Cypełe wybuchnęła śmiechem.

– O co chodzi, Cypełe? – zapytał Kalman.

– Tato, czy to prawda, że głupi Lekisz ma złoty zegarek?

To dziwne pytanie spotkało się ze śmiechem, wszyscy tupali nogami, aż stół zadrżał. Nawet Miriam-Liba się uśmiechnęła.

– Czemu ci to przyszło na myśl?

– Azriel tak mówił.

– Dlaczego nabijasz jej głowę takimi głupstwami? – zapytał Kalman. – Ma już narzeczonego.

– Nie wiem, o czym ona plecie. Musiało jej się coś i przyśnić.

– On tak mówił.

– No, dość już – powiedział Kalman. Z powodu Purim nie musimy robić z siebie głupców. Żył kiedyś krawiec w Szczebreszynie, który uważał, że w dniu Pu- | rim

wszyscy tak są pochłonięci ucztowaniem, iż nikt nie pamięta psalmów króla Dawida. Więc co roku szedł do bóżnicy sam jeden i żałośnie recytował całą Księgę Psalmów. Był taki czas, kiedy Żydzi pamiętali o Bogu.

– Żydzi zawsze pamiętają o Bogu – odezwał się Azriel – tylko Bóg zapomina o Żydach.

– Wstydz się, nie mów takich rzeczy! – zawołał Kalman uderzając pięścią w stół. – Gdyby Bóg nie czuwał nad Żydami, już byśmy dawno przestali istnieć.

Zelda burczała pod nosem na tego młodziana, co to przystrzygł sobie pejsy i daje zły przykład dzieciom. Chciała go skarcić, ale powstrzymała się ze względu na święto i na Szajndl, która była w ciąży – niech jej szczęście sprzyja – i gdy ktoś się ośmielił powiedzieć coś przeciwko jej mężowi, źrenicy jej oka, momentalnie wybuchała.

Miriam-Liba wstała, żeby przynieść szklanek wody.

– ■ Czy wszyscy są gotowi do modlitwy? – spytał Kalman.

– Tak, teściu – odparł Mejer-Joel.

– To może ty zaczniesz,

– Moi dobrodzieje, pomódlmy się. Niech będzie błogosławione imię Boże jako dzisiaj, tak i na wieki...

Kalman przymrużył oczy i kiwał głową potakująco. Bóg jest dlań łaskaw. Wydał już za mąż dwie córki. Cypele jest zaręczona. Przyszli teściowie Miriam-Liby mają przyjechać w następnym miesiącu na uroczystość zaręczyn. Ach, zaznał ongiś kłopotów, lecz powiodło mu się i przy bożej pomocy nadal będzie wiodło. Podniósł ręce i wzniósł wzrok ku niebu. Mejer-Joel zaintonował:

– Boże, nasz Panie, spraw, byśmy nie polegali na darach i pożyczkach ludzi! Otwórz Twą świętą dłoń, pełną i hojną.

Myśli Mejera-Joela odbiegły od słów modlitwy. Postanowił nabyć młyn w Jampolu. Wkrótce wybuduje tam dom. Jediną ujemną stroną zajęcia się interesami będzie to, że pozostanie mu mniej czasu na naukę i chasydyzm. Już oczekiwał święta Szewuot, kiedy to wybierze się do Marszy nowa. Obecnie, gdy Jochanan jest przyrzeczony Cypele, on, Mejer-Joel, będzie tam przyjęty jak członek rodziny rabiego...

Azriel rozmyślał o Miriam-Libie i wciąż rzucał na nią ukradkowe spojrzenia. Coś przytrafiło się dziewczynie,

■

przeżywa jakiś kryzys. Jakby nie słyszała, co się do niej mówi, wciąż wpatruje się w dal i z każdym dniem staje RpiBB^ się szczuplejsza, bledsza i bardziej roztargniona. Czyżby się zakochała? Lecz w kim? Co jej dolega? Azriel próbował ją wybadać, ale unikała rozmowy. Czasem przychodziła do jego pokoiku na facjatce, przed wejściem pukając na sposób wielkowiejski do drzwi. Jednakże z chwilą gdy zaczynała mówić, czerwieniła się, nic nie była w stanie wykrztusić, usta jej drżały, a oczy zachodziły łzami. Nie mogła nawet dokończyć zdania. Jeśli zadał jej pytanie, wybiegała z pokoju i nie wiedział, czy czuła się zawstydzona, czy obrażona. Czyżby się w nim zakochała? Azriel czytał Słowackiego i innych poetów, wiedział, że miłość nie uznaje żadnych praw. Autorzy Tory zupełnie pomijali uczucia ludzkie i system nerwowy człowieka. W myślach on już zdradził Szajndł. Zawsze mu przerywała naukę, przychodziła, aby pokazać, co haftuje, lub poradzić się w sprawach gospodarstwa domowego. Po prostu chciała być przy nim. Kalman żądał od niego sprawdzania ksiąg buchalteryjnych. Mejer-Joel przychodził, aby dyskutować o chasydyzmie, mimo że przy każdej sposobności zarzucał mu antychasydyzm. Azriel robił pewne postępy w nauce,

jednak nie były one wystarczające. Ułożył sobie plan zajęć, z książek Wallenberga uczył się algebry, łaciny, greki, historii, fizyki. Nigdy mu się jednak nie udało w pełni wykonać zamierzonego planu pracy, takie bowiem szarpały nim namiętności i takie nachodziły zachcianki, że gdyby komuś o nich opowiedział, wzięto by go za przestępcę lub wariata. Wynikałoby więc z tego, że w tym samym czasie umysł może być i zdrowy, i chory. Azriel potrząsnął głową i wyszeptał:

Bójcie się Pana, święci Jego,
gdyż bojący się Jego nie doświadczą biedy.

Możni wpadli w biedę i głodu zaznali;

tym zaś, co Pana szukają, niczego nie zabraknie.

W godzinę po uroczystej kolacji Miriam-Liba wyszła na dwór. Stała blisko domu i wpatrywała się w księżyc.

Azriel przypomniał, że dokładnie za cztery tygodnie wypada pesachowy seder. Wiatr dał od pól rześki, a zarazem balsamiczny. Miriam-Liba poszła na spacer, bez celu, szeroką ścieżką wydeptaną przez domowników.

Wtem jakaś postać znalazła się przy niej, jakby wyrosła spod ziemi. Cofnęła się i dopiero wtedy poznała Lucjana. Wydał się jej wysoki i obcy, miał na sobie futrzaną kurtkę, pluszową czapkę i dopasowane buty z cholewami.

Chwycił ją kościstymi palcami za nadgarstek.

Przestraszyła się, że ktoś z domu może ją zobaczyć.

– Miriam – rzekł Lucjan spokojnie i stanowczo. – Musisz ze mną stąd odjechać.

– Dokąd? – Miriam-Liba czuła, że cała drży.

– Opuścimy ten kraj zapomniany przez Boga. Mam pieniądze i paszport.

– Ale Lucjanie... – Nie mogła opanować szczykania zębów. -- Mama...

- Tak czy nie? Musisz mi dać odpowiedź.
- Gdzie byłeś? – Miriam-Liba podniosła wzrok. W jej głosie brzmiał lęk i prośba. Zaskoczył ją tak nagle jak zbój.
- Byłem w Warszawie. Sprzedałem klejnoty. Pojedziemy do Lwowa, a potem do Paryża. Tam się pobierzemy. Miriam-Liba rozejrzała się wkoło pełna obawy, że ktoś może wyjść z domu.
- Powiedziałeś rodzicom?
- Nikomu nic nie mówiłem.
- Muszę się przebrać – wyrzekła te słowa nie rozumiejąc, co właściwie mają oznaczać.

LUCJAN oswobodził jej rękę. Był od niej wyższy i stał na wzniesieniu. Krtań jej się zacisnęła, w czasie czuła ukłucia. Tylko raz kiedyś przeżywała takie sensacje, gdy jako dziecko bawiła się w chowanego z własnym cieniem odbitym na ścianie, aż cień oderwał się od ściany i

m
targał ją za uszy. Lucjan zrobił parę kroków do tyłu. Zdała sobie sprawę, że musiał tu na nią czekać ukryty za wierzbą koło stodoły. Ruszyła w stronę furtki, z trudem się powstrzymując od krzyku. Weszła do ciemnego przedpokoju i zaczęła wchodzić po schodach, przystając na każdym stopniu. Przed oczami ukazywały się jej ogniste płatki. W uszach dzwoniło. Była pewna, że zaraz zemdleje. Słyszała płacz niemowlęcia i głos Jochewed, która je uspokajała. Szajndł i Azriel znajdowali się w swojej sypialni i wyglądało na to, że się sprzeczą, ale ściszyli głosy. Niepodobna było opuścić dom i ich wszystkich. To na pewno zabiłoby matkę, pomyślała, a ojca także. Doszła do drzwi swego pokoju i zatrzymała się przed nimi. "Nie, nie pójdę", mówiła sobie. Ogarnął ją bunt i jakby nienawiść do Lucjana, do którego jeszcze przed godziną tak tęskniła.

W ciemności nie mogła trafić na klamkę, szukała jej po omacku. Pokój był skąpany w poświacie księżyca. Na środku łóżka leżał arkusik papieru z napisanym po obie-
dzie miłosnym wierszem do Lucjana, podyktowanym, jak się jej zdawało, tęsknotą nie do zniesienia. "Jakżeż to może być? – zastanawiała się. – Wprost umierałam z miłości." Naraz przypomniała jej się kobieta z Lublina i jej słowa: "Będiesz moją synową." "Nie, nie będę – oznajmiła Miriam-Liba buntowniczo. – Nie zaciągną mnie na targ i nie sprzedadzą jak jałówkę!"

Zaniechała na chwilę rozmyślań i stanęła przy oknie wpatrując się w ciemność nocy, w śnieg i księżyc. "On nie będzie mnie ciągnął siłą. Ach, jakież ze mnie tchórz." Przed oczami mignął jej obraz życia, jakie będzie prowadzić, jeśli tu zostanie. Zobaczyła przyszłość, tak jak podobno tonący widzi przeszłość. Poślubi młodego człowieka, który łapówką wykupił się od wojska. Krępa kobieta z nachmu- g rzonym czołem zostanie jej świekrą. Zgola jej włosy, dopasują perukę i będą nalegali, aby chodziła do mykwy. Będzie rodziła dzieci, użerała się ze świekrą i zestarzeje przedwcześnie. Życie Żydów jest nudne i monotonne. Jej matka nie zaznała niczego. Podobnie będzie z Jochewed.

A tam na zewnątrz jest ogromny świat pełen blasku. Jeśli stąd odejdzie, zostanie hrabiną i będzie miała Lucjana, zamieszka w Paryżu, słynącym ze wspaniałych bulwarów i romansujących kobiet. Matka umrze w każdym razie. Doktor już nie robił żadnej nadziei na jej wyzdrowienie. Jeśli teraz nie odejdzie z Lucjanem, zawsze będzie tego żałować.

Ale co ma robić? Dlaczego on nie napisał do niej choć parę słów w ciągu tych sześciu tygodni? Jak może mu zaufać? A jeśli to wcale nie Lucjan, tylko szatan, który przybrał jego postać? Spojrzała w kierunku drzwi. Czy

powinna je zaryglować? Wzywać pomocy? Nie, zejdzie i pomówi z nim. Nie teraz, potem, kiedy już wszyscy pójdą spać. Wyglądając przez okno Miriam zastanawiała się nad własnym dziwnym losem – jak szybko zakochała się w Lucjanie, z wzajemnością z jego strony. “Dlaczego akurat mnie się to przytrafiło? Będę musiała się wychrzcić”... Nagle przyszedł jej na myśl wieczór Jom Kipur i przypomniała sobie zasłyszana historię o Żydóweczce, która uciekła z młodym chrześcijaninem w wigilię Dnia Pojednania. Teraz ona była niemal gotowa zrobić to w dniu Pu- rim... Lęk, którego przez chwilę nie czuła, znów ją ogarnął. Wszystkich utraci: ojca, matkę, Szajndł, Azriela, Cy- pele, będzie musiała chylić nisko czoło przed cudzymi bogami. Ona, Miriam-Liba?

– Przenigdy, raczej śmierć – wyszeptała.

Podeszła do drzwi i założyła łańcuch, następnie przystawiła do nich ławkę. Otworzyła szafę i wtuliła się w jej ciemne, zatechłe wnętrze. “Może to wszystko jest halucynacją. Może miesza mi się umysł jak wujowi Chaimowi- -Jojne, który powiesił się na własnym pasku.”¹ Miriam- -Liba wyciągnęła rękę i dotknęła sukni. Potem podeszła do łóżka i usiadła. Serce jej kołatało. Czuła, że robi jej się słabo.

– Zemdleję – wymamrotała.

Upadła na łóżko, śniła na jawie. Myśli kłębiły się w głowie, otwierała usta i szeptała dziwne słowa, widziała twarze, postacie, oczy. Poprzez to wszystko docierała do niej

świadomość, że Lucjan czeka na nią na dole i że ona musi się na coś zdecydować.

| Drzemała i śniła. We śnie mieszkali znów całą rodziną Fna Piaskach i był szabas. Ojciec chrapał po świątecznym posiłku, matka się zdrzemnęła, Jochewed i

Szajndł poszły na spacer, Cypełe spała w kołysce. Ona została sama i nie miała się z kim bawić.

- Mamo, chcę się bawić.
- W co się chcesz bawić?
- Chcę się bawić skorupkami.
- Nie, tego nie wolno robić w szabas.
- To co mogę robić? –Pokołysz małą.
- Ona już śpi.
- Gotowa się zbudzić. Pokołysz ją jeszcze.
- Czy mogę pisać kredą?
- Pisać kredą? Ty sikso!
- Chcę bawić się w szkołę.
- Nie w szabas.
- Chcę wyjść.
- Drzwi są zamknięte na klucz.
- Mamo.
- Powyrywam ci kudły z głowy, jak mi nie dasz spać, ty mała diabolicco. Ja cię nauczę! – Kiedy matka wyskoczyła z łóżka, spadła jej peruka odsłaniając nierówno ostrzyżoną małą głowę. – Kalmanie, gdzie jest dyscyplina? Ja ją nauczę. Dostanie baty.

Miriam-Liba zbudziła się ze snu. On marznie tam na dworze, pomyślała. Zdawało jej się, że przespała wiele godzin. W domu panowała cisza jak zwykle w środku nocy. Zesztywniała cała. Podskoczyła do szafy, wyjęła wełnianą suknię i futrzany żakiet. I buciki, pomyślała, zdejmując domowe pantofle. Trzeba też zabrać grubą chustę. Znalazła w komodzie ciepłą bieliznę. Co jeszcze? Chustka na głowę. Dostała od matki bransoletkę na ślub Szajndł. Oto ona. Kolczyki miała w uszach. Czy naprawdę zdolna jest zrobić to, co czyni? Czy wszystko to nie jest złudą? Strach się ulotnił, poczuła przyływ brawury.

–? Tak, ucieknę z nim. Wychrzczę się – rzuciła drwiące wyzwanie, które tkwiło w niej głęboko utajone, jakby tylko czekało w szatańskiej pajęczej sieci. Odsunęła ławkę, ostrożnie otworzyła drzwi, aby nie zaskrzypiały, i na palcach ruszyła po schodach na dół. “Wszyscy śpią, wszyscy śpią – śmiech uwiązał jej w gardle. – Poruszam się tak cicho jak włamywacz. Tymczasem on już pewno odszedł”... Ktoś zamknął drzwi frontowe na łańcuch. Miriam-Liba wyjęła łańcuch z otworu i opuściła go wolno, aby nie wydał dźwięku. Otworzyła drzwi, zimny nocny wiatr smagnął ją po policzkach. Rozbudziła się całkiem, była teraz podniecona i rozradowana. Nagle zobaczyła Lucjana. Zaczął biec ku niej, a ona położyła palec na ustach.

III

O świcie ktoś otworzył drzwi sypialni Kalmana. “Czyżby wiatr?” – zdziwił się na wpół rozbudzony. Zełda spokojnie spała dalej.

– Tato, tato... – Poznał głos Szajndł. Podeszła do niego mówiąc szeptem: – Tato, chodź. Nie budź mamy.

Wstał cicho z łóżka, nałożył szlafrok, ranne pantofle i wyszedł do przedpokoju. Szajndł stała drżąca w ciemnościach.

– Tato, nie ma Miriam-Liby – wyszeptała.

Kaiman poczuł gorzyc w ustach.

– A gdzie ona jest?

– Nie wiem. Drzwi frontowe są otwarte. Nie ma jej w łóżku.

Kalman zamilkł na chwilę.

Czy zajrzałaś do ustępu?

– Nie.

Szybko skierował się do wygódki znajdującej się za domem, niedaleko dołu na śmieci. Pośliznął się na błocie

i uderzył głową o dyszel furgonu. Miriam-Liby nie było w żadnej z dwóch przegródek ustępu. Kalman zawrócił. Miał na sobie tylko myck[^], szlafrok i przemoczone pan-£3 137

tofle; ziąb go przenikał, wiatr rozwiewał mu brodę. Szedł miarowym krokiem jak ktoś, kto wie, że nie znajdzie tego, czego szuka. Szajndł czekała na ganku.

– Nie ma jej tam?

– Nie.

– Tata przeziębi się, nie daj Boże.

– Chodź, sprawdzimy jeszcze raz na górze.

- Weszli na schody. Drzwi pokoju Miriam-Liby były uchylone. W pokoju panowała noc, ale zaczęły już docierać promienie wschodzącego słońca. Szafa stała otworem, szuflady były powyciągane. Na podłodze leżał zakiet i ranne pantofle. Kiedy ojciec z córką przeszukiwali pokój, wschodzące słońce zabarwiło ich twarze purpurą. Broda Kalmana wydawała się skrwawiona, czerwona plama pojawiła się na chustce, którą Szajndł miała na głowie. Na stole leżała kartka papieru. Szajndł próbowała ją odczytać, ale w półmroku nie rozróżniała liter. Nie mogła nawet określić, czy to pismo żydowskie czy polskie. Kalman zamknął drzwi.

– Ona uciekła – powiedział.

– Chyba tak.

Przyszedł mu na myśl cytat z Pisma Świętego, ale nie mógł sobie przypomnieć dokładnie słów. Miał go na końcu języka. Nogi się pod nim uginały, aż przysiadł na łóżku Miriam-Liby. Naraz przypomniał sobie: "Bóg dał, Bóg wziął."

a8ji§

BKMflBa»fri|j|j|rinEETM

mam

sgySj sgKJs:

HMH>

row

PfPIKK

■■■

ü

HHI

«

■ »SepÉwWm

i' ; í . VA" ■Sifs^Bt-WSSjSH

mm

ROZDZIAŁ JEDENASTY

I

Minęły dwa lata. Jochanan poślubił Cypele i na ich wystawne wesele Kalman wydał mnóstwo pieniędzy. Po siedmiu weselnych dniach młoda para zamieszkała na dworze rabiego w Marszynie. Temerł nie mogłaby żyć bez swego syna. Zresztą w domu Kalmana wkrótce zabrakło gospodyni, bo w trzy miesiące po weselu Cypele zmarła Zelda. Pochowano ją na jampolskim kirkucie i za-

mówiono u grawera napis na nagrobku. Jochewed i Mejer- -Joel przenieśli się do własnego domu. Obecnie Mejer-Joel, jako właściciel młyna w Jampolu, utrzymywał dwa domostwa: jedno w mieście, a drugie w młynie.

Tylko Szajndł mieszkała razem z Kalmanem. Urodziła syna, którego nazwano Uri-Josef, po pradziadku, pisarzu gminy żydowskiej. Niemowlęciu już się wyrzynały ząbki i zaczynało wymawiać pojedyncze słowa. Ale nawet Szajndł nie wносиła do domu Kalmana radości. Azriel nie przyjął ofiarowanego mu utrzymania i wyjechał do Warszawy na dalszą naukę. Daremne były wyrzuty i prośby Kalmana i dopiero na jego usilne nalegania Azriel przyrzekł, iż nie zgoli brody, będzie się zachowywać, jak przystało Żydowi, i spędzi wszystkie święta i wakacje w Jampolu. W zamian za to teść posyłał mu osiem rubli tygodniowo.

Po zakończeniu budowy linii kolejowej firma drzewna Kalmana podupadła. Musiał zwolnić wielu pracowników, którzy od razu stali się jego wrogami. poblizu sklepu

B

Kałmana otworzono drugi sklep, zagroziła mu konkurencja. Ponieważ Kalman nie mógł być wszędzie naraz, musiał zatrudnić kierownika sklepu. To podniosło koszty administracyjne, konkurent zaś pracując sam sprzedawał po niższej cenie. Kalman już dawno wyzbył się szynku. Pozostały mu tylko dzierżawione włości i wapienniki. Z każdym rokiem chłopci wyzwoleni z pańszczyzny domagali się wyższej płacy za pracę w polu, nie zważając na to, że dwa kolejne lata suszy spowodowały ciężkie straty. Nie dało się też ustrzec przed kradzieżami. Nie było dnia bez jakiejś szkody. Chłopi wypasali bydło na pastwiskach Kałmana i ścinałi najlepsze drzewa w jego lesie. Ci, którzy przed paru zaledwie laty podlegali karze, chłosty i biegli całować

ręce każdego – dziedzica, ekonoma i karbowego – teraz zachowywali się arogancko i wygadywali przeciw Żydom. Co gorsza, zbliżał się termin odnowienia dzierżawy i Kalman czuł, że księżę zażąda tak zawrotnej sumy, iż nie będzie w stanie jej płacić. Ludzie zazdrośni oczerniali go przed księciem i rozsiewali pogłoski, że przywłaszczył sobie kwoty przekraczające dziesięciokrotnie wartość całego majątku.

Wapienniki, dzięki Bogu, nadal przynosiły dochód, ale jaki byłby z nich pożytek, gdyby Kalman nie miał w użytkowaniu pasa ziemi, przez-który przebiega bocznicą? Budując prywatną odnogę kolejową Kalman wydzierżawił ten teren od księcia na taki sam okres jak majątek. A teraz księżę odgraża się, że pozbawi Kalmana możliwości przejazdu i tym samym odetnie kopalnię.

Ongiś Kalman zażywał niezmaconego snu. Tylko Zelda, niech spoczywa w spokoju, nie dawała mu czasem zasnąć. Teraz łóżko Zeldy zawsze było zasłane, a Kalman pozosta- / wiony sam sobie, tęsknił za czasami, kiedy na niego gde-1 rała. Zasypiał i znów się budził, myśli nie dawały mu spokoju. Miriam-Liba, niech pamięć o niej szejnie, wyparła się swej wiary. Wszystkie informacje o niej dotarły do Kalmana: związała się z tym Lucjanem, hrabiowskim łotrzykiem, który – jak sądzono – zginął w powstaniu (szkoda, że się tak nie stało!). Nie tylko że się z nim wło- czyła, ale ma już dziecko. Jak mógł znieść ten cios, tego nigdy nie zrozumie. Za każdym razem, gdy myślał o tej niesławie, jego oczy napęłniały się łzami. Co mu przyjdzie z bogactwa, jeśli każdy prostak może drwić z niego jako z "teścia Lucjana"!

W Dzień Pojednania Kalman już nie przewodniczył w południe modłom w bóżnicy. Zaniechał tego z własnej

woli, a Żydzi jampolscy nie oponowali. Jednakże Kalman nadal zarządzał swym majątkiem, gniew jego wrogów obrócił się zatem przeciw rabinowi z Jampola, reb Menachemowi-Mendlowi, teściowi Szajndł. Wpływowi obywatele miasteczka uskarżali się, że rabin jest odpowiedzialny za to, iż jego syn Azriel zboczył ze ścieżki prawości. Ten młody człowiek wywierał zły wpływ na prostych ludzi, wracał na święta do domu z zakazanymi książkami i zatruiwał młode umysły. Utrzymywali również, że Mirele, córka rabina, nie postępuje jak należy. Była zaręczona z młodym człowiekiem imieniem Jojne, uczącym się w jesziwie w Skaryszewie, lecz zerwała kontrakt zaręczynowy. Krewni Jojnego w Jampolu wybili rabinowi szyby. Nawbijali też gwoździ w jego fotel w bóżnicy, aby sobie o nie podarł ubranie. Nawet żebracy z przytułku dla ubogich, których Kalman zaopatrywał w drzewo na opał, buraki i kartofle, powstawali przeciwko rabinowi i samemu Kalmanowi.

Stary rabi w Marszynie znów zachorował. Jego pierworodny syn, reb Szymon, wygłaszał przemowy do Jocna- nana, nakłaniając go do rozwodu z Cypele, siostrą przechrzty, albo do opuszczenia na dobre dworu rabiego. Te- merł, świekra Cypele, przysyłała Kalmanowi długie listy, pisane drżącą ręką i noszące ślady łez; biadała w nich nad tą sytuacją.

Kalman przewracał się w łóżku z boku na bok. Gdzież tu jest sprawiedliwość? Żydzi, którzy za żadne skarby świata nie zerwaliby źdźbła trawy w szabas ani nie zjedli jajka z plamką krwi, szykanowali rabiego, pobożnego Żyda, świętego. Firmy konkurencyjne nie cofały się przed niczym, moczono Kalmanowi worki z mąką i oskarżano przed poborcą podatkowym oraz policmajstrem. Ponadto wśród kupców rozszerzyła się nowa forma oszustwa. Ogłaszano bankructwo, po czym robiono ugodę. Łódzcy

fabrykanci tekstyliów, chcąc się przed tym zabezpieczyć, podnieśli ceny, żeby zapewnić sobie dochód w razie takich pozornych bankructw.

Kalman westchnął. Usłyszał, że jego wnuczek, mały Uri- -Josef, Josele, synek Szajndl, zbudził się i zapłakał. Pies Burek zaszczekał. Krowy szorowały rogami o deski przegród. Wiosna była ciepła i po dwóch latach suszy nadchodzące żniwa zapowiadały się pomyślnie. Ozime zboża zakiełkowały wcześniej, nie brakowało deszczu ani słońca. Życia ziemi tak samo nie dało się przewidzieć jak życia człowieka. Po nieurodzaju następowały obfite plony. Kiedy wydawało się, że ziemia stała się bezpłodna, żywotne soki znów poczynają w niej krążyć i rodziła na nowo. Kto to wie? Może Bóg ześle mu jeszcze jakąś pociechę. Wiedział, że nie może pozostać zbyt długo bez żony. Prędzej czy później będzie musiał ponownie się ożenić. Z Zełdą miał same córki, ale teraz gdy Miriam-Liba popełniła taki haniebny uczynek, Kalman bardziej niż kiedykolwiek pragnął mieć syna, który byłby spadkobiercą jego nazwiska.

II

W Petersburgu powzięto decyzję o stacjonowaniu kilku pułków piechoty w Jampolu i postawieniu dla nich koszar. Nie było co do tego wątpliwości, że Kalman nie tylko dostarczy materiałów, lecz poprowadzi samą budowę. Po otwarciu kopert okazało się jednak, po raz pierwszy; w handlowej karierze Kalmana, że i ego oferta nie jest, najniższa. Kontrakt zawarto z Danielem Kaminerem, budowniczym a Litwy. Zlecono mu również dostawy mąki, wołowiny, kaszy i sukna na szynele dla wojska oraz skóry na buty. To ogromne przedsięwzięcie nawet po

opłaceniu wszystkich należności, łącznie z łapówkami, gwarantowało podwojony zwrot nakładów. Kalman jednak nie martwił się zbytnio, że kontrakt ten wyśliznął mu się z rąk. Nie spieszył się do prowadzenia dalszych interesów z władzami. Daniel Kaminer zjechał z Łomży do Jampola. Zamieszkał na Piaskach wśród chrześcijan. Był to niski, szczupły mężczyzna o twarzy ze śladami po ospie i przyszyżoną brodą koloru pieprzu. Zęby miał szerniałe, nos czerwony i pryszczaty. Lubił wódkę, po rosyjsku mówił jak ojczystym językiem. Najwyraźniej studiował kiedyś Torę, gdyż ustawicznie przytaczał cytaty z Pisma Świętego i Talmudu chcąc dodać pikanterii swym niewyszukanym dowcipom. Nosił surdut, sztywny kołnierzyk i aksamitną kamizelkę, na której zwisała dewizka ze złotych pięciorublówek, a na głowie czapkę ze skórzanym daszkiem.

Kaminer był wdowcem i przywiózł ze sobą do Jampolą dwudziestosiedmioletnią córkę Klarę, wdowę, której mąż zmarł na suchoty. Klara ukończyła rosyjską szkołę, mówiła płynnie po rosyjsku i po polsku, rzadko posługując się językiem żydowskim.

Miała wzrost średni, ciemną cerę, czarne płonące oczy, zmysłowe usta, wydatny biust i szczupłą kibić. Pieprzyk ozdabiał jej lewy policzek. Czuła się swobodnie chodząc z odsłoniętą głową. Grała na pianinie, miała szczęście w kartach, powoziła faetonem niczym rosyjski bojar i szybko zaprzyjaźniła się z Dawidem Sorkesem i Morycem Szalitem, którzy przyjechali z Wilna. Obaj pracowali u Kalmana. Do kółka jej znajomych należały także ich żony, Sonia i Tamara, ponadto Ignacy Herman, kawaler, oraz aptekarz Grajn i jego żona Itka, nazywana Grajnichą. Klara lubiła przyjmować wieczorem gości, częstować ich herbatą z samowara podczas gry w

pokera i wista. Itka i inne niewiasty odwzajemniały się, zapraszając do siebie Klarę i jej ojca. Po jakimś czasie rozeszła się plotka, że Ignacy Herman zakochał się w niej i że się pobiorą. Sama Klara ukręciła łeb tej pogłosce oświadczając, że ani myśli poślubić człowieka dotąd bezżennego, choć miał już grubo po trzydziestce, i z trudem zarabiającego na życie jako buchalter.

10 – Dwór

1*5

Pomimo wzajemnej rywalizacji Kaminer był uzależniony od Kalmana, gdyż tylko od niego mógł otrzymać po najniższych cenach budulec, ziarno, kartofle, kapustę, buraki, bydło rzeźne i wapno. Co więcej, Mejer-Joel był właścicielem młyna wodnego. Kaminer zaprosił Kalmana na obiad, ten jednak ociągał się z pójściem. Wiedział, że Kaminer zatrudnia Żydówkę w kuchni, lecz nie miał pewności, czy tacy ludzie przestrzegają przepisów koszeni. Zawiadomił, że zamiast na obiad przyjdzie po obiedzie. Kaminer prowadził rozmowę jak heretyk, chociaż przybił mezuzę do drzwi. Mieszkał po pańsku, na ścianach wisiały makaty, pełno było lamp, otoman i obrazów. Służąca, rozwódka jampolska, spóźniła się z przygotowaniem obiadu i jeszcze go nie podała, gdy Kalman przyszedł. Przywołano ją z kuchni i musiała przysiąc solennie, że ani na jotę nie odstąpiła od przepisów. Dopilnowała osobiście, aby piec i naczynia spełniały wymogi koszeru. Chociaż Kalman już spożył posiłek, zapach barszczu i smażącego sde mięsa, dolatujący z kuchni, wzbudził w nim głód. Klara weszła dopiero po przyjściu Kalmana. Święto Pesach minęło, na dworze padał deszcz. Klara wpadła do mieszkania w jedwabnej pelerynie, rękawiczkach do łokci i kapeluszu z kwiatami, z bukietem zerwanych przez siebie kwiatów. Zalaatywał od niej

zapach perfum. Zdjęła rękawiczkę i po-1 dała gościowi białą rączkę. Wprawdzie Kalman nie miał zwyczaju podawać ręki kobiecie, a zwłaszcza Żydówce, zapomniał o tym. Klara uśmiechnęła się błyskając zębami i nalała mu kieliszek wódki. Podczas pogawędki z Kai-1 manem jej ulubiony piesek igrając chwycił ją za kostki u nóg. Daniel Kaminer wychylił jednym haustem wódkę, skrzywił się i obtarł wąsy. Po paru minutach opuścił pokój. Tych dwoje zostało w pokoju sam na sam.

– Proszę czuć się jak u siebie w domu – powiedziała Klara. – Spodziewam się, że będzie pan u nas częstym gościem.

– Jestem bardzo zajęty.

– Mimo to znajdzie pan z pewnością czas. – Klarą ^ mrugnęła i roześmiała się. Wyraziła podziw dla mądrości i urody Szajndł. Taka kobieta jak ona byłaby w Petersburgu przedmiotem zachwyty. Kalman zapytał, czy Klara zna Petersburg, na co odpowiedziała, że miała tam kuzynkę, z którą razem mieszkała w internacie szkolnym, a która obecnie jest żoną lekarza. Klara mówiąc po żydowsku wtrącała rosyjskie wyrazy, zanosila się perlistym śmiechem, pochylała nad Kalmanem, a nawet ujęła w dłonie wyłogi jego surduta.

Obiad okazał się prawdziwą ucztą. Klara sama nalała z wazy zupę Kalmanowi. Nakładała mu też na talerz jarzyny wszelkiego rodzaju. Martwiła się, że je tak mało.

– Takie porcje nie wystarczą mężczyźnie – użalała się.

Po skończonym obiedzie Kalman, który nigdy w życiu nie widział palącej Żydówki, zdumiał się patrząc, jak zapala papierosa. Podała i jemu, zmusiła, aby przypalił od niej, a gdy to robił, rzuciła ostrzegawczo:

– Proszę uważać i nie podpalić sobie brody.

Wreszcie mężczyźni przeszli do gabinetu, żeby omówić interesy. Kaminer nie targował się o ceny. Nalegał natomiast, by Kalman fałszował rachunki przedstawiane kwatermistrzowi.

– Absolutnie wykluczone – oświadczył Kalman.

– A więc to prawda, rzeczywiście jesteś taki naiwny. Nie ma takiego, co nie okrada Rosjan, z carem włącznie. Rosja oparta jest na złodziejstwie, cały świat...

– Ja po prostu w to nie wierzę.

– Nie bądź głupcem, lepiej na tym wyjdiesz. Pułkownik dostaje swoją dolę, a i generał też. Posyłam prezenty nie tylko ich żonom, również kochankom...

– ■ Ja też daję, ale nie posunę się do fałszowania rachunków,

– Oni nie poznają się na prawdziwych. Kiedy masz do czynienia z wieprzami, postępuj jak wieprze.

Sprzeczali się dłuższą chwilę, wreszcie Kaminer zaproponował kompromis. On sam będzie wystawiał rachunki i dawał swój podpis. Jeśli wynikną jakieś kwestie, Kalman będzie czysty. Klara zapukała do drzwi i wniosła herbatę.

– No, moi panowie, czy porozumienie zawarte? .z. {i

– Kalman jest trochę przeczulony. W dzisiejszych czasach nie spotyka się wielu takich świętych.

– Święty? Jakie to dziwne! Zawsze myślałam, że święci przesypiają życie na zapiecku. Ciotka zawsze mówiła: "Człowiek uczciwy żywi się korzonkami."

– Chwała Bogu, nikogo jak dotąd nie oszukałem i zarobiłem na życie.

– Ach, daj spokój, Kalman, kogo chcesz nabrać na ten kawał? Modłami nie zdobywa się majątku. Jeśli chodzi o przyszłe życie, daj zwój pergaminu do bóżnicy, jak to

zrobiła moja ciotka Szprince. W interesach nie można sobie pozwolić na wrażliwe sumienie.

TH

Kaiman zdawał sobie sprawę z tego, że nie tylko on, ale i hrabia odczuł jako hańbę małżeństwo Lucjana z Miriam- -Libą. Co się tyczy hrabiny, umarła nie dowiedziawszy się nigdy o postępkach swego syna. Po śmierci żony Jampolski wybrał się do Żamościa w odwiedziny do Heleny. Mówiono, że już nie wróci do Jampola, lecz zabawił tam krótko. Felicja po śmierci matki rozmyślała o wstąpieniu do klasztoru i zaczęła nawet korespondować z przełożoną zakonu. Skończyło się jednak na niczym. W gruncie rzeczy nie była przygotowana do włożenia szat zakonnych. Nie zrezygnowała całkowicie z nadziei na wyjście za mąż, chciała mieć dzieci. Zdawała sobie przy tym sprawę, że w zakonie przebywałyby stale w otoczeniu innych kobiet. Jeśli ma przeżyć życie w odosobnieniu, chciałyby je przeżyć z własnymi myślami. We dworze miała zarówno kaplicę, jak i bibliotekę wyłącznie do swego użytku. Co więcej, byłoby grzechem opuścić ojca, a chociaż on z pewnością nie postępował tak, jak przystało na chrześcijanina, wiedziała, że jako córka nie powinna go osądzać.

Oboje więc, i ona, i hrabia, pozostali we dworze. Jego postępowanie nadal stanowiło pożywkę dla plotek w całej okolicy. Otwarcie żył ze swą syberyjską kochanką Jewdo- kią; rozgłaszał wszem, że zamierza zabrać się do handlu futrami i potrzeba mu tylko współnika z niewielkim kapitałem. Na zesłaniu poznał bardzo wielu myśliwych. Żydzi jampolscy wzruszali ramionami. Nie mieli ani zaufania do hrabiego, ani wystarczającej ilości pieniędzy niezbędnych do uruchomienia takiego przedsięwzięcia.

W końcu Jew- dokia porzuciła dom na Piaskach i opuściła miasto. Stara niania Barbara umarła. Kucharka Magda znalazła lepiej płatną pracę w innym majątku i pozostał tylko stangret Wojciech.-Nie było z niego żadnego pożytku. Jak tylko zaoszczędził parę groszy, wydawał je na wódkę. Na obu oczach miał kataraktę i na wpół oślepl. Felicja chętnie prowadziaby dom ojcu, ale hrabiemu udało się znaleźć sobie służącą – nie kogo innego jak żołnierkę Antosię, która zajmowała się domem Kalmana, kiedy ten mieszkał sam w lesie. Felicja nie chciała przyjąć Antosi do domu ze względu na jej złą reputację, hrabia jednak nalegał, twierdził, że jej potrzebuje, a jeśli się to Felicji nie podoba, jest już dorosła, może spakować manatki i wyjechać. Jeszcze raz obraził córkę zwąc ją starą panną r kwaśnym mlekiem w żyłach zamiast krwi. Felicja, jak zawsze, cierpiała w milczeniu.

Zarówno szlachta okoliczna, jak Żydza z Jampola i Skaryszewa utrzymywali, że hrabia dlatego przebywa całymi dniami zamknięty we dworze, bo wstyd mu spotkać Kalmana. Obrął sobie za schronienie pokój na poddaszu z oknami wychodzącymi na tyły budynku; prawie nigdy nie otwierał okiennic. Spędzał czas na picciu i czytaniu, nie widywano go całymi miesiącami. Nawet Felicja rzadko spotykała ojca. Jediną osobą, dla której otwierał drzwi, była Antósia. Chociaż klejnoty hrabiny zostały podzielone między jej dzieci (największą część Felicja dała Lucjanowi), hrabia nadal miał pod kluczem inne cenne przedmioty. Sprzedał za bezcen uprząż przedstawiającą znaczną wartość. Kiedy potrzebował pieniędzy, posyłał Antosię do Jampola, żeby zastawiała różne drogocenne rzeczy. Pił Wódkę szklankami, lecz się nie upijał. Leżał na łóżku

w ubraniu i wertował stare księgi lub obmyślał posunięcia na szachownicy. Antosia przynosiła mu posiłki trzy razy dziennie, jadł jednak mało. Jeśli wychodził w ciągu dnia, wędrował przez lasy, omijając dręgę prowadzącą do miasta. Przeważnie opuszczał dom tylko nocą i wtedy w ciemności uprawiał ćwiczenia, podnosił i opuszczał ręce, wdychał głęboko powietrze i wypuszczał je ze świstem. Pewnego letniego wieczoru Kalman zobaczył go jadącego na starej klaczy: i koń, i jeździec wydali mu się jakby pogrążeni w półśnie.

^Mimo że hrabia nie szukał świata, świat go znalazł. Józef, najstarszy syn, pisywał do niego regularnie z Londynu. Jampolski nigdy nie odpowiadał na te listy. Józef miał wiadomości o ojcu od Felicji, która korespondowała również z Heleną w Zamościu, a nawet wymieniała listy z Lucjanem i Miriam-Libą w Paryżu. Kiedy Felicja pukała do pokoju ojca, hrabia wołał:

– Zostaw mnie. Idź sobie.

Pewnego razu zatroskana poleciła Antosi otworzyć drzwi.

— Ojczy – powiedziała – nie wolno ci się tak zaniedbywać.

– To ja siebie zaniedbuję? Jestem zdrowszy od ciebie. Tym razem Felicja straciła panowanie nad sobą.

– Musisz wiedzieć, że ośmieszasz nas oboje.

– Ty się mnie wstydzisz? Taki szkielet jak ty?

Nie^ ukrywał tego, że utrzymuje stosunki z Antosią, i Felicja słyszała, jak Antosia idzie co wieczór do niego na górę. Na stare lata ojciec zamienił się w zwierzę. Nie chodził w niedzielę do kościoła, nie przestrzegał żadnych świąt, rzadko zmieniał ubranie, sypiał w marynarce i butach. Brodę częściej przystrzygała mu Antosia niż fryzjer. Wąsy miał zwichrzone. Używał wyrazów tak grubiańskich jak jakiś hycel. Nigdy nie wziął do ręki żadnej pobożnej

książki, czytał dzieła Woltera, Diderota, Byrona, Heinego i George Sand oraz obszerną historię wolnomularstwa, książki o rewolucji francuskiej i włoskiej mafii.

Stopniowo Felicja uświadomiła sobie, że im dłużej Dę~ dzie mieszkała z tym brutalem, tym bardziej podupadnie na zdrowiu i umyśle. Nie sypiała już po nocach. Pomimo że nie odmawiała sobie jedzenia, chudła coraz bardziej. Ojciec zastąpił jej matkę, którą wciąż opłakiwała, ^ taką niechlujną, niemal niedorozwiniętą chłopką. Bluźnił przeciw Bogu, wygłaszał tyrady przeciw papieżowi. Przyjął obojętnie wiadomość, że Helena wyszła za mąż za kuzyna z Zamościa, a gdy wydała na świat syna, nawet nie złożył jej gratulacji.

Pewnej kwietniowej niedzieli, kiedy Felicja wychodziła z nabożeństwa (Wojciech z bryczką czekał przed kościołem), jakiś pan ją dogonił, uklonił się i przedstawił. Mógł mieć lat około czterdziestu, był drobny, szczupły, o ziemistej cerze, bystrych oczach a wąsikach w szpic, ubrany w dość opięty letni płaszcz i melonik na głowie. Kolorowy szalik otulał mu szyję. Z jakiegoś bliżej nie określonego powodu Felicja wzięła go za cudzoziemca. Zdjął melonik, odsłaniając kasztanowe kędzierzawe włosy, już siwiejące na skroniach. Zwracał się do niej w sposób familiarny, jakby ją dobrze znał. Powiedział, że jest lekarzem, nazywa się Marian Zawadzki i przyjeżdża z Paryża. Lucjan prosił go. o przekazanie pozdrowień siostrze. Zawadzki wspomniał jeszcze, że Lucjan potrzebuje pomocy finansowej i grozi mu deportacja jako uciążliwemu cudzoziemcowi. Felicja, nie mająca zwyczaju rozmawiać na ulicy z obcym mężczyzną, bała się dostać na ludzkie języki. Po chwili wahania zaproponowała więc Zawadzkiemu miejsce w bryczce i zaprosiła go do dworu. Po raz pierwszy widziano hra-

biankę Felicję w towarzystwie mężczyzny. Wszyscy stroili sobie żarty, nawet Żydzi.

IV

Aczkolwiek stary hrabia zazwyczaj nie schodził na posiłki, przez Antosię zawiadomił Felicję, że tym razem zje obiad z gościem. Felicja nieco się strwożyła, ponieważ ojciec całkowicie poniechał dobrych manier. Mogło się zdarzyć, że nie tylko przyjdzie do stołu w szlafroku i raiu nych pantoflach, lecz zjawi się jedynie po to, by naubliżaj Zawadzkiemu. Toteż Felicja z góry ostrzegła gościa, że ojciec nie jest zupełnie zdrow.

– Wiem, wiem – odrzekł Zawadzki. – Lucjan to po nim odziedziczył. Pani matka była jedyną normalną osobą w tej rodzinie.

Felicja nigdy przedtem nie spotkała się z tym, żeby zupełnie obcy człowiek zwracał się do niej w ten sposób. Ale któż mógł wiedzieć, do czego zmierza świat? Zawadzki bez skrępowania wyjawiał, że ojciec jego jest warszawskim szewcem, dziadek zaś ze strony matki był kowalem w Pułtusku. Pod koniec studiów medycznych w Paryżu Marian utrzymywał się jako przewodnik turystów, a przez krótki okres prowadził garkuchnię dla uciekinierów z Polski. W tej garkuchni spotkał Lucjana i Marysię, jak nazywał Miriam-Libę. Felicją wstrząsały dreszcze przy każdym jego słowie. Opowiadał, jak mieszkańcy Paryża zjadali myszy w czasie oblężenia miasta przez Prusaków w 1870 roku i jak on sam złapał kota, obdarł go ze skóry i upiekł. Słyszając to Felicja poczuła się niedobrze i powiedziała; j
– Prędzej bym umarła, niż zjadła coś tak wstrętnego.
– A cóż w tym wstrętnego? Wszyscyśmy ulepieni z jednokowej gliny.

– Pan nie wierzy, że dusza ludzka zawiera pierwiastek boski?

– Nie wierzę absolutnie – odpowiedział Zawadzki. Ludzie zwykle niecierpliwili hrabiego, ale Zawadzki od razu przypadł mu do gustu. Felicja, która pomagała w przyrządzaniu niedzielnego obiadu, nakryła stół pięknym obrusem, wyjęła najcieńszą porcelanę i srebra stołowe. Lecz rozmowa prowadzona w czasie obiadu nappełniała ją uczuciem wstrętu. Panowie zaczęli rozprawiać o szewstwie i farbowaniu, bo hrabia chciał się dowiedzieć, jak farbuje się skóry, do czego potrzebna jest kora dębowa, które skóry wyprawiano na skórę twardą, a które na miękką. Kiedy już skończyli debatować o wyrobie obuwia, zaciekała hrabiego 6ekcja zwłok. Zawadzki opisywał metody stosowane przy otwieraniu brzucha i czaszki. Wyjaśnił, że anatomia zawsze stanowiła jego specjalność. Ma poza tym pewną rękę i w najmniejszym stopniu nie ulega wzruszeniu. Kiedy zaczął opisywać ze szczegółami, jak rozkładał brzuch i usunął płód z łona kobiety, która będąc w ciąży utopiła się w Sekwanie, Felicja zbladła jak płótno i musiała opuścić pokój. Zawadzki ani myślał przeproszać.

– Po pewnym czasie człowiek się przyzwyczaja – powiedział –• no cóż, niekiedy musiałem preparować głowy ludzkie na własnym piecyku.

Przywiózł pozdrowienia od Lucjana, jeśli jego gorzkie słowa można uważać za pozdrowienia. Powiedział, że Lucjan to próżnujący pijus wart kopniaka, a na dodatek psychopata. Jego żona i dziecko głodują. Najnowszy projekt Lucjana – to wstąpienie do Legii Cudzoziemskiej albo wyjazd do Ameryki. Po Skończonym obiedzie hrabia przyniósł szachy i przegrał z gościem trzy partie z rzędu. W czasie gry obaj panowie kołysali się na krzesłach do

przodu i tyłu, palili fajki i sypali przekleństwami. Co trzecim słowem było "psiakrew". Felicja z trudem znosiła obecność tego nieokrzesanego jegomościa, w którym znajdowała dwa razy tyle wad, co w ojcu. Chciała go się pozbyć jak najszybciej, ale hrabia miał inne zamysły i zaprosił Zawadzkiego na parodniowy pobyt.

Kiedy już hrabia poszedł do siebie, Felicja udała się na wieczorny spacer. Nagle zobaczyła przed sobą Zawadzkiego. Doktor trzymał w ręku zakrzywioną laskę.
– Ach, to pani.

Bez dalszych ceregieli przyłączył się do niej, jak gdyby już byli zażyłymi przyjaciółmi. Opowiedział jej, że chodził na wyższą uczelnię w Krakowie, ale popadł w konflikt z innymi studentami. W przeciwieństwie do nich, uważał powstanie styczniowe wprost za szaleństwo. Już wtedy wiedział, że generał Mierosławski to wielki szarlatan, a książę Lubomirski po prostu wyciąga ludziom pieniądze z kieszeni. Jeśli zaś chodzi o syna Mickiewicza – cóż innego można powiedzieć jak tylko to, że wielki człowiek spłodził miernotę. Zdaniem Zawadzkiego nawet książę w

Czartoryski niewiele sobą przedstawiał, a prawda wygląda tak, że cała ta krwawa historia to nierozważne przedsięwzięcie kierowane przez grupę sentymentalnych durniów, nieodpowiedzialnych pasożytów i nieświadome rzeczy ko*ibiety. Felicja słuchała przerażona. Nawet hrabia nie oceniał powstania z takim brakiem szacunku. Wreszcie Zawadzki; porzucił politykę i zaczął mówić o swych własnych sprawach. Późno ukończył studia medyczne, ponieważ musiał się przenosić z jednego uniwersytetu na drugi. A potem stanęła mu również na przeszkodzie ta szaleńcza wojna Napoleona III z Prusami i wariacka błazenada, Komuna Paryska. Dzięki Bogu, jest nareszcie dyplomowanym

leka-| rzem. W trakcie rozmowy wciąż przerzucał się z polskiego. -, na francuski i znowu na polski.

– Co stanie się z. panią, mieszkającą tutaj w tym roz-:3 padającym się dworze? – zapytał. – Łatwo można po-|j stradać zmysły w takich warunkach.

Felicja przyjęła postawę obronną, sama nie wiedząc^ dlaczego.

– Nie mogę opuścić ojca.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, ojciec pani jest bardzo . leciwy, przy tym nieco zdegenerowany.

Felicja nie była z natury niegrzeczna, ale z trudem po- wstrzymywała gniew.

– Mówi pan o moim ojcu.

– A cóż to jest ojciec? Całymi latami nie widywałem swego ojca. Kiedy przyjeżdżałem do domu w odwiedziny pocałowaliśmy się, a potem nie miałem z nim o czym mówić.

– Czy istnieje ktoś taki, kto pana nie nudzi?

–.Szczerze mówiąc, nie. Niektórzy ludzie szaleją za psami, ja zaś nie cierpię zwierząt. Pies to zwykły po- chlebca, lizus. Wolę kanarki lub papugi. A i małpy też są interesujące.

– Wszystkie zwierzęta są interesujące.

– No, przynajmniej nie plotą głupstw. I umierają na- turalniej niż ludzie. Ludzie tak się kurczowo trzymają życia, jakby było marcepanem i wodą różaną.

– Dziwne porównanie.

– Jak to się stało, że pani nie wyszła za mąż? – zapytał nagle Zawadzki.

Krew napłynęła Felicji do twarzy.

– Nikt mnie nie chciał.

– Ja bym chciał. Felicja zbladła.

– Obawiam się, że pan żartuje sobie ze mnie.

– Bynajmniej. To prawda, że już nie jest pani młodzianka, ale i nie stara. Poza tym przystojna z pani kobieta. Lucjan pokazał mi fotografię, którą pani przysłała. Opowiedział również o pani dziwactwach.

– Jakich dziwactwach?

– No, o pobożności i tak dalej. Nie cierpię kobiet zbyt mądrych, chciałem powiedzieć, przebiegłych. Proszę się nie obrażać, taki mam sposób bycia.

■– Rozumiem.

– Pragnę otworzyć gabinet lekarski i potrzebna mi jest żona.

Felicja spuściła głowę. Uświadomiła sobie, że ten mężczyzna mówi na serio. Pierwszy raz w życiu doczekała się oświadczyn.

V

Chociaż hrabia Władysław Jampolski ustawicznie podkreślał degrengoladę polskiej arystokracji i głosił jej niższość w stosunku do klasy średniej, a nawet kupców żydowskich, nie godził się, by ślub jego córki Felicji z doktorem Marianem Zawadzkiem odbył się we dworze. Hrabia oświadczył dobitnie: nic go nie obchodzi, że Felicja poślubia syna szewca – uważa to nawet za zaszczyt – lecz nie może przyjąć szewca i jego rodziny we dworze, zasiąść z nimi do stołu i traktować jako gości. Felicji powiedział: – Udzielam ci błogosławieństwa. Idź z nim, dokąd sobie życzysz. Nie mam jednak chęci na ucztę z szewcem! Felicja była bezradna, mogła tylko zapłakać. Zrosiła łzami grób matki. Długo klęczała w kaplicy przed obrazem Matki Najświętszej, modliła się, żegnała znakiem krzyża i szeptem zanosila błagania. Nie miała żadnych złudzeń co do swego małżeństwa. Zawadzki to despota urobiony z tej samej gliny co jej ojciec; będzie ją obrażał i wyśmie-

wał w iście plebejski sposób, będzie musiała przebywać z jego prostacką rodziną. Jednak, chociaż będzie się źle czuła w tak obcym sobie środowisku, lepsze to od pozostania z na wpół obłąkanym ojcem we dworze należącym do Żyda. Jeśli musi podlegać tyranowi, to lepiej takiemu, który odpowiada jej wiekiem. Któż to wie? A może będzie dla niej dobry, może ona urodzi mu jeszcze dzieci? Ojciec utrzymuje, że w jej żyłach płynie kwaśne mleko, lecz dalekie to od prawdy. Nieraz nocą Felicja czuła, że ma w sobie jego krew.

Leżąc bezsennie aż do świtu, analizowała swoją sytuację. Nie może zostać zakonnicą, nawet gdyby się zmusiła i wstąpiła do zakonu. Groziłoby jej złamanie ślubów i zamiast stać się miłą Bogu, tylko by Go rozgniewała. Ale w domu też nie może pozostać. Najwyraźniej niebiosa przeznaczyły jej małżeństwo. Jeśli jej udziałem jest cierpienie, to za- męście stanie się tym krzyżem. Podczas bezsennych nocy ślubowała wierność Zawadzkiemu. Będzie go kochała jak żona i siostra, postara się złagodzić jego usposobienie i dać 1 jemu i jego rodzinie przykład chrześcijańskiego oddania. Dlaczego uciekać od pokusy?

.Nie jest rzeczą łatwą wychodzić za mąż nie mając przy sobie ani matki, ani siostry czy brata. Musi wszak przygotować jakąś wyprawę, ale nie ma pojęcia, co jej będzie potrzebne ani jak się do tego zabrać. To że ojciec odmówił wzięcia udziału w uroczystości ślubnej, stanowiło zniewagę dla niej i dla rodziny Mariana. Marian chciał mieć to wszystko poza sobą jak najszybciej; Podobnie jak jej ojca, niecierpliwiły go i mierzły wszelkie ceremonie. Felicja jednak nie mogła pozwolić, aby jej ślub zamienił się w farsę. Po długich i bezowocnych namysłach postanowiła poprosić o pomoc inne osoby.

Napisała obszerny list do siostry Heleny; zwróciła się o radę do księdza w Jampolu i jego gospodyni, a także do swej ciotki Eugenii i kuzynki Stefanii. Nie mogła wszak wprowadzić się do męża bez garderoby, jak żebraczka.

Niepokój, łzy wylewane w nocy i bezsenność nadwerężyły jej zdrowie. Straciła apetyt. Zamiast przybrać na wadze, jeszcze bardziej wychudła, dolegała jej obstrukcja oraz nieregularne menstruacje. Co parę minut myła ręce. Nocą męczyły ją wątpliwości, kręciła się w łóżku, przewracała z boku na bok, wzdychała. Czy potrafi zaspokoić mężczyznę? Czy Marian nie rozczaruje się zaraz pierwszej nocy? Czy jego krewni nie będą spiskowali przeciw niej, wyśmiewali? Czy nie będzie musiała powrócić pełna wstydu do ojca? Były chwile, gdy Felicji chciało się krzyczeć i rwać sobie włosy, lecz wiara w Boga, w Jego Opatrzność i absolutną dobroć powstrzymywały ją od desperackich czynów.

Przekonała się, że szukając pomocy zawsze znajdzie kogoś chętnego. Stare damy, dawne przyjaciółki hrabiny, zaczęły pokazywać się we dworze wraz ze swymi córkami i synowymi. Te dawne przyjaciółki polecily krawców i szwaczki. Nisen, krawiec z Jampola, znów zjawił się we dworze, wziął miarę, dopasowywał suknie i życzył Felicji szczęścia. Przy każdej sposobności wspominał dobroć i hojność nieboszczki hrabiny. Decyzja poślubienia doktora Zawadzkiego w jakiś tajemniczy sposób zbliżyła Felicję do ludzi, nawet do tych, którzy jej przedtem nie znali.

VI

Ojciec narzeczonego, szewc Antoni Zawadzki, miał w Warszawie stary dom na Bugaju. Nie bez wewnętrznej walki Felicja wybrała się do szewskiego warsztatu, gdzie

zobaczyła przyszłego teścia siedzącego na zydlu, w skórzanym fartuchu, szyjącego bucik, posługującego się przy tym świńską szczeciną. Wokół niego pracowało pięciu czeladników. Jeden robił dziurki szydłem, drugi wbijał młotkiem metalowe kółka w dziurki, inny wygładzał obcas

kawałkiem szkła, a czwarty przycinał zelówkę zakrzywionym szewskim knypem. Antoni Zawadzki nie wyglądał na swój wiek, mimo sześćdziesięciu lat trzymał się dobrze. Podkręcał do góry końce gęstego, czarnego wąsa i chociaż takie porównanie, nawet w myśli, wprawilo Felicję w zakłopotanie — oczy jego błyszcząły jak wypolerowane buciki. Ręce miał owłosione, o, krótkich palcach i kwadratowych paznokciach z brudnymi obwódkami. Nawet nie powstał, gdy weszła Felicja. Zmierzył ją doświadczonego spojrzeniem i zawołał do żony w kuchni:

— Hej, Katarzyno, mamy gościa!

Katarzyna była kobietą drobną, szczupłą i kościstą, o gniewnych oczach podobnych do oczu syna. Na widok Felicji szybko wytarła dłonie o fartuch, dygnęła niezgrabnie i podała brudną rękę. Felicja przyszła sama, Marian nie chciał być obecny przy jej spotkaniu z rodzicami.

— Łaskawa hrabianka!

Felicja przeszła przez kuchnię, w której stały na płycie wielkie gary z gotującą się strawą. Czeladnicy otrzymywali posiłki jako dodatek do płacy. Na stole leżał bochen razowego chleba większy, niż Felicji kiedykolwiek zdarzyło się widzieć. W pokoju stał kredens z lustrem i wazonem wypełnionym sztucznymi kwiatami. Z lampy zwisał lep na muchy. Dwie oprawione w ramy fotografie, obojga małżonków i Mariana w mundurku gimnazjalnym, wisały na ścianie. Chociaż była połowa lata, okna były zamknięte na głucho i w pierwszej chwili zapach skóry i

kurzu przyprawił Felicję o mdłości. Usiadła na kanapie obitej jakimś błyszczącym materiałem, a przed oczami wirowały jej zielone koła.

– Czy otworzenie okna nie sprawi kłopotu? – zapytała wreszcie.

– Okna? A po co? Zamknięte jeszcze od zimy.

– Żona boi się świeżego powietrza – powiedział Antoni Zawadzki z wyrzutem. – Niech hrabianka wybaczy, że się tak wyrażę, ale śmierdzi tutaj!

Podskoczył do okna i otworzył je gwałtownym ruchem, wyciągając zarazem warkocze ze słomy, które je uszczel-

niały od wiatru. Łagodny podmuch wionął | podwórka wnosząc zapach odpadków i smoły.

– Co tak zacichłaś? – zapytał Antoni żonę. – Poczęstuj czymś hrabiankę!

– Nie musisz Antoni uczyć mnie dobrego zachowania. Nie wychowałam się w rynsztoku.

– Hrabiance na pewno chce się pić?

– Ach nie, dziękuję.

Oboje małżonkowie poszli do kuchni. Felicja słyszała, jak się kłóć. Kiedy Zawadzki wrócił, zauważyła, że zmienił fartuch na kusą marynarkę. Wyglądał w niej niezgrabnie. W kołnierzyk koszuli miał wpiętą blaszaną spinkę. Jego spojrzenie, wąsy, nieogolone policzki i gruba szyja z nabrzmiętymi żyłami, cały wygląd wskazywał na nieokrzesanego plebejusza. Wniósł drewnianą tacę, a na niej karafkę z winem, kieliszki i ciastka. Tymczasem Katarzyna też się przebrała. Włożyła żółtą suknię z plisowanym stanikiem. Felicja żałowała, że dała się namówić Marianowi na niezapowiedziane odwiedziny u rodziców.

Chociaż nie miała na to chęci, popijała wino drobnymi łykami, chwając jego smak. Ciasteczka były twarde jak

kamyki. Katarzyna wciąż zaglądała do kuchni i swoich garnków.

– Szanowna hrabianka widzi nas takimi, jakimi jesteśmy. Prości | nas ludzie – powiedział Zawadzki. – Zapracowaliśmy na wszystko własnymi rękami, na dom i warsztat. Marian miał głowę do nauki. Chciałem zrobić z niego szewca, ale iiiii powiedział: “Tato, nie mam cierpliwości do obcasów i zelówek.” “A co chcesz robić? – zapytałem go. – Zostać księdzem i wysłuchiwać spowiedzi służących?” Mówiąc krótko chciał się uczyć. “No cóż, idź, ucz się”, powiedziałem. Zarzucił cały dom książkami. Dawałem mu wszystko, czego potrzebował, trafił mu się też chłopiec, który był tępa wy i potrzebował pomocy w lekcjach, a miał zamożnych rodziców, którzy mogli płacić za korepetycje. No dobrze, niech się uczy, pomyślałem. Tym sposobem Marian ukończył gimnazjum ze złotym medalem. Mógłby studiować tutaj na uniwersytecie, ale nalegał, że pojedzie do Krakowa. Matka zaczęła się awanturować. “Tak daleko! Mój jedyny syn!” Miałem jeszcze drugiego syna, ale już go nie mam. No cóż, żeby się zbytnio nie rozwo-^ dzić, powiem tyle, że wysłałem go na studia do Krakowa, ' A później pojechał do Francji. Wybuchła tam wtedy wojna i czytałem w gazetach, że królik kosztował pięćdzie-^ siąt franków. Tam mają franki, nie ruble. Za kota ludzie płacili piętnaście franków, a za jedno jajko pięć. Mają tam park, gdzie trzymają zwierzęta, i pozjadali z niego wszystkie niedźwiedzie, pawie i inne ptaki. Żona zaczęła lamentować: “Nasz Marian umrze z głodu!” Ale jakoś powrócił zdrowy, choć wychudzony. Powiedział: “Tato, chcę poślubić hrabiankę Jampolską.” “A gdzieś ty poznał hra- | biankę? zapytałem. – Możesz sobie być doktorem, ale twój ojciec jest szewcem.” “No tak – powiedział – ale czasy się zmieniły.” Jak to się nazywa?

De-mo-kracja. On powiada: "Jak się rozbierzemy, różnice się zacierają, wszyscy jednakowo pochodzimy od małpy." "No cóż, jeśli jej rodzice się godzą, to ja na pewno nie mam nic przeciw temu. Twoja żona – powiedziałem — będzie dla mnie córką." | Katarzyna wróciła z kuchni. – Co za różnica, co ty powiedziałaś? Jeśli nasz chłopiec panią pokochał, to i my polubimy.

f

ROZDZIAŁ DWUNASTY

I

Kalman otrzymywał wiele listów z propozycją powtórnego małżeństwa i swatki często zjawiały się we dworze. Chociaż odszczepieństwo Miriam-Liby rzuciło skazę na opinię Kalmana, został jednak teściem syna rabiego z Marszy nowa, spokrewnił się z rabinem Jampola oraz reb Jecheskielem Wienerem. Poza tym był człowiekiem bogatym, a jeszcze nie dobiegł pięćdziesiątki.

Proponowano mu panny, młode wdowy i rozwódki. Przyszedł list od Binełe z Marszynowa, żony rabiego z Chmielowa, a szwagierki Temerł. Binełe pisała, że pewnej nocy, gdy leżała w łóżku nie śpiąc, przyszło jej naraz na myśl, iż Kalman powinien poślubić Temerł, matkę Jochanana. Co mogłoby być lepszego? Binełe jeszcze nie omówiła swego zamysłu z Temerł, była jednak pewna, że szwagierka się zgodzi.

Już zbyt długo Temerł żyje we wdowieństwie. Dopóki musiała kojarzyć odpowiednie małżeństwa dla swych dzieci, nie mogła myśleć o sobie. Teraz, gdy już wydała za mąż obie córki, a Jochanan poślubił Cypełe, sprawa wygląda inaczej. List Binełe zawierał wiele wzmianek o ciężkiej chorobie rabiego, jej teścia. Dni jego były policzone, a jej szwagier, reb Szymon, zamierzał siłą przejąć stanowisko ojca. Binełe porównywała reb

Szymona do Absaloma, który ongiś chciał pozbawić królestwa swego ojca, króla Dawida. Kalman pokiwał głową. Czytał między wierszami listu. Podjazdowa wojna toczyła się między dwoma braćmi – reb Szymonem i rabim z Chmielowa. Dwie bratowe,

11 – Dwór

II

a ,i

Menuchele i Binele, podsycaly ją jeszcze. Binele zapewne uważała, że związek małżeński Kalmana i Temerł byłby ciosem dla reb Szymona. Reb Mosze, rabi z Chmielowa, najwyraźniej nie pragnął objąć następstwa po ojcu, ale [i B^Py niechętnie widziałyby na tym miejscu brata i chciał zawrzeć porozumienie ze swym siostrzeńcem Jochananem. i Wprawdzie Binele twierdziła, że nie omawiała jeszcze tej sprawy z Temerł, Kalman podejrzewał, że w sprytny sposób wybadala, iż Temerł nie byłaby przeciwna temu związkowi. Ta propozycja jednak nie pociągała Kalmana. Spotkał go oczywiście wielki zaszczyt, że córka rabiego z Marszynowa chciała go poślubić, ale Temerł to nie żona dla niego. Wyróżniała się pobożnością i uczonością, jemu zaś brakowało wykształcenia. Poza tym zbliżała się do pięćdziesiątki, a może już ją przekroczyła. Przez połowę swego życia Kalman miał za żonę kobietę nabożną i chorowitą, a w końcowych latach jej życia nieomal wcale się do niej nie zbliżał. Kipiały w nim namiętności jak za młodych lat. Nawet wyteżona praca nie mogła ich ujarzmić. Potrzebował czegoś więcej niż pobożnej niewiasty.

List Binele przyszedł na tydzień przed świętem Szewout. Kalman miał zamiar pojechać do Marszynowa, żeby spędzić święto z rabám, a także odwiedzić Cypele i

Jocha- nana. Ten list wprowadził go w zakłopotanie. Teraz krępował się jechać.

Korzystając z niezdecydowania ojca, Szajndl potrafiła odradzić mu spędzenie świąt w Marszynie. Azriel powrócił z Warszawy na Szewuot i Szajndl chciała, aby obaj mężczyźni pobyli razem. W rezultacie Mejer-Joel udał się do Marszyna sam jeden, a Kalman pozostał w domu. Zamknięty w domu nie miał nic do roboty podczas tych długich dni. Spierał się z Azrielem, który wygłaszał herezje.

– Kto widział – zapytywał zięć – jak Bóg dawał Mojżeszowi Torę na górze Synaj? Żydzi mają swoją Torę, a chrześcijanie coś innego. Jeśli ich religia jest fałszywa, to i nasza też. Czy każde pokolenie nie dorzucało nowych praw i nowych cudów? Czy w pismach jest jakaś wzmianka o życiu przyszłym lub zmartwychwstaniu? Nie, nie ma. Księga Kohelet twierdzi kategorycznie, że wraz ze śmiercią wszystko się kończy. Wszystkie opowieści o przyszłym życiu, Sądzie Ostatecznym, przypowieści o Mesjaszu, o Szor Haborze i o Lewiatanie to późniejsze dodatki. Jeśli jest coś takiego jak nieśmiertelność, jeśli dusza otrzymuje nagrodę w raju, a karę w piekle, to dlaczego prorocy o tym nie wspominają?

Wielka gorycz oświadczyła Kalmanem, Nie potrafił dać odpowiedzi na żadne z pytań Azriela, więc go ofuknął, a potem tego żałował. Wytrącony z równowagi wyszedł na przechadzkę po polach. Idąc zrywał co pewien czas kłos pszenicy i liczył ziarna. Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie i nie spadnie za dużo deszczu lub nie zdarzy się grad, żniwa przyniosą mu grube tysiące. Owoce obsypywały gęsto drzewa, krowy się cielily, kury niosły jaja. Cena wapna poszła w górę o pół grosza za pud. Nawet gdyby

książkę nie odnowił kontraktu, Kaima nowi zostanie duży majątek.

Nagle spostrzegł, że ktoś nadchodzi w jego stronę. Poznał tragarza ze stacji kolejowej, który zbliżywszy się do niego przystanął i zdjął czapkę.

– Depesza dla pana.

Kalman nie wiedział, czy to stosowne przyjąć depeszę w święto, ale wziął ją, przyrzekając napiwek po świętach. Kiedy tragarz podziękował i odszedł, Kalman bezskutecznie usiłował odcyfrować nagryzmołony ręcznie telegram. Spostrzegł dwie zbliżające się do niego kobiety, ale nie mógł na odległość ich rozpoznać. Sądząc z ubioru na pewno nie były to wieśniaczki. Z drugiej zaś strony Żydówki w dzień świąteczny nie zapuściłyby się poza granice osiedla.

Przyszło mu na myśl, że to chyba Klara z którąś ze swych przyjaciółek. Przyglądziwszy brodę i zapiąwszy chałat, poszedł w ich kierunku. Tak, wyższa z nich to Klara, a jej towarzyszka to Tamara Szalit. Klara miała na głowie słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, z zieloną wstążką i była w jasnej sukni. W ręce trzymała parasolkę. Wachlowała się chusteczką. Obie panie śmiały się, 1 wreszcie Klara zawołała:

– Proszę tylko pomyśleć, reb Kalmanie, dzięki panu 1 wygrałam rubla!

– Dzięki mnie?

– Tak, założyłyśmy się. Ja mówiłam, że to pan nadchodździ, a Tamara mówiła, że...

– Cicho bądź! Nic nie mówiłam... – Tamara uderzyła ją po ramieniu.

–»• Szczęśliwych świąt! Wyszedłem na przechadzkę i zatrzymał mnie tragarz z telegramem. A teraz spotykam panie na mej drodze. Wszystko naraz.

– Co jest w telegramie? – spytała zaciekawiona Klara.

– Nie mogę odczytać.

– Może ja spróbuję.

Kalman podał Klarze depeszę, pochwyciła ją żywo i szybko. Jakiś ko odczytała; oczy jej rozbliły.

– Szczęściarz z pana!

– O co chodzi?

– Może to tajemnica. Lepiej powiem szeptem.

– Nie, to ja odejdę – powiedziała Tamara robiąc zwrot w tył.

Klara podeszła bliżej i dotknęła ręką ucha Kalmana. Zalało go dziwne ciepło.

– Wallenberg zamierza budować drugą linię kolejową, |H Wzywa pana jak najszybciej do Warszawy – wyszeptała :| Klara.

Kiedy to mówiła, kapelusz zsunął jej się na tył głowy i zawisł na szpilce. Z kapeluszem na bakier wyglądała młodo- -JM dziej i wdzięczniej. Stała tak blisko, że broda Kalmana do- | tykała jej ramienia. Mrugnęła porozumiewawczo i powiedziała:

– Powodzenia.

Przypadkowo Klara jechała w towarzystwie Kalmana do Warszawy. Wykupił już bilet trzeciej klasy, ale Klara; widząc go na peronie, zaprosiła do przedziału drugiej klasy, w którym jechała. Miała ze sobą walizkę, pudło na kapelusze, bukiet kwiatów i niedużą skórzaną torebkę. Ubrana była w kostium w kratkę i słomkowy kapelusz przybrany pęczkiem wisienek. Podczas długiego postoju pociągu na stacji paru jampolskich Żydków widziało, jak Kalman przesiadł się do niej. Daniel Kaminer stał na peronie i rozmawiał z córką po rosyjsku przez otwarte okno wagonu. Obecność Klary nie powstrzymywała go od rubasznych żartów:

– Pilnuj jej dobrze, Kalman. Żeby jej nikt nie porwał w wielkim mieście... Warta jest grubych pieniędzy!

– Wstydzilibyś się, tato, mówić w ten sposób – powiedziała Klara z wyrzutem.

– Już dawno straciłem cały wstyd, jaki miałem.

W wagonie Klara wyjaśniła Kalmanowi, jaki jest cel jej podróży. Zepsuła zameczek w naszyjniku z pereł i tylko jeden jubiler w Warszawie potrafi go naprawić. Potrzebuje też nowej sukni, jampolski krawiec nie potrafi ładnie szyć. Chciała sobie sprawić kilka nowych kape-luszy. Jej ciotka, pani Frenkiel, jest modystką w War-szawie. Odwiedzając stolicę, zatrzymuje się zawsze u ciotki. Uśmiechała się; trajkocząc pochylała się i wyjmowała z torebki smakołyki dla siebie i Kalmana: czekoladki, marmoladki, ciasteczka, a nawet pomarańczę. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, posłała go po herbatę. Pod żakietem, który zdjęła, miała białą bluzkę tak przezroczystą, że widać było stanik i kawałek biustu. Wyjęła ze swego bukietu kwiat i przypięła Kalmanowi do klapy. Rozmawiała z nim poufale, udzielając różnych rad. Po pierwsze, nie można pozwolić na to, aby Wallenberg, który już jest mul-timilionerem, więcej od niego skorzystał na tym interesie. Robocizna jest coraz droższa. Nie wolno podpisywać pośpiesznie żadnego kontraktu, bo przy dostawie podkła-dów kolejowych równie łatwo stracić fortunę, jak ją po-większyć.

Poza tym Klara przypomniała Kalmanowi, że musi dojść L do porozumienia z księciem. Słyszała, że konkurenci będą JJPP próbowali go przelicytować i przechwycić dzierżawę majątku. Utrata tej dzierżawy równa się utracie ręki. Jeśli on chce utrzymać kopalnie wapnia i dostarczać podkłady, musi zachować majątek ziemski, gdyż bez niego nie będzie mógł zaopatrywać swych robotników w żywność. Absolutnie wykluczone, żeby kupował każdy worek mąki i każdą kwartę mleka.

Kalman nie mógł się nadziwić zmysłowi handlowemu Klary. Mówiła raczej jak doświadczony kupiec niż kobieta. Wyjaśnił, że nie może ustalić miejsca pobytu księcia, który wyruszył w podróż po świecie i nie odpowiada na jego listy.

– Jest na to sposób – powiedziała Klara.

Znała warszawskiego prawnika, popijającego z .generał-
Hi . -gubernatorem i częstego gościa w jego rezydencji.
Miała również znajomości w sferach wojskowych. Jej
ojciec przy- | jaźni się z pułkownikiem Smirnowem i
generałem Ritter-

II , ma jerem, a oni obracają się w najwyższych sferach
ary

stokracji rosyjskiej. Można na nich polegać – poprą
sprawę Kalmana.

Kalman nie mógł powstrzymać się od porównania
Klary gf z Zełdą, która potrafiła tylko go dręczyć i
sprawiła, że żył

IIIJ poniżej swych możliwości wszystkiego sobie skąpiąc,
z czego korzystali jego nieprzyjaciele. Klara była
młoda, pociągająca, bystra i miała umysł mężczyzny.
Postępowała z nim uczciwie, chciała zostać jego żoną.
W pewnym sensie chciała usłać i dla siebie gniazdko,
ale tak to już jest w życiu. Kalman odsunął się od niej
nieco, gdyż od zapachu kwiatów i perfum zakręciło mu
się w głowie. Po chwili Klara znów się przysunęła bliżej
i żartobliwie, dobrodusznie pociągnęła go za brodę.
Postawiła mu trzewiczek na bucie i przysunęła swoje
kolano. Kalman dosłownie pobladł z pożądania. Zaczął
się modlić, aby Bóg uwolnił go od pokusy. Jeśli Klara
jest mu przeznaczona na przyszłą żonę, zaprowadzi ją
pod baldachim weselny. Klara oparła się plecami
o pokryte pluszem oparcie i próbowała się zdrzemnąć.
Kal- man spoglądał przez okno na pola, które mknęły do

tyłu, zostawiając wolną drogę dla pociągu. Lasy przesuwają się tanecznym ruchem, stada ptaków zniżają się i znów wzbijają wysoko, spłoszone widokiem strachów na wróble W podartym przyodziewku i poszarpanych kapeluszach. Nad tym wszystkim rozciągało się błękitne niebo pokryte srebrzystymi chmurkami, które przepływały i zmieniały kształt; z białych pierzastych tworzyły się baranki, grzebienie, welony. Światło słoneczne padało na każdy liść, każde źdźbło trawy, każdy kwiat. Między zagonami widać było chłopów wyrywających chwasty i kobiety wiejskie okopujące kartofle. Migają pastwiska z pasącym się bydłem, krowy w czarne i brązowe łaty, z wymionami ciężkimi od mleka. Pastuch grał na fujarce, chłopcy palili ogniska. Konie albo się pasły, albo po prostu stały, szyja przy szyi, i w milczeniu dzieliły się sekretami. Co mogło być miłszego niż siedzieć obok Klary i spozierać na letni dzień dany przez Boga? Wszystko było piękne, każdy wiatrak, każda strzecha, każda sadzawka i stawek, gdzie pluskały się gęsi i kaczki. / H

“Gdyby była moją żoną – rozmyślał Kalman – mógłbym tak z nią jechać całe dni, tygodnie i miesiące. Jest młoda, zdolna jeszcze rodzić dzieci, może nawet syna. Zaznałbym radości patrząc, jak mój następca zgłębia Torę.–I Kalman spuścił głowę. – No tak, ale czy ona chce mnie naprawdę? Czy tylko stroi sobie żarty? Ludzie wykształceni mają zwyczaj wyśmiewać się z innych. I jak mogę mieć pewność, że ktoś taki jak ona będzie przestrzegać koszeru, mykwy i dotrzymywać przyrzeczeń? A jeśli jej słowo nic nie znaczy?”

Klara otworzyła jedno oko.

– O czym tak intensywnie myślisz, Kalman?

–■ Myślę – odchrząknął – jak dobrze jest radować się światem, nie zapierając się Boga. Bo jeśli – niech taka

myśl przypadnie – człowiek zaprze się Boga, oba światy są dla niego stracone.

– A kto zapiera się Boga? – odparowała Klara, M
Wszak wszystko, co wokół widzimy, On stworzył.

– Na pewno.

pj Z drugiej strony, nie trzeba być fanatykiem.

– Kto jest fanatykiem? Żyd musi przestrzegać przepisów koszeru, a córka żydowska – przepisów ablucji.

– Masz na myśli mykwę?

Tak, mykwę. – I Kalman się zaczerwienił.

– Ostatecznie, co to jest mykwa? Skoro kobieta musi być czysta, dlaczego nie ma wykąpać się w wannie albo letnią porą w rzece? Czy to nie jest bardziej higieniczne niż mykwa, w której uczestniczą różne, nawet bardzo brudne kobiety?

– Czystość to nie jedyny cel mykwy.

– A więc co?

– Dusza.

– A co zyskuje dusza na rytualnej kąpieli? A zresztą nie unieważnia się związku małżeńskiego z powodu mykwy.

– Klara mrugnęła i roześmiała się. Po chwili milczenia dodała: – Gdybym miała swój własny dwór i mieszkała z nabożnym mężem, wybudowałabym sobie własną mykwę. W ten sposób i Boga można zadowolić, i zachować higienę."

III

Ciotka Klary, modystka, mieszkała przy ulicy Miodowej. Był dzień urodzin jej córki i właśnie odbywało się przyjęcie. Panna Celina miała lat dwadzieścia według słów matki, ale panienki pracujące u pani Frenkiel obliczyły, że skończyła dwadzieścia trzy. Normalnie można by się spodziewać, że niewiasta w tym wieku ma już męża i

dzieci, ale w domu pani Frenkiel wszystko odbywało się z opóźnieniem. Wracały o drugiej nad ranem i Celina spała do południa. Dla pani Frenkiel dwudziestotrzyletnia córka była jeszcze młoda. Ciotka Klary pochowała trzech mężów, Celinę miała z drugim mężem, komisarzem. Gdzieś w świecie przebywał jeszcze jej syn, który odstąpił od wiary ojców i został oficerem w wojsku rosyjskim. Żydowsy sąsiedzi unikali pani Frenkiel. Mówiono, że je zabronione potrawy i nie gotuje zawczasu posiłku na szabas. Chociaż zbliżała się do sześćdziesiątki, nie nosiła peruki. Włosy miała kruczoczarne, nos jak dziób i worki pod czarnymi oczyma okolonymi siecią zmarszczek. Kiedy się uśmiechała lewym okiem, prawe mrugało. Miała dosadny sposób wyrażania się, nazywała kapelusz naleśnikiem, pióro na nim – ogonem, a o klientkach mówiła, że polują tylko na okazję taniego kupna. Ale jej pokrzywione palce dokonywały cudów – kapelusze pani Frenkiel uchodziły w całej Warszawie za najmodniejsze.

Powszechnie wiadano, że wśród klientek bywają i hrabiny, i księżniczki. Z powodu wielkiego zapotrzebowania na jej kapelusze zatrudniała pół tuzina panien, które mieszkały u niej i były uważane za członków rodziny. O pół do jedenastej wieczorem wszystkie przerywały pracę i pomagały przygotowywać kolację. -Jedna przynosiła samowar, druga rozpałała piecyk, trzecia szykowała oładki kartoflane albo knedle. Z tej też racji posiłek wieczorny u pani Frenkiel był przeważnie improwizowany. Kiedy dziewczętom nie chciało się gotować, kupowały wędliny i parówki. Chłopak od piekarza przynosił kosz pełen świeżych bułeczek i gorących bajgiełek, które chrupały w zębach dziewcząt. W całym mieście nie było drugiej modystki, która zatrudniałaby tyle ładnych panien. Pani Frenkiel nie

szczędziła wysiłku, żeby dobrać uczennice z drygiem do modniarstwa. Wiedziano, że każda z jej pomocnic zostanie mistrzynią w swym fachu. Pełniła nawet wobec nich rolę swatki. Często widywano ślubną karetkę zatrzymującą się przed jej domem. Nie mogła tylko znieść partackiej roboty. Jeśli panna nie miała zręcznych palców, pani Frenkiel wrzeszczała:

– No tak, masz widać dwie lewe ręce, zabieraj się do domu i zajmij kuchnię.

Mówiono, że nierzadko dziewczyna siedziała pół tygodnia nad jednym kapeluszem.

Dziwna rzecz, lecz Celina nie poszła w ślady matki. Pani Frenkiel robiła wszystko, aby ją nauczyć modniarstwa, ale ona nie potrafiła nawet nawlec igły. Prawdę mówiąc, niczego innego nie umiała, tylko jeść i spać. W deszczowe dni w ogóle nie wstawiała, leżała w łóżku, w swoim pokoju, popijając herbatę lub kakao, zajadając maślane bułeczki i ryż na mleku. Miała podłużną twarz o śniadej cerze, drobne usta i oczy jak śliwki. Pokryta czarnymi lokami głowa była osadzona na długiej szyi. Celina stale grymasiła i odzywała się rozkapryszonym tonem jedynaczki, której niczego się nie odmawia. Podczas miesiączki całe dni spędzała w łóżku. Matka wyносиła jej nocnik i narzekała:

– Gnije w łóżku i śmierdzi. Będzie tak gnęła, aż jej włosy posiwieją.

Kiedy jednak Celina zamierzała wstać i wyjść, matka wytykała zakrzywiony nos za okno, wciągała powietrze i mówiła:

!– Zostań w łóżku, upał na dworze.

Klara nazywała panią Frenkiel "ciocią", chociaż była ona spokrewniona z pierwszym mężem Klary.

Przyjeżdżając do Warszawy zawsze zatrzymywała się u ciotki i przywoziła wszystkim upominki. Tym razem

Celina dostała złote kolczyki w prezencie urodzinowym. Miała małe uszy; posiadała szkatułkę pełną świecidełek, stroiła się w nie nawet wtedy, gdy nie opuszczała łóżka. Chcąc uczcić dzień urodzin wstała, ubrała się w żółtą suknię i pantofle na wysokich obcasach. Wysoka, cienka w talii, gdy chciała, potrafiła wyglądać elegancko. Po kolacji dziewczęta objęły się parami w pól i zaczęły tańczyć. Jedna z nich przygrywała do tańca na grzebieniu. Klara tańczyła z Celiną, której stopy zgTabnie wirowały po podłodze. Pani Frenkiel przyglądała się ze łzami w oczach. Trzech mężów i sześcioro dzieci, a zostało jej tylko to jedno stworzenie. Czy nadejdzie taki dzień, kiedy przy Celinie zazna trochę szczęścia?

W środku zabawy rozległo się pukanie. Pani Frenkiel otworzyła drzwi. Wszedł tęgi mężczyzna w kapeluszu z wysoką główką.

gj Pani to na pewno ciocia – powiedział Kalmanu

– Czyja ciocia, pańska?

– Czy nie ma tutaj Klary?

– A, Klary. Jest tutaj. Proszę zdjąć płaszcz.

•– Kto tu gra? Muzykanci?

– Proszę się nie bać. Nikt pana nie ugryzie.

Kalman zdjął płaszcz i zaczął nagle żałować, ||j się tu zjawił. Wszedł za panią Frenkiel do pokoju, skrępowany swoim wzrostem i tuszą. Dziewczyna przerwała grę na grzebieniu. Klara na jego-widok klasnęła w dłonie:

– Wielkie nieba, on tu przyszedł. Witam, witam!

Dziewczęta zachichotały wprawiając Kalmana w zakłopotanie. Dla odzyskania pewności siebie przypomniał sobie, że jest jednym z najbogatszych Żydów w Polsce i dopiero co podpisał z Wallenbergiem kontrakt na dostawę podkładów do budowy linii kolejowej dla cara.

– Dobry wieczór – powiedział. – Mówiłem, że przyjdę, i jak widać, dotrzymałem słowa. Jutro wracam do domu.

— Jutro? Po co ten pośpiech? On fruwa jak prorok Eliasz. Proszę dalej, proszę siadać. Ciociu, to jest pan Ja- kobi. Mówiłam cioci o panu. Dziś są urodziny jej córki.

— Bardzo miło widzieć tu pana. Czy' mogę podać coś do zjedzenia? Mamy zasadę, że nikt z naszych gości nie wychodzi z pustym żołądkiem.

— Byłbym przyniósł jakiś prezent, gdybym wiedział.

— Ona nie potrzebuje prezentów. Pragnę tylko, aby ją Bóg pobłogosławił dobrym małżeństwem.

— Mamo, znów zaczynasz?

— A co w tym złego? Córka to już błogosławieństwo, ale matka pragnie jakiegoś zwrotu wydatków. Babka nie cierpi bólów porodowych przy narodzinach wnuka. Doprawdy Klaro, już czas, żebyś i ty zrobiła mi jakąś przyjemność. Chciałabym zatańczyć, dziewczęta, na waszych weselach. Proszę mi wierzyć, panie Jakobi, nie ma drugiej takiej kobiety na świecie! Śliczna, mądra, wykształcona, a i z posagiem. Chciałabym tyle zarobić każdego miesiąca, ile ona wniesie w posagu mężowi I Kalman się zaczerwienił. Dziewczęta wymieniły spojrzenia. Klara przysunęła krzesło Kalmanowi.

ro

— Byłeś pan u Wallenberga?

— Podpisałem dziś kontrakt.

— Winszuję! Ciociu, pan Jakobi podpisał kontrakt. Wszystko cioci mówię. Nie mamy przed sobą sekretów.

— Mazel tow! Życzę szczęścia! Przyjaciela Klary są i moimi przyjaciółmi. Tak to u nas jest, jak w jednej rodzinie. Ciałem i duszą. Dziewczęta, co się tak gapicie? Nastawiajcie samowar! Nie stójcie tak w miejscu jak kukły z gliny.

— Uprzejmie pani dziękuję. Już jadłem kolację.

— To i Cóż z tego? Kiszki nie mają dna. Oto moja córka. Obchodzimy dzisiaj dzień jej urodzin.

– Kiedyś obchodzenie urodzin to był zwyczaj chrześcijański.

– Jest takie powiedzenie: “Dokąd idzie chrześcijanin, tam Żyd podąża za nim.”

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

I

W domu modlitwy w Marszynie uczniowie czytali przyciszonymi głosami. Stary rabi był chory. Specjalista z Warszawy przyznał otwarcie, że jego lekarstwa nie mogą już pomóc. “To cud, że rabi jeszcze żyje.”

Wprawdzie synowie rabiego chcieli go przenieść do dużego domu, gdzie było ciszej i lepsze powietrze, on jednak wolał zostać w swoim pokoju obok domu modlitwy. Tego ranka reb Mendel, szames, usadowił go wyżej w łóżku, nałożył tałas i tefilin. Rabi modlił się razem z zebranim obok minjanem. Wyznawcy rabiego, bliżej z nim zaprzyjaźnieni, próbowali wejść do pokoju chcąc uścisnąć mu rękę, lecz reb Szymon, jego najstarszy syn, zapowiedział obsługującemu, aby nikogo nie wpuszczał. Z powodu utraty wzroku rabi recytował psalmy z pamięci i mruzczał Ustępy Miszny. Coraz to zapadał w drzemkę. Opuchnięty, z rozdętym brzuchem, leżał tak z oczami głęboko wpadniętymi w oczodoły, a na jego twarzy zachodziły zmiany z każdą upływającą godziną. Nawet broda wydawała się krótsza. Nie mógł już oddawać moczu, stało się konieczne stosowanie cewnika w celu odprowadzenia moczu do nocnika częściowo ukrytego pod łóżkiem. Krew szła mu nosem kilka razy dziennie. Wszystkie dolegliwości się zbiegły – zatkanie pęcherza, zapalenie płuc. Ciało nie mogło już dłużej dawać schronienia duszy. Koniec mógł nastąpić w każdej chwili.

Wieść, że cadyk jest umierający, rozeszła się po całej

Polsce. Pociągi warszawskie przywoziły wciąż nowe tłumy chasydów do Marszynowa. Co bogatsi przyjeżdżali bryczkami i karetkami. Z małych wiosek ludzie przybywali wozami lub nawet szli pieszo. Niepłodne niewiasty, oczekujące błogosławieństwa zapewniającego im płodność, przysiadły ze swymi tłumoczkami na ławkach lub kucaly na stopniach ganków, czy też wprost na kłodach i deskach leżących na marszynowskim podwórku. Od kilku już lat trwał powolny remont kompleksu zabudowań dworu ra- biego.

Przy wyliczaniu cudów dokonanych za sprawą różnych rabich, kobiety potrząsały głowami, aż im czepki podskakiwały, wycierały nosy w fartuchy i łzy z mizernych policzków. Wiele było do opowiadania, bo każdy rabi miał swoje sposoby postępowania, a każda kobieta – swój własny kłopot. Od czasu do czasu przechodził przez podwórzec ' reb Mosze, rabi z Chmielowa, lub reb Szymon. Reb Mosze, jak mówiono, nie chciał zostać następcą ojca, natomiast pragnął nim być reb Szymon, choć zdaniem kobiet prawdziwym świętym był syn Temerł, Jochanan, zięć Kalmana Jakobiego. Przechodząc obok zebranych kobiet reb Szymon usłyszał, jak któraś powiedziała:

– Alboż jest on istotą ludzką? To anioł. Na całym świecie nie ma drugiego takiego świętego!

Reb Szymon zwolnił kroku. "Gzy to o mnie chodzi?" – zadał sobie pytanie i zatrzymał się na chwilę, a kobieta-^ mówiła dalej:

– Ta Cypele to też święta.

Reb Szymon mruknął coś niezadowolony. Jego czarna i broda podskoczyła jak żywa. Spojrzał gniewnie na tłum - kobiet i z trudem powstrzymał się od splunięcia. "Bydlaki, niechluje! – warknął. – Kto ich tu potrzebuje, tego mo- |

tłochu? Przychodzą tu paskudzić i ogryzać do czysta kości, ' Już i Cypele jest dla nich święta!"

Reb Szymon zatrzymał się na progu domu modlitwy Świece płonęły w menorach. Słyszał Żydów intonujących, psalmy błagalne o wyzdrowienie rabiego i grupę młodych chłopców modlącą się wraz z nauczycielem. Reb Szymon

szukał ludzi bogatych, znaczących, przyjaciół rabiego, lecz widocznie wszyscy zatrzymali się w zajazdach.

Pociągnął brodę i przygryzł wargi. "Po cóż tyle gadania? Nikt nie żyje wiecznie. Nawet Mojżesz umarł."

Przechadzał się tam i z powrotem. Od lat przygotowywał się na ten dzień. Napisał tysiące listów, przyjmował poczęstunkiem każdego chasyda, notował w pamięci każdą twarz i nazwisko, potrzeby i wymagania każdego z przybyłych. Żona jego, Me- nuche, ugaszczała kobiety. Reb Szymon był pewien, że w całej Polsce nie ma drugiego syna rabiego, który by mu dorównał świetnością pamięci. On faktycznie się poświęcił dla dworu cadyka. To on, reb Szymon, przebudował rnyk- Wę, zarządził wzmocnienie węglów domu modlitwy podmurówką z kamieni i położenie nowego dachu. Sam por egu- lował wszystkie długi, zajął się wszystkimi sprawami, każdym posługaczem, każdym uczniem mieszkającym we dworze rabiego, każdą służącą, Reb Mosze, rabi z Chmielowa, spędził w.iele lat w ChmieloWie. Matka była zajęta tylko własnymi dolegliwościami. Siostra Temerł nie wytykała nosa poza modlitewnik. To on, reb Szymon, kierował dworem rabiego. Dlaczego plotą o Jochananie? Jeśli Jochanan nadaje się na rabiego Marszynowa, to on, reb Szymon, nadaje się na księdza.

n

Od czasu choroby rabiego Jochanan przeniósł się ze studiowaniem pism świętych z jesziwy do swego pokoju na facjatce. Ludzie zbytnio się wokół niego tłoczyli, a chasy- dzi dawali do zrozumienia to i owo.

Matka spoglądała nań zamglonymi oczami. Słyszały jak ludzie mówią, że po śmierci starego rabiego jego obiorą następcą, lecz Jochanan postanowił nie przyjąć tego urzędu. Po pierwsze, kimże jest, aby zostać rabim Marszynowa? Miały doń dostęp złę myśli. Ulegał pożądaniu, gniewowi, pysze, melancholii i innym grzechom. Po drugie, nawet gdyby był godny tego zaszczytu, za nic nie naruszy praw swego wuja reb Szymona, który sprawował służbę na dworze rabiego przez te wszystkie lata. Oznaczałoby to nie tylko pogwałcenie praw wuja, lecz i zniewagę dla reb Szymona. Nie, niech Bóg broni. Jochanan pamiętał słowa Talmudu: „Lepiej jest samemu się rzucić do dołu z wapnem niż zawstydzić kogoś wobec innych.” Wszystkie te sprawy – choroba dziadka, niepokój reb Szymona, szepty za jego plecami – rozstrajały go wewnątrz. Nie tak dawno był niemal przyzwoitym Żydem. Oddawał się w spokoju nauce i modlił z zapalem. Czuł wyraźnie, że jest na drodze do oczyszczenia. A teraz na nowo załamał się moralnie. Kiedy się modlił, różne myśli przychodziły mu do głowy. Studiował księgi, lecz z trudem rozumiał słowa mędrców. Nagle, przy recytowaniu Ociemnastu błogosław wieństw, brały nad nim górę niestosowne skojarzenia, pchające go w sieć pokus. Chwytał się za pejsy i szarpał je z całej siły, aby ból fizyczny kazał zapomnieć o innych pragnieniach. Wsypywał ziarnka groszku do butów, by go uwierały w stopy. Wstawał z krzesła i stojąc przy pulpicie czytał ustępy Miszny, recytował rozdziały Psalmów, odwracając oczy od okna, słońca, ogrodu i ptasząt świergoczących na gałązkach

drzew. Ptaki postępowaly tak, jak im Bóg przykazał, nie pragnęły rządzić jedne drugimi; Okruch pożywienia, kropla wody – oto wszystko, czego ina trzeba, aby śpiewać Bogu od świtania do zmierzchu, natomiast on, Jochanan, pragnie przewodzić swoim braciom, wynieść się ponad tłum. Dziadek jest szczęśliwy, rozmyślał Jochanan, niedługo zupełnie się pozbędzie swej cielesnej powłoki. Bardziej już przebywa w przyszłym świecie niż na tym. Jochanan począł się kiwać i trząść. "Boże Wszech- i mocny, wybaw mnie! Ojczy Niebieski, dopomóż mi, bo znalazłem się w okropnym położeniu." Podszedł do szafy z książkami, wyjął oprawny tom, zamknął oczy i otworzył gdzie popadło. Była to książka jego dziadka. Spojrzał i przeczytał: „...§ obyście wiedzieli, że istnieje inny rodzaj smutku, smutek tych, którzy w siebie wmawiają, że muszą podnieść się do najwyższych godności, a gdy tylko napotkają przeszkody – spadają na sam dół, jak było napisane o Eliszy synu Abuja. Ten zajrzał za zasłoną i tym zaszkodził sobie. Zobaczył bowiem, jak długa to droga i jakim pyłkiem jest człowiek, przeraził się i na skutek tego lęku stał się heretykiem. Albowiem u podstaw herezji leży bojaźń, lecz nie ten wzniosły lęk, tylko bojaźń niewolnika, lubiącego przekroczyć uprawnienia i tracącego wiarę w swego Pana. Pewien rabi powiedział: «Służ Panu, ale nie staraj się przewyższyć w tym innych.»"

Oczy Jochanana zwilgotniały. Biada! O nieba! To dziadek doń przemówił przez księgę, którą akurat otworzył, gdzie popadło! Tak, przestanie się troszczyć o pozycję społeczną. Będzie po prostu dobrym Żydem. Złe myśli? Niech przybywają, niech go atakują. Nie będzie na nie zwracał żadnej uwagi. Odda się nauce i modlitwie...

Drzwi się otworzyły i weszła Cypełe. Jochanan podniósł na chwilę oczy. Kobieta, tak, ale to jego żona, matka jego dziecka. Przy tym nie jest akurat w okresie menstruacji. W długiej luźnej sukni, z głową przykrytą chusteczką i w jedwabnym szalu okrywającym ramiona stanęła przy drzwiach.

Jochanan pociągnął się za brodę.

- Co takiego?
- Jochananie, ojciec może przyjedzie.
- Teść? No to.,.
- List przyszedł.
- Cieszę się.
- Przyniosłam ci gruszkę.

Jochanan popatrzył na nią uważnie. Była prawie dzieckiem, kiedy się z nią żenił, teraz (oby oszczędziło ją złe oko!) już wydorosła. Jego matka (oby żyła długo!) powiedziała, że Cypełe to piękność. Uśmiechała się do niego. Twarzyczkę miała pociągłą, duże czarne oczy i odchyloną do góry wargę. Z twarzy jej -tchnęła skromność i życzliwość osób, którym nie są znane pokusy. W jednej ręce trzymała talerzyk z gruszką, w drugiej nożyk. "Jak to może być, że nic jej nie dręczy? – zastanawiał się Jochanan. – Niemożliwe, by potrafiła tak nad sobą panować. Widocznie złe namiętności mniej dręczą kobiety. Albo

12 – Dwór

177



może jest ponownym wcieleniem duszy świątobliwej, ktoś-;^ ra zeszła na ziemię, żeby naprawić drobne przewinienia i popełnione w poprzednim bytowaniu." Jochanan przypo-

- - mniał sobie o gruszcze.
- Dziękuję, ale nie jestem głodny. Jak mógłbym być głodny? Dopiero co zjadłem śniadanie.

- Nie wyglądasz dobrze. To samo mówi świekra.
 - Wygląd niczego nie dowodzi.
 - Nie to mam na myśli. Jesteś za szczupły ■–
zaśmiała się lekko Cypełe.
 - Szczupły? No to co? Czy człowiek musi być gruby? W traktacie Awot jest powiedziane: “Dodawać sobie ciała, to zwiększać liczbę robactwa.”
 - Nie jesteś jeszcze stary.
 - A czy ktoś zna dzień swej śmierci? No, postaw talerz.
 - Gdzie?
 - Tutaj, na stole. Później umyję sobie ręce.
- Cypełe zrobiła kilka kroków do przodu. Ponieważ miała suknię długą i szeroką, nie było dokładnie widać, jak szła. Zdawała się płynąć. Chociaż Jochanan żył z nią już półtora roku, nadal go zdumiewała. Mimo tak młodego wieku była inteligentna. Inne kobiety swarzyły się między sobą, |§| Cypełe zaś pozostawała ze wszystkimi w zgodzie. Trosz- ^ czyła się o niego. Przynosiła przysmaki. Zachowywała się J skromnie w łóżku. Sen miała lekki. Kiedy przychodził do niej, mówił jej o Torze i opowiadał historie świętych. Wy- ą słuchiwała go cierpliwie. Dostał na szczęście cnotliwą nie- | wiasnę.
- Jochananie, chcę o coś spytać.
 - –Pytaj. |ft|j
 - Powiadają, że kiedy twój dziadek... – nie wolno tego ^ słowa wypowiadać – ty zostaniesz rabim. ||
 - Jochanan pobladł jeszcze bardziej. WmMz.: ^ Nie, Cypełe. -
 - Dlaczego nie? Nie chcesz? ■ '-^^SBIII -- Nie jestem tego godzien. ^¿SIII Przez chwilę obóje milczeli. Potem Jochanan zapytał:

– A czy ty chciałabyś zostać żoną rabiego?

Cypełe się uśmiechnęła.

– Dlaczego miałabym się tym kłopotać?

. – A czy się martwisz, że nie jesteś żoną rabiego? ,–
zapytał z uśmiechem.

– Nie.

– Widzisz, wszystko to głupstwa. Te zaszczyty nie są funta kłaków warte.

– Kiedy zjesz gruszkę?

– Później.

Cypełe skierowała się do wyjścia. Oczy Jochanana podążyły w ślad za nią. Dziecko w czepcu i sukni, do tego już matka. Te wszystkie sprawy nie miały dla niej znaczenia i tak właśnie powinno być. Skoro te rzeczy nie były istotne, po cóż się nad nimi zastanawiać? Jochanan zatonął w rozmyślaniach. Tak, ona ma duszę świętej i wrodzoną cnotę czystości. Szatan nie ma władzy nad takimi istotami. Mówi się o nich, że zostały poczęte i zrodzone w świętości. Jochanana ogarnęło uczucie ogromnej miłości do Cypełe, która żyjąc na tym padole, sięgała wyżyn wybiegających poza wszelkie prawa materialne. Jemu nie było to dane. On musi walczyć ze złymi duchami, inaczej rozdarłyby go na kawałki. “Żałuję, że nie powiedziałem jej czegoś przyjemnego – pomyślał. – Może dać jej monetę?” Przyrzekł sobie, że ją pochwali po wieczornych modłach, gdy mu będzie podawała na kolaeję rosół z kury i kaszę.

B

Reb Szymon przemierzał tam i z powrotem swój pokój na poddaszu. Zapadał zmierzch. Wyjrzał przez: okno na pola dojrzewającego zboża i kartofli. Krowy pasły się na

pastwiskach nad rzeką. Lasy i chmury już zmieniały zabarwienie z niebieskiego na różowe. Jeden obłok w kształcie ryby otworzył ogromną paszczę i zdawał się chwytać czerwonymi zębami kędzierzawą, zaokrągloną chmurkę podobną do jeża. Nagle rybie szczęki rozpląnęły się, zęby rozpadły, jeżowa chmurka wydeła się i odpłynęła. Oczy reba Szymona rozgorzały gniewem. I tam w górze dzieje się to samo: pożerają się nawzajem. W ostatnich dniach reba Szymon przeżywał katusze i nie sypiał nocami. Wiedziały, że zimny gniew jest uczuciem grzesznym, lecz wstawał rano z łóżka i równie gniewny jak wieczorem, kiedy szedł spać. Czy istota nie sądzi, że można go się pozbyć jak uczniaka? Wiernie im służył, a teraz ten niedorostek miałby zostać rabim, bo rozeszła się wieść, że to święty. Rozwścieczony klął Jochanan zwanego głupcem, idiotą, hipokrytą. "Nie poddam się – mrucał pod nosem – dopilnuję, aby popadł w niełaskę, zniszczę go do cna. Kiedy mnie tu zabraknie, cały ten dwór się rozpadnie." Osaczyły go okropne myśli, może powinien całkiem odrzucić swą wiarę? "Niech Bóg broni, czy już zupełnie postradałem zmysły?" – zapytał sam siebie. Wyobraził sobie, że w wigilię Jom Kipur jest w bóżnicy, uderza pięścią w pulpity i wykrzykuje: "Słuchajcie mnie, Boga nie ma! Wszystko jest chaosem."

Skąd biorą się w nim takie bluźniercze myśli? Wzdrygnął się i błagał Boga o przebaczenie. Słońce zniżyło się ku zachodowi i rzeka rozbrzmiała czerwonym blaskiem. Wrony jęczały, na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. "No cóż, muszę odmówić modlitwy wieczorne" – mruknął. Nie wszedł jednak do bóżnicy. Po raz pierwszy od wielu lat nie czuł żadnej sympatii do ludzi. Wszyscy oni są fałszywi, to wrogowie. Postanowił pomodlić się w

samotności. 11 Umył ręce i rozpoczął psalm Szczęśliwy kto... Potem stanął przy ścianie wschodniej i odmówił Osiemnaście błogosłowieństw, lecz dobrze znane słowa straciły dlań znaczenie. Stał na środku pokoju i oznajmił stanowczym głosem:

– Nie obchodzi mnie, co będzie. Muszę to zrobić bez względu na następstwa.

Podszedł do biurka, otworzył szufladę, wyjął kartkę papieru i rzuciwszy na nią okiem, wsunął do kieszeni.

“On Jj również szuka samotności – rozmyślał reb Szymon idąc Ja korytarzem. – Pomówię z nim szczerze. Dość już tej gry j w chowanego.”

Pchnął drzwi, otworzył i zobaczył Jochanana siedzącego przy stole, zagłębionego w lekturze Dwóch Tablic Przymierza.

– Dqbry wieczór, Jochananie*

– Dobry wieczór, wuju.

– Nie idziesz do bóżnicy? Czy już naśladujesz świętych?

– Świętych? Broń Boże.

– Dłaczego więc modlisz się w samotności? Jochanan nie odpowiedział.

– No dobrze, Jochananie. – Reb Szymon zmienił ton. – Wykładam karty na stół.

– Niech wuj siądzie.

– Po co mam siadać? Może nie powinienem o tym mówić, sAe po co ta cała tajemnica? Słyszałem, że chcesz zostać rabim – powiedziawszy to reb Szymon zdziwił się własnym słowom.

Jochanan podniósł głowę.

– To nieprawda, wuju.

– Chcesz, aby cię proszono- – zawołał reb Szymon.

– Nie, wuju. Jeśli mnie nawet poproszą, nie robi to żadnej różnicy. Oby dziadkowi wróciło zdrowie, ale w ra-

zie, nie daj Boże, jego śmierci, wuj obejmie jego stanowisko.

– Otóż, tak myślałem. Słyszę jednak, że wstępujesz w ślady Absaloma.

– Nie, wuju.

– Jeśli pragniesz objąć rabinat, nie będę się przeciwstawiał, tylko nienawidzę intryg. Absalom przynajmniej uprzedził o swych zamierzeniach.

– Nie ma słowa prawdy w tym, co ludzie mówią

– Czy możesz przysiąc? – Alboż to konieczne?

– Podpisz oświadczenie.

– Co za oświadczenie?

– Oto ono – reb Szymon wyciągnął kartkę, którą przedtem włożył do kieszeni, i odczytał: – Ja, Jochanan, syn reb Cadoka, daję moje słowo, że nie zgodzę się zostać

cadykiem po śmierci mego świętego dziadka. Ponadto nie obejmę rabinatu ani w Marszynie, ani w żadnym innym; mieście. Mój wuj, reb Szymon, przyrzeka zapewnić utrzymanie mnie i mojej rodzinie. – Reb Szymon skończył i rozkazał: – Podpisz!

– Niech tak będzie.

– Oto pióro.

Jochanan umoczył pióro w kałamarzu, a widząc, że nabrał za dużo atramentu, wytarł je o myckę. Stojąc pisał: "To są słowa pokornego Jochanana, wnuka cadyka i syna rabiego Cadoka, błogosławione niech będzie jego imię." %

Życie w cadyku kołatało się jeszcze kilka dni, leżał z rozdętym brzuchem, zmieniony, wyczerpany.

Odzyskując przytomność przypominał sobie, że jest reb Szmarją Gadem z Marszyny, bliskim śmierci. "Czy przynajmniej odmawiałem modlitwy? Hj zastanawiał się.

– Czy nakładają mi tefilin?" Muszą wszak umyć mu ręce. Trzeba powiedzieć o tym koniecznie szamesowi. Rabi próbował mówić, ale nie znajdował właściwych słów. Chciał napisać ostatnią wolę, wyznaczyć Jochanana na swego następcę, ale ten zamiar ulotnił mu się z głowy. Zrodziły się natomiast w jego umyśle skojarzenia dotyczące Tory, mądrości i ostatecznego poznania, do jakiego człowiek nigdy nie dochodzi za życia* Napisano o Wszehmocnym: "Jest On zarówno tym, który wie, jak i Przedmiotem swojej wiedzy." Podobnie było z rabim. Myśli jego nie rodziły się w jego mózgu, powstawały tak samorzutnie i łatwo jak sprawy ducha. Rabi wi- . dział i słyszał anioły i serafiny. Zobaczył swego ojca, dziadka, świętego Jakuba-Josefa, Baał Szema. Wzniósł się z nimi do Pałacu Ptasięgo Gniazda w Przybytku Mesjasza, ujrzał Świątynię Niebiańską, usłyszał Lewitów śpiewających i grających na instrumentach. Naraz pojął znaczenie wielu spraw: drabiny Jakubowej, po której wspinali się służebni aniołowie, Tronu Chwały, Niebiańskiego Sądu, pierwszego człowieka. Obszedł wokół piekło i stwierdził, że rabi Nach-

182

IV

¡H : ' -.

man miał rację, piekło to uczucie wstydu. Dusze odszcze- pieńców pogardały sobą za to, że nie służyły Bogu. Niektóre z nich przechodziły ponowne wcielenia, inne – zawieszane na pętlach – skazane były na wieczne wirowanie wokół globu ziemskiego. Adam wrócił do raj, gdzie znów spotkał Ewę i skosztował owocu z Drzewa Wiadomości. Nie było już węża czołgającego się na brzuchu. Skoro wszystko powstało z wieczności, jak mógł istnieć diabeł? Czas jest halucynacją, ciemność –

krawędzią światła, szatan – narzędziem Boga.
Cierpienie? Nie ma czegoś takiego jak cierpienie.
Jedność i wielość są tym samym. Podobnie jak
przeznaczenie i wolna wola. Odczuwasz ból brzucha?
Znoszony ubiór rozlatuje -się w strzępy. Dusza
potrzebuje nowego okrycia. Czy ciało cierpi? Czy jest coś
takiego jak ciało? Wszystkie ciała są jednym i tyra
samym. Wszystkie światy – jednym światem. Jak Kain
mógł zabić Abla, jeśli dobro nie różni się od zła?
Rabi otworzył oczy.

– Czy to jeszcze jest dzisiejszy dzień? – zapytał. Nikt
nie odpowiedział. Powieki znów-mu opadły. Roześmiał
się sam do siebie. — Jakież to pytanie zadałem, czy to
jest jeszcze dziś? Mówię jak dziecko. Czy jestem głodny?
Spragniony? Czy czuję się lepiej? Czy umieram? –
Czarne zasłony znieruchomiały przed jego oczami, węże
zwijały się i rozkręcały. – Czego chcą te demony, jestem
już poza zasięgiem ich mocy. Czy znajduję się w
królestwie Noga, gdzie dobro pomieszane jest ze złem?
Nie, to jest zgraja szatana. Przychodzą do mnie w postaci
żab, jaszczurek, skunksów i żmij, mają rogi i ryje, pazury i
ogony, słoniowe trąby i kły jak u dzika. Matko, boję się!
Ratuj mnie! Ojczy, one chcą mnie zniszczyć! Co to za
oko? Czerwone jak ogień. Szabriri i Briri, zostawcie mnie
w spokoju! Boże, ukarż szatana! Kim jesteście? Nama?
Makelot? Poślubić was? Los nas sobie nie przeznaczył.
Siłą? Wezwę pomocy! Mam chasydów. Oni staną w mej
obronie! Mendel, napadli na mnie zbóje, mordercy,
demony! Ojczy, jak to dobrze, że jesteś tutaj! Popadłem
w straszne niebezpieczeństwo! Odpędź ich! Psy? To nie
są zwyczajne psy. To
sfora Egiptu. To zło, zło! Chcą pozbawić tronu Stwórcę,
Jak owo pokolenie, które zbudowało wieżę Babel. Kto ich
stworzył? Ciemność była przed jasnością. Najpierw był

Samael. Pierwszy z najpierwszych. Czy to możliwe? Tak jest. A oto i matka. Witaj, matko! Tak, matko, uczę się pilnie. Zaczynam już Misznę. Narzeczona? Ty bądź moją narzeczoną. Mesjasz już przyszedł. Wszystkie dusze są jedną duszą.

Matko, coś mi dolega. Czy głowa? Nie, serce. Puść mnie, matko! Chcę już powrócić... powrócić!

Szames Mendel wyszedł na parę minut z pokoju. Kiedy wrócił, rabi już nie żył. Mendel miał w pogotowiu ptasie pióro, przyłożył je do nozdrzy rabiego. Nie poruszyło się. – Niech będzie błogosławiony prawdziwy Sędzia!

V

Na dworze rabiego powstał tumult. Wszyscy rzucili się do pokoju cadyka: reb Szymon, reb Mosze, Temerł, synowe rabiego. Otworzono okna i odmawiano modlitwę usprawiedliwienia woli bożej. Członkowie Bractwa Pogrzebowego ułożyli ciało wyżej i zapalili świece przy głowie rabiego. Zastona Arki Przymierza okryła zwłoki. Tu i ówdzie skupiały się grupki żałobników. Reb Szymon krokiem niespokojnym przemierzał podwórzec. Już wcześniej przygotował depesze, żeby je rozesać do Warszawy, Łodzi, Lublina i Piotrkowa. Wśród zgromadzonych chasydów wielu domagało się uroczystości pogrzebowych nazajutrz, reb Szymon wyznaczył je jednak dwadzieścia cztery godziny później, aby jego najbliżsi przyjaciele mogli dotrzeć do Marszynowa. Nikt nie spał tej nocy, zgiełk nie ustawał, światło paliło się we wszystkich pokojach. Żałobnicy zawodzili, kobiety obejmowały się i lamentowały. Reb Szymon zatroszczył się o to, aby ktoś był na dworcu kolejowym przy nadejściu każdego pociągu. Ludzie

przybywali całymi wagonami: rabini, bogacze, wybitni przed-
stawiciele społeczności żydowskiej. Na stacji pełno było
wyznawców, którzy zjechali, żeby wziąć udział w
pogrzebie.

Nazajutrz sklepy były puste, cały towar został wyprze-
dany. We wszystkich piekarniach praca nie ustawała arii
ną chwilę. Z młyna bez przerwy przywożono furgonami
mąkę, chłopcy na posyłki krążyli ulicami tam i z powro-
tem. Szerzyły się pogłoski: nad głową rabiego przez całą
noc jaśniało światło; czuwający przy ciele żałobnicy wi-
dzieli skrzydła unoszące się nad zmarłym; zauważono,
że wargi rabiego poruszały się, jakby wciąż jeszcze
recytował Torę. Niepłodne kobiety zanosily się
przenikliwym płaczem. Kilka zemdlało. Bractwo
Pogrzebowe już przygotowało całun. Reb Szymon i reb
Mosze spierali się o to, czy rabiego należy pochować w
starym tałasie ze złotym haftem, czy też powinien być
okryty nowym ze srebrnymi ornamentami? W całym tym
zamieszaniu reb Szymon znalazł czas na przetrząśnięcie
dokumentów ojca. Jeśli zmarły zostawił testament, chciał
być pierwszym, który go zobaczy. Rabi miał zwyczaj
przechowywania papierów w licznych woreczkach
wypełnionych notatkami, jakie sporządzał dla siebie. Nie
wyrzucano żadnego. zapisanego przez niego kawałka
papieru. Szukać testamentu w takiej masie – to jak
poszukiwać igły w stogu siana. Jeżeli nawet rabi zostawił
swą ostatnią wolę, reb Szymon nie był w stanie znaleźć
tego dokumentu.

Aczkolwiek reb Szymon niewątpliwie miał rację utrzy-
mując, że im dłuższa zwłoka z pogrzebem, tym Większy
zbierze się tłum, nabożni Żydzi zaczęli sarkać. Nie wolno
pozostawiać zwłok zbyt długo bez pochówku, zwłaszcza
w lecie. Byłoby to świętokradztwem. Wczesnym więc

rankiem, dwa dni po śmierci rabiego, zaczęto o-
czyszczanie. Całe ciało zostało obmyte przy użyciu
ablucyjnego czerpaka i natarte żółtkiem. Chasydzi znów
się spierali. Kto ma wygłosić przemówienie żałobne? Kto
wypowie pierwszą mowę pochwalną? Każdego z
obecnych rabich popierali jego stronnicy. Ci, którzy nieśli
mary, poczuli się specjalnie wyróżnieni. Tysiące Żydów
towarzyszyło ciału na
cmentarz. Na ulicach Marszynowa było czarno od
tłumów. Rozlegały się lamenty kobiet. Gęsty tłum
zapełnił kirkut. Niektórzy stawali na nagrobkach, inni
włazili na drzewa siadając na gałęziach. Najwyżej wspięli
się uczniacy. Święte zwłoki spowito w całun i kaptur,
owinięto w taśmę; między palce nieboszczyka włożono
gałązkę mirtu; na powiekach umieszczono skorupki.
Ciało było tylko ciałem, niczym więcej»

Synowie odmawiali kadisz, modlitwę za umarłych, pejsy
reb Moszego trzęsły się od łkań, a reb Szymon nasilał
głos, żeby powstrzymać łzy. Temerł zawołała: "Ojcze" i
pochyliła się ku przodowi, jakby miała zemdleć, ale córki
ją podtrzymały.

– Gdzie jest Jochanan? Chcemy Jochanana! – wołali
chasydzi wychylając kieliszki pejsachówki. – Mazel tow,
rabi!

Jochanan zbladł jak kreda, potrząsał przecząco głową.

– Nie, nie! – Wskazał na reb Szymona. – Mój wuj jest
rabim.

Wokół reb Szymona zebrał się jego orszak. Jeden ze
zwolenników trzymał butelkę pejsachówki, inny torebkę
biskoptów i tacę z kieliszkami. – Twoje zdrowie, rabi,
twoje zdrowie! – wołali do reb Szymona.

Jochanan! Jochanan! – nasilały się wołania. – Mazel
tow, Jochananie, powinszować rabiemu!

Reb Szymon zbladł, a jego czarna broda wydała się jeszcze czarniejsza.

– To bezczelność! Bezczelność i zuchwalstwo – wymamrotał. – Goje! Libertyni! Poganie!

– Jochanan! Jochanan! – rozlegały się okrzyki.

Wszyscy krzyczeli, nawet ci, którzy uprzednio opowiadali się za reb Szymonem.

Jochanan opierał się, nie chciał wypić toastu. Ukrył twarz w dłoniach. Głośno, jak uczniaka, przekonywali go, szarpali i ciągnęli. Chłopcy i młodzieńcy oblegali go wołając:

– Rabi! Rabi! Rabi Marszynowa!

Tym razem Temerł faktycznie zemdłała. Reb Mosze, rabi z Chmielowa, przeciskał się do Jochanana. Utorowano mu drogę przez ciżbę. Załamującym się od łkania głosem zawołał:

– Jochananie, ludzie domagają się ciebie!

– Nie, nie.

– Jochananie, nie możesz przeciwstawiać się całemu światu!

– Nie, nie, nie życzę sobie tego! – wołał Jochanan.

– Jochanan! Jochanan!

Reb Szymon chwiejnym krokiem wystąpił naprzód. Zaciśnął pięści.

– Mordercy! Wysysacie moją krew!

Nagle szames Mendel wydał dziki okrzyk podobny do ryku wołu.

– Żydzi, świadczę przed Bogiem, że rabi – niech odpoczywa w pokoju – chciał Jochanana na swego następcę. Jeśli kłamie, niech nie doczekam dnia, kiedy sofar obwieści nadejście Mesjasza.

– Kłamca! Oszust! Zniestawiasz naszą religię! – jęknął reb Szymon.

– Jeśli kłamię, reb Szymonie, niech moje dzieci się tutaj znajdą! – zawołał reb Mendel, wskazując na świeżo wykopany grób.

Wszycj przycichli. Wśród kobiet rozlegały się tłumione zawodzenia. Wtem zakrakała wrona. Reb Szymon podszedł do Jochanana.

– Jochananie, mazel tow! Jesteś rabim!

I oddał dokument, który uprzednio kazał mu podpisać. Jochanan chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł. Zgiął się wpół, ledwo stał na nogach, trzeba było go podtrzymać. Twarz miał zmienioną, zaczerwienioną i skapaną we łzach. Mokre pejsy przylgnęły mu do brody.

– Wuju Szymonie! – zawołał, z trudem łapiąc oddech.

– Jochananie, jesteś rabim! – krzyknął reb Szymon. – Życzę ci pomyślności.

Zrobił zwrot w tył i odszedł. Orszak jego zwolenników podążył za nim.

VI

M

W Jampolu i okolicy kursowały dwie plotki. Jedna, że I Kalman poślubi Klarę, córkę Daniela Kaminera, drugą iż książę odnowił dzierżawę majątku na okres dalszych dziesięciu lat, choć nie z samym Kalmanem, tylko z nim i z Klarą. Jampol miał teraz o czym mówić, z czego się śmiać i podrwiwać. Widziano Klarę spacerującą pod rękę z księciem. Byli i tacy naoczni świadkowie, którzy utrzymywali, że widzieli ich całujących się pod drzewem.

Reb Menachem-Mendel już dawno zastanawiał się nad opuszczeniem rabinatu w Jampolu. Teraz, kiedy się dowiedział o całej tej historii z Klarą, postanowił nie pozostawać ani dnia dłużej. Jedynym jego opiekunem był Kalman, z którym łączyło go powinowactwo przez syna. Jeśli jednak Kalman poślubi tę zuchwałą wdówkę, spacerującą z odkrytą głową, i zostanie zięciem Daniela

Kaminera, on, reb Menachem-Mendel, nie będzie mógł nadal korzystać z jego opieki. Spokojny zazwyczaj reb Menachem zmienił się teraz nie do poznania. Jego żona Tirza-Perł i córka Mirełe nigdy przedtem nie widziały go w takim stanie. Schwyciwszy tałes i tefilin ruszył do drzwi, gotów iść pieszo na stację kolejową. Tirza-Perł załamała rękę.

– Jakie to nowe szaleństwo cię opętało? – zawołała.

– Jadę do Warszawy! Już koniec świata! Oznacza to niechybnie nadejście Mesjasza!

– C.o będziesz robił w Warszawie? Nie mamy tam nawet gdzie zamieszkać!

– Wszechmocny mnie nie opuści.

Ocierając łzy fartuchem Tirza-Perł zgodziła się na wyjazd. Pobyt w Jampolu przynosił im tylko krwawienie serca i wstyd. Co więcej, uważano już tutaj Mirełe, mającą dwadzieścia dwa lata, za starą pannę. Tirza-Perł wprost nie mogła pokazać się na ulicy. Warszawa to przynajmniej duże miasto. Tam jest Azriel. Może brat i siostra zamieszkają razem. Mirełe poszła do dworu odwiedzić swą szwagierkę

Szajndł, która z oczami czerwonymi od płaczu Tzuciła się jej w objęcia, ucałowała i poczęła szlochać,

– Wiesz już o wszystkim? – zapytała Mirełe.

– Nie mogę tego pojąć, nie mogę pojąć! – zawołała Szajndł. – Ojciec sam siebie zabija, bez noża!

Kiedy się wyplakała i otarła oczy, Mirełe oznajmiła, że jej ojciec opuszcza Jampol i ona jedzie z nim razem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY I

Kalman chciał wziąć cichy ślub w domu warszawskiego rabina. Był wdowcem, a Klara wdową, więc po cóż robić tyle zamieszania. Klara jednak postanowiła, że ślub odbędzie się w mieszkaniu jej ciotki.

Chciała się pokazać w kosztownej sukni i cennej biżuterii. Przechowała swą - ślubną suknię, w której wystąpiła tylko jeden raz. Jako osoba bezdzietna uważała, że może się ubrać na biało. Za-; mówiła muzykantów i żartownisia weselnego, badchana, który znał język polski na tyle, że mógł wtrącić i polskie dowcipy. Klara pragnęła zaprosić licznych gości, lecz w Warszawie nie mieszkali inni krewni prócz ciotki, a znajomych miała niewielu. Kalman z-całą pewnością nie zamierzał nikogo zaprosić.

Oczywiście, z Jampola spodzie[^]wano się przyjazdu farmaceuty Grajna z żoną, Dawida Sorkesa z żoną Sonią, Moryca Szalitą z Tamarą. Dalecy krewni pani Frenkiel, panienki z jej pracowni, modystki,,- które dawniej u siebie zatrudniała, ich mężowie, przyjaciele i znajomi wystarczą dla wypełnienia listy gości. Ludzie, o których Kalman nigdy nie -Słyszał, będą jedli, pili i bawili się na jego weselu.

Niełatwo przyszło Kalmanowi opuścić majątek i wybrać się do Warszawy. Szabas, przypadający po poście dziewiątego dnia miesiąca Aw wypadł w okresie młocki. Trzeba było z góry zaplanować siew ozimej pszenicy. W lesie pracowano przy wyrębie drzew od wczesnego ranka aż do zachodu słońca. Strażnicy, choćby nie wiadomo jak się starali, nie mogli upilnować budulca. Kalman nie chciał ponownie zatrudnić tych robotników, którzy rzucali nań oszczerstwa, gdy ich zwolnił po likwidacji przedsiębiorstwa drzewnego. Sprowadził więc ludzi z innych miast. Wynikały z tego spory i kłótnie. Połowa Jampola zawdzięczała swój byt Kalmanowi, lecz cały Jampol go przeklinał. Czeladnicy, krawieccy ułożyli o nim piosenkę, śpiewaną przy robocie przez szwaczki i szewców. Początek śpiewki brzmiał:

Kalman, co ma pieniędzy w bród, Poznał wdówkę słodką jak miód, Ożenił się i zaznał piekła, Bo z oficerem wnet uciekła.

Tak, Kalman już się przekonał, że zazdrość to najgorsza wada ludzka. W trakcie snucia projektów ślubnych, budowy bóżnicy oraz mykwy w majątku i przeniesienia się do dworu nachodziła go chęć porzucenia wszystkiego – zobowiązań, majątności, wrogów oraz fałszywych przyjaciół – i osiedlenia się byle gdzie, w jakiejś wiosce, lesie lub w obcym mieście, gdzie nikt go nie zna i on nie zna nikogo. Kto wie? Może Klara poszłaby z nim razem. Mieszkańcy Jampola bardzo go oczerniali, natomiast Klarę dosłownie obrzucali błotem od stóp do głów.

Zarówno Żydzi, jak chrześcijanie oburzali się, że hrabia zmuszony był wyprowadzić się z własnej siedziby na skutek nalegań Klary. Każdego dnia i godziny nowe zniewagi spotykały Kalmana. W jego sklepie w Jampolu jacyś osobnicy podrzucali anonimowe listy szkalujące Klarę, rzekomo widziano ją z każdym oficerem, każdym starszym sierżantem, każdym żołnierzem z koszar. Kalman wiedział, że pokazywanie tych bzdur Klarze nie ma sensu, lecz nie potrafił zachować tajemnicy. Oczy jej dziko zapalały.

– Żółć w nich się przelewa, co? Zżera ich zawiść, no nie? Mam nadzieję, że wszyscy dostaną ataku apopleksji!

Kalman w dniu wyjazdu na ślub do Warszawy otrzymał list od swego zięcia Jochanana, rabiego z Marszynowa. List napisany był po żydowsku, a nie po hebrajsku, i brzmiał następująco;
pi

Do mego Szacownego Teścia, znanego filantropa, \$m Kalmana!

Po pierwsze, pragnę zawiadomić, że jesj[^]smy wszyscj^r w dobrym zdrowiu. Chwała imieniu Bożepfu! Mam też nadzieję usłyszeć to samo od Ciebie i "pwoich. Módlmy się o zbawienie na tym i przyszłym świecie.

Po drugie, chciałbym Cię powiadomić, że córka Twoja, f a moja żona, słyszała pewne pogłoski, które wielce mnie zaniepokoiły, i chociaż nie wiem, czy są prawdziwe, chciał-['] bym Ci przypomnieć, że tego rodzaju sprawy powinno [^] się starannie rozważyć. Talmud mówi, iż drugie małżeń-^J stwo mężczyzny to zrządzenie niebios i jest zgodne z jego zasługami. Nie chcę Ciebie obrażać. Chodzi mi wyłącznie o Twoje dobro. To wielki grzech ściągnąć złą sławę na żydowską córkę i dlatego należy wszystko dokładnie zbadać. Mamy tutaj i inne kłopoty. Nigdy nie pragnąłem objąć stanowiska rabiego po dziadku. Opuściłbym Marszynów, gdyby matka nie nakłoniła mnie do pozostania. Wszchemocny powinien się zlitować nad nami wszystkimi. Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich od Twojej córki, która pragnie zobaczyć Cię wkrótce. Twój zięć, młody i biedny, podnózek pod stopy mędrców, pokorny Jochanan, syn błogostawionej pamięci świątobliwego rabiego Cadoka. Gdy Kalman czytał, jego oczy zrosiły się łzami i powiedział do siebie: "Już za późno!"

II

Zwykle po przyjeździe do Warszawy Kalman zatrzymywał się w domu reb Jecheskiela Wienera, ojca Mejera- -Joela, lecz teraz reb Jecheskiel był na niego zagniewany. A kto się nań nie gniewa? Nawet Szajndł, jego ulubiona córka, jest na niego wściekła. Zatrzymał się więc w hotelu. Ponieważ panu młodemu nie wolno

przybyć na ślub samemu, ustalił, że Dawid Sorkes i Moryc Szalit będą mu towarzyszyli do mieszkania pani Frenkiel. Mieli po niego przyjechać około godziny dziewiątej wieczorem (dni już były krótsze), ale zegarek Kalmana wskazywał za kwadrans dziesiątą, a jego eskorty jeszcze nie było. Siedział w pokoju hotelowym. Chociaż nie lubił smaku cygara, zapalił jedno z tych, które przygotował na upominki. Wzdrygał się na odgłos każdego kroku na korytarzu, nikt jednak nie nadchodził. Różne drzwi się otwierały i zamykały. Na korytarzu kobiety i mężczyźni rozmawiali głośno, szeptali, chichotali. Wszyscy w hotelu wiedzieli, kim jest Kalman i na kogo czeka. Czy podał im mylny adres? Czyżby w ostatniej chwili Klara się rozmyśliła? A może coś się wydarzyło, jakaś tragedia? Wskazówka minutowa zbliżała się do dziesiątej i wciąż nikt się nie zjawiał. Kalman nie mógł już dłużej wytrzymać na krześle. Zaczął chodzić tam i z powrotem. Buty mu skrzypiały. "Rozmyśliła się, rozmyśliła – mruczał pod nosem. – Po prostu chciała mnie zhańbić! Kto wie? Może to był tylko żart? Wszystko możliwe, wszystko możliwe! Wystrychnęli mnie na du.lka. Wyłudzili ode mnie posiadłość. Wszyscy się zabawią moim kosztem." Wiedział jednak, że tak nie jest, że nie może tak być. Klara nie posunęłaby się tak daleko. Daniel Kaminer to nie młodzieniaszek. Nowe podejrzenia nasuwały się jednak co minuta. Może ona wcale nie jest wdową, może jej mąż jeszcze żyje i zjawi się, aby nie dopuścić do ślubu? Może Klara postanowiła nagle się przechrzcić? Jeśli Miriam-Liba popełniła taki grzech, dlaczego by Klara nie była do tego zdolna? "Cały czas wiedziałem, że to nie przejdzie gładko", szeptał do siebie. Iskierka spadła z cygara, a już sobie wyobraził, że u pani Frenkiel wybuchł pożar, strawił całe mieszkanie, wszyscy spalili się na

węgiel. "Nie powinienem był wyzywać całego świata! Jochanan to święty, nie należy martwić świętego. Dopomóż mi, Boże miłosierny, dopomóż! – Kalman zaczął się modlić. – Nie ze względu na mnie, ale przez wzgląd na"...

Usłyszał kroki. Drzwi się otworzyły: Stanęli w nich

13 – Dwór

193

V

Dawid Sorkes i Moryc Szalit w cylindrach, z ^skamg w rękę, dwóch wy perfumowanych "NiemieszkóJJ

– Oto i pan miody! – zawołał Dawid Sorkes, ochryply" ■od alkoholu. /

– Pan miody, chciałem powiedzie^pan młody! –; wykrzyknął butnie Moryc Szalit.

Zazwyczaj odzywali się do Kalinka z szacunkiem, ólajp zawdzięczali mu dostatnie życie. Teraz jednak, gdy miał zostać mężem Klary, dużo stracił w ich oczach. Sądząc po dowcipach, Kalman wnioskował, że traktują ślub jak żart w dniu Purim.

– Co was zatrzymało tak długo?

– Narzeczona się stroi! – I obaj wybuchnęli śmiechem.

Kalman wyszedł wraz z nimi. Kiedy przechodzili korytarzem, drzwi pokojów lekko się uchylały, ukazując w półmroku zarys kobiecych twarzy. Zeszli na dół. Przed domem czekała dwukonna dorożka. Konie miały ozdobną uprzęż. Wokół dorożki zebrało się pełno dzieciaków. Na widok Kalmana zaczęły wykrzykiwać: "Hurra! Hurra!" Przechodnie jakby wiedzieli, dokąd on zdąży. Usiadł z pochyloną głową na wyściełanym siedzeniu między swą eskortą. "Dlaczego tak się wy perfumowali?" – zadał sobie pytanie. Miał oto poślubić kobietę nowoczesną, Rosjankę, a jednocześnie czuł pogardę dla światowego trybu życia. Po co tyle

zamieszania? Dlaczego tak się radują? Nie będą żyć wiecznie.

Przed bramą domu pani Frenkiel Kalman zobaczył do-
rożki i ludzi ubranych wieczorowo, z pewnością gości
weselnych. Wchodząc po schodach, czuł się jak wół
prowa- J dzony na rzeź. "Może nie jest jeszcze za późno,
żeby uciec?" – przemknęło mu przez głowę. Słyszał
muzykę, okrzyki, chichoty kobiet. Drzwi do mieszkania
pani Frenkiel były uchylone. Z wewnątrz wydostawało się
gorące powietrze i zapach ciał. Muzykanci już grali,
badchan L działał, pary tańczyły. Wprowadzono go do
środku jak na bal. Wszystkie twarze były roześmiane,
oczy błyszcząc^ Buchnął na niego silny zapach perfum.
W głowie mu się A zakręciło. Było tłoczno i okropnie
gorąco. LAMPY naftowe J
oślepiały. Niektórzy goście otwarci drwili z Kalmana,
inni ^winszowali, ściskali mu ręce. Rabin, wraz z szame-
sem z warszawskiego rabinatu, byli już na miejscu. Rabin
zasiadł do spisania kontraktu ślubnego stalowym piórem.
Zapytał:

■– Jak ma na imię narzeczona?

– Klara – odpowiedział Daniel Kaminer.

– Klara to nie jest żydowskie imię. Jakie inne nadano
jej imię, kiedy stanąłeś przed świętym zwojem
pergaminu?

Ma imiona po swej babce, Kajla-Rebeka.

– Dlaczego więc tak nie powiedziałaś?

Mimo zamieszania wszystko odbyło się zgodnie z pra-
wem. Ubrano Kalmana w białą szatę, aby mu
przypomnieć

Odnie śmierci. Czterech mężczyzn podniosło drążki pod-
trzymujące ślubny baldachim. Inni nieśli w ręku skręcone
świece. Wiedli Kalmana pod baldachimem, pod który

przyprowadzono doń Klarę ubraną w białą jedwabną suknię

1 tiulowy stroik zakrywający włosy. Twarz miała odsłoniętą. Uśmiechała się do Kalmana. Odmówiwszy błogosławieństwo nad czarką wina, rabin podał ją Kalmanowi, a następnie Klarze. Klara Wysunęła wskazujący palec, na który Kalman włożył obrączkę ze słowami: „J oto jesteś zaślubiona.” Rabin odczytał kontrakt ślubny po aramejsku, w języku, którego Kalman nie znał. Tu i tam wyłowił słowo zbliżone do hebrajskiego.

Dziwna rzecz, gdy rabin zaczął odmawiać drugie błogosławieństwo, te same dziewczęta i kobiety, które poprzednio śmiały się bez żenady, zamilkły. Niejedna otarła łzę. To nie fraszka przyjść na świat, wyjść za męża, dać życie potomstwu, zestarzeć się i umrzeć. Są sprawy, których wagi nie mogą pomniejszyć dowcipy żadnego bad-chana. Oczy Kalmana zwilgotniały. Czy Zełda (niech odpoczywa w pokoju) wie, co on robi? Czy jej dusza krąży gdzieś w pobliżu? Czy on rzeczywiście popełnia grzech, czy też obróci się to na dobre?

Usunięto baldachim. Nastąpił zgiełk, powinszowania i pocałunki. Klara z ciotką trzymały się w objęciach, kołysząc się w tył i w przód. Mężczyźni zaczęli już popijać alkohol.

/

zajadać pierniczki. Kobietom podawano nalewkę/wiśniową i likier. Rabin złożył życzenia Kalmanowi. Później Daniel Kaminer ujął pana młodego pod rękę i zaciągając z litewska udzielał rad jako teść i przyjaciel, pół serio, pół żartem. Kalmanowi również podano kieliszek. Klara, uściskawszy ciotkę, ucałowała Celinę, Tamarę Szalit, Sonię Sorkes, Itkę Grajn, a potem podeszła do Kalmana.

– Cóż to, nie masz mi nic do powiedzenia, mój mężu?

Kalman nie mógł mówić. Oczy napęłniły mu się łzami i nawet dobrze nie widział Klary. Wreszcie odzyskał głos.
– Nie zapominajmy o Bogu! – powiedział.

III

Prowadzenie interesów nauczyło Kalmana, jak łatwo popełnić błąd. Można rachować i rachować, a w końcu zapomina się, że dwa i dwa to cztery. Rozliczając się z najdrobniejszych wydatków zdarza się przeoczyć największe. To właśnie przytrafiło się Kalmanowi. Żył w takim tempie, był uwikłany w tylu interesach, że zapomniał o rzeczy najważniejszej. Klara przyrzekła, że pójdzie przed ślubem do mykwy, lecz nie spytał jej, czy dotrzymała słowa. Siedząc teraz na weselnym przyjęciu, przypomniał sobie i inne rzeczy, które uprzednio, w niezrozumiały dla siebie sposób, przeoczył. Pani Frenkiel powiedziała mu, że kupuje mięso w jatce koszernej. Ale jak się odbywa solenie i moczenie tego mięsa? A jej kuchnia? Czy przestrzega niestawiania razem naczyń do dań mlecznych z naczyniami do mięsa? Czy w razie wątpliwości zasięga rady osoby znającej się na rzeczy? Czy on, Kalman, może bez obawy spożyć tutaj posiłek? Czy można się spodziewać, że kobieta chodząca z odkrytą głową prowadzi kuchnię koszerną? Nie widział w tym domu żadnych dowodów poszanowania Boga. Jeśli tak, to on, Kalman, być może je zakazane potrawy na swym własnym weselu. I nie dość tego, jeszcze dzisiejszej nocy będzie leżał w łóżku – niech Bóg uchwata – z ko-

bietą, która nie dokonała ablucji. Kalman poczuł ucisk w żołądku.

“Czy to możliwe – rozmyślał – że postradałem rozum? Tak, jestem w ich mocy, zbratałem się z szatanem!”

Każdy kęs dławił go w gardle. "Co ja najlepszego zrobiłem? Jak to możliwe? Musiał mnie opętać zły duch! To znaczy, że wszystko, o co mnie oskarżano, jest prawdą!"

Muzykanci grali dalej, badchan bawił gości dowcipami z polskich teatrzyków i kabaretów, przeplatając język żydowski słowami polskimi. Hałas i śmiech nappełniał pokoje, lecz Kalman siedział przygnębiony. "Czy jest z tego jakieś wyjście? Co powinienem zrobić według prawa?" Znał odpowiedź: musi wstać i uciekać, jakby ścigał go ogień. Powinien pościć, kajać się i umartwiać za popełnione grzechy. Przypomniawszy sobie słowa z Różdżki kary: "Jak gorące są ognie siedmiu piekieł i przez ile przemian trzeba przejść, zanim się dojdzie nawet do piekła!" Podniósł się na chwilę, jakby gotów odejść od stołu i uciekać. Usiadł jednak znowu. Przyszły mu do głowy słowa Azriela: "Żydzi mają Torę, chrześcijanie – swoje własne prawa. Czy ktoś widział, jak Mojżesz otrzymał Torę na górze Synaj? Wszystko to jest legendą."

"No, no, zmierzam wprost do tego, by się stać w dodatku heretykiem", myślał Kalman dziwiąc się, że zły duch tak szybko kieruje go ku otchłani.

"Trzeba uciekać", mówił sobie, ale nie mógł się zmusić do wykonania żadnego ruchu. Pozostał więc na miejscu, siorbał rosół z kury, przeżuwał mięso, słuchał pieprzonych dowcipów badchana, patrzył na kobiety z odsłoniętymi ramionami, wydekoltowane i upudrowane, słuchał ich swawolnych żartów. Klara opuściła swe miejsce obok Kalmana. Stale ją dokądś wzywano. Przybywali wciąż nowi goście ze ślubnymi prezentami, jak na ślub kawalera z młodą panną. Kalman przyglądał im się spod ściągniętych brwi. Kim są? Skąd pani Frenkiel zna tylu ludzi? Dlaczego są tacy podnieceni? I dlaczego Klara

chciała mieć takie zbiegowisko? Kiedy wróciła do stołu. Kalman pomyślał, że nigdy nie widział Klary tak pięknej. Twarz jej

promieniała. Miała na sobie tyle klejnotów oó królowa, Nalewając mu wina powiedziała:

– Napij się, to nasze wesele!

I światowym gestem stuknęła swym--kieliszkiem o jego.-

– Czy to aby koszerne wino? – zapytał Kalman, wstydzając się własnych słów. Wyrażały brak przekonania, j brzmiały bojaźliwie i nieszczerze.

– Koszer, koszer! Wszystko jest koszerne! strofowała Klara z uśmiechem, przymrużając zarazem oko. Kalman zrozumiał, co miała na myśli: "Nie jesteś takim świętoszkiem."

Wychylił kieliszek do dna, więc naląła mu znowu. Przy-1 pomniał sobie wtedy, werset z Pisma Świętego: "I wino, ■ co rozwesela serce ludzkie." W głowie mu się kręciło, ko- * lana uginały. "No i co z tego? Piekło też jest dla ludzi, nie dla psów. Zgodnie ze świętą księgą, wszyscy i tak-; spoczniemy na kolczastym łożu", mówił do siebie. Zaczął odczuwać pewnego rodzaju urazę do Stwórcy. Zęłda była kobietą pobożną, a jaka ją spotkała nagroda? Praca, choroba, krótkie życie. A te dzieci z chederu, które Chmielnicki pogrzebał żywcem? Nie znały nawet smaku grzechu... Według księgi Kohelet istoty ludzkie i zwierzęta to jedno - i to samo. Umarli nic nie wiedzą.

Zanim tłum zaczął się rozchodzić, już dniało. Klara wynajęła apartament w pobliskim hotelu. Dorożka czekała przed drzwiami, żeby ich przewieźć, choć miał niedaleko. Ludzie już wstawali i rozpoczynali nowy dzień, Kalman zaś jechał do chrześcijańskiego hotelu z bezbożną kobietą. Klucze wisiały rzędem na ścianie

kontuaraku za drzemiącym portierem. Drgnął budząc się i wręczył klucz numerowemu. Na marmurowych schodach leżały dywany. Klara wchodząc po schodach, ujęła Kalmana pod rękę. Numerowy niósł zręcznie dwie walizki; otworzył kluczem drzwi, wpuścił parę do mrocznego apartamentu i zapalił lampy- Dostał od Klary napiwek. Pokój był obszerny i bardzo wysoki. Powiało dziwnym chłodem. Klara otworzyła drzwi do drugiego pokoju. Kalmanowi przyszło na myśl, że ona czuje się tu nader zadomowiona. Zanim zamknęła za sobą drzwi, odezwała się:

– Ubikacja jest w hallu na lewo.

Kiedy wrócił, zastał Klarę w jedwabnej nocnej koszuli obszytej koronkami, włosy miała rozpuszczone, na nogach ranne patofelki. Uperfumowała się. Przypominała wyglądem królowe z banknotów i królewny wygrawerowane na medalionach. Nagle odezwała się po polsku:

– No, rozbieraj się.

– Tak, oczywiście.

Kalman wstydził się rozbierać w obecności tak wspa- niałej damy. Zgasił światło i zaczął zdejmować nowe buty palące go w podeszwy, chociaż kosztowały piętnaście rubli i były zrobione z kozłej skóry. Pamiętał, że nie odmówił modlitw wieczornych, lecz w ciemności nie widział, gdzie mógłby obmyć ręce. Zamknął oczy. Pożądanie, jakie czuł przedtem, ulotniło się, pozostała tylko bo jaźń.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

I

Mieszkanko na poddaszu przy ulicy Krochmalnej 19, składające się z dwóch pokojów i kuchni, zajmował Todros Bendiner, syn szamesa. Wrócił do Polski z

Berlina, gdzie spędził kilka lat wałęsając się bez pracy i przymierając głodem. Ten tryb życia Bendinera przyniósł w rezultacie, chorobę. Ostatecznie osiedlił się w Warszawie jako piekarz. Dostał ruptury wyrabiając gęste ciasto na chleb, więc teraz mógł wykonywać tylko lekką pracę; palił w piecach^ zamiatał podłogę w piekarni i chodził na posyłki. Mimo że Todros Bendiner miał sześcioro dzieci, odgrodził w swym. mieszkanku mały pokoik, który podnajmował.

Znajomy nauczyciel języka hebrajskiego polecał Azrielowi ten pokoik i Azriel zdecydował się go wynająć. Żona Todrosa, Ryca-Lea, miała przygotowywać posiłki. Za pokój wraz z wyżywieniem płacił tygodniowo dziesięć rubli. Okno pokoiku wychodziło na podwórze. Stało w nim łóżko, stół, jedno krzesło i szafka na książki.

Azriel siedząc przy stole od czasu do czasu odrywał wzrok od książki i przenosił na podwórze. Dom zamieszki-1 wała biedota. Pomyje chlustano wprost z okien na podwórze. Na dziedzińcu nie było żadnych ścieków, tworzyły się więc głębokie kałuże. Wokół obudowanego deskami śmietnika zalegały wysokie hałdy odpadków i śmierdziało tak mocno, że odór dolatywał aż na trzecie piętro do Azriela.

Podwórze służyło jako miejsce pracy i handlu. Farbiarz farbował tam materiały, można też było zobaczyć tapicera pracowicie wypychającego krzesła i kanapy. Była tam nawet zagroda z krowami, do której szły przez dziedziniec kobiety z pustymi dzbankami i garnkami, a wracały z naczyniami pełnymi ciepłego mleka prosto od krowy. Stróż przynosił regularnie obierki i karmił swą kozą. Kobiety wywieszały upraną bielizną do suszenia, wietrzyły ubrania i pościel i trzepały je grubymi kijami. Odgłosy zwierząt i rozmowy dziewcząt mieszały się

często z głosami skandującymi Torą, w budynku bowiem znajdowała się także bóżnica chasydzka.

Był poniedziałek, dzień, w którym żebracy zazwyczaj otrzymują jałmużnę, więc chmara obdartusów przepychała się w bramie i rozchodziła po kamienicy. Żebracy wspinali się na piętra i schodzili mozolnie po schodach, stukali do drzwi mieszkań i wystawiali na pokaz zniekształcone członki. W chederze, znajdującym się w obrębie posesji, kilkoro dzieci recytowało Pięcioksiąg. Jednak większość młodzieży przebywała na dworze, bawiąc się kijami, sznurkami oraz kawałkami skorup. Jakaś grupka zabawiała się dręczeniem ułomnego chłopca, starając się zrzucić mu z głowy kapelusz.

Azriel siedział nad otwartym Zbiorem zadań Malinina. W zadaniu, jakie miał rozwiązać, była mowa o handlarzu bydłem, który sprzedał połowę swych wołów, jedną trzecią owiec i jedną czwartą cieląt. "No cóż, jeśli człowiek chce robić postępy, musi się napocić", upominał siebie Azriel, naśladując ton swego nauczyciela Bełkina. Stolik, przy którym pracował, założony był podręcznikami i słownikami. Azriel czytał, świadomy jednocześnie tego, co działo się na dworze. W jednym oknie paliła się świeca, widocznie u wezgłowia nieboszczyka. W tych izbach mieszkali sparaliżowani, ślepcy, niemowły, pomyleni, ci, dla których zabrakło miejsca w zakładach. Czasami słychać było krzyki rodzącej kobiety. Ludzie przebywali w tych ciemnych piwnicznych izbach, po których nawet za dnia biegały myszy. Pracowano od wczesnego ranka do późnej nocy. Azriel już dawno się przekonał, że im ciężiej ludzie pracują, tym mniej zarabiają.

“Jakże może być inaczej – mrucał , do siebie – skoro, działają tu ślepe siły. Materia i energia... Przetrwają naj-silniejsi. Sprawiedliwość? Nie, nie ma miejsca na spra-wiedliwość w takim wszechświecie. Jeśli nie ma Boga, to nie ma grzechu. Życie jest dżunglą.”

Weszła Ryca-Lea.

- Trzy listy do pana.
- Aż trzy? Bardzo dziękuję.

Dwa były z Jampola – jeden od Szajndł, drugi od ro-dziców. Trzeci list, z warszawskim stemplem na znaczku, wysłała osoba, która nazywała się Justyna Malewska. W niebieskiej kopercie, zaadresowanej ozdobnym pismem! znajdował się arkusik papieru w tym samym kolorze.

Lis};i napisany po polsku, brzmiał następująco:

Szanowny Panie A. Babad!

Właśnie wróciłam z Paryża, gdzie poznałam pańską: szwagierkę, hrabinę Marię Jampolską. Dowiedziawszy się, że mój ojciec prowadzi interesy z Pana teściem, prosiła mnie o przekazanie Panu pozdrowień. Dopiero co poinformowano mnie, jaki jest pański adres. Zwykle bywam u siebie do południa, a i wieczorami można mnie zastać w domu. Moje panieńskie nazwisko Wallenberg. Spodziewam się, że wkrótce Pana zobaczę. Przesyłam uprzejme pozdrowienia.

Azriel przeczytał. list kilkakrotnie, gdyż nie od razu uświadomił sobie, że hrabina Maria Jampolska to Miriam-Liba. Następnie rozdarł pozostałe dwie koperty. Szajndł zawiadamiała, iż nadszedł list od córki Wallenberga, którym mu przesyła; informowała też, że Josele, czyli Uri-Josef,^ jest zdrowym mądrym chłopcem, zadaje jej wiele pytań,*-; odczuwa brak tatusia, a ona, Szajndł, również oczekuj^ nadejścia ferii i jegp przyjazdu do

domu. Donosiła ponadto o wielu różnych sprawach, wypełniła kilka kartek papieru v po obu stronach, a częściowo i na marginesie. Trzeci list był pisany wspólnie przez ojca, matkę i Mirełę. Ojciec pisał po hebrajsku, że nie może dłużej znosić niechęci starszyny jampolskiej i chce się przenieść do Warszawy. Dowiedział się, że wielu rabinów, choć nie zatrudnionych oficjalnie przez gminę żydowską, potrafi w dużym mieście zarobić na utrzymanie. Czy Azriel mógłby znaleźć dla niego mieszkanie w dzielnicy żydowskiej? A może przypadkiem potrzebny jest rabin na Krochmalnej?

Matka zaopatrzyła list w bardzo gniewny dopisek. "Nie mogę dłużej żyć wśród tych łotrów. Zohydzają nam życie. Jampol to druga Sodoma." Mirełę dodała dwie linijki: "Azrielu, wyciągnij nas z tego błota, twoja siostra, Mirele."

Azriel odsunął książki na bok. Co za fanatycy! Nie może dłużej przebywać zamknięty w tym wąskim pokoiku, jak w kojcu. Musi wyjść na ulicę. Hrabina Maria Jampolska z Paryża to jego szwagierka. Dostał zaproszenie od córki Wallenberga. Ojciec przyjeżdża do Warszawy, aby na dobre tu zamieszkać. Czas nie stoi w miejscu. Azriel zaczął przeglądać ubrania wiszące na ścianie pod zasłoną z prześcieradła i postanowił włożyć granatową marynarkę. Musi kupić nowy kołnierzyk i podstrzyc brodę. Na szczęście praczka odniosła wypraną bieliznę. Zastanawiał się, czy powinien odwiedzić panią Malewską tego samego wieczoru. Nie, lepiej jutro. Chwyciwszy Euklidesa zbiegł po zaśmieconych schodach. Wyszedł na dwór i stwierdził, jak słoneczny i ciepły jest ten czerwcowy dzień. Na Krochmalnej panował hałas i zgiełk. Przez otwarte drzwi wylewano pomyje, brudy płynęły wypełnionymi rynsztokami. Ktoś otworzył okno i wyrzucił śmieci. Na tej ulicy znajdowało się wiele piekarni, z kominów wydobywały się kłęby

dymu. Stajnie przyciągały roje much. Ulica pulsowała życiem. Szewcy na zydlach reperowali obuwie przed drzwiami warsztatów. Kobiety kołysząc niemowlęta siedziały na stołkach i schodkach domów. Banda uliczników szła za niemową wołając chórem: "Bałwan!" Zony kłóciły się z mężami, a sąsiedzi usiłowali ich godzić. Azriel torował sobie drogę w kierunku ruin koszar Mirowskich. Koszary, chociaż powinny zostać do cna wyburzone jako relikwiny dawnych polskich rządów, nieoczekiwanie stały się miejscem postoju niezliczonych chłopskich wozów, dwukołowych beczek do rozwożenia piwa i dorożek; dzielnica ta bowiem stanowiła jeden wielki targ owoców, warzyw i mięsa. Idąc ulicą Żabią, Azriel doszedł do Ogrodu Saskiego. Z powodu ciepłej wiosennej pogody w ogrodzie panował tłok prawie taki sam jak na ulicach miasta. Właśnie Towarzystwo Dobroczyńności urządziło loterię na wprost stoiska z wodą mineralną. Rozstawiono ławki i wzniesiono namioty. Afisz informował, że wśród fantów jest i dojna krowa. Dzieci biegały tocząc drewniane koła lub grały w piłkę. Dorośli zajęci byli grą zwaną "w zbijanego", w której jeden z grających rzucał piłkę do drugiego, a trzeci, tak zwany "zbijany", usiłował ją przechwycić. Rosjanie zakazali grać w palanta i w inne typowo polskie gry.

Azriel starał się czytać Euklidesa, nagle jednak opuścił go zapal do nauki. Zaczął spacerować tam i z powrotem po parku. Na chwilę zatrzymał się przy stawie. Chłopcy: w marynarskich ubrankach i dziewczynki wystrojone jak małe damy rzucali okruchy chleba łabędziom. Nianie i guwernantki zwracały się do nich po polsku i po francusku. Nie było tutaj Żydów w długich chałatach ani kobiet w perukach i czepkach. Mężczyźni mieli na głowach słomkowe kapelusze. Od czasu do czasu widziało się

cylinder lub melonik. Brody Żydów były zazwyczaj rozczochrane, ci panowie, przeciwnie, przystrzygali je w szpic, w szpadę lub w szeroki wachlarz. Niektórzy mieli wąsy skręcone niczym sprężyny, inni sztywno sterczące jak druty. Młodzi mężczyźni chodzili w koszulach z miękkimi kołnierzykami, rozpiętymi i wyłożonymi na marynarki a la Słowacki. Ale starsi, chociaż to było lato, paradowali w sztywnych kołnierzykach i szerokich krawatach. Wszyscy wyglądali elegancko. Noszono jasne spodnie do ciemnych marynarek; niektórzy panowie spacerowali w płaszczach, inni zarzucili je na ramię; obuwie aż lśniło, szyku dodawały laski o srebrnych lub kościanych gałkach. Gimnazjaliści i studenci chodzili w mundurach z metalowymi guzikami. Kapelusze pań, często z upiętymi na nich woalkami, wyglądały jak patery pełne kwiatów i owoców. Suknie były wcięte w talii, naszyte taśmami, fałdzone, rękawiczki prawie do łokcia, parasolki i wachlarze mieniły się barwami. Zakochatni spacerowali pod rękę, z uśmiechem patrzyli sobie w oczy, kryli się w zacienionych alejkach. Wszystko tu było eleganckie: fontanna, oranżeria, klomby kwiatów. Brodaci sprzedawcy opasani białymi fartuchami, obnosili na głowach beczułki z lodami. W parku znajdowała się cukiernia i mleczarnia, w której młodzież popijała kwaśne mleko. Azriel znów usiadł na ławce, chcąc się pogрузić w twierdzeniach Euklidesa, nie mógł jednak skupić uwagi.

Jak ma się jutro zachować u Justyny Malewskiej? Czy powinien pocałować ją w rękę? Powiedzieć komplement? Czy należy zwracać się do niej przez "pani" czy "łaskawa pani", a może "jaśnie pani"? Co ma zrobić, jeśli go zaprosi do stołu? Przyjąć poczęstunek czy odmówić? Jak długo może u niej zostać? Czy powinien pierwszy wyciągnąć rękę, czy też zaczekać, aż ona mu

gada swoją? Czy musi mieć bilet wizytowy? A w razie spotkania jej męża, krewnych, przyjaciół, jak należy się do nich zwracać? Azriel pokiwał głową. Bardzo się zmienił! Przed paru laty był prawdziwym mężczyzną i potrafił sprostać okolicznościom.. Teraz nagle stał się zależny, miał poczucie własnej niższości. Trzeba będzie całych lat pracy, żeby opanować rosyjski, łacinę, grekę. Tyle bowiem należy poznać języków i przedmiotów, aby zdobyć świadectwo ukończenia siedmiu klas gimnazjalnych. Musi też nabyć ogłady towarzyskiej, wybrać właściwy zawód, a i po tym wszystkim nie będzie nikim więcej jak prześladowanym Żydem... Jakie to dziwne, że życie przyszłe jest o wiele łatwiejsze od doczesnego. Na tamtym świecie należy się liczyć tylko z Bogiem. Na tym zaś jest się zależnym zarówno od niezliczonych szefów i inspektorów, jak i od praw, przepisów, zasad etykiety i form towarzyskich, co stanowi kodeks o wiele bardziej złożony od Szulchan Aruch, księgi zawierającej prawa żydowskie.

Azriel siedział pogrążony w myślach. Ktoś trącił go w ramię. Drgnął poznawszy pana Wallenberga, którego odwiedził kiedyś w biurze.

– Przepraszam, czy jest pan zięciem pana Jakobiego?
Azriel wstał.

– Pan Wallenberg!

– Tak, przechodząc przez park zobaczyłem pana zatopionego w myślach... Od razu pana poznałem.

– To zaszczyt dla mnie! Właśnie dziś dostałem list od pańskiej córki.

– Wiem, wiem. Mówiliśmy niedawno o panu. Pańska szwagierka, hrabina, poznała moją córkę. Jaki ten świat jest mały, prawda? Jak się miewa teść?

– Dobrze, dziękuję.

– Zdaje się, że ma pan już dziecko?

– Tak, chłopczyka.

– To pięknie. Już dawno nie widziałem pańskiego teścia, ale myślę, że niedługo znowu będę prowadził z nim interesy. To znaczy, jeśli warunki pozwolą. Toczą się pertraktacje dotyczące budowy drugiej linii kolejowej – duże przedsięwzięcie * – lecz nie ma jeszcze ostatecznych decyzji. Proszę nic mu na razie o tym nie wspominać; To człowiek uczciwy, odpowiedzialny, tylko staroświecki. Córka mówi, że hrabina to piękność, ale jest w wielkich kłopotach finansowych. Opowie panu o tym. Widzę, że przestał pan nosić chałat.

– Tak, uczę się.

– Dobrze pan robi. Kiedy zobaczyłem pana po raz pierwszy, odgadłem, że jest pan rozsądnym młodzieńcem. Gdzie się pan ukrywał cały ten czas? Powiedziałem kiedyś, że gotów jestem panu pomóc.

– Bardzo dziękuję, ale wiem, że nie ma pan czasu.

– To prawda. Człowiek nie żyje tylko dla siebie. Proszę; mnie odwiedzić. Poświęcam trzy kwadransy dziennie na spacer. W biurze człowiek czuje się uwięziony. Tego lata zamierzam wybrać się do Karlsbadu. Mam willę i majątność nad Wisłą. Niedługo rodzina moja tam się przeprowadzi. Słyszałem, że zmarła pańska teściowa.

– Tak, już dość dawno.

Wiem. Wysłałem teściowi kondolencje. Co zamierza pan robić dalej?

– Mam nadzieję zdać maturę i studiować medycynę.

– Dlaczego medycynę?

– Sam nie wiem.

– No cóż, lekarze też są potrzebni. Żydzi lubią się leczyć. Żyd raczej obejdzie się bez posiłku, aby tylko kupić lekarstwo. Oni są faktycznie chorowici. Zwłaszcza panuje wśród nich cukrzyca, no i suchoty. Gdzie się pan uczy?

- Prywatnie, u nauczycieli.
- Mogę panu pomóc. Główny inspektor całego średniego szkolnictwa w Polsce pod zaborem rosyjskim to mój przyjaciel. Na ogół nie uznaję protekcji, wierzę w możliwość odnoszenia sukcesów własnymi siłami. Ale w każdej regule są wyjątki. Czy jest pan w złych stosunkach z teściem?
- Nie, nie jesteśmy poróżnieni.
- Nie rozgniewał się, że zjął pan chałat?
- Jest rad, iż nie obciąłem brody.
- Więc kompromis, rozumiem. Co robi pan dziś wieczorem?
- Nic specjalnego.
- Dlaczego zatem nie miałby pan ze mną pójść? Zatrzymam się w biurze nie więcej jak pół godziny. Zapraszam na kolację. Będzie i moja cófka, opowie panu o szwa- gierce, a pan powie mi o swojej nauce. Chciałbym komuś pomóc. Dlaczego tym kimś nie miałby być pan? Ze względu na teścia, no i naturalnie pana samego.
- Nie wiem, jak mam dziękować, ale...
- Jakie "ale"?
- Nie jestem odpowiednio ubrany.
- Jest pan wystarczająco dobrze ubrany. Czysto, a to najważniejsze. Czego można oczekiwać od uczącego się młodzieńca? Chodźmy! Nie będzie pan musiał jeść wieprzowiny. Zresztą, nie jest pan aż tak religijny, prawda? Bóg nie dba o to> co człowiek je, żąda tylko miłości bliźniego. Czyż nie mam racji? – I pan Wallenberg, dla poparcia swych słów, zacytował po hebrajsku z akcentem polskim: "Będiesz miłował bliźniego swego jak siebie samego",...

Któż mógłby przewidzieć, że tego jeszcze dnia Azriel będzie jechał kareta? Przez jej okno spoglądał na Warszawę. Z lewej strony mijali Ogród Saski, w którym stał obelisk podobny do ogromnego palca wzniesionego ku nie- A bu. Wkrótce kareta skręciła w Krakowskie Przedmieście. || Z oddali wynurzył się pomnik króla Zygmunta i zamek, o stamtąd zamiast króla polskiego sprawował rządy rosyjski J generał-gubernator. Minęli ulicę Berga *, nazwaną tak na Jj cześć namiestnika, który przyczynił się do poskromienia 71 kraju. Historia Polski pi zemą wiała z każdego kamienia JS i każdej cegły, lecz wszys'kie szyldy i tablice z nazwami | ulic miały napisy w języku rosyjskim. Na trotuarach pano-M wał tłok. Koleina, między pojazdami, furgonami i dorożka- 2 § mi, przejeżdżał omnibus konny, kursujący z Dworca Wiedeńskiego na Pragę. Kareta wjechała do bogatszej dzielnicy miasta. Im dalej jechali, tym niższe były domy, tym dalej ód siebie stały. Za Alejami Jerozolimskimi wznosiły się wille w ogrodach, a nawet w sadach owocowych. Wiele szlachty polskiej z Litwy, straciwszy tam po powstaniu styczniowym majątki, zamieszkało w tej dzielnicy. Willa pana Wallenberga, otoczona ogrodem, znajdowała się w pobliżu ulicy Hożej. Stróż otworzył bramę, a chłopak stajenny 8 w liberii wybiegł zająć się końmi. Służący otworzył fron- l1 towe drzwi, ukłonił się i odebrał kapelusz z rąk gościa. Przepych urządzenia oszołomił Azriela. Parkiety lśniły, na ścianach wisiały obrazy w rzeźbionych i złoconych ramach. Kryształowe wisioriki zdobiące lampy mieniły się barwami tęczy. W kamiennych donicach rosły palmy, drzewka figowe i przeróżne rośliny egzotyczne. Podłogi

* Obecnie ulica Traugutta (przy. red.).

zaścielały grube dywany. Pan Wallenberg wprowadził Azriela do salonu i przedstawił siwowłosej damie oraz kilku młodym mężczyznom i paniom. Azriel pocałował podeszłą damę w rękę i ukłonił się pozostałym.

– To jest zięć Kalmana Jakobiego – powiedział Wallenberg głębokim, dźwięcznym głosem. – Wyobraźcie sobie, spotkałem go w Ogrodzie Saskim i poznałem. Oto moja córka, Justyna, która pisała do pana..<

Justyna Malewska była drobna i ciemnowłosa, z wy*glądu przypominała nieco kobiety z japońskich rycin. Włosy miała zaczesane do góry, co sprawiało wrażenie peruki. Błyszczące oczy patrzyły bystro i wesoło. Na szyi połyskiwały perły, a w uszach skrzyły się brylanty. Wyciągnęła delikatną dłoń o smukłych palcach pokrytych pierścion- • kami. Spojrzała na Azriela z żartobliwą poufałością.

~ Czy to nie dziwny traf? Piszę do pana list, a ojciec spotyka pana w parku. Znajomość z pańską szwagierką, hrabiną, też była dziełem przypadku. Później wrócę do szczegółów. Jedno mogę od razu powiedzieć – jest bardzo nieszczęśliwa.

– Dlaczego?

– Z tysiąca powodów. Hrabia to zupełny szaleniec. Kolonia polska przyjęła go jak bohatera, ale wszystkich do siebie zraził. Przestaje z różnego rodzaju szarlatanami i niebieskimi ptakami. Teraz wszystkie drzwi są przed nim zamknięte.

Pani Malewska zawahała się poruszając wachlarzem.

– Będę z panem szczerą, on pije i to nałogowo.

– Ach tak...

– Wszyscy uwielbiają hrabinę, ale z powodu męża i ją przestano zapraszać do siebie. Przy tym nie jest zdrowa.

Miała ciężki poród, była bliska śmierci. Obawiam się o jej stan zdrowia.

– A jak się ma dziecko?

t– Aniołek!

Drzwi się otworzyły i pokojówka oznajmiła, że kolacja na stole. Azriel zauważył, że mężczyźni podają paniom 14–'Dwór

209

ramię. Nie wiedział, co robić. Pani Malewska uśmiechnęła się i wzięła go pod ramię.

– Nie ma pan nic przeciwko temu?

–Czuję się wielce zaszczycony – odpowiedział.

Posiłek trwał długo. Serwowano mięsa, jarzyny, kompoty. Pani Malewska dyskretnie wskazywała Azrielowi, jak ma się zachować. Siedział z serwetką wetkniętą między klapy marynarki, jadł potrawy, których nigdy przedtem nie kosztował (z talerzy ozdobionych wizerunkiem Napoleona) i pił wytrawne wino. Wszystko odbywało się zgodnie z etykietą, każdy gest był przemyślany. Azriel, zawstydzony brakiem obycia towarzyskiego, postanowił wszystko zapamiętać. Jego nieśmiałość powoli zniknęła. Wino wprawiło go w wesoły nastrój. Prowadził żartobliwą rozmowę z panią Malewską, która była ubawiona.

– Hrabina wyrażała się o panu bardzo pochlebnie. Czyż-, by była w panu zakochana? – droczyła się pani Malewska.

– Placzego akurat we mnie?

– Kto wie, co się dzieje w sercu kobiety? Później o tym pomówimy, byłoby jednak lepiej, gdyby ona wróciła do Polski.

– Z nim?

– Jakżeż on może wrócić? Zaraz by go aresztowano.

– Co robiłaby tu sama jedna?

– Nie wiem Czy jest jakaś nadzieja na pojednanie z ojcem?

– Żadnej.

– Byłam u niej w domu. W życiu nie spotkałam hrabiny, która cierpiałaby większą nędzę. Nie muszę panu mówić, że we Francji nie brakuje zubożałej arystokracji polskiej a nawet francuskiej. Tutaj, w Polsce, jeden z Potockich pracuje na Dworcu Wiedeńskim. Jest kasjerem czy konduktorem. Świat nie jest wieżą z kości "słoniowej. Człowiek nie może uciec przed rzeczywistością, choćby bardzo tego pragnął.

Azriel sądził, że pan Wallenberg jako przechrzta będzie unikał wszelkich rozmów o Żydach, lecz on rozprawiał na te tematy zarówno przy stole, jak potem w salonie. Widać było, że dobrze się orientuje w sprawach żydowskich. Żydzi w zachodniej Europie, mówił, przejęli obyczaje kraju swego zamieszkania, ale polscy Żydzi pozostali plemieniem Azjatów. Zachodnioeuropejscy Żydzi umierając zostawiali w testamencie klauzule na potrzeby swojej społeczności – takie jak Dom Sierot Auerbacha w Berlinie, Seminarium Izraelickie Frankla we Wrocławiu, legaty Oppenheimera i Magnusa Levy'ego. Żydzi zamieszkali w Anglii i Stanach Zjednoczonych dawali ogromne pieniądze na domy i zakłady dla sierot i biednych dzieci, gdzie uczono je rzemiosła, przeznaczali fundusze dla szkół, szpitali i seminariów rabinackich! A co mają warszawscy Żydzi? Brudny szpital i nędzną garkuchnię, gdzie się wydaje talerz zupy. Jeśli zaś chodzi o chasydów, nie ma w ogóle sensu o nich mówić. To dzicy Beduini. A jak się zachowuje postępowy Żyd w Polsce? Żyje tylko dla siebie. Nie czuje się odpowiedzialny wobec swojej społeczności. Jego córki uczą się francuskiej konwersacji i brzdąkania na fortepianie. Żydówka w Polsce opływa w zbytku, nawet jeśli jej mąż

stoi u progu bankructwa. Przeciwnieństwem tego, ciągnął Wallenberg, jest Adolf Kremier, sefardyjski Żyd z Ameryki, który objął stanowisko konsula generalnego w Rumunii, aby pomagać Żydom tego kraju. Mówił o finansistach żydowskich, bojkotujących Rumunię z powodu prześladowania ich rodaków w tym kraju, o paryskim Rothschildzie, który pożyczył rządowi francuskiemu dwieście milionów franków na spłacenie odszkodowań wojennych Prusom, i o dwóch córkach londyńskiego Rothschilda, Annie i Florze, zaangażowanych w opracowanie historii narodu żydowskiego. Czy to się da porównać z dokonaniem polskich Żydów?

Azriel spostrzegł, że Wallenberg rozprawiając o tych sprawach tak się emocjonował, jakby wciąż jeszcze był Żydem. Mówił głosem donośnym. Uderzywszy pięścią w stolik, obok którego siedział, omal nie rozbił stojącego na nim wazonu. Bokobrody już całkiem mu posiwiały. Policzki miał czerwone. Brzuch niemal mu się wymykał spod kamizelki, szyję opancerzał wysoki, sztywny kołnierzyk.

Czarne oczy płonęły gniewem, a następnie zmieniały wyraz i napełniały się typową dla Żydów troską o całą ludzkość;" troską, której żadna święcona woda nie może zmyć. Pani Wallenberg, milcząca i pełna macierzyńskiego ciepła, spoglądała na męża potrząsając siwą koafiurą, jakby przytakiwała odwiecznym prawdom, które się oparły wszelkim próbom.

Zięciowie-chrześcijanie słuchali w milczeniu. Syn i córki prowadzili dyskusję w drugim końcu salonu. Azriel usłyszał, że rozmawiają o obuwiu. Po pewnym czasie Wallenberg i Azriel pozostali sami. Przez chwilę pan domu się nie odzywał. Wypił szybko kawę, która już zdążyła wystygnąć.

- Chce więc pan zostać lekarzem? – odezwał się wreszcie.
 - Tak.
 - Mogę o coś zapytać?
 - Oczywiście, proszę bardzo.
 - Czy jest pan wierzący?
- Aziel nie wiedział, co odpowiedzieć. -
- Nie w sensie ogólnie przyjętym.
 - Więc w jakim sensie?
 - Musi istnieć jakaś wyższa siła.
 - Czy wierzy pan, że ta wyższa siła objawiła się Mojżeszowi na górze Synaj i dała Żydom Torę i Talmud i wszystkie komentarze, jakie rabinami będą nadal objaśniać do końca świata?
 - Nie, nie jestem wierzącym do tego stopnia.
 - Jeśli tak, to po co jest pań nadal Żydem? Rozmawiam z panem szczerze, bez względu na to, kim chce pan zostać – lekarzem, inżynierem czy bankierem – niełatwo osiągnąć ten cel Żydomi. Wspominałem o zachodnioeuropejskich Żydach. Są oni autentycznymi patriotami. Wiele żydowskiej młodzieży zginęło zarówno za Prusy, jak i za Francję. Sporo otrzymało krzyże zasługi. Podczas wojny doszło do tego, że pruscy Żydzi musieli wystąpić ze Związku Izraelickiego. Nie można uczestniczyć w wojnie i jednocześnie należeć do związku. Ostatnio odbyła się we Francji rozprawa przeciwko nieuczciwej firmie żydowskiej i prasa prawicowa natychmiast rozpoczęła agitację. Domagano się, żeby Żydzi znów włożyli żółte czapki i wrócili do getta. W czasie wojny omal nie wypędzono Żydów z Metz. Pan zapewne nie czyta gazet, ale ja to robię. Wszystko czytam. Za każdego Żyda, który dostaje medal, setki innych dostaje baty. Nasza polska prasa była jak dotąd zupełnie przyzwoita, ostatnio jednak

ukazał się gniewny artykuł w "Gazecie Polskiej", protestujący przeciwko Żydom, którzy przychodzą na koncerty do Doliny Szwajcarskiej w długich chałatach, szwargocą po żydowsku i nie używają chustek do nosa. Różnica między Żydami i chrześcijanami jest taka, że chrześcijanin, wycierający nos w palce, nie uczęszcza na koncerty, Żyd zaś robi i jedno, i drugie. Czy może pan przewidzieć, czym to się skończy?

– Nie można wymagać, aby wszyscy Żydzi w Polsce mieli ogładę towarzyską.

– To prawda, lecz mniejszość narodowa zawsze spotyka się z naganą, zwłaszcza mniejszość o aspiracjach społecznych. Był czas, kiedy wierzyłem, że jeśli Żydzi zdejmą chałaty i nauczą się języka kraju, który zamieszkują, wszystko będzie dobrze. Teraz widzę, że tak nie jest. Współczesny Żyd stał się bezwzględny rywalem dla reszty ludzi. W ciągu dwóch tysiącleci Żydzi nagromadzili zasób umiejętności, jakiego nie posiada żaden inny naród.

– Co więc powinni zrobić z tymi umiejętnościami? Odrzucić je?

– Nie, ale...

Justyna Malewska przyłączyła się do nich.

– Ojczy, nie chciałabym przerywać, ale muszę porozmawiać z panem Babadem o jego szwagierce. Słyszałam, że tata rozmawia o różnych rzeczach, a mnie chodzi o żywą osobę. | / y ~ śifipil^^^B^MB^^H

– Tak córko, pomów z nim. To inteligentny młodzieniec.

— Proszę iść ze mną. Przejdziemy do innego pokoju.

Aziel przeprosił gospodarza. Justyna zaprowadziła go do

mniejszego salonu czy też bawialni. Azriel nie wiedział, jak go nazwać. Stał tam zegar podtrzymywany przez satory, na ścianach pokrytych żółtym jedwabiem wisiały lustra. Justyna zaczęła opowiadać, w jakich okolicznościach doszło do spotkania z hrabiną, jak nazywała Miriam-Libę. Mówiła o dziesięciu rzeczach naraz: o swoich powiązaniach z kolonią polską, o spotkaniach z jej przywódcami, pisarzami, arystokracją, o tym, jak ją przyjmowano w paryskich salonach. Następnie przeszła do tematu rozpaczliwej nędzy panującej wśród kolonii polskiej, żebraniny uchodźców, która dochodziła do szczytu poniżenia. Polacy "pożyczyli" od niej prawie wszystko do ostatniego franka i z trudem starczyło jej pieniędzy na powrót do domu. Lucjan to pijak, niebieski ptak, żebrak, wszystko to w jednej osobie. Jada w tanich garkuchniach. Wciąż grozi, że wstąpi do Legii Cudzoziemskiej, do której najprawdopodobniej nawet by go nie przyjęto. Hrabina głoduje. Justyna przerwała na chwilę, krtań jej się poruszała, jakby chciała coś przełknąć.

– Wiem, że to, co powiem, wstrząśnie panem, jest pan jednak teraz jedyną bliską jej osobą.

– Co takiego?

– Została praczką, aby nie umrzeć z głodu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

I

W Paryżu Jampolscy zamieszkali w jednym pokoju w zaułku dzielnicy Belleville. Była to ulica stajni, piekarni i pralni. Kręcone schody prowadziły na poddasze czwartego piętra, gdzie zajmowali pokój o ściętym suficie i małą kuchenkę, w której stałym rekwizytem była ogromna balia. Dobrze się złożyło, że mieszkali na poddaszu obok strychu, gdzie było dość miejsca na

wieszanie bielizny. Na niższych piętrach mieszkali robotnicy fabryczni, stary kawalerzysta, rentier i prostytutka. Chłopcy, którzy mieli klatki z gołębiami, kierowali ptactwem z dachu, posługując się długimi tyczkami. Na zamożniejszych ulicach brało się wodę z kranów, tutaj stróż wciąż jeszcze nosił na górę wiadra wody z pompy. Wieczorem mieszkańcy wynosili do furgonów kubły z odpadkami i trzeba było zatykać nos z powodu smrodu. Niechlujnie ubrane kobiety plotkowały wychylając się z okien, a ulice i podwórka roiły się od psów, dzieci i żebraków. Podczas oblężenia Paryża zjedzono nie tylko wszystkie okoliczne koty, lecz i myszy. W dniach Komuny dzielnica ta była widownią tłumnych zebrań i demonstracji. Stąd wyszły zbuntowane kobiety z pochodniami, aby spalić Paryż. Ulica szczyciła się tym, że wśród jej mieszkańców były wdowy wojenne, a wielu mężczyzn zesłano na Wyspę Diabelską. W okolicy mieszkało niewielu Polaków, toteż Miriam-Liba szybko nauczyła się mówić po francusku. Jej pożycie z Lucjanem od początku układało się źle. Lu-

Ü1

cjan szybko roztfwonił dwa tysiące rubli, które otrzymał w Warszawie za biżuterię po matce. Co wieczór wracał do domu i złorzeczył przywódcom kolonii polskiej, uważał ich za zdrajców, którzy wciągnęli ojczyznę w beznadziejne powstanie, zarzucał haniebną działalność sprzedajnej Polskiej Akademii Wojskowej w Genewie, złodziejstwa zdarzające się przy rozdziale pomocy rzeczowej dla emigrantów i krytykował wykorzystywanie kłótni między frakcjami dla zaspokojenia osobistych ambicji. Wrogość swą wyrażał ustawicznie i bez ogródek, co odizolowało go całkowicie od kolonii polskiej. Zatrudniono go w fabryce mebli, lecz wkrótce pokłócił się ze swym pracodawcą. Próbował innych zajęć, jednak

nigdzie nie utrzymał się dłużej jak parę tygodni. Francuzi nie byli nałogowymi pijakami, Lucjan natomiast każdego wieczoru wracał do domu podпиты. Miriam- -Liba nie raz i nie dwa zaznała głodu w czasie ciąży. Lucjan po kłótni z nią zniknął z domu na kilka dni, a gdy wracał, był obdarty i brudny. Znalazła się w tak ciężkim położeniu, że jadła w taniej koszernej garkuchni, zorganizowanej po wojnie dla biednych Żydów przez Związek Izraelicki. Sąsiadka Miriam-Liby praczka, poradziła jej zająć się praniem bielizny dla nieżonatych mężczyzn i dała parę adresów. prostytutka z drugiego piętra doradzała zajęcie bardziej intratne.

Po opuszczeniu rodzinnego domu razem z Lucjanem w ów wieczór Purim, Miriam-Liba zakosztowała zaledwie kilku szczęśliwych tygodni w czasie podróży do Prus i stamtąd dalej przez Niemcy. Zatrzymali się w Dreźnie, Lipsku i Frankfurcie. Spędzili też trochę czasu we Wrocławiu. Polacy witali Lucjana jak bohatera, zapraszali go wraz z młodą żoną do swych domów, urządzali przyjęcia w kawiarniach, śpiewali patriotyczne piosenki. Miriam-Liba poznała polską arystokrację, przywódców politycznych, oficerów, a nawet pisarzy. W Paryżu mieszkali przez pewien czas w hotelu. Odbyli podróż do Deauville. Jakaż to była przyjemność stać na piasku w ciepłe przedpołudnie i przyglądać się spienionym i grzywiastym falom, wpatrywać się w białe żaglowce płynące po morzu, słuchać krzyku mew, poznawać bogatych Francuzów, Anglików, Niemców, | nawet Turków i Hindusów, którzy przyjeżdżali, aby się kąpać w morzu i uprawiać hazard w kasynie.

Lucjan był w dobrym nastroju w owych czasach. Miriam-Liba czuła się jak na wakacjach, które się nigdy nie skończą. W Paryżu rozbrzmiewała muzyka, wszyscy śpiewali. Wojna 1870 roku minęła jak zły sen, paryżanie

opłakiwali poległych i świętowali rocznice. Pokazywali, Miriam- -Libie miejsca barykad, gmachy spalone przez komunar- dów, szczątki Bastylli, ulice, przy których mieszkali artyści, prostytutki, anarchiści i apasze. Odnosiła wrażenie, że Francja ustawicznie obchodzi święto Purim, Wciąż się widziało ludzi przebranych w kostiumy, rozśpiewanych i rozbawionych. Na trotuarach ustawiano stoliki, uliczni muzykanci grali na różnych instrumentach, ludzie tańczyli, pociągali wino z butelek i zajadali długie chrupiące bułki. Na podwórkach produkowali się sztukmistrze z papugami i małpkami. Nawet oficerowie w kapeluszach z galonami, żołnierze w czerwonych spodniach i policjanci ubrani w peleryny – wszyscy zdawali się stanowić część maskarady. Wszędzie widziało się kawiarenki na świeżym powietrzu, teatry, dobroczynne loterie fantowe, parady wojskowe, wystawy książek, obrazów, rzeźb, antyków. Tutaj spotykało się Murzyna, tam kogoś w turbanie, tu szedł olbrzym, tam znów karzeł. Za parę centymów można było zająć miejsce na górnej platformie konnego omnibusu i oglądać damy w powozach, słynne pałace, bulwary, mosty, kościoły, pomniki. Miriam-Liba zapamiętała nazwy pewnych ulic, o których czytała w powieściach.

Wraz z wyczerpaniem się zasobów pieniężnych skończył się jednak i dobry humor Lucjana. Nie odzywał się całymi dniami. Kiedy wychodził, Miriam-Liba nigdy nie wiedziała, dokąd poszedł. Gotowała posiłki, a on nie wracał do domu i jedzenie się marnowało. Kłócił się I nią i przeklinał, potem na kolanach błagał o przebaczenie. Najpierw zasypywał ją pocałunkami, potem bił. W łóżku, chełpiąc się minionymi podbojami, stawiał perwersyjne żądania, Miriam-Liba przeszła przez ciężki okres ciąży. Musiała pra-

m

cować aż do dnia porodu. Byli w takiej nędzy, że za radą sąsiadki zaczęła kupować końskie mięso. Cierpiała na bóle i zawroty głowy, kurcze żołądka. Była pewna śmierci przy porodzie. Wprawdzie co niedziela chodziła do kościoła i żarliwie czytała historie chrześcijańskich męczenników, wymykała się ukradkiem do synagogi i dawała szamesowi pół franka, aby pomodlił się za nią i zapalił świecę za zbawienie jej duszy.

II

Ze wszystkich udręk, na jakie była narażona w Paryżu, najgorszy dla Miriam-Liby był brud. W żaden sposób nie mogła dać sobie rady z utrzymaniem mieszkania w czystości. Od dziecka była przyzwyczajona do porządku, do starannie pościanego łóżka, układania wszystkich rzeczy na swoim miejscu, pożyczyc zaś z Lucjanem zmieniło ją w osobę niechlujną. W kuchni roiło się od karaluchów. Przez dziurę w dachu przeciekał deszcz. Piec dymił. Pod podłogą gnieździły się myszy. Na nic się nie zdało ciągle zamiatanie. Lucjan, miał zwyczaj rzucania różnych śmieci na podłogę, utykał po kątach brudne skarpety i chusteczki, rozrzucał wszędzie gazety, pisma i notatniki, których nie pozwalał wyrzucić. Przyzwyczaił się kłaść w ubraniu na łóżko i palić papierosy jeden po drugim, mając wszystko w nosie. Wychodek na podwórzu był plugawy, trzymali więc nocnik w mieszkaniu. Dzieci sąsiadów sikały na schodach. Kiedy zrezygnowana Miriam-Liba zdecydowała się przyjmować pranie, balie brudnej bielizny zastawiały kuchnię. Na płycie kuchennej gotowały się kotły pełne koszul i innej bielizny. Rozchodził się wtedy zapach mydła, ługu, sody i farbki.

Wieczorem, gdy gasiła już lampę, sąsiedzi tak hałasowali, że nie mogła zasnąć. Później, po narodzinach synka Władzia, ciasne mieszkanie wypełniło się pieluchami, powijkami, butelkami, smoczkami. Mieszkali w dzielnicy Paryża trapionej przez myszy, pluskwy, pchły, muchy i prusaki, których nie dało się wytępić. Koty, pułapki na myszy, lepy na mucky i odpadki wydzielaly obrzydliwy odór. W sobotni wieczór Miriam-Liba grzała kocioł wody, kąpała się i myła głowę, Lucjan natomiast codziennie rano zanurzał tylko palce w misce z wodą i pocierał nimi twarz.

Kłamstwa Lucjana martwiły Miriam-Libę w równym stopniu jak i jego brak dbałości o czystość osobistą. Albo zachowywał milczenie niczym pustelnik, albo kłamał. Nie mógł zdobyć się na prawdomówność, nawet jeśli chodziło o miejsce zakupu bochenka chleba. Ilekroć dostawał gdzieś pracę, nie ujawniał wysokości swych zarobków. Mówił, że spotkał sąsiada na ulicy, kiedy w rzeczywistości ów człowiek leżał chory w łóżku. Chętnie się tanim zakupem, a tymczasem przepłacił na rynku. Po powrocie do domu przechwalał się, że pomógł schwytać złodzieja lub ugasić pożar bądź też uratował dziewczynę od samobójstwa. Chociaż Polacy w Paryżu już dawno zerwali wszelkie z nim kontakty, plótł koszałki-opałki o spotkaniach z politykami, o związkach z przywódcami ruchów niepodległościowych w Austrii, na Śląsku i w zaborze rosyjskim lub opowiadał o jakichś konspiracyjnych planach wyzwolenia Polski. W kolonii polskiej we Francji, jak mówił, byli sami zdrajcy, natomiast gdzie indziej Lucjan znalazł patriotów gotowych poświęcić życie dla wyzwolenia ojczyzny. Obietnice pomocy nadeszły od Garibaldiego, sułtana, prezydenta Hayesa i Bakunina, rewolucjonisty

rosyjskiego ożenionego z Polką. W szeregach patriotów znajdował się poeta Odyniec, przyjaciel Mickiewicza, pisarz Ujejski, niejaka pani Kuczkowska, dawna hrabina Skarbek mająca wpływy w Rzymie, a zwłaszcza w Watykanie, hrabina Walewska, stary wojak generał Kołaczkowski... W końcu Miriam-Liba uświadomiła sobie, że Lucjan wymienia nazwiska osób już nieżyjących. Dawał nawet do zrozumienia, że doktor Zawadzki, który poślubił jego siostrę Felicję, jest delegatem tajnej organizacji i że to on, Lucjan, wysłał go do Polski w misji politycznej.

Zamiast podjąć stałą pracę i zarabiać na chleb dla rodziny, Lucjan spędzał czas na czytaniu czasopism, wycinaniu ogłoszeń z gazet i pisaniu listów, na które rzadko otrzymywał odpowiedzi. Miriam-Liba sprzedała bransolety chcąc umożliwić Lucjanowi podróż do Londynu i odwiedzenie brata Józefa. Burza rozpętała się na kanale La Manche, statek omal nie zatonął. Lucjan spędził ponad miesiąc w Londynie. Powrócił wychudzony, rozczarowany Józefem, który stał się mieszcuchem, tępym pozytywistą i wielbicielem Żyda Disraelego. Lucjan wciąż sam sobie przfeczył. Utrzymywał, że Polska jest zgubiona, lecz wyzwolenie już bliskie, że jest zarówno republikaninem, jak i rojalistą. Głosił, że najgorszym wrogiem Polski jest Rosja, a potem wysuwał projekt pansławizmu – zjednoczenia wszystkich narodów słowiańskich celem stawienia czoła zachodnioeuropejskiej dekadencji. Wciąż chorował, najpierw zapadł na bronchit, potem miał wrzód w uchu. Przez jakiś okres był przekonany, że się nabawił syfilisu, chociaż uroczyście przysięgał, że nie zbliżył się do żadnej kobiety. Niemowlę marudziło w nocy i Miriam-Liba nosiła je w beciku, śpiewając kołysanki, dopóki nie

usnęło. Kiedy jednak kładła je z powrotem do kołyski, zaczynało znów płakać.

– Wyrzuć bękarta raz na zawsze! – wołał Lucjan.

Miriam-Liba wybuchwała płaczem.

– Co jeszcze chciałbyś, żebym zrobiła?

Nauczyła się wrzeszczeć i kłać. Kiedy do mieszkającej naprzeciwko prostytutki przychodzili mężczyźni, nie uciekała już od okna. Nauczyła się targować z handlarkami na rynku o cenę pomidorów, główki kapusty czy kalafiora. Wprawdzie Lucjan i Miriam-Liba starali się ukryć swą przynależność do arystokracji, ulica szybko to odkryła. Listonosz odczytał tytuł hrabiowski na kopercie. Sąsiedzi, sklepikarze, przekupki w stoiskach z owocami i warzywami zaczęli z lekką drwiną zwracać się do Miriam-Liby per “pani hrabino”. Jaka z niej hrabina? Mówiła po francusku? językiem pospólstwa. Brała bieliznę do prania. Wykryto jej żydowskie pochodzenie. Hrabia, jej mąż, wyklócał się z ulicznikami i uczniaikami. Sam brudny, domagał się czystości i ciszy w tym ciasnym zaułku.

Teraz, już chyba po raz setny, Lucjan opuścił dom.

Pod-

czas jego kilkudniowej nieobecności Miriam-Libie udało się powoli zaprowadzić porządek w mieszkaniu. Nawet Władzio zachowywał się spokojniej. Wyżymając niebieską koszulę jakiegoś klienta, Miriam-Liba nachyliła się nad balią i wyjrzała przez okienko na facjatce. Widziała przez nie spory fragment Paryża: kominy, gołębniki, okna poddaszy, ptaki, wieże kościołów. Promienie słońca odbijały się złotem lub srebrem w szybach okiennych. Skrzydła przelatujących gołębi zabarwiały się ognistą czerwienią. Z dołu docierały krzyki, kłaśnięcia, śpiewy, dźwięki muzyki, gwizdanie. Żłocista mgła unosiła się nad miastem pełnym barw i

ruchu. Miriam-Liba straciła wszystko, co miała, nie pragnęła jednak wrócić do Jampola. Matka nie żyła. Wszystko inne stało się tak odległe i nierealne jak sen.

Nad kanapą wisało lustro. Miriam-Liba przyjrzała się swemu odbiciu. Troski nie przydały jej lat. Spoglądała na nią młoda twarz o zmęczonych oczach, bladych ustach i jasnych włosach, którym słońce nadało złocistą barwę. Była wyniszczona pracą, lecz wciąż ładna. Pomyślała przez chwilę, że gdyby doszło do najgorszego, zawsze będzie mogła pójść w ślady panny Meyar z drugiego piętra.

ni

Wallenberg dobrze wiedział, że jako przechrzta nie może omawiać z pobożnym Żydem spraw jego córki, która odstąpiła od wiary, nie wspomniał więc Kalmanowi o Marii Jampolskiej. Mimo to postanowił pomóc jej w powrocie do Polski. Jego ulubiona córka, Justyna Malewska, wciąż przypominała ojcu o nieszczęsnej hrabinie.

*

Nareszcie otrzymał audiencję u generał-gubernatora i jakoś wyprosił amnestię dla hrabiego Lucjana Jampolskiego. Przewinienie zdarzyło się już dawno, przy tym popełnił je młody człowiek, który nie potrafił odróżnić tego, co słuszne, od tego, co złe. Ponadto w Polsce panował spokój, zesłana na wygnanie szlachta wracała teraz tłumnie i osiedlała się na roli. W literaturze i prasie polskiej górował politywizm. Po upadku Napoleona III Polacy stracili całą nadzieję i nawet wśród polskiego wychodźstwa we Francji zapanowała głucha cisza. Co złego mógł wyrządzić potężnemu imperium rosyjskiemu jakiś Lucjan Jampolski? ■

Dekret o amnestii dla Lucjana został oficjalnie wysłany do rosyjskiego ambasadora w Paryżu. W kilka dni później konsul przysłał Lucjanowi odpowiednie pismo. Pani Malewska napisała o tym osobny list do Miriam-Liby, załączając do niego paręset franków na opłacenie podróży do kraju.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

I

Owego roku zima zawitała do Warszawy wcześniej. Już nazajutrz po Świącie Szałasów spadł obfity śnieg.

Mieszkanie w oficynie przy ulicy Oboźnej, gdzie obecnie zamieszkała Miriam-Liba, było zawsze ciemne. Władzio chorował. Przyszedł felczer i wypędził go gardło.

Chłopczyk, z szyją okręconą pończochą napełnioną gorącą solą, siedział w łóżku i bawił się żołnierzykami, wśród których był ołowiany Napoleon jadący na koniu. Władzio miał trzy lata i cztery miesiące, posługiwał się mieszaniną francuskiego i polskiego. Miał cerę tak jasną jak Miriam-Liba i jej złociste włosy, a nos zadarty jak Lucjan. Niebieskie oczy pociemniały mu nagle od gniewu. Nie chciał siedzieć w łóżku z gorącą pończochą wokół szyi. Był za mały, aby pamiętać paryską zimę, przypominał sobie tylko dni pełne światła, błękit nieba, gołębie, szczenięta, kotki, otwarte drzwi, przez które wchodziły i wychodziły dzieci. Tamto miejsce zwało się Paryżem. Tutaj, w tym nowym, zwanym Warszawą, padał śnieg, niebo było szare, drzwi zawsze zamknięte, dął wiatr i brzęczały szyby. Władzio wciąż ustawiał żołnierzyki w szereg i przewracał je nogą. Zaczął płakać.

– Co się stało, mój aniołku? Czy boli gardziółko? – zapytała matka.

Nie, to nie o to mu chodziło. Władzio chciał wrócić do Paryża.

– Dlaczego do Paryża? Jesteś teraz w domu. To Polska, twoja ojczyzna. Władzio zaczął przeraźliwie krzyczeć ze złości. – Niedługo, kochasiu, niedługo pojedziemy. Uspokój się,' a ja ci zagram na organkach.

Mimo że mu grała, dziecko zachowywało się niespokojnie. Wyjęła z puszki po herbacife kilka francuskich monet i dała synkowi. Płakał nadal, aż zmęczony usnął. Miriam- -Liba nie mogła powrócić do swych zajęć, siedziała przyglądając mu się ze smutkiem. Podczas snu poruszał wargami, jakby ssał. Od czasu do czasu marszczył czoło, widać jakieś smutne myśli go nawiedzały, i drobną piąstką pocierał nosek. Tak wiele już wycierpiał. Przeszedł szkarlatynę i odrę, zęby też z trudem mu się wyrzynały. Czyż nie dość, że ona musi tak się borykać z losem? Po co wydała drugą istotę ludzką na ten nieszczęsny świat? Widocznie taka była wola boża. Często czytała Biblię oprawną w jed' wab, zawierającą Nowy i Stary Testament, przysłaną przez ciotkę Lucjana, Eugenię. Jej ulubioną opowieścią była historia o Hiobie, jego cierpieniach i o tym, jak oskarżał o wszystko Boga. Jśś się stało, pomyślała sobie, że wcześniej nie czytała książek religijnych. Gdyby je poznała, wybrałaby raczej drogę Chrystusową, a nie Lucjana, który ją znieważa. Teraz już za późno, by nawet myśleć o wstąpieniu do klasztoru,

Pora była zająć się obiadem, weszła więc do kuchni, aby rozpałić ogień. Pochyliła się, wzięła parę smolnych szcza-pek na podpałkę i polała je naftą. Dopiero jak się zajęły mocnym płomieniem, wsypała szufelkę koksu zmieszanego z węglem. Węgiel był zbyt drogi, aby go używać samego na opał. Pod płytą kuchenną prawie natychmiast zaczęło się dymić z powodu wady przewodu kominowego, Kiedy dał wiatr, dym wracał do kuchni, Już

kilka razy Miriam- -Liba zawiadamiała o tym gospodarza, który obiecywał, że każe usunąć wadę, ale gospodarze nigdy nie dotrzymują przyrzeczeń. Stróż zapewniał, że przyjdzie kominiarz i przeczyści komin* lecz żaden się nie zjawił. Miriam-Liba zamknęła drzwi od pokoju, aby nie wpuścić dymu do Władzia. Zaczęła kaszleć- Jakżeż mogła zachować zdrowie wdychając tyle dymu i sadzy? I wciąż jest tak zimno. Otwo-rzyła szafkę kuchenną w poszukiwaniu czegoś na obiad. Znalazła w niej tylko kilka kartofli, torebkę ryżu i łut suszonych grzybów. Kawałek słoniny owiniętej w papier leżał na parapecie okiennym, ale nie było ani masła, ani mleka. Zanim przystąpiła do gotowania obiadu, musiała pozmywać naczynia z poprzedniego dnia. Wczoraj wieczorem czuła się zbyt wyczerpana, aby stać nad zlewem i zmywać naczynia. Skręciwszy wiechetek ze słomy wyjętej z siennika zaczęła szorować popiołem garnki.

“Nie, nigdy nie powinnam była wyjeżdżać z Francji – rozmyślała. – Władzio ma rację. Łatwiej jest być biednym tam niż tutaj.”

Bez -wątpienia była głupia. Powinna była wiedzieć, że Lucjan nie potrafi zagrzać miejsca w żadnej pracy. Wallenbergowie odnieśli się do nich jak do rodziny, dali jej w prezencie suknie i książki, wynajęli dla nich mieszkanie, umeblowali je i opłacili komorne za trzy miesiące z góry. Lucjanowi załatwili dość łatwą pracę. Otrzymał przyzwoite ubranie służbowe i zatrudnienie w biurze kolei, z pensją szesnastu rubli tygodniowo. Mógłby bez wysiłku dojść do stanowiska inspektora albo i wyżej, zaledwie jednak rozpoczął pracę, pokłócił się z jednym ze współpracowników, a nie upłynął tydzień, jak się upił i nazwał Wallenberga parszywym Żydem. Wallenberg okazał wspaniałomyślność i nie żądał niczego więcej jak

przeprosin oraz przyrzeczenia, że na przyszłość Lucjan zmieni zachowanie i przestanie się upijać. Mimo że Wallenberg postąpił jak prawdziwy chrześcijanin, Lucjan w dalszym ciągu znieważał wszystkich i wkrótce utracił posadę. Gdyby pani Malewska nie przyszła i nie zostawiła Miriam-Libie pięćdziesięciu rubli, w domu nie byłoby kromki chleba.

– Wariat! Szaleniec! – szepnęła.

Naraz, z jakiejś nie wyjaśnionej przyczyny, poczuła się lepiej i zaczęła śpiewać piosenkę paryskiej ulicy. Władzio rośnie, a gdy dojdzie do wieku szkolnego, najgorsze będzie miała za sobą. Zostanie guwernantką lub podobnie jak Mi-rele nauczy się fryzjerstwa. Ostatecznie nie jest stara, jesz-

15 – Dwór

225

C2e nie skończyła dwudziestu dwóch lat. Nagle zastygła w napięciu. Jaki to dzień miesiąca? Nie miała w terminie miesiączki. Nie, to nie może być ciąża!

II

Po powrocie do Warszawy Lucjan zaraz poszedł odwiedzić Kasię. Lecz Stachowa nie żyła, a sąsiadki powiedziały, że Kasię zabrał jej ojciec. Nie były jednak pewne, czy Antek mieszka na Woli czy też na Ochocie. Lucjan, po rozpoczęciu pracy u Wallenberga, nie miał czasu na dalsze poszukiwania. Tyle lat rozmyślał o niej, że aż dziwne mu się wydawało być w Warszawie i nie widzieć Kasi. Czy wciąż jest w niej zakochany? Nie, to, co do niej czuje, wykracza poza zwykłą miłość. Kasia ma teraz zaledwie piętnaście lat, a wtedy gdy żył z jej matką, była jeszcze dzieckiem. Zachwycała go jej niewolnicza uległość. Przywodziła na myśl czasy, gdy Słowianie czcili pogańskie bożki, składali im ofiary, utrzymywali

niewolników i nałożnice. Często wyobrażał sobie, że jest paszą lub maharadzą, zarówno symbolicznym, jak rzeczywistym ojcem swych poddanych. W czasie powstania, gdy krajowa prasa gloryfikowała walkę Lincolna o wyzwolenie Murzynów, Lucjan w skrytości ducha sprzyjał konfederatom. Dekret wyzwalający polskich chłopów wydał mu się niesłuszny. Podczas spotkań z emigracją często z uporem głosił, że wolność deprawuje pospólstwo. Motłoch musi służyć. Podobnie i ko-. biety, jeśli chcą być szczęśliwe, muszą mieć swych panów. Ruch sufrażystek, który przyszedł do Polski wraz z pozytywizmem, był dla niego oznaką narodowego upadku, i

Po kłótni z Wallenbergiem miał teraz dość czasu na odnowienie starej przyjaźni. Poszedł do Łysakowej, dawnej sąsiadki Stachowej, która mu powiedziała, że Kasia poszła podobno na służbę, nie wiedziała jednak do kogo. Łysakowa podała też nazwę cmentarza i kwaterę, gdzie był grób Stachowej, oraz adres browaru, w którym pracował brat Antka. Browar znajdował się na ulicy Żelaznej i Lucjan

bez trudu go odszukał. Dowiedział się, że Antek mieszka z kochanką na ulicy Freta. Poszedł pod wskazany adres i zastał kobietę samą w domu.

Wzięła go najpierw za agenta policji i zaprzeczyła jakimkolwiek związkom z Antkiem. Kiedy jednak Lucjan zapewnił, że jest dawnym przyjacielem Stachowej i właśnie powrócił z Francji, zmieniła zachowanie. Wytarła ścierką ławkę, zaprosiła, aby usiadł, i opowiedziała wszystko, co biedna Kasia musiała znieść podczas jego nieobecności. Pracowała jako służąca w wielu domach, z których kilka razy już uciekała. Ze względu na taką samowolę dziewczyny, ich dawna sąsiadka Łysakowa zgłosiła się sama do policji, prosząc o umieszczenie Kasi w domu dla

trudnych dziewcząt. Obecnie Kasia służy u starszej pary małżeńskiej, niejakich Wróblów, mieszkających na Furmańskiej. Kochanka Antka dodała, że mówi to wszystko Lucjanowi w zaufaniu, bo Antek nie chce, aby ktokolwiek wiedział, gdzie jest jego córka.

Otrzymawszy nareszcie potrzebną informację, Lucjan udał się na ulicę Furmańską. Wskazano mu dom pana Wróbla, budynek pokryty dachówką i chylący się ku ziemi. Gospodarz mieszkał tuż za bramą, na parterze. Lucjan zastukał i usłyszał głos Kasi:

- Kto tam?
- Czy jest pan Wróbel?
- Nie ma.
- A pani gospodyni?
- Nie ma nikogo.
- – Otwórz, Kasiu, to ja, Lucjan.

Usłyszał jej stłumiony okrzyk. Nie spuszczać łańcucha uchyliła drzwi i wtedy zobaczył jej twarz. Była to ta sama Kasia, tyle że starsza i piękniejsza. Włosy miała zaplecione ■ w warkocze, w szarych oczach czaił się lęk i zdziwienie. Odchyliła górną wargę ukazując białe, mocne zębki. . – Co to, Kasiu? Dlaczego mnie nie wpuszczasz?

- Stara nie pozwala.
- Czy myślisz, że coś ukradnę?.
- Ukarzą mnie.

W

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Drzwi się otworzyły i Lucjan przekroczył próg. Kasię bardzo wydorosłała, piersi miała jak dojrzała kobieta, ubra^{na} była w perkalową sukienkę, na gołych nogach dojrzał przydeptane kapcie.

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz.
- Boję się. – Kasia zaczęła drżeć.

- Czego?
- Przykazali mi, żeby nie otwierać drzwi nikomu. Stara mnie zabije.
- Czy mnie pamiętasz?
- Tak, pamiętam.
- Wszędzie ciebie szukałem. Pisałem do ciebie, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Czy na pewno mnie nie zapomniałaś?
- Na pewno.
- Czy masz jeszcze tę książkę, którą ci dałem?.
- Tak, książkę i grosik.
- Dlaczego tak się boisz ludzi?
- Ja? Nie. To oni się boją. Stary ma szkatułkę wypchaną pieniędzmi. Co wieczór je przelicza. Stara trzyma w kufrze swoje łożo i perły. Drzwi zamykają na łańcuch: i zasuwę.
- Czy masz czasami wychodne?
- Mam wolną co drugą niedzielę. O godzinie czwartej muszę być z powrotem. Jeśli się spóźnię choć o pięć minut, stara na mnie krzyczy. A czasem i bije. Jest schorowana, ale jak uderzy, to mi twarz puchnie.
- Kiedy ja tu jestem, koniec z biciem. :: *
- Nie. -
- No, pocałuj mnie. -
- Nie mogę. Nie wypada. • ,...
- Ach, ty mały głuptasie, kto ci to powiedział? – Lucjan przyciągnął Kasię do siebie i pocałował, ale ona nie oddała pocałunku.
- Pamiętasz wszystko? – zapytał. In
- Wszystko. '
 - m
- Pisałem do ciebie. Nie dostałaś żadnych moich listów?
- Ani jednego.
- Wysyłałem je na adres twojej matki.,

- Nic o tym nie wiem. Pewno je podarli.
- Umiesz czytać?
- Tylko z elementarza.
- Tak, rozumiem. No cóż, jeszcze nie za późno, żebyś się nauczyła. Czy ojciec ci pomaga?

Kasia wzruszyła ramionami, i filg Jak może pomóc? Zabiera wszystko, co zarabiam. Kiedy mi potrzebna sukienka lub buciki – on to kupuje. Resztę bierze do kieszeni.

- Czy go kochasz?
 - Czasem, trochę.
 - Ale mnie bardziej kochasz?,
 - Więcej niż kogokolwiek!
 - A ja myślałem, że o mnie zapomniałaś, Kasiu. Pisałem, chociaż wiedziałem, że na próżno. Pomyśleć, co oni z ciebie zrobili! Jeśli chodzi o mnie, jestem żonaty i mam synka, ale moja miłość do ciebie nie uległa zmianie. Tęskniłem za tobą cały ten czas, gdy mnie tu nie było. Wiem, że o mnie myślałaś.
 - Tak, myślałam.
 - Czy wierzyłaś, że wrócę?,
 - Może kiedyś.
 - Teraz władze już mnie nie poszukują. Otrzymałem amnestię. Moja siostra Felicja mieszka tutaj w Warszawie. Wyszła za mąż za lekarza. Moja żona jest Żydówką, ale zmieniła wiarę. Miałem posadę, nie mogłem jednak ścierpieć człowieka, dla którego pracowałem. Zresztą nie szukam pracy. Chcę być wolny. Musiałem ciebie odnaleźć, Kasiu. Jeśli kogoś pokocham, to już na zawsze.
 - Ja też.
 - Żonę też kocham, jedna miłość nie przeszkadza drugiej. Rozumiesz to?
- i| Rozumiem.

– Ona jest moją żoną, a ty córką. Nie, więcej niż cór- M
ką!, Gdyby prawo tego nie zabraniało, was obie miałbym
1 za żony. Ożeniłbym się także z tobą.

Kasia miała minę zaniepokojoną.

– Czy to jest możliwe?

– Tak, możliwe, tylko zabronione. W naszych czasach |
tyle rzeczy jest zabronionych. Nie rób tego, nie rób
owego. -; To nasza spuścizna po Żydach, Czy pamiętasz
ten wieczór, J kiedy odszedłem?

– Pamiętam.

– Co ci powiedziałem? @9SIIfi

– Wiele rzeczy.

– Kasiu, nie chcę, żebyś została w tym domu choć mi- '3
nutę dłużej. Chodź ze mną.

– Dokąd mam iść?

– Do mego domu albo do mojej siostry. Zobaczymy.

– Płacą mi raz na kwartał. Dostaję dwa ruble. Jeszcze 1
nie wzięłam pieniędzy za ten kwartał.

– Cóż to jest dwa ruble! Niech sobie wezmą te pienią-
dze. Spiesz się, zbieraj swoje rzeczy,
Ale może ich kto okraść.

– Co to cię obchodzi? Bardzo się troszczyli o cię,
co?

– Drzwi się zatrzasną za mną. Nikt nie będzie mógł
wejść.

– Poradzą sobie.

– Nie – powiedziała Kasia cofając się. – Odpowiadam
za mieszkanie. Nie mogę tego zrobić.

– Co za bzdury! Tłuką cię, a ty jesteś im wierna. Czy
masz buciki?

– Tak.

– Ubieraj się.

– Czy to nie grzech?

– A choćby nawet? Należysz do mnie i mogę tobą rozporządzać, jak mi się podoba. Jestem zarówno twoim ojcem, jak mężem... a nawet twoim Bogiem. Zabiorę cię do siostry. Jej mąż jest lekarzem. To dobra kobieta. Nie jest zadowolona ze swej pokojówki. Jeśli siostra nie chce cię przyjąć, pójdiesz do mojego domu.

Wówczas

będziemy blisko siebie. Nie będziesz musiała ciężko pracować i będziesz mogła swobodnie wychodzić, kiedy zechcesz. Tutaj trzymają cię jak zwierzę w klatce.

– Kiedy wychodzę po zakupy, stara przykazuje, żebym się do nikogo nie odzywała. Jeśli uważa, że za długo nie wracam, tłucze mnie kijem od szczotki.

– A ty chcesz być wierna takim krwiopijcom? Chodź zaraz.

– Mogą wrócić każdej chwili.

– Jeśli wrócą, rozprawię się z nimi. Jestem polskim hrabią, a oni to plugastwo. Zobaczysz, nawet nie ośmielią się otworzyć ust.

IV

Doktor Marian Zawadzki otworzył gabinet przy ulicy Kredytowej, a Felicja pomogła mężowi w jego urządzeniu. Otrzymała tysiąc rubli od ciotki Eugenii, która zapisała w testamencie drobne legaty dla Józefa, Lucjana, Heleny i Felicji. Ustalono, że ten tysiąc rubli stanowi zaliczkę na udział Felicji w spadku. Sprzedała też połowę swej biżuterii, ojciec Zawadzkiego zaś dorzucił pozostałą część potrzebnej kwoty. Doktor Zawadzki, mówiący po francusku, z francuskim dyplomem lekarskim, przy tym żonaty z hrabianką, przyciągał bogatych pacjentów. Eleganckie panie i panowie zapełniali jego poczekalnię od rana do wieczora. Felicja sprowadziła meble i obrazy ze dworu, wy-

najęła pokojówkę i kucharkę. Doktor jeździł dwukonnym pojazdem, ze stangretem na koźle. Felicji zdawało się, że Bóg nareszcie nagradza ją za wszystkie dotychczasowe cierpienia. Te cztery godziny, które Marian przeznaczał na przyjęcia w swoim gabinecie, dawały od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu rubli tygodniowo; oprócz tego wciąż go wzywano do domów polskiej arystokracji, bogatych Żydów i wyższych urzędników rosyjskich. Miał czas na wszystko: na przyjęcie pacjentów, wizyty u chorych i na studiowanie zagranicznych czasopism lekarskich. Bywał nawet proszony o wygłaszanie odczytów na uniwersytecie i tym sposobem zawarł znajomości z profesorami wydziału medycznego. Wieczorami zabierał Felicję do teatru lub opery, bądź też grał z kolegami w karty. Wystarczało mu rzucić jedno spojrzenie na pacjenta, żeby postawić trafną diagnozę. Oceniał książki i sztuki teatralne z wprawą zawodowego krytyka.

Ilekcio Felicja wspominała, jak Zawadzki wkroczył do jej życia, dziękowała Opatrzności. Przygotowana była i na najgorsze, a otrzymała wszystko, co najlepsze. Marian rzadko odzywał się do niej ostrym tonem. Oddawał jej każdy zarobiony grosz. Wprawdzie niewysokiego wzrostu, miał duży temperament. Każda noc z nim w szerokim francuskim łóżku wydawała się Felicji snem. Dzielić łóżko z mężczyzną! W okresie zamążpójścia była tak wychudzona, że wystawały jej żebra. Marian dał jej krople na pobudzenie apetytu i zapisał zastrzyki. Już przybrała na wadze dziesięć funtów, wyglądała młodziej i ładniej. Znikły zmarszczki wokół oczu. Pozbyła się uczucia zmęczenia, ciężkiego zaparcia, bóli głowy i kręgosłupa, na które cierpiała od lat dziewczęcych. Wstydziła się przyznać, ale nieco

szczęścia doczesnego całkowicie zmieniło zarówno jej ciało, jak i duszę.

Mimo to miała powód do zmartwienia. Minęło parę lat, M a ona wciąż nie zachodziła w ciążę. Byłoby okropne, gdy- J by nie była w stanie począć nowego życia! Chciała mieć | dziecko, chciał tego i jej mąż; przy wielu okazjach zaznali czał, że głównym celem małżeństwa jest rozmnażanie się. J Drugim niepokojącym faktem był brak zainteresowań rela- | g gijnych u męża. Każdej niedzieli miał inną wymówkę, aby | uniknąć pójścia do kościoła. Bluźnił żartobliwie przeciw K Bogu, Jezusowi i apostołom. Felicja nie mogła pojąć, jak dorosły człowiek może głosić tak krańcowy materializm. | Dowodził, że za pomocą teleskopu lub mikroskopu w labo-, | ratorium można wykryć wszystkie prawdy. Zgadzał 91 z Darwinem, że człowiek pochodzi od małpy, i twierdził, A że ludzie są jedynymi inteligentnymi istotami w kosmosie. Nie ma prawd wybiegających poza ludzkie zrozumieniaB

Lucjan też był powodem strapienia Felicji. Teraz, gdy stracił posadę u Wallenberga, nachodził ją wciąż prosząc o drobne pożyczki. Nie miał poczucia odpowiedzialności wobec swej rodziny. Felicja zdawała sobie sprawę, że brat mógł znaleźć odpowiedniejszą żonę niż dziewczyna, którą poślubił, skoro jednak Miriam-Liba porzuciła rodzinę i urodziła mu dziecko, powinien przynajmniej otoczyć ją opieką. Za każdym razem, kiedy odwiedzała dom brata, raził ją nieporządek, jaki tam panował. Lucjan pił, Miriam-Liba rozpaczała. Była w jej zachowaniu nadmierna lekkomyślność, nie licująca z córką Kalmana Jakobiego. Ale nawet nie to najbardziej martwiło Felicję. Klara, żona Kalmana, zmusiła starego hrabiego do opuszczenia dworu. Mieszkał więc teraz w wałącym się budynku, który kiedyś zajmował ekonom. Antosia wprowadziła się razem z nim i zachowywała tak,

jakby była jego żoną. Felicja zapraszała Ojca, żeby zamieszkał u niej w Warszawie, lecz odpowiedział, że pragnie umrzeć u siebie w majątku i nie potrzebuje niczyjej opieki ani rady.

Tego mroźnego, grudniowego popołudnia Felicja była sama. Mariami pojechał już do szpitala. Ziemię pokrywał śnieg. Dawniej we dworze, z okien swego pokoju, obejmowałyby wzrokiem rozległe pola sięgające po horyzont. Tutaj, na ulicy Kredytowej, cały widok ograniczał się do skupiska domów i wąskiego paska nieba. Siedziała w buduarze na wyściełanym foteliku, w pobliżu ciepłego kaflowego pieca, ze stopami opartymi na stołeczku. Próbowwała czytać powieść Balzaka, którą Marian polecił jako doskonałą. Felicji, jak dotąd, nie podobała się żadna książka tego pisarza. Nie tylko dlatego, że były rozwiązłe, lecz że wyrażały specyficzny stosunek do człowieka, charakteryzujący się mieszaniną uwielbienia i pogardy; takie były wszystkie współczesne książki. Człowiek stał się dla pisarzy bogiem, czcili Boga-Człowieka i bluźnili przeciwko niemu. Felicja po każdym przeczytanym wierszu podnosiła wzrok do góry. Czy kwiaty są podlane? Czy pokojówka wytarła kurz z mebli? Czy kucharka znów przypalił zupę? Ktoś wszedł właśnie do mieszkania, usłyszała rozmowę. Pokojówka zapukała do drzwi.

- Proszę pani, przyszedł pan hrabia Jampolski.
- Dobrze, proś go.
- Nie jest sam. Przyprowadził jakąś dziewczynę.
- Co za dziewczynę?
- Służącą.

Felicja zeszywniała.

- No dobrze, wprowadź ich oboje. Dopilnuj, żeby wytarli obuwie z biota.

V

Felicja, jako starsza siostra, zrobiła wymówkę Lucjanowi. Rozmawiała z nim po francusku, dała mu dziesięć rubli, lecz odmówiła przyjęcia Kasi. Już się zmierzchało. Przechodnie przystawali na ulicy, chcąc się przyjrzeć dziwnej parze. Co ten młody pan o wyglądzie arystokraty ma wspólnego z taką dziewczyną? Dlaczego niesie jej węzełek? Śnieg zaczął padać i Kasia otuliła się grubą matczyną chustą. Chusta była na nią za duża, frędzle ciągnęły się po ziemi.

Przystanąwszy na chwilę, Lucjan wydał wargi, jakby chciał zagwizdać. Czy naprawdę ma ją zabrać do swego domu? Nie. Miriam-Liba robi mu awanturę, Pomyślał o Azrielu i Szajndł mieszkających obecnie w Warszawie na Lesznie. Wprawdzie Szajndł odmówiła odwiedzenia Miriam-Liby jako przechrztzy, ale Azriel często do nich zachodził. Lucjan nie sądził, aby Szajndł trzymała służącą. Może jednak będą radzi, że trafi im się Kasia. Miriam-Liba, która akurat stwierdziła, że jest w ciąży, nie była usposobiona do okazywania mężowi jakichś względów. "Ta suka wścieka się teraz bardziej niż kiedykolwiek. Dyszy nienawiścią. Felicja ma rację. Jestem szalony, szalony. Niszczę siebie powoli, lecz nieomylnie."

Śnieg nadal padał, było coraz zimniej. Lucjan szedł w stronę ulicy Marszałkowskiej, rozglądając się za dorożką lub sankami. Mijający ich policjant obrzucił od stóp do głów dziwną parę i wzruszył ramionami. Lucjan znalazł dorożkę na Marszałkowskiej. Pomógł wsiąść Kasi i podał dorożkarzowi adres Azriela.

– Nie martw się, droga Kasiu – odezwał się, chcąc dodać jej otuchy. – To może się wydawać na razie trudne, ale znajdziemy dla ciebie miejsce. Nic nie

straciłaś. Pamiętaj, ja za ciebie odpowiadam. Masz we mnie opiekuna.

– Wiem o tym.

Dorożka stanęła naprzeciw kościoła przed domem Azriela, Lucjan zapłacił za kurs i wysiadł z Kasią. Wieczór już zapadł. Zapalono uliczne latarnie. Dym z kominów opadał jak całun. Sprzedawca pieczonych kartofli grzał się przy swoim piecyku. Dopiero kiedy Lucjan z Kasią wszedł już w bramę, zaświtała mu w głowie myśl, że nie powinien był tu przychodzić. Azriel to człowiek postępowy, lecz Szajndł odziedziczyła wrodzony Żydom upór. Jaką ma pewność, że zostanie Azriela w domu? Co im powie? Cokolwiek by powiedział, musi to wypaść dla niego kompromitująco. Szukał nazwiska w spisie lokatorów. Światło było tak przyćmione, a pismo tak niewyraźne, że nie mógł odczytać nazwisk. Stróż wyszedł ze swej klatki i poinformował Lucjana, gdzie mieszka Azriel. Dom był nowy, dwupiętrowy.

– Co to za dziewczyna? – spytał.

Lucjan zaczął wchodzić na schody nie zaspokajając ciekawości stróża. Jacy bezczelni zrobili się ci chłopi! Miał ochotę dać mu pięścią w nos lub kopniaka w brzuch. Jeśli do tego prowadzi demokracja, to niech ją diabli wezmą! Wszystko to są skutki tej przeklętej rewolucji francuskiej, która pozbawiła ludzi resztek przyzwoitości.

Stanąwszy przed drzwiami mieszkania Azriela, oddał tłu- moczek Kasi i zastukał, otworzyła im Szajndł. Spotkał ją tylko raz po swoim powrocie z Paryża i z trudem poznał. Przytyła i było widać, że jest w zaawansowanej ciąży. Suknia unosiła się z przodu ku górze i miała wygląd nie- świeży. Szajndł "zapewne zmywała naczynia, bo trzymała" w ręce słomiany wiechetek.

— Jestem Lucjan Jampólski, bardzo możliwe, że mnie pani nie pamięta.

— Pan hrabia! — Szajndł cofnęła się o krok.

- — Przeprowadziłem ze sobą tę dziewczynkę^ Nie dziwi to pani?

— Proszę wejść. Ty również. Wytrzymaj nogi.

— Czy mąż w domu?

— Nie ma go, ale spodziewam się, że lada chwila wróć.

W kuchni na ławce siedziała młoda, dwudziestoparoletnia panna. Miała na sobie tanią, szarą spódnicę | bluzkę z wysokim kołnierzykiem. Włosy upięte były wokół głowy. • Lucjan rzucił na nią przelotne spojrzenie i pomyślał, że już ją kiedyś widział. Nie była nieładna mimo wydatnego nosa i melancholijnego, typowo żydowskiego wyrazu twarzy. Spojrzenie miała przenikliwe, oo się często spotyka również u Francuzek i Włozek, usta wąskie i surowe, brwi zrosnięte. Czoło, wyższe niż się na ogół spotyka u kobiet, miało w sobie jakieś cechy męskie. Lucjan, skrępowany obecnością obcej osoby, zaczął rozmowę w sposób nieskładny.

— Czy wie pani, jak dawno znam to dziecko? Dziesięć lat, a dziewczynka ma zaledwie piętnaście lat. Jej matka ukrywała mnie przed Rosjanami. Zaczna kobietą, niech odr poczywa w Bogu. Ocaliła mi życie. Działo się to tuż po powstaniu. Uważam Kasię za własne dziecko. Za siostrę lub córkę! Czy -może sobie pani wyobrazić, jak postąpił, z nią rodzony ojciec? Oddał ją na służbę dc najbardziej niegodziwych ludzi, ostatnich wyzyskiwaczy! Po prostu nie mogłem pozwolić, żeby tak harowała. Powiedziałem jej: | “Zbieraj manatki i chodź.” Próbowali mnie powstrzymać, ale nie zwracałem na nich żadnej uwagi. I oto znaleźliśmy się tutaj. Myślałem zabrać ją ze sobą do domu, ale nie byłoby to wskazane. Pani siostra

jest teraz zbyt nerwowa, nie mogę jej robić takiej niespodzianki. Sądziłem, że skoro nie macie służącej, Kasia akurat może się przydać. Oczywiście tylko na razie. Później zamierzam posyłać ją do szkoły. Ciemne oczy Szajndł zrobiły się wielkie i okrągłe.

– Po pierwsze, nie jest nam potrzebna służąca. To znaczy, byłaby potrzebna, ale nas na nią nie stać. Po drugie, nie miałyby gdzie spać.

– A w kuchni?

– Moja szwagierka zostaje u nas na noc. Zapomniałam ją przedstawić, to Mirele, siostra mego męża.

– Ach tak, siostra Azriela. Brat mówił mi o pani. Ojciec, o ile wiem, jest rabinem w Jampolu.

– Był rabinem. Obecnie rodzice mieszkają w Warszawie.

– Ach tak? Jak to się stało? Bardzo ciekawe. Tak czy owak, wziąłem na swoje barki tę dziewczynę i muszę koniecznie znaleźć dla niej jakieś miejsce. Już późno...

– Proszę do pokoju. Nie musimy siedzieć w kuchni. Chwilkę, zapalę lampę – powiedziała Szajndł.

– Przepraszam, ale nie mam czasu. Jeśli nie może tu zostać na noc, muszę szukać noclegu gdzie indziej. Może znajdę pokój w hoteliku. Nie można zostawić dziecka w jej wieku na ulicy, zwłaszcza zimą.

– Broń Jłóże! Zamarzłaby na śmierć. Ale pan hrabia sam widzi, że u nas nie ma miejsca. W drugim pokoju jest kanapa, na której właśnie będzie spała szwagierka. Nie mielibyśmy czym jej przykryć. Gdybyśmy mieli zapasową pościel, mogłaby spać w kuchni. Ale bez koca byłoby za zimno.

– No tak, tak. Rozumiem. W każdym razie dziękuję. Chodź, Kasiu.

– Może by coś zjadła. Czy pan hrabia pozwoli szklaniczkę herbaty?

– Jesteś głodna, Kasiu? – zapytał Lucjan. Kasia porząsała przecząco głową.

– Tak źle się złożyło – powiedziała Szajndł – żeby mieć takiego szanownego gościa i nie móc przyjść mu z pomocą.

Szajndł usiłowała mówić wykwinną polszczyzną i wciąż robiła błędy. Wiedziała, że powinna spytać o Miriam-Libę, nie mogła jednak się przewyciężyć i wymówić jej imie-

nia. Rodzina traktowała Miriam-Libę jak umarłą. Szajndł często się sprzeczała z Azrielem, występując przeciwko jego odwiedzinom w domu Lucjana. Uczciwi Żydzi nie zadają się z odszczepieńcami. Co więcej, Szajndł bała się, że lekkomyślna Miriam-Liba sprowadzi Azriela na manowce. Ktoś mówił Szajndł, że pomimo swego ślubu z Miriam-Libą Lucjan żyje w grzechu z jeszcze inną kobietą. Teraz wdarł się do jej domu jak nieokrzesany prostak.

– No cóż, dobranoc. Proszę wybaczyć nieoczekiwane i najście.

– Mąż wkrótce tu będzie. Może pan hrabia zechce za-
I czekać.

– Nie. Przepraszam, nie mam czasu. Liczy się teraz każda minuta. Pozdrowienia dla męża. – Lucjan zwrócił J się do Mirele: – Miło mi było panią poznać. Przypomina 3 pani nieco swego brata. Dobranoc.

– Dobranoc panu hrabiemu – przerwała Szajndł. – I Jak nie będzie innego wyjścia, proszę przyprowadzić z po--J wrotem tę dziewczynę, zrobimy dla niej jakieś posłanie na 1 podłódze.

– No, jeszcze tak źle z nami nie jest. W każdym razie j dziękuję.

Coraz bardziej siarczysty mróz szczypał Lucjana w uszy, I nos mu zmarzł na kość. Przystanąwszy przed

bramą domu | Azriela, Lucjan rozejrzał się na obie strony. Kasia trzęsała się z zimna w matczynej chuście, zachowując się jak uległe zwierzątko. Sanie przejeżdżały ulicą pobrzękując | dzwonkami. Szyby okien w domach po drugiej stronie J ulicy zbielewały od mrozu. Chociaż nie było jeszcze późno, J panująca wokół cisza sprawiała wrażenie pory nocnej. Od I czasu do czasu spadał płatek śniegu, a zlodowaciały szron B błyszczał jak igielki w świetle gazowych latarni. Lucjan f położył rękę na ramieniu Kasi. W łagodniejszym paryskim I klimacie można było żyć nieomal na dworze. Mógł tam A

VI

238

jakoś sobie radzić bez wielkiego wysiłku. Wtedy jednak tęsknił do ostrej polskiej zimy, do życia pełnego wrażeń, do pokory szarych ludzi, których kochał na swój arystokratyczny sposób. I oto znów, jak po powstaniu, kiedy musiał ciągle kryć się przed Moskalami, znalazł się w trudnej sytuacji. "Sam nie wiem, może powinienem ją po prostu zabić" fjj zadał sobie pytanie i przez chwilę zabawiał się tą myślą. – Zaprowadzę ją nad Wisłę i zepchnę do wody. Nie będzie stawiała oporu." Czuł pragnienie, lecz nie mógł się zdecydować, czy chce się napić wody czy wódki. A faktycznie tkwiło w nim pragnienie przygody. Chciał dokonać jakiegoś okropnego czynu, pobić kogoś albo znaleźć się w wielkim niebezpieczeństwie. Gotów był do walki z Rosjanami lub Polakami, którzy ulegali rosyjskiemu panowaniu. Mamrotał pod nosem przekleństwa, nie wiedząc, kogo przeklina. Nie czuł właściwie gniewu, był tylko dziwnie rozdrażniony. "No, coś się zdarzy dzisiejszej nocy. Ona jest znów w moich rękach", rozmyślał. Zadrżał i przygryzł dolną wargę. Przejeżdżały wolne sanie. Lucjan dał ręką znak, aby stanęły.

- Zawieźcie mnie do hotelu.
- Do jakiego?
- Jakiegoś taniego. To dziecko nie ma gdzie spać.

Szukam najskromniejszego pokoiku.

Dorożkarz zsunął baranią czapę na tył głowy.

- Znam takie miejsce na ulicy Mylnej – powiedział.
- Który numer?

– Podjedziemy, to pokażę. Tylko nie wiem, czy ją wpuszczą.

–

O to się nie martwcie. /■

A^JiSi

Lucjan i Kasia wsiedli do sań. Jazda trwała krótko. Jechali Karmelicką do Nowolipia i skręcili w Mylną. Hotelik był stary, chylący się ku upadkowi. Lucjan zapłacił dorożkarzowi i wszedł z Kasią do budynku. W przedsionku za kontuarkiem stał drobny mężczyzna o kręcących się włosach, w sztruksowej marynarce. Twarz miał okrągłą, szeroki nos, małe błyszczące oczka i żółtą cerę, poznaczoną śladami po ospip, jak szwajcarski ser.

230

- _____ ; _____ -'|||1_____ i _____ |
- Ta dziewczynka jest sierotą – Wyjaśniał Lucjan. – Jej matka służyła w naszym dworze. Potrzebuje gdzieś się przespać dzisiejszej nocy.
 - Czy ma metrykę urodzenia? Lucjan zwrócił się do Kasi:
 - Czy masz metrykę urodzenia? Dziewczynka nie odpowiedziała.
 - Na pewno ma jakieś papiery. Poszukamy ich później, są prawdopodobnie w węzełku. W każdym razie chodzi o jedną noc. Jutro znajdę dla niej miejsce.
 - Ile ma lat?
 - Szesnaście.

– Nie wygląda na tyle. Czy pan też zamierza z nią zostać? -. ■ /^

– A co panu za różnica?

– Różnica w cenie.

– Przypuśćmy, że zdecyduję się pozostać?

– Wtedy opłata wyniesie dwa ruble.

Lucjan dostrzegł szczególny błysk w oczach portiera.

– No dobrze, niech będzie dwa ruble.

Lucjan wyjął banknot dziesięciorublowy otrzymany od Felicji i rzucił go na ladę.

– Dziesięć kopiejek zastawu za klucz – powiedział portier, dokładnie sprawdzając banknot w świetle lampy.

– Cóż to za opłata? No, mniejsza o to. .

– I dwa ruble dziewięćdziesiąt kopiejek ubezpieczenie.

– Jakie jeszcze ubezpieczenie?

– Ubezpieczenie.

Mężczyźni spojrzeli na siebie i mogło się zdawać, że portier mrugnął okiem. "Szkoda, że nie mam przy sobie pistoletu – pomyślał Lucjan. – Gdyby jeszcze raz otworzył gębę, wpakowałbym mu kulę w łeb." Portier wydał Lucjanowi pięć rubli reszty.

– Kiedy dostanę tamte pieniądze z powrotem?

– Przy wyjściu, jeśli wszystko będzie w porządku. Zjawiała się bosa kobieta niosąca wiadro, z mydlinami, jeden róg fartucha zatknęła za pas. Miała świńskie oczka i najbardziej niekształtne stopy, jakie Lucjan w życiu widział. Portier z pewnym wahaniem, zdjął z tablicy klucz.

– Czy łóżko w numerze dwudziestym trzecim posłane?

– Dla kogo?

– Dla tej dziewczynki. To sierota.

– Ach tak, sierota. Sama jestem sierota. To twój węzełek?

Kobieta postawiła wiadro i zapaliła świecę. Lucjan i Kasia poszli za nią po schodach tak stromych i wąskich, że z

trudem się po nich wspinali. Po wejściu na górę kobieta przystanąła dla złapania tchu. Znaleźli się w wąskim korytarzu. Drzwi pokojów robiły wrażenie drzwi do cel więziennych. W szerszej części korytarza stał kosz pełen brudnej bielizny, a o ścianę oparta była szczotka na kij. Lucjan poczuł dziwny odór, jakby zgnilizny w połączeniu z tłuszczem. Usłyszał stłumione głosy. Jakaś kobieta się zaśmiała obłąkańczym śmiechem, wydawało się, że jest sama w pokoju. Klucz do pokoju dwadzieścia trzy nie pasował do zamka. Kobieta wpychała go i przekręcała, ale zamek nie ustępował. Podała świecę Lucjanowi, chwyciła klucz oburącz i mocno obróciła. Drzwi rozwarły się na oścież. Lucjan poczuł smród butwiejącej słomy. Zajrzał do pokoju i przy świetle świecy zobaczył żelazne łóżko, uszkodzoną komodę i słomiankę na podłodze. Na łóżku, zamiast materaca, leżał siennik wypchany słomą, a szorstka płachta zastępowała prześcieradło. Poduszka była wypchana piórami, nie puchem.

— No, to tutaj — powiedziała kobieta.

Lucjan dał jej dziesięć kopiejek. Kobieta popatrzyła na monetę wzgardliwie.

— Nikt nie daje mniej jak dwudziestaka.

Chętnie plunąłby jej w twarz.

— Macie swego dwudziestaka.

— Nie wolno palić w nocy świecy. Pilnujemy; żeby nie było pożaru.

— Słuchajcie no, przecież tu mróz.

— Ano, było napalone w piecu z rana, ale przewody są złe. ciepło ucieka kominem. V : r

Kiedy kobieta już wyszła, Lucjan próbował zamknąć

J6 – Dwór

pokój, okazało się jednak, że w łańcuchu brakuje główtó

- No, wszystko jedno, zdejmij chustę, Kasiu. Głodna jesteś?
- Nie.
- No to pora się rozgościć.
- Nie pójdzie pan do domu?
- Nie, zostanę tutaj.
- A gdzie będzie pan spał?;
- Z tobą.

VII

Lucjan zbudził się w środku nocy. Śnił, że zмага się z małpą, a zwierzę chwyciło go pazurami za gardło. Usłyszał głosy, jacyś ludzie mówili po rosyjsku, zaczął więc bacznie nasłuchiwać. Policja! Poczł przenikające do szpi-» ku zimno. Gdyby był na tyle mądry i zabrał ze sobą pistolet.' Macając w ciemności, znalazł spodnie, trzewiki i skarpety. Był pewien, że policjanci lada chwila zaczną wchodzić po schodach. Ale nie, odgłosy umilkły. Czy ma obudzić Kasię? Wypzedł po cichu na korytarz i nasłuchiwał. Z tego miejsca widział nocną lampkę palącą się na dole. Nagle usłyszał kroki i zaczął się cofać. Czy było jakieś drugie wyjście? Dotykał ręką drzwi i klamek. Przy końcu korytarza, na prawo, była komórka. Wszedł na palcach do środka i znalazł się wśród skrzynek i koszów. Zaczepił paltem o gwóźdź i musiał szarpnąć, żeby się uwolnić. Miał wrażenie, że serce przestało mu bić. Stał nasłuchując w napięciu, j Światelko migotało w korytarzu, prawdopodobnie św*eca. Wstrzymał oddech i stał cicho, pełen lęku. Jego mózg przestał działać. Mężczyźni rozmawiali po rosyjsku, kioś odpowiadał po polsku, lecz do Lucjana nić docierała treść ich rozmowy. Ogarnął go znowu ten na wpół już zapomniany strach, dobrze znany z czasów ucieczki, kiedy się krył po lasach i

rowach. Światło się zbliżało, < jak również postaci. Potem, w sposób nie wyjaśniony, korytarz pogrążył się w ciemnościach i zapanowała cisza.

“Czyżby mi się to wszystko przywidziało?” – zastanawiał się Lucjan. Jednak bał się opuścić kryjówkę. “Nie tak prędko”, postanowił. Nie wiedział, jak długo tam stał. Zdrzemnął się, zbudził, zapomniał, co mu się przydarzyło i gdzie się znajduje. Wrócił do niego obraz włochatej mały błyskającej zębami, która mu się uprzednio przyśniła. Wstrząsnął się i zmora znikła. W korytarzu nadal było ciemno i cicho. Powoli, z namysłem, Lucjan podniósł rękę i podrapał się palcem w ucho. Potem usnął i we śnie przeniósł się do Paryża.

Wzdrygnął się, bo coś spadło, deska lub skrzynka. Opuścił na palcach komórkę i poszedł korytarzem, próbując otwierać każde mijane drzwi. Czy Kasia została areztowana? Czy jeszcze tu jest? Nie pamiętał, który zajmowali pokój. Nie miał zapalek. Wszystkie drzwi były pozamykane na klucz. Jak to się mogło stać? Drzwi do ich pokoju nie były przedtem zamknięte. Dotarł do schodów i zaczął po jednym schodku schodzić na dół. Zatrzymał się na po-» deście. Miał wrażenie, że schody ciągną się bez końca. Na dole światłą było zgaszone. Czy drzwi frontowe są zamknięte? Czy to wszystko jest jakąś pułapką, aby wywabić go z kryjówki? No, jeśli tak, nie dostaną go bez walki, nigdy się nie podda. W każdym razie dziewczyna należała do niego i tego nie da się już zmienić.

Tak, na dole było ciemno. Namacał krawędź kantorka i potknął się o ławkę. Widocznie w tym miejscu znajdował się jeszcze jeden stopień. Lucjan omal nie upadł. Dotarł wreszcie do drzwi i otworzył je. Silny podmuch wiatru niemal go wpędził z powrotem do przedsionka. Teraz mu się przypomniało, że nie zabrał krawata i szalika. Zatrzy-

mał się chwilę na progu. Był wolny! Kasi nic nie mogli zrobić.

Ruszył w lewo, znalazł się w wąskim, krętym zaułku. Przenikało go zimno. "Zawróć", ostrzegał sam siebie. Wyglądało na to, że zaułek jest ślepy. Pobiegnął w kierunku przeciwnym i znalazł się przed jakimś rządowym budynkiem, przed którym przy budce wartowniczej stał żołnierz. Lucjan zwolnił kroku i przeszedł obok niego.

Żołnierz

zmierzył go podejrzliwie wzrokiem, lecz nic nie powiedział* -Lucjan znalazł się na szerokiej ulicy oświetlonej latarnią*! mi gazowymi. Minął studnię z korytkiem na wodę. Chociaż dokładnie znał Warszawę, nie wiedział, gdzie się znajduje. Nie była to Karmelicka, w kierunku której, jak mu się • zdawało, podążał. Ale to nie miało znaczenia. Podniósł kołnierz palta i ruszył dalej. Wreszcie doszedł do tabliczki z napisem: "Tłomackie" i już wiedział, gdzie jest.

Zaczął biec, lecz nagle się zatrzymał. Kasia zapewne podała policji jego nazwisko. Czy wiedziała, że się nazywa Jampolski? Jeśli tak, to niewątpliwie będą go szukać w jego mieszkaniu. Może już czekają przy bramie na Oboźnej, Dokąd ma pójść? Jeśli będzie się włóczył po ulicach w taką noc, zamarźnie na śmierć. A może pójść do Azriela? Wstyd mu było tam iść. Do Felicji? I jej mieszkanie nie jest bezpieczne. "Żadne drzwi nie stoją przede mną otworem", wymamrotał sam do siebie, jakby cytował urywek poematu. Zły duch, idący za nim krok w krok, zadrwił z niego udając, że wybawia go od niebezpieczeństwa, aby potem znów usidlić. Bardzo sprytny duch, zaiste, bardzo sprytny.. Lucjanowi przyszedł do głowy zmyślny, choć i przewrotny pomysł. Dlaczego nie miałby wrócić na ulicę Freta i nie spędzić tej nocy u Antka? Rozbawiła go myśl, i że znowu go

poszukują. Dokonał tego, co od lat miał zaplanowane. Przymknął sobie, że na Placu Grzybowskim, niedaleko Bagna, jest żydowski hotelik. Będzie mógł tam zanocować.

VIII

W cyrkule, w kącie oddzielonym barierką od reszty pokoju, siedział gruby sierżant w rozpiętym mundurze. Drzemał, lekko pochrapując. Przed nim, na stole, leżała gazeta i stało pół szklanki zimnej herbaty z pływającym plasterkiem cytryny. Sierżant poruszył się i podrapał z lekka po wystającym brzuchu. Po upływie paru minut stójkowy wprowadził Kasię otuloną w zbyt obszerną chustę. Twarz miała obojętną i zachowywała się potulnie. Stójkowy kaszlnął. Sierżant policji spojrzał spod przykniętych powiek i rozjaśnił twarz specyficznym uśmiechem, łączącym samozadowolenie sytego prosięcia z pogardą.

– A to co za jedna?

H| Zgarnąłem ją w hotelu "Gwiazda" na Mylnej.

– O, mała ulicznica.

– Nie, została uwiedziona. Właśnie dzisiejszej nocy. Ja-kiś hrabia to zrobił.

Tymczasem sierżant rozbudził się całkowicie.

Uśmiechnął się ukazując kilka dużych zębów, jakie mu jeszcze, pozostały.

– Ile czasu zajęło wymyślenie tej historyjki?

– Nie, to fakt. Poinformował nas dorożkarz, który zawiózł ich do hotelu. To nasz człowiek. Według tego, co dziewczyna mówi, ten hrabia nazywa się Lucjan Jampolski. Ona służyła u kogoś na Furmańskiej.

Sierżant poprawił się na obitym skórą krześle, potem zapiął mundur i dociągnął pasa. Nie wierzył w opowiedzianą historyjkę, ale go ubawiła. Zwykle w zimowe noce

przyprawiano tylko pijaków, i stare prostytutki pragnące znaleźć miejsce do spania. Sierżant miał chętkę sam przesłuchać Kasię, ale przyjechał niedawno z Rosji i nie znał polskiego. Zmierzył dziewczynę wzrokiem od stóp do głów, zmrużone oczy rozbłysły złośliwą radością. Po jego lewej ręce leżała książka protokołów. Wziął pióro, przeciągnął nim po paznokciu kciuka i zamoczył w opróżnionym do połowy kałamarzu.

– Jak się nazywasz?

– Kasia.

– Kasia, a nazwisko?

– Chce znać twoje nazwisko – przetłumaczył na polski stójkowy.

Kasia nie odpowiedziała.

– Uważaj no, mówi się do ciebie. Odpowiadaj!

Twarz Kasi pozostała niewzruszona.

– Głucha, czy coś

– Powiedz, jak się nazywasz, ty mała ulicznico?

– Kasia.

– A nazwisko? Kasia i co dalej? Kasia to tylko imię.

Słuchaj, ja się nazywam Stefan Król. Jak ciebie nazywają?

Kasia poruszyła się nieznacznie.

– Zapomniałam.

– Zapomniałaś, jak się nazywasz? A jak się nazywa twój ojciec?

– Antek.

– Antek, i co dalej? Kasia milczała.

– Twardy z niej orzech – powiedział sierżant przez zaciśnięte zęby. – Gdzie mieszka jej ojciec?

– On chce wiedzieć, gdzie mieszka twój ojciec – przetłumaczył stójkowy słowa sierżanta.

– Na Freta.

– Który numer?

Kasi nie drgnęła nawet powieka. .---■ Pytał ciebie o numer.

- Nie wiem.
- Co robi ojciec? Czym się zajmuje?
- Co to znaczy?
- No, czy jest szewcem, krawcem, kowalem, oszustem?
- Chodzi do" pracy.
- Gdzie?

Kasia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Sierżant mrugnął do stójkowego. Zaczęli coś szeptać. Sierżant zaśmiał się ochryple.

- To jak s'ą nazywa ten hrabia?
- Lucjan Jampolski – odparła Kasia.
- Gdzie mieszka?

Kasia nie wiedziała, gdzie Lucjan mieszka.

- Gdzie mieszkają twoi pracodawcy?
- Na ulicy Furmańskiej. Pod numerem trzecim.
- Jak się nazywają? jj Wróbel.
 - No, posłuchajcie! Coś jednak wie – odezwał się sierżant do stojkowego i całego świata w ogólności.
- Trzeba pójść do Wróblów i posłuchać, co oni mają do powiedzenia. Ile masz lat?
- Prawie piętnaście.
- Prawie piętnaście. Wcześniej zaczynasz. Co ci zrobił ten hrabia?

Sierżant nadal wypytywał ją szczegółowo, a stójkowy służył za tłumacza. Przyprawiano do cyrkułu innych zatrzymanych, musieli jednak czekać, ponieważ Kasia pamiętała dokładnie wszystko, z wyjątkiem nazwisk i adresów. Sierżant uszczypnął ją w policzek.

- Głodnaś, kochasiu?
- Nie. Tak.
- Poczekaj. Zajmę się tobą.

Napisał coś na skrawku papieru.

– No dobrze, dalszy ciąg należy do was, stójkowy.

– Chodź ze mną.

Stójkowy ujął Kasię łagodnie za ramię i poprowadził przez szereg pomieszczeń, a potem w dół, po schodach, do sutereny. Otworzył drzwi i popchnął Kasię do środka.

Zdawała sobie sprawę, że jest w więzieniu, ale się nie bała. W celi śmierdziało. Zanim jeszcze oczy jej

przywykły do ciemności, domyśliła się po dochodzącym ją chrapaniu i westchnieniach, że znajduje się wśród kobiet. Stopniowo, jak we śnie, z cieni wyłoniły się twarze, oczy, włosy. Ochrypiły głos zawołał:

– Hej tam, co tak stoisz przy drzwiach? Może zechcesz łaskawie wejść i się poznać? – mówiąca roześmiała się skrzeczącym głosem.

– Popatrzcie, to jeszcze dzieciak – odezwała się inna kobieta.

Chrapanie się nasiliło, jakby śpiące kobiety chciały jak najlepiej wypocząć w czasie wyznaczonym na sen.

Słychać oyło ziewnięcia i pomruk: wania zmieszane | przekleństwami. Niektóre kobiety leżały, inne siedziały. Wszędzie na podłodze widać było śpiące ciała.

Niebieskawobiałe światło odbitego od śniegu brzasku sączyło się przez zakratowane okno.

– Ej, tam, widzicie, jaka ona «na chustę!

– Mnie ją daj.

– Kobiety, przecież to jeszcze dziecko!

Któraś rzuciła sprośną uwagę i ^wszystkie się roześmiały. Krępa kobieta zapaliła zapałkę.

– Ano prawda, to jeszcze dzieciak. Chodź tu, milutka. Daj mi chustę.

IX

Po dwudziestu czterech godzinach" Kasię zwolniono i ten sam stójkowy, który ją aresztował, odprowadził teraz do mieszkania ojca na Freta. Antka nie było w domu, ale zastali przy balii kobietę, z którą żył. Prała bieliznę. Zmierzyła się na twarzy, gdy zobaczyła Kasię w towarzystwie stójkowego.

—■ Czy to jest kobieta, z którą żyje twój ojciec? – zapytał Kasię stójkowy.

– Tak.

– Czy jesteście po ślubie?, .

– Nie, panie władzo. Co mam robić? Ten leniwy nicpoń nie chce iść do księdza.

– Czy wiecie, że żyjąc w takim związku popełniacie przestępstwo wobec prawa?

– Wiem, ale panie, co mogę na to poradzić? Co ci się przydarzyło, kochana? Popatrzcie no na nią! Cóż ona zrobiła? Ukradła?

– Nie, coś gorszego.

Stójkowy opowiedział całe zdarzenie. Poszukiwano już Lucjana Jampolskiego. Kobieta wytarła ręce w fartuch. g|

– Co za hańba! Ta nowina zabije jej ojca. Hrabia był tutaj przedwczoraj, chciał się dowiedzieć, gdzie ona pracuje. A ja, głupia, powiedziałam.

– A, to wyście mu powiedzieli. Po co? Wezwą was na świadka.

– Zaświadczę. Przysięgnę na krzyż i wszystko powiem.' Wszedł tutaj przystojny, elegancki, jak się patrzy, a z ust miód mu płynął. Kiedyś mieszkał u matki Kasi, odnosił

się do małej jak do własnej córki. Skąd mogłam wiedzieć? Pochodzę z prostych ludzi. Nie umiem czytać ani pisać. Powiedziałam do niego: "Ona pracuje u Wróblów na Fur- mańskiej. Niech pan zostawi ją w spokoju, ojciec nie chce, żeby jej się coś przytrafiło."

Podziękował i wyszedł. Myślałam, że ma dla niej jakiś upominek. Wszystko się przyda w tych czasach. Ale ten lis poszedł i ją uwiódł. Wstyd i hańba, tak to nazwę. Ona nie ma nawet piętnastu lat. Co z niej teraz wyrośnie? Antek bardzo się tym przejmie. To jego jedyna córka. A gdzie ty miałaś oczy, dziewczyno?. Po co z nim poszłaś? Wystawiłaś nas na pośmiewisko.

– Nie martwcie się, złapiemy tego ptaszka.

– Powinien dostać, na co zasłużył. Tak gładko kłamał. Siedział tu, na tej ławie. Nic nie powiedziałam Antkowi, bo się bałam, że go rozzłoszczę. Okropny z niego raptus. A co ci ten hrabia naopowiadał? Zwyczajne bajki. Nie masz swego rozumu? No, tylko uważaj, odpowiadaj, jak się do ciebie mówi.

Kasia nadal milczała.

– No cóż, szkoda się już stała. Dziewczyna ma zmarnowane życie. Biedne dziecko, sierota. Miejmy nadzieję, że nie zajdzie w ciążę. To będzie okropne, jak się sąsiedzi dowiedzą. Antek się wścieknie. A czy to moja wina, panie władzo? Skąd mogłam wiedzieć, że ten pan to taki łotr. Nauczono mnie odpowiadać grzecznie, gdy ktoś pyta. Nie żyjemy na pustyni. Może i jestem grzesznica, ale chodzę co niedziela do kościoła, słońca czy pogoda. Nie zapominam zapalić świeczki. Przed Wielkanocą, jak ksiądz chodzi po święconem, nie wyjdzie ode mnie z pustymi rękami. Chciałam być dla niej jak matka. Nie nalegałam, żeby stąd odeszła. Stachowa, jej zmarła matka, była dla mnie jak siostra. Ale Antek powiedział: „Lepiej, żeby się przyzwyczajała do roboty.”

– Kłamiecie – przerwała nagle Kasia. j– To wy wypędziliście mnie z domu.

Zapanowała chwila milczenia, a kobieta cofnęła się o krok.

– Sama łiesz.

– Mówię prawdę. Ledwie dawaliście mi skórki od chleba. Zamykaliście szafkę z chlebem.

– Panie władzo, ona kłamie. Wymyśliła to wszystko. Powinna dostać dobre cięgi. Antek chciał ją karać. Próbował bić, ale spaliłam kij. Maczał go w mydlinach. “Chociaż to twoja córka, nie zapominaj, że jest sierotą”, mówiłam. Niech ją Bóg pokarze. Wtedy mnie bił, ja za nią dostawałam. Ty niewdzięcznico, ty suko. Nie licz na mnie więcej. Wszystko mi jedno, choćby ci ojciec miał pogruchotać wszystkie kości.

– Bicie jest niezgodne z prawem → odezwał się stójkowy bardziej do siebie niż do kobiety.

– Tak, wiem, ale czasem człowiek nie może się powstrzymać. Na tej ulicy mieszkał facet, który zatłukł na śmierć własne dziecko. Jeszcze siedzi w więzieniu. Dostał pięć lat; już odsiedział trzy z okładem. Żona co piątek nosi mu paczki z jedzeniem.

– Bicie jest niezgodne z prawem.

– No, niech się dzieje wola boska.

– Wszyscy zostaniecie wezwani na świadków. A nie wypuszczajcie jej z domu. Ona też musi się stawić w sądzie.

– Na pewno, panie władzo. Już my jej dopilnujemy.

Grupka kobiet zebrała się pod drzwiami Antkowego mieszkania. Kiedy stójkowy wychodził, rozstały się, żeby go przepuścić. Potem weszły do mieszkania.

– Co się stało?

– Albo to trudno zgadnąć?

Zebrały się w kącie' i zaczęły szeptać między sobą. W miarę opowiadania spoglądały przez ramię na Kasię. Stała na środku pokoju, okryta nędzną chustką, zamiast tamtej pięknej, dużej, odziedziczonej po matce. Kiedy wszedł Antek, kobiety umilkły. Stał w progu w podartym kożuszku i czapce z pogiętym daszkiem. Ubranie

miał poplamione farbą i błotem, chociaż od dłuższego czasu nie pracował. Nawet twarz miał pocętkowaną farbą. Rzucił spojrzenie na córkę kącikiem blisko osadzonych oczu, potem utkwiał wzrok w drugi koniec pokoju, w półką zastawioną garnkami i butelkami.

– Co tu robi ta cała gromada kobiet?

– Coś okropnego przytrafiło się Kasi – oznajmiła jego kobieta. – Prawdziwe nieszczęście.

– Już słyszałem. Ale czego one tu chcą?

Wskazał na ucichłe sąsiadki. Postąpił ku nim o krok; kobiety zaczęły się wycofywać do drzwi. Mieszkanie szybko się opróżniło. Antek popatrzył na Kasię bez słowa. Wiedział, co się przydarza dziewczynom, których nie pilnuje matka.

– No dobrze, zdejmij tę chustkę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY I

Kalman nigdy nie wspominał imienia Miriam-Liby i nikt nie śmiał o niej mówić w jego obecności. Po jej ucieczce przez siedem dni ją oplakiwał, potem wymazał z serca. W myślach porównywał ją do paznokcia czy do włosów, które się obcina i odrzuca. Minio to nie mógł nic zrobić, żeby nie docierały doń jakieś wieści o córce. Wiedział, że wróciła z Paryża i mieszka gdzieś w Warszawie z tym występny gojem, i że urodziła dziecko. Jego wrogowie przysyłali mu pocztą zjadliwe anonimy, zaczynał je czytać, a potem darł na kawałki. Cokolwiek by się mówiło, spadło nań więcej, niż zasłużył. Chociaż unikał rozmyślenia o Miriam-Libie w ciągu dnia, nocą nie potrafił utrzymać swych myśli na wodzy. Wydał na świat wychrzętę, z niej, ale pośrednio i z jego lędźwi, mogą się zrodzić ludzie występni, dręczący Żydów. Co może być gorszego? A tymczasem, czy on sam jest lepszy od

spłodzonej przez siebie córki? Podobnie jak Ezaw, czyż nie sprzedał swego pier- worództwa za miskę soczewicy?

Kalman mieszkał we dworze, zajmował sypialnię hrabiiego i spał w jego łóżcu. Klara nie tylko zawładnęła budynkiem, zakupiła również całe urządzenie. Hrabiemu pozostawiła jedynie to, co chciała: klacz, krowę, trochę książek i bryczkę. Kalman jak dawniej zaopatrywał hrabiiego w owies, mąkę, jęczmień i kasze, wolno mu też było polować w lasach i łowić ryby w jego stawie. Zresztą potrzeby .Tampolskiego malowały. Antosia gotowała mu teraz

tylko raz dziennie i nigdy nic innego jak żytne kluski na mleku. Tak. hrabia Jampolski rozstał się na starość z wszelkim zbytkiem, podczas gdy on, Żyd, rezydował w pałacu wśród złota, srebra, porcelany, lokajów i służących. Sypiał na łożu pod aksamitnym baldachimem, na materacu z końskiego włosia. Obok niego na bliźniaczym łożu spoczywała Klara, współniczka całego majątku i wapienników. Nazywała siebie panią Klarą Jakobową i była w ciąży. Może nosiła w swym łonie zarodek rodzaju męskiego. Jednak nawet nadzieja, że Klara wyda na świat syna, który odmówi za niego modły żałobne, kadisz, po jego śmierci, nie powstrzymywała Kalmana od uzmysłowienia sobie, że popełnił wielki błąd.

Od samego początku małżeństwa sprzecjali się zawzięcie, a Klara postępowała jak kobieta lekkomyślna. Robiła to, co jej się podobało, zupełnie się go nie radząc. Odprawiła jego służbę i wynajęła własną, swarzyła się z okolicznymi ziemianami, zapraszała natomiast gości, których Kalman nie chciał widywać w swoim domu. Kalman odnosił się zazwyczaj życzliwie do chłopów i nie zwracał uwagi na ich drobniejsze przewinienia, ale Klara była dla nich niezwykle surowa. Każdy chłop, którego

krowa weszła na dworskie pastwisko, musiał zapłacić pięć rubli grzywny. Wszyscy byli obowiązani zdawać jej rachunki. Wymagała, aby kasjer i buchalter wstawali, gdy wchodziła do kantoru. Szybko roztrwonila parę tysięcy rubli Rosagu na toalety z Paryża. Teraz zaczęła mówić o przebudowie dworu. Dopóki nie zaszła w ciążę, chodziła do mykwy ze względu na Kalmana, choć spełniała tę cnotliwą powinność niechętnie i nalegała, by nie było przy niej w tym czasie żadnej kobiety. Zamówiła na swój własny użytek wannę z pokrywą zamykaną na klucz. Zdaniem kobiet jampolskich Klara sprofanowała mykwę swym rozpustnym prowadzeniem się. Służące opowiadały, że nosi cienkie jak pajęczyna pończochy sięgające aż po uda, przymocowane do gorsetu. Nakłada jedwabne halki, koszule i majtki suto przyozdobione koronkami. Jeździ do mykwy w karecie!

Mimo że Kalman ciężko Dracował (wydatki, wzrosły nie-

■ ■ słychanie), źle sypiał. Któż mógłby sobie wyobrazić, że/ tyle będą wydawać? Klara żyła jak caryca, szastała pieniądze i rozkazywała wszystkim wokół. Zakupiła przede ślubem iście królewską wyprawę, szafy jej pełne były strojów, zaraz jednak po ślubie zaczęła się skarżyć, że nie ma co na siebie włożyć. Wrzeszczała na służące i wciąż krytykowała kosztowną kucharkę sprowadzoną przez Kalmana z Warszawy. Kiedy czegoś potrzebowała – było głupstwa – pociągała za sznur dzwonka. Wszystkie jej zachcianki i zamięłowanie do zbytku były zaspokajanej a mimo to nie przestawała narzekać. Mięso było za twarde albo za miękkie: zupa za gęsta lub za wodnista, kompot za słodki, to znów za kwaśny. Posadzki- były nawoskowane i lśniły tak, że Kalman co dzień dziękował Bogu, iż się na nich nie pośliznął i nóg sobie nie połamał, mimo to Klara

twierdziła, że są źle utrzymane. Tak często kłamała i tyle robiła zarzutów, że Kalman wprost własnym uszom nie wierzył. Wiedział, że istnieją źli ludzie i to oni byli przyczyną wojen czy też klęsk", które ongiś spadły na Żydów, Lecz skąd żydowska córa tyle wie o grzechu!

Pieszczotli-| we słowa przeplatała drwinami.

Wyśmiewała się z brody Kalmana, długiego chałata, tałesu, jego modłów i nawykowego: "Z wolą bożą."

Czasem rozmawiając z nim ; serdecznie, naraz zwracała się jak do obcego człowieka. Aczkolwiek chłopci nie darzyli miłością ziemiaństwa, mieli za złe, że Żyd panoszy się niczym hrabia we własnym dworze hrabiego. Księżom zakazano wrogich wystąpień przeciwko Rosjanom, wyładowywali więc swój gniew na Żydach. Nieprzyjaciele Kalmana w Jampolu i Skarysze- • wie rozgłaszali o nim różnego rodzaju oszczerstwa. Chodziły słuchy, że w jego domu gotuje się w szabas, naczynia kuchenne nie są koszerne i że miewa stosunki z żoną w dni, kiedy jest nieczysta. Mejer-Joel prawie nie rozmawiał z teściem, Jochewed go unikała. Cypełe od czasu do czasu przysyłała kartę pocztową, Jochanan jednak nie dopisywał własnoręcznie pozdrowień. Szajndł zamieszka- ła w Warszawie. Kalman chciał ją zatrzymać we dworze wraz z Azrielem i ich sjrnkami Josełe, lecz Szajndł wciąż?

się wymawiała. Kalman znał prawdę: nienawidziła swej macochy Klary.

Nienawiść, nienawiść, nienawiść! Wszędzie się panoszyła. Zarówno wśród drwali, jak i kancelistów powstawały ciągle waśnie. Chłopi stale wiedli spory. Rabi chasydzki z Góry Kalwarii kłócił się z chasydami z Aleksandrowa. Tamara Szalit oskarżała Sonię Sorkes. Sonia Sorkes podrwiwała z żony aptekarza, pani Grajn. Klara uważała wszystkich za złodziei. Kiedy Kalman

zwrócił jej uwagę, że kupując mniej świecidełek, nie stworzy tyle okazji do okradania siebie, odparła pogardliwie:

– Niech ci się nie zdaje, że mówisz do swojej Zełdy! Jestem Klara i lubię piękne rzeczy, a nie jampolskie szmaty!

II •

Dwa razy na miesiąc Klara urządzała przyjęcia, czyli "wieczorynki", jak je nazywała z rosyjska. Zapraszała zawsze tych samych gości: pułkownika Smirnowa, porucznika Papryckiego, aptekarza Grajna z żoną, Dawida Sor-kesa i Sonię, Moryca Szalita z Tamarą, a czasem doktora Lipińskiego ze Skaryszewa. Bywały też różne osoby urzędowe i pomniejsi funkcjonariusze, jakich spotyka się tylko w małych miasteczkach.

Wynajęta orkiestra wojskowa przygrywała do tańca. Dla Kalmana wieczorynki oznaczały jedynie kłopot, za dużo też kosztowały. Klara natomiast przygotowywała się do nich jak do wesela i żądała nowych strojów. Służba woskowała podłogi, sprzątała i odkurzała cały dom, chociaż i tak lśnił czystością. W ciągu paru dni poprzedzających wieczorynkę Klara płakała, łajała służbę i groziła, że ucieknie lub się zabije. Kalman pojął znaczenie słów mędrców głoszących, że wszyscy grzesznicy są na wpół albo całkiem obłąkani.

Tak więc zaczął spożywać posiłki z chrześcijanami. Potrawy były koszerne, ale wino? Picie wina z chrześcijanami jest surowo zabronione. Chociaż sam Kalman nie brał trunku do ust, przeżywał męczarnie w towarzystwie! nowoczesnych Żydów i chrześcijan, słuchając ich bluź-^{*} nierstw, pochlebstw i szyderstw. Za każdym razem, kiedy

' Klara pojawiała się w nowej toalecie, zachwycali się nią przesadnie. Każde danie smakowało niczym rajski przysmak. Te ich pochwały graniczyły z kpinami, a uprzejmość zaprawiona była jadem. Zasiadali przy jego stole, a jednocześnie stroili z niego żarty. Rozmowy, zwykle prowadzone po rosyjsku, naszpikowane były dwuznacznikami; przymrużali oczy, a ich języki zdawały się syczeć. Kiedy mężczyźni opowiadali dowcipy, których tematem było okrucieństwo i rozpusta, kobiety śmiały się bez opamiętania. Zнали wszystkie najlepsze kurorty i najelegantsze hotele. Wszystkich znali. Kalman jadł w milczeniu. Bał się myśleć o niezliczonych grzechach, jakie pociągała za sobą taka uczta.

Zabawa osiągała szczyt, dopiero gdy zaczynała grać orkiestra i rozpoczynały się tańce. Klara przechodziła z rąk do rąk. Suknie' miała mocno wydekoltowane z przodu i na plecach. W czasie tańca rąbek sukni unosił się w górę ukazując łydki. Tańczyła ze wszystkimi mężczyznami. Puszczając się w tany z pułkownikiem Smirnowern, kładła mu dłoń na epolecie; a on obejmował ją w talii. W czasie tańca ostrogi na jego wyglansowanych butach pobrzękiwały. W przedpokoju wisiały szable oficerów. Kalman – bardziej zdumiony własnym brakiem przewidywania, niż zgorszony postępowaniem innych – winił tylko siebie. Co on sobie wyobrażał, że Klara poświęci się studiowaniu Biblii? Czy nie miał- oczu? Czy też szatan mu je przęsto-^ nił? Jak mógł Żyd, syn f>obożnych rodziców, patrzeć na to wszystko? Czy mezuzy na odrzwiach przyzwalają na taki grzech? A Bóg? "Jestem szalony, szalony! – szeptał. – Niech mnie poszarpią na kawałki i zanurzą w occie!" W każdym spojrzeniu i uśmiechu, wszędzie czuło się rozpustę. Panie paradowały z odkrytymi głowami, orkiestra grała hucznie, trąby grzmiały, dudnił bęben. W jego domu

zebrało się towarzystwo cudzołożników i wszetecznic.
Czy

te kobiety nie są ladacznicami, skoro pozwalają obcym mężczyznom dotykać rąk, ramion, bioder?

Kalman stał pod ścianą z ręką opartą o krzesło. W lustrze wiszącym po przeciwnej stronie widział siebie w surducie po kolana i jedwabnej jarmułce. Broda wydawała się krótsza, chociaż jej nie dotknął nożyczkami. Czyżby Klara mu ją przysrzygła w czasie snu? Mimo gorąca rozchodzącego się od pieca, Kalman poczuł lodowaty chłód w krzyżu. Policzki pułkownika Smirnowa poczerwieniały od alkoholu; krótko przysrzyżone jasne włosy najeżyły się jak szczecina, oczy zwilgotniały, rubaszny śmiech zdawał się mówić: co moje, to moje, a co wasze, to też moje. Mrugając do porucznika, trzasnął obcasami i zawołał do orkiestry:
– Hop! hop! Danada!

Żona porucznika natomiast tańczyła z Dawidem Sorkesem. Oto, co robili na wieczorynce 7– wymieniali między sobą żony.

“Czy to możliwe? Jak do tego doszło? Czy zapomniałem o Bogu?” – pytał Kalman sam siebie.

Orkiestra przestała grać. Pułkownik Smirnow uklonił się Klarze, porucznik Paprycki – Tamarze, Dawid Sorkes – Nadii Iwanownie. Klara podeszła do Kalmana. Wydekoltowana, ozdobiona pierścionkami, kolczykami i broszkami, stanęła wprost przed mężem migocąc diamentami. Miała uróżowane policzki, oczy jej zapłonęły, gdy z uśmiechem odezwała się do męża:
– – Cóż tak stanąłeś i przyglądasz się? Czy spodziewałeś się, że będziemy'plakać?

– Nie.

– Jeśli te wieczorynki ci się nie podobają, nie będę ich więcej urządzać.

Kalman nie odpowiedział. To nie jej wina, tylko jego.
–r Niech imię moje-szcześnie!

Pierwszy raz w swym życiu rzucił przekleństwo na siebie.

17 – Dwór.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

I

Reb Menachem-Mendel Babad siedział w swoim gabinecie w mieszkaniu przy ulicy Krochmalnej, mając przed sobą otwarty komentarz talmudyczny. Książka nosiła tytuł Oblicze Jozuego. Na stole, wśród rozrzuconych manuskryptów, leżało pióro ze stalówką, obok stał kałamarz. Reb Menachem-Mendel zaparzył już sobie herbatę wodą z samowara. Spędzał rano nad lekturą, robiąc notatki i paląc fajkę. Tutaj, w Warszawie, niewiele miał czasu dla siebie. Wciąż przychodziły kobiety, aby zasięgnąć rady w kwestiach związanych z religią. Od czasu do czasu trzeba było zająć stanowisko w sprawie sądowej. Każdy pragnął poradzić się rabina, nie wyłączając złodziei i upadłych kobiet, które bez przerwy prosiły go o wyznaczenie właściwych dat i dni, w jakie należało obchodzić rocznice śmierci ich krewnych. Przestrzeganie tych rocznic było ich jedynym aktem pobożności. W gabinecie reb Mendla obok pulpitu stał sześcioramienny lichtarz, w którym płonęły długie świece dla uczczenia pamięci zmarłych. Chociaż mieszkańcy ulicy Krochmalnej potrzebowali usług rabina, nie było mu tam łatwo zarobić na życie. Co tydzień zbierano datki, lecz Tirza-Perł podejrzewała, że szames, który obchodził domy, odkładał do swej kieszeni więcej, niż należne mu dwadzieścia pięć procent. Dochód rabina malał z każdym tygodniem, a wydatki w mieście były ogromne. Komorne

przyszło płacić co miesiąc, a nie raz do roku. Tirza-Perl kupowała masło na łuty, mleko na kwarty: drzewo na wiązki, a kartofle na funty. Krępowano ją robienie zakupów na rynku czy u rzeźnika. Jej sąsiadki nie nabywały produktów w tak małych ilościach, jak to ona czyniła. Gotowały w dużych garnkach, bo handel z Rosją przyniósł wzrost dobrobytu w Polsce. Wszędzie budowano domy czynszowe i otwierano nowe sklepy. Okna mieszkania reb Mendla wychodziły na to samo podwórko, co okna znajdującej się naprzeciw fabryczki pończoch i pracowni wyrabiającej przędzę jedwabną. W budynku mieszkali również szewcy, krawcy i stolarze. Tak, dzięki Bogu, Żydzi dobrze zarabiają. Ale rabin bez nominacji nie ma żadnego wynagrodzenia.

Reb Menachem-Mendel gładził rudą brodę. Jakiś późniejszy komentator próbował opracować analizę trudnego tekstu Majmonidesa, ale objaśnienia były kazuistyczne i dwuznaczne. Jego interpretacja stanowiła zaprzeczenie komentarza rabiego Samuela Edelsa. Czyż jest do pomyślenia, aby rabi Samuel Edels nie miał racji? Ludzie żyjący w nowszych czasach po prostu nie są zdolni pojąć dawnego sposobu myślenia. Jednak trzeba próbować, bo od czasu do czasu niebiosa oświecają uczonego. Reb Mendel pociągnął z fajki, podniósł do ust szklanekę, wypił łyk wystygłej herbaty, odstawił ją i potarł wysokie czoło. Próby rozwiązania tego zagadnienia to jak bicie głową o mur.

Czytał monotonnym, śpiewnym głosem. Kto by pomyślał, że sprawy przyjmą taki obrót? Jest oto w Warszawie. Jego syn zerwał ze swoją żydowską przeszłością. Azriel, chociaż miał już obowiązki ojcowskie, zdjął chałat i uczył się na lekarza. Mirele wyniosła się z domu, nie zamierzała wyjść za mąż, uczyła się fryzjerstwa. Trudniła się czesaniem bogatych pań. Naraz reb

Menachem-Mendel stwierdził, że nie ma dzieci. Cóż takiego popełnił, zadawał sobie pytanie, aby na to zasłużyć? Musiał w czymś zawinić. Azriel mógł poślubić córkę rabiego ze Skaryszewa, ale on, ojciec, wolał związek z córką Kalmana. I jaki to przyjęło obrót! Jedna z pozostałych córek Jakobiego porzuciła wiarę, sam Kaknan ożenił się z latawicą. Jest takie powiedzenie: Jedna parszywa owca wystarcza, żeby zarazić całe stado. Trudno było teraz przewidzieć, czy ktoś odmówi kadisz po jego śmierci. Gdyby przestał studiować Torę i spełniać -dobre uczynki, przybyłby na tamten świat z pUstymi rękami.

– No tak, zobaczymy, co mówi Oblicze Jozuego.

Dało się słyszeć pukanie do drzwi. Tirza-Perł jeszcze, spała i reb Mendel sam otworzył drzwi wejściowe. Na progu stała jakaś kobieta, odwrócił więc głowę.

– Tato, to ja, Mirele.

–| Ach, to ty. No cóż, wejdź.

Twarz oblał mu rumieniec. Od kiedy córka opuściła dom, wydawała się osobą obcą, czuł się w jej obecności skrępowany. Popatrzył na nią. Miała na głowie kapelusz, nie chustkę, i jakiś modny strój. Czyżby myła się pachnącym mydłem? Reb Mendel pociągnął z fajki.

– No więc, moja córko, co masz do powiedzenia? –

Przyszłam po bieliznę, której zapomniałam zabrać.

– Ach tak!

– Czy mama śpi?

– Zapewne śpi jeszcze.

– Ojczy, nie masz powodu gniewać się na mnie.

– Nie mam powodu, co? Twój brat odrzucił zupełnie religię. Jak słyszę, odwiedza nawet Miriam-Libę, która odstąpiła od naszej wiary. Ty opuściłaś dom rodzinny. Oboje przynieśliście nam tylko wstyd i hańbę.

– A co ja zrobiłam złego? Tyle że się uczę zawodu.

- Pierwszym obowiązkiem żydowskiej dziewczyny jest wyjść za mąż.
- Za kogo? Za tego gamonia Jojne? Ojciec sam mówił, że to głupiec.
- Ja? Broń Boże.
- Prędzej zostanę starą panną, niż poślubię takiego prostaka.
- No dobrze, ile teraz masz lat? Masz już dwadzieścia cztery, obyś się ustrzegła złego oka. Kobiety w twoim wieku mają już dzieci.
- Co na tym straciłam? Ktoś ze Skaryszewa mówił, że Jojne został pomocnikiem nauczyciela w chederze. Ma cho-
rą żonę i dom pełen dzieciarni. Wiele bym zyskała, prawda? Spójrz na mnie, tato, Możesz popatrzeć, nie jestem osobą obcą. Widzisz, jak jestem ubrana? Pracuję i zarabiam pieniądze. Nie muszę od nikogo zależeć. Czy to taki wielki grzech?
- |- Żydowska dziewczyna wychodzi za mąż.
 - I ja wyjdę. Nie mam siedemdziesięciu lat. Wybiorę sobie męża według własnego upodobania, a nie jakiegoś niedorajdę narajonego przez tego swata Jankiela. Jaka w tym obraza dla Boga?
 - Nikt nie może urazić Wszechmocnego. "Czy ma stanowić przyjemność dla Wszechmocnego to, że jesteś sprawiedliwy?" Przykazania są po to dane, aby ludzi wspierać. Wraz z ożenkiem następuje stabilizacja. Zadając się z rozwiązłymi kobietami, łatwo możesz zejść na manowce. Talmud mówi, że gdy wejdziemy do sklepu korzennego, przepoją nas przyjemne zapachy, lecz gdy wejdziemy do garbarni, będzie nieprzyjemnie czuć od nas po wyjściu. Słowa heretyków łatwo mogą usidlić człowieka. Kim są ci współcześni filozofowie? Banda morderców i rozpustników!

- Wielu z nich to ludzie przyzwoici.
 - Ciało jest dla nich wszystkim. Jeśli, jak oni mówią, Boga nie ma, to nie ma też znaczenia, jak się postępuje. Najpierw skusi nas jakiś mniejszy grzech, z chwilą gdy go popełnimy, nabieramy chętki na większy występki. Bez prawa i sędziego, który je stosuje, nie ma powodu do powściągliwości. Dlaczegoż więc nie poddać się złu całkowicie?
 - Dlatego że się jest istotą ludzką.
 - Istota ludzka! Jeśli człowiek nie służy Wszechmocnemu, jest nawet czymś gorszym niż zwierzę. Zwierzęta zabijają po to, żeby żyć, morderców raduje samo zabijanie.
 - Tato, jeśli o to chodzi, kim są ci wszyscy mordercy? Chłopi? Czyż nie pracują ciężko, aby wyżywić innych?
 - Reb Menachem-Mendel popatrzył zdumiony na córkę.
 - Po co ni stąd, ni zowąd mówisz o chłopach? Są wśród nich uczciwi, a są i występni.
 - A skąd się bierze chleb, który, spożywamy? Ktoś musi orać i siać, aby ojciec miał swój bochenek na szabas. Chłop pracuje dla innych, a sam chodzi głodny. Czy to się nazywa sprawiedliwość?
 - Takie przeznaczenie chłopu, ma być biedny.
 - Nie, ojcze, to nie przeznaczenie, a grabież. Wszyscy obdzierają chłopu ze skóry: ludzie interesu, arystokracja, nawet ci pobożni ojca Żydzi.
 - Tylko oszuści okradają ludzi.
 - Drzwi od sypialni otworzyły się i weszła Tirza-Perł. Narzuciła workowatą suknię, trzewiki miała nie zasznurowane, na głowie czerwoną chustkę. Twarz jej była ziemista i ściągnięta. Warszawa zrobiła z niej starą kobietę.
 - Patrzcie no, kto przyszedł. Znow się zaczynają spory!

– Zadałam ojcu proste pytanie, ale nie dał mi odpowiedzi.

n

Jak niezbadane są drogi Opatrzności! Temerł, zamiast poślubić Kalmana, teścia swego syna, została żoną rabiego z Komarowa, niedawno owdowiałego, który na dodatek był teściem jej córki Jentł. Związek został ułożony przez chasydów obu dworów. Chociaż Jochanan był mu przeciwny, nie próbował wpłynąć na matkę. Rabi z Komarowa nie wywodził się ze znakomitego rodu. Jego dziadek był mleczarzem, ojciec zaś, reb Abraham, zyskał sławę dokonując szeregu egzorcyzmów. Utrzymywano, że jego dotknięcie uzdrowiło paralytyka, że na dźwięk jego głosu kaleka odrzucił kule i stanął na nogach, a gdy ten świątobliwy mąż pobłogosławił niepłodną kobietę – odzyskała płodność. Przez całe życie walczył ze złymi mocami, wymierzał im ciosy swą laską i wypędzał na odludzie. Zarobki przechowywał w dzieżach kamiennych; a składały się na nie złoto; srebro i miedź, gdyż nie przyjmował pieniędzy w banknotach. Pozostawił wszystko synowi, Szradze-Mejerowi, który nazwał swego najmłodszego syna Abraham, po ojcu, i ten właśnie najmłodszy syn ożenił się z Jentł.

Aczkolwiek Szraga-Mejer przejął po ojcu ten osobliwy sposób postępowania, to rzesze jego wyznawców, a nawet najbardziej zapaleni chasydzi Komarowa nie łudzili się, że Szraga-Mejer dorównuje staremu rabiemu. Krzyczał i tupał, lecz złe duchy nie zwracały nań uwagi. Nie przychodzili do niego po pomoc ani ludzie pomyleni, ani niepłodne kobiety, ani ci, którzy nie mogli się pozbyć czkawkki, ani opętani przez demony. Brodę miał ogniście

rudą, nastroszone brwi. Patrząc na niego Temerł niejednokrotnie wybuchała śmiechem. Robił nader dziwne gesty, modlił się tak głośno, komentarze zaś religijne, jakie starał się pisać, były na poziomie analfabety. Temerł chciała jednak wyjść za mąż. Kto chce żyć samotnie?

Matka zgodziła się na ten związek, reb Szymon był mu przeciwny, ale negatywne stanowisko brata jedynie utwierdziło Temerł w przekonaniu, że postępuje słusznie. Ślub więc się odbył i Temerł zamieszkała w Komarowie. W parę tygodni po ślubie wybrała się do Marszynowa odwiedzić syna.

– Jak się mama czuje? – zapytał Jochanan.

– Niech będzie pochwalone imię Boże – odpowiedziała Temerł.

– Jak się powodzi rabiemu z Komarowa? – Jochanan wiedział, że powinien nazwać swego ojczyma "wujem", lecz nie mógł się zdobyć na wypowiedzenie tego słowa.

– Co się spodziewasz usłyszeć ode mnie? Jakoś sobie radzi. Kiedy trzeba odmawiać błogosławieństwa, to je odmawia. Odprawia modły na powitanie i zakończenie szabasu. – Przy wymawianiu tych słów, oczy Temerł błysnęły złośliwie. Nagle wyciągnęła chusteczkę i głośno wydmuchała nos. – Jochananie, podpisałam na siebie wyrok. – Łzy popłynęły jej po zwiędłych policzkach.

Jochanan «zadrżał. Żał mu dyłc matki, bał się jednak wysłuchiwać jej zarzutów przeciw mężowi, ponieważ prawo zabrania słuchać plotek. Czy jednak może nie dać jej się wyzalić?

– Nie obawiaj się, Jochananie, nie będę poruszała tematów zabronionych – odezwała się złośliwie.

– Może sprawy ułożą się lepiej.

– Jakim sposobem? Nie zrobisz jedwabnej sakiewki ze świńskiego ucha.

A czego się spodziewała, zastanawiał się Jochanan. Człowiek z takiej rodziny! Zmienił zatem temat.

– A u Jentł, wszystko dobrze?

– Chyba tak. Ten jej mąż to też barbarzyńca. W życiu nie spotkałam takich prostaków,

– No, no...

– Co mam robić, Jochananie? Nie mogę z nimi wytrzymać. Bez przerwy grają mi na nerwach.

– Trudno oczekiwać, żeby wszyscy ludzie byli jednokowi.

– Twój biedny ojciec był prawdziwym świętym. Oby zalety, jakie posiadał, nie przepadły! Podobny jesteś do niego, Jochananie, obyś dożył sędziwego wieku. Twój wuj, reb Szymon, to człowiek twardy, lecz przynajmniej mądry. Ale ta reszta! Czy wiesz, co robią, jak się najedzą? Oni – przepraszam, za wyrażenie –czkają. Nadchodzi godzina pierwsza po południu, wszyscy chrapią jak niedźwiedzie, O trzeciej już są znowu zgłodnieli. Potrafią myśleć tylko o jednym: o jedzeniu.

•– Mamo, rabi jest uczony w piśmie. «– Jochananie, mówisz jak dzieciak. Nawet ja, choć jestem tylko kobietą, łapię go na błędach. Gdyby jego skryba, sofer, reb Izrael, nie poprawiał wszystkiego, ludzie pękaliby ze śmiechu. Jeżeli trzeba coś napisać, pisze to reb Izrael. I co on z tego ma? Przymiera głodem. Mąż mój płaci mu obietnicami. To nie rabi, to po prostu nieuczciwy kramarz.

■– Mamo!

– Dlaczego się oburzasz? Czy tylko dlatego, że człowieka nazywa się rabim, to już nim jest? N9siwoda może mieć duszę rabiego, a rabi być zwykłym oszustem.

– Jo racja, mammo.

Zazwyczaj wielkie tłumy chasydów zjeżdżały do Marszynowa na Szewuot, a tylko nieliczni zjawiali się w tygodniach poprzedzających święta. Jochanan, aczkolwiek

oddany swym wyznawcom, cieszył się, że zazna trochę spokoju. Nic mu bardziej nie odpowiadało-jak odosobnienie. Otworzył księgę Dwie Tablice Przymierza i zagłębił się w traktacie omawiającym obrzędy i zwyczaje na Szewuot. Był tego ranka przygnębiony, lecz modlitwy poprawiły mu nastrój. Po cóż się martwi? Nie musi być święty. Przypuśćmy, że będzie się smażył w piekle? Skoro istnieje Stwórca, czego ma się człowiek obawiać? Jochanan przysłuchiwał się świergotowi ptaków. Kogut zapiał, być może właśnie jego wybiorą z całego stada i zarzną na święta. No cóż, co za różnica? Osoba, która zarzyna, nóż, kogut, to jedno i tó samo. Nie ma śmierci. Życie istnieje w każdym drzewie i w każdym źdźble trawy. Jochanan nasłuchiwał z większym napięciem, słyszał ćwierkanie świerszczy i kumkanie żab. W jesziwie mężczyźni czytali z przy- śpiewem Torą. Gdzieś obok dzieci recytowały ustęp z Pię- cioksiągu, czy też może z Miszny. Nagle motyl wleciał do pokoju i usiadł na stronicy księgi, którą Jochanan czytał. Wezbrała w nim miłość do tego stworzonka nie znającego zła i służącego Stwórcy we-właściwy sobie sposób. Zastanawiał się, czy motyl jest zdolny do myślenia. Czy w jakiś sposób wyczuwa świętość księgi, na której odpoczywa. Nakrapiane skrzydełka były delikatne jak jedwab. Czy stara się coś odczytać? Jest spragniony, a może głodny? Na stole stała szklanka z herbatą, którą Jochanan popijał czytając. Nalał kilka kropli płynu, rozpuścił w nim nieco cukru.

– Napij się – zachęcał motyla.

Lecz owad się nie poruszył. Cukier natomiast przyciągnął muchę. Stała na stole pochyliwszy maleńką główkę i zaplątawszy jakoś tylne łapki. Druga mucha opadła i usadowiła się na pierwszej. Jochanan widział, co te stwo-

rzonka robią. Wszystkie żyjące stworzenia łączą się, zarówno duże, jak i małe. Wszystko jest albo rodzaju męskiego, albo żeńskiego. Nagle zrozumiał znaczenie ustępu: "I raduj się drząc." On też drżał w pewnego rodzaju zachwycie. Kto nie poddaje się uniesieniu widząc wszędzie wielkość Bożą? Z nadejściem zimy ta biedna mucha umrze z zimna. On zapewne pożyje nieco dłużej. Nikt jednak nie jest nieśmiertelny. Chodzi tylko o duszę. Więc po co się martwić? Każdy musi służyć, jak potrafi. Trzeba się radować. Jochanan podniósł się i zaczął przechadzać tam i z powrotem. Bóg jest tu obecny, obserwuje go i słucha jego myśli. Grzeszników należy żałować, są również dziećmi Bożymi, zapomnieli jednak o swym Ojcu i cierpią męczarnie, mimo że oddają się zmysłowym uciechom. Jednak to cierpienie, jakie sobie zadają, służy jakiemuś celowi. Bóg stworzył szatana, by człowiek miał swobodę wyboru, chociaż droga wybrana przez grzeszników jest cięższa. Występek! Zniszczenie! Jochanan potarł czoło. Jego myśli zawędrowały w strefę zbyt niebezpieczną. Musi wyrzucić je z głowy. Chasydzi opowiadali mu o tajnej organizacji rosyjskiej, której członkowie postanowili obalić cara. Chcieli pomóc chłopom, nauczyć ich czytać, dostarczali gazet. Spiskowcy ci zabili jakiegoś gubernatora czy księcia i kilku z nich zesłano na Sybir. Jochanan chwycił się za brodę. Jak można obalić cara? A nawet gdyby do tego doszło, zastąpiłby go drugi car. Tymczasem rewolucjoniści cierpieli. Zimy na Syberii są bardzo mroźne. Jednak czy żołnierz zabijający¹ na rozkaz jest winny? Robi tylko to, co mu każą. Co zaś do cara, to carem się urodził. Jochanan dowiedział się[^] że wśród rewolucjonistów są Żydzi. Jęknął. Nic dziwnego! Ci, którzy porzucają Torę, przestają z niegodziwcami i mówią ich językiem, wpadają w sidła. DrWi się otworzyły,

wszedł szames Mendel. – Rebe, na dworze czeka przyjezdny chasyd, pragnąłby ciebie widzieć. Chce zasięgnąć twojej rady w jakiejś sprawie.

Jochanan wznosił rękę do góry. Modlił się ciągle o zmniejszenie rzeszy swych wiernych, mimo to chasydzi wciąż napływali. Jego zdanie? Jakiej rady musi znów udzielić? Nie może jednak odmówić przyjęcia tego człowieka.

– Dobrze, niech wejdzie.

Po tych słowach zjawił się drobny człowieczek o pożółkłych włosach. Brodę też miał żółtawą. Piegowata twarz, kapelusz, połatany chałat, nawet jego oczy – wszystko było żółtawe. Wraz z nim rozszedł się po pokoju zapach dziegciu i powiało zapachem dalekich dróg.

– Pokój z tobą, rebe.

– Pokój z tobą. Dzień dobry. Zajmijcie miejsce.

Mężczyzna stał nadal.

– Skąd przybywacie?

– Z Wysokiego. Właściwie to jestem chasydem przynależnym do Turzyska. Stamtąd, gdzie mieszkam, jeździ się na dwór rabiego albo do Turzyska, albo do Bełżca. W naszym miasteczku jest także paru chasydów z innych dworów, ale oni nie mają swych bóżnic. Jednym z nich jest stary chasyd z Kocka. Lubi żartować z członków gminy; w dziewiąty dzień miesiąca Aw smaruje serem wąsy, żeby ludzie myśleli, jakoby jadał w dzień postu. Oby cię to nigdy nie spotkało, rebe, ale mojej córce zaczęły dokuczać straszne bóle brzucha. Doktor w Zamościu kazał jechać do Lublina na operację. Zanim dojechała do Lublina, bóle ustały, ale doktor powiedział, że to nie ma znaczenia, że mimo to musi poddać się temu – jak się to nazywa – aha, zabiegowi chirurgicznemu. Wróciliśmy do Wysokiego, a rebe mówi: “No, jeśli czuje się lepiej, to i dobrze. Ja w każdym razie nie wierzę w

nóż." Zaraz jednak po powrocie do domu bóle zaczęły się na nowo. Wprost włożyła na ścianę. Poradzono zawieźć ją do Warszawy. W Warszawie jeden specjalista mówi: "Wyciąć to", nie pamiętam, jak on to nazwał. Drugi specjalista mówi: "Czekać." Rebe, obyś długo żył, masz opinię świętobliwego Zydą, i chociaż jestem chasydem z dworu w Turzysku, poniosłem wydatki, bo chciałem przyjechać do ciebie. Zrobię to, co ty, rebe, uznasz za najlepsze. Proszę wybaczyć, rebe, zapomniałem dać... – turzyski chasyd wyciągnął z kieszeni kawałek papieru, a z niego srebrną monetę.

– Dziękuję, nie biorę pieniędzy – posiedział Jochanan. – Jakiej mogę udzielić rady? Bóg jest doradcą.

– Hebe nie bierze pieniędzy?

– Nie. Mimo to dziękuję za dobre chęci.

– W. Turzysku nawet nędzarze dają. Ludzie mówią, że rebe, który nie bierze pieniędzy, nikomu nie pomoże.

– Widocznie rebe z Turzyska potrzebuje pieniędzy. Mój teść jest bogatym człowiekiem.

– Rebe, co mam robić z córką?

– Skąd ja mogę wiedzieć? Nie jestem lekarzem. Módlcie się i ja będę się modlił. Nigdy nie wiadomo, czyje modlitwy zostaną wysłuchane.

– Ale potrzebuję twej rady, rebe. Jestem człowiekiem nieuczonym. Jak mogę się na coś zdecydować? Każdy specjalista mówi co innego. Rabi z Turzyska nie wierzy w nóż, choć jest on nieraz konieczny. Nawet synowa samego rabiego miała operację. Jeździła aż do Wiednia.

– Ach tak? Widocznie operacja była konieczna.

– Rabi odradzał jej, ale go nie usłuchała. Doktorzy mówią, że operacja uratowała ją od śmierci. Jej ojciec też jest rabim, to on nalegał na operację.

– Ważne jest nade wszystko poszanowanie woli ojca. ;

- Rebe, co powinienem zrobić?
- Poradzić się innego lekarza.
- Nie mam ani rubla. Ostatniego wydałem na podróż tutaj. Musisz mi coś doradzić, rebe.

Jochanan spojrział w dół i zobaczył coś, co go poruszyło. W kieszonce atłasowej kamizelki miał złoty zegarek, prezent ślubny od Kahnana. Ogarnęło go uczucie wstydu. Oto szukał w szufladzie paru groszy dla tego biedaka, a tu, w kieszeni, ma kawałek złotego kruszcu, z jakiego wyrzeźbiono starożytnego cielca. Biada mu. Jak łatwo człowiek zapomina i dostaje się w sidła szatana. Wyciągnął zegarek jak coś nieczystego.

– Reb Szlojme, tak się nazywacie, prawda? Weźcie ten zegarek i sprzedajcie. Nie mówcie nikomu, że wam go dałem. To jest złoto, czyste złoto.

– Zegarek rebego? Nie, nie mogę.

– Proszę was, reb Szlojme. Nie wolno mi trzymać takich rzeczy w domu. Im dłużej to mam, tym bardziej grzeszę. Uwierzcie, okażecie mi w ten sposób pomoc. Może dzięki wam zostanie mi kiedyś wybaczone. Nie powinienem- był go nosić ani jednego dnia. Poradźcie się specjalisty, a jeśli zostanie wam coś pieniędzy, wykorzystajcie je na podróż.

– Ależ ja nie mogę przyjąć od rebego zegarka.

Rebemu trzeba dawać, a nie od niego brać.

– Reb Szlojme, proszę was. Wszechmocny przyjdzie wam z pomocą, ponieważ wy mnie pomogliście.

Odmawiam przyjęcia zegarka.

– Nakazuję wam go przyjąć.

Jochanan wiedział, że nie powinien był użyć słowa: “nakazuję”. Tylko święci wypowiadają tego rodzaju słowa. Nie widział jednak innego sposobu na przełamanie oporu. Jochanan począł się modlić po cichu

o zgodę wśród chasy- dów. Żółte ręce Żyda z Wysokiego zaczęły drżeć.

– Rebe, jesteś święty, wielki święty.

– Proszę was, nie wolno mówić takich rzeczy. Czynię tylko to, co nakazuje prawo. W dawnych czasach nie znalazlibyście ani grosza w domu rabiego, a w moim jest złoto. To świecidełko może uratować czyjeś życie. Na co mi się ono przyda? Weźcie je. Bóg was na pewno wspomůže.

– Czy rebe może na to przysiąc?

jj Z pomocą Wszechmocnego.

– Nie wyjdę, dopóki rebe nie przyrzeknie, że mojej córce zrobi się lepiej.

Jochanan znalazł się w rozterce. Czego ten człowiek od niego oczekuje? Jak można udzielić takiego zapewnienia? On sam jest grzesznikiem. Być może popełnił wiele grzechów, jak ten wykryty dziś. A ile było innych przewinień, o których zapomniał? W tej chwili zły duch nakłania go do wkroczenia na drogę dumy. Jedyne rozwiązanie to uciec, żyć na wygnaniu. Czy jednak powinien przyrzec?

Jeśli odmówi, ten człowiek może to uznać za zły omen.

– Tak, przyrzekam.

– Ona wyzdrowieje?

–■ Z bożą pomocą sprawi ci radość.

– Rebe, moje interesy źle stoją.

– Ten, kto daje życie, daje d pożywienie.

– Rebe, moją żonę boli kolano. Mówią, że to h e r m e - t y zm.

Jochanan z trudem powstrzymał uśmiech. Reb Szlojme miał na myśli "reumatyzm". Zagryzł wargę i przywołał na pamięć wygnanie Żydów, zniszczenie świątyni i cierpienia narodu żydowskiego. Odejmując ręce od twarzy odezwał się:

|Sj Żona twoja będzie całkiem wyleczona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

I

Kiedy się urodził syn Aleksander Jakub, czyli Sasza, jak go nazywała Klara, Kalman nie posiadał się z radości. Bóg obdarzył go spadkobiercą. Klara miała ciężki poród, w czasie ciąży bardzo utykała. W środku zimy zachciało jej się wiśni i Kalman dołożył wszelkich starań, aby je dostać od bogatego ziemianina, który miał oranżerię. Sasza przyszedł na świat jako duże i silne niemowlę. Akuszerka z Warszawy oświadczyła, że cudem udało się odebrać dziecko feez uszkodzenia łona matki. Wrzeszczał jak sześciomiesięczny bobas, a na głowie miał czapę czarnych włosów. Obrzezanie odbyło się hucznie niczym wesele, urządzono dodatkowe przyjęcie dla ubogich. Na uroczystość przybyli obaj rabini: ten ze Skaryszewa i nowy rabin z Jampola. Dziadek dziecka, Daniel Kaminer, odmówił błogostawieństwa. Chociaż piersi Klary wezbrane były mlekiem; przyjęła mamkę. Pokój dziecinny urządzono wspaniale. Klara kupiła wagę do ważenia niemowlęcia, wózek dziecinny sprowadziła z Berlina, czytała książki i artykuły o pielęgnacji niemowląt. Chłopczyk rósł, zaczął chodzić i mówić w dziesiątym miesiącu życia. Kalman nabył dla niego amulet, który miał go chronić od złego oka.

Przed ukończeniem trzech lat Sasza zaczął włązić na drzewa. Był nieokiełzany i psotny, znęcał się nad zwierzątkami, które mu przynosiły w darze wiejskie dziewczyny, chciał rozdeptać szczenięta, próbował zadusić kociaki. Wyrzucił do wody kurczątko. Tłukł zabawki- na kawałki.

Znalazł gdzieś nóż i odciął głowi lalce. Początkowo Kalman pocieszał się myślą: to wszystko dlatego, że chłop-

czyk – niech go oszczędzi złe oko – jest zadziwiająco silny. Jednak w miarę upływu czasu dziecko było nadal niepoprawne, a obawy Kalmana wzrosły. Upominał Klarę, że chłopiec za dużo je. Zabronił mu dawać takie zabawki, jak biczyki, miecze, strzelby. Ale Klara nakazała mężowi nie wtrącać się w te sprawy.

Chłopiec stał się tematem plotek całego Jampola. Ludzie śmiali się z niego i przeklinali. Klara kupiła synkowi kucyka i bryczuszkę z ozdobnym zaprzęgiem. Zabroniła mu rozmawiać po żydowsku i przyjęła francuską guwernantkę. Pouczyła go, żeby nie odpowiadał, jeśli ktokolwiek zwróci się doń imieniem Senderł, a reagował tylko na rosyjskie Siergiej i Sasza. W końcu i Klara zaczęła mieć z nim trudności. Roztył się z przejedzenia, potrafił uderzyć guwernantkę lub służącą. Śmiał się nieopanowanie. Ludzie z miasteczka przezwali go Izmaelitą. Kalman się wściekał, lecz przezwisko akurat pasowało do chłopca, bo Sasza był dzikusiem.

Wreszcie po wielu rozmowach Kalman przekonał Klarę, że należy przyjąć nauczyciela, który będzie uczył chłopca religii. Sasza pociągał nowego nauczyciela za brodę i wyśmiewał się z jego tałesu. Wrogowie Kalmana orzekli, że sam diabeł wyziera z czarnych oczu jego syna. Chłopiec z każdego się wyśmiewał, pokazywał język, pluł, drwił z żargonu żydowskiego. Nagle dostał manii podpalania. Nie sposób było schować przed nim zapałki. Co tylko wpadło mu pod rękę, stawało w płomieniach. Służba przepowiadała, że spali dwór. Wreszcie sama Klara za karę go udą- % rzyła. Wybuchnął śmiechem i oddał uderzenie. Potem zaczął ryczeć i dostał mdłości. Pewnego popołudnia podpalił stóg siana. Wtedy Kalman sprawił mu lanie. Chłopiec zawołał: – Ty parszywy Żydzie! – i kopnął ojca.

Kalman stracił nad sobą panowanie i uderzył Saszę z całej siły, potem zamknął się w swoim pokoju i zaszlochtał. Pierwszy raz od pogrzebu Zedy płakał na głos. Sasza miał spuchnięty-policzek, krew szła mu z nosa, Klara zaczęła walić pięścią w drzwi pokoju Kaima na, a gdy je uchylił, wykrzyknęła:

– Jeżeli jeszcze raz dotkniesz mego syna, zabiję cię]

Kalman otworzył drzwi na całą szerokość.

– No to dalej, zabijaj, ty ladacznico. Twoja zepsuta krew płynie w jego żyłach.

– Uważaj, Kalman, po raz ostatni cię ostrzegam.

Następnego dnia Kalman pościł i odmówił całą Księgę Psalmów. Przysiągł, że to już koniec, że nigdy się z żoną nie pogodzi, lecz tejże nocy przyszła do niego, pocałowała, połechtwała, zaczęła figlarnie liczyć włosy'na brodzie i przyrzekła zaniechać wojny z nauczycielem hebrajskiego. Po kilku dniach doszła do wniosku, że trzeba koniecznie odnowić dwór. Już dosyć się naczekała. Budynek jest strasznie staromodny, a dach cały w łatach, wprost nie do wiary.

– Zadowalał hrabiego. Dlaczego nie jest dość dobry dla ciebie? – opierał się Kalman.

– Hrabia! Wiesz przecież, że to wariat.

Zaledwie nastąpiło pojednanie, wynikła nowa kłótnia. Taka przebudowa dworu pociągnie za sobą wiele tysięcy, oponował Kalman. Kapitały miał ulokowane w interesach, brakowało mu gotówki. Zresztą, na pierwszym miejscu to, co dla Boga, a już obiecał zbudować bóżnicę w swoich włościach. Klara się śmiała, płakała, groziła, wyzywała go i ostrzegała, że ucieknie z dzieckiem lub popełni samobójstwo. Oznajmiła nawet, że weźmie kochanka i przyprawi mu rogi. Siedział na łóżku w długiej nocnej koszuli, w mycce na głowie, z

rozczochną brodą i wymachiwał nogami. Klara nie lubiła sporów po ciemku, więc zapaliła świecę. Kalman zobaczył swe odbicie w lustrze, brodę miał już przetkaną siwymi włosami. Wzywały go liczne zajęcia, a tu tracił czas na użeranie się z tą suką, która urodziła potwora. Chodziła tam i z powrotem po pokoju, boso, z włosami rozpuszczonymi na ramiona, przez nocną koszulę prześwitywały jej piersi.

– Zdzierasz niepotrzebnie język, mój Kalmanku. Dom będzie przebudowany. Cała ta gadanina tyle warta co puszczanie krwi nieboszczykowi.

18 – Dwór

B

– Najpierw wybudują bóżnicę i mykwę. /

– Mykwę? Kogo masz zamiar w niej moczyć, królowę Saby?

– Ty wulgarna kobieto!

– Ty nędzny, stary rozpustniku.

Kalman nie mógł dłużej słuchać podobnych bluźnierstw. Podczas ciąży, kiedy obawiała się o swe życie, modliła się do Boga. Teraz, czując się w pełni sił, bluźniła. Chwycił poduszkę i koc i poszedł spać do innego pokoju.

II

Klara sprzeczała się zarówno z Kalmanem, jak i z ojcem. Daniel Kaminer zgłupiał na stare lata i chciał się żenić z Celiną, córką pani Frenkiel. Klara starała się zapobiec temu małżeństwu. Była jedyną spadkobierczynią, a jeżeli ojciec się ożeni, spłodzi jeszcze pół tuzina dzieci. Ojciec i córka wymieniali złośliwe uwagi, sprzeczaali się i kłócili. Klara oznajmiła ojcu, że jego kontrakt z rządem łatwo może być zerwany. Generał Rittermajer woli z nią prowadzić interesy.

Ponieważ ona kieruje majątkiem, jest w stanie przelicytować ojca. Ponadto dała mu lekko do zrozumienia, że mogłaby ujawnić jego nieczyste sprawy. Kaminer, Choć wściekły na córkę, wybuchnął śmiechem. Nikt jej nie przechytry. Zaproponował kompromis: da teraz Klarze połowę swego majątku. Po co miałyby życzyć mu śmierci? Ale może mimo to zechce go otruć? Klara roześmiała się.

– Gdybyś nie był moim ojcem, sama bym wyszła za ciebie za męża.

– Aha. A gdyby twoja babka była na kółkach, to by się mogła toczyć.

– Szczerze mówiąc, po co. ci ta Celina? >~ zapytała Klara zakładając nogę na nogę. — Znacznie wygodniej żyć nadal tak, jak dotychczas. Wiesz, co mam na myśli.

– Inaczej to wygląda, gdy nadchodzi starość.

– Czy ona rzeczywiście ciebie pociąga? Taki z niej flejtuch. Pewnego dnia ona i jej pokój zatoną w brudzie. Do-
tąd spędzała życie w łóżku u matki, prześpi je do końca u
ciebie.

– Obudzę ją, gdy zajdzie potrzeba.

– Co za człowiek! – powiedziała Klara ze śmiechem. Ubóstwiała swego ojca. Tych dwoje wspaniale się rozumi-
miało.

– Skąd wiesz, że ciebie zechce? – zapytała.

– Trzeba to będzie omówić z ciocią.

– A kto ma to zrobić?

– Ty – powiedział Daniel Kaminer.

Rozmowa toczyła się dalej, ojciec i córka chcieli prześcignąć się nawzajem w dowcipach i w rozwiązłości języka. Daniel Kaminer zaprzeczał, jakoby jego majątek był tak duży, jak utrzymywała Klara, lecz ona wiedziała o każdym rublu. Obliczyła z ołówkiem w ręku dokładny podział majątku. Targowali się oboje jak przekupnie.

Potem znów zaczęli się przekomarzać. Naraz Daniel Kaminer posmutniał.

– Gdyby twoja matka żyła... – Oczy mu zwilgotniały. I Klarze chciało się płakać. Podeszła do kredensu, wyjęła butelkę pejsachówki i karafkę z likierem, nalała ojcu wódki, sobie likieru. Było jej przykro[^] że na stare lata ojciec chce zastąpić matkę inną kobietą. Lecz rola swatki nieco ją ułagodziła. Przewidywała jednak trudności z Celiną. Ta głupia dziewczyna nie jest w stanie powziąć żadnej decyzji. Trzeba to będzie za nią zrobić. Z drugiej strony przyjemnie mieć pretekst, żeby pojechać do Warszawy. A najważniejsze z tego wszystkiego to oczywiście pieniądze, jakie otrzyma od ojca. Po co czekać na spadek? Miała nadzieję, że ojciec dożyje stu lat albo i dłużej. Któż był jej bliższy na całym świecie od niego?

Od pewnego już czasu chciała pojechać do Warszawy i to z kilku powodów. Projekty przebudowy dworu wymagały pomocy architekta. Zależało jej również na naradzie ze swoim prawnikiem. Poza tym chciała zobaczyć się z kilku osobami, między innymi z Miriam-Libą i jej upartym mężem Lucjanem, jak również z Azrielem. Aż do czasu zajścia w ciążę Klara nadskakiwała Wallenbergom, ale ciężki okres ciąży przerwał jej towarzyskie kontakty. Po porodzie korowody mamek, pokojówek, wychowawczyń |wypełniały całe dni. Do urodzenia Siszy tylko parę razy była w Warszawie z wizytą u lekarzy. Minęły już trzy lata od narodzin dziecka, a Klara wyglądała młodziej i piękniej niż kiedykolwiek. Jednak zorganizowanie tego wyjazdu nie było tak łatwe, jak by się mogło wydawać. Sasza był nieokielzany, Klara nie chciała zatem powierzać go służbie. Z niechęcią myślała o odjeździe i pozostawieniu swego dobytku. Obawiała się włamania do dworu. Z dru-

giej strony nie mogła bez przerwy warować przy swym dobytku jak pies na łańcuchu. Cóż by to było za życie dla bogatej, inteligentnej kobiety? Musi wynająć służbę, której będzie mogła zaufać. Musi też znaleźć odpowiedniego wychowawcę dla Saszy. Chłopcy bardziej poważają nauczycieli niż nauczycielki.

Nie chciała zostawiać w domu zagniewanego męża, pogodziła się więc z Kalmanem. Niech sobie buduje tę swoją mykwę i bóżnicę i Dowie się w Warszawie, ile wyniosą koszta takich budowli. Posunęła się nawet dalej. Opowiedziała Kalmanowi o swoim układzie z ojcem i zaproponowała pożyczkę pieniężną na realizację tych projektów. Przecież jest jego żoną i matką jego syna.

– Kalmanku – mówiła głaszcząc mu brodę i zaglądając w oczy – ty sobie nie zdajesz sprawy, że jestem twoim najlepszym przyjacielem.

– Gdybyś zawsze taka była jak teraz – odrzekł Kalman łagodząc swój gruby głos. – Niczego więcej nie pragnę tylko żyć po ludzku i pamiętać o Bogu.

– A ty myślisz, że ja chcę czego innego? Oby choć połowa moich życzeń dla ciebie sprawdziła się... Twoje powodzenie jest i moim.

Kalman zaspokoiwszy pożądanie wkrótce zaczął chrapać, lecz Klara długi czas leżała nie mogąc zasnąć. Miała wrażenie, że zegar tyka w gorączkowym pośpiechu. Puls jej bił równie szybko. Projektom, pragnieniom, nadziejom nie było końca. Krew w niej wrzała. "Co się ze mną dzieje?

Dlaczego jestem taka napięta? I czego się tak boję?" – zadawała sobie pytanie. Znała odpowiedź: na jej ścieżce dó szczęścia zawsze leżały liczne przeszkody.

III

W Warszawie Klara pojechała na Marszałkowską kupić prezenty dla ciotki i Celiny, zanim się udała na ulicę Miodową. Co za szaleństwo, Celina zostanie jej macochą! Mężczyźni to tacy głupcy... Kupiła duże złote kolczyki dla pani Frenkiel i "szyjkę" z futerka dla Celiny. W doświadczonej spojrzeń, jakim obrzucił ją subiekt, zobaczyła uznanie dla własnej urody. "Piękna ze mnie kobieta – pomyślała. – Warta jestem grzechu." Wyobraziła sobie, że jest mężczyzną zakochanym w takiej jak ona kobiecie. Wsiadłszy do dorożki, położyła paczki na kolanach. Doświadczenie ją nauczyło, że nie ma osoby, której nie da się przekupić. Nawet do łask bożych można się wkupić budując mykwę lub bóżnicę. Ten letni dzień był ciepły, lecz nie za gorący. Rześki powiew dochodził od Wisły. Zapach świeżych owoców i młodych kartofli przenikał powietrze. Stróżę opryskiwali ryszotki białym płynem podobnym do rozpuszczonego wapna. Mimo hałasu, jaki powodowały dorożki, omnibusy, karety i tłumy pieszych, słychać było świergot ptaków. Nadeszło południe. Klara nic nie jadła od wczesnego śniadania, ale nie chciała się zjawić u ciotki z pełnym żołądkiem. W pojęciu pani Frenkiel, gość wyrządził jej największą zniewagę, jeśli najadał się tuż przed wizytą. Uwielbiała przyjmować u siebie ludzi i być gościnną, lubiła też dawać i otrzymywać prezenty. Na klatce schodowej unosiły się różnorodne zapachy. Zapach barszczu, kotletów, pomidorów, pietruszki. Klara wciągnęła głęboko powietrze. Poczowała wzmożony apetyt. Kiedy zapukała, dwie panny podbiegły otworzyć drzwi, a zobaczywszy, kto przyszedł, zaczęły klaskać w dłonie i wydawać radosne okrzyki. Klara nigdy nie przychodziła z pustymi rękami. Pani Frenkiel pośpieszyła do nich z nożyczkami w dłoni.

Zapomniała w tym pośpiechu je położyć. Pocałowała Klarę najpierw w usta, potem w oba policzki, a na dodatek zaczęła pisać z radości. Klara ucałowała również dziewczęta.

– A gdzie Celina? – zapytała.

Chociaż południe już minęło, Celina była wciąż w szlafroku kąpielowym i rannych pantoflach. “No cóż, jeśli wydaje się ojcu pociągająca, nie mam nic przeciw temu”, myślała Klara całując Celinę.

– Boli ją ramię – wyjaśniła pani Frenkiel usprawiedliwiająco. – Zeszłego wieczoru natarliśmy ją terpentyną, ale to nie pomogło. Więc kazałam jej spać, jak długo zechce. Zresztą nie ma po co się zrywać.

– Nigdy nie wiadomo, może wysiedzi w łóżku parę jak... Ciociu, coś wam obu przyniosłam.

– Prezenty! Klaro, jiiiKt z ciebie rozrzutnica!

– A co byś chciała, mam zabrać pieniądze do grobu? Te kolczyki są dla ciebie, ciociu. Czyste złoto!

– Ależ to za wiele, Klaro. Wyobrażam sobie, ile musiały kosztować.

– A tę “szyjkę” kupiłam dla ciebie, Celino. Dotknij, jakie to przyjemne futerko.

– Mamo, spójrz no! Czy to nie cudowne? Ach, Klaro, to wprost wspaniałe.

– Sza, nie rób takiego zamieszania. Ładna z ciebie dziewczyna i powinnaś nosić ładne rzeczy. No dobrze, a wy wszystkie nie gapcie się tak na mnie. O żadnej nie zapomniałam. Każda coś dostanie. Doprawdy, ciociu, głodna jestem jak wilk.

– Jesteś głodna? jg I pani Frenkiel pobiegła do kuchni w podskokach jak dziewczynka.

Na płycie kuchennej dusiła się w rondlu pieczeń, a w drugim garnku gotował się groszek. Pani Frenkiel kupiła wszystko, ęo sprzedawcy uliczni zachwalali tego dnia na

podwórku: maliny, agrest, wiśnie i porzeczki. Chleb pozostał ze śniadania, ale pani Frenkiel posłała jedną z pań do piekarni po świeży bochenek i ciepłe kajzerki. Klara miała na sobie kostium, zdjęła więc żakiet i kapelusz

ze strusim piórem – kreacje ciotki. Kiedy została w samej bluzce i spódniczce, widać było, że utyla w talii i miała obfity biust. Po urodzeniu dziecka figura jej zaokrągliła się. Nie musiała już teraz wypychać bioder i pośladków.

— Ach, Klaro, jaki ty masz nadzwyczajny gust." Wszak to nowa broszka.

Dziewczęta spoglądały na nią z podziwem. Każda chciała przyjrzeć się jej i dotknąć. Jedna z nich, znająca się na gatunkach tkanin, podniosła rąbek spódnicy Klary, żeby przyjrzeć się materiałowi po lewej stronie. Klara odpowiadała na wszystkie pytania. Ponieważ korzystała z paryskich żurnali, potrafiła opisać najnowszą modę. Wśród tego za-, mieszania weszła pani Frenkiel z przystawkami. Zawołała, jak na kury na podwórku:

— Sio, a sio! – Dziewczyny ze śmiechem czmychnęły do swoich drutów i piór. Miały dużo roboty, szykowały kapelusze na sezon zimowy.

Klara nie chciana sama usiąść do stołu, namawiała panią Frenkiel i Celinę, żeby coś z nią przekąsiły. Pani Frenkiel przeciągnęła palcem pod brodą przysięgając, że jest pełna aż potąd, ale zaraz po pierwszym kęsie apetyt jej wrócił w cudowny sposób. Celina prawie nic nie tknęła. Matka skrzywiła się pogardliwie.

— Spójrz tylko na nią, Klaro. To całe jej śniadanie.

— Zjadłam już precel z mlekiem.

— To się nazywa jedzenie? Co z nią będzie? – Pani Frenkiel zmieniła ton. Klaro, moja kochana, ta dziewczyna mnie zabije. Nie sypiam po nocach. Trudno na całym świecie o taką ciamajdę, która by nie znalazła

sobie męża. Lecz Celina zostanie starą panną. Mnie aż tu boli – powiedziała przykładając dłoń do piersi. – Dziewczyna, która nie chce opuścić domu.

– Albo mama by mi pozwoliła?"

– Cicho bądź, bo oberwiesz po tej twojej zuchwałej gębie. Przychodził tutaj do niej pewien młody człowiek, krawiec damski, piękny jak malowanie, z takim malutkim wąsikiem. Na jego widok dziewczyny wprost mdlały. Pracował u Zylberminca, zarabiał dwadzieścia rubli na tydzień

i był zwolniony od służby wojskowej. Nic dziwnego, że rój dziewcząt kręcił się dokoła niego. Kto dziś dostanie takiego księcia? Najpierw przychodził ze względu na jedną klientkę, ale jak zobaczył Celinę, myślałam, że dostał ataku epilepsji. Mnie to ucieszyło. Kto wie? Może są dla siebie przeznaczeni. Moje sztywne przyjaciółki już mi zazdrościły. Ale czy ta dziewczyna choć trochę się wysiliła? Tyle prawie co ta ściana. On mówił, ona ziewała. Prędko przestał się nią interesować. Czy słyszałaś kiedyś coś tak okropnego?

– A co w tym okropnego? Mnie on się nie podobał.

– A kto ci się podoba, ty wariatko? Klara się uśmiechnęła.

– Jak on wygląda, Celino?

– Ach, to zwyczajny fircyk. Stara się robić wrażenie kogoś ważnego.

– A ty kim jesteś? Tak się składa, że jesteś moją córką i że muszę cię kochać. Ale gdybyś nią nie była...

Pani Frenkiel nie dokończyła zdania. Z jej oczu potoczyły się łzy. Wyjęła chusteczkę i wydmuchała w nią swój zakrzywiony nos.

Tegoż popołudnia, kiedy Klara oznajmiła, że ojciec czując zbliżającą się starość zaczyna się rozglądać za żoną, za kimś godnym zaufania, lewe oko pani Frenkiel

nagle się otworzyło. Już dawno przychodziło jej do głowy, że gdyby Daniel Kaminer nie był taki skąpy i sprośny, chętnie by się za niego wydała. Mężczyzna żyjący samotnie ma się gorzej od psa. A jak długo ona będzie jeszcze mogła prowadzić swój magazyn? Siły ją opuszczają.

Rozumiesz, Klaro, będę musiała pomówić o tym z Celiną. |

– Az kim by innym? – zapytała Klara. – Przecież tu chodzi o Celinę.

Pani Frenkiel nastroszyła się jak kwoka siedząca na jajach. Oczy jej nabiegły krwią. Głos nabrał przenikliwego brzmienia.

– Myślałam, że z ciebie inteligentna kobieta– wyjaśniła ostro – ale mówisz jak półgłówek.

–Ciociu, nie oszukujmy się nawzajem. Celina to już nie dziecko. Zanim się obejrzysz, stuknie jej trzydziestka. Pora wyjść za mąż. A mój ojciec też nie osiemdziesięcioletni starzec, nie ma nawet siedemdziesiątki.

– Nie chcę więcej o tym mówić, Klaro, wolałabym ją raczej widzieć na cmentarzu, na Gęsiej.

–No cóż, jak nie, to nie. Ale nie co dzień nadarza się taka sposobność..

–Klaro, czuję się dotknięta. No dobrze, wiem, że to twój ojciec, ale poza tym co za nim przemawia? Jest wstrętnym litwakiem i rozpustnikiem. Nie możesz znaleźć dla Celiny kogoś lepszego? Powinnaś się wstydzić.

–No dobrze, wstydzę się, lecz nie mówię od siebie, to ojciec mnie przysłał. Nie myśl, ciociu, że otrzymam zapłatę jako swatka. Zapomnijmy, że Celina jest twoją rozpieszczoną córką i spójrzmy prawdzie w oczy. Jest już niemłoda, nic nie umie, na pewno nie zajmie się domem! Jaki z niej pożytek? Ojciec wie o tym wszystkim.

Przypuśćmy, że dostałaby młodego męża. Jak tylko zaczęłaby z nim tak postępować jak z tobą, wręczyłby jej papiery rozwodowe.

– O czym ty mówisz? To czarująca słodka dziewczuszka, a i ładniutka. Zgadzam się, że jest trochę rozpieszczona, ale będzie z niej dobra żona. Nie włóczy się jak te dzisiejsze latawice.

– I kogo złapie? Damskiego krawca? Jeszcze się jej nie oświadczył. Od flirciku do słów: "I oto jesteście poślubieni", droga jest długa. A nawet jeśli stanie z nią pod baldachimem, co to znaczy dwadzieścia rubli tygodniowo? Będziesz musiała dać jej posag. Młody człowiek nie zechce wiecznie pracować na czyjeś utrzymanie. Pewno jest od niej młodszy i będzie musiała mu matkować. Kiedy pierwszy raz zaklnie na nią, w te pędy przybiegnie do domu. Ciociu, życzę jak najlepiej Celinie. Kocham ją jak własną siostrę. Ale trzeba patrzeć praktycznie.

– Ach tak, to ty chcesz być praktyczna? Twój pjeciec to starzec, a na dodatek pijus.

– Ileż to on ma lat? Pozwól sobie powiedzieć, że jest mocniejszy od wielu młodych. Poczulaś kiedy uścisk jego dłoni? Jest szczupły, ale silny. Wypije od czasu do czasu, ale nigdy się nie upija. Nie spotkałam w życiu bardziej inteligentnego mężczyzny. Życzę tobie takich pieniędzy, jakie on robi. Jest też wykształcony, zna hebrajski. Wiem, że mówię jak swatka, ale jesteśmy przecież w rodzinie. Przepisze na Celinę jeden ze swych domów czy coś w tym rodzaju. Ponadto w kontrakcie ślubnym umieści się klauzulę na odpowiednią sumę. Jednego może być pewna, nie zazna biedy. Spójrz na mnie, ciociu! Czy nie wyszłam za mąż za mężczyznę o dwadzieścia lat starszego? Nie byłam dużo starsza od Celiny, gdy poślubiłam Kalmana. Pani Frenkiel potrząsała głową z

boku na bok. – Z ciebie taki krętacz, Klaro, masz głowę mężczyzny na karku. Kalman różni się od twego ojca, to człowiek godny szacunku. Utracił żonę i ożenił się ponownie. Twój ojciec jest wdowcem od trzydziestu lat. Nie można zmienić mężczyzny, który jest rozpustnikiem.

– No cóż, jak nie, to nie. Ale nie nastawisz mnie przeciw ojcu. Gdybym nie była jego córką i nie miała męża, sama bym wyszła za niego za mąż. On zna świat. Można z nim porozmawiać/Warto wysłuchać każdego słowa, jakie wypowiada.

– Powinien mieć żonę w tym samym wieku.

– Dlaczego, jeśli może wziąć, kogo tylko zapragnie? Nie gniewaj się, ciociu, jest takie stare powiedzenie, które mówi, że mężczyzna ma prawo oświadczyć się nawet rabinowej.

– Nie czuję się dotknięta.

Obie kobiety zapadły w milczenie. Pani Frenkiel siedziała z nosem zmarszczonym, wysuniętą dolną wargą, usiłując opanować gniew. Poczwała wielkie zmęczenie. Była w pełni świadoma, że Celina nie da się zaciągnąć pod baldachim ślubny, ale już sam fakt, że ktoś ośmielił się zaproponować jej starego wdowca, stanowił zniewagę. Stało się teraz jasne, dlaczego Klara tak hojnie wystąpiła z prezentami. “Chytra wiedźma – myślała pani Frenkiel. – Wkrada się w moje zaufanie, a potem obrzuca błotem. Dla Celiny lepiej będzie, jeśli umrze jako stara panna.”

Oczy Klary za-

błysły, gdy rozważała w myślach: “Co dla mnie za różnica? Wymyka się ojcu ta okazja. W każdym razie nie jest to jej ostatnie słowo.”

Podniosła się.

– Ciociu, nie rozstawajmy się jak wrogowie.

– Nie ma żadnego powodu. Czy coś na tym straciłam? Siadaj, przyniosę ci deser z jabłek.

– Nie, ciociu, muszę już biec.

Klara szybko rzuciła na siebie okiem w lustrze i wyszła. Pod panią Frenkiel drżały kolana. Nawet własna pracownia wydała się obca. Stała na jej progu i przyglądała się krzątaniu i całemu rwetesowi. Jedna z dziewcząt prasowała, druga naciągała filę, trzecia spryskiwała wodą materiał. W pokoju było piekielnie gorąco, w powietrzu unosiły się kłęby pary, rozchodził się zapach spalenizny. “Jak diabły w piekle. Co one robią? Po co mi to wszystko? Nie mam już siły ciągnąć tego dalej.”

Pobiegła na poszukiwanie Celiny, znalazła ją w łazience – właśnie zdejmowała nocną koszulę.

– Mamo?

– Popatrzcie tylko na nią!

Pani Frenkiel zatrzasnęła drzwi. Czuła gorzkość w ustach. Przez całe życie ciężko pracowała i na co jej przyszło? Inne matki miały jakieś zadowolenie ze swych dzieci. Ona urodziła tego zgniłka. Dziewczyna, która spędza całe życie w łóżku i nie chce nawet zanurzyć rąk w wodzie? Czy zasługuje na kogoś lepszego od starucha? Co z nią będzie, gdy zabraknie oparcia w matce? Nie odziedziczy żadnego majątku. Pani Frenkiel wyobraziła sobie siebie jako zmarłą; kto ją okryje całunem? Nagle zwróciła myśli ku Bogu. “Po co ja żyję? – zadawała sobie pytanie. – Co stanie się z moją duszą?” Jedno, co mogła uczynić za życia, to kupić miejsce na kirkucie przy Gęsiej i zamówić nagrobek. W przeciwnym razie, gdy ją pochowają, pamięć o niej zupełnie zaginie.

Kiedy Miriam-Liba i Lucjan wrócili z Francji, Klara starała się bez wiedzy Kalmana znaleźć pracę dla Lucjana. Imponowało jej, że pasierbica jest hrabiną. Chodziło jeszcze i o to, że Klara zawładnęła dworem Jampolskich i chciała dać im jakieś zadośćuczynienie. Lucjan jednak odtrącił te jej niezbyt szczere próby pojednania, a

Miriam-Libę mało obchodziła przychylność macochy. Od czasu do czasu jakieś słuchy o Lucjanie dochodziły do Klary. Ułożył się z Antkiem i wziął Kasię do siebie jako służącą. Przez pewien czas pracował w Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności, lecz potem stało się coś okropnego. Kilka miłosiernych pań wspierających to stowarzyszenie utworzyło grupę teatralną, wystawiającą w wersji dramatycznej opowiadania i poematy rozmaitych polskich pisarzy. Tylko bardzo dobrane audytorium brało udział w tych przedstawieniach odbywających się w salonie jednej z członkiń. Od czasu do czasu zapraszano jakiegoś wysokiego urzędnika rosyjskiego, niekiedy nawet generał-gubernatora. Panie i ich córki same szyły kostiumy. Dialogi opracowywał jakiś pisarz-amator. Lucjanowi nie bardzo odpowiadała praca w biurze i udało mu się przenieść czasowo do tej grupy teatralnej. Po wystąpieniu w kilku sztukach panie uznały go za urodzonego aktora. Jego nazwisko wydrukował nawet "Kurier Warszawski". Ale starsze panie zasłyszawszy, co o nim mówiono, nalegały, aby go więcej nie zapraszać do wzięcia udziału w przedstawieniach. Uważały, że kontakty z nim zagrażają bezpieczeństwu ich niezamężnych córek. Młodsze natomiast pokolenie utrzymywało, że należy bohatera powstania traktować z życzliwością. Potem wybuchł nagle skandal. Klara, która w owym czasie wciąż jeszcze nie mogła się oderwać od niemowlęcia i nie przyjeżdżała do Warszawy, nie dowiedziała się szczegółów. Słyszała tylko, że chodziło o jaką zabytkową pozytywkę. Prawdopodobnie pozytywka zginęła z domu po wizycie Lucjana. Przyszedł odwiedzić panią domu frontowymi drzwiami, a tego samego wieczoru, tylko w późniejszej

porze, wrócił kuchennymi do pokojówki. Pani domu zastała go w łóżku z dziewczyną i wypędziła na ulicę w samej bieliźnie. Został aresztowany i dwa tygodnie spędził w więzieniu. Później wykryto, że sprzeniewierzył pieniądze Towarzystwa i zamierzał uciec ze studentką. Może się to wydać dziwne, ale Wallenbergowie złożyli za niego kaucję. Zwrócili również kwotę, którą ukradł z Towarzystwa. Pozytywka znalazła się później w sklepie z antykami przy ulicy Świętokrzyskiej.

Przez pewien czas Klara nic nie wiedziała o Lucjanie. Potem doszły ją słuchy, że zajęła się nim wdowa po aktorze, niejaka Elżbieta Bobrowska, szwaczka, i że Lucjan jest statystą w Teatrze Rozmaitości. Kasia urodziła dziecko, które natychmiast umieszczono w przytułku dla podrzutków. Pracowała obecnie jako gosposia u wdowca na Chmielnej. Powiadano, że Lucjan wziął od niego pieniądze za Kasię. Wszystkie te historie ekscytowały Klarę. Zapamiętała, jak małe wzbudziła w nim zainteresowanie podczas pierwszego spotkania. Przyrzekł napisać, lecz nie dotrzymał słowa. Klara go rozgrzeszała. To prawda, że postępował po głupiemu. Jediną rzeczą, jakiej nie mogła zapomnieć Lucjanowi, było to, że nigdy nie próbował jej pocałować. Nie był zresztą jedynym mężczyzną, którego nie zdołała usidlić. Jej uroda i wyzywający sposób bycia odstręczały wielu mężczyzn. Grisza, pierwszy mąż Klary, odszedł od niej, zanim jeszcze zachorował na suchoty. Mężczyźni najpierw gorączkowo uganiaли się za nią, a potem nagle tracili zainteresowanie. Na przykład zapal pułkownika Smirnowa znacznie ostygł. Wreszcie przeniesiono go do innego garnizonu. To samo było z generałem Rittermajerem. Dość dziwne, ale jedynym mężczyzną, który nie przestał jej pożądać, był Kalman.

Często w bezsenne noce Klara rozmyślała o tych sprawach. Kiedy chodziła jeszcze do gimnazjum, nieraz durzyła się w którymś z nauczycieli albo kolegów, lecz zawsze bez wzajemności. Z tego właśnie powodu poślubiła mężczyznę tak nieogłodzonego jak Kalman. Nie mogąc zdobyć miłości, postawiła na pieniądze. Pamiętała wieczory spędzone

u aptekarzystwa na grze w karty z Sorkesami i Sza- litami. Zawsze szczęście jej dopisywało. Wszyscy robili żarty, że takie szczęście do kart oznacza niepowodzenie w miłości. Bardzo często Dawid Sorkes ją całował, a Moryc Szalit lubił uszczypnąć w pośladek. Nigdy jednak nie traktowali jej na serio. Nawet wierszyki, które oficerowie i uczniowie wpisywali jej do sztambucha, były bardziej ironiczne niż romantyczne. Grisza, niech odpoczywa w pokoju, jak wpadał w gniew, złorzeczył jej, wytykając wulgarność. Ale na czym właściwie polega ta jej wulgarność? Ubiera się szykownie, to pewne, umie grać na fortepianie, dobrze mówi po polsku, i po rosyjsku [j] doskonale. A i jej francuszczyzna nie jest zła. Czy inne kobiety mają coś, czego jej brakuje?

Tego popołudnia, po wyjściu od pani Frenkiel, Klara zatrzymała się na podwórzu przy bramie i rozejrzała dokoła. Tak się paliła do tego wyjazdu do Warszawy, a teraz, gdy już jest w Warszawie, nie wie, co ze sobą zrobić. Czy powinna pójść do tej nieszczęsnej Miriam-Liby, czy też złożyć wizytę Szajndł? Mogłaby zajrzeć do krawca. Dostała adres architekta, lecz chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej, zanim go spotka. Czeka ją oczywiście rozmowa z adwokatem, ale on jest zawsze tak bardzo zajęty. Wyczytała w gazecie, że tego dnia sławny włoski kompozytor wystąpi jako dyrygent na koncercie w Dolinie Szwajcarskiej i wykona własny utwór. Nie mogła jednak pójść sama na koncert. Niestety,

kobieta nigdzie nie może być bez towarzystwa. Mężczyźni są w szczęśliwszej sytuacji. Wszystko stoi przed nimi otworem: teatry, kabarety, kluby, a nawet spelunki złodziejskie. Mężczyzna, jeśli chce, może kupić kobietę za parę rubli. Może folgować wszystkim zachciankom, nawet najbardziej perwersyjnym, a jego opinia na tym nie cierpi. Gdyby to ona urodziła się mężczyzną, pokazałaby światu niejedną sztuczkę. Ostatecznie zdecydowała się odwiedzić Miriam-Libę mieszkającą przy ulicy Obożnej.

Przywołała dorożkę i pojechała ulicą Hożą, a dalej Krakowskim Przedmieściem. Kazała dorożkarzowi przystawać przed różnymi sklepami, gdzie kupiła zabawki dla dzieci i kwiaty dla hrabiny. Wyraźnie zaznaczała, że upominki mają być elegancko opakowane, bo są przeznaczone dla kogoś z arystokracji. Subiekci uśmiechali się głupawo i grzecznie kłaniali. Wraz z nadejściem lata ulica Obożna nie wyglądała tak opuszczona jak wówczas, gdy Klara była tu ostatnim razem. Kwitły akacje i drzewa owocowe. Ptaki śpiewały, psy się uganiały. Małe dziewczynki podśpiewywały, tocząc koła środkiem ulicy. W piosence była mowa o dumnej pani, co nie chciała zostać cesarzową, a potem ze wzdrganiem odmówiła poślubienia swego oprawcy nawet za cenę uratowania życia. Klarę słuchała. Dziewczynki, chociaż tak jeszcze młode, śpiewały o miłości. Klarę ogarnęło pożądanie. Ojciec zamierzał wziąć młodą dziewczynę za żonę, a ona, jego córka, zamknęła się jak w więzieniu ze starym mężczyzną, fanatykiem religijnym. "Mykwa, coś takiego! — mruzczała. — Czas najwyższy znaleźć sobie kogoś." Zapłaciła dorożkarzowi i weszła na podwórze domu, w którym mieszkała Miriam-Liba. Zapukała do drzwi stróża i dała mu napiwek, żeby wszedł na górę i zapowiedział jej

wizytę. Stała na podwórzu i patrzyła na stróżkę pompującą wodę. Stara ułomna kobieta pokuśtykała przez wąskie podwórko, stukając laską i burcząc coś pod nosem.

Stróż wrócił trzymając czapkę w ręku.

– Proszę pani, oni nie chcą otworzyć drzwi. Zamknęli się na klucz.

– Może wyszli.

– Nie, hrabina jest w domu. Słyszałem ją. Ofuknęła mnie.

– A gdzie dzieci?

– Dzieci? Ta pani je zabrała. Żona doktora Zawadzkiego... Na wieś, do Wilanowa.

– Ach, tak. Dziękuję wam – powiedziała Klara i znów dała mu pieniądze.

Uklonił się nisko.

– Niech panią Bóg błogosławi. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

– Nie, proszę się nie kłopotać. Pójdę tam sama.

– U nich może się coś dziać niedobrego. Hrabina w złym humorze.

– Nic nie szkodzi.

Klara weszła na schody trzymając paczki w jednej ręce, a woreczek w drugiej. Kiedy doszła do drzwi mieszkania Miriam-Liby, kopnęła w nie nogą. Nie wiedziała dobrze dlaczego, ale była zdecydowana stukać do drzwi aż do skutku. W mieszkaniu rozległ się odgłos kroków.

Drzwi otworzyły się z rozmachem. Klara zobaczyła kobietę ubraną w zbyt krótką bawełnianą spódnicę i w przydeptanych kapciach na bosych nogach. Na wpół spleśniałe, ongiś złocistoblond włosy, zaczesane pośpiesznie, przytrzymała na czubku głowy pojedyncza szpilka. Tak, to była Miriam-Liba, lecz

zmieniona do tego stopnia, że Klara z trudem ją poznała. W ciągu paru lat zestarzała się i zwiędła. Policzki miała blade i zapadnięte, grube cienie pod-kręzały głęboko zapadłe oczy, w których zgasł dawny blask. Były to oczy kobiety zmęczonej już życiem.

– Czego pani sobie życzy? – zapytała gniewnie Miriam-Liba. Szedł od niej zapach wódki.

– Proszę wybaczyć, hrabino. Jestem Klara, żona pani ojca. Poznałyśmy się przed paru laty.

Dwie kobiety przyglądały się sobie uważnie. Wargi Miriam-Liby wykrzywiły się, gotowe do nowego afrontu.

– Klara?

– Tak, żona pani ojca.

– Po co te kwiaty? Jeszcze nikt tu nie umarł, ■s– Broń Boże. To dla pani, hrabino.

– No, to proszę wejść.

Klara ze zdumieniem zobaczyła, w jakich warunkach mieszkają Jampolscy. Tynk na ścianach kuchni osypywał się, płyta kuchenna zastawiona była brudnymi garnkami i rondlami. Łuski od cebuli, obierki, resztki opakowania po cykorii leżały rozrzucone na podłodze. Okno było zamknięte. Dławiący słodkawy zaduch wskazywał, że mieszkania ani nie wietrzono, ani nie zamiatano całymi tygodniami. Miriam-Liba zaprowadziła Klarę do pokoju, w którym panował taki sam nieporządek jak w kuchni.

Szuflady kredensu były powyciągane, wszędzie leżały w nieładzie ubrania i bielizna. Na stole stała opróżniona butelka po wódce. I tutaj okna były pozamykane. Miriam-Liba przeszła klapiąc kapciami na środek pokoju i tam się zatrzymała.

!ff Ale chlew, co?

– Nic nie szkodzi.

– Pewni bardzo szlachetni ludzie zgodzili się zabrać dzieci do siebie. Jestem tu sama. Nie ma po co zajmować

się domem. Co ja zrobię z tymi kwiatami? Beczka na wodę pusta. Przestałam dawać napiwki stróżowi, więc nie przynosi wody. Proszę położyć kwiaty wprost na stole. Niech zwiędną. Wszystko tu wokół i tak więdnie.

– Każę stróżowi przynieść pani wiadro wody.

– Nie, proszę się nie trudzić.

Klara położyła bukiet na stole, a paczki na parapecie. Obejrzała się za krzesłem, chcąc usiąść, lecz na każdym z nich leżały stosy ubrań i innych rzeczy. Miriam-liba ujęła krzesło za poręcz i przechyliła, zrzucając ubranie na podłogę.

– Może pani usiadzie? Nikt mnie nie odwiedza, dlatego też... Czy to pani przysłała stróża na górę? Stukał do drzwi.

– Tak, poleciłam mu uprzedzić panią o mojej wizycie.

– Po co pani to zrobiła? Nie wpuszczam go do mieszkania. Jesteśmy ze sobą na stopie wojennej. To szpicel. Donosi na mnie do cyrkułu. Opisał już całe moje umeblowanie. Przyszedł komornik z rewirowym, żeby dokonać zajęcia ruchomości. Byłam dłużna osiemnaście rubli pięćdziesiąt kopiejek. Co panią tu sprowadza? Nikt mnie teraz nie odwiedza.

– Pani jest przecież moją pasierbicą.

– Co? Jestem jeszcze czyjąś córką? Już zapomniałam. Czasami wydaje mi się, że nigdy nie miałam żadnej rodziny. Po prostu istnieję jak kamień na brzegu rzeki. Ale oo z ojcem, jak on się czuje? Nazywam go ojcem, chociaż wyrzekł się mnie. Po moim odejściu ogłosił wszystkim, że umarłam. Odprawił siedem dni żałoby po mnie.

– Może być pani pewna, hrabino, że on myśli o pani.

18 – Dwór

289

– On o mnie myśli? A co myśli? Już nawet nie pamiętam, jak wygląda. Czy ma siwą brodę?

--- Trochę mu posiwiała, niezupełnie. Macie dziecko, prawda?

– Tak, synka. Saszę. Wciąż się dopytuje o swoją przyrodną siostrę hrabinę. Po jego narodzinach napisałam list do pani, lecz nigdy nie dostałam odpowiedzi.

– Pani pisała? Kiedy? List pewnie przyszedł, jak Lucjan był w domu. Kradnie mi listy. Wszystko kradnie. Musiał zabrać i tamten list. No, cóż, teraz jako dojrzałą kobietę los pobłogosławił mnie bratem! To doprawdy zabaw- ■ ne. Kiedy byłam dzieckiem, zawsze chciałam mieć brata. Zazdrościłam dziewczynkom, które miały braciszków i mogły się z nimi bawić. Ale teraz to nieco za późno na tego rodzaju zabawy. – Miriam-Liba zmieniła ton głosu. – To chyba już ostatni akt mojej tragedii, a może mimo wszyst- j| ko to tylko komedia. Co za różnica? Niestety, niczym-nie mogę pani poczęstować, nawet szklanką wody. – Miriam- -Liba podniosła się, gotowa odprowadzić swego gościa do drzwi.

-ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

I

Nareszcie Azriel zapisał się do Szkoły Głównej, zamienionej przez Rosjan na Cesarski Uniwersytet Warszawski, i zaczął studiować medycyną. Wallenberg dotrzymał słowa, dopomógł mu. Znał większość członków wydziału lekarskiego i znał dziekana na tyle, że mógł go zaprosić na obiad. Studia, podjęte przez Azriela dla otrzymania dyplomu, nie przychodziły mu płatwo. Miał jeszcze trudności z językiem rosyjskim, dobrze mu natomiast szła matematyka, fizyka, chemia i botanika. Słyszał, że studenci uniwersytetów zagranicznych

prowadzą wesoły żywot, piją niezliczone kufle piwa i płatają psikusy rektorowi i pracownikom administracyjnym. W Warszawie nie zdarzały się takie rzeczy. Trzeba było dobrze się napracować, aby się dostać na uniwersytet. Rosjanie nie zezwalali na żadną działalność polityczną wśród studentów. Prasa polska wciąż pouczała o konieczności rozwoju przemysłu i kultury. Edukacja coraz bardziej pochłaniała młodzież polską. Uzyskanie dyplomu inżyniera lub lekarza było uważane za czyn wręcz patriotyczny.

Azriel był już ojcem dwojga dzieci, starszy synek, Uri-Josef, po polsku zdrobniale Józiek, uczęszczał do szkoły. Młodsza, Zelda, czyli Cyna, chodziła do przedszkola. Ale Azriel wciąż jeszcze nosił studencki mundur. Wieczorami, kiedy Józiek odrabiał lekcje, Azriel przeglądał swoje notatki. Chodził na wykłady z historii medycyny, chemii analitycznej, chirurgii i oftalmologii. Studiując, zawsze wyprzedzał program i przerabiał więcej materiału. Często czytał dodatkową lekturę z danego przedmiotu nie wymaganą w programie. Nucąc pod nosem szperał w książkach ze zmarszczonymi brwiami. Zachował przyzwyczajenia z jesziwy. Polacy i rosyjscy studenci nie byli tak pochłonięci studiami jak on. Żartowali w prosektorium. Dla niego medycyna nie była tematem do żartów. Widział w niej przede wszystkim naukę i sztukę. Ponadto graniczyła z tajemną dziedziną wiedzy. Jak niewiele wiedziano o działaniu mózgu! Nikt, jak dotąd, nie wykrył prawa dziedziczności. Gdzie spojrzeć, same zagadki. Studia medyczne to wielka odpowiedzialność. Za każdym razem, gdy Azriel wchodził do prosektorium, ścisnęło go w gardle i czuł suchość w ustach. Trupy leżały na metalowych stołach przykryte workami. Zapach formaliny przyprawiał go o zawrót głowy. Nie mógł się

przyzwyczać do zeszywniałych policzków, szklistych oczu, zdeformowanych nosów i obwisłych podbródków nieboszczyków. Te ciała tak niedawno były żywymi istotami pełnymi nadziei i projektów. Wprost słyszał ich szepty: "Za późno, za późno." Azrielowi zdawało się, że po śmierci odnaleźli jakąś prawdę, która mogłaby całkowicie zmienić ich życie, gdyby ją w porę poznali.

Pewnego razu Azriel zobaczył, jak student wkłada papierosa do ust dziewczyny, która się otruła. Inni studenci mrugali do siebie i śmiali się głośno. Dla nich życie i śmierć były równie zabawne.

Tego roku Kalman znowu zaprosił Azriela i Szajndł z dziećmi do dworu. Klara miała dobre mniemanie o studentach. Poza tym Cyna, córka Azriela, była prawie rówieśnicą Saszy. Zresztą, kogóż innego mógł Kalman zaprosić? Miriam-Ldbę, tę wychrztę? Cypełe, żonę rabiego? Jo- chwed i Mejera-Joela, którzy nadal zachowywali się z rezerwą? Tylko Azriel z rodziną mógł odwiedzić dwór. Jednak Azriel i Szajndł nie kwapili się z przyjęciem zaproszenia. Szajndł z trudem wytrzymywała bodaj jeden dzień, z Klarą pod wspólnym dachem. Samo spojrzenie na drugą żonę ojca, twierdziła, przyprawia ją o spazmy. Azriel lubił pola, lasy i łąki w majątku, jego wiejską ciszę, lecz Szajndł nie czuła się tam szczęśliwa, jakie więc byłyby to wakacje?

Pewnego letniego wieczoru Azriel siedział przy stole, czytając podręcznik z biologii przy świetle lampy zawieszanej na łańcuchu u sufitu. Czytając o centrosomach, chromosomach, protoplazmie i cytoplazmie, słuchał jednym uchem tego, co się dzieje w mieszkaniu. Lubiał spokój, Szajndł natomiast zachowywała się hałaśliwie. A może tak mu się wydawało. Wciąż ją kochał, lecz denerwowała go jej nadmierna otyłość. Przy przyjściu na

świat kolejnego dziecka jej obwód w talii wzrastał o kilka cali. Biust się mocno uwydatnił, biodra zbyt zaokrągliły. Tylko twarz i nogi pozostały jak u dziewczęcia. Stale ją przestrzegał przed objadaniem się czekoladą, konfiturami i chałwą, pokazał artykuł w piśmie medycznym dowodzący, że słodyczne psują zęby, otłuszczają serce, a nawet powodują cukrzycę. Szajndł utrzymywała, że jej nadmierny apetyt to wina Azriela. Wciąż za nim tęskni i to sprawia, że łaknie słodczy.

Szajndł faktycznie zachowała małomiasteczkowe obyczaje. Nie mogła wyzbyć się prowincjonalnych nawyków, miała za złe Azrielowi, że tyle się uczy i wciąż czyta książki. Nadal mówiła po polsku chłopską gwarą d nie potrafiła nawet zaadresować dobrze listu. Jej własny syn Józiek łapał ją na błędach. Szajndł przestała nosić perukę, lecz pozostała pobożną Żydówką. Chodziła do mykwy, zasięgała rady u rabinów, wrzucała monety do puszek. z jałmużną dla cadyka Mejera, cudotwórcy. Przez dwa i pół tygodnia w miesiącu Azrielowi nie wolno było się do niej zbliżyć. Kiedy dziecko kichnęło, pociągała je za ucho. W wigilię nowiu dawała dzieciom ziółka przeciw robakom. Za plecami męża szukała porad u cadyków, a nawet Cyganek. Czasami Azriel odnosił wrażenie, że Szajndł prowadzi z nim przewrotną grę i w miarę, jak on posuwa się naprzód, ona rozmyślnie cofa się w rozwoju. Czym ją skrzywdził, że usiłowała mu się przeciwstawić?

Zazdrość o Miriam-Libę przerodziła się u niej w manię. Musiał uroczyście przyrzec, że nie będzie odwiedzał szwa- gierki, a nawet nie odezwie się do niej słowem. Szajndł (przysięgła na pamięć matki, że jeśli się dowie o je^o | odwiedzinach u Miriam-Liby czy choćby rozmowie na ulicy, zabierze daieci i ucieknie albo popełni samobójstwo.

Odejdę i nigdy się nie dowiesz, gdzie jestem – wrzeszczała. – Krew moja popłynie rynsztokiem!

I choć wielokrotnie przysięgał unikać Miriam-Liby i nie odpisywać na jej listy, Szajndł nadal go besztala. .

– Ty czorcie! Ty ohydny kłamco. Spiesz się, pędź do niej. Jak wrócisz, będę leżała ze stopami zwróconymi w stronę drzwi...

Tłukła głową o ścianę z wściekłości.

II

Azriel nie musiał daleko szukać dowodów prawa dziedziczności. Józiek podobny był do matki: drobny, o ciemnej cerze, oczach i włosach czarnych, policzkach rumianych i niedużym nosie. Był równie pogodny jak niegdyś Szajndł. W czapce i czarnym szkolnym mundurku zapiętym na metalowe guziki, z wysokim, sztywnym kołnierzem, wyglądał jak ołowiany żołnierz. Dostawał najlepsze stopnie, same czwórki z plusem i piątki. Mówił po rosyjsku jak rodowity Rosjanin, a od towarzyszy zabaw nauczył się płynnej polszczyzny.

Azriel zgodził mademoiselle, która dawała chłopcu lekcje, i Józiek szybko nauczył się języka francuskiego. Żaden przedmiot nie wydawał się dlań za trudny. Był ulubieńcem zarówno dzieci, jak i nauczycieli. Szajndł często powtarzała, że ją rozpira radość z samego patrzenia na swego Jóźka,

Cyna, blondyneczka o niebieskich oczach, była duża na swoje prawie trzy lata. Szajndł musiała ją stale karcić. Kiedy jej czegoś odmówiono, wpadała w pasję.

Wcześniej zaczęła mówić, ale swoim własnym językiem. Kładła do buzi wszystko, co znalazła, a kiedyś połknęła, guzik. Cza- . sami wyraz jej twarzy przypominał Azrielowi jego dziadka, reb Abrahama Hamburga. Kiedy Cyna rozrzucała wo-

kół swoje zabawki, tupać nogami albo płakała, Szajndł mówiła:

– Popatrz na tę złośnicę. Łatwo zgadnąć, kto jest jej ojcem.

Tak, kropelka nasienia, ledwie widzialna pod mikroskopem, przeniosła tysiące fizycznych i duchowych cech z jednego pokolenia na drugie. Jakim sposobem szczególne cechy pradziada Cyny, rabina z Turbina, przetrwały w chromosomach? Czy sprawiło to parę molekuł? Czy też coś w rodzaju drobniutkiej duszyczki znalazło schronienie w nasieniu? Wszystko możliwe. Czy sama materia nie stanowi tajemnicy? Nakt nie widział atomu ani molekuly. Nie wyjaśniono też, jak dotąd, istoty ciężenia, magnetyzmu, elektryczności czy światła słonecznego. Cóż więc jest znane? Czy zaprawdę człowiek może zdobyć wiedzę, jeśli całe doświadczenie ludzkości trzeba przepuszczać przez pryzmat przestrzeni i czasu oraz ściśle subiektywne kategorie jakości, ilości i przypadkowości? Azriel wiedział, że powinien poświęcać cały swój czas studiom medycznym, lecz pociągały go dzieła Spinozy, Kanta, Fichfego i Schopenhauera. Jak można żyć spokojnie pośród takich tajemnic?

– Azrielu, chodź śpać.

– Dobrze, moja droga. Za chwilę.

– Popsujesz sobie wzrok. I mnie też nie dajesz spać.

– Już idę. Już idę.

Azriel wciąż jeszcze nie zarabiał na utrzymanie, a posag Szajndł już przejedli. Mimo to najęli służącą. Nazywała się Tekla. Azriel słyszał, jak wzrusza słomę w swym sienniku. Widocznie szykowała się do snu. Miała swój mały własny świat. Jadła i spała w kuchni. Tam do niej przychodziły przyjaciółki i kawalerowie. W niedzielę szła do kościoła. Raz na miesiąc dostawała list z rodzinnej wioski, napisany przez gminnego pisarza.

Dawała go Azrielowi do przeczytania: "W pierwszych słowach naszego listu donosimy ci, że jesteśmy wszyscy w dobrym zdrowiu. Niech Bóg i tobie da zdrowie. Dalej chcemy ci donieść, że Kwiatula się ościeliła"... Tekla trzymała pod poduszką Sennik egipski. Co noc śniły jej się złote monety, potłuczone jajka, czarne koty i straszni "mężczyźni, którzy ją ścigali z kijami i mieczami. Azriel zgasił lampę i wszedł do sypialni.

– Szajndł, czy śpisz?

– Jak mogę spać, jeśli świecisz lampę i wciąż szeleścisz kartkami? A o szóstej zbudzi mnie Cyna.

– Muszę się uczyć. Nie mogę wiecznie korzystać ze szczodrości twego ojca.

– Gdybyś mnie słuchał, nie potrzebowałbyś pomocy ojca. Spójrz na Mejera-Joela. Dorobił się bogactwa.

Azriel rozebrał się i położył do łóżka. Chciał wziąć Szajndł w ramiona, lecz była jeszcze "nieczysta".

Powiedział dobranoc i starał się zasnąć, sen jednak nie przychodził. W ciemnościach wyobraził sobie prosektorium, stoły, worki, martwe twarze. Dlaczego się powiesił ten wysoki młodzieniec? Dlaczego ruda dziewczyna skoczyła do Wisły? Ile musi wycierpieć człowiek, zanim dopuści się takiego czynu? Czy teraz osiągnęli spokój? Czy ich sen rzeczywiście jest wieczny?

Miotany Wątpliwościami, przewracał się na łóżku po dmiu wypełnionym pracą. Czy warto było wkładać tyle wysiłku, żeby zostać lekarzem? Czy faktycznie odznacza się uzdolnieniami w wybranym przez siebie zawodzie? Obecnie pozwolono mu trochę praktykować pod nadzorem doświadczonego lekarza. Miał jednak wrażenie, że jego diagnozy, rzadko się sprawdzają. Zresztą po co się trudzić leczeniem, kiedy setki tysięcy ludzi ginie dla zaspokojenia ambicji politycznych królowej

Wiktorii lub spełnienia zachcianek Abdilhamida? Tutaj w Warszawie żyją ludzie gnieźdzący się w ciemnych lochach, po trzy rodziny w jednej piwnicznej norze. Żrą ich wszy, dokucza im głód, zapadają na suchoty. Na co się zda medycyna, jeśli skazuje się ludzi na śmierć?

Azriel żywił wielkie nadzieje, że dzięki edukacji ludzkość osiągnie postęp. Atoli i sama wiedza, jak się okazało, ma braki i wady. Drobiny, z jakich rzekomo składa się materia, posiadają chyba wprost magiczne właściwości. Ponadto, różne teorie materialistyczne, a zwłaszcza darwinizm, zagrażają wszystkim niemal wartościom: duszy, etyce, rodzinie. Wszędzie siła idzie przed prawem. Dawne wierzenia ludzkości przekramarzone za postęp techniczny. Ale co na to może poradzić Azriel? Dla niego stare tradycje już nie istnieją. Nic mu nie zostało prócz egzaminów i strachu. Porzucił Boga, aby się uzależnić od różnego rodzaju biurokratów. Azuel czuł, że popełnił błąd. Na czym jednak dokładnie polega ten błąd? Jak można go naprawić? Kiedy tak leżał w ciemności, przyszło mu do głowy, że młodzieniec, który się powiesił na poddaszu domu na Starym Mieście, a przy którego sekcji Azriel był obecny, musiał mieć podobne myśli jak on w tej chwili.

III

Mirele wynajęła pokój przy ulicy Dzielnej. Miała szczęście. Była bardzo uzdolniona w wyuczonym przez siebie zawodzie. W sześć tygodni po rozpoczęciu praktyki w zakładzie fryzjerskim potrafiła zrobić modną koafiurę. Posyłano ją do domów bogatych klientek i wtedy otrzymywała od pracodawcy procent od rachunku. Panie z Marszałkowskiej i Senatorskiej zachwycaly się jej umiejętnością zakręcania włosów w loki i upinania

koków. Kiedy ktoś zwracał się do niej, słuchała z szacunkiem. Nie podrapała żadnej z klientek grzebieniami czy szpilkami do Włosów. Potrafiła wyrwać siwy włos z korzeniem, żeby nie odrósł. Obchodziła się zręcznie z nożyczkami, pincetkami i korbówkami do fryzowania włosów. Kto by przypuszczał, że ta cicha dziewczyna ma tyle pomysłów! Kiedy Mirele wracała wieczorem do siebie, przeistaczała się w inną osobę. Nastawiała na płycie kuchennej wodę na herbatę lub garnek z kartoflami, wyjmowała chleb i śledzia z szuflady stołu, w której trzymała jedzenie. Szykując kolację, zaczynała odrabiać lekcję zadaną jej przez Arona Lipmana, kolegę Azrdela. Uczyła się rosyjskiego, polskiego i geografii. Aron czytał jej Historię cywilizacji Anglii Buckiej i Zasady ekonomii politycznej Milla. | Zrobił dla niej analizę powieści Co zrobić Czernyszewskiego. Zresztą Mirele ko-

rzystała jeszcze więcej z rozmów prowadzonych z Aronem, niż z książek, które jej czytał. Tyle się działo na świecie. Powieszono paryskich komunardów, ale ich idee nie mogą ulec zagładzie. Aron opowiadał jej o nihilistach, o "na-rodnikach" i o europejskich socjalistach. Chociaż car Aleksander zniósł pańszczyznę, chłopci nadal są nieoświeceni i muszą służyć panom. Europa szła naprzód w rozwoju, jednak Rosja nie chciała się posunąć ani kroku. W Anglii parlament rozporządzał większą władzą niż królowa. Francja stała się republiką. Lincoln wyzwolił murzyńskich niewolników, lecz Rosją wciąż rządził samowładca. Żydzi z zachodniej Europy rozmawiali w językach cywilizowanych i posyłali dzieci do nowoczesnych szkół. Tutaj Żydzi mówili barbarzyńskim żargonem, ubierali się jak Azjaci i wierzyli w dybuki. Jak długo mogą żyć w takim zacofaniu? Jedno jest tylko lekarstwo, mówił Aron, edukacja. Kiedy ludzie w pełni

poznają prawą natury i nabędą wiadomości o tym, co się ongiś zdarzyło, przestaną być potulni. Program Arona na przyszłość nie zawsze był konsekwentny. Jednego dnia utrzymywał, że Żydzi powinni się uczyć polskiego, a na-
zajutrz wysuwał potrzebę nauki rosyjskiego. Miał okresy,,
kiedy wierzył, że zbawienie Polski leży w wyrzeczeniu?
się dążeń narodowych i przystąpieniu do istotnej sprawy
uprzemysłowienia kraju d szerzenia oświaty wśród
obywateli. Kiedy indziej za najważniejsze zadanie uważał
wypędzenie z kraju ciemieńców. Bez względu na taki czy
inny program, jednego był pewien: Żydzi muszą się
zasymilować. Ilekroć Azriel wstępował do Mirele, zawsze
po-^ pierał poglądy swego przyjaciela. Skoro już tyle
czasu upłynęło, przyjście Mesjasza nie wydaje się
bardzo prawdopodobne. Żydzi pozostaną w Polsce. A
jeśli tak, niech śpiesznie zreformują swe synagogi i
szkoły i zaczną się ubierać jak inni ludzie. To już druga
połowa dziewiętnastego wieku, nie zaś średniowiecze.
Azriel nie we wszystkim zgadzał się z Aronem, który był
zwolennikiem "na-
rodników". Azriel sądził, że Żydzi nie
powinni się mieszać w sprawy polityczne Rosji. Główne
zadanie to zerwanie
z fanatyzmem religijnym. W każdym razie winni są wier-
ność Polsce. Rosja niech się sama o siebie martwi. Obaj
mężczyźni wysuwali własne argumenty i kłócili się za-
żarcie, używając niezrozumiałych dla Mirele słów, i po-
wołując się na ludzi, o których nigdy nie słyszała. Aron
wyśmiewał wielkich tego świata: duchownych,
generałów, arystokrację. Uważał, że warstwa chłopska w
Rosji prze«* wyższa wszystkie inne. Azriel zajmował tak
często negatywne stanowisko w różnych sprawach, że
Aron nazwał go pesymistą. Przerywali wreszcie dyskusję
i zasiadali do gry w szachy. Azriel zaczynał od śmiałych
posunięć i wydawał się lepszym graczem, lecz gra

szybko go nudziła, Aron pociągał za swą rzadziutką bródkę i bez końca medytował nad każdym ruchem.

– Jak sądzisz, gdzie powinienem postawić laufra?

– To nde laufer, to królowa.

– Ach, to moja królowa. No, za twoją nie dałbym szczypty tabaki. – Naraz Aron zaczynał skandować z Księgi Estery: “Czy jeszcze chce zhańbić królową w mojej obecności u mnie w domu?”

Mirele wybuchała śmiechem. Chociaż ustawicznie mówili o asymilacji, nie mogli się powstrzymać od cytowania Pisma Świętego. Aron był drobny i ciemny, miał wysokie czoło. Studiował prawo na uniwersytecie, a utrzymywał się z lekcji w sierocińcu. To on założył kółko samokształ--ceniowe, które spotykało się w pokoju Mirele trzy razy w tygodniu. Czasami i Azriel przychodził na ich zebrania. Grupa uczyła się ekonomii, socjologii, biologii. Wciąż prowadzili spory na temat ważnych bieżących wydarzeń: sytuacji chłopów, prawa dla kobiet, nowych książek. Aron potrafił przyciągać do siebie ludzi. Na zebrania przychodzili: Aleksander Cypkin, student, którego ojciec administrował kiedyś dobrami polskiego ziemianina na Litwie, akuszerka Sonda Rabinowicz i Estera Ajsner, która przyjechała do Warszawy z Białegostoku po rozwodzie ze swoim mężem fabrykantem. Estera była teraz szwaczką i miała własną pracownię. Wiera Czartap, córka rabina, też członkini grupy, uciekła z domu i zapisała się do konserwato

rium. Nabawiła się suchot i musiała spędzić trzy lata w uzdrowisku otwockim. Obecnie utrzymywała się z lekcji muzyki dawanych dzieciom bogatych chasydów. Na zebraniach rozmawiano mieszaniną języka polskiego i rosyjskiego. Wiera знаła jeszcze hebrajski. Najstarszym członkiem grupy była Sonia, nałogowa palaczka. Estera

Ajsner bawiła wszystkich, naśladowując rozplotkowane seJ utnice, swe stałe klientki. Mirele bardzo lubiła słuchać odczytów i wynikających z nich dyskusji. Jaka jest różnica między absolutyzmem a demokracją? Czy kobieta ma prawo robić ze swoim ciałem, co jej się podoba? Jaką drogę powinna obrać dzisiejsza młodzież? Powoływano się na nazwiska znanych pisarzy, krytyków i rewolucjonistów. Mówiono o rewolucji francuskiej i młodej inteligencji rosyjskiej, o mężczyznach i kobietach, którzy "szli między lud". Karol Marks założył Międzynarodówkę, Bakunin stworzył Alians student nazwiskiem Karakozow usiłował zabić cara. Rosyjscy socjaliści drukowali za granicą książki i pisma rewolucyjne przemycane do Rosji. Tak, zarówno w Rosji, jak w wolnej Europie zachodziły historyczne przemiany; Tak długo trwały te dyskusje, że cała podłoga usiana była okurkami papierosów. To, co robili, nie było zakazane, mimo to Mirele zaciągała w oknie zasłonę. Warszawska policja zapatrywała się podejrzliwie na zebrania młodych ludzi. Stróż donosił do cyrkułu o każdym obcym wchodzącym do któregoś z mieszkań w jego domu.

1 IV

Po wyjściu od Miriam-Liby Klara udała się do mieszkania Azriela, ale nie zastała go w domu. Pogwarzyła z Szajndł, po raz setny zapraszając ją do przyjazdu na wieś. Szajndł poinformowała ją, że Azriel poszedł do swej siostry, i dodała, że jeśli Klara chce się z nim zobaczyć, tam go znajdzie. Zanim Klara dotarła do Mirele, Azriel * Międzynarodowy Alians Demokracji Socjalistycznej (przyp. red.).

HHHHHMHHM

już wyszedł. Aleksander Cypkin ofiarował się sprowadzić ją po schodach, na których, jak ostrzegał, panują -ciem-

ności i łatwo jest się pośliznąć. Cypkin był wysokim mężczyzną o bujnych włosach. Pod marynarką nosił satynową rubaszkę (ubrany był w stylu rosyjskim), miał spodnie w paski i tkany pas z fontażem. W kącie ust tkwił mu papieros. Był to mężczyzna ciemnooki, z gęstymi brwiami i niesfornym wąsem, o twarzy szczupłej, okolonej bokobrodami. Kiedy Klara schodziła po schodach, ujął ją lekko pod ramię i rozmawiał pewnym siebie tonem człowieka bywałego w świecie. Kiedy znaleźli się na ulicy, nie zrobił żadnego gestu wskazującego na chęć powrotu do Mirele. Klara spytała, skąd pochodzi i co studiuje. Cypkin wyjaśnił, że jego ojciec był początkowo rządcą u księcia Radziwiłła. Radziwiłłowie mieli tak dobre mniemanie o Beryszu Cypkinie, że ci sami nauczyciele, którzy uczyli dzieci księcia, zajmowali się i nim, Aleksandrem. W ten sposób wyrósł na dobrego jeźdźcę i doskonałego pływaka. Ale po powstaniu znaczna część dóbr radziwiłłowskich została podzielona między chłopów. Chociaż książę uniknął całkowitej ruiny, nie potrzebował już usług rządcy. Tak więc Berysz Cypkin osiedlił się w mieście. Aleksander zaczął studiować medycynę w Kijowie, ale potem przeniósł się na Uniwersytet Warszawski, gdzie poznał Azriela, ten zaś poznał go z Aronem Lipmanem i innymi członkami •kółka samokształceniowego.

– Jest to, co prawda, zupełna strata czasu – powiedział Aleksander do Klary.

–r Jak pan może tak mówić? Wykształcenie to rzecz bardzo ważna.

–Dla ogółu tak, ale nie dla gromadki starych panien.

Klara zaproponowała, aby odwiedził dwór w czasie swych wakacji, nadmieniając, że Sasza potrzebuje wychowawcy. Przywołała dorożkę i podjechali do cukierni

na Placu Teatralnym. Siedzieli przy filiżance kawy rozmawiając o miłości, literaturze, pieniądzach i sytuacji w Rosji. Jak się okazało, Cypkin, podobnie jak Klara, przebywał jakiś czas w Łomży, nawet kupowali w tej samej aptece. Miał pewną praktykę nauczycielską, przebywał bowiem jako wychowawca w wielu zamożnych domach, 1 Jeśli o to chodzi, to i obecnie mieszka w domu bogatego kupca, który wyjechał wraz z rodziną na wakacje do Karlsbadu. Zostawili dom pod opieką pokojówki, ale Cypkin pozwolił jej pojechać w odwiedziny do rodziców na wsa.

– Jeśli pani wątpi w moje słowa – wtrącił mimo* J chodem – zapraszam, proszę zajść i się przekonać.

– Wie pan doskonale, że szanująca się kobieta nie odwiedza garsonier.

Cypkin roześmiał się.

– Jak dotąd nikogo nie zgwałciłem.

– Zawsze jest ten pierwszy raz.

– Moje domniemane ofiary musiałyby mnie o to błagać. I

– No, może mi pan wierzyć, nie należę do tych, które 'A błagają.

Mieszkanie znajdowało się kilka przecznic dalej, na Lesznie. Chociaż godzina była już późna, postanowili się przejść i ruszyli powoli ulicą Tłomackie, mijając świeżo wybudowaną synagogę. Budynek nie był oświetlony.

Dzie? J| dainiec zawałały jeszcze stosy budulca i cegieł.

Cypkin | przystanął i utkwiał spojrzenie w gwiazdę Dawida na szczy-^l cie kopuły.

– I jaki w tym wszystkim sens?

UJ Żydzi nadal wierzą w Boga.

. – Nie ci, co zbudowali synagogę.

Rozmowa zeszła na temat religii. Cypkin powiedział bez ogródek, że jest ateistą. Ludzie mówią o Bogu, ale gdzie | On jest? Czy ktoś Go widział? Ludzie poszczególnych

ras i czczą różnych bożków. Człowiek, jak tego dowiódł Darwin, i pochodzi od małpy. Jest po prostu odmianą zwierzęcia – homo sapiens. Zaczął omawiać doktryny Marksa, Lassalle'a, i Ławrowa. Żyd polski zajmował niegdyś określone miejsce i w społeczeństwie. Przed uwłaszczeniem chłopów działał jako pośrednik między właścicielami dóbr a chłopstwem. Ta rola jednak już się przeżyła, Żydzi stali się pasożytami mi. Niczego nie produkują, nie mówią językiem kraju, w którym mieszkają, i posyłają dzieci do chederów. Jak długo zamierzają kąpać się w mykwach i chodzić w tałasach?

Klara wybuchnęła śmiechem.

– A co w tym śmiesznego?

– Pan nie wie, po co przyjechałam do Warszawy. Szukam kogoś, kto potrafi zbudować mykwę.

– Pani żartuje.

– Nie, nie żartuję. -

I Klara, z uśmiechem na ustach, opowiedziała Cypkinowi o projektach Kalmana. Kiedy ją Cypkin zapytał, dlaczego poślubiła tego rodzaju mężczyznę, odparła:

– Sama sobie nie potrafię tego wytłumaczyć.

Klara wiedziała, że nie wypada jej wejść z Cypkinem na górę, nie miała jednak ochoty wracać do ciotki i słuchać jej utyskiwań. A Cypkin był człowiekiem ciekawym.

Podobał jej się jego sposób wysławiania się po polsku.

Cytował współczesnych pisarzy, widział głośne sztuki teatralne, odwiedzał ostatnie wystawy malarzy polskich i obcych, a wielu z nich znał osobiście.

Kiedy doszli do domu i Cypkin zadzwonił, Klara szybko się obejrzała przez ramię, jakby w obawie, że ją ktoś śledzi. Czekało na nią, wybąkała, musi wracać do domu. Cypkin nie zwracał uwagi na jej słowa. Brama się otworzyła i zjawił się stróż. Cypkin dał mu napiwek, ujął Klarę

mocno pod ramię i przeprowadził przez bramę. Kiedy wchodziła z nim na schody, twarz ją paliła, jakby ktoś jej wymierzył policzek. Obcasy miała za wysokie, a schody ciągnęły się bez końca.

– Gdzie mnie pan prowadzi? – spytała. W ustach jej zaschło.

– Już powiedziałem.

Kiedy weszli na trzecie piętro, Cypkin otworzył drzwi do mieszkania. Jak tylko znaleźli się w przedpokoju, przyciągnął ją ku sobie. Jego pewność siebie wzbudziła w Klarze sprzeciw.

Proszę, niech pan zapali światło ~ powiedziała odpychając go.

Zrobił, jak chciała, i wprowadził ją do salonu. Pokój był zakurzony. Dwa mosiężne świeczniki stały na fortepianie nakrytym prześcieradłem, jak u wezgłowia nieboszczyka. Poruszając się po obcym pokoju, oglądając obrazy i różne drobiazgi, Klara odczuwała lęk, a zarazem: pożądanie. Cypkin odszedł gdzieś na chwilę. W powietrzu unosił się ciężki zapach kamfory. Wysuszone meble skrzypiały, Klarze było gorąco, ciało miała lepkie od potu. Wokół świecy zapalanej przez Cypkina zaczęła się trzepotać ćma. Klara spojrzała w lustro i przyglądała się sobie samej. Próbowwała się uśmiechnąć do własnego odbicia, ale ono odparło jej wzrok z wyniosłą powagą. Ile jeszcze lat młodości ma przed sobą? Miała mężów, ale nie kochankę; Jeśli będzie długo zwlekać, ominie ją to doznanie. Świeca kopciła. Odrobina kurzu opadła z pieca o złoconym gzymsie. Przez chwilę zdawało jej się, że słyszy obracanie klucza w drzwiach wiodących do przedpokoju. Czy to wracają właściciele mieszkania? Serce zaczęło jej łomotać w piersi." "Nie wolno mi tu umrzeć", pomyślała.

Cypkin wrócił. Był bez marynarki i wyglądał jeszcze wyższy w ściągniętej pasem rubaszce. Niósł dwa kieliszki wina. Podał jeden Klarze i dotknął jej kieliszka swoim..;

– Na zdrowie.

– Och, ale mocne.

– Niestety, nie ma w całym domu nic do jedzenia. Klara wyczuwała namiętność jego spojrzenia. Twarz mu \ pobladła. Ciemne oczy wydawały się zuchwałe, a zarazem j pokorne. Mówił urywanymi zdaniami i ciężko oddychał. : Zwykle Klarę napadał śmiech, kiedy mężczyźni próbowali ^ się do niej zbliżyć, lecz tym razem zachowała powagę.- Ogarnął ją nieznany dotąd smutek.

– Nie zrobmy jakiegoś głupstwa – zaproponowała. |jj
Jeszcze głupiej nic nie robić i czekać na śmierć. Poszedł do przedpokoju, zamknął drzwi frontowe na za- ■ suwę, i chwilę tam stał, jakby nasłuchując czyichś kro-
J ków. Kiedy wrócił, był podniecony.

– Wszyscy sąsiedzi wyjechali do kurortów. Cały dom I jest wymarły.

– Nieraz myślę, że cały świat to jeden cmentarz – odpowiedziała Klara, sama się dziwiąc własnym słowom. Cypkin przysunął się do niej nieco bliżej.

– To prawda. Ale nawet na cmentarzu można się za-
bawić.

V

Późną nocą Cypkin odprowadził Klarę do domu ciotki. Dorożki po północy nie kursowały, musieli więc iść pieszo." Stojąc przed bramą wiodącą na podwórze* zmęczeni, wymieniali pocałunki jak ludzie w pół przytomni. Kiedy stróż otworzył bramę, Klara dała mu dwadzieścia groszy. Cypkin pogładził ją- z lekka po plecach na pożegnanie. Weszła po ciemnych schodach,

potem przystanąła na chwilę i oparła się o poręcz. "Czy jestem szczęśliwa"? – zapytała samą siebie i nasłuchiwała, jakby spodziewając się odpowiedzi. Nie, nie była. Ale dlaczego, przecież powinna być szczęśliwa. Pragnęła mieć kochanka. Czy ogarnęło ją zmęczenie, czy wstyd przed zjawieniem się u ciotki o tak późnej porze? Nie, nie to było powodem. -Co faktycznie myślą mężczyźni o takich jak ona kobietach? Co o nich mówią między sobą? Cypkin przysiągł, że nie powie ani słowa Azrielowi, lecz na pewno pochwali się przed kimś. Mieli się spotkać nazajutrz wieczorem w cukierni Semadeniego i omówić^ pobyt Cypkina w Jampolu podczas wakacji. "No cóż, co się stało, to się nie odstać", powiedziała Klara ziewając. To się musiało stać wcześniej czy później. Zastukała do drzwi mieszkania ciotki i czekała. Nogi ją bolały od wysokich obcasów. Gorset wrzynał się w ciało. W skroniach pulsowało. Zjawiała się pani Frenkiel w długiej nocnej koszuli, trzymając w ręku mosiężny lichtarz z zapaloną świecą. Wydawała się przeraźliwie stara i pomarszczona, włosy miała rozczochrane jak u czarownicy.

– Ach, to ty. Ale mnie nastraszyłaś. Jak można tak

•0 – Dwór

305

wyść z domu i nie zjawić się do świtu. Gdybym wie- I działa, że spędzasz gdzieś wesoło czas, nic by mnie to nie obeszło. Niech się twój mąż o ciebie kłopotczy. Ale czy to wiadomo, co się może przytrafić? Dorożki tak szybko I pędzą, trzeba mieć skrzydła, aby im umknąć.

– Nie, nikt mnie nie przejechał, ciociu. Byłam u kogoś i straciłam rachubę czasu.

– Ach tak, straciłaś rachubę czasu? No, wchodź już. Położyłam się, ale nie mogłam zmrużyć oka. Taka już | jestem głupia. Dopóki wszyscy nie powrócą do domu,

prze-1 wracam się w łóżku i wiję jak robak. No, ale skoro już ::; jesteś, to powiedz, czy jesteś głodna?

– Głodna? Nie. Jestem tylko tak zmęczona, że ledwo trzymam się na nogach.

– No, łóżko masz posłane. A może szklanek mleka?

– Nie, ciociu, dziękuję.

– Pamiętasz naszą rozmowę. Rozmówiłam się też z Ce- i1 liną. Staramy się przemilczać pewne sprawy, ale wreszcie dajemy upust słowom. Wszystko jej powiedziałam, całą bolesną prawdę.

– Po co ciocia to zrobiła?

– No, bo dlaczego miałyby tak grymasić? Porozmawia-
| my o tym rano. Matka może się oszukiwać, choć nie ze i
wszystkim.

“Więc już sde namyśliła”, powiedziała w duchu Klara, |
ale bez uczucia triumfu.

Poszła do sypialni i zaczęła się rozbierać. Chociaż w po- |
koju było ciepło i duszno, odczuwała chłód.

Była przyzwyczajona kierować sprawami według własnej
; woli. Tej nocy mężczyzna zrobił z nią to, co sam chciał, i
dziwak i wariat, który spadł jak "z nieba. Klara zdjęła i
jeden pantofel, a potem siedziała bez ruchu na krawędzi
M łóżka, z pochyloną głową. Jak on się nazywa? Ach
prawda, 1 Cypkin. Jak wygląda? Nie pamiętała
dokładnie. Była za- J dowolona, że nareszcie się spełniło
jej pragnienie posia* dania kochanka. Jednak poza
zadowoleniem czaiła się groźba porażki. “Za łatwo, za
łatwo – wyszeptała. ||.V.]

806 _____ ■ _____ ggj

Nigdy nie będzie mnie traktować poważnie. No, a Kai-
mant Na pewno nie zasłużył na to" ...

Klara powiedziała ciotce, że nie jest głodna, czuła
jednak czczość żołądka i chciało jej się pić. Z wysiłkiem

wy- [ciągnęła się na łóżku, tak jakby ta noc podwoiła ciężar jej ciała. Słyszała szczekanie psa i płacz dziecka u sąsiadów. Boże, przecież mogła zająć w ciążę! Była zdumiona, że wcześniej o tym nie pomyślała.

Zamknęła oczy, lecz nie udało jej się zasnąć. Znow znalazła się w cukierni, słyszała dźwięki orkiestry. Ponownie szła ulicą z Cypkinem. Słyszała, jak mówił: "Gdzie jest' Bóg? Czy ktoś Go widział? Człowiek po prostu pochodzi od małpy." Wreszcie się zdrzemnęła i, przyśniło jej się, że leży śmiertelnie chora w szerokim łóżku, Wsparta na poduszkach. Na nocnym stoliku ustawione są buteleczki z lekarstwami, szklanka i połówka pomarańczy, nie złoto- żółtej, jak zwykle są pomarańcze, tylko krwistoczerwonej. "Zapewne, żebym nabrała czerwonych ciałek krwi – powiedziała Klara do siebie we śnie. – Ale po co mi krew, skoro mam umrzeć." Był tam Kalman z białą brodą i długimi pejsami jak u rabina. Wszedł młody człowiek podobny do Cypkina, był to jednak jej syn Sasza. Klara odezwała się do niego po polsku: – Teraz będziesz musiał sobie radzić beze mnie. ••p- Nie, matko.

To nde moja decyzja. Klara obudziła się drżąc na całym ciele. Jedną stopę złapały kulrcze. Serce biło jej mocno jak przedtem w tym nieznanym salonie, kiedy myślała, że wejdą tam i zdemaskują ją obcy ludzie. Westchnęła. Był już ranek, przez zasłony sączyło się mętne, czerwone światło. Wiedziała, że miała niedobry sen, ale nie mogła go sobie przypomnieć. Ktoś był chory. Przyszedł rabin z długimi pejsami. Tylko obraz połówki pomarańczy wyraźnie do niej powrócił. Nagle przypomniała sobie, co stało się zeszłej nocy, i usiadła w łóżku. Chciała spojrzeć na siebie w lustrze. "Mam się z nim spotkać u Semadeniego – wyszeptała. – Boże w niebiosach, któż by pomyślał, że to się tak*szybko

zdarzy! Jakby mi było przeznaczone." Dochodził do niej świergot ptaków. Obróciwszy twarz do ściany, zasnęła z powrotem. I znowu widziała pół pomarańczy, buteleczki lekarstw i starego człowieka, którego brała za Kaima na. A ona była chora, umierająca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

I

Plony w Polsce owego roku nie były obfite. W majątku Kalmana pszenica wyrosła rzadka, a ziarno sypało się z kłosów jeszcze przed młócką. Kalman poniósł ciężkie straty. Koszta robocizny przewyższały uzyskany dochód. Trzeba było opłacić podatki, a ksiązę wymagał wniesienia czynszu dzierżawnego w terminie. Ziemniaki były drobne i chropawe. Od tygodni nie spadł deszcz, trawę wypaliło słońce. Ponieważ siana nie wystarczyłoby na przetrwanie zimy, chłopci wyprzedawali bydło za tanie pieniądze. Zwykle w sierpniu długie szeregi wozów ustawiały się w kolejce przed młynem wodnym Mejera-Joela i chłopci całymi dniami wyczekiwali na przemiał ziarna na mąkę. Tego jednak roku niewiele było do mielenia. Chłopci przestali kupować nie tylko artykuły zbytku, jak towary łokciowe, skórę na obuwie, galanterię dla kobiet i śledzie, ale nawet artykuły pierwszej potrzeby, takie jak nafta i sól. Wieczorami siedzieli po ciemku albo świecili łuczywem i prowadzili rozmowy na różne tematy. Starzy chłopci powiadali, że widziano na niebie czarownicę w płomieniach, unosiła się na miotle, a za nią mknęły trzy ogniste capy. Podobno pewna stara babina spotkała w lesie w pobliżu wsi Maciejowice antychrysta z ogonem i rogami. Na wieś Lipsk spadł deszcz żab i robaków.

Winę za suszę chłopci zwalali na Żydów. Skąd mogą być dobre urodzaje, skoro Żydzi wyciągają wszystkie

soki z ziemi, ściągają z drzew żywicę, wyrąbują lasy i zanie-

czyszczą ją powietrze dymem z wapienników? Kalman sprowadził z Niemiec młockarnię. Mieszkał w hrabiowskim dworze ze swą zadzierającą nosa żoną i niesfornym synem. Chłopiec miał teraz wychowawcę nazwiskiem Cypkin, mężczyznę o czarnych oczach i kędzierzawych włosach. Chłopi znosili jako tako Kalmana, ale nie cierpieli jego żony. W pełni żniw Klara każdego dnia jeździła konno z wychowawcą z Warszawy. Ubrana w amazonkę, jadąc wymachiwała szpicrutą i znikła z obcym mężczyzną w gąszczu leśnym wśród moczarów i wykrotów. Cóż mogło powstrzymać taką rozpustnicę od grzeszenia z tym zepsutym młodym fircykiem? Byli tacy, którzy ich przyłapali na kąpeli w leśnym strumieniu. On był w gatkach, a ona w samej koszuli. Wieśniacy przeżuwali brukiew, soplali śliną, która napłynęła z wygłodzonych brzuchów, a ich baby mówiły:

– No cóż, młody ogier lepszy od starej szkapy.

Uszu Kalmana doszły pogwarki chłopów i plotki krążące wśród Żydów. Sam zresztą też powziął podejrzenia. Ostrzegł Klarę, że jej lekkomyślne zachowanie nie doprowadzi do niczego dobrego. Klara śmiała się z męża. Co mu przychodzi do głowy? Jej wystarczy jeden mężczyzna. Cypkin nie jest dla niej wart nawet funta kłaków. Jazda konna, a dlaczegóż by nie? Dobrze wpływa na zdrowie. Kąpiele w strumieniu? A co ma robić w takie upały, siedzieć skulona przy piecu? Jest kobietą postępową, nie zaś staromodnym czupiradłem. Oddajmy Bogu, co boskie, a człowiekowi, co ludzkie. Pożyczyła Kalmanowi pieniądze na budowę bóżnicy i mykwy. Czego on chce jeszcze? Cypkin cudów dokonał, jeśli chodzi o Saszę, wprost go odmienił. Przez parę tygodni

nauczył chłopca więcej niż wszyscy dotychczasowi nauczyciele razem wzięci. Czy Kalman nie dostrzega, że dziecko jest o wiele spokojniejsze? Całuje rodziców w rękę, nie wznieca pożarów, przestał podnosić rękę na ^wychowawczynię. Cypkin to urodzony nauczyciel, żeby się tylko dał namówić na pozostanie dłużej w ich domu. Niestety, gdy skończą się wakacje, będzie musiał wrócić na uniwersytet. Dlaczego więc Kalman tak

się irytuje? Ludzie zawsze mają wielkie oczy i długie ozory. Nawet rabina oczerniają.

Chcąc dowieść Kalmanowi, jak bardzo go kocha, przysłała w nocy do jego łóżka obsypując go pocałunkami i pieścizotami. Opowiadała wesołe historyjki i zachowywała się tak zabawnie, że Kalman musiał się śmiać i jej wybaczyć. Podejrzenia wzmogły jego pożądanie. Nie mógł się nią nasycić. Klara uskarżała się żartobliwie, że jej kości są w niebezpieczeństwie. Usnął wyczerpany i zadowolony, że powiedziała mu prawdę. Jednakże – jak Noe przed potopem – i wierzył, i nie wierzył. Wiedział, że grzechem jest nienawidzić. "Nie będziesz nienawidził brata twego w sercu twoim", ale nie mógł już patrzeć Cypkinowi w oczy. Odmówił zasiadania z nim przy jednym stole. Nawet wpływ Cypkina na zachowanie Saszy nie przypadł Kalmanowi do gustu. Chłopiec nie był wychowywany według Etyki przodków, tylko uczył się sztuczek jak niedźwiedź tańczący na ulicy. Zaczął się przypochlebiać i mówić "dziękuję", jak oficerowie i eleganci. Poruszał się w sposób afektowany, z fałszywym uśmiechem na ustach. Właściwie Kalman wolał okres poprzedni, kiedy Sasza zachowywał się jak dzikus.

W nocy Kalman wzdychał przez sen. Rano, kiedy się zbudził, wstyd mu było nałożyć tałas i tefilin. Podczas

odmawiania Osiemnastu błogosławieństw łyżka kapłała mu na brodę. W nocy słowa Klary zbiły go z pantalony, wraz ze świtem powrócił zdrowy osąd. Cóż innego może robić jego syn jak nie grzeszyć? Czy Cypkin to święty Józef? A gdzie Klara miała się nauczyć bojaźni bożej? W tej rosyjskiej szkole, do której uczęszczała, czy też zadając się z oficerami? Z pewnością nie z tanich powieści, chętnie przez nią kupowanych, ani ze sztuk, które oglądała w warszawskich teatrach: uczyły one kobiety, jak cudzołóżyć. Klara sama mu opowiadała, o co w tych farsach chodziło. Mąż zawsze okazywał się głupcem, a kochanek wspaniałym mężczyzną. Kalman zacytował fragment z Przypowieści Salomona: "Zjadła, obtarła swe usta i rzekła: «'Źle nie zrobiłam»," Tak, Klara zgrzeszyła i grze-

szy nadal. Przepisał na nią swój majątek, a teraz ona wystrychnęła go na dudka. Ludzie mu się przyglądają, wytykają palcami i wyśmiewają. Rogacz! Ale co ma zrobić, wypędzić ją? Prawo jest po - jej stronie. Sędziowie, prawnicy, sądy zostały stworzone dla ochrony niegodziwców. Zabiorą mu wszystko i oddadzą cudzołóźnicy, która nigdy nie skalała rąk żadną pracą. Oto, co chrześcijanie nazywają sprawiedliwością.

"Ojcze w niebie, w jakich to brudach się pograżyłem? – zawołał Kalman, chwytając się za głowę. – Jak do tego: mogło dojść? Mimo wszystko jestem synem rodziców, którzy żyli w bojaźni bożej." Jalc śmie odmawiać modlitwy i nakładać tefilin? Jest nieczysty. Dom jego to burdel. Nie jest godzien wymawiać świętych słów. Odłóżył tefilin.

II

Tej nocy Kalman nie spał, leżał w łóźku bez ruchu, pełen napięcia. Słyszał, jak Klara chrapie i mówi coś przez sen. Zawołała: "Aleksandrze". Kalman, mężczyzna zbliżający się do sześćdziesiątki, leżał skurczony w łóźku

i walczył z szatanem. Z piekła namiętności podnosił się głos nakazujący pochwycić topór i najpierw zarząbać Klarę na śmierć, a potem jej kochanka. Niech Bóg broni, by uległ temu impulsowi! Stanowi to jednak dowód, jak nisko upadł, jeśli zły duch podszeptuje takie pokusy, i do tego w miesiącu Elul, tuż przed Wielkimi Świątami. Bóg zna myśli Kalmana, syna Sendera-Jakuba. Jak mogło spaść na niego tyle katastrof? Córka wyrzekła się wiary przodków. On sam znalazł się o krok od przepaści. Czy jego bogactwo spowodowało te nieszczęścia? Zawsze był niepohamowany. Pewnego razu Zełda (niech odpoczywa w spokoju) tak go zirytowała, że wymierzył jej policzek. Zmusił się do wy-, mazania z pamięci tej niegodziwości, jednak Wszechmocny nie zapomniał.

Było mu niewygodnie leżeć na jednym boku, lecz nie zmieniał pozycji. Zasłużył na tortury. Ale co ma uczynić i z Klarą? Dobro i zło toczyły w nim walką. Zły duch zapewniał Kalmana; że i tak już jest stracony. "Wstań i zemścij się – wołał szatan, r- Co z ciebie za mężczyzna? Pokaż tym rozpustnikom, że Kalman nie jest głupcem. Bij ich! Zabij! Chłopi będą świadczyć na twoją korzyść. Ten rządzi, kto jest mocny. Niech poznają, kto jest silniejszy. Pamiętaj, że nawet w Talmudzie powiedziano: «Ten, kto najsilniejszy, zostaje zwycięzcą.» Czy Pinchas, syn Eliazara, nie przebił włócznią Cimriego, syna Sali, i Kozbii, córki Cura? Klara jest kobietą zamężną, zasługuje na śmierć. Ale nie musisz jej zabijać. Okalecz ją tak, aby żaden mężczyzna nie chciał na nią spojrzeć. Nie czekaj, Kalmanie. Wówczas nabierze dla ciebie szacunku, a kiedy będzie się tarzała u twych stóp, spluń na nią."

Kalman zacisnął pięści. Czuł, że jeśli zaraz wstanie, zbierze w sobie tyle siły, iż bez topora, gołą pięścią, rozwali jej czaszkę. Jest olbrzymem. Nie pozwoli obciąć sobie włosów, tak jak Samson.

Mimo że Kalmana ponosił coraz większy gniew, głos rozsądku nadal mu podszeptował: "Ile zostało ci jeszcze życia, Kalmanie? Masz już siwą brodę. Uciekaj od nich. To oni zgrzeszyli, nie ty. Nadal jesteś uczciwym Żydem. Pamiętaj o swym ojcu i matce i o świątobliwych przodkach."

Kalman nie mógł już dłużej leżeć. Usiadł w łóżku i obudził Klarę.

– O co chodzi, Kalmanie?

Kalman nie odpowiedział.

– Co się stało? ...-'J.

– Milcz, ty nierządnic!

Nie pragnął już zemsty. Pochylił się i obmył wodą z dzbana stojącego na podłodze. Potem, nałożywszy ranne pantofle i szlafrok, doszedł po omacku do drzwi; potracił świecznik. W tym wielkim dworze Kalman nigdy nie wiedział, gdzie co stoi. Wyszedł z domu i zszedł po kamiennych schodach na dwór w chłód nocy. Niebo było usiane gwiazdami. Wpatrując się w ciemność uświadomił sobie, że tylko jeden krok dzieli życie od śmierci, pobożność od

zła, prawdę od fałszu. Jakże trzeba uważać! Odetchnął głęboko. Krople potu obeschły mu na ciele. Gniew opadł. Kalman usiadł na kamieniu. Niebo wydawało się tak bliskie, wprost w zasięgu ręki. Nie, nie jest człowiekiem stosującym przemoc. Bóg istnieje. Kalman wiedział, że jego pierwszym obowiązkiem jest zadbać o duszę.

Drzwi frontowe otworzyły się i wyszła Klara ubrana w długą białą nocną koszulę.

– Co ci dolega, Kalmanie?

– Nie muszę ci tego mówić, Klaro.

– To wszystko nieprawda. Przysięgam na grób mojej matki.

– Nie należałaś do niego?

– Nigdy mnie nawet nie dotknął. Przysięgam ci na Boga.

Kalman zadrżał z trwogi.

– Czy ty wiesz, czym jest przysięga?

– Ależ wiem, Kalmanie. Możesz mi wierzyć, że wiem.

III

Rankiem Kalman wszedł do jadalni. Klara siedziała przy stole z Cypkinem. JCalman nie nałożył surduta ani kamizelki. Miał na sobie pikowany chałat i jarmużkę. Podeszedł do Cypkina.

– Nie potrzeba nam tutaj wychowawcy – oznajmił. – Proszę opuścić mój dom. *

Cypkin przestał jeść. Klara przez chwilę zaniemówiła, wreszcie się odezwała:

– Czyś ty oszalał, Kalman?

– Klaro, jestem tu jeszcze panem. Nie chcę go tutaj widzieć.

Cypkin uniósł się z miejsca. Klara skoczyła na równe nogi.

– Nie słuchaj go! Aleksandrze, on postradał zmysły. Nie może wydawać tu rozkazów. Wszystko w tym domu należy do mnie.

– Pakuj pan swoje rzeczy.. Masz pociąg o jedenastej.

– Kalman, ty mi za to zapłacisz – zawołała Klara i w momencie, gdy Cypkin opuszczał pokój, chwyciła nóż ze stołu. Kalman złapał ją za nadgarstek i wykręcał tak długo, aż nóż wypadł jej z ręki. Zaczęła wrzeszczeć:

– Na pomoc! Złamał mi rękę!

Służba nie zwracała na nią uwagi. Trzymali stronę Kalmana. W nocy Kalman obmyślił dokładnie, co zrobi.

Teraz spokojnie przystąpił do wykonania swego planu.

Kazał stangretowi Antoniemu odwieźć Cypkina bryczką na stację. Sam wyprowadził ze stajni parę koni i zaprzągnął

je do karety. Spakował i załadował książki i ubrania. Widocznie przewidywał spędzenie zimy w drodze, bo zabrał futro.

Klara od razu wysłała konnego posłańca do ojca. Stała przy oknie na górnym piętrze, blada i wystraszona. Mąż postąpił z nią jak zbój, przepędził wychowawcę Saszy i wykręcił jej rękę. Kalman opuszczał dwór w chwili kryzysu finansowego. Cypkin uciekł jak tchórz, nawet się nie pożegnał. Klara zastanawiała się, czy nie lepiej zejść na dół i rzucić się mężowi do nóg, wstyd jej jednak było poniżyć się przy służbie. Zresztą nie wyglądało na to, aby gest ten przydał się na coś. Oczy Kalmana pałały gniewem, kiedy smarował osie karety i zręcznie zakładał uprząż. Klara poczęła zastanawiać się nad własnym położeniem. Była współdzierzawczynią majątku, lecz wapienniki przejmie dopiero po śmierci Kalmana. Zapotrzebowanie na podkłady kolejowe zmalało do połowy. Młyn należał do Mejera-Joela. Klara znała się na procedurze sądowej, nie miała jednak żadnego doświadczenia w sprawach rozwodowych.' Być może Kalman postawi w sądzie świadków, którzy złożą zeznania przeciwko niej. Poszła do pokoju dziecinnego, gdzie guwernantka odbywała z Saszą lekcję francuskiego.

Wzięła chłopca za rękę i sprowadziła na dół.

– Idź pożegnać się z ojcem – powiedziała do niego, sama zaś powróciła do okna na górze.

Sasza z wahaniem podszedł do ojca.

– Czy tata gdzieś wyjeżdża?

– Tak, odjeżdżam.

– Dokąd, tato?

– Wracam do Żydów.

Sasza miał ochotę się roześmiać. Ojciec był taki zabawny. Wyglądał zupełnie jak stary żebrak. Miał długą

brodę, dziwaczny ubiór i chodził zawsze z modlitewnikiem. Mówił tylko o Bogu i Żydach' i co wolno robić, a czego nie wolno. Klara jeszcze raz zeszła po schodach i wyszła na dziedziniec.

– Pocałuj przynajmniej dziecko na pożegnanie.

Kalman zachował milczenie.

– Karetą nie należy do ciebie. Nie masz prawa jej zabierać. »

– Wszystko, co jest tutaj, należy do mnie – powiedział Kalman.

– To się jeszcze zobaczy.

– Odejdź ode mnie, bo pożałujesz.

– Chcesz się rozwieść?

– Chcę się ciebie pozbyć.

Klara zamilkła na chwilę, potem się odezwała:

– Myślę, że powinieneś dowiedzieć się o jednej rzeczy. Jestem w ciąży.

Kalman miał chęć pochwycić ją za włosy i ciągnąć po ziemi, jak to w dawnych czasach robiono z cudzołożnicami. Splunął.

– Bóg istnieje.

– Chodź, mój kochany Saszo. Jeśli chcesz wojny, Kalman, czeka cię więcej, niż się spodziewasz.

“Dlaczego tyle czasu milczałem?” – zastanawiał się Kalman, kiedy Klara z dzieckiem wróciła do domu. Z chwilą gdy przewyciężył swą świecką dumę, powróciła mu cała odwaga. To ona popełniła cudzołóstwo, nie on. Niechaj winni się wstydzą, nie zaś sprawiedliwi. Od czasu gdy się ożenił z Klarą, tylko raz odwiedził Marszynów. Nie był w stanie widywać się z Jochananem i Cypele podczas ^rwania związku z Klarą. Teraz postanowił spędzić Jom Kipur w tym świętym miejscu. Niech wszystko sścieźnie

we dwarze. Praca jego obraca się na korzyść czarta. Po odstawieniu Cypkina na*stację powrócił Antoni, lecz Kalman postanowił sam powozić.

IV

Ku zdumieniu mieszkańców Jampola Kalman przyjechał do miasteczka bez stangreta. Najpierw skierował kroki do swego kantoru znajdującego się obok spichrza. Za budynkiem stała szopa na narzędzia, gdzie składano sprzęt potrzebny drwalom. Leżały tam również rozmaite graty z karczmy, którą niegdyś posiadał.

– Hm, mocno jesteście zajęci? – spytał wchodząc do biura.

Buchalter i kanceliści siedzieli z rozłożonymi przed sobą otwartymi księgami i rejestrami. Nikt się nie odezwał. Zaskoczył ich; był pewien, że przed chwilą plotkowali na jego temat.

– Wyjeżdżam w odwiedziny do mego zięcia, rabiego – oznajmił Kalman. – Przez święta, a. może i dłużej, zostanę w Marszynie.

Moryc Szalit sięgnął po pióro, które trzymał zatknięte za uchem.

– Macie zamiar zostać chasydem?

– Nie, tylko Żydem. Podczas mojej nieobecności wszystkim zajmie się Mejer-Joel. Będzie podpisywał papiery, gdy zajdzie konieczność.

– Mejer-Joel? Powinien mieć pełnomocnictwo.

– Tak, musimy pojechać do młyna. Zabierz pióro, atrament i lak.

– Pan każe, sługa musi Dawid Sorkes zacytować przysłowie.

Zazwyczaj Kalman nie wydawał rozkazów nie wysłuchawszy w pierw zdania swych pracowników. Teraz stał w kantorze, z batem w ręku, milczący i nieugięty. Biuraliści szybko dopijali herbatę. Kiedy próbowali wejść do

karety, okazała się tak naładowana bagażem Kalmana, że

D

tylko dwóch amęściło się w środku. Ignacy Herman wdram pal się na kozioł i siadł obok Kalmana. Kupcy jampolscy Wf podchodzili ze sklepów i gapili się na przejeżdżających. Również kobiety porzuciły zajęcia, aby się przyglądać temu osobliwemu widowisku. W oknach pokazały się potargane głowy dziewczyn. Dra nikogo nie ulegało wątpliwości, że Klara wypędziła Kalmana ze dworu. Wiedziano już, że konny posłaniec przywiózł list do Daniela Kaminera, a nie zastawszy go w domu, pojechał truchtem do koszar, aby doręczyć ów list. Żydzi jampolscy wzruszali ramionami: jak sobie Kalman posłał, tak niech się i wyśpi.

Kareta toczyła się po polnej drodze prowadzącej do młyna. Kilka wozów stojących przed młynem usunęło się z drogi. Chłopi zdejmowali czapki i kłaniali się Kalmanowi. Na spotkanie wyszedł Mejer-Joel obsypany mąką. Nawet jego czarna broda była siwa. Kalman zsiadł z kozła i odprowadził Mejera-Joela na bok, aby się z nim rozmówić. Mejer-Joel miał zająć się wapiennikami przez parę tygodni i dopilnować jego interesów w majątku, bo on, Kalman, już nie może dłużej znieść współżycia z kobietą zepsutą moralnie. Mejer-Joel słuchał i głaskał brodę. To początek. Zawsze wiedział, że w końcu obejmie na dobre

I całą majątność. Bo i któż by inny? Azriel nie nadaje się

do interesów, a Jochanan jest rabim. v Mejer-Joel zatrzymał –§ się ze swym teściem w pobliżu tamy.

Rozmawiając wpa

trywali się w spienioną wodę przewalającą się przez koło.

I Wrześniowy dzień był słoneczny i ciepły. Tę porę roku, gdy w powietrzu unosi się pełno pajęczyn, nazywano babilim latem. Wszędzie rozchodziły się zapachy siana, nawozu i żywiczna woń sosen. Kury gdakały, koguty piałły. Kilku chłopów przenosiło kloce i deski na rozpoczętą Właśnie budowę stodoły. Boża krówka siadła na klapie palta Kalmana.

– Proszę wejść do domu, teściu – odezwał się Mejer- -Joel. – Zawsze jesteście u nas mile widziani.

– To musisz zaprosić i moich pracowników.

– Proszę się o nich nie kłopotać. Niech poczekaają tutaj.

Jochewed, zajęta pieczeniem chleba, nie widziała nadjeżdżającą karety. Stała z drewnianą łopatką w ręku, i w chusteczce na głowie, opasana szerokim ; fartuchem. W piecu piekły się już bochenki chleba, a na kuchni, w garnku ustawionym na trójnogu, gotował się rosół | z kury. Tajbele, najstarsza córka, obierała cebulę. Chłopcy poszli do chederu w Jampolu. Najmłodsze dziecko stało w stojaczku i z zapalem stukalo warząchwia. Kalman zatrzymał się zdumiony. Jochewed była wiernym obrazem swej matki Zełdy. Wzdrygnął się. Miała taką samą spiczastą brodę jak matka i brodawkę na brodzie z trzema wyrastającymi z niej włoskami. Na widok ojca Jochewed odłożyła łopatkę, klasnęła w ręce dokładnie w taki sam, sposób, jak to robiła Zełda. W oczach miała wyraz smutku, którego nie usunie żadne bogactwo. Na chwilę uśmiech rozjaśnił jej twarz i zaraz znikł.

– Ojciec 1

– Jochewed!

Odezwała się do niego właśnie tak, jak to robiła Zełda. W tonie jej głosu zabrzmiała miłość razem z wyrzutem.

Dlaczego tak rzadko ich odwiedza? Dzieci bez przerwy

się dopytują o dziadka. Stał się dla nich prawie obcy. Sięgnąwszy do kieszeni fartucha, wyjęła przybrudzoną chusteczkę, i wydmuchała nos. Kalman dostrzegł na stole otwarty modlitewnik.

- Pieczesz chleb i się modlisz?
- Odczytałam parę rozdziałów z Psalmów.
- Jak twój żołądek? Czy wciąż odczuwasz to pieczenie?
- Jak zjem coś ostrzejszego.
- Dlaczego nie zwrócisz się do doktora?

Jochewed wydeła z niesmakiem wargi.

- A co ci doktorzy wiedzą? Dopóki człowiek oddycha, to i dobrze.
- Kobieta w twoim wieku powinna być zdrowa.
- Nie jestem taka młoda. Oświadczone się już o Tajbele.

Dziewczyna zacisnęła wargi.

- Ach, mamó, znów zaczynasz?
 - Czy powiedziałam nieprawdę? Przecież tak jest, no nie? Chciałabym po prostu doczekać tego dnia i zatańczyć na twoim weselu:

Kalman słuchał przerażony. Te same słowa wypowiedziała ongiś Zełda. Tak jakby zmarła żona cudem powstała z grobu.

- Czy teść nie przekąsiłby czegoś? – przerwał Mejer-Joel. – Przejdźmy do pokoju.

Siedzieli i długo rozmawiali. W końcu przywołali biuralistów. Mejer-Joel wszystko wiedział zarówno o sprawach dotyczących wapienników, jak i drzewa. Pytania, jakie zadawał, świadczyły, że jest zdolnym handlowcem, nawet sprytniejszym od Kalmana. "Skąd on tak dobrze się orientuje? – zastanawiał się Kalman. – Czy mnie szpiegował przez te wszystkie lata? Czy ktoś zdradzał przed nim moje interesy?" Mejer-Joel mógł od razu przejąć prowadzenie różnorodnych przedsięwzięć

Kalmana. Wyjawiał, że ma nawet prawnika, który podejmie się każdej sprawy sądowej, jeżeli zajdzie konieczność.

“Mogę już umrzeć – pomyślał Kalman. – Nie jestem nikomu potrzebny.” Jednak nie śmierci pragnął, a życia uczciwego Żyda*

CZĘŚĆ TRZECIA

A

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

I

Zapowiedziawszy, aby nikt jej nie przeszkadzał, Klara zamknęła się w swoim pokoju, usiadła przy sekretarzyku i zaczęła płakać. Szczęście jej sprzyjało nie w ciągu siedmiu lat, a tylko siedmiu tygodni. Trudno uwierzyć, że wszystko skończone. Opuścili ją obaj, zarówno kochanek, jak i mąż.

Właśnie odwiedził ją ojciec, jego wizyta nie była dla Klary przyjemna. Daniel Kaminer ostro się z nią rozmówił.

Jedno z dwojga, albo trzeba zachowywać się przyzwoicie, albo nie wychodzić za mąż. W każdym razie nie wolno afiszować się w biały dzień ze studentem.

Kaminer już wiedział, że Kalman zlecił prowadzenie bieżących interesów Mejerowi-Joelowi, podejrzewał, że zięć Kalmana to ciężki orzech do zgryzienia. Po pierwsze, Mejer-Joel miał stosunki z okolicznym ziemiaństwem, po drugie, był na dobrej stopie z większością urzędników. Rittermajer przebywał obecnie w Petersburgu, Smirnowa też przeniesiono z Jam- pola. Podobno nowy pułkownik jest złośliwy, Daniel Kaminer nawet się z nim dotychczas nie spotkał. W tym stanie rzeczy niewiele mógł zdziałać, żeby naprawić błędy

Klary. Co więcej, miał się niedługo ożenić i wybierał się do Warszawy w odwiedziny do pani Frenkiel i jej córki. Łzy spływały po policzkach Klary, kiedy słuchała słów ojca.

– Gdybym umarła – odezwała się – proszę, niech ojciec zaopiekuje się Saszą.

– Jeszcze nie umierasz, córko. Jeszcze mnie przeżyj jesz – odpowiedział i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Mejer-Joel przybył do dworu, chcąc omówić sprawy z Klarą, ale ona go nie przyjęła. Poleciała przekazać swoje życzenie. Niech robi, jak mu się podoba. W dwa dni później wyjechała do Warszawy, zostawiając Saszę z guwernantką.

W czasie pobytu w stolicy Klara nie zatrzymała się u pani Frenkiel, lecz w Hotelu Krakowskim. Po wejściu do pokoju rzuciła się na łóżko i rozplakała. Potem doprowadziła do porządku swój wygląd, wzięła dorożkę i pojechała do małej “restauracyjki obok uniwersytetu, uczęszczonej przez studentów. Rozglądała się za Cypkinem, lecz pierwszą osobą, którą zauważyła po wejściu, był Azriel. Gdyby nie to, że i on ją od razu spostrzegł, byłaby natychmiast wyszła. Pił herbatę z jakimś studentem.

– Na miły Bóg, a to dziwny zbieg okoliczności – odezwał się wstając i spiesząc jej na powitanie.

Klara z trudem powstrzymała się od łez.

– Dlaczego nie odwiedziliście nas latem? Co macie przeciwko mnie?

– Już mówiłem. Nie mogliśmy.

– Dlaczego Szajndł mnie nie lubi?

Azriel nie miał wątpliwości, kogo tu Klara szuka. Sam Cypkin mu opowiadał, jaki to z Kalmana stary i zazdrosny głupiec, a przy tym nie oszczędził i Klary. Naźwał ją parweniuszką, przytoczył śmieszny błąd, jaki popełniła cytując łaciński epigramat. Azriel przeprosił swego

towarzysza i przeszedł z Klarą do innego stolika. Czuł się zmieszany, siadł na brzeжку krzesła przysuniętego bokiem do stolika. Klara zamówiła filiżankę czarnej kawy. Przez chwilę panowało milczenie pełne napięcia, żadne z nich dobrze nie wiedziało, o czym mówić. Wreszcie odezwał się Azriel mówiąc, że Cypkin nie był tego dnia na wykładach.

– Dlaczego? – spytała Klara. – Czy jest chory?

– Nie wiem.

Wtedy Klara poczęła opowiadać krótkimi urywanymi zdaniami, jak to Kalman bez żadnego powodu wypędził Cypkina z domu. Bóg świadkiem, nie popełniła nic takiego, czego musiałaby się wstydzić.

– Gdyby w jego podejrzaniach było choć źdźbło prawdy, mniej by mnie to bolało. Nie dbam o to, co sobie ludzie o mnie pomyślą.

Klara zaczęła pociągać nosem i szlochać. Wszystko u niej było przejaskrawione: kapelusz ozdobił nadmiar piór, na policzki nałożyła zbyt dużo różu, za mocno się uperfumowała. Studenci spoglądali na siebie i uśmiechali się jeden do drugiego. Dama tak przesadnie ubrana stanowiła rzadkość w tym lokalu. Azriel spuścił głowę i poczerwieniał.

– Proszę nie brać tego zbyt do serca – powiedział z wahaniem.

– Ale to wszystko jest tak poniżające i bolesne.

Zbierało jej się znów na płacz. Wreszcie się opanowała.

– Muszę mu powiedzieć, jak mi jest przykro z powodu tego nieporozumienia. Czy wiesz, gdzie on mieszka?

— Nie, nie wiem. Gdzieś na Lesznie w mieszkaniu jakiegoś przemysłowca. Właściciele wyjechali, korzystają z kąpieli w jakimś kurorcie.

– Czyżby nie miał własnego mieszkania?

– Doprawdy nie wiem.

–• Tym razem nie zamieszkałam u ciotki, zatrzymałam się w Hotelu Krakowskim – powiedziała Klara jakby na Współ do siebie.

Azriel odgadł, że ma przekazać tę wiadomość Cypki-
wi. Oboje zamilkli na dłuższą chwilę. Klara nie czekała
nawet na zamówioną kawę. Świadoma jego zakłopotania
wstała. Azriel też się podniósł.

– Muszę już iść. Mam dużo sprawunków do
załatwienia. Kawa? Proszę się nie kłopotać...

– To nie ma znaczenia.. Ja ją wypiję.

– Zapraszam do mego hotelu, zabiorę was do teatru.
Przyjdźcie razem z Szajndł.

– Czy na długo zawitałaś do Warszawy?

– Nie wiem. Ojciec na stare lata postanowił się ożenić.
I to z-córką mojej ciotki.

Klara znów przyłożyła chusteczkę do oczu. Azriel
pożegnał się z nią. Patrzone teraz na nich z nieukrywaną
drwiną. Studenci robili miny i szeptali. Od razu po wyjściu
Klary otoczyli Azriela.

– Co to za damulka? Dlaczego szlochała? Czy ją
porzuciłeś i spodziewa się dziecka?

Azriel jakby się usprawiedliwiając przysięgał, że to
macocha jego żony, ale studenci potrząsali
niedowierzająco głowami. – Powiedz to swojej babci!

Klara ruszyła Nowym Światem. Co za głupi zbieg oko-
liczności. Akurat musiała się natknąć na Azriela i wypła-
kiwać przed nim swe żale. Tak się zachowywały
pokojówki po zajściu w ciążę. Klara zadrżała, a czy ona
nie jest w ciąży? Już dwa miesiące nie ma periodu. "No
cóż, zrobię to, co robią pokojówki, rzucę się do Wisły."
Przystanąwszy przed wystawą, popatrzyła na manekiny
w paltach z futrzanymi kołnierzami i mufkami. "A czy to
źle być taką lalką jak one? – rozmyślała. – Nie wiedzieć
nawet, że się istnieje." Śmierć jest jedynym

pocieszeniem. Ona wymazuje wszystkie błędy, grzechy i niepowodzenia.

Poszła dalej. Ilekroć się zakochała, spadało na nią nieszczęście, a z nim zgryzota, powikłania i nieporozumienia. Co ma teraz zrobić? Nie zna adresu Cypkina. Nie może narażać się na dalszą kompromitację. Drwinki studentów nie uszły jej uwagi.

II

W domu Jakuba Dancyngera przy ulicy Leszno podano obiad. Dancynger zasiadł w fotelu u szczytu stołu. Był niewielkim mężczyzną o czerstwych policzkach i bystrym spojrzeniu. Miał siwą kocią bródkę, nosił czarny garnitur, wysoki sztywny kołnierzyk i prążkowaną kamizelkę. Gors osłaniała wetknięta pod kołnierzyk ogromna biała serwetka. W czasie posiłku żartował z dwiema córkami i synem Zdzisławem. Cała rodzina świeżo wróciła od wód z Karlsbadu. Wskutek wojny celnej między Rosją a Niemcami, ceny towarów wełnianych poszły w górę. Dancynger spodziewał się zrobić dobry interes na towarach zmagazynowanych w swych składach. Jednak zajmowały go nie tylko sprawy doczesne, miał też swą ławkę w reformowanej niemieckiej synagodze, mówił płynnie po polsku, chociaż zachował żydowski akcent, czytywał hebrajski dziennik "Hacefira", Gwiazda Poranna, był wyznawcą reb Abrahama Sterna (niech odpoczywa w spokoju) i znał reb Chaima Zeliga Słonimskiego. Obaj oni przewodzili ruchowi oświecenia w Polsce. Żona jego, Roza, córka bogatego kupca z Kalisza, miała na połowie twarzy duże czerwone znamię. To znamię przyniosło Dancyngerowi posag w wysokości ośmiu tysięcy rubli. Pani Dancynger mówiła po francusku i grała na fortepianie. W czasie sprzeczki z mężem nazywała go "staroświeckim Żydkiem".

Starsza córka, Sabina, przekroczyła już dwadzieścia lat. Była niska i gruba, z nieproporcjonalnie dużą głową. Na szczęście odziedziczyła po matce jasne włosy, niebieskie oczy i zadarty nosek. Skończyła renomowaną szkołę z internatem dla panien, do której przyjmowano tylko nieliczne Żydówki. Uczyła się literatury francuskiej, angielskiej i włoskiej, pisała poezje w języku polskim, których nigdy nikomu nie pokazywała. Od lat pracowała nad jakimś przekładem. Ojciec odłożył dla niej znaczny posag, a narastające odsetki powiększały rokrocznie kapitał. Sabina nie zgodziła się na aranżowanie swego małżeństwa przez rodziców. Była bardzo wybredna, nie tknęła potrawy przyrządzonej nie według jej gustu. Wyeliminowała ze swej diety czosnek, rzodkiew, cebulę i śledzie. Większość jej koleżanek już powychodziła za mąż i miała dzieci, Sabina natomiast nie była jeszcze oficjalnie zaręczona. Spędzała dni i wieczory w swym "błękitnym pokoju" na lekturze poważnych książek i bez przerwy wojowała z całą rodziną. Jej siostra Anna chodziła jeszcze do szkoły, brat Zdzisław pracował w firmie ojca i miał niedługo zostać jego współnikiem.

W środku obiadu u drzwi wejściowych zabrzączał dzwonek. Po paru minutach pojawiła się pokojówka oznajmiając, że przyszedł posłaniec z listem do pana Cypkina i czeka na schodach.

- No to o co chodzi? – zapytał pan domu. – Weź od niego ten list.
- Nie chce nikomu go doręczyć, tylko panu Cypkinowi.
- Wiesz przecież, że pan Cypkin się wyprowadził.
- Pyta o jego nowy adres.
- Nie jesteśmy biurem adresowym –■ oświadczyła pani Dancynger, unosząc brwi w górę.

– Ja z nim pomówię – odezwał się Zdzisław i ruszył do drzwi. Wrócił po chwili, trzymając w jednej ręce niebieski arkusik listowego papieru, a w drugiej kopertę.

Zdzisław, domowy żartowniś, był niski i gruby. Miał szeroki kark jak u byczka i mocno skręcone włosy niczym owca. Został usunięty z gimnazjum nie dostawszy matury i ojciec wziął go do swojej firmy. Zdzisław zapewnił[?] posłańca, że to on jest Cypkinem. Stał ostentacyjnie pośrodku jadalni i wzniosłszy dramatycznym gestem rękę do góry, zaczął deklamować:

Najdroższy Aleksandrze!

Wczoraj przyjechałam do Warszawy i poszłam natychmiast do lokaliku obok Uniwersytetu, ale Ciebie tam nie znalazłam. Zatrzymałam się w Hotelu Krakowskim, pokój numer 8. Znoszę piekielne katusze, płaczę bez przerwy. Przybądź zaraz, bo inaczej umrę. Proszę, daj odpowiedź przez posłańca.

Twoja na zawsze

Klara

Anna wybuchnęła śmiechem, ale pani Dancynger stuknęła pięścią w stół.

– Cicho bądź, Anno. Pokaż mi ten list, Zdzisławie.

– Mamo, proszę, nie rób tyle hałasu – odezwała się gniewnie Sabina. Rzuciła piorunujące spojrzenie Annie, wysokiej, szczupłej dziewczynie, która już chodziła na bale i zdobywała nagrody w konkursie tańca. Wielu młodzieńców kręciło się wokół niej. Sabina odsunęła talerz. Spadł na nią cios, z którego nigdy się nie otrząśnie. Mimo to musi zachować dobre formy. W głębi serca zawsze czuła, że Cypkin to kłamca i oszust. Nigdy nie wierzyła jego słodkim słówkom. Był egotystą, a chciał sprawiać wrażenie człowieka głęboko przejętego sprawami świata. Pisał do niej namiętne listy miłosne, a

jednocześnie prowadził romans z tą kobietą, która wyczekiwała go z zapartym tchem w pokoju hotelowym. Sabina nie mogła już dłużej usiedzieć. Łzy, które usiłowała powstrzymać, mogły lada chwila popłynąć. Policzki jej oblał rumieniec, pot wystąpił na czoło. Złożyła serwetkę i wyszła ze spuszczoną głową. Słychać było jej kroki w przedpokoju, a potem odgłos klucza przekręcanego w drzwiach pokoju. Pani Dancynger nałożyła okulary w złotej oprawce i schwyciwszy list, czytała trzymając go na odległość wyciągniętego ramienia.

– Co za podłość – powiedziała, potem zwróciła się do syna: – Nie powinieneś być tego zrobić.

– Prawda musiała kiedyś wyjść na jaw, mamó. Mówiłem, że to kanciarz

– Wszyscy mężczyźni to bydlęta.

Jakub Dancynger nie przerywał ogryzania kurzego udka.

– On będzie tu dziś wieczorem. Sam z nim pomówię.

– I o czym będziesz z nim mówił? – zapytała pani Dancynger, zdejmując okulary.

– Powiem mu, że albo wyciąga rybkę, albo odcina przynętę. Albo się żeni, albo niech idzie do diabła.

– Jakubie, co za wyrażenia! Pamiętaj, że to Warszawa, nie Łódź. Skąd wiesz, że Sabina jeszcze go zechce?

– Po ożenku zapomina się o takich głupstwach.

– Studentom nie wolno się żenić.

– Porzuci uniwersytet. Z niego w żadnym razie nie będzie doktor. Nie ma cierpliwości. Wezmę go do firmy.

– Do firmy? Po takim postępku? Dobry z ciebie ojciec.

Pani Dancynger wstała od stołu.

– Straciłam apetyt – powiedziała i opuściła pokój.

Pozostali w milczeniu dokończyli obiad. Po Wyjściu żony Jakub odłożył widelec. Głośno wysysał kostkę kurczęcia, a wyluskawszy okruch chleba z brody, wrzucił go do ust. Cały czas wzdychał i trząsł głową.

Zdzisław siedział zamyślony. Już żałował swego wybryku. Żał mu było siostry. Anna również spoważniała. Zdała sobie sprawę, że nie powinna była się śmiać. Sabina nigdy jej tego nie wybaczy. Nie widziała nic zabawnego w tym, - co zaszło. Nie było końca zdradom osobników płci męskiej. Pomyślała o tych wszystkich, którzy jej przysięgali dożgonną miłość. Zapewne byli równie fałszywi.

III

Tego samego wieczoru, punktualnie o godzinie ósmej, Cypkin przybył do Dancyngerów z bukietem kwiatów w ręku i zadzwonił do drzwi. Pokój przy ulicy Długiej, do którego się wprowadził, nie zadowalał go. Zdawał sobie sprawę, że zmarnował całe wakacje. Tak się zaplątał w romans ze starszą od siebie kobietą, że aż jej mąż wypędził go z domu. Opuścił się w studiach, a szczerze mówiąc, i we wszystkich innych sprawach. W drodze do Dancyngerów Cypkin po raz setny dokonywał oceny sytuacji. Na uniwersytecie w Kijowie zachował się po głupiemu i omal nie stracił życia w czasie demonstracji. To cud prawdziwy, że znów może studiować i nie przebywa na wygnaniu. gdzieś na Sybirze. Ale czy odrzucił swe ideały? Może brakło mu siły niezbędnej do działalności rewolucyjnej, chociaż nadal utrzymywał, że należy dać oświatę i wolność masom. Cypkin uważał się za ateistę. Nie miał zamiaru poddać się ceremonii zaślubin z udziałem rabina. Ślub to obrzęd barbarzyński, nie pasujący bynajmniej do współczesnych czasów. Ale nie przeszkodziło mu to oświadczyć Sabinie, że wygląda niecierpliwie tego dnia, kiedy staną razem pod ślubnym baldachimem. Poczył zobowiązania, których nie może dotrzymać, pożyczył pieniądze, których nie może spła-

cić. Zapomniał, że ma napisać do rodziców i do siostry Soni, która wpędziła się w chorobę ze zmartwienia o niego.

“Co się ze mną stało? – zapytywał sam siebie. – Byłem tak żarliwy w swych przekonaniach. Każdemu mówiłem prawdę w oczy, nawet samemu Radziwiłłowi. Wszystko się popsuło, bo obleciał mnie tchórz i nie zdecydowałem się na opuszczenie kraju. Jestem zbyt samolubny i wygodny.” Pewien rewolucjonista powiedział mu kiedyś: “Każdy, kto lubi czystą, białą koszulę, prędzej czy później staje się reakcjonistą.” “Tak, czuję zbyt wielką niechęć do brudnych koszul i brzydzę się robactwem.”

Drzwi otworzyła- pokojówka, flflg Ach, kwiaty |gl powiedziała spoglądając na niego kpiąco. Jjg Lepiej będzie włożyć je do wody. – Uśmiechnęła się lekko.

Kiedy Cypkin wszedł do jadalni, zastał przy kolacji samego Jakuba Dancyngera, a nie całą rodzinę, jak tego oczekiwał. Na stole stało jeszcze jedno nakrycie, widocznie dla niego. “Co tu się dzieje?” – zastanowił się w duchu, a na głos zapytał:

■T-* Gdzie się wszyscy rozeszli?

Na wargach gospodarza ukazał się cień uśmiechu.

– Żonę boli głowa. Anna gdzieś wyszła. Sabina zamknęła się w swoim pokoju. Zdzisław ma jakieś własne sprawy. Jestem tu sam jeden.

– Czy mogę zobaczyć się z Sabina?

– Jeśli ciebie wpuści.

“Musiało coś zająć”, pomyślał Cypkin. Już w drodze miał dziwne przeczucie, że spadnie nań coś złego.

Jakub Dancynger głaskał brodę. . – Siadaj. Chciałbym z tobą trochę pomówić. v

– Oczywiście. Dziękuję.

– Chwileczkę.

Pokojówka wniosła dwa talerze ryżu na mleku, z cynamonem, potrawę, którą podawano u Dancyngerów, gdy nie oczekiwano gości. Cypkin podniósł łyżkę ryżu do ust i nie był w stanie go przełknąć. Gospodarz wyłuskał ziarnko ryżu z wąsów.

– Aleksandrze, niełatwo mi o tym mówić. Przemawiam tylko w swoim imieniu. Nie wiem, co zamyśla Sabina. Nie jestem przecież Bogiem.

– Co się stało?

– Doszliśmy do takiego momentu – powiedział Jakub Dancynger z błyskiem rozbawienia w oczach – kiedy musimy zdać sobie jasno sprawę z sytuacji. Albo masz uczciwe zamiary, albo nie. Jeśli są uczciwe, musisz zakończyć owe głupstwa i ożenić się.

Ostatni wyraz wymówił bardzo szybko.

– Ożenić się? Ministerstwo Oświaty na to nie zezwala. Miała wyjść nowa ustawa, lecz...

– Powiedz mi, kto to jest Klara? Cypkin zbladł.

– Czy pan mnie szpieguje?

– Bynajmniej. Ale nie da się ukryć takich rzeczy. Dziś przyniesiono do ciebie list. Przypadkiem został otwarty.; ;

– Kiedy? Co za list?

– Nie mam pojęcia. Zdzisław go przeczytał. Wiem, że młodzi mężczyźni są wszyscy jednakowi, ale są pewne gra* nice. Powiedz mi, kim ona jest? Czy mieszka w majątku, gdzie dostałaś pracę?

– W głowie mi się to nie mieści.

– Jeśli jesteś w niej zakochany, to nie możesz dostać mojej córki. Z drugiej strony, jeśli żywisz jakieś uczucia do Sabiny, musicie tę sprawę między sobą ułożyć.

– Musiałbym porzucić studia.

– Mówię jako ojciec. Człowiek w moim wieku wiele potrafi wybaczyć. Natomiast co powie Sabina, to już inna sprawa. No, zacznij jeść swój ryż, to nie trucizna.

Cypkin spuścił głowę. Jak Klara mogła coś takiego zrobić? Wyraźnie ją uprzedził, aby nie pisała do niego na adres Dancyngerów. Umyślnie to zrobiła, chcąc go skompromitować. Wsunął łyżkę do ryżu i nie pamiętał, żeby ją wyjąć. Twarz mu pałała. Uszy paliły jak od wymierzonego policzka. Wzniósłszy wzrok ku górze, wpatrywał się w lampę z porcelanowym kloszem zawieszoną nad stołem na łańcuchach z brązu.

Uświadomił sobie, że tyka zegar ścienny.

Zwrócił uwagę na połysk sreber na kredensie. Na dworze był chłód, cisza i ciemność – nastał już wrzesień. Czy ma się rozstać z uniwersytetem, pytał sam siebie, czy powinien podjąć pracę u kapitalisty? Jakub Dancynger zdawał się czytać w jego myślach.

– Jeśli nie chcesz wejść do interesu – odezwał się – możecie z Sabiną wyjechać za granicę. We Francji nawet dziadek może być studentem.

– Tak, to prawda.

Pokojówka wniosła kawę. Jakub Dancynger zaczął rozmawiać o interesach. Z powodu wojny celnej między Rosją a Niemcami handel szedł znakomicie. Łódź rozrastała się jak na drożdżach i już zyskała sławę polskiego Manchesteru. Dlaczego Rosja musi tyle importować? Wszystko mogłaby wytwarzać w swoich fabrykach. Żeby tylko dano tam wolną rękę Żydom, jak w innych częściach świata. Jakub Dancynger prenumerował polskie gazety i jedyną żydowską wydawaną w języku polskim. Powiedział Cypkinowi, że stary Montehore znów zamierza udać się do Ziemi Izraela. W Kiszyniowie zbierano pieniądze dla żydowskich osadników rolnych. Żyd węgierski został tureckim paszą. Kto uwierzyłby jeszcze przed paru laty, że coś takiego jest możliwe? A czy to prawda, że ludzie zwani nihilistami podpalają wsie nad Wołgą?

– Wszystko możliwe.

– Po co te pożary? Wszak to biedota zostaje bez dachu nad głową, nie bogacze.

Cypkin nie odpowiedział.

– Tacy ludzie niszczą świat – oświadczył Jakub Danczynger zanurzając palce w miseczce z wodą.

W pokoju Sabiny przeważał kolor błękitny. Niebieski dywan zaścielał podłogę, tapety się niebiesciły, fotelik był pokryty niebieską tkaniną, nawet lampka miała niebieski klosz. Złocony krawężnik kaflowego pieca i obrazy w złotych ramach wiszące na ścianach tym wyraźniej odbijały od dominującego błękitu. Przy okrągłym stoliku, nakrytym niebieską serwetą, siedziała Sabina czytając książkę oprawną w aksamit. Biała bluzka i ciemna spódniczka przyodziwały jej pulchną figurę. Światło lampy padało na jasne włosy. Po wejściu Cypkina nadal czytała, chcąc zaznaczyć, że poezja bardziej ją interesuje niż jego osoba. Wreszcie podniosła swą dużą głowę i wpatrzyła się w niego niebieskimi oczami.

– Ach, otóż i donżuan z Nalewek. Cypkin przygryzł wargę.

U Sabino, nie przyszedłem tutaj, żeby wysłuchiwać twych drwinek. *

– No, na pewno nie. Spodziewałeś się, że ci dam order. Zbliź się, siadaj. Tutaj, na tym szeszlunku.

. –■ Dziękuję.

– Nie sądź, że twoje postępowanie mnie zaskoczyło – powiedziała Sabina tonem osoby, która dokładnie rozważyła całą sprawę i właściwie ją ocenia. – Nigdy ci nie ufałam. Oto cała prawda bez osłonek.

– Mam nadzieję, że to nie wpłynie na naszą przyjaźń.

– Dlaczegoż to miałabym się przyjaźnić z oszustem?

Cypkin zbladł.

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli stąd wyjdę.

– Zaczekaj. Pójdiesz dopiero wtedy, kiedy ja ci na to pozwolę, nie wcześniej. Tacy jak ty nie mają prawa odchodzić, kiedy im się podoba.

Sabina roześmiała się, ukazując szerokie, żółtawe zęby. Mimo pozorów ponurości znana była w rodzinie z poczucia humoru. Cypkin założył nogę na nogę.

– Co czytasz?

– Jakie to ma dla ciebie znaczenie? Powiedz, kim jest ta Klara? Czy to żona właściciela majątku, o którym pisałeś w liście do Karlsbadu?

– Być może.

– Dlaczego do niej nie idziesz? Biedactwo, płacze bez przerwy. Jest u progu śmierci.

– Czy napisała to w liście?

– Mniej więcej. Może rozwiedzie się z bogatym mężem i wyjdzie za ciebie. Sądząc z twego listu; jej synek to miły chłopaczek.

– Porzuć ten sarkazm.

– Sam mi go tak opisałeś. Co zaś do twojej osoby, nigdy nie brałam cię na serio. Pocieszam się tym obecnie. A ilu jeszcze kobietom zawracasz głowę?

– Sabino, nie przyszedłem, żeby się przed tobą spowiadać, tylko się pożegnać. Chcę ci podziękować za te szczęśliwe godziny, które spędziliśmy razem.

– Nie musisz mi dziękować. Nie były znów tak szczęśliwe. Przyjemniej spędzałeś czas z Klarą. Czy jesteś po kolacji?

– Tak, dziękuję.

– Kto jeszcze był z tobą w jadalni?

– Tylko ojciec.

– Aha. Co ci powiedział?

– On też jest na mnie zły. Mimo to pragnąłby naszego małżeństwa. – Cypkin zaczerwienił się wymawiając

słowo "małżeństwo", które wymknęło mu się z ust mimochodem.

Wyglądało na to, że Sabinie zbiera się na śmiech, lecz twarz jej spoważniała.

– Małżeństwo? Z szarlatanem?

– Kochanie, nikt nie będzie cię zmuszać.

– Mam nadzieję. Gdyby tylko mój drogi tata mógł mnie do czegoś zmusić, wierzaj, zrobiłby to. Gdzie ją spotkałeś? Nigdy przedtem nie chciałeś podjąć żadnej pracy.

– Spotkaliśmy się w Warszawie.

– I szaleńczo się zakochałeś.

– Jeśli tak chcesz to nazwać.

– A jak inaczej? Ona nie przestaje ronić łez. O jedno chciałabym cię zapytać. I ten jeden raz, proszę, odpowiedz mi szczerze.

– O co chcesz zapytać?

– Nie, najpierw musisz przysiąc. Podaj mi rękę. Cypkin podniósł się z wahaniem, ujął dłoń Sabiny ciepłą i wilgotną.

– Słowo^ honoru?

– Słowo honoru.

– Wracaj na poprzednie miejsce. Nie lubię, jak taki drażgal stoi nade mną., Cypkin usiadł.

– Czy wprowadziłeś ją tutaj? To znaczy do tego domu? Cypkin z trudem przełknął ślinę.

– Tak.

– I ona siedziała tu, na tym łóżku?

– Nie chcę, abyś zemdłała, jak ci odpowiem.

– Myślisz, że należę do tych, co łatwo mdleją?

|| Tak, siedziała. Czy chciałabyś jeszcze czegoś się dowiedzieć?

Twarz Sabiny zbieleła^ A mimo to, podobnie jak u ojca, w oczach jej pozostał ślad rozbawienia.

– Powiedz mi, jak myślisz, czy ktoś upadł niżej od ciebie?

– Nie mam pojęcia.

– No, ale ja wiem, że nie. Wynoś się stąd i nie wracaj. Żebyś nigdy więcej do mnie się nie odezwał. Czy mówię jasno?

– Wystarczająco jasno.. Cypkin wstał gotów wyjść.

– Nie tak prędko. Powiedziałam ci, że jak skończę*, to ciebie wyrzucę. Kiedy się to wszystko wydarzyło?

– Nie zapisałem daty. Pewnego wieczoru.

– Czy stróż was widział?

– Nie, nie sędzę. Brdma była jeszcze otwarta, kiedy wchodziliśmy – skłamał Cypkin.

– A kiedy ona wyszła? Następnego ranka?

– Nie, tej samej nocy.

– Muszę się pozbyć tego materaca. A i łóżka. Choć może

trudno w to uwierzyć, poczułam się w nim nieswojo. Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo ty chciałaś pozostać dziewicą.

– Czy spodziewałaś się, że zrobię z siebie ulicznicę tak jak ona?

– Ona nie jest ulicznicą.

– Co powiedział mój ojciec?

– Że powinniśmy się od razu pobrać.

– Ach tak, od razu. Nie denerwuj się, za chwilę pozwolę ci odejść. Pamiętaj, że to ty przysięgałaś mi dozgonną miłość. Początkowo wcale mi się nie podobałaś. Uważałam ciebie za pozera. Opowiadałaś mi o swoich bohater-skich wyczynach w Kijowie i o tym, jak głęboko bierzesz do serca losy ludzkości. Ja ci nigdy nie skłamałam.

Wiesz, że nie pochwałam wolnej miłości. Sądziłam, że

masz w sobie odrobinę przyzwoitości. No dobrze, powiedz mi, co zamierzasz teraz zrobić?

- Opuścić kraj.
- Z nią?
- Nie bądź niemądra. Dla mnie ona przestała istnieć.
- A co dla ciebie istnieje? Co będziesz robił za granicą?
- Sam nie wiem. Rzucę się w wir pracy.
- Jaka to praca? Fabrykowanie bomb? Agitacja?
- Nie agitowanie, a oświecanie.
- Ty masz oświecać innych? To dopiero zabawne. No dobrze, a teraz idź. Mówię poważnie.
- Dobranoc, Sabino. Przebacz mi.
- Dobranoc. Nigdy więcej nie przychodź. Nie próbuj pisać. To, co do ciebie czułam, już minęło. Po opuszczeniu tych progów przestaniesz dla mnie istnieć.
- Bądź zdrowa.

Sabina nie odpowiedziała. Wzięła już książkę do ręki i zabrała się z powrotem do lektury. Cypkin po cichu zamknął za sobą drzwi. Przystanął chwilę w przedpokoju, jakby oczekując na wezwanie do powrotu.

“No tak, to już koniec”, powiedział do siebie. Oto po raz drugi wyrzucono go z czyjegoś domu.

M– Dwór

337

Było jeszcze wcześniej, dochodziła godzina dziesiąta. Cypkin wyszedł przez otwartą bramę i zapalił papierosa. Nie był zły na Sabinę. Zachowała się tak, jak przystało na dobrze wychowaną młodą^ pannę. Ale zupełnie nie rozumiał Klary. Czego ona chciała? Wiedziała doskonale, że Dancyn-gerowie już wrócili do Warszawy. To intrygantka, której musi unikać jak zarazy. Nie chciało mu się wracać do sublokatorskiego pokoju. Odczuwał potrzebę towarzystwa. Przeciął Karmelicką, skręcił w Dzielną i spojrzawszy w górę, zobaczył światło w oknie

mieszkania Mirele. Cienie poruszały się na storze, co oznaczało, że Mirele przyjmuje gości. Cypkin wszedł do budynku. "No cóż, wydaje się, że moim przeznaczeniem jest poświęcić życie dla dobra ludzkości", wyszeptał wchodząc po schodach, lecz zaraz zadał sobie pytanie, co taki materialista jak on może rozumieć przez przeznaczenie. Kto je określił? Co za szalone myśli lęgną się w ludzkiej głowie. "No, teraz już koniec z egoistycznym życiem." Doznał chwilowej ulgi, jakiej doznaje człowiek, który wszystko stracił. Poczuł się wprost fizycznie lekki i rześki. Nie przejmował się tym, że brakowało mu pieniędzy nawet na zapłacenie posiłku. Od tej chwili będzie musiał utrzymywać się z korepetycji.

Zapukał trzy razy w ścianę na znak, że to nie policja. Drzwi mieszkania się otworzyły.

– Patrzcie, kto przyszedł ~ powiedziała Mirele wyciągając rękę.

– O czym tak głośno rozprawiacie? – zapytał Cypkin.

– Toczy się wielka dyskusja. Wejdz. Azriel i Aron kłócą się zajadle.

Wsunęła mu rękę pod ramię i wprowadziła do mieszkania. Pokój był nagrany i zadymiony. Rozlegał się gwar rozmów. Wszyscy mówili po polsku. Zebrała się ta sama paczka co zawsze: Azriel, Aron, Estera Ajsner, Wiera Czar- łap i Sonia Rabinowicz. Część z nich piła herbatę ze szklanek, część ze spodków na rosyjską modłę. Cypkin usłyszał, jak Azriel mówi:

■:" ■- Jeśli patrzeć z tego punktu widzenia, to wszystko jest usprawiedliwione. Mówicie, że Nieczajew miał prawo zabić Iwanowa. Faktycznie stawiacie mordercę na piedestale. Robicie z niego obrońcę ludu. Tak podaje wasz Katechizm rewolucjonisty. Bakunin, pospolity morderca, jest tam bożyszczem.

– Ach tak, więc Bakunin to morderca. Ci zaś, co wieszają robotnicę, są – jak można mniemać – niewinni jak baranki! Wszak wiecie, co by się stało, gdyby jakobini nie zastosowali gilotyny, rewolucja upadłaby, a Burboni trzymaliby nadal w szponach zarówno Francję, jak i całą Europę.

. A czy Napoleon był w jakimś sensie lepszy od Ludwika? Poza tym gilotyna miała o wiele szersze zastosowanie, bo nie tylko ścięła głowy Burbonów. A co powiecie p Dantonie i Robespierre?

– Zawsze zdarzają się błędy. Znacie przysłowie: "Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą." Rewolucja francuska musiała nadejść. Europa musiała wejść w nową erę. Rosja nie przeszła przez rewolucję i jak my wyglądamy? Pograżeni w ciemnocie. To, co zostało osiągnięte, zawdzięczamy Francuzom: Międzynarodówkę, strajki w Anglii, fakt, że możemy ze sobą rozmawiać jak w tej chwili. Czy uwolniono by chłopów pańszczyźnianych, gdyby nie rewolucja francuska? I pozwólcie sobie powiedzieć, nie byłibyśmy też na uniwersytecie. I ty, i ja siedzielibyśmy w przeludnionym getcie.

– Brawo, Aronie – wykrzyknęła Sonia Rabinowicz klaskając w dłonie. Potem, spostrzegłszy nagle Cypkina, zawołała:

– A oto i spóźnialski. Wszyscy zamilkli.

-4- Nad czym właściwie debatujecie? – spytał Cypkin.

Ot, po prostu zwykła gadanina – odparł Azriel. – Anglia, chociaż nie przeszła rewolucji, ma parlament. Twoi przyjaciele zajmują sprzeczne stanowiska, są jednocześnie i za, i przeciw użyciu przemocy. W istocie rzeczy chcieliby być konstytucjonalnymi nihilistami... Wiecznie próbują do-, cierać do ludu, który nie chce mieć z nimi nic do czynienia^ Co robi^ muzyki z młodymi kobietami, które

szerzą wśród nich oświatę? Gwałcą je. A mężczyźni oddają w ręce policji. Cała teoria "obszczyny", pójscia w lud, jest śmieszna, Kim są mściciele z ludu? To zwykli bandyci. To chłop Komisarow pochwycił Karkowa, prawda? Czy to nie jest typowe dla całego ruchu?

– No dobrze, posłuchajmy, jaki jest twój program.

– Nie rób nic, jeśli nie wiesz, co należy zrobić. Uważam, że powinniśmy stosować naczelną zasadę Hipokratesa: nie szkodzić, tylko leczyć. Co dobrego przyniosły dwa ostatnie powstania polskie? A Komuna Paryska czy komuś po-ł mogła? Albo Dołguszyócy? Kto, miał korzyść z tych pięć- : dziesięciu? Jaki przyjdzie pożytek ze stracenia więźniów politycznych, których skazano na śmierć? O. ile wiem, z liczby stu dziewięćdziesięciu trzech dwunastu już popełniło samobójstwo, a trzydziestu dostało pomieszania zmysłów. Tym terrorystom po prostu brakuje cech, które stanowią o dobrym rewolucjonście. To tak, jakby posłać po rzeźnika, gdy potrzebny jest chirurg. Tych, co stoją u władzy, z pewnością trawi choroba, ale terror tego nie uzdrowi.

Cypkin wyprostował się na całą wysokość.

– O jakich rzeźnikach mówisz? Czernyszewski? Hercen? Ławrow? O co ci właściwie chodzi, Azrielu? Kogo byś wy- ; brał na przywódców rewolucji, grupkę starszych pań? A ci, którzy są u władzy? Czy oni złożyli przysięgę Hipokratesa? , Czy pomyślą dwa razy, zanim poślą na stracenie setki tysięcy ludzi? Czyś przeczytał ostatnie rewelacje o wojnie j tureckiej i machinacjach wielkich mocarstw? Dlaczego nie napiszesz do arystokratów z propozycją, aby oni wszyscy¹ złożyli przysięgę Hipokratesa?

– Bo nie jestem szalony.

– To nie jest powód. Chcesz zapewnić sobie bezpieczeństwo i nie dostać się do więzienia. Myślisz o swojej przyszłej karierze lekarza, ale są inni-chętni złożyć życie w ofierze tza lud.

– A ty nie chcesz zostać lekarzem? Tak czy inaczej, ofiara życia nie nakarmi głodnych. Chleba nie przybędzie, jeśli miasta zostaną zrównane z ziemią. Zresztą o jakich ludzi ci chodzi? Uważasz się za Rosjanina, Cypkin, ale tutaj jefct Polska. Jeśli idzie o ścisłość, ludzie zebrani w tym pokoju nie są nawet Polakami. To Żydzi.

– Żydzi? Po co poruszać kwestię żydowską?

– No dobrze, a co się stanie z Żydami? Czy trzeba nas zniszczyć, bo nie należymy do stanu chłopskiego?

– Kto mówi o zniszczeniu? W nowej społeczności Żydzi nie będą sklepikarzami i lichwiarzami. Dziś Żyd wciąż jeszcze znajduje się po stronie wyzyskiwaczy. Jest ściśle związany ze stanem szlacheckim, N

– Czy wliczasz do tej liczby i swego ojca?

– Powinieneś się wstydzić, Azrielu. Tak, między innymi również mego ojca. Jestem jego synem, to prawda, widzę jednak, jaką rolę odgrywa w społeczeństwie. Był niczym innym jak tylko narzędziem w ręku Radziwiłła. Rano się modlił, a przez resztę dnia okradał chłopów. Dlaczego chłopci mieliby go kochać?

– A dlaczego ty chcesz stanąć po stronie chłopów? Gdyby tylko mogli, zabiliby i ciebie, i twego ojca.

– Azrielu – wtrąciła Mirele – poruszasz sprawy zbyt osobiste. Wyłącz z tego naszych rodziców i Żydów. Siadaj, Cypkin. Zgadzam się z tobą. Pasożyt jest zawsze pasożytem, nawet jeśli to nasz ojciec. Napijesz się herbaty, prawda?

W dalszym ciągu popijali herbatę, jedli chleb z serem i dyskutowali. Azriel spostrzegł, że Cypkin stał się naraz wielkim ekstremistą. Z entuzjazmem rozprawiał o zabójstwie TriepoWa, dokonanym przez Wierę Zasulicz. Nadchodzi taki czas, mówił, że staje się konieczne palić wszystkie mosty za sobą. Ma wyższy cel niż jedynie zdobycie dyplomu. Wręcz wyśmiewał tych rewolucjonistów, którzy pokładali wszystkie nadzieje w ustanowieniu sejmu. "Co mu się stało?" – zastanawiał się Azriel. Od chwili przyjazdu do Warszawy należał do grona umiarkowanych. Co więcej, począł asystować bogatej, młodej panie i przemawiać jak polski pozytywista. Czy ta nagła zmiana ma coś wspólnego z Klarą? Ale co? Dyskutowano nad zagadnieniem, czy ma się prawo narażać życie niewinnych, postronnych ludzi przy likwidowaniu arystokracji? Azriel utrzymywał, że to zbrodnia, ale nikt z pozostałych nie zgadzał się z jego zdaniem.

– Nie można zważać na jednostki, gdy w grę wchodzi przyszłość świata –' oznajmił Aron.

Sonia Eabinowicz dorzuciła, że tej wojny nie da się wygrać przy użyciu puszków do pudru.

– Powiedz mi tylko – odezwała się Mirele do brata – czy arystokracja, prowadząc walkę, zważa na lud?

– Czy musimy brać z nich przykład?

— Twój brat życzyłby sobie, aby mu podano wolność na srebrnej tacy przykrytej koronkową serwetką – zażartował Cypkin, lecz na twarzy miał gniewny uśmiech.

Nalał nieco herbaty na spodeczek i smoktał umoczony w niej kawałek cukru. Obecne w pokoju kobiety podzielały jego zdanie. "Dlaczego wszystkie one są tak spragnione krwi?" – zastanawiał się Azriel. Przecież to Żydówki, należą do rasy, która przysięgała zachowywać Dziesięć przykazań. Wszak tylko jedno pokolenie dzieliło

Mirele od ich rodziców. Jeszcze nie tak dawno czytała z modlitewnika matki. Ile ma lat? Azriel zaczął obliczać. Przypomniał sobie zimowy dzień w Jampolu, kiedy Mirele przybiegła do Jesziwy, aby mu oznajmić, że przyszedł Kalman Jakobi i chce się z nim zobaczyć. Teraz on spędza czas na krajaniu trupów, a Mirele spiskuje przeciwko żywym ludziom.

— Kiedy ktoś mówi o poświęceniu — powiedział — powinien mieć na uwadze siebie jako ofiarę. Przypuśćmy, Cypkin, że wizja idealnego społeczeństwa stała się rzeczywistością, lecz musiałeś dla niej poświęcić własne życie. Na ulicach utopijnego miasta rozbrzmiewają śpiewy i wesoły śmiech, ty jednak leżysz w grobie. Nie ma życia po śmierci. Wszak nie wierzymy w nieśmiertelność duszy. Kiedy się umrze, to już na zawsze.

— Przestań straszyć te dzieciaki. Uważasz, że życie to taki dobry interes? A co powiesz o żołnierzach ginących w czasie wojny? Kto ich zaprowadzi do rajów?

— Ja ich nie zabiłem.

— Zabiłeś ich swymi tak zwanymi pozytywistycznymi ideami i zgodą na tyranie. Trzęsiesz się nad cierpieniem jednego nieszczęsnego niewinnego, a co powiesz o milionach umierających na suchoty, gnijących w więzieniach i dyndających na szubienicach? Czy wiesz, jaka jest w Rosji śmiertelność wśród muzyków? Każdego roku dziesiątki tysięcy chłopów umiera tam z głodu.

— On wie, ale wolałby o tym zapomnieć — wykrzyknęła Mirele.

— Jakież to daje mi prawo poświęcać drugą osobę?

— Kto mówi o drugiej osobie? Ci, co walczą, poświęcają siebie.

– Mówisz o całej tej walce, jakby to było coś zupełnie nowego. Ludzie walczą od tysiący lat. Co dały wszystkie te boje?

– Cywilizację. Nasz świat współczesny, ze wszystkimi jego zaletami i błędami. Ludzkość posunęła się do przodu, nie do tyłu.

– Brawo, Cypkin, brawo – przyklasnęła mu Sonia Rabinowicz.

Wreszcie Azriel zasiadł do partyjki szachów z Aronem. Cypkin rozmawiał z Sonią Rabinowicz. Estera Ajsner krążyła po pokoju w bucikach na wysokich obcasach z długimi cholewkami zapiętymi na guziczki, gryząc kromkę chleba. Była rozwódką. Figurę miała drobną, ciemną cerę i nie wyglądała na swoje lata. Upinała włosy w kok przytrzymany grzebieniem, a nie zaczesywała ich w górę według panującej mody. Uchodziła za niedouczone, mimo że przestawała z intelektualistami i wyrażała się ich żargonem. Mówiła płynnie po polsku, lecz połykała ostatnie sylaby i nie było słychać końcówek przypadków. Sonia Rabinowicz, która ukończyła gimnazjum i zajmowała się poważną lekturą, nie miała dobrej opinii o Esterze i znajdowała przyjemność w przyłapywaniu jej na błędach.

Wiera Czartap usiadła i przyglądała się grze Azriela z Aronem. Lekarze zapewniali Wierę, że płuca ma wyleczone, mimo to od czasu do czasu nadal pluła krwią i miewała gorączkę. Przepowiadała, że umrze pewnego deszczowego dnia i nikt z przyjaciół nie przyjdzie na jej pogrzeb. Jako córka rabina dobrze знаła hebrajski i lubiła wciągać Azriela w dyskusje religijne, aby móc się popisać znajomością tradycji żydowskiej. Kiedy tylko Wiera czuła się źle, posyłała służącą po Azriela. Miała bujne, rude włosy i białą jak porcelana twarz. Sznur sztucznych pereł zawsze otaczał jej długą szyję, a przy uszach zwisały

ciężkie kolczyki. Wiera uskarżała się na tęsknotę za domem, zwłaszcza w szabas i w czasie świąt. Siadywała u Mirele otulona jedwabnym szalem naszytym koralikami i zawodziła:

– Teraz ojciec się modli. Teraz u nas w domu śpiewają szabasowe hymny.

Mirele, gardząca religią, reagowała gniewnie:

– Jeśli odpowiada ci taki rodzaj fanatyzmu, dlaczego opuściłaś dom? Wracaj i wyjdź za mąż za uczonego w Talmudzie.

– Łatwo ci to powiedzieć, moja Mirele.

VII

Cypkin stał przy biblioteczce Mirele i przeglądał książki. Otworzył jeden z tomów, lecz nie zajrzał do środka. Co za porażka! Wszystko stracił, zarówno Sabinę, jak i Klarę! . Dlaczego Klara napisała ten list? Żeby po prostu go skomr promitować? Nie mogło być żadnego innego powodu. Przypomniał sobie naraz, że jest dłużny Jakubowi Dancyngero- wi setki rubli, nie miał jednak pojęcia ile. Sabina słusznie nazwała go oszustem. Czytał kiedyś, że mężczyzna czerwieni się tylko w obecności innych. Ale stojąc teraz w cieniu, odwrócony plecami do swych towarzyszy, czuł, jak krew napływa mu do twarzy. Musi zwrócić te pieniądze. Już! Zaraz! Ale jak? Z czego? Więc to prawda, że jest uwodzicielem i złodziejem. "Nie powinienem był nigdy brać od nich pieniędzy." Przyszło mu na myśl, że w podobnej sytuacji Ludwik, syn Radziwiłła, odebrałby sobie życie. Czyż «nie próbował popełnić samobójstwa po przegraniu w karty pięciu tysięcy rubli? Cypkin potrząsnął głową z boku na bok, jakby chciał się pozbyć przykrych myśli. "Tak, nisko upadłem." Starał się zająć czytaniem, aby choć przez

chwilę zapomnieć o swej hańbie, lecz wyrazy tańczyły mu przed oczami. "No cóż, zabiję się. Przynajmniej dowiodę, że nie jestem malwersantem." Zrobił krok w kierunku Azriela i Arona.

– Czyj ruch?

– Tylko bez kibiców, bez kibiców – mruknął Aron, kołysząc się na krześle.

Azriel uniósł głowę i popatrzył na Cypkina kątem oka. Nigdy go nie lubił, nie chciał jednak ulec małostkowemu uczuciu niechęci. Klara pragnęła poinformować Cypkina, gdzie przebywa, więc przekaze mu tę wiadomość.

Cypkin jeszcze nie wychodzi... Azriel przesunął pionek i przygryzł wargę. Wiedział, że zrobił zły ruch, lecz opuściła go już chęć wygrania.

– Więc taki robisz ruch? – zapytał zdawkowo Cypkin.

– Tak. Dlaczego nie byłeś na uczelni?

– Do diabła z uniwerkiem.

– Tak prędko? Masz już dosyć studiów?

– Mam dość wszystkiego.

Co się stało? Może wygrałeś na loterii?

– Albo wszystko wygrałem, albo wszystko przegrałem – powiedział Cypkin wyrzucając z siebie bezładnie słowa. Przyszło mu na myśl, że to Azriel jest sprawcą jego nieszczęść. Gdyby go nie zabrał do Mirele i nie wprowadził do tego śmiesznego samokształceniowego kółka, nigdy nie spotkałby Klary. Nie, to nie Azriel, to Aron po raz pierwszy go tu przyprowadził. "No tak, co za różnica? Wszyscy oni to gromada spolszczonych próżniaków."

– Chyba już pora na mnie.

– Chwilkę, Cypkin, mam ci przekazać wiadomość.

– Jaką? — poczuł ucisk w gardle.

– To sprawa poufna.

Cypkiri był pewny, że Azriel jest zwiastunem dalszych złych wiadomości. Zaraz otrzyma jeszcze jeden policzek.

Wezbrała w nim nienawiść do Azriela, męża pasierbicy Klary. Ręce mu zwilgotniały. Pewno cały wieczór rozmawiali o nim, a on, głupiec, wpadł tu jak ślepy koń do rowu.

– No cóż – odezwał się – wysłuchajmy tego wielkiego sekretu.

– Wyjdźmy na dwór.

– Jaki wy macie sekret? – zapytał zdziwiony Aron.

– Kiedy mowa o sekrecie, szukajcie złodzieja – oznajmiła Wiera Czarłap, tłumacząc żydowskie przysłowie na język polski.

Cypkin pożegnał się z obecnymi. Zwykle podawał każdemu rękę na odchodnym, lecz tym razem powiedział tylko: It—| No cóż, moje panie, proszę, nie oczerniajcie mnie zbytnio!

Mirele uśmiechnęła się.

– Ależ on jest dzisiaj w dziwnym nastroju.

— Dlaczego tak poczerwieniałeś? – spytała Sonia Rąbino wicz.

Cypkin wyszedł, a za nim Azriel. Rozmowa w pokoju ustała. Jak tylko znaleźli się za drzwiami, Cypkin odezwał się:

– No więc, Azrielu, mów, o co chodzi. Obnażyłem pierś. Wbijaj miecz!

– Nic podobnego. Klara ciebie szukała. Jest w Warszawie.

– Ona jest tutaj! Gdzie?

– W Hotelu Krakowskim.

– Gdzieżeś ją spotkał?

– W restauracji w pobliżu uniwerku.

– To dziwne. Dziękuję, Azrielu. Chcę cię przeprosić.

Myślałem, że... – Cypkin nie dokończył. – Dobranoc. Do zobaczenia. 1 '-^^SEH^a^H^^^H

Azriel powrócił do gry w szachy.

Cypkin stał dłuższą chwilę w ciemnościach. Ach, więc tak się sprawy mają. Ona jest w Warszawie. Przyjechała go szukać. Poczł dużą ulgę w sercu. Łzy napłynęły mu do oczu. Nie z miłości do Klary. Jednak ktoś go jeszcze potrzebuje, a Azriel, którego uwSzał za wroga, był na tyle przyzwoity, że przekazał mu wiadomość. Wydawało się, że nie wszyscy na tym świecie są źli. "Jestem godnym pożałowania egoistą – wyznał przed samym sobą. – Za mało myślę o innych ludziach. I dlatego sprawy przybrały taki, a nie inny obrót." Rozważał w myślach: "Może nie iść do Klary, i tym samym zakończyć romans?" Wiedział jednak, że pójdzie. Miał nadzieję, że Klara nie opuściła jeszcze hotelu. Stróż otworzył bramę. Cypkin dał mu dziesięć groszy. Szedł szybko, co pewien czas rozglądając się za dorożką. "No dobrze, ale co mam robić? Ona jest młoda, a jej mąż stary. Nigdy go nie kochała... Cała instytucja małżeńska to nic innego tylko bagno." Zaczął iść szybciej. "Co za nonsens z tym paleniem mostów za sobą. Jak faktycznie mam postąpić? Dzielić się cudzą własnością? Być jak drwał podczas lata, co śpi z butami pod głową? Wszystko to jest tak skomplikowane."

Nagle spojrział w górę i spostrzegł, że stoi przed Hotelem Krakowskim.

VIII

W westybulu było pusto. Nie było portiera stojącego zwykle za kontuarem. Cypkin rozejrzał się dokoła. "Żeby tylko wiedział, w którym ona jest pokoju." Dojrzał książkę meldunkową gości i zaczął przerzucać kartki. Oto i jej podpis. Klara Jakobi. Ale który numer pokoju? Zjawił się portier, niski przysadzisty mężczyzna o płowych włosach i różowych oczach albinosa. Był bez marynarki.

- Kogo pan szuka?
- Pani Klary Jakobi.
- Pewno już śpi. Kim pan jest?
 - Bratem – powiedział Cypkin szybko, zdumiony własnym kłamstwem.

Co pana do niej sprowadza? Nie mogę pozwolić panu wejść na górę o tej porze.

- To bardzo ważna sprawa. Jej dziecko zachorowało. Przyjechałem wprost z Jampola.

Cypkin wyjął monetę i podał portierowi, który przyjrzał jej się podejrzliwie, ważąc w rękę.

- Jest w pokoju numer osiem. Na pierwszym piętrze. Ale nie wolno jej niepokoić.

Cypkin wbiegł po schodach. Zapukał do drzwi pokoju numer osiem. Nie usłyszawszy odpowiedzi, zaczął mocniej- stukać. Wreszcie doszedł go głos:

- Kto tam ?

'– To ja, Aleksander.

Stał z zapartym oddechem, spuściwszy oczy, nasłuchując. Słyszał, jak zapaliła zapałkę i zaczęła chodzić po pokoju w rannych pantoflach. Kiedy otworzyła drzwi i spojrzał na nią, wydała mu się kimś obcym, jakby w, ciągu ostatnich kilku dni naraz się postarzała, stała się kobietą w średnim wieku. Włosy miała wsunięte pod siatkę, była w szlafroku.

- Sądziłam, że pan przyjdzie dużo wcześniej – odezwała się patrząc na niego ze smutkiem.

- Skąd mogłem wiedzieć, że pani tu jest?

- Poślaniec nie powiedział panu?

- Jaki poślaniec?

- Wysłałam list. Czy go pan nie otrzymał? No, ale proszę wejść.

W pokoju paliła się świeca w lichtarzu z brązu, łóżko było zmiętoszone. Na stole leżało pismo ilustrowane, baj-

giełka i jedna podwiązka. Przez chwilę panowało krępujące milczenie, wreszcie Cypkin odezwał się:

- Powiedziałem pani, że tam już nie mieszkam.
- Ale nie podał mi pan nowego adresu.
- Nie dostałem listu.
- Kto więc go dostał?.
- Dancyngerowie. i|| Otworzyli go?
- Tak.
- Poślaniec powiedział, że doręczył go panu osobiście.
- To nie byłem ja, a Zdzisław, młody Dancynger.
- Czy to on przysłał odpowiedź?
- Na pewno tak.
- No dobrze, a skąd pan wie, że ja tu jestem?
- Azriel mi powiedział.
- Kiedy? Gdzie? Zresztą to'nieważne. Fakt, że jakoś przeżyłam te ostatnie dni, dowodzi, że muszą być nieśmiertelna.

Kiedy Cypkin ją objął, oparła mu głowę na piersi i zaczęła cicho szlochać. Oczy miała mocno podkrążone.

- Myślałam, że ze mną skończyłeś – powiedziała, przechodząc znów na "ty". – Czekałam i czekałam. Wprost odchodziłam od zmysłów. Kalman wyjechał z domu do swego zięcia, rabiego. Opuścił mnie.
- Czy sam to powiedział?
- Zabrał ze sobą zimowe palto. Mejer-Joel zajmuje się jego interesami.
- Tak, rozumiem.
- Jakie oni mają prawo otwierać twoje listy? — zapytała. – Czy jesteś zaręczony z ich córką?
- To już skończone.
- Pytałam ciebie wtedy, czy jesteś zaręczony, a ty zaprzeczyłeś. Dlaczego mówisz, że to skończone? Bo otworzyli mój list?
- Nie kocham jej.

- Ale byłeś zaręczony?
 - Tak naprawdę, to nie.
 - A jak? No, dla mnie to sprawa jasna. Jak tylko kobieta pokocha mężczyznę, od razu zaczynają się zmartwienia. Co mam teraz począć?
 - To dość proste. Pocałuj mnie.
 - Aleksandrze, jestem w ciąży.
- Ręce Cypkina opadły. Odstąpił krok do tyłu.
- Czyje to dziecko? – zapytał nagle zmienionym głosem.
 - Ty wiesz czyje.
 - Skąd możesz mieć pewność? Powiedziałaś mi, że sypiasz także i z nim.

Oczy Klary wyrażały zakłopotanie. Nie wiedziała, co od-* powiedzieć.

- Pozbędę się ciąży, jeśli mi się uda. Dla mnie to bardzo niebezpieczna sprawa.
- Nie bardziej niż dla każdej innej.
- Jeśli chcesz, abym umarła, to umrę.

Gdzie jest ta druga podwiązka, zadawał sobie pytanie Cypkin, wpatrując się w stół. Cała ta rozmowa o ciąży i jej przerwaniu ostudziła jego zapał. Miał ochotę uciec. Spojrzał ku drzwiom.

- Nie uciekaj. Usiądź flj powiedziała Klara.

Kiedy usiadł, zauważył drugą podwiązkę leżącą na dywaniku i dotknął jej czubkiem półbuta. Jak się to wszystko skomplikowało. Cała ta sprawa przypominała mu cho-/-; robę, która zaczyna się od pociągania nosem, kaszlu czy bólu głowy, a zanim się człowiek obejrzy, chory już jest umierający.

IX

Cypkin pozostał z Klarą owej nocy. Wyszedł wczesnym : rankiem, zanim zbudziła się służba. Podczas pocałunków i pieszczot składał jej różne przyrzeczenia,

których nie miał zamiaru dotrzymać. Ta Wulgarna kobieta, która sypiała z dwoma mężczyznami, nigdy nie zostanie jego żoną ani jej dziecko nie otrzyma jego nazwiska. Co innego mieć romans z Klarą, a zupełnie coś innego ożenić się z nią. Wydawało mu się, że i Klara powinna zdawać sobie z tego jasno sprawę.

Cypkin miał się z nią spotkać w cukierni Semadeniego 0godzinie pierwszej. Niewiele spał, toteż podążył do swojego pokoju przy ulicy Długiej. Po drodze zaszedł na śniadanie do kawiarni przy ulicy Bielańskiej. Bardziej chciało mu się spać niż jeść. Kelnerka podała jajka, bułeczki i gazetę. Cypkin jadł, na przemian rzucał okiem na gazetę

1 zapadał w drzemkę. Klara przyrzekła wypłacić mu dwieście rubli za opiekę nad Saszą; był zdecydowany przesłać tę kwotę Jakubowi Dancyngerowi jako częściową spłatę długu. Z drugiej jednak strony, czy należało przyjąć tak znaczną sumę za parę tygodni opieki? Czy nie jest to zwykłe przekupstwo?

Cypkin przeczytał w gazecie artykuł o letnim pokazie koni. Ganiono w nim Polaków za to, że uważają jazdę konną za coś plebejskiego. Podawano, że w Londynie damy jeżdżą konno w parkach, a nawet biorą udział w polowaniach na koniu. Każdy niemal artykuł czy wiadomość w gazecie zawierały aluzje do zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych. W innych krajach domy są skanalizowane, miasta mają szerokie ulice, trotuary i czyste rynsztoki. Tu, w Warszawie, poddawano krytyce kobietę za to, że chciała zostać lekarzem pediatrą. Za granicą sprawy tego rodzaju nie są już nawet nowością. W obcych miastach policjanci pomagają dzieciom przechodzić przez jezdnie. Cyrki i wystawy mają oświetlenie elektryczne, uniwersytety wypożyczają

książki studentom. Nie trzeba zawiadamiać władz o zmianie miejsca zamieszkania ani ustawicznie pokazywać dokumentów. Cypkin przerzucił strony gazety i ziewnął. Tak, świat jest duży, jest to świat wolny i postępowy, a on zagrzebał się w Polsce. "Muszę się stąd wydostać, dopóki nie będzie za późno – pomyślał. – Już dość mam prowincji."

Zapomniał klucza i musiał zastukać do drzwi mieszkania.

– Ach, to pan – powiedziała służąca otwierając drzwi na oścież. – Całą noc pana nie było.

– Zostałem u przyjaciela.

– Czy mam przynieść śniadanie?

– Już jadłem.

– Jest list do pana.

Wszedł do swego pokoju i zobaczył kopertę leżącą na krześle. List pisał ojciec. Berysz Cypkin powiadał, że interesy idą kiepsko i że matka miała atak kamieni żółciowych. Sonia pracuje jako nauczycielka. W liście był dopisek jej ręką po rosyjsku: "Czy życie w Warszawie jest równie nudne jak tutaj? W tym mieście po prostu niczego nie ma. Młodzi ludzie mają tylko jedno pragnienie, aby im buty skrzypiały." Cypkin położył się na łóżku w ubraniu.

– Tak, droga Soniu, tutaj też jest nudno – wyszeptał. – Bardziej, niż sobie możesz wyobrazić.

Zasnął i śniło mu się, że wędruje przez szereg pokojów zbudowanych z przegniłego drewna. Zmurszałe grzyby wyrastały ze ścian i sufitów. Przed nim znajdował się dół, a z tyłu woda. Nad wodą był most, a do dołu wiodło wąskie przejście. Nie wiedział, którą drogę wybrać. Ukrywał się przed kimś, przed donosicielem czy agentem-prowokatorem, "Nie, nie dostaną mnie żywego – mówił we śnie. Wolę się utopić. Trzydzieści lat życia wystarczy."

Zbudził się z nagłym wzdrygnięciem. Na dworze padało. Strugi wody spływały po szybach. Z daleka doszedł odgłos pioruna, który zabrzmiał w uszach Cypkina tak, jakby ktoś w pokoju na górze przesuwiał meble. W chwilę potem zapukano do drzwi i weszła służąca niosąc różową kopertę.

– Przyniósł to posłaniec – powiedziała i stała nadal; w zniszczonych papuciach, wpatrując się w zaspanego Cypkina.

– Dziękuję – odezwał się odbierając list.

– Ten człowiek czeka na odpowiedź.

Jej oczy wyrażały podziw i zadziwienie wiejskiej dziewczyny wobec komplikacji i zagmatwań miejskiego życia.

Cypkin poznał kopertę. List był od Sabiny. Otworzył go i zobaczył ozdobne pismo z zakrętami:

Szanowny panie Cypkin!

Niezależne ode mnie okoliczności zmuszają mnie do napisania tego listu. Nie przywiązuję specjalnej wagi do posiadanych rzeczy, lecz pożyczył Pan ode mnie tomik poezji Musseta. Książka ta stanowi upominek od przyjaciółki dziś już nieżyjącej. Proszę mi ją niezwłocznie zwrócić. Jest również kilka drobnych spraw, które chciałabym z Panem omówić. Czy mógłby Pan spotkać się ze mną w cukierni Śpiewaka o godzinie czwartej? Celowo wybrałam cukiernię na Nalewkach, aby znalazł się Pan w najstosowniejszym otoczeniu. Proszę nie zapomnieć książki.

Z poważaniem Sabina

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY I

Przepowiadano w Marszynie, że tego roku miasto na w pół opustoszeje na Rosz Haszana. Reb Szymon opuścił Marszynów i przeniósł się do Szczekocin,

zabierając ze sobą najbogatszych zwolenników dworu. Większość ludności sądziła, że pozostali chasydzi również odjadą. Właściciele miejskich gospód i zajazdów zwołali zebranie w celu omówienia sytuacji. Nazwano Jochanana mięczakiem i ponurakiem. Obecni tam byli również rzeźnicy i handlarze ryb, faktycznie wszyscy, których egzystencja zależała od dworu rabiego. Zgadźli się co do tego, że Jochanan doprowadził miasto do ruiny. Reb Szymon nie opuściłby Marszynowa, gdyby Jochanan poświęcał więcej uwagi sprawom dworu zamiast moczyć się dzień i noc w mykwie. Wysłano wiele propozycji, między innymi i tę, że trzeba ostrzec rabiego, bo jeśli nie pojedna się z reb Szymonem, miasto wystąpi przeciwko niemu. Rzeźnik domagał się wypędzenia rabiego kijami z Marszynowa. Niektórzy przypomnieli historię pewnego rabiego sprzed stu lat, który został wygnany z miasta na wozie zaprzężonym w woły, i to w sobotę, zmuszony był więc spędzić szabas w drodze. Jak to zwykle bywa na takich zebraniach, po wielu gniewnych wystąpieniach i krzykach jedyną uchwałą, jaką powzięto, było zwołanie następnego zebrania. Bo cóż można zrobić rabiemu, który dąży do samounicestwienia? Marszynów miał za sobą wiele lat pomyślności. Te lata minęły. Obecnie cała chwała spłynęła na Szczekociny. Atoli, gdy tak rozprawiano,

n – Dwór

353

Marszynów zaczął się zapełniać tłumem ludzi. Kilkuset Żydów już przybyło na pierwsze modły pokutne. Było wśród nich wielu chasydów przyjeżdżających po raz pierwszy na dwór. Ci, którzy przepowiadali, że dom modlitwy będzie pusty, poczuli się zakłopotani. Każdy pociąg przywoził zastępy wiernych. Woźnicom brakowało miejsca na dworcu kolejowym, gdzie mogliby

podjeżdżać wozami. Wielu przy* jezdnych szło z węzełkami pieszo od pociągu. Właściciele zajazdów znieśli sienniki ze strychów i gotowali posiłki w ogromniastych saganach i kotłach. Żądano z góry wysokich opłat za noclegi. Rzeźnicy wyruszyli do wiosek po zakup bydła. Handlarze ryb zatrudnili chrześcijan do zapuszczania sieci w Wiśle. Nagle Marszynów okazał się za mały, żeby pomieścić wszystkich zwolenników Jochanana. Nigdy, jak Marszynów Marszynowem, nie widziano czegoś podobnego. ludzie łamali sobie głowy nad wyjaśnieniem tego wydarzenia.

Jochanan żywił własne obawy. Obojętnie przyjmował wymówki matki i swych doradców zarzucających mu, że pozwolił reb Szymonowi opuścić dwór. Nigdy nie chciał zostać rabim i wciąż jeszcze nie mógł zrozumieć, dlaczego został wybrany na przywódcę Żydów. Teraz, gdy zebrały się tysiące wyznawców, a oczekiwano ich jeszcze więcej, Jochanana ogarniało przerażenie. Czego chcą niebiosy? Pamiętał, co o próżności mówią Przepowiednie Salomona: "Przed porażką – wyniosłość, duch pyszny poprzedza upadek."

Czy to jeszcze jedna forma pokusy? Czy też należy on do tych, którzy nigdy nie zasłużą na raj, a otrzymają swoją należność na tym świecie? Podczas modłów i zgłębiania Dwóch Tablic Przymierza zraszał łzami stronicę księgi. Ach, jakie to by było proste, gdyby jego dziadek tu był i wskazał mu drogę postępowania! Ale dziadek już odszedł do nieba i przebywa tam wśród mędrców» a jemu pozostawił ten ciężar do dźwigania. Tysiące Żydów pragnie, by się za nich modlił. Z jakimdż jednak dobrymi uczynkami może przystąpić do Pana Wszechświata on, którego opanowały same złe myśli i rozpierają światowe ambicje? Czy nie po-

winien opuścić Marszynowa, zapytywał sam siebie. Czy nie powinien udać się na wygnanie i pościć, a także wymierzyć sobie surowe kary: w lecie kłuć się cierniami, w zimie tarzać w śniegu? Gdyby był zwykłym wędrowcem, nikt by nie składał mu hołdu. Cypełe, oby żyła długo, nie podawałaby mu zupy, mleka czy konfitur i nie otaczała zbytkiem.

Ale czy odważy się uciec? Czy ma prawo opuścić swych wiernych dlatego, że tęskni do męczeństwa? Nie, nie ma prawa, zwłaszcza teraz, w przededniu świętych dni. Jo- chanan co dzień rozmyślał nad sobą. Był zlepkim wad, miał jednak jedną cnotę: kochał Żydów. Widok bród i pejsów napełniał go radością. Tylko nieśmiałość powstrzymywała go od ucałowania każdego napotkanego Żyda. Ta miłość do swego narodu była widocznie darem niebios. Jo- chanan chwycił się za brodę. "Boże Wszechmogący, dopomóż mi. Ojczyźnie w niebiosach, jesteśmy jedynie słabymi ludźmi. Posiadamy tylko to, czym Ty nas obdarzasz."

II

Wśród przybyłych do Marszynowa na święta znajdował się 1 Kalman Jakobi. Sam siedział na koźle-swego pojazdu i przybył jako jeden z pierwszych. Cypełe wybiegła mu na powitanie, a za nią dwójka dzieci, Cadok i Zełdele. Niemowlę Gadete leżało w kołysce. Cypełe, która wyrosła na wysoką kobietę, nosiła teraz czepek na ostrzyżonej głowie. Chociaż miała dopiero dwadzieścia cztery lata, jej syn wszedł, już w wiek stosowny do nauki Talmudu. Cadok był ładny, miał jasne Oczy i blond włosy, nosił spodenki do kolan, aksamitny kapelusz, długi chałat i pończochy po kolana. Chodząc zabawiał się frędzlami swego pasa, nawijając je na palce. Zełdele, dziewczynka

pełna wdzięku, przypominała swą babkę Temerł. Cypełe z trudem powstrzymywała się od serdecznego uściskania swego ojca. Nie pochwałała jego małżeństwa z Klarą. Słyszała, ile ta żona sprawiła mu cierpienia. W jej oczach ulga mieszała się ze smutkiem, gdy spoglądała na bagaż, z jakim przyjechał:

modlitewniki, ubrania, futro. Tak bardzo się zmienił od czasu, gdy go ostatnio widziała. Miał teraz .prawie zupełnie posiwiąłą brodę, cały jakby się skurczył i przygarbił.

—• Ach, tato, tato! – zawołała i nic więcej nie mogła wymówić.

– To Cadok? Prawie gotów do żeniaczki!

– Dziadziu.

Cadok pocałował dziadka w rękę. Zełdele, zawstydzona, ociągała się. Po chwili szames Mendel i służąca Kajla wyszli z domu, a za nimi cała gromada uczniów z jesziwy i rezydentów. Wreszcie, na końcu, ukazał się Jochanan.

– Szotem aleichem, teściu. Pokój z tobą.

– Aleichem szołem, rebe.

– Witaj w Marszynie. Zbyt długo nie odwiedzałeś nas. Wszystkim nam ciebie brakowało. Ufam, że jesteś w dobrym zdrowiu.

■ ■■■ Chwała Bogu, tak. Jochanan pohamował naturalny impuls, żeby zapytać

0 resztą rodziny Kalmana, chcąc się ustrzec od wymieniania imion kobiecych. Nawet nie rzucił okiem na Cypełe. Rabi

1 jego żona nie rozmawiają ze sobą w obecności osób trzecich.

. – Jak minęła podróż? – zapytał Jochanan.

– Dzięki Bogu, dobrze.

– Dzieci są uradowane. Brakowało im dziadka.

– Mam dla nich upominki w karecie.

- Upominki? Jest napisane, że żyć będzie ten, kto darów nie uznaje.
- Tak, ale to jeszcze dzieci.
- Trzeba je od zarania pouczać. “Wdrażaj chłopca w prawa drogi.”

Wreszcie Jochanan wrócił do swego pokoju, zapraszając Kalmana, aby przyszedł do niego później. Cypełe pomagała we wnoszeniu bagażu ojca. U drzwi jego pokoju na poddaszu była mosiężna klamka, a na odrzwiach umocowano rzeźbiony futerał z mezuzą. Kalman rozpakował prezenty zakupione w Warszawie, gdzie się zatrzymał w drodze do Marszyna. Dla Cypełe przywiózł parę brylantowych kolczyków, dla Cadoka modlitewnik oprawny w drzewo cedrowe, ozdobiony rycinami Ściany Płaczu i grobu Racheli, dla Zełdele cukierki i różne drobiazgi. Przywiózł podarki nawet dla rabiego i Temerł, która przyjechała do syna na święta. Chcąc okazać szacunek dla ojca, Cypełe przyniosła mu sama dzban z wodą, ręcznik i miednicę. Chociaż ją zapewniał, że nie jest głodny, nalegała, aby umył ręce i zasiadł do posiłku. Przy obiedzie Kalman spostrzegł, że apetyt mu wrócił. Wokół stołu zgromadziło się grono osób. Była tam Cypełe z dziećmi i kilku starszych uczniów. Kalman czuł się zakłopotany. Dlaczego okazują mu taki szacunek? Nic w nim nie ma nadzwyczajnego. We dworze traktowano go ze wzdargą. Zanurzył chleb w sosie od pieczenia, oczy mu zwilgotniały. “Dlaczego tak długo się ociągałem? – zadał sobie pytanie. – To jest niebo, a tamto było piekło.”

- Dziadku, czy tam, gdzie mieszkasz, naprawdę jest salamandra? – zapytał nagle Cadok.
- Salamandra? Nie, nigdy jej nie widziałem.
- Dlaczego nie widziałeś? Już siedem lat płonie ogień w piecach wapienników.

– Ale nie bez przerwy. Zresztą heretycy zaprzeczają istnieniu salamander. Żadne zwierzę nie może żyć w ogniu.

– Dlaczego ojciec musi powtarzać to, co mówią heretycy? – uniosła się Cypełe.

– Podobno, nie daj Boże, w tym roku ma zabraknąć owoców cytrusowych na Święto Szalasów – odezwał się jeden z obecnych, wyjmując fajkę z ust.

– Dlaczego?

– Z powodu Turków.

– Ale te owoce przywożą do nas z Grecji, nie z Turcji.

– A czy Grecy nie są Turkami?

– ■ Nie. Turcy to synowie Izmaela, Grecy zaś Jawana – odpowiedział Kalman. Uczniowie słuchali w milczeniu. Tutaj, w Marszynie, Kalman był człowiekiem oświeconym.

Po modlitwie dziękczynnej usunął się z córką do drugiego pokoju i usiadł w fotelu. Cypełe zajęła miejsce naprzeciw. Czepiec naszyty paciorkami dodawał jej młodziutkiej twarzy statecznego wyglądu. Suknię miała tak długą, że le-
dwo było widać czubki pantofli. To już nie była ta swawolna Cypełe, którą ongiś nosił na barana, tylko żona rabiego z Marszyna, matka trojga dzieci.

– Ach, tato, nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo się cieszę, że znów cię widzę.

– Tęskniłem za tobą, córko.

– Budziłam się w nocy ze zmartwienia o Ciebie.

Cypełe wypytywała o Jochewed, Mejera-Joela, Szajndł,

Azriela i o wszystkie dzieci, z Senderł włącznie. Nie wspo- j mniała tylko imienia Klary. Nagle Kalman pomyślał o Mi- . riam-Libie. Ta jego córka, żona łajdaka i matka chrześci- . ^ jańskich dzieci, żyła gdzieś w świecie.

Była jak gałąź odcięta od drzewa. Kalman mógł całymi miesiącami nawet

o niej nie wspomnieć, aż naraz, tak jak w tej chwili, nie- | spodziewanie przychodziła mu na pamięć. Oczy Kalmana zwilgotniały. Cypełe spuściła głowę wyczuwając, o kim : myśli ojciec.

III

Chociaż kraje, w których Żydzi się osiedlili na wygnaniu, nie zaprzestały wojen, zabijając i rabując, to dla Żydów, dzięki Bogu, te dni świąt stanowiły początek okresu nabożeństw i modłów. Bogacze i biedacy« modlili się tymi samymi słowami. "Wszyscy byli obecni na uczcie noworocznej -

1 jedli tradycyjne potrawy – okrągłą chałę miodową, cy-mes, karpia, baranią głowę. Błogosławiono owoce spożywane po raz pierwszy w tym roku. Zwykle był to ananas lub winogrona. Żaden Żyd w Marszynie nie był głodny, uchronił Boże! To prawda, że Mendel, pomijając zalecenia , rabiego, dopilnował, aby wszyscy bogaci Żydzi, których reb Szymon nie zabrał ze sobą, zasiedli do stołu, natomiast ubodzy stali. Ale czy to komu szkodzi, jeśli trochę postoi? Kie- i dy człowiek przychodzi do rabiego, jest przygotowany na to, że będą go potrącać i popychać. Wypocić się przy tej okazji znaczy mieć odpuszczone grzechy. Podczas pobytu w Marszynie nie było powodu do zmartwienia. Tałes zawsze był tałesem, bez względu na to, czy zrobiono go z brokatu, czy z taniego materiału. Chociaż Kosz Haszana to dzień losu człowieka, Marszynów szalał z radości. Rabi modlił się i płakał. Jego łzy wprawiały zebranych w uniesienie, wiadomo bowiem, że aniołowie zbierają łzy świętego w bukłak, aby świadczyły za dziećmi Izraela,

gdy szatan wniesie przeciw nim swój akt oskarżenia. Modły trwały przez dwa dni do godziny czwartej. Ponieważ bóżnica była przepelniona, młodzi mężczyźni w tałasach i jarmułkach przechadzali się po sadzie.

Pożółkłe liście opadały z drzew. Od czasu do czasu jakieś jabłko, gruszka lub orzech spadał na ziemię. Słońce świeciło. Od pól dochodziły orzeźwiające podmuchy wiatru. Rabi nie opuścił żadnej części liturgii, chasydzi natomiast znajdowali czas na omawianie zawiłych tematów dotyczących przedmiotu ich studiów oraz sprawy wyjazdu reb Szymona z Marszynowa. Wszędzie widać było kobiety spacerujące po ścieżkach i trawie. Starsze paradowały w staromodnych sukniach z trenami, w czepcach ozdobionych kokardami i atłasowymi wstążkami oraz w aksamitnych pelerynach obszytych futrem. Nosiły długie kolczyki, na szyjach zawiesiły czerniałe medaliony dawno wyszłe z mody, bo najpiękniejsze klejnoty zdążyły już oddać swym córkom i synowym. Kroczyły pochylone, coraz to przystając. W rękach trzymały modlitewniki i duże chusteczki, wargi ich szeptały słowa modlitwy. Wszystkie prosiły niebo o to samo: o jeden rok życia więcej, wystarczające środki na utrzymanie, o radowanie się widokiem dzieci i wnucząt, o nadejście Mesjasza. Bo gdy przyjdzie Mesjasz i zmarli powstaną, nie będzie już śmierci. Starzy ludzie zwrócili uwagę na fakt, że tego właśnie dnia zmarło w Marszynowie trzech mężczyzn i jedna kobieta, a więc wyrok śmierci musiał na nich zapaść w niebie w czasie poprzedniego święta Rosz Haszana.

Młode kobiety ubrane były w jedwabne peleryny i modne kapturki, chodziły dumnie, stąpając lekkim krokiem. W ich uszach połyskiwały nieduże kolczyki, a na szyjach błyszcząły cienkie łańcuszki. Ich książki do nabożeństwa

zdołyły miedziane lub srebrne klamry i złocone brzegi. Kobiety te nosiły obuwie na wysokich obcasach, ze spiczastymi noskami. Trudno było uwierzyć, że te z wyglądu płocze istoty chodziły do rytualnych kąpiei i miały noszących^ pejsy brodatych mężów. Temerł, która przybyła do Marszy-: nowa, żeby wziąć udział w obchodach świątecznych, i jej szwagierka Binele, żona rabiego z Chmielowa, dyktowały modę dla kobiet. Temerł miała na sobie suknię z białego atłasu, haftowaną płaskimi koralikami, obszytą przy rękawach koronką. Głowę okryła chusteczką ozdobioną naszyty-ś mi brylancikami. Binele, córka bogacza – kobieta, której twarzy nie naznaczyły jeszcze zmarszczki, a policzki okrywał rumieniec – przechadzała się w srebrnym kapturku i sukni uszytej według ostatniej paryskiej mody. Kiedy się poruszała, spod rąbka sukni widać było srebrne pantofelki^ W chusteczce miała ukryty maleńki flakonik perfum, które wciąż wachała, siedząc w kobiecej części synagogi, dusznej od odoru wosku, kurzu i potu. '

Nazajutrz po Rosz Haszana większość wiernych rozje-" chała się do swoich zajęć. Reputacja Jochanana została w pełni przywrócona. Wszędzie powtarzano sobie jego sło-j wa i porównywano go nie tylko z rabim z Przasnysza, lecz nawet ze sławnym kaznodzieją z Kozienic. Sporo też mówiono o Kalmanie. Wszyscy widzieli go modlącego się żarliwie przy wschodniej ścianie, w tałesie i w szacie pokut-: nej z białego płótna. Zauważono, że cały czas stał podczas czytania zwoju Tory. Zapłacił za kwaterę dla dziesięciu ubogich Żydów i został przywołany do odczytania rozdziału Tory w drugi dzień świąt. Jednak po upływie Rosz Haszana nie wyjechał. Wywnioskowano z tego, że jego stosunki z Klarą nie układają się dobrze.

Po kilku dniach nowe tłumy wiernych napłynęły do Mar- szynowa na Jom Kipur. Rzucono się do kupowania kogutów poświęcanych przed świętem na odkupienie grzechów. Temerł zamówiła dla Jochanana białego koguta. Dom modlitwy znów wypełnił się po brzegi na wieczorne modły. Wczesnym rankiem, w przeddzień Jom Kipur, rabi wraz ze zgromadzoną rodziną złożyli ofiarę. Był wśród nich i Ga- dele. Cypełe niosła niemowlę w ramionach. Mężczyźni trzymali koguty za nogi i wywijali nimi nad głowami. Kobiety robiły to samo z kurami. Ta ofiara, kończąca się spożyciem drobiu, zawsze wzbudzała w Jochananie niepokój, aczkolwiek w Torze wyraźnie było napisane, że zwierzęta istnieją na ziemi po to, aby żywić ludzi. Czy człowiek ma prawo prześcigać w pobożności Pięcioksiąg? Jest napisane, że jeśli zwierzę zostało zaszlachtowane według praw rytuału i błogosławieństwo odmówiono nabożnie, duch tego stworzenia doznaje oczyszczenia. Dusze wędrujące, dusze świętych, są uwięzione w zwierzętach, Niemniej przeto Jochanan doznawał niepokoju trzymając koguta za nogi i czując drżenie jego ciała. Chociaż ptaki nie dopełniają żadnego aktu pobożności, ale i nie grzeszą. Kto może powiedzieć, że on, Jochanan, bardziej jest wart tego, aby żyć, niż stworzenie składane za niego w ofierze? Rzeźnik rytualny, szochet, który przybył o świcie na dwór rabiego, szlachtował ptaki nożem o krótkim ostrzu. Jochanan stał w pobliżu z głową pochyloną i pobladłą twarzą, pomny opowieści o Kainie i Ablu, jak również tych słów: "I w niczym człowiek nie przewyższa zwierząt." Pocierał sobie czoło. Tysiące Żydów zgromadziło się, aby doznać za jego pośrednictwem odrodzenia wiary, a on sam wątpił.

•W istocie rzeczy Jochanan od dawna czuł odrazę do materialnego bytu. Nie przestawał zazdrościć ojcu i dziadkowi, którzy zrzucili już z siebie ciężar życia ziemskiego i przebywają w boskich rejonach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY I

Kalman wcale nie pragnął opuścić Marszynowa na okres świąt. Cóż go czekało w domu? Cudzołożnica i niesforne dziecko. Nie był już młody. Miał dość prowadzenia interesów. W czasie święta Kuczek Kalman modlił się w szałasie i pozostał tam na noc z Jochananem. i jego najbliższym^ gronem. Dobrze było położyć się pod pierzyną i spoglądać na gwiazdy przez gałęzie tworzące daszek. Siódmego. dnia świąt spędził całą noc z chasydami na modlitwie, ósmego odmawiał modlitwę o deszcz. Na Symchat Tora brał udział w pierwszej procesji sławiącej Torę. Od dawna nie czuł się tak szczęśliwy. Tańczył wraz z innymi wiernymi i częstował ich winem i miodem pitnym. Chociaż nikt się nie upił, wszyscy byli podochoceni. Kalman porównywał swą obecną radość z mękami, jakie znosił na przyjęciach Klary. Obliczył, że ma przy sobie dość pieniędzy, aby przeżyć pięć lat w. Marszynowie. Później będzie, co Bóg zrządzi.

Zaledwie skończyły się lwięta i chasydzi się rozjechali – na Marszynów spadł śnieg. Dom modlitwy opustoszał. Podwórzec dworu stał się tak cichy, że słyhać było, jak ostatnie liście spadają z drzew. Pozostało tylko kilku-uczniów jesziwy i stali rezydenci. Starcy, od dawna zdani wyłącznie na swe towarzystwo, stawali się skorzy do gniewu. Drzemali przy piecu lub siadywali nad książkami pykając z fajek. Kalman zajął się czytaniem tomu Miszny, ale jak długo można czytać?

Krążył nerwowo po pokojach domu córki. Najmłodsze dziecko, Gadele, miało odrę i Cypele nie odstępowała jego łóżeczka. W oknie dzieciennego pokoju zawieszono czerwonią kotarę. Ilekroć Kalman chciał tam wejść, Cypele kładła palec na ustach jako znak, że dziecko śpi. Udał się więc do swego pokoju i położył na łóżku, ale jak mógł spać, skoro od tygodni nie miał żadnego zajęcia? Tego wieczoru deszcz siekł o szyby, od pieca rozchodziło się ciepło i słychać było Szelest, jakby przyjazny, domowy duszek myszkował wśród szmatek i miotełek z piór. Kalman wiedział, że z nastaniem Chanuka, Święta Świąteł, w Marszy nowie znów będzie przyjemnie jak dawniej. Ale teraz był dopiero początek miesiąca Cheszwan, i prawie sześćdziesiąt dni dzieliło go od Chanuka. Po wieczornym nabożeństwie służąca przyniosła mu talerz zi py i duszoną wołowinę, lecz nie miał apetytu. Włożył futro i wyszedł w noc. Cypele zawołała za nim, ostrzegając, że to nierozsądnie wychodzić w taką pogodę. Kalman szedł i sam nie wiedział, dokąd idzie. Futro mu przemokło. Dokoła panowały nieprzeniknione ciemności, a on postukiwał laską jak ślepiec. Dotarł wreszcie do stacji. Mała lampeczka oświetlała wnętrze, budka kasjera była jednak zamknięta. W ciągu kilku godzin nie spodziewano się żadnego pociągu. Kalman usiadł na ławce i wpatrywał się w ciemność. Czy na całym świecie nie ma dla niego miejsca?

Podniósł się i ruszył z powrotem do domu córki. Deszcz przemienił się w śnieg zacinający z ukosa i twardy jak grad. Podczas męczącego marszu czuł, że twarz mu puchnie, a powieki zamarzają. Wiele przebył śnieżnych zadymek, spędzał samotnie noce w lesie, nigdy jednak nie przeżył takich ciemności. Wydawało mu się, iż wędrówka trwa parę godzin. W domu świeciło się

tylko w pokoju Jochanana. Wszyscy udali się już na spoczynek. Kalman chciał zapukać do drzwi zięcia, lecz zmienił zamiar. Nie miał o czym z nim mówić. Nie wolno mu odciągać Jochanana, świątobliwego człowieka, od Tory. Wrócił do swego pokoju i zapalił świecę; jej odbite światło migotało za szybami, gdzie drugi Kalman poruszał się niespokojnie, naśladowując ruchy pierwszego. Usiadł na łóżku. W kominie świstało. Gonty na dachu trzeszczały. Zimny powiew wiatru hulał po pokoju. Kalman mruczał modlitwę odmawianą przed spoczynkiem. I Obawiał się, że nie będzie mógł zasnąć, lecz jak tylko przymknął oczy, usnął. We śnie przyszła do niego Klara. Była naga i oplotła włosami jego ciało, śmiejąc się jak Lilit. Kalman zbudził się płonąć żądzą. Nawet w młodości nie nachodziło go takie pożądanie. Odrzucił kołdrę. Usiadł i nadśluchiwał. Mysz gryzła deski w podłodze, jakby miała) piłę zamiast zębów. Kalman sięgnął ręką do podłogi, chwycił but i uderzył nim w poręcz łóżka.
– Ucisz się, ty czorcie.

II

Padał śnieg. Płatki wirowały na wietrze. Każdy jego podmuch niósł ładunek bieli. Tworzyły się zaspasy. Wiatr hulał nad ziemią, zrywając w małych osadach słomiane dachy chat, wiążąc supły w końskich gtyzwach, odsłaniając bruzdy zaoranych pól i wymiatając drogi i trakty. Od czasu do czasu śnieg smagał Kalmana po oczach, jakby ktoś sypnął garścią soli. Chwilami miał wrażenie, że czyjeś zimne palce uciskają mu powieki. Wciąż otrzepywał śnieg. Nawet jazda saniami byłaby ciężka. Karetą zaś ślizgała się ustawicznie, a konie stawały jak wryte. Kalmano- wi przypomniała się opowieść o oślicy Balaama. Jednak skoro się już powiedziało "a", trzeba dodać "b". Skoro się wyruszyło w

drogę, trzeba jechać dalej. Kalman ubrany w futro, w baszłyku na głowie i w słomianych kapcach nałożonych na buty, siedział na koźle i toczył ze sobą spór. Powinien był pozostać w Marszynie. Po co jedzie do Jampola? Kogo chce zobaczyć? Żonę, która spała z innym mężczyzną? To prawda, że reb Alter, pomocnik rabiego z Marszyna, orzekł, iż prawo zezwala Kalmanowi żyć z żoną. Dopóki nie ma świadka na dowód jej cudzołóstwa, uważana jest za niewinną. Z drugiej jednak strony reb Alter ostrzegł, że w przypadku najmniejszego podejrzenia najlepiej, aby religijny mężczyzna nie zbliżał się do żony, zwłaszcza jeśli nie ma pewności, czy przestrzega ona przepisanych ablucji.

– Hetta! W prawo! Prrr...

Śnieg padał jeszcze gęstszy. Jampol był już niedaleko, nie więcej jak piętnaście wiorst, mimo to Kalman obawiał się, uchowaj Boże, zabłądzić! Wjechał w samą burzę. Kłębiąca się kurzawa śnieżna spadła na równinę jak wirujące elfy. Od czasu do czasu słup śniegu podnosił się w górę, niczym biała kolumna szarańczy, gotowej porwać go wraz z kareta do krainy śniegów i lodów. Konie, kasztany, zbieleły, jakby nagle postarzały. Ich tylne nogi zdawały się poruszać w miejscu. Śnieg, zebrany na ramionach Kalmana i futrzanej czapie, upodobił jego głowę do głowy cukru. Skąd można wiedzieć? A jeśli jest mu przeznaczone zginąć w tej burzy? Całkowicie zasłużył na taką karę. Człowiek w jego wieku, który nie potrafi opanować żądy, zasługuje na śmierć. Wyjął płaską flaszkę koniaku z bocznej kieszeni i pociągnął łyk. 'Nic nie da upicie się, ale przeziębienie byłoby jeszcze gorsze. Mróz przenikał przez futro i chałat. Stopy mu zdrętwiały z zimna. Dokąd ma jechać? Do dworu czy do młyna? Przestał kierować końmi, nie pociągał za lejce.

Skupił całą uwagę na odszukiwaniu śladów drogi. Tu i ówdzie rozpoznawał zarys gościńca. Uzmysławiał sobie, że dopóki jest widno, nie grozi mu poważne niebezpieczeństwo. Słońce zaświeciło spoza chmur. Cienie ściagały się na równinie. Chwilami przebłysk czerwieni kładł się na śniegu jak odbicie zachodzącego słońca.

Dzięki Bogu, karetka wjechała na leśną drogę, gdzie już nie można było zbłądzić. Wzdłuż niej, po obu stronach, stały szeregiem sosny, a śnieg, jak białe koty, przywarł do gałęzi. Zmierzchało. Niech Bóg strzeże, by się rozbójnik nie wynurzył z zarośli. Kalman czuł się zbyt zmęczony, aby się bronić. Modlił się do Boga, chociaż było mu wstyd. Ludzie prawi, podróżujący w godziwych sprawach nie do-, znają krzywdy, lecz droga jego podróży wiodła do grzechu. Jakiej pomocy może więc oczekiwać?

Śnieg wciąż padał, ale już nie tak gęsty jak przedtem. Od czasu do czasu słyhać było krakanie wron Jak te pta-ki mogą znieść podobny ziąb? – zastanawiał się Kalman. Miał wrażenie, że jedzie w tym śniegu i zimnie całe tygodnie, miesiące, lata. Noc nadeszła i nagle zrobiło się ciemno, jakby naraz wyłączono wszystkie światła na niebie. W jednej chwili śnieg był jeszcze biały i połyskiwał diamentami, w następnej wszystko poczerniało. Karetka miała latarnie, lecz ich szybki całkiem zamarzły, a Kalmanowi palce tak zeszywniały, że nie mógł posłużyć się zapalkami. Będzie musiał się zdać na konie. Oczy zwierząt widzą lepiej od ludzkich. Konie poruszały się jednak tak wolno, że Kalman musiał nawoływać "Hetta, hetta". Śmiać mu się chciało. Pomyśleć tylko, oto sześćdziesięcioletni mężczyzna narażający życie dla kobiety, która go zdradziła. Wspomniał Zełdę, niech jej dusza odpoczywa w Bogu. Jeśli ona chce go ukarać za

poślubienie rozwiązłej kobiety, to jego widok w tych opałach starczy za całą zemstę.

Kiedy wjechał na dziedziniec dworu, psy zaczęły szarpać łańcuchy i ujadać. Widocznie zapomniały swego pana, Wreszcie zjawiał się stangret Antoni i zabrał konie. Zaprowadził na wprost zamurzone zwierzęta do stajni i okrył derkami. Kalman z trudem zgramolił się z kozła.

Powstrzymał się, żeby nie zapytać o Klarę, i wszedł do kuchni, gdzie płonął ogień. Futro tak zeszywniało, że po zdjęciu stanęło na podłodze jak beczka. Powyciągał z brody sople lodu, zrzucił słomiane kapce i buty i zaczął rozgrzewać stopy. Naraz zjawiała się Klara w rannych pantoflach i narzut- ce bez rękawów włożonej na nocną koszulę. Włosy jej przytrzymała siatka.

– Wybrałaś dobrą porę na przyjazd, nie ma co – po-1 wiedziała.

– Dojechałem i żyję – odpowiedział. – Muszę Bogu za to dziękować.

Kalman był głodny. Ale okazało się, że w czasie jego nieobecności Klara odprawiła kucharkę Żydówkę. Bał się napić choćby szklanki herbaty. Usiadł przy otwartym piecu, żując suchą kromkę chleba jak żebrak. Dorzucił parę szczapek do ognia. Policzki mu pałały. Klara krążyła niespokojnie po kuchni.

– Jak się ma Sasza? – zapytał.

– Jest w Warszawie.

– W Warszawie? Sam jeden?

– Nie, chodzi tam do szkoły.

– Nie rozumiem, co mówisz, Klaro.

– No, przecież to nic trudnego.

– Ale kto się nim zajmuje?

– Oczywiście jego guwernantka. Wynajęłam dla nich mieszkanie i zgodziłam służącą.

– Co to za szkoła?

– Prywatna.

Oczywiście szkoła chrześcijańska, pomyślał Kalman. Za-
służyłem na to, co mnie spotyka. Któż inny powróciłby do
takiej jędzy. Bez żadnego powodu wrzucił w ogień kawa-
łek chleba, który trzymał w ręku. Przyszła mu do głowy
dziecinna myśl. Złożył niejako ofiarę obrzędową.

Odsunął się od pieca, aby nie opalić brody.

– Czy ci go nie brak? – zapytał. – Ja mam jes[^]ze inne
dzieci. A ty masz go tylko jednego. ^s

– Nie zostanie tam długo.

Kalman znów się zamyślił.

– Kiedy widziałaś go po raz ostatni?

– Wciąż jeżdżę do Warszawy.

Teraz wszystko stało się dlań jasne. Nosi bękarta w
swym łonie. Wynajęła mieszkanie dla siebie i swego
kochanka i tak wszystko urządziła, że ma
usprawiedliwienie i jeździ do niego, kiedy zechce. Mimo
całego udręczenia, zadziwiła Kalman a przebiegłość
Klary. Jego ucieczka doskonale odpowiadała jej planom.
Zdawał sobie sprawę, że nie powinien dzielić z nią
sypialni, lecz inne pokoje były nieogrza-
ne. Wszedł do
sypialni, położył się na łóżku i przykrył pierzyną. Mimo
zmęczenia nie mógł zasnąć. Klara też nie spała i wciąż
kaszlała, Był to nieprzyjazny kaszel. Mimo wszystko nie
żałował trudów podróży. W Marszynie miał jeszcze
złudzenie, że ich pojednanie jest możliwe. Obecnie
cudzołóstwo Klary zostało ujawnione. Wysłała do miasta
jego dziecko, jedyne syna, spadkobiercę. Chłopiec na
pewno jada niekoszerne pożywienie. Nie ma mowy o ro-
zejmie. Nie może zjeść nawet łyżki strawy w swym wła-
snym domu. Wszystko jest nieczyste. Ona może nawet
próbować go otruć. Osoba, która raz weszła na drogą zła,
nie powstrzyma się przed niczym.

- No, dlaczego nic nie mówisz? – spytała nagle Klara.
- 1– Mąż wracający z podróży zwykle opowiada o niej żonie.
- Cóż mam ci powiedzieć?
- Nawet nie przywiozłeś mi prezentu.
- Jakiego prezentu? W Marszynie niczego nie ma do kupienia.
- Mogłeś przysłać mi kartą pocztową. Kalmana mierzył jej fałsz.
- Nie miałem o czym pisać. Nic nie było do powiedzenia.
- Co takiego ci zrobiłam? Potopiłam w jeziorze twoje kaczki?
- Najgorszy wróg nie mógłby mnie bardziej zranić^ Czy to moja wina,' że jesteś szalony i opętany na punkcie Cypkina?
- Nie jestem szalony.
- ' – Kalmanku, doprawdy jesteś. Powinieneś pójść do lekarza. Nie ma się o co gniewać. Dziecko musi otrzymać wykształcenie. Nie możemy pozwolić, żeby wyrósł na prostego chłopca. Jeśli chcesz, aby miał nauczyciela hebrajskiego, nietrudno takiego znaleźć w Warszawie. Jeśli §J mnie chodzi, on może zgłębiać tajniki Tory u największego rabina.
- 1– Je niekoszerne potrawy.
- Dlaczego niekoszerne? Ma służącą Żydówkę.
- Dlaczego odprawiłaś kucharkę?
- Przez ciebie. Jaki był sens trzymania jej tutaj, skoro ty wyjechałeś? Jeśli zostaniesz w domu i będziesz się normalnie zachowywał, zaczniemy znów stosować się do przykazań. Twój Mejer-Joel traktował mnie jak złodziejkę. Jakież to gbur!

Kalman wiedział, że wszystko, co ona mówi, jest nieprawdą. Same kłamstwa. Jednak gniew począł w nim słab-

nąć. Jej głos uspokajał go i zniewalał. Chciał równocześnie bić ją i tulić. Jeśli teraz z nią się pogodzi, mówił do siebie, będzie zgubiony. Upodli się przez nią. To tak, jakby oddał duszę Asmodeuszowi.

– Chodź do mnie, Kalmanku.

– Przysięgam przed Bogiem, że nigdy więcej ciebie nie dotknę. Jeśli to zrobię, oby spadły na mnie wszystkie kary spisane w Księdze klątw.

Następnego dnia Kalman przeniósł się ze dworu do domu, który niegdyś zajmowali z Zeldą (niech jej dusza spoczywa w pokoju). Najął kobietę z Jampola do prowadzenia gospodarstwa i zaczął żyć samotnie.

24 – Dwór

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

I

Wraz z zakończeniem tańców i modłów o deszcz w Sym- chat Tora zaczęła się zima w Warszawie. Pierwszy śnieg i grad spadły w szabas, kiedy się czyta pierwszy rozdział Księgi Rodzaju. Nie było konieczności rozbierania szałasów po święcie. Wiatr zdążył rozrzucić gałęzie na wszystkie strony. Bogaci kamienicznicy kazali napalić w piecach i chodzili poubierani w futra, w filcowych butach i pilśniowych kapeluszach. Kazali swym żonom i służącym nagotować -gorącej zupy z jęczmiennymi krupami i suszonymi grzybami oraz fasoli z tłuszczem. Wczesny atak mrozu zaskoczył biedotę. Według doniesień z gazet, choroby i głód szerzyły się w całym kraju, W Warszawie brakowało węgla, ponieważ parowozy nie były w stanie przewieźć dostaj teczej

liczby węglarek, a powodzie przerwały komuni-
kację. Wieści z Galicji i Dolnego Śląska również nie były
pomyślne. W Warszawie brakowało szklarzy, często nie
można było wymienić stłuczonej szyby i wiele okien
zabijano deskami. Dzieci pozbawione obuwia, bielizny i
ciepłej odzieży chorowały. Szpital Dziecięcy przy ulicy
Aleksandria * zapełnił się po brzegi. Ozdrowieńców nie
można było wypisać ze szpitala, gdyż de mieli co na
siebie włożyć, kręcili się bezczynnie po salach wśród
łóżek chorych. Wiezorami długie kolejki bezdomnych
gromadziły się przed komisariatami policji. Pozwalano
tym biedakom spać tam na podłogach, ale z nastaniem
ranka wypędzano na mróz.

* Obecnie część ulicy Kopernika (przyp. red.).

Polska prasa odwoływała się do społeczeństwa.
Warszawska Izba Handlowa rozpoczęła przygotowania
do balu, którego dochód przeznaczono na pomoc dla
ubogich. Kilka towarzystw filantropijnych proponowało
urządzenie wenty dobroczynnej. Znane aktorki,
śpiewaczki i damy z towarzystwa przyrzekły swą
współpracę w charakterze sprzedawczyń w
poszczególnych stoiskach. Wallenberg zobowiązał się
do udzielenia poważnej dotacji. Jednak potrzeba pomocy
znacznie przewyższała możliwość jej udzielenia. Trudno
było ustalić, kto najbardziej jej potrzebuje. Chłopi jedli
zboże siewne i nie głodowali. Niektórzy bogaci
kamienicz- nicy warszawscy nie mogli kupić opału do
ogrzania swych domów. Większość węgla
nadchodzącego do miasta kierowano do fabryk.

Żydzi znajdowali się w jeszcze gorszym położeniu.
Tłumy biedaków zbierały się przed domem gminy
żydowskiej, lecz woźni nie chcieli ich tam wpuścić.
Rozzłoszczony tłum płakał, wymyślał, przeklinał
chasydów, których oskarżano o sprzymierzenie się z

Żydami zasymilowanymi i wydanie Warszawy w ręce na wpół przechrztów. Spór trwał między chasydami i niechasydami od czasu ogłoszenia przez Rosjan nowego dekretu w sprawie unowocześnienia ubioru. Niechasydzi chcieli, aby wszyscy Żydzi ubierali się na modłę europejską: kapelusze, długie spodnie, trzewiki sznurowane lub zapinane na guziki. Podobno był za tym rabi z Kocka, lecz rabi z Góry Kalwarii i jego wyznawcy opowiadali się za rosyjską rubaszką, spodniami wetkanymi w cholewy butów, chustką na szyi i rosyjską czapką przystosowaną do rodzimego stylu. Na dodatek od pewnego czasu chasydzi burzyli sędę przeciwko reb Jukele, głównemu rabinowi z Warszawy. Po jego śmierci nie wyznaczono następcy, tylko powierzono sprawy religijne gminie. Wśród tych, którzy zwracali się o pomoc do gminy, byli i ludzie dotknięci żałobą, którzy nie wiedzieli, co robić z ciałami zmarłych domowników. Nie byli w stanie zapewnić im miejsca na kirkucie, całunów i karawanów.

Lucjan i Miriam-Liba też byli bezdomni. Lucjan mógł spędzać noce w domu swej kochanki, pani Bobrowskiej, wdowy po aktorze trudniącej się szyciem. Dyrektor małego teatrzyku, Cybulski, od dawna z nią zaprzyjaźniony, dawał Lucjanowi od czasu do czasu rólki statysty. Szwagierka Miriam-Liby, Felicja, de facto zaadoptowała dzieci Lucjana, Władzia i Marysię. Nie zabrała jednak do siebie Miriam-Liby, która zaczęła pić. Zresztą sama Miriam-Liba nie chciała być nikomu ciężarem. Azriel pospieszył jej z pomocą, wynajmując na facjatce przy ulicy Leszno, naprzeciw placu Kercelego, pokoik, którego ogrzewanie stanowił żelazny piecyk z długą rurą. Azriel kupił szwagierce łóżko; (meble Lucjana zostały sprzedane na licytacji), kredens kuchenny i dwa krzesła. Pokoik był wąski, ze ściętym sufitem i okienkiem

umieszczonym wysoko w ścianie, jak gło-; wa garbusa. Chcąc wyrzeć na dwór trzeba było stanąć na ławce. Jednak pomieszczenie to miało jeden plus – osobne wejście.

Ponieważ nie można było kupić węgla, w pokoju panowało prawie takie zimno jak na dworze. Mróz oszronił okienko, woda, którą Miriam-Liba przynosiła z pompy, zamarzała w wiadrze. Popękane, niemalowane ściany zbrą- zowały od pleśni. Chociaż Miriam-Liba owijała żakietem stopy, nie mogła się rozgrzać. Azriel przynosił jej chleb, ser, śledzia i kielbasę, bo wiedział, że wszystkie pieniądze, jakie jej zostawi, pójdą na wódkę. Prawie nic nie jadła, krzywiła się, że dary Azriela służą za przynętę dla myszy. Kiedy się nie zjawiał, odczuwała jego brak, a jak przy^ szedł – odzywała się doń szorstko.

– Czego ode mnie chcesz? Pozwól mi spokojnie umrzeć.

– Musisz wziąć się w garść, Miriam-Libo. -- A dlaczegóż to?

Azriel chodził w swym studenckim mundurze, podnosił kołnierz płaszcza i wsuwał ręce w rękawy. Był podatny na przeziębienia. Dzieci chorowały całą zimę. Szajndł była zmuszona wezwać lekarza, aby zapisał im lekarstwa. Wieczorami Azriel siadywał przy łóżku Miriam-Liby i wysłuchiwał jej narzekań. "Kto zrozumie koleje życia?" – zadawał sobie pytanie.

Przy ulicy Żelaznej znajdowała się tania jadłodajnia, gdzie posiłek kosztował tylko sześć groszy. Jadłospis nigdy się nie zmieniał: zawsze był krupnik, a w nim pulpet, albo małeńki kawałek mięsa. Jako okrasę używano słoniny. W kotłach gotowała się zupa od wczesnego rana do późnego wieczoru, bo lokal stale odwiedzali ubodzy robotnicy i bezrobotni. Kiedy tylko jedna partia stołowników kończyła jeść, popędzano ich do wyjścia, aby zrobić miejsce następnym. Inteligencja

siadywała osobno, przy "stole dla panów". Lucjan jadał tu codziennie obiad. Jednym ze stałych bywalców był też Zbigniew Chwalski, dawny właściciel ziemski, który winę za swoje bankructwo zwał na wyzwolenie chłopów, lecz faktycznie cały majątek przegrał w karty. Chwalski, mężczyzna wysoki i zwalisty, zawsze przychodził w towarzystwie żony Katarzyny, osoby drobnej i chudej, o twarzy pomarszczonej jak figa, z zaczerwienionym zadartym nosem. W czasie posiłku obrzucała wymysłami rosyjskich tyranów, perfidnych Francuzów i polskich nowobogackich. Ciągle opowiadała o tym przechrzcie Wallenbergu, który pomaga Żydom, przyjaźni się z Rosjanami i mieszka w pałacu, podczas gdy arystokracja polską zmuszona jest jadać w tanich jadłodajniach. Chwal- scy nie byli jedynymi antysemitami przy-"stole dla panów". Ziółkowski, który zachował brodę i nadal ubierał się w kaftan, miał jeszcze bardziej krańcowe zapatrywania niż Chwalscy. Zawsze przynosił blaszaną miskę na zupę. Stawiał ją na stole przeznaczonym dla inteligencji, dodawał ogromne ilości soli i pieprzu i zaczynał swoje perory. Według niego masoni i Żydzi są odpowiedzialni za wszelkie zło, jakie tylko można sobie wyobrazić. To oni uknuli rozbiór Polski, chcąc podważyć wiarę katolicką. W istocie, rzeczy nie ma różnicy między masonami, protestantami i Żydami. Wszyscy są jednacy. Disraeli, Bismarck, Roth- schildowie i Wallenberg działają na rozkaz tego samego wielkiego mistrza masońskiego. Aleksander II, tajny członek owej konspiracji, miał własny cel w zniesieniu pań-
szczyzny. Zrobił rosyjskiego Żyda Ginsburga baronem. Sara Bernhardt to nie tylko tancerka, ale i tajny kurier tej organizacji złożonej z nihilistów, liberałów i komunardów; Na jakie dno upadku stoczyła się Polska, wskazuje fakt, że na czele głównej instytucji wydawniczej stoi dwóch

Żydów – Lewental i Orgelbrand. Inny Żyd, Unger, sprawuję pieczę nad polską sztuką.

Jak tylko Ziółkowski rozpoczął przemawiać, wokół; niego zbierała się grupa osób. Prędzej lub później poruszał temat Starego Testamentu. Czy Abraham nie uratował sobie życia okłamując Abimelecha i wmawiając mu, że Sara; jest siostrą Abrahama? Czy Izaak nie poszedł za przykładem ojca? Czy Jakub nie wyłudził oszukańczo -od Ezawa prawa pierworództwa? Czy bracia Józefa nie sprzedali go w niewolę? Żyd z natury jest tchórzem i lichwiarzem, czci-¹ cielem złotego cielca, nie przestrzega czystości fizycznej, jest wyniosły, uparty i bez poczucia honoru. Ma na celu zmonopolizowanie bogactw całego świata. Ziółkowski cyto-¹wał niemieckiego pisarza na dowód, że Kain to prototyp wszystkich Żydów. Początkowo Lucjan prowadził spory z Ziółkowskim. Czy wszyscy katolicy są tak niewinni jak jagniątko? Czy chrześcijanie nie uważają Starego Testamentu za coś świętego? Ziółkowski miał jednak dziesięć odpowiedzi na każde pytanie i stopniowo obaj mężczyźni[^] zawarli przyjaźń. Lucjan opowiedział Ziółkowskiemu o Mi-riam-Libie. Podczas rozmowy przy-kuflu piwa naszkicował plan obrabowania Wallenbetga. Ziółkowski potrząsnął głową z dezaprobatą. Rabunek? Kradzież? Tak postępują Żydzi, ale nie polscy arystokraci. On ma znacznie lepszy plan. Muszą założyć partię antysemicką i wydawać książki oraz periodyki informujące społeczeństwo o tym, jak jest oszukiwane. Powoływał się na podobny ruch wydawniczy w Prusach, na Węgrzech, w Rumunii i Rosji. Czy Lucjan czytał artykuły Lutosławskiego? Czy wie coś o czarnych sotniach? Czy zna eseje Renana o historii religii? Może czytał o wniesionym do parlamentu węgierskiego przez . Gyozó Istóczy'ego projekcie,

którego kwintesencję stanowi deportowanie wszystkich Żydów do Palestyny? A czy wie o tym, że w Prusach powszechnie się mówi: "Żydzi to nasze nieszczęście"? Nawet "Gazeta Polska" wydrukowała ostatnio artykuł wymierzony przeciw żargonowi żydowskiemu skojarzonemu ściśle z niegodziwym Talmudem pouczającym Żydów, jak oszukiwać chrześcijan i bezcześcić hostię. Czy Lucjan zdaje sobie sprawę, że postępowy Żyd, tak zwany "Żyd zasymilowany", jest jeszcze groźniejszy niż jego staromodny brat w długim chałacie, z pejsami? Ten ostatni nie wychodzi przynajmniej poza getto, podczas gdy pierwszy wpycha się do każdej warstwy społeczeństwa polskiego i wszędzie prowadzi swą destrukcyjną działalność.

Dość dziwne, lecz Ziółkowski 'każdego dnia po obiedzie obchodził żydowskie księgarnie i antykwariaty przy ulicy Świętokrzyskiej, i kontynuował swe wywody przed przygodnymi klientami na zapleczach tych sklepów. Zazwyczaj wchodził po drabinkach opartych o półki z książkami

1 zdejmował zmurszałe tomy, aby je wertować. Aczkolwiek nic nigdy nie kupował, Żydzi, właściciele księgarń, zawsze odnosili się do niego z szacunkiem. Prowadził górnolotne dyskusje z żydowskimi sprzedawcami. Nawet wypożyczał książki do domu. Adam Ziółkowski od wielu lat zbierał materiał do jakiejś obszernej pracy. Jego nienawiść do Żydów zrodziła się w momencie, gdy wydawca Lewental odrzucił jego rękopis. Wydawcy katoliccy również odmawiali drukowania jego prac, ale zdaniem Ziółkowskiego to Żydzi wywierali na nich wpływ.

Nadszedł taki okres, kiedy Lucjan nie mógł się już powstrzymać od mówienia o morderstwie. Kiedy w sobotnie wieczory odwiedzał Miriam-Libę, opowiadał o zamiarze pozbycia się Bobrowskiej. Nigdy nie zapomniał przynieść butelki wódki, jakiegoś jedzenia, wiaderka węgla i wiązki drewna. Rozpalał żelazny piecyk, kładli się z Miriam-Libą do łóżka i nakrywali kocem. Gasił lampę i bajdurzył całąmi godzinami. Okradnie Walleńberga, zabije Bobrowską, a potem ucieknie na Sycylię lub Korsykę z Miriam-Libą i Kasią. Chociaż jego słowa były bredniami pijanego, Miriam-Liba spostrzegła, jak bardzo tym się podniecał. Nie mógł już mieć stosunku bez takiego gadania. Podczas tych wypowiedzi wymachiwał rewolwerem, przykładał wylot lufy do czoła Miriam-Liby i mówił:

- Kochanie, czy mam wystrzelić?
- Dalej, strzelaj.
- Zabiłbym cię na miejscu.
- Im prędzej, tym lepiej.

Kiedy był z Bobrowską, opowiadał, że zabije Miriam-Libę. Miriam-Liba nie zwracała uwagi na jego błazenadę, lecz Bobrowska zazdroszcząc mu pomysłu, sama chciała tego dokonać nożem, nie rewolwerem. Wyssałaby, j jak wampir, krew z jej gardła. Potem, gdy już Miriam-Liba będzie w agonii, ona, Bobrowska, położy się z Lucjanem. do łóżka. Chociaż jest tylko szwaczką, pochodzi ze szlacheckiego rodu. Chełpiła się, że jej dziadek za chłostał na śmierć dziesiątki chłopów. Opowiadała, jak podczas powstania styczniowego oficerowie kozaccy biczowali panie z arystokracji, aby podniecić je seksualnie. Rano Lucjan i Bobrowska opowiadali sobie, co im się śniła. Lucjan nie mógł .widywać Kasi tak często, jak tego pragnął. Mógł ją odwiedzać tylko wówczas, gdy jej

chlebodawca, pan Chodziński, szedł do łaźni. Zaczął również prze- myśliwać nad zabicie Chodzińskiego; zapytał Kasię, gdzie stary przechowuje pieniądze.

- Po co o tym mówić – odpowiedziała. – Nie zabijesz go i tak.
- Skąd taka pewność?
- Po prostu nie jesteś zabójcą.
- Właśnie, że jestem. Skończę z tym starym psem.
- Po co? On i tak umrze.
- Chcę jego pieniędzy.
- Zabijesz go na darmo. Nie znajdziesz pieniędzy. Nikt nie wie, gdzie je chowa.

Chociaż Kasia była zbyt prymitywna, aby zdawać sobie sprawę z psychicznego odchylenia Lucjana, wciąż ją wy- pytywał, czy nie jest zazdrosna o jego żonę i Bobrowską. Czy nde chciałyby się zemścić na Bobrowskiej? W jaki sposób by to zrobiła? Podsuwał jej własne słowa i zmuszał do ulegania swej chorobliwej imaginacji. Czulił się i przy- miłał, aż dostał od niej pieniądze. Znowu się stoczył na samo dno i zdawał sobie z tego sprawę. Nie miał pracy. Siostra odebrała mu dzieci. Jadał w taniej jadłodajni, był na utrzymaniu Bobrowskiej i obijał się, oczekując na wezwanie z teatryku do wystąpienia w roli statysty. Jedyne jego wygląd sprawiał, że nie brano go za zupełnego wyrzutka społecznego. Lecz coraz trudniej przychodziło mu zachowanie dobrej prezencji. W mieszkaniu Bobrowskiej roiło się od robactwa. Mimo wlewania gorącej wody w szpary i rozkładania wszędzie trucizny pluskwy wciąż wracały. Miriam-Libie udawało się utrzymać względną czystość, lecz spała na podartej poduszce, z której pierze fruwało po całym pokoju. Bobrowska prała mu bieliznę i od czasu do czasu prasowała garnitur, ale cała jego odzież była już znoszona i należało kupić nową.

Stan napięcia Lucjana tak się zaostrzył, że nie mógł go opanować. Wciąż snuł rojenia we śnie i na jawie. Budząc się rano, czuł się już zmęczony i pragnął znów się położyć. Ciągłe ziewał i się przeciągał. Kiedyś lubił zimno, obecnie go nie znosił. Wciąż roił o wyspach mórz południowych lub plantacjach południowoamerykańskich, gdzie tubylcy harowali na niego, a on popijałby wino siedząc na ocienionej werandzie. Nigdy nie opuszczały go myśli o miłości i morderstwie. Był niezdolny do zajmowania się codziennymi sprawami. Rojenia o wspaniałej przyszłości wprost go zżerały.

IV

Pan Chodziński, u którego pracowała Kasia, wyjechał do Grodziska z zamiarem spędzenia Bożego Narodzenia u siostry. Miał tam gościć przez kilka dni, zapewne i na Nowy Rok. Kasia została, żeby opiekować się mieszkaniem; Chodziński załatwił dla niej posiłki świąteczne po sąsiedzku W^F u szewca, bo nie wypadało, aby dziewczyna została zupełnie sama w tym radosnym okresie świąt. Chociaż kupił choinkę, nie zgodził się jednak na ubranie jej świeczkami z obawy przed pożarem. Nie pozwolił też Kasi iść do kościoła, ponieważ tyłu złodziei kręci się podczas świąt. Zwłaszcza zakazał pójścia na pasterkę. Kasia była rada z wyjazdu swego pana. Mimo impotencji wciąż ją nagabywał. Synek Kasi, Bolek, wychowywał się u kobiety mieszkającej na samym niemal końcu ulicy Dzikiej, blisko cmentarza katolickiego. Kasia płaciła za utrzymanie chłopca rubla tygodniowo, trzysta rubli kwartalnie. W tym czasie jej zarobek wynosił zaledwie pięć rubli. Resztę udawało jej się jakoś uciulać ze sprzedaży kości, obierek, prezentów

otrzymywanych od Chodzińskiego i monet, które od czasu do czasu dawał jej Lucjan. Kasia, choć miała zaledwie dwadzieścia jeden lat, była matką ładnego, pięcioletniego chłopczyka, podobnego do Lucjana. Gdyby nie pomoc jej ojca nigdy nie byłaby w stanie wychować dziecka. Chodziński nie mógł się dowiedzieć, że jest matką bękarta. Tylko przy wyjątkowych okazjach odwiedzała syna. Nawet w niedzielę, jej wolny dzień, Chodziński nalegał, aby towarzyszyła mu do kościoła. Teraz, po jego wyjeździe z Warszawy, będzie mogła wypełniać obowiązki matki w ciągu tych kilku dni, a i Lucjan będzie ją mógł swobodnie odwiedzać. Ostatnio coraz trudniej było im się spotykać, ponieważ Chodziński zaniechał regularnego chodzenia do łaźni w oznaczonym dniu tygodnia. Czasami opuścił jeden tydzień i nie było z góry wiadomo, którego dnia się tam wybierze. Młodzi mężczyźni z ulicy Chmielnej, nie wiedząc, że Kasia ma kochankę i dziecko, uganiali się za nią jak psy za suką, lecz Kasię obchodził tylko Lucjan. Mimo że przychodził do niej pijany, i to wprost z ramion innej kobiety, jego odwiedzin wciąż wyczekiwała z niecierpliwością. Częstowała go ciasteczkami i konfiturami ze spiżarni Chodzińskiego. Lucjan niczego przed nią nie ukrywał, wyznawał wszystkie swe grzechy i odsłaniał najtajniejsze myśli. Aczkolwiek niewiele rozumiała z tego, co mówił, lubiła go słuchać. Często łapała go na kłamstwach, nie miało to jednak znaczenia. Mężczyźni lubili się chełpić. Chociaż był od niej dużo starszy, Kasia uważała go za dziecko. Trajkotał jak Bolek, śmiał się i robił miny zupełnie jak chłopaczek. Czasem groził, że zamorduje Chodzińskiego, udusi Bobrowską, uśmierci swą żonę, Żydówkę, lub też po prostu popełni samobójstwo, ale najpierw zabije ją, Kasię. Jakie miała znaczenie cała ta paplanina? Jak dotąd jedyną osobą,

którą skrzywdził, był on sam. Kasia bała się tylko jednej rzeczy, ponownego zajścia w ciążę. Ale Lucjan nauczył się pewnej sztuczki, dzięki której nie groziło jej to niebezpieczeństwo. Chwała Bogu, miała okres regularnie. Mimo ubóstwa wrzucała co miesiąc do puszeki w kościele parę groszy i zapalała świeczkę przed ołtarzem swej patronki.

Podczas nieobecności pana Chodzińskiego Kasia będzie mogła spędzić parę nocy z Lucjanem, który przyrzekł kupić chłopcu zabawki i zabrać ją dorożką na Dziką w odwiedziny do synka. Lucjan już od lat nie widział się z Antkiem; zgodził się nawet odwiedzić go i wspólnie z nim pojechać do Bolka. Jakież to dziwne, że dawny wróg jest jego teściem, dziadkiem Bolka. Antek żył ze swoją kobietą, znalazł sobie pracę. W Warszawie budowano wiele domów, został więc murarzem. Zarabiał siedem rubli tygodniowo, czasami nawet dziewięć.

Składając te obietnice Kasi, Lucjan wierzył w każde swoje słowo. Niestety, Felicja, ta dusza chrześcijańska, wpłynęła na męża, aby zaprosił Lucjana z żoną na wigilię. Najpierw Zawadzki z uporem przeciwstawiał się temu pomysłowi. Postanowił nie zapraszać do siebie szwagra-szar-latana ani jego żony psychopatki. Ale Felicja chodziła z oczami zaczerwienionymi od płaczu. Mimo wszystko Lucjan to jej brat. Poza tym dzieci dopominają się zobaczenia ojca i matki. Felicja nie może pozbawić swych aniołków widoku rodziców. Po wielu dyskusjach Zawadzki ustąpił. Felicja posłała bratowej odzież i piętnaście rubli gotówką, by Miriam-Liba mogła się doprowadzić do należytego wy-

glądu. Napisała też list do brata, prosząc go o przybycie! wraz z żoną i zachowanie się, przynajmniej w okresie Bożego Narodzenia, jak przystało na człowieka dobrze urodzonego.

Miriam-Liba wręczyła Lucjanowi list od Felicji i trzy z otrzymanych piętnastu rubli Lucjan musi mieć trochę pieniędzy w kieszeni. Potem kazała mu przysiąc na kru-; cyfiks, że pójdzie z nią razem do siostry, nie zważając na swoją niepocholebną o niej opinię. Ale na tym nie koniec. Bobrowska oznajmiła, że zamierza urządzić kolację wigilijną i jeśli Lucjan zrobi jej w tym dniu zawód, nie chce mieć z nim nic więcej do czynienia. Wiedziała, że Chodziński wyjeżdża, i zaproponowała, aby Lucjan przyprowadził Kasię. Dlaczego dziewczyna ma pozostać sama w tak uro- i czysty wieczór? Bobrowska była zbyt posunięta w latach i za sprytna na okazywanie zazdrości. Faktycznie już od dawna chciała mieć to świeże, młode stworzenie przy sobie, żeby móc pogawędzić i pociągnąć razem wódeczki. :: Potem mogliby we trójkę spędzić czas tak, jak to Lucjan proponował.

Niełatwo jednak będzie Lucjanowi namówić Kasię na odwiedzenie Bobrowskiej, skoro pan Chodziński zabronił jej pójść nawet na pasterkę i załatwił wieczerzę wigilijną > u szewca. I jak ma świętować wigilię ze swą lubą Kasią, jeśli musi towarzyszyć żonie do siostry? Czy może też sprawić, aby Kasia odniosła się przyjaźnie do Bobrowskiej, której nienawidzi, nazywa wariatką, suką i temu podobne? Lucjan nosił się z innym jeszcze planem, ale jego wykonanie napotykało wiele przeszkód. Tak, zaplątał się w taką sieć, z jakiej i sam diabeł nie mógłby się wydostać. Zwykle wychodził cało z opałów za pomocą kłamstw, lecz tym razem wydawało się, że nawarzył sobie piwa, którego nie będzie mógł wypić. Jednak nieraz się przekonywał, że jeśli człowiek nie straci głowy, zawsze znajdzie jakieś wyjście, a nawet sam przypadek może przynieść mu rozwiązanie. I tak właśnie się stało. Mimo poczucia bezradności Lucjan

uważał, że szczęście mu sprzyja. Jego anioł stróż wybawi go ze wszystkich tarapatów.

Okazało się, że szewcowa, u której Kasia miała spożyć wigilijną wieczerzę, przyszła jej powiedzieć, że jednak nie może jej przyjąć u siebie. Panował powszechny przesąd, że jeśli do stołu wigilijnego zasiądzie nieparzysta liczba osób, jedna z nich umrze przed upływem roku. Rodzina szewca składała się z ośmiu osób i mogłaby włączyć Kasię, która była płatnym gościem, gdyby pan Chodziński zechciał pokryć koszty za dwie osoby, zamiast jednej. Ponieważ uchodził on w kamienicy za skąpca, szewcowa nie miała pewności, czy zapłaci nawet za Kasię. Stróż zaproponował jej spędzenie wigilii u nich, ale Kasia nie znosiła stróża i jego domowników. Liczna rodzina tłoczyła się w jednym malutkim pomieszczeniu, gdzie na dodatek prano bieliznę. Po wstawieniu choinki nawet szpilki nie można było tam wetknąć. Ponadto stróż miał psa ślepego na jedno oko, który szczekał i gryzł. Wigilia u stróża nie wchodziła w rachubę. Pan Chodziński odjechał karetką pocztową o godzinie trzeciej w wigilię. Lucjan przybył do Kasi około wpół do czwartej z butelką słodkiej nalewki i torebką pełną ciasteczek. Kasia opowiedziała mu o tym, co zaszło, ale Lucjan ją pocieszył. W duchu uważał, że sama Opatrzność działa na jego korzyść. Siedział z Kasią w kuchni i napełnił dwa kieliszki. Dziewczyna się skrzywiła. Napój, był dla niej za mocny.

– Nazywasz to alkoholem? – naśmiewał się Lucjan. – To woda!

Po trzecim kieliszku Kasia przestała się krzywić. Jej szare oczy nabrały blasku, zadarty nosek poczerwieniał. Zaczęła bąkać, że się upije i zapomni o wszystkich swoich troskach. Lucjan objął ją i pocałował prawieć dusery. Nie był pijany, choć tak wyglądał. Powrócił do

starej zabawy: nazywał siebie jej mężem, panem i władcą. Kasia musi robić to,, oo on każe, nawet skoczyć do Wisły. Naraz oświadczył:

- Ubierz się prędko. Chodź ze mną!
- Dokąd? Nie wolno mi opuścić mieszkania.
- Do diabła z mieszkaniem!
- Dokąd mnie zabierasz? Stary mnie zabije!
- Jeśli ten łotr cię dotknie, odrąbię mu rękę! Kasia bąkała coś niewyraźnie o obowiązku, złodziejach, stróżu, ale Lucjan ją zapewnił, że bierze na siebie całą odpowiedzialność.. Włożyła buciki zapinane na guziczki, odświętną sukienkę i zarzuciła szal na ramiona. Lucjan rzadko z nią wychodził. Przy tych nielicznych okazjach, gdy zabierał ją na spacer albo w odwiedzinach do dziecka, czekał na nią przy końcu ulicy Żelaznej. Tym razem nie starał się kryć. Wszyscy sąsiedzi z podwórza już sobie podpili. Dla Kasi fakt, że razem wyszli, był dowodem jego przywiązania. Już się jej nie wstydził. Mocowała się z kłódką, więc Lucjan pomógł założyć ją na drzwi i zamknąć. Klucz wsunął sobie do kieszeni. Ohcąc uśpić podejrzenia Kasi, zaczął opowiadać, że kupił Bolkowi dziecinny pałasz. Maszerowali trzymając się pod rękę jak dama z kawalerem. Lucjan skręcił w ulicę Żelazną. Dokąd mnie prowadzisz? – zapytała.
- Do baby-jagi. Wrzucę cię do kotła.
- Ach, bądź poważny!
- Prowadzę cię do burdelu i oddam alfonsowi. Kiedy zdała sobie sprawę, że ją prowadzi do Bobrowskiej, zaprotestowała gwałtownie. Chciała nawet uciec, ale Lucjan trzymał ją mocno.
- Nie bądź idiotką. To kobieta o dobrym sercu, jak matka. Jeśli nie będziesz zadowolona, każdej chwili możesz wyjść. Nie zje cię żywcem.

Przypomniał Kasi, że obiecała mu ślepe posłuszeństwo. Mruknął coś o Stachowej, jej świętej pamięci matce. Nawet lekko szturchnął ją w plecy na znak niezadowolenia i na dowód, że niebezpiecznie jest mu się sprzeciwiać. Zanim weszli do mieszkania Bobrowskiej, wyjął butelkę nalewki z kieszeni i podsunął Kasi. ;/– Dobrze pociągnij...

Podłoga pokoju Bobrowskiej posypana trocinami została do połowy zamieciona, kiedy Lucjan wprowadził do mieszkania Kasię. Na oknie stały trzy świece w różnych kolorach, na pamiątkę Trójcy Świętej. Na choince wisiały ozdoby i świecidełka. W mieszkaniu unosił się zapach kar-

pia, ciasta, jarzyn i imbiru. Bobrowska jeszcze się nie ubrała, miała na sobie tylko halkę. Robiła wszystko naraz: gotowała, piekła i obrębiała suknię. Na stole stało żelazko do prasowania pełne żarzących się węgli. W mieszkaniu było ciepło i parno. Papuga zaskrzeczała ludzkim głosem. Czerwona i spocona twarz Bobrowskiej rozjaśniła się w uśmiechu. Chociaż Lucjan przyrzekł, że przyprowadzi Kasię, Bobrowska przekonała się nieraz, że nie można polegać na jego słowie. Aż tu nagle zjawia się z dziewczyną. Bobrowska była już po paru kieliszkach wódki. Podbiegła do Kasi, uściskała ją, ucałowała w oba policzki i odezwała się śpiewnym głosem:

– Nic nie mów. Wszystko wiem, co trzeba. Zdejmuj szal.

Lucjan przez chwilę się zawahał, potem powiedział:

– Muszę jeszcze wyjść.

– Wyjść? Dokąd? – spytała podejrzliwie Bobrowska. – Wkrótce się ściemni.

– Przykro mi, spóźnię się nieco na wilię.

– Dokąd idziesz? Co ci jest? Zamierzałam zaprosić sąsiadkę, żeby nas było do pary.

– To zbyt cenne. Nie będę na kolacji.
Zielone oczy Bobrowskiej zabłyśły.

– Wystrychnąłeś mnie na dudka, no nie? Po co to wszystko naszykowałam? Po coś przyprowadził tutaj tę dziewczynę, jeśli sam uciekasz do żony?

– Elżbieto, przyjdę później. Nie mogę rozerwać się na kawałki. Tymczasem wy obie poznacie się bliżej.

Lucjan zagwizdał z ulgą i trzasnął drzwiami. Słyszały, jak zbiegł po schodach. Przez chwilę Bobrowska stała jak wryta. Potem wrzasnęła nieswoim głosem:

— Szaleniec! Wariat! Pasożyt! Pies! — Otworzyła drzwi, jakby chciała za nim wybiec, lecz zamiast tego zwróciła się do Kasi i rozkazała: — Zdejmuj szal. Zostaniesz tutaj...

■ Z ulicy Żelaznej Lucjan ruszył z powrotem Leszmem w kierunku placu Kercelego. Śnieg ustał, ale jakaś niewidzialna, kłująca substancja padała z nieba. O tej późnej godzinie jeszcze handlowano choinkami. Igły świerkowe pokrywały chodniki, powietrze było przesycone zapachem lasu. W sklepach sprzedawano lukrowane ciastka z krochmalu w kształcie gwiazd, krzyży, postaci świętych ze skrzydłami i aureolą nad głową. Na wystawach sklepowych widać było kolorowe świece, szklane bombki i świecidełka do przystrajania drzewka. Sprzedawano też siano pod obrus i wiązki pszenicy w kłosach, które stawiano w rogu pokoju. Pijani birbanci zataczali się na ulicy, wydzierając się ochryplymi głosami. Mijali go chłopcy służący do mszy ubrani w komeżki i pelerynki. Lucjan biegł dalej. W ciągu ostatnich kilku dni jadł mało, zrobił się Jekki, jakby wewnątrz pusty. Kładł się do łóżka rozdrażniony i budził w takim samym nastroju. Coś w nim ustawicznie drżało, jakby miał serce zawieszony na nitce. Ostrzygł się na święta. Bobrowska wywabiła mu plamy z garnituru, dała wieczorowe

kamasze do podzelowania. W meloniku włożonym z fantazją, nałożywszy świeży kołnierzyk, jedwabny szalik i wyczyszczone do połysku obuwie, wciąż jeszcze wyglądał na eleganta. Nie chciał przynieść wstydu Felicji swym zaniedbanym wyglądem. Kiedy wszedł na górę do facjatki Miriam-Liby i otworzył drzwi, zobaczył żonę zupełnie odmienioną. Uczesana i ubrana bardzo starannie, w spódnicy ociupinkę za krótkiej (Felicja była o jeden cal od niej niższa), Miriam-Liba stała w kapeluszu na głowie i futrzanej etoli na ramionach. Nałożyła kolczyki otrzymane w prezencie ślubnym od ciotki Lucjana (niech jej dusza odpoczywa w raju). Najwidoczniej upudrowała i uróżowała policzki, bo nie wyglądała tak mizernie jak zwykle. Lucjan wpatrywał się w nią zdumiony. Odkąd nastąpiły chłody, nigdy nie widział jej ubranej, zawsze miała na sobie nocną koszulę, szlafrok i opatulą się grubym szalem. Zachowała jeszcze urodę. Boże, co on zrobił z tą kobietą!

– Wyglądasz doprawdy cudownie!

– No dalej, naśmiewaj się ze mnie.

– Ależ nie, moja droga, to prawda.

– Jakże ten kaszel mnie dusi – odezwała się i zaczęła kaszleć przysłaniając usta chusteczką. Nałożyła znoszony, pluszowy żakiet. Na łóżku leżała stara mufka i liczne pudełeczka i torebki.

– Co w nich jest?

– Gwiazdka dla dzieci. Kupiłam coś i dla dorosłych.

Zapominasz, Lucjanie, że jesteś ojcem.

– Nie, nie zapominam. Chodźmy, robi się późno.

– Nie mogę iść pieszo w tych pantoflach. Będziemy musieli wziąć sanki.

– Masz jakieś pieniądze?

Zebrali razem drobne monety. Miriam-Liba zamknęła drzwi na kłódkę i zeszli po zabłoconych schodach. Od

strony wszystkich drzwi rozchodził się zapach smażonego karpia. Miriam-Libie przypomniały się nagle wieczory w święta Pesach w Jampolu. Jakie to wszystko było inne i jakżeż odległe!... Ktoś niosący na górę choinkę zatarasował przejście.

Musieli długo czekać na sanki. Miriam-Liba usiadła, a Lucjan odgrywając rolę galanta, okrył jej kolana baranim fartuchem. Sanki ślizgając się przechylały na boki, Miriam-Liba aż chwyciła Lucjana pod ramię, aby nie wypaść; Dawno już nie widziała dzieci! Od końca lata. Prawdę mówiąc, z nastaniem zimy nie wychodziła na dwór. Siedziała w domu. d marzła, podobnie jak polscy patrioci, którzy wciąż jeszcze usychają z tęsknoty i marzną gdzieś w tajgách Syberii. Gdyby nie opieka Azriela byłaby zupełnie odcięta od świata. Dusząc się od kaszlu, ssła twarde podłużny cukierek. Tak, Felicja postępowała jak prawdziwa chrześcijanka, ale niełatwo przychodziło Miriam-Libie odwiedzać swe dzieci, jakby była wyjętym spod prawa wyrzutkiem. Dorożkarz jechał ulicą Żelazną, kierując się na Kredytową. Przejechali obok bramy domu,

K – Dwór

385

w którym mieszkała Bobrowska, potem skręcili w Grzybowską i dalej w Królewską. Miriam-Liba z trudem mogła uwierzyć, że na świecie wciąż jest pełno ludzi dobrze ubranych, a nawet wystrojonych. Krótki odcinek Marszałkowskiej, przez który przejeżdżali, wypełniony był sankami i tłumem ożywionym przedświątecznym podnieceniem. Na wystawach sklepów nagromadzono luksusowe towary. W gazetach pisano o nędzy i głodzie. Mimo jednak całej biedy nie brakowało modnych strojów. Na ulicach widziało się panie ubrane w futra z lisów, w

sobole, we wspaniałe kapelusze i eleganckich panów prowadzących na smyczy rasowe psy.

Kiedy Lucjan i Miriam-Liba weszli do mieszkania Zawadzkich, wszystko już było przygotowane do uroczystości wigilijnej. W salonie piętrzyły się na stole upominki dla służby. Na czubie choinki, ubranej bombkami, dzwoneczkami, szyszkami i srebrnym szychem, umieszczono gwiazdę. Pod choinką stała maleńka szopka, którą Felicja odziedziczyła po rodzicach i dziadkach. W szopce ustawione były figurki owiec, bydła, pastuszków, aniołków, Dzieciątka Jezus w żłobku, Matki Boskiej, Trzech Mędrców ze Wschodu, wraz z niewolnikami, osłami i wielbłądami, wszystko pomalowane srebrnymi 4 złotymi farbami i przyprószone sztucznym śniegiem. Felicja uściskała Miriam-Libę i ucałowała w oba policzki. Pocałowała też Lucjana. Bona wprowadziła dzieci. Oczy Miriam-Liby napełniły się łzami, jak przez mgłę widziała Władzia i Marysię. Oboje podrośli przez tych parę miesięcy z dala od matki. Władzio miał na sobie aksamitne ubranko ze spodenkami do kolan, blond włosy uczesane z przedziałką pośrodku. Był to ten sam Władzio, ale jego buzia nosiła znamiona pańskość. Koronki zdobiły sukieneczkę Marysi, warkoczyki miała związane czerwonymi kokardami. Władzio poczerwieniał, ukłonił się, zawahał jedną chwilę i skoczył w objęcia, matki. Mała zaczęła się cofać, krzywiąc buzię do płaczu..*

Lucjan całował dzieci pełen urazy. "Zabiorę je stąd! Jeszcze żyję. Po dzisiejszym dniu wszystko się zmieni. Zapomną o tym okresie swego życia"... postanowił osiedlić się na Sycylii lub Korsyce i zabrać ze sobą Kasię i Bolka. Wszystko, czego mu potrzeba, to pieniądze na przejazd i odpowiednia sumka na kupno domu lub kawałka gruntu.

Rozpocznie życie od nowa łącząc słowiańską wytrzymałość ze sprzyjającym klimatem południa... Męty demokratyczne, które rewolucja francuska rozrzuciła po całej Europie, wcześniej czy później wymiecie inna ognista miotła...

Doktor Zawadzki cały wieczór spędził w swoim gabinecie czytając pisma medyczne. Nie znosił sentymentów, łez, rozmów zaprawionych wzruszeniami, czekał, aż rodzina – jak się wyraził – “nasyci się sobą”. Jaki sens, u diabła, mają te wszystkie święta? – zadawał sobie pytanie. Jak długo jeszcze ludzie będą czepiali się tych pustych mitów? Czy ludzkość pozostanie na zawsze w niewiedzy? Nazajutrz będzie musiał odwiedzić swego ojca, szewca mieszkającego na Starym Mieście, wysłuchiwać uroczystych komentarzy ojca i matki, jeść wszystkie te ciężkostrawne potrawy i ciasta. Co dobrego wynika z całego świętowania? Księża to darmozjady, obchodzą domy i kropiąc święconą wodą, ograbiają biedaków z ostatnich paru groszy. Motłoch się obżera, a następstwem tego są ataki wyrostka, zatrucia, niedomogi serca i apopleksje. Stolarze, którzy robią trumny, i zakłady pogrzebowe będą mieli dużo roboty.

Usłyszawszy kroki Felicji odłożył czasopismo. Przyszła, żeby zabrać go do gości. Chcąc zrobić jej przyjemność, zamierzał nawet iść na pasterkę. “No tak, a czym jest miłość? — pomyślał. — To jeszcze jedno irracjonalne uczucie”...

VI

Przed końcem wieczery Lucjan podniósł się od stołu i wyjaśnił, że musi wyjść. Przyrzekał jeszcze wrócić. Wprawdzie Miriam-Liba już się pogodziła z jego lekceważącym stosunkiem do jej osoby, nie wyobrażała sobie jednak, aby w wieczór wigilijny Lucjan mógł odejść,

zostawiając ją z dziećmi. Spoglądała na męża oszołomiona. Felicja prosiła brata, aby został i razem z rodziną wziął udział w pasterce.

– Trochę modlitwy ci nie zaszkodzi – nalegała.

Marian Zawadzki akurat dowodził, powołując się na •*.

historię, że Boże Narodzenie nie jest świętem chrześcijańskim i że nawet z punktu widzenia teologii nie ma podstaw twierdzenia, aby Jezus urodził się dwudziestego piątego grudnia. Zachowanie postu w przeddzień i świętowanie tego dnia stanowi spuściznę czasów pogańskich, gdy ludzie od-^ czuwali lęk przed zagniewanymi duchami w czasie prze-iii silenia dnia z nocą. Ocierając łzy Felicja prosiła męża^ii żeby poniechał bluźnierstw.

W trakcie całego tego zamętu Lucjan pożegnał się i zmie-fj rzał do wyjścia.

– Wracaj, szwagierku – zawołał Zawadzki. – Jest i dla ciebie prezent.

– Ipoobrze, dziękuję. Wrócę.

Lucjan wyszedł w pośpiechu. Zegarek wskazywał za 1j kwadrans dziewiątą. Tej nocy mróz się wzmógł, ziąb był -j przenikliwy. Lucjan szedł ulicą Marszałkowską, potem skręcił w Chmielną. Sanki przejeżdżały obok pobrzękując dzwoneczkami. Przez zamrażnięte do połowy szyby błyskały światła świeczek na choinkach. Pijacy zataczając się szli /": ulicami i chrypliwie śpiewali kolędy, gotowi całować mi-1| janych przechodniów. Na rogu Chmielnej krążyły jak zwykle ulicznice. Plan Lucjana był prosty. Wejdzie do mieszkania Chodzińskiego, znajdzie pieniądze, które ten kutwa gdzieś ukrył, wymknie się z domu jeszcze przed | zamknięciem bramy i pójdzie do Bobrowskiej. Kasia nie-raz mu mówiła, że jej chlebodawca trzyma pieniądze i w

domu. Chodziło tylko o to – gdzie. Stary głupiec miał wrócić nie wcześniej jak za dwa dni, a może nawet do- 1 piero po Nowym Roku. Będzie dość czasu na zatarcie śla- \$ dów. Sunąc po oblodzonych trotuarach i wypuszczając z nozdrzy kłęby marznącej pary, Lucjan rozważał sytuację^ Od dawna już miał nadzieję, że Chodziński wybierze się . , w podróż. Często namawiał Kasię do zawarcia bliższej znajomości z Bobrowską, która nawet obiecała, że nauczy.

ją szycia. Lecz Kasia uparcie nie chciała o tym słyszeć. Aż nagle spełniły się oba jego pragnienia. Możp wreszcie pokierować sprawami bez przeszkód. Czy nie jest to dobra wróżba, że nadchodzący rok okaże się dla niego szczęśliwy? Mimo zjedzonej przed chwilą obfitej kolacji czuł się lekko. Płomyki latarni gazowych rzucały drżące cienie na ulicę. Niebo było rozgwieżdżone. Lucjan raczej się ślizgał niż szedł. Wiatr dmący gdzieś od Morza Północnego gnał go do przodu. "Ach, co za przyjemny mróz. Jak dobrze jest żyć – entuzjasmował się. – Grzech? Pieniądze tego starego i tak albo ktoś roztrwoni, albo on sam zapisze na kościół." Lucjan marzył o Korsyce, gdzie prawie nie ma zimy. Spaceruje się wśród palm rosnących nad brzegami Morza Śródziemnego. Na Korsyce nikt nie przestrzega zbyttnio prawa. Jak za czasów Napoleona tak i obecnie nie brakuje tam bandytów.

Ulicznica podeszła do Lucjana.

– Nie teraz, milutka. Może jak będę wracał...

Wszystko zdawało się układać pomyślnie. Nikogo nie spotkał przechodząc przez bramę. Wszedł po schodach nie zauważony. Kłódka wisiała na drzwiach, ale Lucjan miał w kieszeni oba klucze, od kłódki i od zamka. Chociaż schody były nie "oświetlone, szybko trafił do dziurek. Zdjąwszy kłódkę założył ją z powrotem tak, że wyglądała

jak zamknięta. Jeśli dozorca zechce sprawdzać drzwi, nie zauważy «nic podejrzanego. Lucjan wszedł do mieszkania i zamknął drzwi od wewnątrz na zasuwę. W bocznej kieszeni palta miał naładowany rewolwer, lecz sądził, że nie znajdzie konieczność użycia broni. Dozorca miał już więcej alkoholu w czubie niż w butelce. Jednego należało się wystrzegać – zapalenia świecy. Lucjan postanowił działać po ciemku. Na progu pokoju zatrzymał się, żeby oczy przywykły do północy. Śnieg na dachu po przeciwnej stronie ulicy rzucał poświatę. Dochodziło kwadrans po dziewiątej. Do zamknięcia bramy miał jeszcze dobre półtorej godziny.. Postanowił rozpocząć poszukiwania od pokoju sypialnego. Kutwy przeważnie ukrywają pieniądze w materacach. Ściągnął pościel, przeszukał pod poduszką, pomacał materac. Czy powinien go rozpruć nożem? Materac był stary, to, czym był kiedyś wypchany, starło się na paprochy.. Nic w nim nie było do znalezienia. Na lewo od łóżka stała komoda. Lucjan próbował ją otworzyć, wszystkie jednak szuflady były zamknięte na klucz. Czy ma je wyłamać, ale jak? Potrzebne są narzędzia, pilnik albo łom. Jak mógł o nich zapomnieć? Wszedł do kuchni. Ciemność jakby malała z minuty na minutę. Widział wszystko jak w dzień: spizarkę, garnki na płycie kuchennej. Na ścianie wisiał tasak. Zdjął go i sprawdził w ręku ciężar. Nie było to najlepsze narzędzie, ale jeśli zacznie zwlekać aż do zamknięcia bramy, wpadnie w pułapkę.

Wrócił do sypialni z tasakiem w ręce. Mimo że był spokojny, zrobiło mu się gorąco. Chciał zdjąć palto, w końcu jednak zdecydował tego nie robić. W takiej sytuacji łatwo coś zapomnieć. W palcie miał listy i dokumenty. Podobnie jak pewien był, że wejdzie bez trudu do mieszkania, tak teraz czuł, że w komodzie nie ma

pieniędzy. Wyłamię szuflady i straci czas na próżno. Mimo to otworzył na siłę szufladę i zaczął macać wewnątrz. Leżały w niej kołnierzyki, mankiety, pisma i różnego rodzaju drobiazgi. Wyrwał drugą szufladę, która zatrzeszczała i zaskrzypiała. Kruche stare drzewo pachniało krochmaloną bielizną. Wyrzucił stos koszul, chusteczek, krawatów, szalików i skarpetek, aby szybciej zająć się trzecią, dolną szufladą. Nie musiał jej wyłamywać, tylko stuknął pięścią od wewnątrz i zamek od razu odskoczył. I tu znalazł wszelkiego rodzaju fatałaszków.

– Jak on sobie dogadza, ten czort! – warknął Lucjan. Gniew go ogarnął, spocił się pod pachami. „W gardle mu zaschło, musiał odkaszlnąć — dwa głębokie kaszlnięcia i trzecie lekkie, z którym odeszła flegma. Otarł usta chusteczką.

“Czy coś pominąłem?” – zadał sobie pytanie, robiąc chwilę wytchnienia. Widocznie odzwyczaił się od wysiłku fizycznego. Ramiona go bolały, serce łomotało. Nie był zdenerwowany, tylko napięty. Niedawno jadł, ale w żołądku zaczęło go coś ssać. Może stary sknera ma jakąś wódkę czy likier w mieszkaniu? Kiedy tak stał, iskierki poczęły migotać mu przed oczami. Tworzył się z nich fantastyczny wzór jak we śnie – ruchome plamki, kreski, kwiatki – zielone, niebieskie, fioletowe. Zmieniały kształt, przybierając różnego rodzaju formy geometryczne, realne, a zarazem eteryczne. Co to jest? Jako małe dziecko, kiedy go już niańka opatuliła w łóżeczku, miewał podobne zwidy. Co dziwniejszó, przypominał sobie nawet kolory, ich kombinacje i cały wzór tamtych na poły sennych widziadeł.

Lucjan zadrżał. Nie było czasu na puszczanie wodzy fantazji. „Musiał wszystko przeszukać i wyjść przed

zamknięciem bramy. Każda sekunda była droga
Wszystko zawisło na szali między życiem a śmiercią...

Wszedł do saloniku i zbliżywszy się do okna podniósł zasłonę, aby spojrzeć na zegarek. Było później, niż sądził. Mała wskazówka stała na dziesiątce, a duża na piątce. Pozostało mu już tylko pół godziny.

VII

Rozdzwoniły się kościelne dzwony. Wszędzie ze wszystkich ulic, wszystkich domów, z pałaców i suteryn, z luksusowych apartamentów i poddaszy ludzie podążali na pasterkę. Kościoły szybko się napełniały tłumem wiernych. W każdym stała szopka ze żłobkiem przedstawiająca narodziny Jezusa w Betlejem.

Rosyjski Nowy Rok przypadał trzynaście dni później, lecz Polska zawsze była i pozostała krajem katolickim. Nawet car nie mógł wykorzenić w ludziach wiary. Rosjanie w dalszym ciągu budowali nowe cerkwie. Zbudowali sobór na Pradze, na którym błyszczał wysoko szczyt krzyża prawosławnego z ukośną poprzeczką. Mówiono, że podobne sobory mają powstać w Warszawie lewobrzeżnej i innych dużych miastach Polski. Jaki jednak był pożytek z przestronnych budowli o miedzianych kopułach i bogatych ozdobach, jeśli wnętrza cerkwi świeciły pustką, a popi przemawiali do pustych murów!

Bobrowska spożywała wieczerę wigilijną z Kasią. Przy blasku świec, przy pachnącej igliwem choince prowadziła z dziewczyną szczerą rozmowę.

– Co za dziki człowiek z tego Lucjana! Jaki to oszust, głupiec, raptus! Wcale nie można na nim polegać! Ma talent do ściągania biedy na siebie i na każdego, kto ma z nim do czynienia! – Popijając i rozmawiając, Bobrowska coraz to napełniała kieliszek Kasi. Za każdym łykiem

dziewczyna się krzywiła, ale Bobrowska nalegała: – Pij, kochasiu, utop swoje smutki! Życie byłoby nie do zniesienia bez wódeczki.

Bobrowska nafaszerowała Kasię tyłoma łakociami, że aż ją rozboleł brzuch. Kasia piła. Wreszcie oczy jej zrobiły się szkliste, zaczęła bełkotać jakieś słowa w chłopskiej gwarze, którą przejęła od rodziców we wczesnym dzieciństwie. Używała tak uciesznych wyrazów, że Bobrowska nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Hej, mała, chłopka z ciebie, to i dobrze! Wyssałaś tę chłopskość z mlekiem matki. – Bobrowska wypytywała, jak często Lucjan u niej bywa, gdzie z nią sypia, kiedy, jak, ale Kasia uśmiechnęła się tylko po pijanemu, ukazując szeroko rozstawione zęby. Nagle głowa jej opadła na stół jak odcięta. Bobrowska roześmiała się:

–Upiłaś się, moja mała, zupełnie się zalałaś... –Kolana Bobrowskiej też drżały, ale udało jej się wstać i zaprowadzić, a właściwie nieomal zanieść dziewczynę do ciemnej alkowy, gdzie stało zapasowe łóżko, na którym zwykle sypiał Lucjan. Położyła Kasię na łóżku.

Dziewczyna ciężko westchnęła i leżała nieruchomo jak w omdleniu. Bobrowska potrząsnęła głową. Co za łotr. Jaki to kretyń, świnia, łobuz! Zostawił dwie kochanki i poszedł do własnej żony, tej żydowskiej suki. Kto wie? Może i nie do żony. Musiał sobie znaleźć inną zdzirę. Czy to ma jakieś znaczenie dla takiego hulaki i raj fura? Albo on się troszczy o cokolwiek? Żarł w jej domu, chrapał w jej łóżku i wałęsał się całymi dniami w jadłodajni wśród pomyleńców. Nawet te parę rubli, jakie dostawał w teatrze, zarabiał dzięki temu, że ona, Bobrowska, go zarekomendowała.

A jak się jej odpłacił? Kiedy jak kiedy, ale w takie święto daje drapak i wystawia ją na durnia!

Bobrowska była rozgniewana, a zarazem ogarniał ją wewnętrzny śmiech. Niech no tylko on tu przyjdzie! Nie ma obawy, na pewno przyjdzie.

Przywita go miotłą i wygrzmoci po gębie. Oberwie w szczękę i kijem po żebrach. Niech tylko przestąpi próg. Bobrowska podeszła chwiejnym krokiem z powrotem do stołu. Nie mogło już być mowy o pójściu do kościoła. Czowała się zbyt zmęczona i zbyt pijana. Kiedy zaczęły bić dzwony, zadumała się. Każde uderzenie głęboko ją wzruszało. Była kiedyś młoda, piękna, miała pragnienia i marzenia. Przypomniła sobie ojca i matkę, braci i siostry. Gdzie się oni wszyscy podzieli? Obrócili się w proch i pył... Kochała Bobrowskiego, a potem Cybulskiego, który został ważnym dyrektorem teatru i sukinsyn nie miał teraz dla niej czasu. Taki niby okropnie zajęty, ale dla ulicznic znajdował czas. "No dobrze, niech robią, co chcą. Sama zarobię na chleb! A tego, co przeżyłam, i sam diabeł mi nie odbierze". Próbowwała nalać sobie wódki, lecz w butelce została już tylko jedna kropla. Przytknęła kieliszek do nosa i wdychała zapach. Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Lucjan. Bobrowska roześmiała się wesoło. Chciała odezwać się ostro, lecz nie mogła wydobyć słów. Lucjan był blady, włosy miał w nieładzie.

– Oto nadchodzi jaśnie pan! – zanuciła i wskazała nań palcem.

Lucjan najeżył się.

- Gdzie jest Kasia?
- Zjadłam ją. Cha, cha...
- Gdzie ona jest?
- W alkowie. W sztok zalana.

Lucjan chwilę odczekał, po czym zbliżył się do niej o krok.

- Elżbieto, zabiłem człowieka!

Uśmiech zastygł jej na twarzy.

– Zabiłeś?

– Tak, zabiłem.

– A mogę wiedzieć kogo?

– Stróża domu, gdzie mieszka Chodziński. Nie chciał otworzyć mi bramy, więc strzeliłem mu w brzuch.

– Stróża? Coś ty robił na podwórzu u Chodzińskiego, skoro ona jest tutaj?

– Ja...

– A więc jesteś także mordercą.

Bobrowska na wpół wytrzeźwiała, czuła natomiast wielką ociężałość i nie mogła ruszyć się z miejsca. Nogi miała jak sparaliżowane. Odbijało jej się i dostała czkawki.

– Czy ty żartujesz? – spytała.

– Nie, to prawda.

– No, to ślicznie..Ślicznie i wspaniale!

Bobrowska, wciąż uśmiechnięta, wpatrywała się w niego zdumiona nie tyle jego czynem, ile własnym brakiem reakcji i niemrawością. Obezwładniło ją zmęczenie. Wydawało się, że przyrosła do ławki. Język jej skołowaciał, wiedziała, że cokolwiek powie, zabrzmii głupio.

– No tak, a czy to się przynajmniej opłacało? – spytała.

Lucjan spojrział na nią oszołomiony, jak ktoś niezupełnie rozumiejący, co się do niego mówi.

– Nic nie znalazłem. Miał tam jakieś papiery wartościowe, ale dla mnie to śmiecie.

- – No tak, rozumiem.

– Pewnie wszystko zabrał ze sobą.

– Aha.

– Muszę natychmiast uciekać. Każdej chwili może tu przyjść po mnie policja.

Lucjan stał pochylony, blady, w rozpiętym palcie, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy, z rękami w kieszeniach. Wyjął papierosa, wsadził z powrotem w usta i wypluł.

Bobrowska siedziała nadal nieporuszona. Brzuch miała wzdęty jak bęben, ale już zupełnie wytrzeźwiała.

– Po co to zrobiłeś? Moglibyśmy mieć takie wesołe święta.

jp No cóż, zrobiłem. Potrzebowałem pieniędzy.

– Co teraz będzie?

– Nie wiem, nie wiem.

– Skąd mogą się dowiedzieć, że to ty zrobiłeś? – zapytała po chwili.

Lucjan milczał, pogrążony w myślach. Potem się odezwał*

– Kasia pójdzie jutro do domu i wszystkiego się od niej dowiedzą. To taka głupia chłopka.

– Dopiero teraz się o tym przekonałeś? Nie puścimy jej do domu.

– Co masz na myśli?

Bobrowska nie odpowiedziała. Lucjan zdjął palto i położył je na pokrywie "maszyny do szycia. Zgiął się wpół, jakby miał kurcze.

– Głodny jesteś? – spytała. – Zostawiłam wszystko dla ciebie.

Lucjan podniósł pytająco brwi, jakby nie rozumiał, co ona mówi.

– Głodny? Nie. Ale masz może coś do wypicia?

– Nie. ,

– Wszystko wyżłopałaś, co? Jestem śmiertelnie zmęczony.

Spostrzegłszy krzesło na środku pokoju, Lucjan usiadł.

Nie zdjął kapelusza. Przez chwilę miał oczy zamknięte, jakby się zdrzemnął. Potem znów je otworzył. W wyrazie tych oczu nie było ani żalu, ani strachu, tylko zmęczenie i zdumienie osoby zbudzonej z głębokiego snu.

Bobrowska obróciła się powoli na krześle twarzą do niego.

- Położyłam ją na twoim łóżku.
- No tak, niech śpi.
- Nie powinienesz być tego zrobić, Lucjanie. Gdybyś przynajmniej zabił tego starucha. Ale w czym zawinił ci stróż?
- Gbur. Chciałem wyjść, a on mnie nie puszczał. Za-> machnął się na mnie kluczem.
- Czy poznał ciebie?
- Wątpię.
- Ale to grzech, grzech. Na pewno ma dzieci. I to w taką świętą noc.

SU

- Stul pysk!
- Nie powinienesz być tego zrobić, mój drogi, nie powinienesz! Co teraz z tobą będzie? Chyba się rzucisz do Wisły. |
- Cała Wisła zamarzła.
- Co zrobisz?
- Ucieknę, i to wszystko.
- Dokąd uciekniesz? A co się ze mną stanie? Nie mów- | więc już o twoich dzieciach...
- Stanie się to, co się ma stać.
- Teraz rozumiem, dlaczego przyprowadziłeś tutaj tę dziewczynę.
- Nic nie rozumiesz. To był zbieg okoliczności. Stało się tak, bo szewc nie chciał mieć nieparzystej liczby osób przy i wili.
- Jaki szewc? O czym ty mówisz?
- Wiem, co mówię. Zatrzymaj ją tu jutro jak najdłu- . żej. Wyjdę z domu pierwszy. Teraz jestem za bardzo zmę- | czony. A może powinienem ją zabić, żeby nie poszła do . domu?

Bobrowska zadrżała. *

- Co też ty mówisz? Nie u mnie. I tak będą mnie wy- i pytywać.
- Nikt ciebie nie będzie wypytywał.
- Na pewno będą. Zapytają dziewczynę, gdzie spędziła noc, a ona skieruje ich do mnie. Ty drapniesz, a oni mnie -oj wezmą do cyrkułu.
- Co więc chcesz, abym zrobił? Oddał się w ich ręce? ■
- Nie powinieneś być tego zrobić, Lucjanie. Co ci z tego przyszło? I tak nic nie zyskałeś.
- Ukrył swój skarb, ten drański pies. Pod podłogą albo gdzie indziej. Powinienem być pozostać tam -do rana. Po prostu nie miałem dość czasu na przeszukanie.
- Oczywiście. Powinieneś być zostać do świtu. Mogłeś wyjść rano, nikt by o niczym nie wiedział. Obyłoby się bez grzechu.
- Chciałem przyjść do ciebie. Wiedziałem, że czekasz.
- Poczekałabym trochę dłużej.
- A wszystko to przez twoje kłótnie. No cóż, teraz już za późno. Przez was wszystko to się stało. Gryzłyście mnie jak robactwo. A ta żydowska suka Miriam-Liba wciąż mi wymyślała. Chciałem jeszcze raz przeszukać za dnia, ale Kasia podniosłaby rwetes. Wszyscy mi przeszkadzali, ot co.
- Ja ci nie przeszkadzałam. Przygotowałam kolację dla ciebie i twojej ukochanej. Odszedłeś i zostawiłeś nas obie jak głupie.
- Odszedłem, bo moja siostra, ta wariatka, chciała spełnić miłosierny uczynek. Zgraja bab wlaźła mi na plecy i każda ciągnęła do siebie.,. No, jestem zmęczony.
- Zaraz ci pościelę.

Bobrowska chciała się podnieść, lecz nie mogła. Lucjan wstał z krzesła i ruszył do alkowy. Kasia chrapała. Ciemno tam było, gorąco i duszno, pachniało jedzeniem. Lucjan stał przez chwilę nad łóżkiem Kasi i słuchał,

jak"oddycha. Może. powinien ją udusić? Nie żywił dp niej wrogich uczuć, ale życie ludzkie przestało mieć dla niego jakąkolwiek wartość. Wiedział, że na podwórzu są doły na składowanie wapna. Mógł ją tam zanieść, wrzucić do jednego z nich i minęłyby tygodnie, zanim by ją znaleziono. Do tej pory on już dawno zbiegnie do Ameryki albo do Afryki. .Wszyscy są teraz w kościele. Nie byłoby świadka... Lucjan zaczął już sięgać rękami do gardła Kasi, lecz nagle się rozmyślił. Nie, nie teraz... Lepiej o świecie... Niech Elżbieta wpierw zaśnie...

Wyciągnął się na szerokim łóżku w pokoju, umieściwszy kapelusz na podłodze pod łóżkiem. Leżał nieruchomo, nic nie czuł poza pustką. "Nie mam nawet wyrzutów sumienia", pomyślał. Trochę niepokoiło go to, że pogniecie garnitur, ale nie miał siły się rozebrać. Owego wieczoru przed laty, kiedy policja przeszukiwała hotel przy ulicy Mylnej, omal nie umarł ze strachu. Teraz cały strach go opuścił. Zagrzebał nawet rewolwer w kupie śniegu i został bez broni. Zamknął oczy. Nie zapadł w sen ani nie miał pełnej świadomości. Ogarnęła go ciemność i cisza. Doznawał dziwnego uczucia, jakby dopiero po raz pierwszy w życiu naprawdę odpoczywał. Tak musi wyglądać śmierć. Po chwili zaczął śnić. Karły zwijały wełnę w olbrzymią kulę.

"Komu potrzeba tyle przędzy? – zastanawiał się. – Czy aż tyle wełny może pochodzić z jednego przędzenia? Nie, to sen"... Usłyszał kroki. Weszła Elżbieta. Była boso i w szlafroku. Pochyliła się nad niei i pocałowała w czoło.

- No, nie bądź taki zgnębiony.
- Nie jestem zgnębiony.
- Módl się, biedaku, módl się!
- Nie będę się modlił.
- Poczekaj, rozbiorę ciebie.

Elżbieta uklękała, rozpięła mu trzewiki, ściągnęła skarpetki. Potem zaczęła ściągać spodnie, marynarkę, koszulę. Zajmowała się nim jak chorym. Opornie szło zdjęcie kołnierzyka, więc pomógł jej odpiąć spinkę. Wreszcie położyła się obok niego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

I

Wypadki rozwijały się w szybkim tempie. Jedna za drugą wydarzały się katastrofy, co przypominało ustęp z Księgi Hioba o posłańcach ze złymi wieściami. Zaczęło się od bomby rzuconej na Aleksandra II, po czym nastąpił pogrom Żydów w Warszawie. Trzy dni trwało bicie, grabienie, wybijanie szyb, łamanie mebli, niszczenie pościeli. Dwudziestu dwóch pobitych Żydów leżało w szpitalu. Rzecz dziwna, ale wielu Żydów oddawało ciosy – dwudziestu czterech Polaków zostało ranionych. Gmina żydowska protestowała. Prasa polska, potępiając zajścia, ogłosiła, że agenci Ignatiewa ponieśli porażkę. Naród polski nie da się podburzyć carskim najeźdźcom przeciw Żydom. Warszawa (to nie Jelizawietgród ani Kijów czy Odessa, gdzie masy chłopskie wzięły udział w pogromach. Wstyd, rozczarowanie i otrzeźwienie, jakie masakry w Rosji wywarły na postępowych Żydach rosyjskich, równie silnie odczuli oświeceni Żydzi w Polsce. Ukraiński Komitet Wykonawczy wydał odezwę do chłopów ukraińskich, przedrukowaną w szóstym numerze tajnego pisma Narodnej Woli przemycanego do Polski. Odezwa nawoływała do dalszych pogromów. Organizacja Czornyj Pieriediel również zachęcała swych zwolenników do pogromów. Wiedziano, że jednym z autorów tej odezwy jest rewolucjonista żydowski. Jochanan, rabi Marszynowa, nie zdziwił się wcale. Dlaczego szerzyciele zła nie mieliby robić pogromów? A

jaka jest różnica między złoczyńcami chrześcijańskimi a żydowskimi? Dopóki Żydzi utrzymują kontakty z grzesznikami, - czy mogą się wznieść ponad nich? Jochanan miał przeczucie, że nadszedł czas ciężkiej próby poprzedzającej nadejście Mesjasza. Znalazł w księdze Zohar aluzję do wojny między Gogiem i Magogiem i do daty Ostatnich Dni, która wskazywała, że one już nadchodzą. Jakiś bandzior napadł na reb Menachema-Mendla, rabina z ulicy Krochmalnej, ojca Azriela. Kiedy mu żona, Tirza-Perł, przykładała zimne kompresy na rękę, on zagłębiał się w Talmudzie. Czy bicie to rzecz nowa dla Żydów?

Głośny protest podnieśli ci, którzy już się pozbyli pejsów i brody i naśladowali chrześcijan, posługując się ich językiem. W Kijowie, podczas gdy Żydzi opłakiwali w synagogach, godząc ofiary pogromu, weszła do niej grupa żydowskich - studentów. Jeden z nich, Olesnikow, podbiegł do pulpitu i zawołał:

– Jesteśmy waszymi braćmi! Tak jak wy jesteśmy Żydami/ Żałujemy, że próbowaliśmy się stać Rosjanami. Wypadki ostatnich tygodni – pogromy w Jelizawietgradzie, Bałcie i tutaj w Kijowie – otworzyły nam oczy. Popełniliśmy tragiczny błąd. Nadal jesteśmy Żydami!

Gazety żydowsko-rosyjskie, jak "Ruskij Jewriej", "Ras-sviet" i "Woschod", opublikowały szereg artykułów omawiających wypadki. Było oczywiste, że wielu Żydów musi opuścić Rosję. Ale dokąd się udadzą? Utworzyły się frakcje, jedna za emigracją do Ameryki, druga – do Palestyny. Obie zamierzały założyć kolonie socjalistyczne. Obie głosiły, że Żyd musi poniechać interesów handlowych, " musi osiąść na roli i stać się

wytwórcą. Aron Lipman i Mirele poróżnili się o to. Aron opowiedział się za frakcją palestyńską.

– Co może być bardziej szalonego – argumentował – niż się poświęcać dla muzyków, którzy zabijają Żydów? Jak Żydzi mogą się wiązać z organizacją, która wzniesła & pogromy w imię sprawiedliwości społecznej?

Aron miał w swoim pokoju tajną biblioteczkę, kilkadziesiąt tomów broszur i oprawne tomy konspiracyjnych gazet. Podarł to wszystko i wrzucił do pieca, splunawszy w ogień. Tupiąc nogami wołał:

– Niech szczzną ich imiona! Będziesz całkowicie tym gardził i będziesz całkowicie się tym brzydził jako rzeczą wstrętną.

Kiedy przyszedł do Mirele i wyznał jej, co zrobił, odparła:

– Ty sam nie jesteś lepszy od tych, co wzniesają rozruchy! – I wskazała mu drzwi.

Aron postawił oczy w słupek.

– Co byś chciała robić? Smarować maszynę rewolucyjną żydowską krwią?

Wyszedł, a Mirele zatrzasnęła za nim drzwi i zamknęła je na zasuwę i łańcuch, jakby w obawie, że Aron może zmienić zamiar i wrócić. Zresztą to wszystko nie było dla niej niespodzianką. Już od tygodni kłócili się na ten temat. Wielu młodych Żydów w Rosji postąpiło podobnie jak Aron, przelękło się rzeczywistości, zaraziło łatwo udzielającym się nacjonalizmem. Czy myślą, że można robić rewolucję w jedwabnych rękawiczkach? Czy wyobrażają sobie, że w walce z wyzyskiem oszczędzi się żydowskich kupców? Czy nie rozumieją ci tchórze, że pogromy żydowskie to wstęp do ogólnego buntu obejmującego chłopów i klasę robotniczą? Czy sądzą, że uda się złamać absolutyzm ładnie brzmiącymi frazesami? Jakże to dziwne, przecież Aron sam nauczył

ją rozumieć to wszystko. Przynosił jej książki, broszury, czytał Istotą konstytucji Lasalle'a, objaśniał broszurę Jana Młota, Z czego żyjemy, i ułatwił zrozumienie prac Bielińskiego, Pisariewa, Hercena, Ławro- wa. Aron kierował nią jak dzieckiem. A teraz, gdy dojrzała duchowo i mogła stanąć o własnych siłach, on został renegatem. Jedyny ratunek dla świata widział w Palestynie. Odludny kraj, w którym jakiś baron-wyzysldwacz próbuje zakładać kolonie dla garstki pomyłonych studentów. Co za szaleństwo!

– Żydzi! Żydzi! Żydzi! Wszystko mierzą żydowską miarą! A czy szowiniści polscy, rosyjscy i niemieccy nie robią tego samego? Czy te wszystkie nieszczęścia nie zo-

26 – Dwór

401

stały spowodowane działaniem grup etnicznych ciągnących wszystko tylko do siebie, gotowych poświęcić ludzkość dla swych małych egoistycznych interesów?

Aziel opowiedział Mirele, że pobito ich ojca. Bardzo się tym przejęła. Ale na podstawie takich incydentów nie można urabiać światopoglądu. A kim jest ten jej ojciec? Fanatykiem, pasożytem, który nic nie produkuje, je chleb, owoc wysiłku chłopca, żyje z pracy robotnika, sam natomiast szerzy fałszywe idee i przesady. To na pewno nie jest jego wina. Tak go wychowano. Jak długo jednak ludzie będą trwali w letargu?

Niełatwo przyszło Mirele zerwać z Aronem. Od dawna zaplanowali wspólne życie. Teraz wszystko się skończyło.. Mirele zaczęła krążyć nerwowo po pokoju. Spojrzała przez okna na więzienie przy ulicy Pawiej, którego okna były nie tylko zakratowane, ale i osłonięte drucianymi siatkami zmniejszającymi dopływ powietrza i światła. Więźniom stłoczonym wewnątrz przeznaczone

było ginąć z głodu w wilgoci i ciemnościach. Mirele jeszcze faktycznie nic nie działała dla odkupienia ludzkości. Aron powstrzymywał ją do tej pory od czynnego zaangażowania się. Odsuwał ostateczny krok szermując wywodami, teoriami i filozofowaniem, godnymi wychowanka szkoły talmudycznej. Teraz, gdy odszedł, ona zacznie działać.

II

Awanturnicy wybili wszystkie szyby w willi Wallenbergów. Nie zamieszczono o tym żadnej wzmianki w gazetach, cenzor tego dopilnował. Długo trzymano zamknięte okiennice, bo w mieście brakowało szkła. Stanowiło to niewątpliwie ujmę dla honoru tak znakomitej rodziny (skoligowanej przez małżeństwa z najlepszymi rodami w Polsce), którą spotkała taka sama zniewaga jak biedotę żydowską. Wallenberg nie bardzo się tym przejął. Odwrotnie, ta demonstracja awanturników przeciwko niemu ostatecznie go przekonała, że trzeba się zająć realizacją od dawna B
wziętego zamiaru. Marzył przez całe lata, aby dać Polsce rzeczywiście liberalną gazetę. Zamierzał też powołać do życia wydawnictwo i pismo popularnonaukowe. Obawiał się, że pozytywizm przestaje pociągać Polaków. Zamiast niego, wielu intelektualistów-radykałów zaczęło wyznawać rosyjską teorię rewolucji społecznej. Natomiast polscy nacjonalści wciąż żyli nadzieją nowego powstania przeciw caratowi. Tego rodzaju postawy mogły wywoływać jedynie dalsze niepokoje i represje. Prasa polska, demonstracyjnie lojalistyczna wobec Rosji, marnie Tedagowana, publikowała doktrynerskie artykuły całkowicie niezrozumiałe dla przeciętnego czytelnika. Teraz, po pogromie w samej

Warszawie, Wallenberg czuł, że już najwyższa pora na oświecenie mas. Kupił "Czas", gazetę, która akurat zbankrutowała. 1

Postanowił nazwać siwą gazetę "Kurierem". W miastach polskich nie brakowało świątłych ludzi, aby zapewnić czytelników gazetce, której posłannictwem stanie się zwalczanie nowej plagi zwanej antysemityzmem. Polacy o konserwatywnych zapatrywaniach może z czasem również przyłączą się do grona czytelników "Kuriera" i pojmą, jakim niebezpieczeństwem grozi fanatyzm religijny i izolacja. Gazeta spróbuje też przeciwdziałać rosnącemu zainteresowaniu intelektualistów żydowskich anarchią i nihilizmem. Tego typu gazeta musi mieć w swym redakcyjnym zespole ludzi będących nie tylko wytrawnymi dziennikarzami i pisarzami, lecz nadto gruntownie znających życie codzienne Żydów. Nagle Wallenberg pomyślał o doktorze Azrielu Ba- badzie, zięciu Kaima na Jakóbiego. Dopomógł mu ongiś wyzwolić się z wpływów szkoły talmudycznej.' Na jego oczach przebył on drogę rozwoju od młodzieńca snującego mrzonki do pozycji praktykującego lekarza, specjalisty chorób nerwowych i schorzeń umysłowych. Wallenberg wiedział, że Azriel ma gabinet na Nowolipiu i że pracuje w szpitalu bonifratrów dla chorych umysłowo. Azriel opublikował już kilka artykułów traktujących o medycynie w polsko-żydowskim piśmie "Jutrzenka". Wallenberg należał do ludzi, którzy wszystko czytają, nawet artykuły

viT '

w pismach medycznych. Azriel Bafoad pisał stylem przejrzystym, a jego artykuły świadczyły o umiarkowanym sceptycyzmie autora, tak rzadkim u

Żydów. Wallenberg | mniemał, że pisarz żydowski w Polsce jest bądź zagorzałym ateistą, bądź fanatykiem religijnym. Żaden z tych dwóch rodzajów publicystów nie nadawał się dla "Kuriera". ,

Wallenberg miał obchodzić w maju sześćdziesiąte urodziny i z tej okazji wysłał doktorowi Azrielowi Babadowi zaproszenie na przyjęcie. Towarzystwo Dobroczyńności, 1 Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych i cały szereg sierocińców i domów starców zgłosiło łącznie propozycję wy- j dania okolicznościowego obiadu w celu uczczenia tych uro- - dzin. W czasopismach polskich ukazała się jego fotografia, a z Petersburga przysłano order. Generał-gubemator i komendant policji złożyli listownie życzenia. Jednak Wallenberg przyjmował tylko te zaszczyty, których przyjęcia nie śmiał odmówić. Ci ludzie chwalili go w oczy, a spiskowali poza jego plecami. Do Ministerium Spraw Wewnętrznych często przychodziły na niego anonimowe donosy. Te same gazety, które go dziś tak wychwalają, dawniej publikowały artykuły wyzywające go od Szajloków i krwiopijców. Całe jego życie składa się z kolejnych kryzysów, a sprawcami ich wszystkich są zawistni mu ludzie. Czasami uważał siebie za cyrkowca, zmuszonego wciąż balansować na linie zawieszanej nad kłębowiskiem syczących żmij. Aż tu naraz obiad na jego cześć! Z jakiej racji? Nie, nie chciał powinszowań od wrogów i rywali. Jego przyjęcie urodzinowe ograniczy się do rodziny i bliskich przyjaciół.

Wallenberg zaprosił również Szajndł, co wywołało prawdziwe poruszenie u niej w domu. Szajndł oznajmiła, że nie zamierza iść do przechrzty. Już od wielu lat Azriel prosił ją, aby ze względu na niego nauczyła się mówić poprawnie po polsku. Żonie lekarza nie wypada mówić po żydowsku lub gwara chłopską. Sam zaczął dawać jej

lekcje, ale nic jakoś nie wychodziło z tej nauki. Uświadomił sobie, że to nie brak zdolności, lecz wewnętrzny opór czyni z niej taką kiepską uczennicę. Inne kobiety uczyły się mówić poprawnie od swoich dzieci, Szajndl wciąż rozmawiała ze swymi po żydowsku. Mało tego, przestała dbać o swój wygląd, jedynie dom utrzymywała w czystości, chociaż może nie zawsze panował w nim porządek. Doszło do tego, że Azriel widząc tak zaniedbaną żonę, przestał chodzić z nią razem na wizyty. Najpierw sama nie chciała mu towarzyszyć, teraz zarzucała Azrielowi, że jej się wstydzi. Była to prawda. Żony innych lekarzy miały ukończone gimnazjum, Szajndl, znalazłszy się w towarzystwie takich kobiet, bała się otworzyć usta. Nie mogło więc być mowy o zabraniu jej do Wallenbergów. Zresztą Azriel obawiał się nawet o siebie. Nie nauczył się tańczyć, a chociaż został lekarzem, wielki świat był mu równie nie znany jak uczniom szkół talmudycznych. Ilekroć znalazł się na jakimś przyjęciu, zazdrościł tym młodym ludziom, którzy od dzieciństwa mówili językiem chrześcijan, nosili modne ubrania i czuli się swobodnie w towarzystwie kobiet. Z jaką pewnością siebie paradowali w sztywnych gorsach i frakach! Z jakim wdziękiem całowali panie w rękę! Azriel nie mógł się przyzwyczaić do takiego sposobu bycia. Cheder i Talmud odsunęły go od eleganckiego świata.

Bez względu jednak na to, czy chciał czy nie, czuł, że musi się pokazać na przyjęciu u Wallenberga. Ubrany w lekarski fartuch krążył po swym gabinecie. Już nie dziwiło go to, co opowiadali mu pacjenci, zarówno kobiety, jak mężczyźni cierpiący na choroby nerwowe. Odczuwał nawet pewne duchowe pokrewieństwo z pacjentami szpitala, w którym pracował. I w jego mózgu kryła się możliwość niepoczytalności. Tego ranka niewiele było

chorych. Jego pacjenci przychodzili zwykle po południu. Przemierzał krokami świeżo wywoskowaną podłogę, nie mając chwilowo nic do roboty. Nie chciał zostać "specjalistą od lewatyw", przeciwnie, wybrał dział medycyny dotychczas prawie całkowicie nie znany. Jaki proces zachodzi w tych ośrodkach szarej materii, której części określano jako mózg, mózdzek i rdzeń przedłużony? Czy wolna wola stanowi również jeden z jej składników? Jeśli zaś nie, to jak można mówić o odpowiedzialności i obowiązku* Kiedy wstąpił w glos swej własnej świadomości, miał wrażenie, że słyszy wołanie wszystkich pokoleń. Rozpoznawał w nim głosy swych rodziców i dziadków. Czasami zdawało mu się, że słyszy nawet głosy sprzed tysięcy lat – bałwo% chwalcze, pochodzące od pogańskich przodków. Istnienie zawsze na przestrzeni wieków oznaczało ten sam chaos. Ludzkie "ja" zawsze pragnęło wszystkiego dla siebie: pie-] niędzy, sławy, seksu, wiedzy, władzy, nieśmiertelności. Ale to nieokielzane "ja" ustawicznie napotykało opór świkta z jego ograniczeniami i zakazami. Cóż w tym dziwnego,, że, ludzie wariowali? Ile napięcia może znieść układ mózgowy? Azriel usłyszał dzwonek i zapiął fartuch.

Pacjent, którego wpuściła pokojówka, był młodym czło-i- wiekiem, żonatym od trzech miesięcy. Kiedy mówił, łzy zasnuły mgłą jego okulary. Powiedział Azrielowi, że żon£, chce od niego odejść. Sąsiedzi o wszystkim wiedzą. TeŚ^I ciowa i teść zamęczają go bezustannie. Co ma robić? Pragi nie stosunku z kobietą, ale jak tylko się do jakiejś zbliżył staje się impotentem. Azriel doradził mu wodolecznictwo! Dziwne, lecz słowa młodego człowieka wywołały w nimf niepokój. Wiedział, że słowa mają osobliwą siłę magnej tycznej. Kiedyś pewna pacjentka powiedziała mu, że jakg tylko siada do

jedzenia, jej talerz napełnia się wszami. Niedługo potem on sam siedział przy obiedzie i miał złudzenie, że dzieje się z nim to samo. Nic więc dziwnego, że: psychiatrzy częściej mają skłonność do niepoczytalności niż inni lekarze. To fakt, że w każdym człowieku tkwi zalążek szaleństwa.

Młody człowiek zapłacił należne czterdzieści kopiejek i wyszedł. Po zakończeniu godzin przyjęć Azriel poszedł poszukać Szajndl i znalazł ją w kuchni; prasowała dla niego koszulę na przyjęcie. Znowu była w ciąży, w piątym miesiącu. Kiedy napomknął o poronieniu, doprowadził ją do wybuchu wściekłości. Widząc, że mąż wchodzi do kuchni, zostawiła prasowanie służącej. Uważała, że lekarzowi nie wypada przebywać w kuchni. Przeszli do saloniku.

- Co dolega temu młodemu człowiekowi?
- Ta sama stara historia. Nerwy.
 - I mnie zabijają nerwy. Chce mi się wciąż płakać.
 - Utrzymuję nadal, że powinnaś pójść ze mną do Wallenbergów.
 - Nie mówmy już o tym więcej. Nie mam zamiaru jeść wieprzowiny w domu jakiegoś przechrzty.
- U Wallenbergów nie podaje się wieprzowiny.
 - Nie poszłabym tam nawet, gdyby moje życie od tego zależało.

Przez chwilę mąż i żona milczeli. W jej oczach czaił się smutek, którego nigdy przedtem nie dostrzegali. Zdawała się czegoś ogromnie obawiać, a jednocześnie wstydzić tej obawy i starać się ją ukryć. Azriel potrząsnął głową.

- Czy pamiętasz to święto Symchat Tora, kiedy z melonem na głowie udawałaś królową Jampola?
Oczy Szajndl napełniły się łzami.

– Trudno uwierzyć, że coś takiego mogło się kiedykolwiek zdarzyć. Jakby to było przed stu laty.

III

Wallenberg napisał, że wydaje przyjęcie dla zażyłej grupki przyjaciół, lecz tego wieczoru, gdy dorożka Azriela stanęła przed rezydencją na Nowym Świecie w pobliżu ulicy Hożej, wzdłuż wjazdu ustawił się już- długi sznur pojazdów. Należały one do wybitnych osób. Wielu panów miało na sobie mundury. Konie, z szyjami wyciągniętymi yr górę, z trudem dały się utrzymać. Lokaje w liberjach pomagali gościom wysiadać z pojazdów. Wszystkich oświetlał purpurowy blask tarczy słonecznej przesuwającej się ponad sadami, ogrodami i ulicami ciągnącymi się aż ku Woli. Przez chwilę Azriel miał uczucie, że już to wszystko kiedyś widział i przeżył. Zdawało mu się, że rozpoznaje blady błękit nieba, układ chmur, zapach końskiego nawozu. Nawet te obce twarze miały w sobie coś mgliście znajomego. Nie wiedział, dlaczego przyszedł mu na myśl Turbin i'dziadek w przeddzień święta. W specjalnie uszytym fraku, cylindrze i białych rękawiczkach poczuł się te-

raz onieśmielony tak, jak w latach dziecińczych, kiedy w pierwszy wieczór Pesach szedł do synagogi w nowych bucikach, nowym aksamitnym kapeluszu i nowym chała* cie, z garścią orzechów w kieszeni. Czy się zbyt nie wystroił? Czy muszka się nie przekrzywiła? Czy jego strój nie wygląda zbyt sztywno? Wszyscy rozmawiali po francusku. Chociaż uczył się francuskiego, nie władał tym językiem. Jest taki hymn, zwykle śpiewany na Szewiuót, którego słowa głoszą, że nawet gdyby wszyscy ludzie byli pisarzami, całe niebo pergaminem, a z drzew wszystkich lasów zrobiono pióra, to i tak nie dałoby się wypisać wszy-j stkich tajemnic zawartych w Torze. W pewnym sensie można by to. powiedzieć i o życiu światowym. Azriel był pelvien, że popełnia jakieś gafy,

choć starał się najusilniej dostosować do wszystkich przepisów etykiety zebranych[^] w świeckim Szulchan Aruch, których nigdy nie opanuje ktoś, kto nie jest z nimi obeznany od najmłodszych lat. |

W westybulu oddał cylinder i laskę szwajcarowi, a po-; waga, z jaką ten je przyjął, upewniła Azriela, że nie wy-; głąda gorzej od innych gości. Przynajmniej na razie. Skie-¹ rował się do salonu ze skromnością człowieka, który zrobił wszystko, co w jego mocy, i wobec tego powinien się czuć; pewny siebie... Gospodarz domu z żoną stali u wejścia.; Wallenberg spojrzał- na niego pytająco, tak jakby go nie poznał od razu, potem wyciągnął rękę i oznajmił, że projektował spotkanie garstki osób, a to się przerodziło w bal. • Azriel nie widział go od lat. Utył, a bokobrody zupełnie mu zbieleły. Pani Wallenberg wyglądała jak staruszka. Jej siwiutka koafiura trzęsła się, gdy współczująco wyrażała żal, że Szajndl nie mogła przyjść. Po chwili podeszła pani Malewska. Ona również zaokrągliła się i przybrała na wadze.

Wszystko przebiegało za szybko i za gładko, jakby w sta- j nie lekkiego odurzenia alkoholem. Przedstawiano Azriela panom z orderami i mocno wydekoltowanym paniom. Słyszał, jak anonsowano utytułowane osoby i znakomite na- | zwiska, podczas gdy on sam rozmawiał o pogodzie z zu- [^] pełnie nie znanymi mu osobami. W olbrzymiej sali jadalnej nakryto do stołów na blisko sto pięćdziesiąt osób. Połyskiwało srebro, porcelana, kryształ, kwiaty i świece. Azriel nie wiedział, na co wprawdzie patrzeć: na zdumiewająco piękne panie uśmiechające się z portretów w złotych ramach, czy na żywe kobiety rojące się wokół, nieco mniej urodziwe niż ich odpowiedniczki na płótnie, ale wszystkie z wysoko

upiętymi koafiurami, w klejnotach i ze specjalnym wyrazem twarzy. To nie wyglądało na przyjęcie domowe, lecz na premierę w opeTze lub wystawę w Zachęcie. Tutaj, w rezydencji Żyda-przechrzyty, zgromadziła się elita warszawskiego towarzystwa. Nagła influenza złożyła generał-gubernatora, lecz obecny był gubernialny komendant policji, jeden z dziekanów Uniwersytetu Warszawskiego i liczni dygnitarze, każdy w epoletach, lampasach i przy orderach. Słyszeć było język rosyjski, polski, francuski, a nawet angielski, który ostatnio stawał się modny. Lokaje przemykali bezszelestnie, wskazując gościom miejsca. Azriel usiadł w końcu długiego stołu, gdzie widocznie sadowiono młodszych wiekiem gości. Przyłączył się do niego młodzieniec o chłopięcym wyglądzie, z wąsikami w szpic, robiącymi wrażenie przyklejonych, i dwie panny podobne do siebie jak bliźniaczki. Podeszła do nich pani Malewska i przedstawiła Azriela sąsiadom, podając nazwiska, które natychmiast zapomniał. Uświadomił sobie, że jest jedynym Żydem przy stole. Młoda dama o spiczastym nosie odezwała się do niego:

- Czyż to nie cudowna sala jadalna?
- Tak, wspaniała.
- Wszystko zostało przebudowane, powiększone. Czy zauważył pan nowy obraz Matejki?
- Matejki? Gdzie?
- Tam.

I wskazała palcem w drugi koniec pokoju.

- Wolę Brandta od Matejki – odezwał się młodzieniec.
- Obu oddałbym za Żmurkę.

Rozpoczęła się dysputa o malarstwie. Przez chwilę Azriel sądził, że będzie tak siedział wyłączony z rozmowy. Z doświadczenia, wprawdzie niewielkiego, wiedział, jakie to jest

przykre i jak długo ciągnie się wtedy taki posiłek. Zaczął; ; szukać tematu, który – przynajmniej chwilowo – mógłby go zbliżyć do tych ludzi. Czy powinien zadać jakieś pytanie młodzianowi? A może spróbować dyskusji o sztuce? Czy też raczej poczekać, aż ktoś się do niego odezwie? Przyszedł w dość pewnym siebie nastroju, teraz jednak był o krok od rozpacz. Pozostałe osoby widocznie wyczuły, co przeżywa, i unikały jego wzroku. Powstało coś w rodzaju spisku między tymi, którzy już prowadzą rozmowę, przeciwko komuś, kto się nie włączył od samego początku, "No cóż, lepiej zachowam milczenie. Nie będę się nikomu narzucać", zdecydował Azriel. Dziwnym sposobem odgadli ten nastrój pozostali goście i naraz dwie osoby zwróciły się do Azriela. Jedna z bliźniaczek poprosiła o podanie solniczki, jednocześnie młody człowiek rzucił od niechcienia:

– Przedstawiono nas sobie, ale nie zapamiętałem pań-skiego nazwiska. Jestem Gawalewicz, Julian Gawalewicz.

– Czuję się zaszczycony, nazywam się Babad. | ¿M Azriel szybko zdał sobie sprawę, że nie jest przyjęte podawanie samego nazwiska, jednak nie mógł w tym towa* rzystwie wymówić imienia o tak żydowskim brzmieniu jak Azriel. Niejednokrotnie zapowiadał pół żartem, że nada swemu imieniu bardziej polskie brzmienie, ale "Azriel" nie dawało się spolszczyć. Było to imię uparte, broniące się przed zasymilowaniem. Młodzieniec zapytał, czy Azriel jest przyjezdny.

Azriel uznał, że nie może ukrywać prawdy.

– Urodziłem się w Turbinie, w guberni lubelskiej. Mój ojciec był tam rabinem. Jestem lekarzem praktykującym w Warszawie, mam gabinet na Nowolipiu.

Przez chwilę panowała cisza. Szczere słowa Azriela położyły kres napięciu. Jego miejsce zajęło odprężenie i

pew* nego rodzaju zbliżenie, które tylko szczerść może stwo rzyć.

– Gdzie jes\ Turbin? W pobliżu jakiego miasta? Zaczęto rozmawiać o lubelszczyźnie, jej szlachcie, chIBfi stwu, Żydach. Okazało się, że ciotka bliźniaczek miesił koło Tomaszowa, a młodzieniec z wąsikiem również ma tam krewnych. Siedzący w pobliżu ziemianin, który im się przysłuchiwał, włączył się do rozmowy. Zdradzał pewną znajomość żydowskich spraw i zapytał Azriela, czy uczył się w Jesziewie.

– Wprawdzie nie w Jesziewie, ale studiowałem Talmud.

–.Talmud?

Wszyscy byli zaciekawieni. W jakim języku jest napisany Talmud? hebrajskim? Chaldejskim? Jaki to jest język chaldejski? Czy ktoś nim mówi? Czy się w nim pisze od prawej strony do lewej? I co zawiera Talmud? Azriel każdemu odpowiadał. Tak się zatopił w rozmowie, że nie był pewien, czy skończył jedzenie. Zaczęły się toasty. Prałaci, generałowie, wydawcy, komendant policji, prezes towarzystwa naukowego – wszyscy przyłączyli się do toastu sławiącego wielką inteligencję i dobroczynność gospodarza. Zgromadzeni wznosili okrzyki: "Hurra", "Wiwat" i pili jego zdrowie. Tu i ówdzie padła przy stole sarkastyczna uwaga. Jasne było dla każdego, że u źródła wszystkich pochwał i względów okazywanych temu przechrzczonemu Żydowi są jego pieniądze.

TV

Kiedy w salonie rozpoczęto tańce, Azriel znowu poczuł się onieśmielony. Ale obfita uczta, wino i ciekawe rozmowy przy stole wprawiły go w dobry humor i wynagrodziły w pewnej mierze to, że nie tańczy. Nie on jeden zresztą. Inni goście też stali pod ścianami salonu i

przyglądali się tańczącym parom. Część towarzystwa przeszła do sąsiednich pokojów. Mężczyźni rozprawiali paląc cygara. W jednym rogu pokoju jakaś starsza pani poprawiała na młodziutkiej panie suknię, ściągając ją w talii. Robiła to starannie, lecz powoli, panienska wystukiwała takt czubkiem pantofelka, jej policzki okryły mocny rumieniec. Azriel rozumiał powód tego zniecierpliwienia. Omijał ją taniec, na który się cieszyła.

Podobnie jak on, wszyscy zebrani zdawali się traktować całe to przyjęcie znacznie bardziej na serio, niż nakazywać rozsądek. Mimo muzyki i hałasu, mimo polek d mazurków™ modnych strojów, kosztownych klejnotów wdzierła się tu nuda, zawsze obecna, kiedy się zbiorą obcy sobie ludzie nie mający wspólnych zainteresowań, a każdy z nich przy-j chodzi ze swą dumą, swymi ambicjami lub tylko uniżo-J nością. Doprawdy, nie było nikogo, kto by docenił te wszystkie kunsztowne fryzury, cały trud, jaki włożył&j w swoje kreacje krawcy, fryzjerzy i gorseciarki. Przed-3 stawiano swoich znajomych, panowie bez przerwy doty-i" kali kobiecych dłoni brodami i wąsami. Azriel zatrzymał! się chwilę przed obrazem. Myśliwi, pointery, pola pokryte- śniegiem, las w oddali. Zastrzelony jeleń i sącząca się krew, która zboczyła śnieg. Wszystko było namalowane z wielką znajomością tematu; obraz jednak nie przyciągnął! na dłużej uwagi Azriela.

“Dlaczego jestem tak niecierpliwy? – zastanawiał się.– Kiedyś godzinami wpatrywałem się w niezdarne ilustracje zawarte w Hagadzie mojej matki.” Nagle ktoś go szturch-^L nął w bok tak poufale, że go to zaskoczyło. Obejrzał się i zobaczył Wallenberga z panią lat około trzydziestu, brunetką, z włosami upiętymi w węzeł. Ubrana była znacznie skromniej niż wszystkie inne panie. Suknia, prawie bez przybrania, robiła wrażenie

uszytej przez podrzędną szwaczkę. Uśmiechnęła się, jak to robi Żydówka, kiedy spotyka współwyznawcę wśród chrześcijan. Miała mocno zaryso-, wane brwi i czarne oczy, ponętny puszek – często spoty- . kany u kobiet o ciemnej cerze – okalał górną wargę.

Wallenber[^] odezwał się:

– Myślałem, że pan tańczy, a tymczasem zajął się pan podziwianiem moich obrazów. Proszę pani, oto ten młody człowiek, o którym mówiłem, doktor Babad, neurolog. Pani Bielikowa pochodzi z pańskiego rodzinnego miasta. Pan jest z Wilna, nieprawdaż?

– Z Wilna? Broń Boże! Pochodzę z guberni lubelskiej.

– Oczywiście, co też ja mówię! Pan jest przecież zięciem Kalmana Jakobiego. Pani Bielikowa pochodzi g twy. Jej mąż był moim sąsiadem. To znaczy sąsiadowaliśmy przez pewien czas w Druskiennikach nad Niemnem. Miałem tam willę. Ach! jakżeż ten czas leci! Chcę z panem o czymś pomówić, lecz wciąż nie wiem kiedy. Może wstąpiłby pan do mego biura? Co pan porabia w soboty?

– To samo co i w inne dni tygodnia.

– I jest pan synem rabina! Więc może w tę sobotę 0 drugiej?

– Doskonale.

– No dobrze, ustalone. Będę czekał w sobotę. Teraz muszę już iść. Porozmawiajcie sobie. Pani Bielikowa rozumie po żydowsku.

Po odejściu Wallenberga stali przez chwilę nie bardzo wiedząc, o czym mówić. Wreszcie odezwał się Azriel:

– Włosy mu zupełnie zbielały.

– Tak, lat przybywa, nie ubywa – powiedziała pani Bielikowa po polsku, ale z rosyjskim akcentem. – Kiedy mieszkaliśmy w Druskiennikach, miał jeszcze czarne włosy. Czy pan ma gabinet w Warszawie?

- Tak.
- Mój mąż był lekarzem wojskowym – powiedziała i umilkła.
- Nigdy bym nie pragnął tego rodzaju kariery – odezwał się Azriel po dość długiej przerwie.
- Dlaczego nie?
- Nie lubię koszar.
- Ach, mój mąż nie miał nic wspólnego z koszarami. Pracował w szpitalu wojskowym. To czasami wygodniejsze niż prywatna praktyka.
- Pani mieszka w Warszawie?
- Tak, na Zielnej, niedaleko Próżnej.
- Czy to blisko Kredytowej?
- Kredytowa jest po drugiej stronie Marszałkowskiej.
- Oczywiście. Znam niejakiego doktora Zawadzkiego, który tam mieszka.
- I ja znam doktora Zawadzkiego.
- Pochodzę z miejscowości Jampol. Doktor Zawadzki poślubił córkę tamtejszego właściciela dóbr.
- Tak, wiem. Pani Malewska opowiedziała mi o pań i o hrabinie Jampolskiej. Przez kogo jest ona z panem spowinowacana; czy to kuzynka?
- To moja szwagierka. Ona i pani Zawadzka też są szwagierkami.
- Pani Malewska opowiadała mi o Wszystkim. Teraz rozumiem. Więc to pan! Pani Malewska to moja przyjaciółka. Dawniej spotykałyśmy się częściej. Ostatnio ona była zajęta, a ja zaabsorbowana dziećmi. Mój mąż nie żyje.
- Ach tak.
- ~ – No cóż, Warszawa jest mała. Co się stało z pana szwagierką?
- v. – Jest chora i nieszczęśliwa.

- Niestety, zdarzają się takie historie. Ludzie robią fałszywy krik a kończą marnie.
 - Jest gdzieś w Otwocku. Przez pewien czas była w sanatorium. Teraz znalazła sobie mieszkanie.
 - Choruje na suchoty?
- Tak.
- A jej mąż jyy jak się on nazywa? Czy wciąż siedzi w więzieniu?
 - Lucjan? Tak, ale niedługo wyjdzie.
 - Słyszałam o nim. historie nie do wiary, to zakrawa na zupełne szaleństwo. Podobno Wallenbergowie zrobili dla niego wszystko, co było można.
 - Na pewno.
 - Są ludzie, którzy muszą samych siebie krzywdzić. Trudno zrozumieć, dlaczego to robią. Czy nie wolałby pan spocząć na kanapie? .

V

Usiedli na kanapce i rozmawiali. Jej rodzice byli Żydami. Ojciec uczył w szkole, a prócz tego pisał ludziom podania do władz rosyjskich. Ona, Leja, albo Olga, wcześniej została sierotą i bogata ciotka zabrała ją do siebie do Wilna. Tam spotkała swego zmarłego męża Andrieja, który studiował w Petersburgu. Ojciec jego, damski krawiec, był pobożnym Żydem, lecz Andriej przeszedł na prawosławie. Wychodząc za niego za mąż, Olga również "trochę sięjrze- chrzcila". Pani BielikoWa rozmawiała po polsku, ale te ostatnie słowa powiedziała po żydowsku. Uśmiechnęła się przy tym ze smutkiem. Jaka to różnica? I tak Boga nie ma. Gdyby istniał Bóg, nie mogłoby się przydarzać tyle tragedii. Byli ze sobą szczęśliwi, ona i Andriej. Pewnego dnia poszedł sde kapać w malutkim strumyku, w którym z trudem dało się zamoczyć kolana. Znalezione go martwego, utonął. Jak to się stało? Może

uległ atakowi serca? Nigdy nie skarżył się na serce. Samobójstwo? Dlaczego miałby popełnić samobójstwo? Życie płynęło im szczęśliwie. Tylko jedna rzecz była dziwna. W przeddzień wypadku mówił o śmierci. Co takiego powiedział? Że gdyby umarł, nie należy go oplakiwać, bo człowieka zmarłego traktuje się tak, jakby się nigdy nie narodził. Powiedział to na wpół żartem.

Kiedy się to stało? Minęły już prawie dwa lata. Jak sobie radzi? Zaoszczędzili trochę pieniędzy, dostaje poza tym małą rentę państwową. Jeśli ma być szczerą, trochę jej ciężko. Wallenberg zaofiarował pomoc, lecz odmówił. Andriej nie aprobowałby tego. Był dumny. Uniwersytet Petersburski publikował jego rozprawy. Pozostawił bogaty księgozbiór w czterech językach. Interesował się nie tylko medycyną. Był z amatorstwa astrbnomem. W domu jeszcze leży jego mały teleskop. W Druskiennikach całymi nocami obserwował gwiazdy.

Najpierw Azriel zadawał pytania. Potem przyszła kolej na nią. Nie mogła się dokładnie zorientować w jego powiązaniach rodzinnych z doktorem Zawadzkiem. Jego szwa- gierka jest też szwagierką Felicji. Lucjan jest jego szwagrem.

– Jak, na Boga, człowiek może się tak uwikłać? – zapytała pani Bielikowa.

– Mózg ludzki jest największą zagadką wszechświata...

Spojrzała na niego zdumiona.

HM

– Dziwne, dokładnie te same słowa wypowiedział Andriej.

Podnieśli się z kanapki i przeszli do salonu. £

– Oczywiście nie umie pan tańczyć?

– Nie.

– Nic dziwnego, skoro jest pan wychowankiem jesziwy.

– A pani tańczy?

– Już nie.

Musiała wyjść wcześniej. Zatrudniała służącą, była to jednak dziewczyna niedoświadczona, świeżo przybyła ze wsi. Synek pani Bielikowej, Kola, miał dopiero cztery lata. Budził się w nocy i płakał. Tylko ona mogła go uspokoić. Azriel zaofiarował się ją odprowadzić.

– Nie musi pan psuć sobie wieczoru ze względu na mnie.

– Nie mam powodu dłużej tu pozostawać.

Wyszli "po angielsku", nie żegnając się z nikim. Trudno było znaleźć w tej okolicy dorożkę. Poszli spacerem ulicami biegnącymi ukośnie od Nowego Świata. Noc była ciepła, nieco wilgotna i przepiękna zapachem wiosny. W pobliżu ciągnęły się ogrody i sady. Świerszcze ćwierkały jak na wsi. Jakiś zbudzony ptaszek zaczął świergotać. Drżące światła latarni gazowych sprawiały, że ciemność wydawała się jeszcze czarniejsza. Od czasu do czasu mijała ich kareta lub furgon. Wyładowania elektryczne na horyzoncie zapowiadały upalną pogodę. Między drzewami i krzakami można było dojrzeć wille oraz pańskie rezydencje, ozdobione kolumnami, wieżyczkami, rzeźbami i fontannami. Za kotarami przesuwaly się cienie. Czasami zaszczekał pies. Chodnik był nierówny i pani Bielikowa omal nie upadła. Azriel ujął ją pod ramię.

– Dziwna noc – odezwała się.

– Wszystkie noce są dziwne.

– Tak, ma pan rację. Całe życie jest niezrozumiałe.

Wkrótce potem spotkali dorożkę. Dochodziła dopiero północ, a Warszawa już spała. Ulice były puste, minęli tylko paru spóźnionych przechodniów i kilka prostytutek. Dorożka skręciła w ulicę Berga i minęła Kredytową. Po prze-

jechaniu skrzyżowania Marszałkowskiej z Próżną, dorożkarz skręcił w ulicę Zielną. Pani Bielikowa wskazała dwupiętrowy dom z balkonami i sięgnęła do woreczka.

– Ależ nie, proszę pani. Niech Bóg broni.

– Dlaczego ma pan płacić za mnie?

– No bo tak.

– Jak mam panu dziękować? Naprawdę było bardzo przyjemnie. W mojej sytuacji pójście na bal jest uciążliwe. Jak to dobrze, żeśmy się spotkali!

– Ja też nie wiedziałbym, co ze sobą począć.

– Ktoś by się nad panem zlitował.

Azriel pomógł pani Bielikowej wysiąść z dorożki. Czekał z nią przed domem, zanim stróż otworzy bramę.

Uśmiechała się pytająco, jakby chciała powiedzieć:¹ «“Czy to już wszystko?” Promieniowała od niej osobliwa bezpośredniość. Dał się słyszeć odgłos kroków stróża.

Pani Bielikowa podała rękę Azrielowi. Rękawiczka opinająca dłoń była ciepła. Ucisnęła mu z lekka dłoń.

– Dobranoc. Jeszcze raz dzięki.

– Dobranoc.

Brama się zamknęła. Nie od razu usłyszał jej kroki, jakby i ona zwlekała z odejściem. Dopiero wtedy przyszło mu na myśl, że mógł przecież poprosić o pokazanie księgozbioru medycznego jej męża...

VI

Lekarze pracujący w bezpłatnym szpitalu dla ubogich zwykle wpadali do pokoju lekarskiego przed pójściem do domu. Większość młodych była zaangażowana w pracy społecznej. Założyli własne stowarzyszenie o nazwie “Zdrowie”, które wydawało broszury w języku polskim i żydowskim. Tematem stale poruszonym był brud, w jakim muszą żyć ubodzy polscy Żydzi. Lekarz, należący do personelu Szpitala Żydowskiego przy ulicy Pokornej,

opisał okropne warunki, jakie w nim panują. Myszy biegają po korytarzach, chorzy nie mają odpowiednich urządzeń sani-

17 – Dwór

tarnych. Żydowskie Towarzystwo Opieki dostarcza pożywnie przeciwwskazane dla obłożnie chorych niestrawne szabasowe zapiekanki lub cebulę smażoną w kurzym tłuszczu. Inny lekarz pisał o nowym żydowskim szpitalu, który zamierzano budować, i o wielkim zapotrzebowaniu na żydowskie pielęgniarki.

Azriel przypomniał sobie kobiety, które przynosiły do jego ojca zawszoną bieliznę; w przypadkach nieregularnej menstruacji radziły się rabina, chcąc uniknąć grzechu spółkowania w okresie nieczystości Starszy wiekiem lekarz, specjalista chorób płucnych, stwierdził:

– Grzęźniemy po kolana w azjatyckim brudzie.

– Proszę jednak zauważyć, jakiego postępu dokonali zachodnioeuropejscy Żydzi.

– Nie muszą walczyć z chasydarni.

Azriel zbierał się do wyjścia. Naraz woźny, który tam sprzątał i podawał herbatę, doręczył mu list w niebieskiej kopercie. Serce zabiło mu żywiej. List był od pani Bieli-,; kowej.

Wielce Szanowny Panie Doktorze!

Czy Pan mnie pamięta? Spotkaliśmy się na balu u pana Wallenberga. Mówiłam wtedy, że mój synek Kola budzi się w nocy i płacze wylękniony. Powiedziano mi, że cierpi na pavor nocturnas. Ponieważ Pana specjalnością jest neurologia, czułabym się zaszczycona, gdyby zgodził się Pan go zbadać. Kola i ja jesteśmy niemal' zawsze w domu i będziemy szczęśliwi mogąc zobaczyć Pana w terminie dla .Niego dogodnym.

Proszę nie robić sobie żadnego specjalnego kłopotu. Chociaż spotkanie nasze było tak krótkie, mam wrażenia, jakbym znała Pana od długiego czasu. Żywię nadzieję, że nie zapomniał Pan mnie całkowicie. Proszę się nie gniewać za śmiałość. Z wyrazami szacunku i najlepszymi życzeniami
Olga Bielikowa

Przeczytał list wielokrotnie. Promieniowało z niego ciepło i szacunek, adres na kopercie: J. W. Pan – Jaśnie Wielmożny Pan – był jak najbardziej formalny, ale charakter pisma, nierówne marginesy, nawet kleks na papierze wnosili uczucie ciepła. Azriel miał wrażenie, że odgaduje między wierszami wahanie dumnej kobiety przed wysłaniem tego listu. Nie dalej jak wczoraj czytał o telepatii. Czy ten list nie stanowił dowodu jej działania? Myślał o Oldze i jego myśli zmusiły ją do napisania. Nie był wszak jedynym neurologiem w Warszawie. Miał jeszcze nieco czasu i postanowił przeczytać w encyklopedii medycznej coś na temat pavor nocturnus. "Czy powinienem zanieść kwiaty?" – zadał sobie pytanie. Czytał nie zdając sobie sprawy, co właściwie czyta. "Czy to możliwe, że się zakochałem w tej kobiecie? Wpędziłbym tym Szajndł do grobu." Serce mu biło mocno, a litery skakały przed oczami. "Pójść tam dzisiaj? Czy też poczekać? Jaki włożyć garnitur?" Nagle całe znużenie się ulotniło, jego miejsce zajęło pełne niecierpliwości oczekiwanie. Wszystko się zmieniło – biurko, półka z książkami, podwórze, konfiguracja chmur. Jak wielorakie mogą być układy pary i światła! Jak niewystarczające są opisy słowne! Co na przykład dzieje się teraz, w jego mózgu? Gdyby tylko dało się zobaczyć zachodzące w nim zmiany chemiczne i fizyczne! Nerwy

wibrują, komórki się poruszają, substancje łączą. Kilka słów napisanych przez panią Bielikową spowodowało zamęt w jego szpiku kostnym, Krwi, w organach trawiennych i płciowych. Nie tylko mózg, lecz każda cząstka ludzkiego ciała reaguje na pewne podniety.

Ruszył jv kierunku domu. Był bez obiadu, a po południu miał znowu pacjentów. Często zazdrościł lekarrom o bardziej konkretnych specjalnościach niż jego – internistom, dermatologom, ginekologom i lekarzom chorób wenerycznych. Ci mniej więcej wiedzieli, o co chodzi. On zajął się dziedziną, w której prawie nic nie jest wiadome.

Azriel przyniósł kwiaty jmatce i pudełko czekoladek dzieciom. Starsza dziewczynka, Natasza, dygnęła z wdzięj kiem. Kola po dziecinnemu ją naśladował. Jadziia, służąca! pośpieszyła włożyć kwiaty do wazonu. Wiejska dziewczyn na o lnianych włosach i puciołowatych policzkach rozjaśniła twarz uśmiechem na widok gościa rodzaju męskiej go. Na dworze był ciepły wieczór, lecz w mieszkaniu panował wiosenny chłód. Łagodny powiew wpadał przez okna, za którymi rosły drzewa o gęstym listowiu. Azriel] porównywał to mieszkanie ze swoim. Tutaj parkiet lśnił, j Wszystko znajdowało się na właściwym miejscu. Każdy przedmiot był odkurzony i wyczyszczony do połysku. Niej udało mu się wymóc na Szajndł, aby utrzymywała po-, koje w porządku, zawsze panował w nich jakiś nieładJ Azriel zbadał Kolę. Posadził go na ławce, stukną^ w nogę pod kolanem, zajrzał do oczu, wysłuchał sercei i płuca. Chłopiec miał zdrowy organizm. Ośmioletnia Natasza uczyła się już grać na pianinie i na ^prośbę matki j zagrała dla pana doktora. Potem Jadzia zabrała dzieci^ żeby je położyć spać. Chłopczyk i dziewczynka ukłoniły się, powiedzieli dobranoc i podziękowali za czekoladki. ! Azriel usiadł na

krześle, pani Bielikowa na kanapie/: Lampa z zielonym kloszem rzuciła rozproszone światło. Jak ona się prosto trzyma! Jak mądrze i taktownie roz-1 mawia! Jak dyskretny ma uśmiech! W tym pokoju kultu- g ra europejska nie jest frazesem, ale rzeczywistością. Wy- i jaśnił pani Bielikowej, że pavor nocturnus to rodzaj cho- j robliwego stanu nerwowego, jedno z tych zakłóceń funk- cjonalnych, którego przyczyny nie znamy. Zapytał jednak, czy nie było w rodzinie choroby umysłowej, epilepsji lub iknych nerwowych przypadłości.

–r Andriej był nerwowy – powiedziała pani Bielikowa ś w zadumie.

– Ach tak.

– Ja też miewam nastroje.

– Kto ich nie ma?

– Są ludzie, którym się wszystko układa gładko, za- równo sprawy duchowe, jak i materialne.

Służąca wniosła herbatę, ciasteczka, owoce. Potem poprosiła o pozwolenie wyjścia na spacer.

– Idź, na jak długo chcesz – odrzekła pani Bielikowa.

– Dobranoc panu doktorowi.

Pili herbatę i rozmawiali ze swobodą starych znajo- mych. Pytała o jego praktykę. Opowiedział jej o umysłowo chorych ze szpitala bonifratrów: o tych spokojnych, którzy śnili na jawie, i furiatach, których trzeba było krępować kaftanami bezpieczeństwa; o melancholikach pogrążonych w ustawicznej ponurości; paranodkach, którzy przekonywali samych siebie, że odziedziczyli wielkie bogactwa, zakopali nagromadzone skarby, że mają powiązania z dworem królewskim. Wśród żydowskich pacjentów istniała ogromna liczba mesjaszów. Zaburzeniom erotycznym podlegały częściej kobiety niż mężczyźni. Obłąkanie jest właściwie chorobą mózgu, lecz ściślej niż wszelkie inne schorzenia wiąże

się z czynnikami społecznymi, kulturą i religią. Azriel wyjaśnił, że w sensie ogólnym wiedza o mózgu dotyczy też znajomości wielu innych nauk, sztuki, a także myśli i uczuć ludzkich. Zagłębiamy się w naszą psychę, ucząc się nawet łaciny czy krawiectwa.

Pani Bielikowa uśmiechnęła się.

– Czy nazwałby pan krawca psychologiem?

– Pewien filozof utrzymuje, że wszystkie przedmioty są tylko wyobrażeniami. Taka przesłanka, z punktu widzenia czystej logiki, jest bardziej konsekwentna niż wszelkie inne teorie filozoficzne.

– Andriej również żonglował podobnymi teoriami. Uczęszczał przez jakiś czas na wykłady filozofii w Rosji i w Niemczech.

– Była pani za granicą?

– Nie. Kiedy go spotkałam, miał już ukończone studia. Wciąż planowaliśmy podróż do Szwajcarii, Francji, Anglii, ale nigdy nie' pojechaliśmy. Dzieci...

– Ja też chciałbym zobaczyć, co się dzieje po tamtej stronie granicy.

m

– Jest pan jeszcze młody. Zobacz pan. Andriej często opowiadał o Alpach.

| – Nigdy nie widziałem żadnej góry. Ani góry, ani morza.

– Ja też nie. JF Mieszkanie miało balkon.

Pani Bielikowa zaproponowała

" wyjście na balkon. Stały tam dwa krzesła. Azriel i Olga siedzieli po ciemku i rozmawiali. Niebo było usiane gwiazdami. Na ulicy panowała cisza. Azriel załedwie dostrzegał twarz Olgi. Słyszał tylko jej głos. Opowiadała o swym; domu, rodzicach, o gimnazjum. Zawsze była poważna. Inne dziewczęta lubiły słoneczne dni, a ją radował deszcz. Woląca zakopać się w książkach, a nade wszystko – snuć marzenia. Zwłaszcza po śmierci

rodziców. Dyskutowała z matką tak, jakby ta jeszcze żyła. Parę razy matka dosłownie jej się ukazała. Jak to jest możliwe? Opowiadała o krewnych. Gdzieś w Białymstoku żył jeszcze stryj. Miała też jakichś kuzynów.

– Kiedy się wychrzyłam, siłą rzeczy wyobcowałam się. Na pewno mnie wyklęli – dorzuciła.

– Czy dzieci wiedzą o swoim żydowskim pochodzeniu?

– Tak, wiedzą. Nic przed nimi nie da się ukryć.

– Czy ma pani przyjaciół tutaj w Warszawie?

– Przyjaciół? Tak naprawdę, to nie. Sama nie wiem, co robię w tym mieście. Przyjechałam tu przypadkowo po śmierci Andrieja i jakoś zostałam. Warszawa jest mi właściwie obca. Co do Wallenbergów to faktycznie jedyni moi znajomi.

•. – Są ludźmi bardzo wpływowymi.

– Wiem o tym. Ale nie chciałabym wykorzystywać ^ przyjaźni. Wahałam się nawet, czy napisać do pana w sprawie Koli.

Pani Bielikowa nagle umilkła. Azriel przywołał w su-;| kurs całą odwagę.

–■ Gdyby pani nie napisała, kto wle, czy ja bym tego nie zrobił...

– Dlaczego pan to mówi?

– Sam nie wiem. Myślałem o pand. Czasami przypadkowa znajomość wywiera silne wrażenie.

– Tak, oczywiście. Nie jestem z natury śmiała, ale sądzą, że pan zachował jeszcze piętno ucznia jesziwy.

– Chyba tak.

– To jest nawet pociągające. Anditiej był człowiekiem światowym, a jednocześnie skromnym. Dziwna mieszanina zuchwalstwa i nieśmiałości. Mógł powiedzieć prawdę generałowi bez zmrużenia oczu. Mówił rzeczy, za które wysyłano ludzi na Sybir. A jednocześnie był

nieśmiały jak uczeń. Natasza jest zupełnie podobna do ojca. Kola natomiast bardziej do mnie.

– Oboje są niezwykle udanymi dziećmi.

– Dziękuję.

– A gwiazdy na firmamencie mają swe własne funkcje. Błyszczą i mrugają.

■– Ach, właśnie gwiazdy. Czyba mówiłam panu o Andrieju jako o astronomie-amatorze?

– Tak.

– Spędzał całe noce na obserwacji nieba. Ja też czasem patrzyłam przez teleskop na Mleczną Drogę i inne gwiazdozbiory tam w górze. Jakie jest znaczenie tego wszystkiego?

– Nic nie wiemy.

– Jeśli pan znów przyjdzie, wyjmę teleskop. Jest gdzieś zapakowany. To mały teleskop, można jednak przez niego ujrzeć wiele rzeczy. Zwłaszcza ciekawy jest Księżyc. Jaka jest pańska żona?

– Dobra kobieta. Oddana matka.

– No cóż, czy można więcej żądać? Mężczyźni tym się przeważnie zadowolają. Andriej i ja poza tym, że byliśmy mężem i żoną, stanowiliśmy parę przyjaciół. Zawsze mieliśmy o czym ze sobą rozmawiać. Ale widocznie moce, tam w górze, nie zezwalają na zbyt wiele szczęścia.

Czy to było podczas trzeciej, czy czwartej jego wizyty? Wziął ją w ramiona i pocałował. Była zaskoczona, lecz się nie wyrywała. Stali na balkonie. Od dawna o tym myślał, ale stało się to jakoś samo przez się. Chwyła go w ciemności za przeguby rąk.

– Nie, proszę tego nie robić! – wyszeptała.

– Dlaczego nie? – zapytał.

– To za wcześnie. Ja podchodzę do tych rzeczy poważnie... Jeszcze nie nadszedł czas.

Głos jej się załamał.

Czyżby się obraziła? Inni młodzi ludzie mieli przygody miłosne, on jest jednak nowicjuszem w tych sprawach. Patrząc na niebo zastanawiał się: "Jakie miejsce zajmują we wszechświecie te wszystkie drobne powikłania?" Słuchał bicia własnego serca. Tutaj, na Zielnej, było tak cicho jak na wiejskiej łące. Słyszał tylko stały szmer: może to świerszcze, może wiatr albo dzwonienie w uszach. Miał wrażenie, że ta letnia noc, tak pełna doznań, też na coś czeka pogrążona w swego rodzaju kosmicznym napięciu. Miał już przeprosić Olgę, ale dojrzał jej czarne oczy rozjaśnione mieszaniną nieśmiałości i rozradowania. Przytuliła się do niego.

– To dziwne – powiedziała – przed śmiercią męża myślałam, że to ja umrę pierwsza. Nie wiem dlaczego. Byłam przecież młoda, zdrowa. Takie po prostu miałam przecucie. Od lat dziecinnych zawsze się czułam nie-swojo, gdy wszystko szło zbyt pomyślnie. Ogarniało mnie uczucie zbliżającego się nieszczęścia. Ale nigdy nie przyszło mi na myśl, że coś się może przytrafić Andriejowi. Pan na pewno nie wierzy w przesady.

– Już sam nie wiem, w co wierzyć.

– Andriej był racjonalistą. W całym tego słowa znaczeniu. A jednak czasami mówił rzeczy, które mnie dziwiły. Co do mnie, jestem trochę przesadna. Zawsze byłam fa- talistką. Człowiekiem kieruje łut szczęścia.

Tajemnicza

dłoń. Ale dlaczego Bóg miałby się troszczyć o każdą jednostkę z osobna.

– Jeśli Bóg istnieje i to jest w Jego mocy.

– Co pan myśli o spirytyzmie? Wywołuje obecnie wielkie poruszenie w Warszawie.

– Nie wierzę w to.

– Ja też nie, ale jedna pani namawiała mnie na seans. Powiedziała, że umożliwi nawiązanie łączności z mężem. Sama tego rodzaju myśl wydała mi się profanacją. Gdyby mógł się porozumieć ze mną, znalazłby na to sposób, dałby jakiś znak. Ileż to nocy leżałam nie śpiąc, modląc się. Nie potrafię tego panu wyjaśnić. Przedtem nigdy się nie pojawiał w moich snach. Ostatnio zaczął mi się śnić.

– Jakie to są sny?

– Nie wiem. Nie pamiętam. Nie uświadamiam sobie, że on umarł, a jednak jakoś to wyczuwam. Wydaje mi się raczej, że on jest ciężko chory. Jak ktoś, kto uległ atakowi apopleksji. Jest w wielkim niebezpieczeństwie i z tej racji staje mi się specjalnie drogi. Czym są sny?

– Nikt nie wie.

– Oo jest wiadome? Jaki cel ma to wszystko? Straciłam ojca bardzo młodo, śnił mi się każdej nocy. Później» gdy umarła matka, ojciec odszedł na dalszy plan, a jego miejsce ona zajęła, jakby w moich snach nie było miejsca dla nich obojga. Czyż to me dziwne? Teraz Andriej - zjawia a się każdej nocy. Jest taka blady, obojętny, smutny. Trudno to opisać. Jakby się wstydził tego, co mu się przytrafiło.

– A co mówi?

– Nie udaje mi się zapamiętać. Nic ważnego. Kiedy się budzę, dziwi mnie, że jego umysł zaprzatają tak błahe sprawy. Wkrótce wszystko zapomina. Dlaczego tak szybko zapomina się sny?

Nagle z dziecinnego pokoju doszedł krzyk i płacz dziecka. Pani Bielikowa chwyciła Azriela za rękę. Kola obudził się i głośno płakał. Miał atak pavor nocturnas. Olga pociągnęła Azriela za sobą do pokoju dziecinnego. Stojąc przy łóżku, słuchał, jak ona uspokaja Kolę.

W

– Co ci jest kochanie, mój pieszczošku, mój aniołku!
Cały jest mokry od potu!

Przycisnęła usta do buzi Koli, tuląc go i uspokajając serdecznymi słowami. Z drugiego łóżeczka dochodził oddech Nataszy. Wreszcie Kola usnął. Matka poprawiła mu poduszkę, kołderkę i wyszła na palcach z pokoju, a za nią Azriel, ująwszy jej ramię. Stanęli na progu między sypialnią a słabo oświetlonym salonikiem. Azriel czuł ciepło jej drżącego ciała.

– Czy to rzeczywiście pavor nocturnus?

– Tak, w słabej formie.

– Nic nie może być między nami – powiedziała przytłumionym głosem. – Pan ma żonę... To nie miałyby sensu... Do czego by to doprowadziło?

– Logicznie biorąc, ma pand rację.

– Jak można nie myśleć logicznie?

Weszli do saloniku. Zegar wskazywał pół do dwunastej.

– No cóż, lepiej już pójdę.

Odprowdziła go do przedpokoju.. Zamknęła drzwi od saloniku i znów znaleźli się w ciemności. Stali w milczeniu; niu, napięci, w jakimś oczekiwaniu, pełni wewnętrznego naprężenia. Zdawali się nasłuchiwać wezwania jakichś sił, które miały zdecydować o ich losie. Sięgnął po kapelusz, ale go nie wziął. Oczy Olgi błyszczały w ciemności, jakby same wydzielaly światło.

– Czy nie możemy być po prostu przyjaciółmi? – zapytała.

– Tak, oczywiście.

– Wprost nie śmiem tego powiedzieć, ale jest pan tak . do niego podobny, takie samo usposobienie, ten sam rodzaj dumy. Nie do wiary. /

Objął ją i całowali się... długo, w milczeniu, z rozpaczą tych, którzy już dłużej nie mogą się opierać namiętności. :

Azriel wracał do domu dorożką. Był nie tyle szczęśliwy, ile zaskoczony tym, co zaszło. Od lat czytywał o miłości. Teraz sam się zakochał, miał własną przygodę miłosną, tajemną i niebezpieczną. Ostatecznie jego małżeństwo z Szajndł było związkiem ułożonym przez rodziców. Ona roztyła się przedwcześnie i zrobiła się oziębła.

Warszawa pogrążona była we śnie. Azriel wychylił się z dorożki i wdychał chłodne powietrze. Dziecinne zadowolenie, że wiezie go koń, łączyło się z satysfakcją dojrzałego mężczyzny, który cieszy się powodzeniem u kobiet. Los mu sprzyjał. Zaangażuje się wreszcie w ryzykowną grę, tajemne spotkania, ukryte przyjemności. Nuda ustąpi nagle miejsca życiu pełnemu oczekiwania, jak w powieści, jak w sztuce... Ale co ma powiedzieć Szajndł? Że gdzie był? Jak długo będzie ją mógł oszukiwać? Ona jest w ostatnich miesiącach ciąży. Rozwieść się? Nigdy nie zrobiłby takiego kroku. Wszystko zawdzięcza żonie. Nawet zaproszenie do Wallenbergów otrzymał dlatego, że jest zięciem Kalmana Jakobiego. Niemądre myśli przelatywały mu przez głowę. "Jestem lekarzem, nawiązałem romans. Cóż może być bardziej światowego? Dość daleko zaszedłem od wyjazdu z Jaanpola." Zaczął snuć błogie rojenia. Nagle ocknął się z tych marzeń. Wyobraził bowiem sobie, że Szajndł zmarła przy porodzie, a on poślubił Olgę. Opuścili kraj i zamieszkali w Petersburgu na Newskim Prospekcie... Wstrząsnął się i wymamrotał: "Boże broń! Niech ona dożyje stu dwudziestu lat!" Mimo Wóld zaczął się modlić: "Boże Wszechświata, strzeż ją, zapewnij jej szczęśliwy poród. Ślubuję ofiarować osiemnaście rubli." Znow przyłapał siebie 'na tej modlitwie odmawianej podświadomie. "Co się ze mną dzieje? Mam wszystkie objawy neurastenii." Koń się zatrzymał. "Jakież nadzwyczajne są zwierzęta w porównaniu z ludźmi! Mają

wszystko: pokorę, łagodność, wierność, wewnętrzną niezależność." . ;

Kilka razy pociągnął za dzwonek przy bramie. Noc była ciepła, lecz on odczuwał chłód. W mieście pogrążonym we

śnie znalazł się wśród tych, co nie śpią, jak rozpustnik powracający z nocnej hulanki. "Co ja jej powiem?" Nie przychodziło mu na myśl żadne usprawiedliwienie* Jeśli świat jest rzeczywiście tylko zbiorem atomów i ich kombinacją, jak może istnieć coś takiego jak grzech? Te same molekuly wody, w których ongiś zatonał okręt, mogą dzi- Isiaj uratować dziecko umierające z pragnienia. Jak można śledzić nieskończone przemiany materii, skoro nie istnieje wszechświatowy rejestr sprawozdawczy... Pies zaczął szczekać. Nadszedł stróż w samej bieliźnie i otworzył bramę;- Azriel dał mu dwadzieścia groszy, a on przyjął pieniądze bez podziękowania.

Azriel wszedł po schodach. Jakżeż było ciemno! Jego dziecięcy lęk przed ciemnością nigdy całkowicie nie wygasł. "Co bym zrobił, gdyby mnie pochwycił szatan?" Wyobraził sobie ciemną postać jakiegoś stwora, wysokiego, jakby na szczydach, lekkiego niczym pajęczyna, ze zmierzwionymi kłakami, stojącego na gęsich łapach. Azriel uśmiechnął się do siebie. "Jak trudno wyzbyć się zabobonów. Mają moc atawistyczną. Chociaż według Weis- manna, nie dziedziczy się cech nabytych. Nie zostało to jednak ostatecznie udowodnione. A dlaczego zarówno Lama rek, jak i Darwin nie mogliby mieć racji?" Wbiegł po paru ostatnich stopniach, jak kiedyś w Lublinie, gdy będąc chłopcem wracał wieczorem po załatwieniu jakichś • domowych zleceń. Szybko zastukał do drzwi i zaraz usłyszał kroki Szajndł. Widocznie jeszcze nie spała. Była w nocnej

koszuli, brzuch jej mocno wystawał. Włosy miała w nieładzie, twarz ziemistą.

– Gdzieś ty był? Biada mi! Takiego lęku, jaki przeżyłam, niech nawet moi wrogowie nie zaznają.

– Byłem u pacjenta.

– Jakiego pacjenta? Wszedł do mieszkania.

– U dziecka. Cierpi na pavor nocturnas. Budzi się przelękniony w środku nocy. To taka choroba.

– Czy siedziałeś przy nim czekając, aż się obudzi?

– To jedyny sposób na postawienie diagnozy.

– A co byś zrobił, gdyby się zbudziło o dwie godziny później?

– Jestem lekarzem, nie szewcem – powiedział zdumiony, że tak łatwo przychodzą mu kłamstwa. Zresztą, nie było to faktycznie kłamstwo.

Szajndl stała i patrzyła na niego zdziwiona.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że wrócisz tak późno? Wiesz, jak się niepokoję.

– Zdecydowałem się tam pójść w ostatniej chwili.

Pierwszy raz mam do czynienia z takim przypadkiem.

– Kto to jest? Gdzie mieszka ta rodzina?.

– Na Zielnej.

– Czy nie mają tam innych lekarzy?.

– Wallenberg ich mi polecił.

– To młodzi ludzie?.

– Mają dwójkę dzieci, ośmioletnią dziewczynkę i czteroletniego chłopca. Przechrzty.

– Przechrzty? Człowiek wychodzi z mieszkania i znika na tyle godzin... – Szajndl zmieniła ton na wyrozumiały. Zdała sobie sprawę, że Azriel mówi prawdę, i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Zwątpiła w biedaka, i to bez żadnego powodu. Jest zbyt zazdrosna, zawsze pełna najgorszych podejrzeń. Mąż oiężko pracuje, całymi dniami, a nawet w

nocy. "Przecież nie mogłabym żyć bez niego. Jeśli on, broń Boże, zdradzi mnie kiedykolwiek, zabiję się!"

- Musisz być głodny – odezwała się.
- Głodny? Nie.
- Czy przynajmniej dali ci szklanekę herbaty?,
- To są uprzejmi ludzie.
- Co robi mąż?
- Jest lekarzem wojskowym.
- On sam jest lekarzem? Jeśli tak, to nawet ci nie zapłacą.
- Przypadek jest nadzwyczaj ciekawy. W razie potrzeby też będziesz miała ginekologa bezpłatnie.
- No cóż, to twoja sprawa. Większość lekarzy gromadzi pieniądze, a ty się zajmujesz wariatami i głupstwami.

I 11 rclniS 429

Dziecko budzi się czasami po prostu dlatego, że położyjg sobie rękę na sercu. Czy ta kobieta jest przystojna?

- Oddana matka.
- A czy są inne matki? Już myślałam, że tobie obrzydłam i że uciekłeś z jakąś kobietą – wyrwało się jej,, mi-1 mo woli.
- Niemądra jesteś!
- Przychodzą mi do głowy takie głupie myślii Z dru-J giej stiony, co ja sobą przedstawiam? Jestem kłótniwa , i masz ze mną tylko same kłopoty. Często wydajesz mi^ się wprost święty. Ty jesteś lekarzem, a ja haruję w. do-J mu. Nie możesz nawet pokazać się ze mną u przyjaciół*?
- Nie mów takich głupstw. Jesteś moją żoną i kochaaji ciebie. Jesteś matką moich dzieci. Tylko dzięki tobie zo^J stałem lekarzem.
- No, dość tych pochlebstw na dzisiaj.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY OSMY I

Dzieci Klary, Sasza i Felusia, pojechały podczas wakacji do Jampola w odwiedziny do dziadka Daniela Kaminera, który miał już z Celiną trójkę własnych dzieci. Klara wciąż jeszcze gniewała się na ojca, że przed poślubieniem Celiny nie dotrzymał obietnicy przekazania jej połowy swego majątku. Ale Danielowi Kaminerowi zależało na zobaczeniu wnucząt, które i tak nie mogły pozostać w mieście w czasie lata. Również Kalman, zanim się jeszcze rozwiódł z Klarą, nalegał, aby rokrocznie pozwoliła ich synowi spędzać u niego parę tygodni. Kalman dawał pięćdziesiąt rubli miesięcznie na utrzymanie Saszy. Uzgodniono również, że Klara przyjmie dla Saszy nauczyciela języka hebrajskiego, nie pozwoli mu uczęszczać do szkoły w soboty i będzie przestrzegała koszernej kuchni. Chociaż Klara zaniedbała dotrzymania pozostałych warunków umowy, bała się, że jeśli Sasza nie będzie odwiedzał ojca, Kalman zaniecha przesyłania jej ustalonej kwoty. Przy odjeździe Klara wręczyła Saszy modlitewnik, który otrzymał z racji osiągnięcia dojrzałości religijnej i mały tałes, który miał nałożyć przed spotkaniem się z ojcem. Od czasu rozwodu Kalman i Daniel Kaminer nie rozmawiali ze sobą. Majątkiem Kalmana zarządzał obecnie Mejer-Joel i on załatwiał z Kaminerem wszelkie sprawy majątkowe. Kiedy już dzieci zbierały się do odjazdu, Klara znalazła się w rozterce Ojciec bowiem obsypywał Saszę prezentami w czasie tych wakacyjnych odwiedzin, Kalman | zaś próbował czytać z nim Pięcioksiąg i Misznę, pozwalaj! jeździć konno i zaspokajał wszystkie zachcianki. Między 1 Kalmanem a Danielem Kaminerem toczyła się ustawiczna:! rywalizacja o względy Saszy. Na domiar złego Kalman i nie chciał nawet spojrzeć na Felusię, chociaż według pra-J wa była jego córką. Dziewczynka wyczuwała, że coś jest | nie w porządku i

zrobiła się zazdrosna o brata. Często mówiła, że ma dwóch ojców, tatę Jakobiego i tatę Cypkipską. Czasami dowodziła, że nie jest córką swej matki tylko- a podrzutkiem zostawionym w worku przez Cyganę. Klara nie udawała się rozwiać obaw dziecka. Chcąc uspokoić samą siebie, kupowała córeczce kosztowne lalki i sukienki, opychała słodyczami. Nie było więc Klarze łatwo wysłać Saszę i Felusię razem do Jampola.

Jednak dzieci potrzebowały świeżego powietrza, a ona jej nieco wolnego czasu dla siebie. Guwernantka Luiza towarzyszyła swym pupilom. Klara postanowiła tego lata uczynić wreszcie coś, co miała od dawna zaplanowane. Teściowie Cypkina spędzali lato w Karlsbadzie. Sabina cierpiała na niedomagania żołądkowe określane przez niektórych lekarzy jako kamienie żółciowe i rodzice chcieli zabrać ją ze sobą. Sabina nie godziła się jednak na wyjazd bez Aleksandra. Twierdziła, że kiedy ona będzie przebiegać kurację w Karlsbadzie, Aleksander poszuka towarzystwa Klary. Róża Dancynger, która stale namawiała córkę do rozwodu, twierdziła, że byłaby to dobra okazja do pozbycia się tego szarlatana. Zapewniała Sabinę, że w Karlsbadzie spotka naprawdę ciekawych mężczyzn. Jest jeszcze młoda. Zakocha się w kimś, kto będzie jej wart. Ma posag złożony na swoje imię, wciąż znajdujący się w depozycie bankowym. Rozwód uwolni ją od cierpień.

Jednak Sabina nie pragnęła rozwodu, a i jej ojciec sprzeciwiał się zerwaniu małżeństwa. Mieli dziecko, ukochanego Kubusia, oprócz tego Cypkin prowadził całą chłostkę firmy. Chociaż nie miał wielkich zdolności handlowych, przynajmniej był uczciwy. Zdzisław, ożeniwszy

się z pewną panną z Łodzi, ciągnął wszystko do siebie, Aleksander zaś trzymał stronę teścia. Jakub Dancynger nie miał odwagi wyjechać do Karlsbadu i zostawić interesów w rękach Zdzisława, który był ryzykantem i lubił spekulować. Miał skąpą żonę i teścia bankruta zawsze becz grosza. Wprawdzie Aleksander nie był bez wad, jednak można było na nim polegać.

W końcu Jakub Dancynger postawił na swoim. Czym się martwić? Po pierwsze, nie wierzył, że Aleksandra łączy coś z Klarą. W każdym razie, jeśli mężczyzna od czasu do czasu zrobi głupstwo, to jeszcze nie tragedia. A jak postępują wszyscy sprzedawcy i agenci handlowi, chcąc się rozerwać podczas długich podróży w głąb Rosji? Nie można w obecnych czasach zbyt pilnować mężczyzny. Aleksander jest mężem Sabiny. Zawarli małżeństwo zgodnie z prawem Izraela ustanowionym przez Mojżesza. Aleksander jest ojcem dziecka Sabiny. Po cóż psuć sobie krew z racji jakiegoś głupstwa?

Te rodzinne dyskursy ciągnęły się od świąt Szewuot, przy czym Sabina wciąż zmieniała decyzję. Jednego dnia była gotowa towarzyszyć rodzicom do Karlsbadu, drugiego nie. Godziła się na rozwód, a potem oskarżała matkę, że chce rozbić jej małżeństwo. Aleksander udawał, że

Onicznym nie wie, choć miał cichą nadzieję, że przynajmniej na parę miesięcy uwolni się od Sabiny. Stopniowo robiła się coraz bardziej zgryźliwa, nieprzyjemna, oziębła

1 wynajdywała u siebie różne dziwaczne choroby. Ostatnio, na przykład, zaczęła się martwić swymi drogami oddechowymi i ustawicznie chodziła po lekarzach, żeby zbadać płuca. Ilekroć Cypkin spotkał Klarę, zapewniał ją, że Sabina wyjedzie na lato i będą mogli swobodnie nacieszyć się sobą.

W ostatniej chwili Sabina, mając już paszport zagraniczny, zmieniła zamiar. Zamiast jechać z rodzicami do Karlsbadu, wynajęła willę w Polance, odległej o jedną stację kolejową od Warszawy. Klara wiedziała, jaki Sabina ma w tym cel. Polanka znajdowała się tak blisko Warszawy, że Cypkin jeżdżąc rano do firmy nie musiał nocować

28 – Dwór

iH

w mieście. Pociągi podmiejskie przez cały rok kursowały często, a latem ich liczba jeszcze wzrastała. Klara czuła, że Sabina spłatała jej figla i postanowiła odplacić tym samym.

Posłała Cypkinowi do biura list przez posłańca, w którym napisała, że po bezsennej nocy doszła do wniosku, iż nadeszła pora powzięcia decyzji przez Aleksandra. Ma wybrać ją albo żonę, ale nie obie. Zmęczyło ją oszukiwanie. Zniosła -dość obelg. Nie ma nawet pozycji jawnej kochanki. Jeśli Cypkin zdecyduje się pozostać przy żonie, serce Klary i drzwi do jej mieszkania będą dla niego zamknięte na zawsze. Podpisała swe imię krwią, czyn, który nawet sama osądziła jako trywialny.

II

Klara poleciła posłańcowi oddać list i nie czekać na odpowiedź. Cypkin otworzył go niezwłocznie, chociaż było wtedy paru klientów w biurze. Zbladł, ale się szybko otrząsnął. "Prędzej czy później musiało do tego dojść – pomyślał. – Może to i lepiej, że się tak stało." Dopóki zaprzętały go sprawy handlowe, łatwiej mu było godzić się z taką odprawą. "Romanse nie mogą trwać wiecznie.3 Takie okazje trafiają się nieraz." Był to dzień comiesięcznego bilansowania ksiąg handlowych firmy. Pracował w

pokoju znajdującym się na tyłach biura razem z Rubinem, pomocnikiem buchaltera, młodym człowiekiem – Jakiem z szopą kręcących się włosów na głowie. Bez przerwy stukały liczydła. Obaj mężczyźni, paląc cygara, rozprawiali o debecie, kredycie i saldzie, o aktorkach i śpiewaczkach operowych. Zdzisław wciąż zaglądał do 1 pokoju, odgrywając rolę szefa. Istotnie, szyld firmy brzmiał: Jakub Dancynger i Syn, lecz w rzeczywistości władza Zdzisława była nikła.

Jakub Dancynger zabezpieczył się przed odegraniem – jak sam się wyraził – roli drugiego króla Lira. Poinformował jednak Cypkina, że Sabina otrzymała większą część

majątku ojca. “No cóż, nie można mieć wszystkiego – wytłumaczył sobie Cypkin. – Klara jest doskonałą kochanką, ale nie nadaje się na tanę. Sabina natomiast stanie się na pewno zupełnie inna, jak tylko Klara zniknie z widowni.¹ Cała ta sprawa z Klarą to nic więcej jak bańka mydlana, która musi pęknąć.” W miarę jednak jak dzień upływał, Cypkin czuł się coraz bardziej samotny. Raz po raz zaglądał do listu. Po zapadnięciu zmierzchu krwawy podpis Klary przybrał złowróżbny wygląd. Zamierzał spędzić noc w mieście, zjeść kolację u Klary, a potem zabrać ją na koncert albo do teatru. Byliby wolni jak ptaki. Że też postawiła go nagle wobec takiego ultimatum! Cypkin raz jeszcze wziął list i przeczytał uważnie każdy wyraz. Nie było ani jednego zdania czy też zwrotu, z którego nie przebijałaby namiętność. “Wiesz, jak bardzo ciebie pragnę. Każde nasze spotkanie stanowi dla mnie wielką przygodę.” Co on pocznie teraz ze sobą? Czy ma siedzieć samotnie w cukierni Semadeniego? Przyszła mu na myśl siostra Sonia. Ostatnio zamieszkała w Warszawie w ciemnym pokoju przy ulicy Dzikiej i dawała jakieś lekcje. Cypkin, mimo że kochał siostrę,

uniikał jej, Sonia bowiem miała przyjaciół działających w podziemiu politycznym. Należała do tych kobiet, które w bardzo młodym wieku rozkwitają i wzbudzają podziw swą pięknnością. Kiedy jednak przekroczą dwudziestkę, ich uroda zaczyna przygasać, rozczarowują rodziców, przyjaciół d same siebie. O szesnastoletnią Sonię oświadczyli się najbogatsi i najbardziej wykształceni młodzieńcy w rodzinnym mieście. Teraz, gdy miała dwadzieścia sześć lat, uważano ją za starą pannę, która nie wykorzystała swych możliwości. Miała ciemne włosy, czarne oczy i bardzo jasną cerę. Była zgrabna, lecz jej oczy nabrały smutnego wyrazu, a całe zachowanie zdradzało poczucie doznanego zawodu. Rzadkie spotkania z bratem w Warszawie zawsze kończyły się kłótnią. W dyskusjach powoływała się na miernych autorów i używała frazesów, które wydawały się Cypkinowi nader banalne i głupie. Pisała pamiętnik i opowiadała bratu, że

któreś nocy poszła spać o godzinie drugiej, bo zapisała w nim aż dziesięć stron. Zapytana, o czym pisała, rzekła: "Ach, o wielu rzeczach" i uśmiechnęła się tajemniczo. Jak tylko znaleźli się razem, Cypkin nie mógł się powstrzymać, aby jej nie obrazić. Płakała wtedy cicho, a potem uśmiechała się i mówiła: "Nic na to nie poradzisz, Aleksandrze. Wszystko jedno i tak cię kocham."

Dziwne, że mieszkając tyle lat w Warszawie, poczuł się całkiem, samotny. Nie utrzymywał już żadnych więzóttych z kolegami uniwersyteckimi. Kółko samokształceniowe rozpadło się. Kilku jego członków aresztowano, inni uciekli. Jeszcze inni – paru chłopców i dziewcząt z prowincji –• popełnili samobójstwo, chociaż nikt dobrze nie wiedział- dlaczego. Garstka młodych wyemigrowała do Palestyny, gdzie w osadach założonych przez jakiegoś barona mówiono po hebrajsku. Chociaż

"Izraelita" odnosił się krytycznie do owego nowo powstałego ruchu nacjonalistycznego, ta 8\$ stawa nie zahamowała jego rozwoju. Urządzano zebrania,, na których bywało wiele osób, przyciągały one zwłaszcza rabinów z Litwy i przeciwników chasydyzmu. Również rewolucjoniści zaczęli znów po cichu agitować. Cała ta działalność już nie pociągała Cypkina. Tylko u Klary spotykał liberałów i radykałów, z którymi mógł rozmawiać o bieżących wydarzeniach. Jeśli chodzi o kolegów z pracy, to był Zdzisław i jego paczka, nastawieni wyłącznie na robienie pieniędzy.

Po wyjściu z biura Cypkin skierował się do restauracji, gdzie jadł obiad czytając jednocześnie gazetę. Bez Klary życie wydawało mu się szare i nieciekawe. Awantury w Bułgarii, współzawodnictwo kompanii niemieckich i angielskich w Afryce Wschodniej, zamieszanie wokół złota w Transwaalu – wszystko to zdawało mu się bez znaczenia. Tu zaś, w Warszawie, ludzie podniecali się wyścigami konnymi i loterią fantową w Ogrodzie Saskim. Te imprezy mało obchodziły męczyznę odtrąconego przez kobietę, z którą chciał kontynuować romans. Ruszył do domu. Idąc ulicą Nowosenatorską zadawał sobie pytania: "Czy te wszystkie spacerujące pary rzeczywiście są szczę-

śliwę? Jeśli sądzą, że tak, to chyba nie zaznały prawdziwej miłości. Weźmy na przykład tego starego człowieka z trudem powłóczącego nogami. Jaki cel ma jego życie? Czego się spodziewa? Dlaczego gładzi się po brodzie? Niewątpliwie ma jakiś mały skarb i trzyma go w ukryciu." Cypkin wszedł po schodach do swego mieszkania, otworzył drzwi kluczem i zapalił lampy naftowe. Całe umeblowanie – otomanę, fotele, krzesła, pianino – okrywały pokrowce dla osłony przed kurzem. Zalaatywało

naftaliną. Otworzył okno. A gdyby tak pójść do kabaretu? Albo wpaść do /klubu szachistów? Może jeszcze nie odszedł ostatni pociąg do Polanki. Kiedy jednak pomyślał o dostaniu się na stację, kupowaniu biletu, wsiadaniu do pociągu, wysiadaniu i przejściu drogi pieszo, po piaskach, w ciemności – odeszła go chęć. Tak, powietrze w Polance jest doskonałe, a Kubuś to taki przemiły chłopczyk, choć Sabina, jak tylko Cypkin przyjedzie, zaczyna lamentować i uskarżać się na swe dolegliwości. O ile ją zna, być może jeszcze gorzej zacznie go traktować po wykryciu, że to Klara z nim zerwała.

“Poczytam książkę”, zdecydował. Rzucił okiem na tomy książek w bibliotece i lektura od razu przestała go interesować. Przypomniał sobie, że zwleka z listem do rodziców, jak tylko jednak spojrzął na kałamarz, stracił chęć do pisania. Zaczął się kręcić po pokoju, wyciągał szuflady z biurka i komody, szperając w nich i szukając nie wiadomo czego. Jak można było znosić taki tryb życia? “Gdybym tylko miał butelkę wódki.” Opadł na krzesło i wpatrywał się w tapety na ścianie. Nagle ogarnęła go nieprzeparta chęć, aby się onanizować jak nedorostek. Zaczął drzeć. “Lepiej wyjdę i rozejrzę się za jakąś uliczką.” Zamknął oczy. “Nie, to mi nie sprawi przyjemności. Może nawet nic by z tego nie wyszło. Pójdę zobaczyć się z Klarą. Nie wyrzuci mnie. Nie ma powodu, żebyśmy nie porozmawiali na ten temat.”

Szybko się podniósł. Nie wiedział, czy Klara jest w domu. Pewnie wychodzi z innymi mężczyznami. Miał gorzki smak w ustach i odczuwał mdłości. Przyszło mu na myśl, że może padać, zamknął więc okno. Sabina bała się najmniejszej kropli wody, najdrobniejszego promyczka słońca. Nie należy zbyt późno przyjść do Klary. Po zgaszeniu światła potknął się w ciemności, nie mogąc

trafić do drzwi jak ktoś dopiero co zbudzony z głębokiego snu.

Wreszcie, uderzywszy jeszcze kolanem o krzesło, wyszedł z mieszkania i zbiegł po schodach. Nie przywołał dorożki, bo ulica Berga była tak blisko, że prędzej mógł dojść pieszo. Wkrótce stanął przed domem Klary. Tak, świeciło się w salonie. Czy jest sama? "To tego rodzaju kobieta, która potrafi sprowadzić sobie mężczyznę do domu", pomyślał i przystanął, żeby złapać tchu. Było mu wstyd, że tak się uzależnił od kobiety. Ale nie miał nic w życiu, co by go pociągało. Nie powziął jeszcze decyzji, co zamierza zrobić, choć wiedział, że będzie to jakieś ostateczne postanowienie, które zmieni całego jego życie. Przyszło mu na myśl, że tak musi się czuć człowiek, który wchodzi do kasyna gry w Monte Carlo, zdecydowany rzucić na jedną stawkę wszystko, co posiada.

III

Zadzwoił i nasłuchiwał czekając. Najwidoczniej gości nie było. Wreszcie usłyszał kroki i głos Klary.

– Kto tam?

– To ja, Aleksander – powiedział ochryple. Nastąpiła cisza. Pewno się zastanawiała. Cypkdn powstrzymał oddech. Wiedział, że ich losy się ważą. Jeśli go teraz odprawi, nigdy jej już nie zobaczy. Może i Klara zdawała sobie z tego sprawę. Odsunęła zasuwę, zdjęła łańcuch i otworzyła z rozmachem drzwi. Miała na sobie szlafrok i domowe pantofle. Zmieniła uczesanie i robiła wrażenie szczuplejszej niż przy ostatnim widzeniu. Oczywiście miała podkrążone, ale wydawała mu się jeszcze bardziej pociągająca. Stali wpatrując się w siebie.

– Widocznie mnie nie poznajesz – odezwała się po polsku.

- Cóż znowu, poznaję.
- No to wejdź.

Cypkin wszedł do przedpokoju i skierował się do saloniku. Zdjął słomkowy kapelusz i trzymał go w ręku. Zgasł mu papieros, nie wyjął go jednak z ust. Zauważył jakąś zmianę w pokoju, ale nie mógł się zorientować, co to jest. Czy zmieniła kotary? Nie, usunęła krzesło, na którym zwykle siadał. Klara spojrzała na niego, a on zbladł. Wyraz dziecinnego uporu pojawił się w jej oczach.

– Mam nadzieję, że powzięłeś decyzję, bo jeśli nie, to tracisz swój czas na próżno.

– Nie mogę zrozumieć, co w ciebie wstąpiło.

– Wiesz dobrze. Nie jesteś półgłówkiem. Nie odpowiada mi pozycja, jaką mi wyznaczyłeś.

– Czego więc chcesz?

– Powiedziałam ci to w liście. Musisz wybrać między nami.

– Nie mogę tak ni z tego, ni z owego rozwiązać się z Sabiną.

– Albo ona, albo ja. Taki związek z dwiema kobietami musi się skończyć.

– Jeśli ją opuszczę, stracę pracę – odezwał się i zaraz pożałował swych słów. Zaczerwienił się.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że ci płacą za miłość? To dobre! Ale ja mam już tego dość. Nie jestem tak głupia, jak ci się wydaje. Wprost nie rozumiem, dlaczego tak długo się z tym godziłam. Nie mam zamiaru targować się z tobą. Już ci powiedziałam: wóz albo przewóz.

Klara się uśmiechnęła. Był to ten sam uśmiech, jaki się pojawił na jej ustach, kiedy zmiotła wszystkie jego pionki podczas gry w warcaby. W uśmiechu tym tryumf łączył się z kobiecym współczuciem. Cypkin nic nie powiedział. Wyjął papierosa z ust. Rozdrażnił go ton jej głosu. Nie podobało mu się, że ona stoi z rękami wspartymi o

biodra. Podeszedł do pieca i wyciągnął rękę, jakby chciał się ogrzać. Jeśli odejdzie od Sabiny, zostanie bez grosza. Posag był zapisany na jej imię. Zresztą nie mógłby wziąć pieniędzy od kobiety, którą miał opuścić.

Co

począć? Poślubić Klarą? Miałby dać swe nazwisko kobiecie, która już miała dwóch mężów i przyszła do jego pokoju zaraz pierwszej nocy po zawarciu znajomości? Czy mógłby »ostać ojczymem tego nieokiełzanego Saszy? I jak długo jeszcze Klara będzie go pociągała? Ma co najmniej czterdziestkę, jeśli nie więcej.

– No tak – odezwał się – nie możesz przeoczyć oczekiwać ode mnie natychmiastowej odpowiedzi.

Klara zawahała się chwilę.

– Wybacz, że to mówię, Aleksandrze, ale miejscem[^] gdzie powinieneś rozważyć całą sprawę, jest twój własny, dom.

– Każesz mi odejść?

– Nie. Wiedz jednak, że jestem gotowa zwolnić cię od całej odpowiedzialności, nawet od zobowiązań wobec twojej własnej córki. Już dłużej nie mogę znosić takiego życia.

– I dla mnie jest to ciężkie.

– Określ dokładnie, w jakim stopniu ciężkie? Nie możemy przecież wiecznie, tylko mówić. Słowa, mój drogi, już na nic się nie zdadzą. Nie sądz, że łatwo mi było powziąć tę decyzję. Nie dowiesz się nigdy, ile przecierpiałam.

Cypkin zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem. Co powinien zrobić? Spojrzał na okno, podeszedł do niego i rozsunał kotarę. Potem z wolna obrócił się do Klary.

– No dobrze. Zdecydowałem się.

– I co?

pi Nie pragnę jej. Pragnę ciebie. Ale nie możemy pozostać w Warszawie. Musimy wyjechać.

– Dokąd?

– Opuścimy kraj.

– Ach tak...

– W przeciwnym razie musielibyśmy zwalczać zbyt wiele przeszkód.

– Tak, to prawda.

– Czy chcesz ze mną wyjechać?

– Chcę.

Spojrzeni na siebie zdumieni, zdziwieni obrotem, jaki przybrała ich rozmowa.

– Jak sądzisz, dokąd powinniśmy się udać? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

– Może do Ameryki. Tam przynajmniej można zapracować na życie.

– Co będziesz robić? Szyć spodnie?

– Być może.

–■ No dobrze. Chciałam, żeby Sasza zdał maturę, ale jeśli nie będzie mógł, to trudno.

– I tam można chodzić do szkoły.

– Musiałby zacząć wszystko od początku. Ale mniejsza z tym. Jeśli mój ojciec zechce się nim zająć przez parę lat, nie będę miała nic przeciwko temu. Chłopiec jest jeszcze młody. Dopiero wchodzi w życie. Chciałabym jak najbardziej wykorzystać tych parę lat, jakie mi pozostały.

– Dlaczego mówisz o paru latach?

– Nie wiem. Tak sobie. Człowiek nigdy nie jest pewny. Jeśli nie będę mogła zostać twoją żoną, to niczego nie chcę.

– Uspokój się, chodźmy lepiej do łóżka.

– Wszędzie pójdę, dokąd tylko zechcesz, ale musisz przysiąc, że .-będzie to zgodne z naszą umową. I chcę mieć potwierdzenie na piśmie.

IV

Klara zbudziła się przerażona w środku nocy. Ktoś dzwonił i stukał do drzwi frontowych. Przez szpary w okiennicach wpadało pierwsze błękitnawe światło brza-sku. Cypkin i Klara niewiele spali. Klara obudziła Cypki-na potrząsając nim energicznie.

' –■ Aleksandrze, ktoś stuka do drzwi. Nie słyszysz?

– Czy domyślasz się, kto to może być? – zapytał.

– Nie mam pojęcia,

Klara nałożyła peniuar, a Cypkin narzucił szlafrok, włożył ranne pantofle. Po naradzie zdecydowali, jjjjjflpfp«
tiii

podejdzie do drzwi, a Cypkin zaczeka w saloniku. W przedpokoju było ciemno.

– Kto tam? – spytała Klara. – Miała przeczucie, że osoba stojąca po tamtej stronie drzwi przyszła zburzyć jej szczęście.

– To ja, Sonia.

– Twoja siostra – zawołała Klara do Cypkina. Uchyliła drzwi, jprzez które wśliznęła się Sonia; wyglądała raczej na zjawę niż na żywą istotę.

– Niech mi pani wybaczy. Przywiodły mnie tutaj nie-zwykłe okoliczności. Krążę po ulicach od godziny jede-nastej. Policja chce minie aresztować.

– Za co? Chodź tu, Aleksandrze. Cypkin pospieszył do przedpokoju.

– Co się stało, Soniu?

– Ach, więc jesteś tutaj. Była u mnie rewizja.

– Kiedy?

– Około jedenastej. Poszłam do teatru z Mirele, siostrą Azriela. Na ulicę Przejazd. Ona była z młodym człowiek-kiem. To nie Żyd. Kiedy doszłam do Dzikiej, Notkę, syn mojego gospodarza, podbiegł do mnie ze słowami: “Idź.

gdzie indziej. Właśnie była u ciebie rewizja." Skierowałam się do twego mieszkania, Aleksandrze, lecz stróż nie chciał mnie wpuścić.

– Czeigo szukali? Czy coś zrobiłaś?

–: Tu, w Warszawie? Nie. Ale wiesz, że przeniosłam się do dawnego mieszkania Miirele. Mówiłam ci, oni mają teraz dirukarenkę. Mieszkają razem. Ach, nie powinnam ci była teigo powiedzieć. To tajemnica. Oni też uciekli, jeszcze wcześniej. Jak tylko usłyszeli słowo "rewizja", od razu umknęli.

– No dobrze, wejdź dalej – powiedziała Klara wreszcie przytomniejąc. – Po co tutaj stoimy? Mirele miała zrobić mi fryzurę, ale się nie pokazała. Myślałam, że jest chora. Kim jest ten jej młody człowiek?

– O, to ktoś bardzo pozytywny. Jeden z nich. Przywódca. Wczoraj spotkali się ze mną i zabrali ze sobą.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem? – spytał zakłopotany Cypkin.

– Pojęcia o tym nie miałam. Myślałam, że jesteś w domu albo poza miastem. Nie mam przy sobie nawet metryki. Przyszłam tutaj licząc na sympatię pani Klary. Wszystko to jest takie dziwne. Doprawdy nie wiem, jak mam przeproszać. Ktoś szedł za mną. Nie wiem, kto to był.

– Może agent policji? – zapytała Klara na wpół gniewnie. – Szedł tu za tobą?

– Nie, nie agent. Kiedy znalazłam się przed domem Aleksandra – odszedł. Jak tylko pociągnęłam za dzwonek u bramy, ruszył dalej. . . .

– Wyjdźmy z przedpokoju – odezwała się Klara ostro. – Cóż to za noc! Już świta. Wybacz ten rozgardiasz. Mamy swoje kłopoty. Aleksandrze, czy mogę jej powiedzieć?

Weszli do saloniku. Kotary były jeszcze zaciągnięte, a w pokoju panował mrok, który sprawiał, że twarze ich wyglądały blado, zamazane, jak obrazy na słabo oświetlonej ścianie.

– Co chcesz powiedzieć, Klaro?

– Soniu, mamy się pobrać. Aleksander odchodzi od żony.

– Czy to prawda, Aleksandrze?

– Tak, Soniu. Nigdy nie kochałem Sabiny* Ożenek z nią był błędem.

– A co się stanie z Kubusiem? – Nie słysząc odpowiedzi, Sonia mówiła dalej już innym głosem: Nigdy nie lubiłam Sabiny ani ona mnie. No cóż, winszuję. Twoje szczęście jest i moim. Teraz Felusia będzie miała ojca.

Klara, dławiąc się ze wzruszenia, odchrząknęła, chcąc rozluźnić ściśnięte gardło.

– No cóż, Soniu, my oboje, Aleksander i ja, popełni-
liśmy błędy, ale to już przeszłość. Wyjeżdżamy z kraju.

–
Soniu – przerwał Cypkin –
zabierzemy ciebie ze sobą. Najlepiej będzie, jeśli zaraz wyjedziesz, może jeszcze przed nami. Jak sądzisz, Klaro?,

– Bez wątpienia. Oo ją tu trzyma? Zamierzamy po-
jechać do Paryża, a później – jeśli to będzie możliwe – do Ameryki.

– Do Ameryki? Ach, mój Boże!

– Aleksandrze, połóż się i prześpij. Pościelę dla niej na kanapie. Jeśli jesteś głodna, Scmiu, mogę ci dać szklan-
kę mleka i bułkę. Obawiam się, że czerstwą. Byłam wczoraj w takim stanie, że nic nie jadłam. Nagle przyszedł twój brat i wszystko znów jest w porządku. Jaka to dni«.'
karenka? Czy ona żyje z chrześcijaninem?

– Nie jak mąż i żona, jeśli to pani ma na myśli. Chcieli, żebym i ja przystąpiła do organizacji, ale nie dałam im wiążącej odpowiedzi.

– Nie mieszaj się do tych wszystkich konspiracji, Soniu – powiedział Cypkin. – Czas jeszcze nie dojrzał do tego rodzaju działań. I tutaj, i w Rosji wzięli górę reakcyoniści. Wszędzie są agenci-prowokatorzy. Skończy się tym, że wsadzą cię do więzienia. Kto wtedy ciebie stamtąd wyciągnie? Widzisz, w jakiej jestem sytuacji. Nie mogę dłużej pozostać w Polsce.

. – Tak, Aleksandrie, doskonale to rozumiem.

V

Zegar w saloniku wybił godzinę dziesiątą. Cypkin otworzył oczy. Klara jeszcze spała obok niego chrapiąc, jakby to była północ. Cypkin przesunął ręką po czole. Czy mu się śniło? Nie, Sonia rzeczywiście przyszła w środku nocy. Policja robiła u niej rewizję. Dał słowo Klarze, że się rozwiedzie z Sabiną, nawet podpisał jakieś zobowiązanie. Oto, jak się przedstawiają sprawy! Leżał i spoglądał na Klarę zdumiony, do czego doprowadziła go namiętność. Tak, ona farbuje włosy. Widział trochę siwizny odrastającej przy skórze głowy. Podczas snu twarz Klary wydawała się nalana i stara. Zmarszczki rysowały się na policzkach, a skóra była wprost dziobata. Czy przechodziła kiedyś ospę? Zeszłego wieczoru opanowany pożądania na nic nie zważał, chciał tylko leżeć przy niej. Teraz, widząc ją w dziennym świetle, zastanawiał się: "Dokąd z nią pojedę? Jak będziemy żyli?" Wstał z łóżka, nałożył szlafrok i pantofle. Kiedy utworzył drzwi, zobaczył, że Sonia siedzi na sofie i czyta książkę.

– Wstałaś już?

– Nie zmrużyłam oka.

- Dlaczego? Mówiłaś, że jesteś taka zmęczona.
- Zdenerwowało mnie to wszystko, Aleksandrze.
- Co takiego?
- Ach, różne rzeczy. Nie, lepiej nic nie powiem.
- Możesz być ze mną szczerą. Ale jest wiele spraw, na które nie mamy wpływu.

Cypkin poszedł do kuchni i umył się. "Jakiego właściwie rodzaju zwierzęciem jest człowiek? – zadał sobie pytanie i zaraz ziewnął. – Jestem słaby, a tymczasem biorę na siebie taki ciężar. Załamie się pod nim." Poprzedniej nocy wydawał się sobie olbrzymem. Dziś wstał z pulsującymi skroniami, czuł słabość w nogach i ból w plecach. "Czy to artretyzm? A może mam chore serce?" Włożył wskazujący palec do ust i dotknął trzonowego zęba, o którym wiedział, że się rusza, jednocześnie oglądając siebie w lustrze wiszącym nad zlewem. Włosy zaczynały się przerzedzać. "Czy nigdy już nie odzyskam spokoju – wymamrotał. – Gdyby rodzice wiedzieli, na co mi przyszło, umarliby ze zmartwienia." Weszła Klara ubrana w kosztowny peniuar. Po nałożeniu kosmetyków znów wyglądała młodo i była ożywiona. Spojrzała na niego badawczo.

- Nie słyszałam, jak wstałeś.
- Nie chciałem cię budzić.

Klara była napięta.

- Aleksandrze, wiem, że to twoja siostra i niedługo zostanie moją szwagierką, jeśli dotrzymasz swego przyrzeczenia. Życzę jej jak najlepiej. Ale to nie jest odpowiednia dla nas pora na przyzwoitkę. Przez następnych kilka tygodni musimy mieszkać sami.
- Nie musi z nami podróżować.
- Nie dbam o to, co ona powie. Wiem, czyją stronę trzyma, chociaż twoja żona nie wpuszcza jej nawet na próg domu.

- Nie o Sonię mi najbardziej chodzi w tej sprawie.
- Aleksandrze, nie chcę cię zdręczać, ale to ważne, [aby wszystko odbyło się szybko. Nie musisz czekać na rozwód. Możesz wysłać Sabinie akt rozwodu z Ameryki.
- Nie, nie mogę wyjechać bez słowa.
- A dlaczego nie? Zaoszczędzisz sobie gadania, a Sabinie zbędnych łez. Uważasz siebie za donżuama, lecz nic nie wiesz p kobietach. Ona poruszy niebo i ziemię chcąc cię zatrzymać. Wybacz, że ci to powiem, nie należysz do ludzi o silnym charakterze. Ile masz pieniędzy?
- Ani grosza.
- Czy nie jesteś kasjerem?
- To są pieniądze mego teścia.
- A co z posagiem?
- Już ci o tym mówiłem.
- No, jeśli chcesz być głupcem, to rób tak dalej. Wiesz, że bardzo zubożałam. Jak może mężczyzna pozwolić sobie na to, żeby być bez grosza? Nie gniewaj się, ale to głupota, a nie idealizm. Dla kogo pracowałeś? Dla czarta? No cóż, będę musiała sprzedać umeblowanie, muszę mieć jecinak pewność, że twoje uczucia się nie zmienią. To muszą być decyzje ostateczne. Żadne z nas nie jest dzieckiem.
- Muszę mieć parę dni do namysłu.
- A o czym tu rozmyślać? Jeśli się chcesz wycofać, powiedz mi od razu. Taki krok albo się robi natychmiast, albo nie robi wcale. Nie potrzeba nam paszportów, po prostu przejdziemy po cichu przez granicę. Całym naszym bagażem będą dwie walizki. Kiedy znajdziemy się poza krajem, możemy wybierać, świat jest duży.
- Tak, to prawda, Klaro.
- Zanim wyjedziemy, muszę uporządkować pewne sprawy. Nie jestem taka jak ty, nie potrafię siedzieć i roz-

myślać. Najpierw muszę pojechać do Jampola i rozmówić się z ojcem. Nie mogę tak po prostu obarczyć go dziećmi.

Muszą też pomówić z Celiną. Poza tym jest tam jej matka i z nią też chciałabym się zobaczyć przed odjazdem. Nie sądzę, że to wszystko przychodzi mi z łatwością.

– Kiedy zamierzasz pojechać?

– Dokładny termin nie ma wielkiego znaczenia. Ale muszą mieć pewność, że podejmując te rozmowy, nie wystawią się na pośmiewisko. Już zbyt wiele razy w życiu to mi się przydarzyło.

Cypkin z trudem przełknął ślinę.

– Jedź, porozmawiaj z ojcem.

– Więc powzięłaś decyzję? Nie masz wątpliwości? Pamiętaj, z ojcem nie mogę żartować. Jadąc do niego muszę mu podać wszystkie fakty.

– Możesz mu wszystko powiedzieć.

– Dobrze, właśnie to chciałam od ciebie usłyszeć,

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

I

Kalman Jakobi miał sześćdziesiąt pięć lat. Sądził kiedyś, że nie będzie żył tak długo. Zgodnie z Talmudem, mężczyzna, który dożyje wieku, jaki osiągnęli jego zmarli rodzice, powinien zacząć myśleć o własnym zgonie.

Poza tym ciężko pracował i dużo wycierpiał. Ale, dzięki Bogu, był zdrow. Spoza białej brody przezierały rumiane policzki i bystre oczy. Plecy wciąż miał równie proste jak ongiś. Bóg pobłogosławił go obdarzając siłą.

Teraz już Mejer-Joel zajmował się całkowicie majątkiem i wapiennikami będącymi na wyczerpaniu. Kalman przekazał wszystko zięciowi, który rozbudował młyn i zainstalował walce do mielenia pyłkowej mąki. Kalman wciąż jeszcze wykonywał ciężkie prace nie z potrzeby,

ale z przyzwyczajenia. Jak dawniej wstawał o wschodzie słońca, jadł na śniadanie razowy chleb z białym serem i wypijał dużą szklankę wody. Przenosił worki, pomagał ładować wapień, zaprzęgał konie, nawet rąbał drzewo. Nie mógł spędzać całego czasu na czytaniu Miszny czy Talmudu. Całe lata żył bez żony, w jego żyłach płynęła gorąca krew, pożądanie seksualne nie wygasło. Gdyby nie miał nic do roboty," postradałby zmysły.

Kalman przeliczył się w rachubach co do starości. Ongiś wierzył, że wraz z siwizną na brodzie myśli staną się czyste. Ale tak nie było. Nawet fakt, że został pradziadkiem, nie osłabił jego namiętności. Tak, był już pradziadkiem, ponieważ Tajbele, córka Jochewed, została matką. Jochewed, młodsza o osiemnaście lat od ojca, zachowywała się jak stara kobieta. W czepku, z okularami na nosie, siedziała większość dnia czytając Lampą jasności i Dziedzictwo jelenia. Ale jej ojcu brakowało cierpliwości na zbyt długą lekturę.

Nawet w czasie modłów miały doń dostęp nieczyste myśli. W nocy wyobrażenia stawiała mu przed oczy pokusy, jak to zdarzało się za lat młodzieńczych lub gdy po owdowieniu pożądał Klary. Swaci jampolscy w dalszym ciągu go oblegali, stręcząc narzeczone. Proponowano mu nawet osiemnastoletnią dziewczynę, sierotę. Kalman wiedział, że według prawa powinien się ożenić. Jest bowiem napisane w Piśmie: "Rano siej swoje ziarno, a w wieczór nie pozwól spocząć swej ręce." Jednakże nie mógł powziąć decyzji. Kiedy u Daniela Kaminera co roku obchodzono obrzezanie lub inną uroczystość rodzinną, Kalman był oburzony. Po co płodzić dzieci na stare lata? Po co zostawiać po sobie sieroty?

Mieszkał obecnie samotnie w jednym pokoju w domu, który ongiś zajmował z Zełdą. Drugi pokój przeznaczył do modlitwy. Wyposażył go w Arkę Przymierza, Torą, menorę, księgi Miszny, Talmud i inne święte księgi, jak również w podium, pulpit ze świecznikiem dla kantora, a nawet miedzianą misę do obmywania rąk. Przy drzwiach płonęła nieustannie lampka oliwna przez pamięć na duszę Zełdy. Urządził też pokój gościnny dla podróżujących Żydów, którzy od czasu do czasu odwiedzali majątek, zabiegając o subskrypcje na książki lub zbierając pieniądze na wiano dla ubogich narzeczonych. Gospodarstwo w domu Kaima- na prowadziła kobieta z Jampola. On sam zajmował się gośćmi. Każdy mógł u niego przenocować. Każdemu gościowi dawał jedzenie, jednorazowy nocleg, parę groszy, a niekiedy nawet miarkę zboża, garnczek kaszy lub prosa czy coś innego, co zbywało w gospodarstwie. Zdarzało się, choć nieczęsto, tylu podróżnych, że był minjan do odprawienia modłów. Zwykle musiał się modlić sam, chodząc tam i z powrotem po pokoju w tałasie i tefilia, W tym domu tyle przeżył! Jedna córka się wychrzyliła. Dzięki

n – Dwór

449

Bogu ma też i dobre dzieci. Jochewed jest kobietą godną szacunku, a Cypele to osoba święta.

Kalman modlił się i rozmyślał. Ucałował tefilin nałożone na środek czoła i na ramię, muskając je palcami, a potem podnosił palce do ust. Ucałował też cycesy tałesu. Stał przy wschodniej ścianie, żeby odmówić Osiemnaście błogosławieństw. Ten dom modlitwy był jego zbawieniem. Chronił się tu ze wszystkimi zmartwieniami i niepokojami. Dobrze wiedział, że nie wolno otwierać Świętej Arki bez powodu. Ale czasami ogromnie pragnął

rozsunąć chroniącą ją zasłonę i otworzyć drzwiczki. Drzewo wewnątrz było czerwone, w kolorze wina. Zwój Tory, z dołączoną pałeczką do wskazywania rzędów tekstu, owinięty w atlas, zwieńczony dzwoneczkami i przybrany fontaziem, stał oparty o ścianę Arki. Zdawało mu się, że rozchodzi się z niej zapach wonnych korzeni jak z rajskiego ogrodu. Na tym pergaminie zapisane były przykazania dane przez Mojżesza na górze Synaj.

Kalman pochylił głowę i ucałował Torę. On umrze, ale , ten Święty Zwój, który kazał przepisać, będzie przecho?! dził z pokolenia na pokolenie. Inni Żydzi zostaną do niego dopuszczeni, będą go całować, obnosić, podnosić w górę i tańczyć z nim w dniu Symchat Tora. Na atlasowej osłonie, obok gwiazdy Dawida, -widniał wyhaftowany złotą nicią napis stwierdzający, że Kalman, syn Sendera-Jakuba, jest ofiarodawcą Tory ku pamięci swej żony Zedy, córki Uri-Josefa. Z wolą boską, gdy się zjawi na tamtym świecie, ta Tora będzie mu zaliczona do dobrych uczynków. Kto jednak odmówi za niego kadisz, czy .ten gagatek Klary, Saszat

II

W czasie zimy Kalmanowi łatwiej było zapomnieć, że miał kiedyś taką żonę jak Klara. Natomiast latem, gdy Saszka przyjeżdżał do swego dziadka Daniela Kaminera i odwiedzał Kalmana, ęłtopiec był ciągłym i żywym wspomnieniem ich pożycia małżeńskiego. Kalman miał przed oczami syna, który – niech go ominie złe oko – rósł jak na drożdżach. Za każdym razem, gdy się nieoczekiwanie pojawiał, jego postać i strój były tak odmienne, że ojciec z trudem go poznawał.

Pewnego letniego dnia młodzian, ubrany w kurtkę ze złotymi guzikami, bryczesy i długie buty, w czapce ze

znaczkiem, wyglądający na chrześcijanina, przyszedł w odwiedziny do Kalmana. Miał wzrost średni, szerokie bary, zdrowy wygląd, bujną czuprynę lśniących czarnych włosów; zaczął już używać brzytwy. Odezwał się łamaną żydowszezyzną, a jego cygańskie oczy śmiały się. W pierwszej chwili Kalman był dezorientowany.

– Tato, to ja Sasza, Sender! – I Sasza pokazał w uśmiechu mocne białe zęby, takie, jakich normalnie żydowskie dzieci w Polsce nie miały.

– Jak się tu dostałeś?

. – Pociągiem. Jest i Felusia.

Kalman udał, że nie usłyszał tego imienia.

– Jak się masz? Co u matki? – zapytał Kalman i od razu pożałował, że napomknął o Klarze.

– Wszystko dobrze. Zalewam sadła za skórę moim nauczycielom. Mama krzyczy na mnie.

– Dlaczego krzyczy?

– No tak, cały czas krzyczy. Że się za mało uczę. Stopnie mam za słabe. Jej zdaniem powinienem dostawać same piątki z plusem. Gwiżdżę na to. Wolę spędzać czas na przyjemniejszych zajęciach.

– Jakie to są przyjemniejsze zajęcia?

– Wszystko. Pływanie w Wiśle, gimnastyka. Naprzeciw naszej szkoły jest szkoła żeńska, mamy świetną zabawę. Płatamy figle koleżankom. Oto mój strój rytualny! –

Sasza zaczął nagle szukać czegoś pod bluzą. –

Przywiozłem również moje tefilin do Jampola. Jestem Żydem.

– To dzięki Bogu.

– Tato, czy tata ma dotąd tę siwą klacz?

– Czy nauczyciel hebrajskiego przychodzi jeszcze do ciebie na lekcje?

Sasza zawahał się chwilę.

– Ten rebe z kocią bródką już nie przychodzi. Miał przychodzić nauczyciel hebrajskiego, ale zabrakło mi czasu z powodu egzaminów. Po wakacjach znów zacznę. Mam Pięcioksiąg, modlitewnik i całą resztę.

– Dostaniesz klacz, ale w ozasie pobytu u mnie musisz [się nauczyć jednego rozdziału z Pięcioksięgu i modlić się.

– Zostawiłem moje tefilin u dziadka.

Modlitwy niecierpliwiły Saszę. Przytupywał nogami, śmiał się, potem skupiał uwagę na łapaniu motyla, który Wpadł przez otwarte okno. Gdyby to było możliwe, robiłby wszystko naraz: wsiadł na konia, pływał w stawie, jadł. Przyszedł pieszo aż z Jampola. Kalman przyniósł swoje tefilin i modlitewnik, lecz Sasza nic nie pamiętał. Zapomniał, że tefilin mają skórzane wiązadła. Kalman owinał je najpierw wokół muskularnego ramienia chłopca, potem zaś – dla utworzenia wymaganej litery "szin" – przeplótł wokół jego dłoni i między palcami. Odmówił za niego błogosławieństwo i kazał powtarzać. Tymczasem gospodyni przygotowała smakołyki dla gościa. Sasza uwielbiał jajeczny placek i ciasteczka tradycyjnie pieczone na Pesach, mógł je zajadać przez okrągły rok. Chodząc po pokoju przeznaczonym do modlitwy, rozglądał się po ścianach. W czasie odmawiania Osiemnastu błogosławieństw przystanął, ale nie bił się w piersi ani nie pochylał dla "złożenia dziękczynienia". Kalman odczuwał wstyd i niepokój. Mimo to lubił chłopca. Aczkolwiek podobny do Klary, miał w ruchach i zachowaniu coś, co przypominało Kalmanowi jego ojca, Sendera-Jakuba, niech odpoczywa w raju.

Kalman starał się usprawiedliwić Saszę. "W czym zawinił ten biedny chłopiec? Wychowywał się wśród bałwochwalców." W trakcie modłów, nie zdjawszy nawet tefilin, chłopiec podszedł do Kalmana i wzięwszy go za

ramiona, pocałował w czoło. Kalman zadziwił się. Tak właśnie robiła Klara. Ni stąd, ni zowąd, przerywając jakąś czynność, zaczynała go całować.

– Kocham tatę.

– Wolałbym, żebyś nadal był Żydem.

– A kim jestem? Chrześcijanmem? Kiedy do naszej szkoły przychodzi ksiądz na religię, Żydzi wychodzą. Chrześcijanie przezywają nas, i za to obrywają od nas w szczękę. Tato, jestem dumny z tego, że jestem Żydem.

– Diumny? Dlaczego dumny?

– Bo jestem dumny. Oni są antysemitami, my zaś gwizdźmy na nich. Potrafimy też walić pięściami. Nauczyciele robią różne uwagi. Ja się odcinam. Nikogo się nie boję. Dostałem raz pałkę za niegrzeczne odpowiadanie. To najgorszy stopień. Wcale mnie to nie obeszło.

– Dla Żyda najlepiej przebywać wśród Żydów – powiedział Kalman. – Unika wtedy całej tej walki.

– Jak mogę przebywać wśród Żydów? Przecież nie ma żydowskiej szkoły średniej. Chcę zostać inżynierem, lecz maszyny i wszystko inne z tym związane należy do chrześcijan. Dlaczego Żydzi nie posiadają ziemi?

Dlaczego nie mieszkają w Palestynie?

– Na ziemi Izraela? Ponieważ zgrzeszyli i Bóg ich wypędził.

– Chrześcijanie też grzeszą, a mają wszystko.

– Żydzi są dziećmi Bożymi, a ojciec jest surowy względem własnych dzieci.

Niektóirzy twierdzą, że Boga nie ma.

Kalman zadrżał.

– Kto to powiedział? Zdejmij tefilin! Są one znakiem bożym, a ty mówisz takie herezje.

Pomógł Saszy zdjąć tefilin. Z beczki stojącej w kuchni nabrał wody do naczynia, by Sasza umył ręce przed je-

dzeniem. Usiadłszy przy stole czekał, aż syn skończy jeść i odmówi błogosławieństwa. Sasza pałaszował jeden po drugim naleśniki smażone na maśle, popijał mlekiem, a jednocześnie rzucał spojrzenia w stronę dworu zamienionego obecnie na klub oficerski. Zeszłego roku spotykał tam żony i córki oficerów. Oficerowie uczyli go strzelać, jeździł na ich koniach. W tym roku wyglądał jak dorosły mężczyzna.

Po modlitwie Kalman poszedł H Saszą do stajni. Siwa klacz nadawała się jeszcze do jazdy, chociaż się postarzała.

Siodło się gdzieś zapodziało i trzeba je było odszukać. Sasza poszedł więc tymczasem popływać do rzeki. Widocznie matka nie wpoila w niego żadnego poczucia skromności, bo rozbierał się przy ojcu, nie okazując żadnego zażenowania. Kalman porównał go w duchu do Chama, syna Noego.

Sasza, nie dość że przynosił wstyd Kalmanowi, w dodatku przypominał mu Klarę. Miał jej twarz, oczy, a niekiedy nawet głos.

III

Kiedy Kalman nie mógł spać w nocy, wstawał i szedł do swej prowizorycznej synagogi. Najpierw pukał do drzwi, aby wypłoszyć duchy zmarłych modlących się tam po północy. Zapaliwszy naftową lampkę, zawieszoną na łańcuchu nad stołem, otwierał tom Miszny i czytał. Sasza, którego widywał co drugi dzień, nie zjawiał się już ód tygodnia. Na dworze powiewał łagodny wietrzyk. Pola i lasy ciągnęły się wokół na całe mile. Któż mógłby zliczyć, ile tam się zbiera biesów, chochlików i straszylek?

Dwa złocone lwy po każdej stronie Dziesięciorga przykazań tworzyły gzyms Arki. Na futrynie drzwiczek wisiała mezusa. Tylko prawdziwa synagoga mogła nie mieć tego

amuletu na odrzwiach. Kalman nucił monotennie pierwszy traktat Miszny: "Na siedem dni przed Jom. Kipur przyprawiono Wielkiego Kapłana z jego własnego domu do Komnaty Rady, a na zajęcie jego miejsca gotowy był inny kapłan, gdyby się cokolwiek przydarzyło, co uczyniłoby go nieczystym do wykonania służby bożej. Rabi Juda powiada: «Przygotowano również dla niego i drugą żonę na wypadek śmierci jego własnej żony, bo jest napisane: <Ma odpokutować za siebie i za swój dom, to znaczy swą żonę.>». Powiedzieli do niego: «Jeżeli tak jest, to nigdy ta rzecz nie będzie miała końca.»"

Kalman recytował te słowa, pociągając potarganą brodę. Rzucił okiem na komentarz rabiego Jom Tow Hellera i zobaczył przed oczami Starożytną Świątynię, gdzie w na j-
bardziej wewnętrznej komnacie – sanktuarium – stała Święta Arka i cherubini wykonani ze szczerego złota. Do tego miejsca najświętszego ze świętych raz do roku przyprawiano kapłana przyodzianego w specjalne szaty, z tablicą na piersi, w kapturze na głowie, niosącego naczynie do palenia kadzidła. To wewnętrzne sanktuarium otaczały różne inne budynki wchodzące w skład świątyni. Kapłani przynosili tam zwierzęta ofiarne, tłuszcz i smażyli potrawy mączne na ofiarę. Najdalej na zewnątrz znajdował się podwórzec świątyni, na który wszyscy Żydzi mogli wchodzić. Był tak wypełniony, że zda się nie zmieściłaby się nawet szpilka, lecz gdy Wielki Kapłan zaintonował imię Jehowy, podwórzec zdał się rozszerzać, aby wszyscy mogli się skłonić i klęknąć.

Kalmana przepęłniała tęsknota do tych zamierzchłych czasów, kiedy Żydzi zamieszkiwali krainę Izraela. Odbywali wówczas trzy razy do roku pielgrzymki do Jerozolimy. Posiadali swe własne pola, lasy, winnice i drzewa figowe. Król żydowski panował nad nimi, a ludzie

wygłaszali proroctwa. Mimo wszystko, rozmyślał Kalman, ludzie już wówczas grzeszyli. Jerobeam umieścił dwa złote cielce w Bet-El i w Dan i Żydzi czcili je. Jak to się mogło dziać? Rzecz niepojęta.

Kalman nawet nie pamiętał, kiedy nauczył się ty di śpiewnych strpf modlitwy i religijnej wiedzy. Przechodziły one z ojca na syna od wielu pokoleń. Słowa Miszny były przejrzyste; wspomniano tam o wole, szakalu, złodzieju, mordercy, ślubie, rozwodzie. Jednak każde z tych słów miało swoisty sens nie do opisanie. Litery hebrajskie nasiąkły świętością, wiecznością. Zdawały się łączyć go z patriarchami, z Jozue, Gamalielem, Eliezerem i z Hillelem Starszym. Ci mędracy przemawiali do niego jak dziadkowie do swego wnuka. Prowadzili z nim dysputy; co jest słuszne, a co niesłuszne, co czyste, a co nieczyste. Uczynili go niejako swoim współnikiem przy korzystaniu ze skarbnicy Tory. Wśród tych półek, zastawionych świętymi księgami, Kalman czuł się bezpieczny. Nad każdym tomem unosił się duch autora. YŁ tym miejscu Bóg nad nim czuwał.